

„JEDEN Z NAJLEPSZYCH AMERYKAŃSKICH  
POWIEŚCIOPISARZY W **SZCZYTOWEJ FORMIE**”.

– THE DENVER POST

# James Ellroy

KREW TO  
WŁÓCZĘGA

TURN LEFT  
OR  
GET SHOT



# James Ellroy

KREW TO  
WŁÓCZĘGA

Z języka angielskiego przełożyła  
Ewa Penksyk-Kluczkowska



Tytuł oryginału: *Blood's a Rover*

Copyright © 2009, James Ellroy

All rights reserved

Copyright © 2011, 2019 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga

Copyright © 2011 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Mariusz Kulan

Korekta: Magdalena Bargłowska, Joanna Rodkiewicz, Aneta Iwan, Maria Zając

ISBN: 978-83-8110-914-7

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórców i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

*Polska Izba Książki*

Więcej o prawie autorskim na [www.legalnakultura.pl](http://www.legalnakultura.pl)

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.

ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: [info@soniadruga.pl](mailto:info@soniadruga.pl)

[www.soniadruga.pl](http://www.soniadruga.pl)

[www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga](https://www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga)

E-wydanie 2019

Skład wersji elektronicznej:

**virtualo**

[konwersja.virtualo.pl](http://konwersja.virtualo.pl)

# Spis treści

Wtedy

Teraz

Wtedy

Część I. Totalny rozpiędoł

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

## Część II. Jonasz zasrany

35

36

37

38

39

40

41

42

43

44

45

46

47

48

49

50

51

52

53

54

55

56

57

### Część III. Strefa zombie

58

59

60

61

62

63

64

65

66

67

68

69

70

71

72

73

74

75

76

77

78

79

80

81

82

83

84

85

86

87

#### Część IV. Czarny kartel

88

89

90

91

92

93

94

95

96

97

98

99

100

101

102

103

104

#### Część V. Niezarejestrowana broń

105

106

107

108

109

110

111

112

113

114

115

116

117

118

#### Część VI. Towarzyszka Joan

119

120

121

122

123

124

125

126

127

128

129

130

131

Teraz

Przypisy



*Dla J.M.*

*Druhu: za wszystko, co mi dałeś*

*Glina to bezruch, lecz krew to włączęga  
Oddech to kruche nietrwanie.  
Wstawaj, chłopcze; a u drogi kresu  
Czasu w bród znajdziesz na spanie.*

*A. E. Housman*

**WTEDY**

## Los Angeles 24.02.1964

*Nagle:*

Ciężarówka z mlekiem ostro skręciła w prawo i otarła się o krawężnik. Kierowca stracił panowanie nad kierownicą. W popłochu wcisnął hamulce. W efekcie zarzuciło tyłem pojazdu. Opancerzona furgonetka Wells Fargo zaczepiła o przedni bok ciężarówki z mlekiem.

*Zapamiętaj:*

7.16, południowe LA, róg Osiemdziesiątej Czwartej i Budlong. Dzielnica czarnuchów. Wychodki z brudnymi podwórkami.

W wyniku zderzenia w obu pojazdach zgasły silniki. Kierowca ciężarówki z mlekiem uderzył w tablicę rozdzielczą. Drzwi po jego stronie otworzyły się szeroko. Kierowca zasłabł i wypadł na chodnik. Był to czterdziestoparoletni Murzyn.

Opancerzona furgonetka zaliczyła wgniecenia maski. Trzech strażników wysiadło i oceniło zniszczenia. Byli to biali mężczyźni w obcisłych uniformach khaki. Nosili koalicyjki z zapinanymi na guzik kaburami.

Przyklękli przy kierowcy ciężarówki z mlekiem. Facet dyszał, wstrząsały nim drgawki. Uderzenie w deskę rozdzielczą rozcięło mu czoło. Krew ciekła mu na oczy.

*Zapamiętaj:*

7.17, zachmurzenie zimowe. Spokojna ulica. Zero ruchu pieszego. Zderzenie nie wzbudziło na razie zainteresowania.

Ciężarówka z mlekiem westchnęła. Wybuchła chłodnica. Para zasyczała i rozniosła się szeroko. Strażnicy zakasłali i otarli oczy. Z forda rocznik '62 zaparkowanego parę metrów dalej wysiadło trzech mężczyzn.

Nosili maski. Nosili rękawiczki i buty na gumowych podeszwach. Mieli pasy narzędziowe z przypiętymi granatami gazowymi. Mieli długie rękawy i byli zapięci po szyję. Ich skóra była całkowicie zakryta, nie dało się odgadnąć jej koloru.

Przesłoniła ich para. Podeszli i wyciągnęli spluwy z tłumikami. Strażnicy kasłali. To zagłuszyło odgłos. Kierowca ciężarówki z mlekiem wyciągnął broń z tłumikiem i strzelił w twarz najbliższemu strażnikowi.

Rozległ się głuchy łoskot. Czoło strażnika eksplodowało. Dwaj pozostali strażnicy niezdarnie usiłowali wyjąć broń z kabury. Zamaskowani mężczyźni strzelili im w plecy. Nogi się pod nimi ugięły, padli do przodu. Zamaskowani mężczyźni bez zastanowienia strzelili im w głowy. Poniósł się stłumiony głuchy odgłos wystrzałów i trzask czaszek.

Jest 7.19. Nadal spokój. Nie ma jeszcze ruchu pieszego, zderzenie nie wzbudziło na razie zainteresowania.

Teraz hałas – dwa wystrzały i głośnie echo. Błysk muszki w dziwnym kształcie, wybuchy z otworu strzelniczego samochodu opancerzonego.

Pociski odbijały się od ulicy. Zamaskowani mężczyźni i kierowca ciężarówki z mlekiem padli na brzuch. Przetoczyli się w stronę opancerzonej ciężarówki. Palba z różnej broni. Jeszcze cztery strzały. Cztery plus dwa – jeden magazynek.

Zamaskowany mężczyzna nr 1 był wysoki i szczupły. Zamaskowany mężczyzna nr 2 był średniego wzrostu. Zamaskowany mężczyzna nr 3 był przysadzisty. Jest 7.20. Nadal nie ma pieszych. Wielki sterowiec na niebie ciągnie baner reklamowy domu towarowego.

Zamaskowany mężczyzna nr 1 wstał i w przysiadzie podbiegł do otworu strzelniczego. Odpiął od pasa granat gazowy i wyrwał zawleczkę. Prychnęło oparami. Wsadził granat do otworu strzelniczego. Strażnik w środku wrzasnął i zwymiotował bardzo głośno. Tylne drzwi otworzyły się z hukiem. Strażnik wyskoczył i padł na kolana. Krwawił z nosa i z ust. Zamaskowany mężczyzna nr 2 strzelił mu dwukrotnie w głowę.

Kierowca ciężarówki z mlekiem założył maskę przeciwgazową. Zamaskowani mężczyźni założyli maski przeciwgazowe na swoje maski. Kilka zerknięć, kilkoro otwartych drzwi, paru kolorowych na gankach.

Jest 7.22. Opary się rozproszyły. W środku nie ma drugiego strażnika.

Wchodzą.

Ledwie się zmieścili. W środku było mało miejsca. Worki z pieniędzmi i kasetki leżały na półkach pod ścianami. Zamaskowany mężczyzna nr 1 policzył: szesnaście worków i czternaście kasetek.

*Chwycili.* Zamaskowany mężczyzna nr 2 miał wetknięty do spodni płócienny wór. Wyciągnął go i rozchylił.

*Chwycili.* Wypełnili wór. Jedna kasetka się otworzyła. Zobaczyli sterty owiniętych w plastik szmaragdów.

Zamaskowany mężczyzna nr 3 otworzył worek z pieniędzmi. Ukazał się zwitek stów. Szarpnął za taśmę bankową. Pojemnik z atramentem wybuchł, opryskał go i trafił w otwory w masce. Atrament dostał się do jego ust i oczu.

Zachłysnął się, wypluł atrament, potarł oczy i wyskoczył na zewnątrz. Nasrał w spodnie i stanął, młóćąc powietrze. Zamaskowany mężczyzna nr 1 odsunął się od drzwi i dwukrotnie strzelił mu w plecy.

Jest 7.24. Teraz już zderzenie wzbudziło zainteresowanie. Powstał zamęt. To gwar biedoty ograniczony do ganków.

Zamaskowany mężczyzna nr 1 ruszył w tamtą stronę. Wyciągnął cztery granaty gazowe, odbezpieczył je i rzucił nimi. Rzucił w lewo i prawo. Podniosły się opary czerwone, różowe

i bezbarwne. Kwaśne niebo, minifront burzowy, tęcza. Gankowi zanieśli się kaszlem, dławiąc się, wbiegli do swoich szop.

Kierowca ciężarówki z mlekiem i zamaskowany mężczyzna nr 2 ciasno wypchali cztery płócienne wory. Mieli pełen ładunek: wszystkie worki z gotówką i kasetki, razem trzydzieści sztuk. Poszli do forda rocznik '62. Zamaskowany mężczyzna nr 1 otworzył bagażnik. Wrzucili do środka ładunek.

7.26.

Podniósł się wiatr. Zwinął kłęby gazu w szaleńczo łączące się kolory. Kierowca ciężarówki z mlekiem i zamaskowany mężczyzna nr 2 gapili się przez gogle.

Zamaskowany mężczyzna nr 1 stanął przed nimi. Wkurwili się – „Co jest?” – nie zasłaniając pokazu świateł. Zamaskowany mężczyzna nr 1 strzelił obydwóm w twarz. Pociski roztrzaskały szkła gogli i rurki masek gazowych i w jednej chwili zgasiły im światła.

*Zapamiętaj:*

7.27. Czterech martwych strażników, trzech martwych bandytów. Różowe kłęby gazu. Opad kwasowy. Opary zamieniające krzewy w szarozłośliwe.

Zamaskowany mężczyzna nr 1 otworzył drzwi po stronie kierowcy i sięgnął pod siedzenie. A tam: lutlampa i brązowa torba ze żrącymi granulkami. Granulki wyglądały jak skrzyżowanie karmy dla ptaków i fasolek żelkowych.

Pracował powoli.

Podszedł do zamaskowanego mężczyzny nr 3. Rzucił granulki na jego plecy i wepchnął mu granulki do ust. Odpalił lutlampę i skierował płomień na ciało. Podszedł do kierowcy ciężarówki z mlekiem i do zamaskowanego mężczyzny nr 2. Rzucił granulki na ich plecy, wepchnął im granulki do ust i opalił ich ciała lutlampą.

Słońce już zdążyło wejść wysoko. Opary gazu pochwyciły promienie i z małego skrawka nieba zrobiły jeden wielki pryzmat. Zamaskowany mężczyzna nr 1 odjechał w kierunku południowym.

Dotarł tam pierwszy. Jak zawsze. O napadzie w Czarnogrodzie dowiedział się z nasłuchu policyjnych częstotliwości. Wozził ze sobą własny odbiornik wielozakresowy.

Zaparkował za pojazdem opancerzonym i ciężarówką z mlekiem. Rozejrzał się po ulicy. Zobaczył kilku asfaltów gapiących się na rzeźnię. Powietrze szczypało. Pierwszy domysł: granaty gazowe i sfingowana kolizja.

Asfalty go zobaczyły. Wymieniły standardowe spojrzenie: „O cholera”. Usłyszał syreny. Z nakładających się syren wyliczył sześć czy siedem wozów. Z posterunków przy Newton i przy Siedemdziesiątej Siódmej – jechały dwie jednostki. Miał trzy minuty, żeby się rozejrzeć.

Zobaczył czterech martwych strażników. Dwa spalone trupy przy wschodnim krawężniku parę wozów dalej.

Zignorował strażników. Sprawdził spalonych. Byli mocno poparzeni, aż popękana skóra stopiła się z odzieżą. Pierwszy jego domysł: przechytrzenie. Spierdolmy identyfikację zbytecznych kompanów.

Syreny zawyły bliżej. Z oddali pomachał mu dzieciak. Skinął mu i też pomachał.

Miał już wyobrażenie. Gównno, na które się czeka całe życie. Kiedy przychodzi, to... *no wiesz*.

Był wielki. Nosił tweedowy garnitur i muchę w kratę. Do muchy miał przyszytą małą czternastkę. Zastrzelił czternastu uzbrojonych bandytów.

**TERAZ**



*Ameryka:*

Podglądałem cztery lata naszej historii. Były to jedna długa, mobilna obserwacja i brutalne przeszukanie. Mogłem kraść i miałem licencję na przyduszanie.

Śledziłem ludzi. Podśluchiwałem na wszystkie sposoby, widziałem wielkie wydarzenia i tak dalej. Pozostałem nieznany. Moja inwigilacja łączy Wtedy i Teraz w nieujawniony dotąd sposób. Byłem tam. Mój reportaż jest podparty wiarygodnymi pogłoskami i paplaniem osób dobrze poinformowanych. Potężny materiał dowodowy w postaci zapisków go zweryfikował. Ta książka czerpie z wykradzonych archiwów publicznych oraz przywłaszczonych pamiętników osób prywatnych. To owoc własnych przygód i czterdziestu lat studiów. Jestem wykonawcą testamentu literackiego i prowokatorem. Zrobiłem, co zrobiłem, i widziałem, co widziałem, i poznałem własną drogę.

Ortodoksyjna wiarygodność i szmatławcowa zawartość. To połączenie daje jej pasję. Już macie w sobie ziarno wiary. Przypomnijcie sobie czas, który obejmuje ta opowieść, a wyczujecie spisek. Jestem tu, by wam opowiedzieć, że to wszystko prawda i ani trochę nie jest tak, jak wam się wydaje.

Przeczytacie tę książkę z pewną niechęcią i w końcu skapitulujecie. Kolejne strony zmuszą was, byście się poddali.

*Powiem wam wszystko.*

**WTEDY**

# **CZEŚĆ I**

# **TOTALNY ROZPIERDOL**

14 CZERWCA 1968–11 WRZEŚNIA 1968

# 1

## Wayne Tedrow junior (Las Vegas, 14.06.1968)

### *HEROINA:*

Urządził laboratorium w swoim apartamencie hotelowym. Zlewki, kadzie i palniki Bunsena wypełniły półki. Z trzypalnikowej kuchenki schodziły kolejne porcyjki. Gotował produkt rangi środków przeciwbólowych. Nie robił narkotyków od czasów Sajgonu.

Darmowy apartament w Gwiezdnym Pyle, finansowany przez Carlosa Marcella. Carlos wiedział, że Janice ma raka w ostatnim stadium i że on jest utalentowanym chemikiem.

Wayne zmieszał bazę morfinową z amoniakiem. Dwuminutowe podgrzewanie uwolniło kryształki i osad. Podgrzał wodę do 83 stopni. Dodał bezwodnik kwasu octowego. Wrzątkiem wypłukał odpad organiczny.

Następnie środki strącające – powolne gotowanie – diacetylmorfina i węglan sodu.

Wayne zamieszał, odmierzył i podpalił dwa małe palniki. Rozejrzał się po pokoju. Pokojówka zostawiła gazetę. Wszystkie nagłówki należały do niego.

Śmierć Wayne'a seniora na skutek ataku serca. James Earl Ray i Sirhan Sirhan w pace.

Do niego należała cała pierwsza strona. Ani razu o nim nie wspominała. Carlos wyciszył sprawę Wayne'a seniora. Pan Hoover wyciszył następstwa zamachów King/Bobby.

Wayne patrzył, jak rośnie masa diacetylmorfiny. Dzięki jego mieszance Janice zapadnie w półsen. Starał się o wielką robotę u Howarda Hughesa. Hughes był uzależniony od farmaceutyków i narkotyków. Mógł mu sporządzić osobistą mieszankę i zabrać ją na rozmowę kwalifikacyjną.

Masa wytrąciła się w kryształkach i wyłoniła się z płynu. Na stronie drugiej Wayne zobaczył zdjęcia Raya i Sirhana. Brał udział w zamachu na Kinga. Brał czynny udział. Bardzo czynny. Freddy Otash zorganizował jelenia Raya w wypadku Kinga i jelenia Sirhana w wypadku Bobby'ego.

Zadzwoił telefon. Wayne go chwycił. Usłyszał trzaski kodera. To na pewno bezpieczny telefon federalów i Dwight Holly.

– To ja, Dwight.

– Zabiłeś go?

– Tak.

– Atak serca, kurde. Wylew byłby lepszy.

Wayne zakasłał.

– Carlos zajmuje się tym osobiście. Może wszystko wyciszyć.

– Nie chcę, żeby pan Hoover się tym niepokoił.

– To wyciszone. Pytanie, co z resztą.

Dwight westchnął.

– Zawsze są gadki o spisku. Zakatrupisz jakąś szychę i zaraz powstają takie gówna. Freddy kontaktował się z Rayem przez pośrednika, a z Sirhanem się spotykał, ale schudł i teraz inaczej wygląda. W sumie powiedziałbym, że z obydwoma mamy spokój.

Wayne patrzył, jak gotuje się jego narkotyk. Dwight sypał kolejnymi wieściami. Freddy O. kupił kasyno Złota Pieczara. Sprzedał mu je Pete Bondurant.

– Mamy z tym spokój, Dwight. Powiedz mi, że mamy z tym spokój, przekonaj mnie.

Dwight się roześmiał.

– Jakbyś się trochę denerwował, mały.

– Jestem ździebko nadwerężony, owszem. Zdziwiłbyś się, jak wykańczające jest ojcobójstwo.

Dwight zarechotał. Garnuszki z narkotykiem zaczęły kipieć. Wayne przykręcił płomień i zerknął na zdjęcie na biurku.

Janice Lukens Tedrow, kochanka/eksmacocha. Rok 1961. Tańczy w Wydmach. Sama, zgubiła buta, sukienkę ma rozerwaną na szwie.

– Ej, jesteś tam? – spytał Dwight.

– Jestem.

– Miło mi to słyszeć. Miło mi słyszeć, że z twojej strony mamy z tym spokój.

Wayne wpatrywał się w zdjęcie.

– Mój ojciec był twoim przyjacielem. Jakoś tak łatwo przechodzisz nad tym do porządku dziennego.

– Ja pierdzielę, mały. On cię wysłał do Dallas.

Wielki Dzień. Listopad 1963. Był tam w ów Wielki Weekend. Trafił na Wielką Chwilę i wziął udział w tej Wielkiej Jeździe.

Był sierżantem w policji Las Vegas. Był żonaty. Skończył chemię. Jego ojciec był wielką mormońską szychą. Wayne senior był wplątany po uszy w pojechaną Prawicę. Robił operacje Klanu dla pana Hoovera i Dwighta Holly'ego. Rozprowadzał mocne nienawistne broszury. Żył zgodnie ze skrajnie prawicowym duchem czasu i był na bieżąco. Wiedział o zamachu na JFK. Wątków było wiele: kubańscy emigranci, łajdackie CIA, mafia. Senior kupił juniorowi bilet.

Robota przy deportacji, z jednym zastrzeżeniem: zabić deportowanego.

Zadanie wykonywała policja. Czarny alfons Wendell Durfee pociął krupiera w kasynie. Mężczyzna przeżył. To nie miało znaczenia. Rada Zarządców Kasyn chciała, żeby załatwić Wendella. Gliny z Vegas wzięły tę robotę. Wybrańcy z wielką premią finansową. To był sprawdzian. Policja chciała zmierzyć sobie jaja. Wayne senior miał wpływy w policji. Wiedział o zamachu na JFK. Senior chciał, żeby junior w to wszedł. Wendell Durfee uciekł z Vegas do Dallas. Senior wątpił w jaja juniora. Zdaniem seniora junior powinien zabić nieuzbrojonego czarnego. Wayne poleciał do Dallas 22.11.1963.

Nie chciał zabijać Wendella Durfee. Nie wiedział o zamachu na JFK. Dostał partnera od deportacji. Tamten nazywał się Maynard Moore. Pracował w policji w Dallas. Wieśniacki psychol, który robił, co mu każą.

Wayne starł się z Maynardem Moore'em i starał się nie zabić Wendella Durfee. Wayne wpakował się w zamach w pozamachowym swobodnym spadku. Powiązał Jacka Ruby'ego z Moore'em i pravicowym najemnikiem Pete'em B. Widział w TV na żywo, jak Ruby załatwił Lee Harveya Oswalda.

Wiedział. Nie wiedział, że wie jego ojciec. W tamtą niedzielę wszystko wzięło w łeb.

JFK nie żył. Oswald nie żył. Namierzył Wendella Durfee i kazał mu uciekać. Maynard Moore się wtrącił. Wayne zabił Moore'a i puścił Durfee'ego. Wtrącił się Pete B. i zostawił Wayne'a przy życiu.

Pete uważał swój akt miłosierdzia za rozważny, a Wayne'a akt miłosierdzia za lekkomyślny. Pete ostrzegł Wayne'a, że Wendell Durfee może jeszcze wrócić.

Wayne wrócił do Vegas. Pete B. przeniósł się do Vegas, by pracować dla Carlosa Marcella. Pete wysłedził Durfee'ego i pozyskał wiedzę: to gwałciciel, gnojek i jeszcze gorzej. Był styczeń 1964. Pete dowiedział się, że Wendell Durfee uciekł do Vegas. Powiedział Wayne'owi. Wayne odszukał Wendella. Wlazło mu w drogę trzech narkomanów. Wayne ich zabił. Wendell Durfee zgwałcił i zamordował żonę Wayne'a, Lynette.

To był jego bardzo osobisty swobodny spadek. Zaczęło się w Dallas i trwa aż do Teraz.

Wendell Durfee uciekł. Wayne senior i policja postarali się, żeby wykręcił się z tych ćpunów. Pan Hoover był przyjaźnie nastawiony. Stary kumpel seniora, Dwight Holly, nie. Dwight pracował wtedy w Federalnym Biurze ds. Narkotyków. Te ćpuny sprzedawały heroinę i miały stanąć przed sądem. Dwight nacisnął na prokuratora krajowego. Wayne junior spierdolił mu śledztwo. Chciał, żeby Wayne'owi juniorowi postawiono zarzuty i osądzono go. Policja sfabrykowała jakieś dowody i zbajerowała ławę przysięgłych. Wayne wygrzebał się z zabójstw. Potem poczuł się pusty. Rzucił robotę w policji i wszedł do Życia.

Najemnik. Przemnyk heroiny. Zabójca.

Lynette nie żyła. Poprzysiągł znaleźć Wendella Durfee'ego i zabić go. Lynette była jego najlepszym przyjacielem, jego miłością i murem, który oddzielał go od miłości do drugiej żony ojca. Janice była starsza, patrzyła, jak dorastał, żyła z seniorem dla jego pieniędzy

i wpływów. Janice odwzajemniała miłość Wayne'a. Pragnienie zrodziło się po obu stronach. I po prostu rosło.

Wayne spiknął się z Pete'em i jego żoną Barb. Pete trzymał się blisko z mafijnym prawnikiem Wardem Littelem. Ward był eksfederalcem i ważnym elementem w zamachu na JFK. Pracował dla Carlosa Marcella i Howarda Hughesa i napuszczał ich na siebie nawzajem, na wszystkie sposoby. Wayne miał Pete'a i Warda za nauczycieli. Nauczył się od nich Życia. Przeleciał ich program nauczania w tempie swobodnego spadku.

Pete wciągnął się w sprawę kubańskich uchodźców. W Wietnamie się gotowało. Howard Hughes snuł szalone plany wykupienia Las Vegas. Wayne senior wstąpił do mormońskiej straży Hughesa. Ward Littel zaczął żywić urazę do seniora. Jeden łajdak z CIA skaptował Pete'a do przemytu narkotyków z Sajgonu do Vegas, zyski dla sprawy kubańskiej, gwarantowane przez Carlosa Marcella. Pete potrzebował chemika od prochów i skaptował Wayne'a. Nienawiść Warda do Wayne'a seniora wzrosła. Ward poleciał w chuja z seniorem. Powiedział Wayne'owi, że to ojciec wysłał go do Dallas.

Wayne zatoczył się i zachłysnął powietrzem i ledwie się utrzymał na nogach. Wayne zerznął Janice w domu ojca i przypilnował, żeby Wayne senior to zobaczył.

„Życie”. Rzeczownik. Niebo dla mormońskich oszołomów, łajdackich chemików, szwarcobójców.

Wayne senior rozwiódł się z Janice. Dla zrekompensowania kosztów ugody zbił ją laską ze srebrną końcówką. Janice od tamtego dnia kulą i wciąż świetnie grała w golfa. Ward Littel sprzedał Howardowi Hughesowi Las Vegas po zawyżonej mafijnej cenie i zaczął sporadyczny romans z Janice. Wayne senior podniósł wkład u Howarda Hughesa i podlizywał się byłemu wice Dickowi Nixonowi. Dwight Holly opuścił Biuro ds. Narkotyków i wrócił do FBI. Pan Hoover skierował Dwighta do sabotowania Martina Luthera Kinga i ruchu praw obywatelskich. Dwight umieścił Wayne'a seniora w operacjach skierowanych przeciwko klanowym malwersacjom pocztowym.

Wayne gotował heroinę w Sajgonie i przrzucał ją do Vegas. Wayne cztery lata ścigał Wendella Durfee. Krajem wstrząsnęły zamieszki i chujoza nienawiści rasowej. Doktor King pokonywał pana Hoovera na wszystkich frontach moralnych, zwyciężał go samym swoim istnieniem. Pan Hoover próbował wszystkiego. Pan Hoover marudził Dwightowi, że zrobił wszystko, co mógł. Dwight zrozumiał sygnał i zwerbował Wayne'a seniora. Wayne senior chciał, żeby wszedł w to Wayne junior. Zdaniem seniora potrzebowali haka rekrutacyjnego. Dwight znalazł Wendella Durfee.

Wayne dostał niby anonimową wskazówkę. Znalazł Wendella Durfee w slumsach LA i zabił go w marcu. To było nagrane. Dwight pobrał odciski palców z miejsca zbrodni i zmusił go do udziału w zamachu. Wayne pracował ze swoim ojcem, z Dwightem, Freddyem Otashem i zawodowym strzelcem Bobem Relyeą.

U Janice zdiagnozowano ostatnie stadium raka. Obrażenia po biciu uniemożliwiły wcześniejsze wykrycie choroby. Interes z herą z Sajgonu rozleciał się i pogrążył w chaosie. Po jednej stronie: mafijne upiory i kubańscy uchodźcy. Po drugiej: Wayne, Pete i francuski najemnik Jean-Philippe Mesplède. Kwiecień i maj były niezakłóconym swobodnym spadkiem. Ważyły się losy wyborów. King nie żył. Carlos Marcello i pozostali Chłopcy zdecydowali się usunąć Bobby'ego Kennedy'ego. Zmuszono Pete'a. Freddy O. szalał od zabójstwa Kinga. Ward Littel ciągle robił swoje dla Carlosa i Howarda Hughesa. Ward odziedziczył akta antymafijne. Dał je Janice na przechowanie.

Wayne poszedł zobaczyć się z Janice czwartego czerwca. Rak pozbawił ją sił i kształtów i uczynił ją obwisłą. Kochali się po raz drugi. Powiedziała mu o aktach Warda. Przeszukał jej mieszkanie i znalazł je. Były bardzo szczegółowe. Obciążały zwłaszcza Carlosa i jego nowoorleańską operację. Wayne wysłał je Carlosowi wraz z listem.

„Szanowny Panie, mój ojciec zamierzał szantażować Pana za pomocą tych akt. Może zechciałby Pan porozmawiać na ten temat?”

Roberta F. Kennedy'ego zastrzelono dwie godziny później. Ward Littell się zabił. Howard Hughes zaproponował Wayne'owi seniorowi robotę w charakterze koordynatora do spraw mafii. Jego pierwsze zadanie: kupić lojalność głównego kandydata republikanów, Dicka Nixona.

Carlos zadzwonił do Wayne'a i podziękował mu za ostrzeżenie. Powiedział: „Zjedźmy kolację”.

Wayne postanowił zamordować ojca. Postanowił, że Janice powinna go zatłuc na śmierć kijem golfowym.

Carlos miał niby rzymski apartament w Piaskach. Odziany w togę przygłup odgrywał centuriona i wprowadził Wayne'a. W apartamencie stały niby rzymskie kolumny i obraz przedstawiający Sacco di Roma. Z ram zwisały metki z cenami.

Bar czekał. Przygłup posadził Wayne'a przy lakierowanym stoliku ozdobionym napisem SPQR. Wszedł Carlos. Miał na sobie szorty z surówki jedwabnej i poplamioną koszulę frakową.

Wayne wstał. Carlos powiedział: „Nie wstawaj”. Wayne usiadł. Przygłup nałożył jedzenie na dwa talerze i zniknął. Carlos nalał wina z zakręcanej butelki.

– To dla mnie przyjemność, proszę pana – powiedział Wayne.

– Nie udawaj, że nie wiesz, że ja wiem. Jesteś facetem od Pete'a i Warda i pracowałeś dla mnie w Sajgonie. Wiesz o mnie więcej, niż powinieneś, plus całe to gówno z akt. Znam twoją historię. Jest nieźle pojebana w porównaniu z historiami tych pozostałych fiutów, które słyszałem ostatnio.

Wayne się uśmiechnął. Carlos wyciągnął z kieszeni dwie lalki kiwające głowami. Jedna lalka robiła za RFK. Jedna lalka robiła za doktora Kinga. Carlos uśmiechnął się i urwał im



głowy.

– *Salud*, Wayne.

– Dziękuję, Carlos.

– Szukasz roboty, prawda? Nie chodzi o uścisk dłoni i kopertę.

Wayne upił wina. Wątpliwej jakości.

– Chcę objąć stanowisko Warda Littella w pańskiej organizacji wraz z pozycją w organizacji Hughesa, odziedziczoną właśnie przez mojego ojca po Wardzie. Mam dość umiejętności i kontaktów, żeby udowodnić swoją wartość, jestem gotów faworyzować pana we wszystkich układach z panem Hughesem i mam świadomość, jaką karę wymierza pan za niełojalność.

Carlos nadział sardelę na widelec. Widelec się pośliznął. Oliwa skapnęła mu na koszulę.

– A gdzie w tym wszystkim będzie twój ojciec?

Wayne przewrócił lalkę RFK. Odpadła plastikowa ręka. Carlos podłubał w nosie.

– Dobra, nawet jeśli mam, kurwa, skłonność do życzliwości i mam skłonność cię lubić, nie kumam, dlaczego Howard Hughes miałby sięgać poza swoją organizację pełną fiutolizów, z którymi mu dobrze, żeby nająć pojebanego byłego gline, który chodzi i strzela do czarnuchów dla frajdy.

Wayne się wzdrygnął. Chwycił mocno kieliszek i niemal strzaskał nóżkę.

– Pan Hughes jest ksenofobicznym narkomanem, który słynie ze wstrzykiwania narkotyków w żyłę na swoim penisie, a ja umiem spreparować...

Carlos zarechotał i walnął dłonią w stół. Jego kieliszek się przewrócił. Poleciały kawałki pieprzu. Rozprysnęła się oliwa.

– ...narkotyki, które go pobudzą i uspokoją i pogorszą stan jego umysłu na tyle, żeby stał się o wiele bardziej uległy we wszystkich układach z panem. Wiem również, że posiada pan bardzo dużą kopertę na Richarda Nixona, na wypadek gdyby dostał nominację. Pan Hughes dorzuca dwadzieścia procent, a ja zamierzam przejąć zapas gotówki mojego ojca i dać panu kolejne pięć milionów gotówką.

Wszedł przygłup w todze. Przyniósł gąbkę i czary-mary zniknął syf. Carlos strzelił palcami. Przygłup w todze się ulotnił.

– Wciąż wracam do pańskiego ojca. Co zrobi Wayne Tedrow senior, podczas gdy Wayne Tedrow junior wsadzi mu dużego w najczulsze miejsce?

Wayne wskazał lalki i niebo. Carlos strzelił kłykciami.

– Dobra, wchodzę.

Wayne podniósł kieliszek.

– Dziękuję.

Carlos podniósł kieliszek.

– Dostaniesz dwieście pięćdziesiąt rocznie i procent i od razu wskakujesz na stare miejsce Warda. Potrzebuję cię do nadzoru nad wykupem legalnych firm założonych dzięki pożyczkom

z Funduszu Emerytalnego Teamstera, tak żebyśmy mieli gdzie prac kasę na budowę hoteli-kasyn gdzieś w Ameryce Środkowej albo na Karaibach. Wiesz, czego nam trzeba. Chcemy kogoś w rodzaju elastycznego, antykomunistycznego *el jefe*, który zrobi, co chcemy, i zdusi te wszystkie dysydenckie protesty hipisów. Teraz kieruje tym Sam G. Zawężaliśmy poszukiwania do Panamy, Nikaragui i Dominikany. To jest, kurwa, najważniejsza część twojej pracy. Załatwiasz to i załatwiasz, żeby twój ćpuński kumpel dalej kupował nasze hotele, i przypilnujesz, żebyśmy mogli tam zostawić swoich zaufanych ludzi, którzy zajmą się odciąganiem.

– Zrobię to – powiedział Wayne.

– Tatuś będzie zaskoczony.

Wayne wstał za szybko. Niby rzymski świat zawirował. Carlos wstał. Koszulę miał tak spryskaną, że aż mokrą.

– Dopilnuję, żeby był pan na bieżąco.

Janice zajmowała w Wydmach apartament à la kasba. Wayne zapewniał całodobową opiekę pielęgniarzką. Janice nie opuszczała teraz hotelu.

Popołudniowa pielęgniarka paliła na tarasie. Widok w połowie składał się z pokazu świateł, w połowie z pustynnej mgiełki. Janice leżała zwinięta na łóżku, klimatyzacja huczała. Jej system schizował. Albo niemal zamarzała, albo się niemal gotowała.

Wayne usiadł z nią.

– Jest jakiś golf w telewizji.

– Na jakiś czas mam chyba dość golfa.

Wayne się uśmiechnął.

– *Touché!*

– Spotkanie z Hughesem. Nie jest jakoś niedługo?

– Za kilka dni.

– Najmie cię. Wykuma, że jesteś mormonem i że ojciec nauczył cię paru rzeczy.

– No bo nauczył.

Janice się uśmiechnęła.

– Z kim się spotykasz? Z kim od Hughesa, znaczy się?

– Nazywa się Farlan Brown.

– Znam go. Jego żona była mistrzynią klubową we Frontierze, ale jak z nią grałam, to wygrałam dziewięć osiem.

Wayne się roześmiał.

– Coś jeszcze?

Janice się roześmiała. Od śmiechu rozkaszała się i spociła. Zrzuciła kołdrę. Koszula jej się zadarła. Wayne zobaczył nowe obwisłe miejsca i wgłębienia.

Wytał jej czoło rękawem. Trąciła nosem jego ramię i połaskotała je. Wayne zrobił minę, że niby auć.

– Miałam powiedzieć, że pije i gania za babami, jak wszyscy porządni mormoni. Tacy mężczyźni mają świętą trójcę. Tancerki, barmanki i burdele.

W pokoju było lodowato. Od zwykłej rozmowy Janice spociła się jak mysz. Zagryzła wargę. Skronie jej pulsowały. Dotknęła swojego brzucha. Wayne rozpoznał atak bólu.

– Kurwa – powiedziała Janice.

Wayne otworzył walizkę i przygotował szprycę. Janice wyciągnęła ramię. Wayne znalazł żyłę, przetarł skórę i ręką zrobił opaskę uciskową. Igła i tłok, już.

W jednej sekundzie...

Napięła się i ucichła. Powieki jej zatrzepotały. Jedno ziewnięcie i bezwład.

Wayne zbadał jej tętno. Słabe i równe. Jej ramię nie ważyło prawie nic.

Na stoliku nocnym leżał otwarty „LA Times”. Prezentował fototryptyk: JFK, RFK, doktor King. Wayne złożył gazetę, westchnął i patrzył, jak Janice śpi.

## **Don Crutchfield**

**(Los Angeles, 15.06.1968)**

### *KOBIETY:*

Dwa stadka przeszły koło parkingu. Pierwsza grupa wyglądała na ekspedientki. Miały na sobie ciuchy z godłem Ivy League i zmodyfikowany tapir. Drugą grupę stanowiły czyste hipiski. Nosiły łątane dzinsy, pacyfistyczny szajs i długie proste włosy, które wirowały.

Przyszły i poszły. Najmici im pomachali. Ekspedientki odmachały. Hipiski pokazały im fucka. Najmici zawyli jak wilki.

Parking przy stacji Shella, na rogu Beverly i Hayworth. Cztery dystrybutory i zatoka serwisowa/biuro. Trzej najmici rozwaleni w swoich brykach.

Bobby Gallard miał oldsmobile'a rocketa. Phil Irwin chevy'ego 409. Crutch – pontiaca GTO rocznik '65. On był najmitą nowicjuszem. Miał najlepszą brykę: silnik o pojemności 6,5 l, czterobiegowa skrzynia biegów, rdzawoczerwony lakier.

Bobby i Phil zdążyli się już popołudniowo narąbać wysokooktanową wódką. Crutch wkurwił się na dziewczyny. Rozejrzał się w poszukiwaniu innych przechodniów. Zero – tylko jakieś stare żydówki zapierdzielające do synagogi.

Z powrotem do gazety. Nudy – znowu gadka o Jamesie Rayu i Sirhanie Sirhanie. Chrapnięcie – „Ameryka pogrążona w rozpacz”/„Kryjówka domniemanego zabójcy”. Ray wyglądał na cieniasa. Sirhan wyglądał na abdula. Ej, Ameryko, już ja cię rozruszam w tej rozpacz.

Crutch przerzucił kartki. Trafił na bokserów wagi muszej na Forum i szok – magazyn „Life” oferuje milion dolców za zdjęcia Howarda Hughesa! Przeszła ruda. Crutch jej pomachał. Spojrzała wzgardliwie, jakby na psie gówno. Najmici emitowali bardzo, bardzo złe fale. Byli tandetni i rdzennie chujowi. Wysiadywali na parkingu. Czekali na robotę od szmatławych prywatnych detektywów i prawników od rozwodów. Śledzili zdradzających małżonków, wpadali przez drzwi i robili zdjęcia głupeków w trakcie pieprzenia. Była to robota wysoce ryzykowna, wysoce syfiasta, z potencjalnymi golaskami. Crutch był w tym nowy. Chciał zostać w tej robocie na zawsze.

Gazeta nazywała Howarda Hughesa dzianym pustelnikiem. Crutch miał olśnienie. Mógł się zagłodzić do skóry i kości i wejść przez szyb wentylacyjny. Trzask – jeden polaroid i spadowa.

Parking przysypiał. Bobby Gallard przerzucił gazetę z cipkami i siorbnął smirnoffa. Phil Irwin przetaił swojego chevy'ego giemzową szmatką. Phil śledził i podsłuchiwał dla Freddy'ego Otasha. Freddy O. był artystą wymuszeń i brutalem do wynajęcia. Kiedyś pracował w policji Los Angeles. Stracił licencję prywatnego detektywa za jakiś przekręt ze szprycowaniem koni. Phil był jego ulubionym najmitą/fagasem.

Parking przysypiał. Zero roboty, zero przechodzących cipek, nuda stacji benzynowej.

Było gorąco i wilgotno. Crutch ziewnęła i wylot klimy skierował sobie na jaja. To go trochę orzeźwiło i ożywiło. Żegnaj, znużenie stacji benzynowej.

Miał dwadzieścia trzy lata. Wygnano go z Liceum Hollywood za numery z ukrytą kamerą w damskiej szatni. Jego stary mieszkał w baraku przy Santa Anita. Crutch senior zebrał na ulicy, codziennie stawiał na wyścigach i jadł wyłącznie burito pastrami. Mama Crutch zniknęła 18.06.1955. Miał dziesięć lat. Wstała, zwała i nigdy nie wróciła. Co roku na Boże Narodzenie przysyłała kartkę i pięć dolców, z różnymi znaczkami, zawsze bez adresów zwrotnych. Stworzył własne akta osoby zaginionej. Wypełniły cztery kartony. Zabijał tym czas. Obdzwaniał cały kraj i sprawdzał posterunki policji, szpitale, kostnice. Zaczął poszukiwania w liceum.

Nic – Margaret Woodard Crutchfield jak się zapadła pod ziemię, tak się nie pojawiła na powierzchni.

Wpadła mu ta robota najmity. Tak to się stało:

Trzymał się z kumplem z liceum, Buzzem Duberem. Buzz podzielał jego namiętność do zakradania się. Do soft zakradania się, o takiego:

Hancock Park. Wielkie, ciemne domy. Legowiska panienek z dobrych domów. Puk, puk. Nikogo nie ma w domu? Świetnie.

Wchodzisz niepostrzeżenie, z latareczką, przeczesujesz parę luksusowych mieszkańek. Chodzisz po dziewczęcych sypialniach i wychodzisz z kompletami bielizny.

Zrobił to z Buzzem parę razy. Zrobił to wiele razy sam. Tatą Buzza był Clyde Duber. Clyde był prywatnym detektywem z najwyższej półki. Robił w sprawach rozwodowych i wyciągał gwiazdy z gówna. Wprowadzał dzieciaki z college'u do lewicowych ugrupowań i dzięki nim je szpiegował. Gliny przyłapały Crutch na majtkowym zakradaniu. Dupnęły go za jakąś koronkową czarną bieliznę i kanapkę, którą podkradł z lodówki Sally Compton. Clyde zapłacił za niego kaucję i załatwił wyczyszczenie akt. Wziął go do jeżdżenia i śledzenia. Clyde powiedział, że podglądanie przez okno jest w porządku, ale nie ma mowy o włamach. „Ja ci za podglądanie zapłacę, mały” – tak powiedział.

Parking przysypiał. Bobby Gallard malował sprayem żelazny krzyż na swoim oldsmobile'u. Phil Irwin łyknął kilka pastylek nembutalu i popił burbonem Old Crow. Crutch rozmarzył się o Howardzie Hughesie. Olśnienie: napaść na jego szpanerski penthouse! Wejść na chama!

Zajechał nieoznakowany radiowóz. Parking się ożywił. Crutch dostrzegł czerwoną muchę w kratkę i wyczuł pizzę.

Jak po sznurku – Crutch ruszył za Bobbym i Philem. Scotty Bennett wysiadł z wozu i przywrócił krążenie w nogach. Miał sześć i pół dychy. Ważył sto kilo. Zajmował się rozbojami w policji Los Angeles. Do muchy miał przyszytą osiemnastkę.

Tylne siedzenie było zapchane sześciopakami i pizzą. Bobby i Phil wskoczyli i się uraczyli. Crutch zajrzał do wozu i zerknął na deskę rozdzielczą. Stały wystrój: zdjęcia z miejsca zbrodni, wszystkie przyklejone taśmą i poźółkłe.

Fiksacja Scotty’ego: tamten wielki rabunek. Zima 1964. Sprawa ciągle nierozwiązana. Martwi strażnicy i spaleni bandyci – nadal niezidentyfikowani. Zrabowano worki z gotówką i szmaragdy.

Scotty wskazał na zdjęcia.

– Żebym nie zapomniał.

Crutch przełknął ślinę. Scotty zawsze się czał. Nosił dwie czterdziestki piątki, a na rzemieniu pałkę sprężynową. Bobby i Phil żłopali piwsko i wpierdzielali pizzę. Zrobili z tylnego siedzenia koryto. Crutch wskazał muchę Scotty’ego.

– Ostatnim razem miałeś szesnastkę.

– Dwa czarnuchy obrabowały monopolowy na rogu Siedemdziesiątej Czwartej i Avalon. Akurat się nawinałem na tyłach z pompką remingtona.

Crutch wybuchnął śmiechem.

– Tak jest w raporcie, co? Strzelanina ze skutkiem śmiertelnym podczas pełnienia obowiązków służbowych.

– Właśnie tak. Sześcioma punktami pokonałem najbliższego rywala.

– Co się z nim stało?

– Zastrzeły go dwa czarnuchy.

– Co się stało z nimi?

– Napadli na monopolowy na rogu Normandie i Slauson. Akurat się nawinałem na tyłach z pompką remingtona.

Powietrze śmierdziało dojrzałym serem i piwskim. Scotty zmarszczył nos. Phil kulił się nad swoim żarciem, z nogami na jezdni. Spodnie mu zjechały. Widać mu było rowa. Scotty podciągnął go za pasek do góry.

Phil uniósł się w powietrzu. Phil miał to spojrzenie „Ratuj”, które wywoływał u niego Scotty. Phil dotknął stopami ziemi i stanął na baczność. Bobby przełknął i też stanął na baczność. Scotty puścił oko do Crutch’a.

– Szukam dwóch białych w jasnoniebieskim t-birdzie rocznik sześćdziesiąty drugi z granatowymi błotnikami. Wałą po steak house’ach, rabują gotówkę, biorą klientów na

zakładników i zmuszają kobiety, żeby im obciągały. Byłbym wdzięczny, gdybyście mieli oczy szeroko otwarte.

– Rysopisy? – spytał Crutch.

– Nosili maski. – Scotty się uśmiechnął. – Ofiary płci żeńskiej opisały ich jako wyposażonych normalnie.

– Wyposażonych, tak?

Bobby’emu i Philowi opadły szczęki. Crutch uśmiechnął się znacząco. Scotty chwycił piwo i resztki pizzy i wyrzucił je z wozu. Kawał kiełbasy spadł Scotty’emu na marynarkę. Phil zadrżał i strzepnął mu żarcie z marynarki.

Scotty wsiadł do wozu i odjechał na wschód. Crutch wylampił się na blondynę przy dystrybutorze.

– On myśli, że jest twardy – powiedział Phil – ale ja wiem, że mógłbym dać mu radę.

Parking znowu przysypiał. Bobby’emu wpadła robota wrobieniowa. Jego kochany żydowski prawnik przyjechał i zapodał mu, o co chodzi. Kumulacja, napalony mężuś-kurwa. Klientem jest żona. Wynajmij pokój w hotelu z pokojami na godziny i znajdź mężusia w jego ulubionej spelunce. Nagraj przypadkowe spotkanie. Przynieś mi zdjęcia i film.

Zajechał Buzz Duber. Crutch przedstawił mu sprawę Hughesa. Buzz doznał olśnienia. Powiedział, że zna jednego czarnego karła. Facet odgrywa pigmejów w filmach z dżunglą. Mogliby go wysłać do kryjówki Howarda Hughesa w wózku room service’u.

Zajechał Freddy Otash. Schudł trochę. Pochwalił się tym swoim kijowym hotelem w Las Vegas, co to go kupił. Podrzucił Philowi śledzenie. Phil odjechał, ledwie przytomny.

Crutch i Buzz posnęli od nadmiaru piwa i pizzy. Crutchowi śniła się Dana Lund, w delikatnym świetle dziennym.

Klakson zatrząbił o wiele za głośno. Crutch otworzył oczy. Cholera – ulubiony krętacz Phila, Chick Weiss.

Ze swoim cadillakiem, żydziorskim kajakiem. Z pokręconym fryzem do dupy i odpierdzielony w brytyjski gajer. Ze swoją pojebaną obsesją na punkcie sztuki karaibskiej.

– Mam dla ciebie pedrylską sprawę – powiedział Weiss. – Facet lubi dobrze podwieszonych Filipińczyków, a ja mam mutanta z fiutem dwadzieścia siedem centymetrów. Żona chce rozwodu, i trudno jej się dziwić chyba.

Mężuś miał dymalnię w Ravenswood. Crutch przyniósł rolleiflexa z fleszem. Buzz założył wojskowe buty.

Mutant spotkał się z nimi w holu. Crutch był zawiedziony. Miał straszną ochotę na widowiskowe wtargnięcie. Naradzili się. Crutch powiedział mutantowi, żeby *pronto* zaciągnął tatuśka do wyra. Buzz kazał mu zapewnić odpowiednie oświetlenie. Mutant powiedział, że

weźmie sobie foty fiuta. Obsługiwał małżonków obojga płci. Chciał więcej roboty przy rozwodach. Chciał, żeby rozślawiono jego status dobrze podwieszzonego.

Ustalili czterominutowe odliczanie. Mutant zmył się do apartamentu 311. Crutch przygotował aparat. Buzz odliczał sekundy na stoperze.

10, 9, 8, 7, 6, 5, 4, 3, 2, 1 – już.

Wbiegli po schodach. Pognali korytarzem i znaleźli 311. Buzz otworzył drzwi. Crutch uniósł aparat. Podążyli za miłosnymi odgłosami do drzwi pokoju i pchnęli je.

To była czysta greka. Mutant ruchał tatuśka swoim monstrualnym fiutem. Crutch zwolnił migawkę. Pop pop pop pop – sypialnię zalało oślepiające białe światło. Tatusiek zawodził standardowe pedalskie żale: „Jak mogłeś?!”. Mutant wciągnął spodnie i wyszedł wyjściem awaryjnym. Buzz zobaczył na toalecie paczkę zioła i zwinął ją. „To jest życie” – pomyślał Crutch.

– Musi mieć z metr – powiedział Buzz.

– Jakies trzydzieści centymetrów – poprawił Crutch. – Pamiętaj, Chick Weiss podał nam miarę.

– Możemy go znowu wykorzystać. Wzięłeś jego numer?

– Da się go znaleźć przez Gildię Aktorów Filmowych. Gra pomagiera w jakimś programie.

Biuro Clyde’a Dubera, Beverly Hills. Sękata boazeria, trofea golfowe i czerwona skóra. Fryz na ścianie.

Odnosiło się to do tego wielkiego napadu na wóz pancerny. Clyde się na tym zaciął. Ta sprawa utknęła mu jak gówno w dupie. Za szkłem wisiał poplamiony atramentem banknot. Oprawione zdjęcia spalonych truposzy i rozrzuconych szmaragdów. Jest sierżant Scotty Bennett. Poniewiera dwoma czarnuchami.

Clyde prowadził amatorskie akta sprawy. To był jego projekt. Scotty dogadzał mu bibelotami. Clyde uwielbiał Scotty’ego nagrania z pokoju przesłuchań. Występowały w nich wrzeszczące czarnuchy.

– Freddy Otash kupił jakiś hotel w Vegas.

Clyde nalał potrójną szkocką.

– Freddy to przygłup. Krążą plotki i tylko tyle umiem o tym powiedzieć.

– Powiedz tacie o sprawie Hughesa.

Crutch podrapał się po jajkach.

– Magazyn „Life” oferuje milion baksów za zdjęcie Howarda Hughesa. Myślę, że możemy to zrobić.

Clyde zrobił gest sugerujący walenie konia. Szczeniaki – dopust białego człowieka. Szczeniaccy kierowcy, szczeniacka infiltracja, szczeniackie zasadzki.

Buzz szturchnął Crutch.

– Masz plany na wieczór?



- Myślałem, że trochę pojeżdżę.
- Kurwa, będziesz podglądał Chrissie Lund.
- Kim jest Chrissie Lund? – spytał Clyde.
- Pierwszaczka z USC<sup>1</sup>. Crutch ma pierdolca na jej punkcie.

Clyde upił szkockiej.

– Nie rób niczego, czego ja bym nie zrobił. Jak paragraf czterysta pięćdziesiąt dziewięć, włamanie i wtargnięcie.

Crutch zarumienił się i rozejrzył po ścianach. Zapamiętać: kupić jakąś muchę w kratę i ostrzyć się na rekruta jak Scotty Bennett.

Buzz przygotował sobie whisky z wodą.

– Daj nam jakąś robotę z wabikiem, tato. Wyślij nas do jakichś komuchów.

– Nie ma mowy. Jesteście zbyt zieloni i zbyt porządnie wyglądacie. Żebyście się nadawali do takiej roboty, musielibyście umieć nawijać po komuszemu. Wy byście nie rozpoznali rozruchów społecznych. Znacie się tylko na niedostępnych szparkach dzierlatek.

Buzz wybuchnął śmiechem. Crutch się zarumienił. Zapamiętać: przejrzeć akta i wysledzić obciążanych świrów Scotty’ego.

– Kto zleca te infiltracje?

Clyde kopem odsunął krzesło.

– Dziane prawicowe szajbusy. Sami lekarze i królowie. Doktor Charles S. Toron, król eugeniki. Doktor Fred Hiltz, król nienawistnych broszur, i doktor Wesley Swift, król nazistowskiej biblii.

– Doktor Fred jest dentystą. Pozostali skończyli jakieś uczelnie korespondencyjnie, jak wszyscy asfaltowi kaznodzieje – powiedział Buzz.

– Dentystą pozbawionym dyplomu. Przeginał z kokainą do znieczuleń i zaczął ludziom pierdolić zęby.

Crutch pomyślał o Danie Lund. Zapamiętać: wziąć obiektyw z filtrem zmiękczającym. Buzz zwinął torebeczkę z trawą. Clyde wywrócił oczami: smarkacze.

– To mi coś przypomina. Doktor Fred miał dla nas robotę. Jakaś kobieta ukradła mu pieniądze i uciekła.

Buzz spojrział na Clyde’a. Crutch spojrział na Clyde’a. Spojrzenia obu mówiły JA. Clyde podrzucił monetę. Buzz obstawił reszkę. Moneta spadła. Wyszedł orzeł.

Crutch miał tanią metę w Vivian Apartments. Spelunka bez windy zaraz za Paramount. Mieszkali tam inspicjenci i dyżurni planu. W czasie lunchu epizodystki odpłatnie dawały dupy w wielkim schowku na miotły. Crutch zmieścił całe swoje gówno w dwóch pokojach.

Akta z gównem, gówniany aparat, gówniany samochód i gówniane podsłuchy. Clyde nauczył go inwigilacji. Miał od chuja kabli telefonicznych i przewodów. Wszystkie numery

„Playboya”. Miał „Car Craft” od 1952 roku. Na ścianach zamiast tapet miał czterdzieści jeden playboyowych playmate.

Instalował się tam na noc. Aktualizował notatki o ostatnim miejscu pobytu matki. Boże Narodzenie 1967 – Margaret Woodard Crutchfield pisze z Des Moines. Ślady w rejestrach – zero. Wstecz do 1966 – kartka świąteczna z Dubuque. Totalnie nijakie miasto – sprawdzone wszystkie rejestry, zero.

Crutch się denerwował. Buzz był diabli wiedzą gdzie, nawalony diabli wiedzą czym. Buzz miał taką poważną ciążotę, której jemu brakowało. Buzz nosił fałszywą odznakę policyjną i zmuszał kurwy do obciążania. Nic to. Tak było lepiej.

Robiło się ciepło. Zbierało się na letnią burzę. Crutch poszedł się przejechać. Objechał Hollywood Boulevard i ruszył dalej na Strip. Patrzył na ludzi. Długowłose dziewczyny ożywiały go, a długowłosi chłopcy wkurzali. Szukał birda z 1962 roku i obciążanych bandytów Scotty’ego. Zobaczył dwóch pedałów w birdzie z 61 i nic więcej.

Jechał na wschód do Hancock Park. Wyłączył światła i stanął na rogu Drugiej i Plymouth. Ten wielki hiszpański dom nie dawał mu spokoju.

W oknach się świeciło, na górze i na dole. Zobaczył Chrissie w dresie USC – jedno spojrzenie i zniknęła. Zobaczył Danę, jak w kuchni związuje sobie włosy na karku.

Buzz tego nie kumał. Nikt tego nie kumał. Dlatego nikomu o tym nie mówił. Nie chodziło o Chrissie Lund. Chodziło zawsze o Danę Lund, która miała pięćdziesiąt trzy lata.

# 3

## Dwight Holly (Waszyngton DC, 16.06.1968)

### *CZARNUCHY:*

W restauracji się od nich roilo. Pan Hoover przeliczył ich pobieżnie. Dwight śledził ruchy jego gałek ocznych. Kolorowi kelnerzy, kolorowi lobbyści, kolorowy as bejsbolu. Stary pedał słabował. Siorbał swoją zupę jak parkinson. Stracił na wydajności, mózg ciągle pracował, serce biło na dźwięk słowa NIENAWIŚĆ.

Restauracja Harveya, środek miasta, wielki ruch w porze lunchu. Bardzo modny punkt. Liczne ruchy gałek ocznych.

– Czy Wayne junior zabił Wayne’a seniora? – spytał pan Hoover.

– Tak, proszę pana, zabił.

– Proszę rozwinąć.

Dwight odsunął od siebie talerz.

– Carlos Marcello przekupił policję Las Vegas i koronera hrabstwa Clark. Zatłuczenie na śmierć zakwalifikowano jako atak serca.

Pan Hoover się uśmiechnął.

– Udar uprawdopodobniłby aspekt golfa.

Dwight zapalił papierosa.

– Nie zapytam o dalsze szczegóły, proszę pana. Pochwałę tylko pańskie źródła.

– Kapitan Bob Gilstrap i porucznik Buddy Fritsch dokonali oględzin miejsca zbrodni. Mieli świadomość animozji pomiędzy Tedrowem ojcem a Tedrowem synem, a obaj funkcjonariusze są dłużnikami pana Marcella.

– Pan Marcello to cudowny przyjaciel społeczności stróżów prawa w Nevadzie, proszę pana. Na Boże Narodzenie rozsyła wspaniałe kosze prezentowe.

Pan Hoover się rozjaśnił.

– Naprawdę?

– Tak, proszę pana. Podwójne dna skrywają żetony do kasyna i banknoty studolarowe.

Pan Hoover promieniał.

– Czy wie pan może o udziale juniora w którejś z ostatnich operacji w Memphis?

Dwight mrugnął okiem. Słowa nie pisnę. Pan Hoover ułamał kawałek tosta i przegonił kelnera.

– Pan jest elokwentnym człowiekiem, Dwight. Rozumie pan swoich słuchaczy i gra pan przed nimi niezrównanie.

– Staję na wysokości zadania, panie Hoover. To wszystko.

Czarnuch w gotowości odszedł. Czarnuch kelner podlizywał się bejsboliście. Pan Hoover zrezygnował z docinków, a skupił się na czarnuchach. Miał siedemdziesiąt trzy lata. Cuchnący oddech. Krwawiące skórki. Żył na lekach nasercowych i podskórnych zastrzykach z amfetaminy. Doktor Humorek codziennie aplikował iniekcje.

Klik – wrócił. Klik – skupił się.

– Nasze inne zabójstwa. Te głośniejsze, które mają większe szanse inspirować gadki szmatki.

Dwight zdusił papierosa.

– Ray i Sirhan to psychopaci, proszę pana. Ich zeznania potwierdzają paranoję, a amerykańska opinia publiczna nauczyła się dopatrywać manii wielkości u zabójców. Będą gadki szmatki, ale z czasem zastąpi je powszechna obojętność.

– A co z Tedrowami? Mamy w tym jakiś udział? Upewnij mnie w swój najciemniejszy sposób.

– Śmierć seniora nie jest ani trochę podejrzana – powiedział Dwight. – Owszem, prowadził dla nas operacje klanowe, ale to nigdy nie wyszło na jaw. Owszem, rozpowszechniał broszury nawołujące do nienawiści, ale nigdy nie miał tyle posłuchu, co nasz kumpel od nienawistnych broszur, Fred Hiltz. Owszem, miał przejąć robotę Warda Littela dla Howarda Hughesa, co może dać powód do spekulacji. Owszem, moim zdaniem junior weźmie tę robotę. Nie, moim zdaniem żaden z tych aspektów nie wpłynie w znaczący sposób na ujawnienie naszej roli.

Pan Hoover nadział ostatni kawałek swojego tosta. Ręka mu drżała. Kilku wędrujących między stolikami polityków wybałuszyło na niego oczy.

– Władza. Taki był motyw juniora?

– Znam go całe życie, proszę pana. Myślę, że najlepszym określeniem byłoby: „w pełni uzasadniona nienawiść”.

Asfaltowy kaznodzieja objął polityków. Krążyły rechoty i poklepywanie. Koleś nosił kowbojki i garnitur duchownego. Dwight go rozpoznał. Prowadził telewizyjne akcje dobroczynne na rzecz jakiejś choroby koksów i jakiegoś lewackiego gówna.

– Książę Bobby i Martin Lucyfer King – powiedział pan Hoover – odeszli, zostawiając niepokieszonych ludzi o wątpliwym morale i dostarczając zdrowym psychicznie pożądaną ulgi. Operacja Czarny Królik nie przyniosła rezultatów, na które liczyliśmy, i toksyczne kłęby czarnego nacjonalizmu wyraźnie gęstnieją. Chciałbym uznać Partię Czarnych Panter i Zjednoczonych Niewolników za potencjalne cele programu sabotażowego. Myślę

o Cointelpro<sup>2</sup> w pełnym wymiarze. W Los Angeles działają również dwie mniej znane kliki, które też będą wymagać wnikliwego badania. Proszę zwrócić uwagę na ich drastyczne nazwy: Sojusz Czarnego Plemienia i Front Wyzwolenia Mau Mau.

Dwight dostał gęsiej skórki.

– Mam informatora w LA. Polecę z nią pogadać.

– Nią, Dwight? Pufny informator Biura numer cztery tysiące trzysta sześćdziesiąt jeden?

Dwight się uśmiechnął.

– Tak, proszę pana. Gdybyśmy potrzebowali wtyczki, ona zna każdego obłudnego lewaka w niewoli.

– Wszyscy lewacy powinni znajdować się w niewoli.

– To prawda, proszę pana.

– Zajedź też do Las Vegas. Oszacuj zdrowie psychiczne Wayne’a Tedrowa juniora.

– Dobrze, proszę pana.

– Mau Mau to była afrykańska sekta kanibali bez konkretnych pretensji. Różni pawiany i zjadali własne młode.

– Tak, proszę pana, słyszałem o nich.

– Twoja wiedza mnie nie zaskakuje. Jesteś moim posłusznym zbirem z Yale.

Mieszkał w pokojach hotelowych. Wędrowni agenci mieli służbowe mety w całym kraju. On lubił Statlera w LA i Sheratona w Chicago. Mayflower w DC był podróbą Ritza. Obsługa hotelowa chlała, instalacje syczały, łóżko skrzypiało.

Akta bieżących spraw i bilety na samolot leżały na biurku. Pan Hoover przysłał je w trakcie lunchu. Pantery/Mau Mau/Plemię. Tego chciał Pan Hoover. Jego samolot do LA odlatywał za dwie godziny.

Dwight wypolerował buty, wyczyścił pistolet i popodciągał się na drążku. Gówniane zajęcia koili mu nerwy i pozwalały pić jednego drinka wieczorem. Taki drink wyluzowywał. RFK miał hopla na punkcie Carlosa. To był jego mokry sen. Sirhan Sirhan praktycznie się ślinił. Nigdy wiarygodnie nie zidentyfikował Otasha. Jimmy Ray wpadł na Heathrow. Bieda z ekstradycją się przeciągnie. Jimmy będzie mówił – to było pewne. Otash go urobił. Historia Jimmy’ego wyjdzie na fantazję białego nędzarza.

Pete wytrzyma. Otash wytrzyma. Dojdzie powszechne przekonanie o samotnym świrze. Pan Hoover zbędzie wszelkie pytania odbiegające od tej koncepcji. Jedynym niepewnym elementem był dzieciak.

„Znam go od urodzenia, proszę pana”.

A jego tata i mój tata, i Indiana należały do przeszłości.

Jego tatą był „Tatko” Holly, nowobogacki aktywista i promotor Klanu. Tatko Holly wzbogacił się na wciskaniu klanowego kiczu w złotych dla Klanu latach dwudziestych. Tatko spłodził nieślubnych synów Dwighta i Lyle’a i odesłał Louise Dunn Chalfont do Kentucky.

Dwight i Lyle dorastali w ośrodkach Klanu. Tatko nienawidził Żydów, papistów i czarnuchów i rozumiał, że Klan to chłam.

Tatko doszedł do pozycji Wysoko Postawionych Cyklopów. Tatko sprzedawał klanowe ciuchy na zamówienie, klanowe ciuchy dla dzieci i ekskluzywne ciuszki dla psów. Tatko stał się bogaty. Koniunktura lat dwudziestych umocniła jego pozycję. Scenariusz z gwałtem i samobójstwem nim wstrząsnął. Jego mentor Grand Dragon zgwałcił w pociągu młodą kobietę. Ona się zabiła, wypijając rtęć. O tej historii pisano wszędzie. Wściekła krytyka pozbawiła Klan przychylności. Wspierający Klan politycy byli masowo usuwani. Tatko szukał nowych możliwości i ostro inwestował w akcje. Jego bogactwo rosło aż do Czarnego Czwartku.

Dwight miał wtedy dwanaście lat. Lyle dziewięć. Stracili swój wielki dom w Peru w Indianie i przenieśli się do Pipidowy. Tatko zaczął ich ignorować. Tatko znalazł protegowanego: młodzieńca o nazwisku Wayne Tedrow. Wymyślali plany na szybkie wzbogacenie się i handlowali rozprawami o nienawiści. Tępi Indianowcy kapowali teksty w komiksach i wygwizdali Franklina Dwulicowego Rosenfelda. Wayne Tedrow spłodził syna z miejscową dziewczyną jakoś tak w trzydziestym czwartym. Wayne junior był błyskotliwym dzieckiem z zamiłowaniem do chemii. Dwight od początku dokuczał mu jak młodszemu bratu/synowi.

Tatko Holly kopnął w kalendarz w trzydziestym dziewiątym. Zmogła go marskość wątroby. Wayne senior wychowywał Wayne'a juniora w Peru. Puścił kantem swoją żonę i poślubił tancerkę Janice Lukens. Dwight i Lyle chwyтали się gównianych zajęć i jakoś skończyli college. Dwight poszedł na prawo do Yale. Lyle na prawo do Stanforda. Wayne senior przeprowadził się z rodziną do Nevady i zrobił majątek na nienawiści i nieruchomościach. Dwight wstąpił do marines, dostał przydział i zabijał Japońców na Saipanie. Lyle wstąpił do marynarki wojennej, dostał przydział i zabijał Japońców na okrętach. Dwight wstąpił do FBI w czterdziestym szóstym. Lyle wstąpił do policji w Chicago w czterdziestym siódmym. Utrzymywali kontakt z Tedrowami.

Wayne junior pilnie studiował i przeżywał burzliwą młodość. Służył w 82. Powietrznodesantowej w połowie lat pięćdziesiątych i skończył chemię. Dwight pracował w FBI i coraz lepiej się rozumiał z panem Hooverem. Niemal się wykończył na początku pięćdziesiątego siódmego. Pan Hoover dał mu krótki okres, aby odpoczął. Lyle odszedł z chicagowskiej policji. Pan Hoover dał mu zadanie na pełny etat.

Zbliżył się do Martina Luthera Kinga. Zinfiltruj i skorumpuj Konferencję Przywódców Chrześcijan Południa.

Lyle starał się, jak mógł. Lyle'owi się nie udało. Lyle'owi się nie udało, bo w zasadzie lubił Martina Luthera Kinga i ponieważ Martina Luthera Kinga nie można było powstrzymać.

Wayne junior wstąpił do policji Las Vegas. Dwight przeniósł się do Federalnego Biura do spraw Narkotyków. Pracował w okręgu Nevada Południowa i spotykał się z Wayne'em seniorem. Życie Wayne'a juniora implodowało w Dallas. W wyniku wielkiego polowania na czarnucha. Wayne junior schwytał trzech kunta-kintów, w sprawie których Dwight prowadził śledztwo. Owszem, przejmował się tym dzieciakiem. Ale żadnych ustępstw ze względu na stare przyjaźnie. Lepiej nie wkurzać agenta Dwighta C. Holly'ego.

Ruszył za Wayne'em juniorem. Interweniowali Ward Littell i Pete Bondurant. Wayne junior wywinął się z kunta-kintów. Ward i Pete pociągnęli za sznurki na Dwighta i zawarli słaby rozejm. Dwight został szefem działu śledczego w Biurze Nevada Południowa. Nie zabawił tam długo. Praca go nudziła. Pan Hoover zwabił go z powrotem do FBI.

Lyle zabił się w sierpniu sześćdziesiątego piątego. Było to nieco podejrzanym. Pracował z nim wtedy Ward Littell. Ward rozsiewał ból wszędzie dokoła i czasami pomniejszy ból wyrastał do fatalnego w skutkach. Lyle Dunn Holly, zmarły w wieku czterdziestu pięciu lat. Pijak, hazardzista i babiarz. Uczuciowy dupek, który rozmiął się na drobne.

Doktor King i pan Hoover rozmięli się na jeszcze drobniejsze. Pieprzony niedźwiedź grizzly kontra chihuahua. Doktor King był bezwzględny komuchem. Pan Hoover był bezwzględny konserwatystą. Doktor King z upodobaniem ruchał kobiety. Pan Hoover kolekcjonował antyki i stare fotografie. Historia z radością powitała przybycie doktora Kinga. Historia zatrzasnęła panu Hooverowi drzwi przed nosem. Spreparował Operację Czarny Królik i próbował dosłownie wszystkiego.

Podśluchów, nagrań, włamań, wymuszeń, anonimów. Śledzenia. Oszczerczych artykułów. Insynuacji, przymusu, infiltracji, prowokacji, propagandy, zastraszania. Czarny Królik trwał trzy lata. Najważniejsi związani z nim ludzie mieli przydomki królicze. Doktor King był Czerwonym Królikiem. Dwight był Błękitnym Królikiem. Lyle – Białym Królikiem, do czasu. Czerwony Królik miał pedalskiego doradcę o pseudonimie Różowy Królik. Wayne senior był Królikiem Ojcem. Operacja przypominała klatkę wściekłego królika i zamieniła się w pozbawiony perspektyw totalny rozpiardol. Doktor King kwitł w miarę, jak pan Hoover wiażdł. Doktor King miał tę swoją bambusowo-kwiecistą sztuczkę „Mam marzenie”. Pan Hoover powiedział Dwightowi, że on z kolei ma marzenie, którego w ogóle nie wyraża słowami. Pozostał w sferze marzeń. Błękitny Królik spełnił to marzenie w Memphis. Błękitny Królik oglądał wyniki z tego zamieszki na żywo w telewizji. Błękitny Królik zobaczył małą kolorową dziewczynkę zabita przez zbłąkaną kulę.

Dwight podciągnął się w sumie pięćdziesiąt razy. Cały się spocił, bolały go mięśnie. Wziął prysznic, ubrał się i spakował. Wyjął swój anonimowy zestaw czekowy.

Jeden przekaz pieniężny i jedna koperta. Trzysta dolarów dla pana George'a Diskanta w Nyack w stanie Nowy Jork.

Dwight wypisał czek, zakleił kopertę i starł odciski palców.

Samolot odleciał z Dulles z opóźnieniem. Dwight jadł solone orzeszki i czytał okólniki o czarnych bojownikach.

Czarne Pantery. Chwytliwa nazwa, fajna maskotka. Założone w sześćdziesiątym szóstym. Członkowie – byli więźniowie i niezadowolone czarnuchy. Mnóstwo spotkań, dużo szumu, niewątpliwy wzrost radykalnych nastrojów. Nienawiść do policji. Sławni „bracia” Eldridge Cleaver, Huey Newton i Bobby Seale. Retoryka typu: „Świnie precz!”. Nękanie gliniarzy – bez ofiar śmiertelnych. Strzelanina w Oakland w Kalifornii 28.10.1967 – ofiary śmiertelne.

Huey Newton ranny. Jeden policjant zabity. Śledztwo w toku.

Pantery nienawidziły Zjednoczonych Niewolników. To czarnuchy łamane na głędenie. ZN mieli chwytliwe motto: „Gdziekolwiek jesteś, tam jest ZN”.

Strzelanina ze skutkiem śmiertelnym – 6.04.1968 – dwa dni po Memphis. Znowu Oakland – to centrum nienawiści do białasów. Pantery nazwały to zasadzką. Gliny nazwały to inwigilacją taktyczną. Jedna Pantera została zabita. Eldridge Cleaver został ranny. Przypis: brat Cleaver był karany za gwałt.

Dwight przerzucił kilka kartek. W większości wielkich miast policja miała akta na Pantery i umieściła wśród nich czarnych informatorów. Zbiórki żywności, programy edukacyjne, rebop czarnej kultury. Szybko rosące liczby, prestiż, poparcie pomniejszej gazety.

Instynkt: „Pantery są zbyt znane, żeby działać pełną parą”.

Zeszłego lata Biuro prowadziło głównianą operację Cointelpro. Cel: wywołać tarcia pomiędzy Panterami a ZN. Kilku agentów z San Diego puściło w obieg standardową propagandę. Pantery nazywały ZN debilnymi flakami. ZN nazywało Pantery schabowymi czarnuchami.

Instynkt: „ZN było zbyt znane, by działać pełną parą”.

Notatka do pana Hoovera: nie zwiększać nacisku na Pantery ani ZN. Status quo bieżących operacji. Z czasem oba ugrupowania zdyskredytują się.

Dwight przerzucił kartki. Trafiał na strony o Sojuszu Czarnego Plemienia i Froncie Wyzwolenia Mau Mau. Były to organizacje krzykliwe, dziwaczne i zdecydowanie przestępcze.

Czarnogród LA. Konkurencyjne kampanie promocyjne. Stopniowo rosnąca liczba członków. Oba ugrupowania: „Rzekomo zabiegają o sprzedaż narkotyków w celu finansowania swojej działalności”.

Brak informacji o umieszczeniu informatorów. Nazewnictwo jak z *Amosa i Andy’ego*. „Lord Wysoki Komisarz”, „Minister Propagandy”, „Władca Wszechafryki”. Zebrany wywiad o głównych graczach:

Przygłup czterokrotnie aresztowany za prochy. Pedalski kelner z dwoma wyrokami za napad z bronią w rękę. Zdolny szuler/kapłan voodoo. Oszust karciany z listą zarzutów grubości książki telefonicznej. Gwałciciel działający z pobudek politycznych. Karierowicze,



oportuniści, niedoszli członkowie Czarnych Panter. Błazny o zamięłowaniu do dziwactwa i rzezi.

Dwight dostał gęziej skórki. Dwight szarpał za swój uczelniany pierścień i czytał kolejne kartki.

Kolejne nazwiska, daty i miejsca. Kolejne szczegóły o rozróbach SCP/FWMM. Notatka od sierżanta policji w Los Angeles, Roberta S. Bennetta: – „Jeśli chodzi o napad na furgonetkę opancerzoną i zabójstwa z 24.02.1964, pogłosek o udziale SCP i FWMM nie można potwierdzić”.

Agitacja uliczna. Walki na pięści, narzekania na pijanych kierowców, nękanie Myszkę Miki. Pedalski kelner stręczył drag queenów. Oszust karciany stręczył swoją żonę na pokrycie długów hazardowych. Władca Wszechafryki miał księgarnię z pornografią i rznął kózkę sąsiada.

Jego gęsia skórka przybrała na sile. Znacznie. Nerwy mu się napięły. Wcześniej zamówił swojego jednego wieczornego drinka. No to teraz siadamy wygodnie i zabieramy się za Karen.

Poufny informator Biura nr 4361 – Karen Sifakis. Ur. 1.02.1925, Nowy Jork. Ukończyła Yale, prof. historii, wywrotowiec, kwakierka, lewaczka.

Wziął ze sobą jej akta. Uwielbiał zdjęcia z inwigilacji i portrety z kartoteki. Karen w 1949 na balandze u Paula Robesona. Karen pod Sing Sing – właśnie wykonano wyrok na Rosenberkach. LA, 12.03.1961 – Karen na wiecu antyatomowym. Jego ulubione – Karen modli się spokojnie, kiedy gliniarze z Berkeley pałują wszystkich dokoła niej.

Uczyła historii na Uniwersytecie Kalifornijskim w Santa Barbara. Jej mąż był lewackim prawnikiem w Żydowym Jorku. Dwa tygodnie w miesiącu spędzał na zachodnim wybrzeżu. Nie dymali się od czterech milionów lat. Byli ciągle razem z jakichś niejasnym komusznych powodów i ze względu na dwuletnią córkę. Karen gardziła przemocą. Karen konstruowała bomby, wysadzała pomniki i zawsze pilnowała, żeby nie stała się krzywda żadnemu człowiekowi ani psu. Działała z bezpośrednim przyzwoleniem agenta Dwighta C. Holly’ego.

Coś za coś. Pozwolił jej zniszczyć jingoistyczny posąg. Jej kumpli aktywistów regularnie wyciągał z gówna. Kablowała na czerwonych, którzy przekroczyli jej niski próg tolerancji na krzywdę fizyczną. Teraz, w wieku czterdziestu trzech lat, była znowu w ciąży. To była jakaś robota typu spust do słoika/probówka, wymagająca udziału mężulka. Karen Sifakis – Jezu Kurwa Chryste.

Poznali się w Yale. Była jesień 1948. On był złotodziobem u federalów, ona studentką Smith College/Yale. Dwie godziny rozmawiali w pubie. Obalili flaszkę szkockiej, zjarali paczkę szlągów i mieli niezatarte wrażenia. On rozumiał ją w lot. Ona rozumiała go w lot. Że to było wzajemne, dowiedział się dopiero trzy lata temu.

LA, sierpień 1965. Zamieszki w Watts – szczyt szalonego czarnego gówna. Pan Hoover osłupiał. Zamówił akta na temat wszystkich profesorów college’ów, którzy podpisali

proasfaltową petycję. Dwight miał cały tydzień papierkowej roboty. Znalazł nazwisko Karen. Zdjęcie Karen. Kurwa – to ta wysoka ruda Greczynka z Yale.

Poszukał trochę. Dowiedział się, że Karen napisała pracę doktorską o Klanie w Indianie. Często się w niej pojawiał Walter „Tatko” Holly.

Przeprowadził kilka rozmów. Dowiedział się, że jakieś klanowe błazny z Indiany zlinczowały dziadka Karen, greckiego imigranta. Było to w roku 1922. Tatko Holly prowadził klavernę dwa hrabstwa na południe od miejsca linczu.

Poszukał jeszcze trochę. Wyciągnął akta Karen z Centralnego Archiwum FBI. Usunął dane o jej aresztowaniach za udział w marszach protestacyjnych w dziewięciu miastach. Stanął na głowie, by jej dziadek doczekał się spóźnionej sprawiedliwości.

Jeden z tych facetów od linczu miał neonazistowskiego wnuka. Dwight wysłedził go w więzieniu okręgowym w Ohio. Koleś był niezłym gnojem. Dwight załatwił mu przeniesienie na piętro z samymi czarnuchami. Asfalty zgotowały mu lanie wszech czasów.

Poleciał do LA i zapukał do drzwi Karen. Rozpoznała go po siedemnastu latach. Powiedział jej, co zrobił, że jest synem Tatka Holly’ego. Spytała go, dlaczego to zrobił. Powiedział, że chciał jej dać coś, czego nikt inny dać jej nie mógł.

Zaprosiła go do środka.

Poczynili ustalenia.

Włamał się do jej domu. Przeczytał jej pamiętnik. Czule opisuje swojego kochanka podlizującego się faszystom.

Zawsze mu mówi: „Jesteśmy zbyt ostrożni, by złożyć siebie w ofierze”. On zawsze jej mówi: „Jesteśmy zbyt wysocy i przystojni, by przegrać”. Czasami on wybudza się z koszmarów, a ona tuli go wtedy w ramionach.

Samolot podskoczył. Włączyły się światełka nakazujące zapięcie pasów. Dwight zanotował w aktach:

„SCP i FWMM najpewniejsi. Sprawdzić policyjne akta i listę subskrybentów nienawistnych listów (przesyłki lewicowe, białofobiczne) w poszukiwaniu tropów nt. ewentualnej wtyki (akta Wayne’a seniora/dr Freda Hiltza)”.

Podskoki ustały. Samolot schodził do lądowania. Szeroka połać światła. Jezu, LA pięknie wyglądało.

W sypialni było gorąco. Klimą nawaliła i zrobiło się duszno. Przepocili pościel aż do materaca. Karen nazwała to saunaseksem. Dwight pocałował jej wilgotne włosy, jeszcze bardziej rude w tym błyszczącym stanie.

Mąż wrócił na wschód. Miał nazwisko, ale Dwight nigdy go nie wypowiedział. Dina była w przedszkolu. Mieli trzy godziny.

Karen położyła się na plecach. Była w trzecim miesiącu ciąży. Trochę było widać. W niektórych miejscach odrobinę się wypełniła.

Przeciągnęła się. Chwyciła się wezglowia i wygięła w łuk. Dwight położył dłoń na jej brzuchu i powoli ją opuścił. Wtoczyła się na niego. Położył na niej nogę i przyciągnął blisko.

– Jesteś pewna, że to nie moje?

– Tak. To była cała procedura, a nie odnotowano twojej obecności w pobliżu pojemnika.

Dwight się uśmiechnął.

– To dziewczynka.

– Niekoniecznie.

– Dziewczynki są mniej kłopotliwe. Każdy osobnik płci męskiej, którego byś urodziła, oznaczałoby dla mnie problemy. Do emerytury w kółko bym mu tylko czyścił akta i wyciągał go z więzienia.

Karen zapaliła papierosa.

– Dina wysadzi Mount Rushmore. Już to po niej widać.

– Dina wyjdzie za republikanina. Wiesz, skąd to wiem? Zawsze prosi, żebym jej pokazał odznakę.

– Mój kolega potrzebuje pomocy. Jest teraz prześwietlany przed objęciem posady, a był na czarnej liście od pięćdziesiątego pierwszego do pięćdziesiątego czwartego. Przewodniczący komisji weryfikacyjnej go nienawidzi i nie zawaha się tego wykorzystać przeciwko niemu.

Dwight wybuchnął śmiechem.

– Myślałem, że wszyscy profesorowie college'ów są wspaniałomyślnymi komuchami, że są ponad takie gówna.

– Ja tak, ale oni nie.

– Usunę jego akta albo coś tam przerobię. Powiedz mi, czego potrzebujesz.

Karen wypuściła kółka dymu. Trafiły na zimne powietrze i się rozproszyły. Dwight wziął jej papierosa i zgasił.

– Palenie szkodzi ciężarnym.

– Jednego dziennie i tylko jak jesteśmy razem.

– Potrzebuję pomocy.

– Słucham.

– Pewnie będę prowadził operacje Cointelpro wobec kilku czarnych bojówek. Sam znajdę wtyczkę, ale może będę potrzebował pomocy przy znalezieniu informatora.

Karen pocałowała go w szyję i przesunęła palcem po bliźnie po nożu na ramieniu.

– Dlaczego miałabym ci pomagać w takich rzeczach? Podaj mi powód i wyjaśnij, jak się to ma do naszej umowy.

Dwight przytknął swoją głowę do jej. Ich oczy prawie się zetknęły. Ten dziwny niebieski, cały w ciemne cętki – takie cholernie greckie.

– Bo oni sprzedają prochy i zarabiają na protestach społecznych. Bo to gnoje, które znęcają się nad kobietami. Bo skaptują mnóstwo łatwowiernych czarnych młodzieńców drżących

z podniecenia, żeby zrobić jakieś szalone gówno, które nieodwracalnie zniszczy im życie, a ostateczny zysk społeczny, który wytworzą przez swój udział w tym interesie, sprowadzi się do zera.

Karen go pocałowała.

– Dobra, pomyślę.

– Tym razem mam rację. Możesz mi pomóc i zrobić coś dobrego.

Karen zagryzła wargę. Dwight pocałował ją i przerwał jej zagryzanie. Porozumiewali się telepatycznie. Karen wypowiedziała ich credo.

– Nie będę już komentować lichwiarskiej natury naszego związku, żeby nie wyjść na faszystowską kolaborantkę i nie uciec od ciebie z krzykiem.

Jak na zawołanie, idealnie we właściwym czasie, od razu pocałunek. Bardziej niż kamienna twarz, mniej niż radosna.

Dwight dostał ataku śmiechu. Karen zatkała mu usta. Przygryzł lekko jej dłoń, więc musiała ją zabrać. Wskazała jego ubrania. Z marynarki wypadła mu książeczka czekowa.

– Te anonimowe czeki. Nigdy mi nie powiedziałeś, po co to.

– Mówiłem, że je wysyłam.

– Powiedziałeś mi tylko tyle i nic więcej.

– Ty jesteś taka sama.

– W ten sposób jesteśmy ze sobą bezpieczni.

Ich twarze były blisko siebie. Karen przysunęła się tak blisko, że ich oczy się zamknęły.

– Zrobiłeś coś straszliwie złego. Nie spytam, ale powinieneś wiedzieć, że ja wiem.

Dwight zamknął oczy. Karen je pocałowała.

– Kochasz mnie? – spytał Dwight.

– Pomyślę – powiedziała Karen.

## 4

(Las Vegas, 17.06.1968)

Biuro Szeryfa zamknęło Fremont. Kasyna niskostawkowe opuściły flagi do połowy masztów. Przetoczyła się nijaka kawalkada.

Proszę bardzo: parada ku pamięci Wayne'a Tedrowa seniora.

Południe w Las Vegas, temperatura 42° i rośnie. Ojcowie miasta w kowbojskich kapeluszach i smażeńiogennych garniturach. Pospieszne olśnienie burmistrza. Senior był ważniakiem. Okażmy szacunek.

Wlokła się procesja samochodów. Stojący widzowie skwierczeli i gapili się otępiali od słońca. Kilku pracowników kuchni machało transparentami i buczało. Wayne senior przewodniczył ich związkowi zawodowemu i wyruchał ich, układając się na boku z kierownictwem.

Policja Las Vegas przysłała straż honorową. Wayne stał na platformie z Buddym Fritschem i Bobem Gilstrapem. Buddy był nerwowy. Biło od niego, że musi się napić. Pewnie zobaczył ciało Wayne'a seniora.

Ślimacze tempo. Turyści hasali i machali kubkami z chipsami i piwem. Protestujące czarnuchy przyciągnęły tablice z hasłami przeciwko policji. Podgrupa drwiła z Wayne'a. Usłyszał ciche okrzyki „Zabójca białasów!”.

Sonny Liston doskoczył do platformy. Tępy gnój wrzasnął: „Ali skopał ci dupę!”. Sonny go rzucił. To wywołało śmiechy. Sonny napił się evercleara. Buddy i Bob odsunęli się od niego. Wayne zszedł z platformy.

– Zabiłeś go? – spytał Sonny.

– Tak – odparł Wayne.

– Dobrze. To był rasistowski skurwysyn. Ty też jesteś rasistowskim skurwysynem, ale zabijasz tylko czarnuchów, którzy na to zasłużyli.

Ten jełop znowu krzyknął:

– Ali skopał ci dupę!

Sonny rzucił w niego butelką i pogonił go. Tłum szykował się na ubaw. Caddy kabrio przejechał o centymetr od nich. Na tylnym siedzeniu kłębiły się showgirls. Uśmiechnęły się, pomachały i zmitygowały się – ojej, chyba powinnyśmy być smutne.

Wayne zobaczył Carlosa Marcella po drugiej stronie ulicy. Wymienili uśmiechy i pomachali. Wayne'a popchnięto. Tłum zafalował i wepchnął go na platformę. Ludzie wyglądali na wkurzonych. Wayne zobaczył dlaczego: Dwight Holly przepychał się z wyciągniętą odznaką.

Wayne odszedł w ocienione miejsce. Trochę prywatności. Dwight szybko go znalazł.

– Kondolencje z powodu ojca, ale ja na twoim miejscu też bym go zabił.

– Doceniam, ale wolałbym zamknąć ten temat.

– Spokojnie, synu. Nie powinieneś się wzdragać przed żartami.

– Znamy się nie od dzisiaj. Ty byś powiedział, że to serdeczna znajomość, ja nie.

Dwight zapalił papierosa.

– Powiedz mi, że to wyciszone.

– W sensie, czy mam tak powiedzieć panu Hooverowi?

Dwight wywrócił oczami.

– Nie chwytaj mnie za słówka, Wayne. Powiedz mi, że to wyciszone, a ja przekażę to dalej.

– To wyciszone, Dwight. Powiedz mi, że mamy wyciszone Memphis, i uznajmy, że jesteśmy kwita.

Dwight przysunął się o krok.

– Mamy tam mały przeciek. Zaraz ci o tym opowiem, ale najpierw musisz wysłuchać wykładu.

Wayne cofnął się trochę. Dostrzegł go protestujący i machnął w jego stronę zaciśniętą pięścią. Dwight zaciągnął go za podium.

– Teraz jesteś podjarany. Masz układ z wujkiem Carlosem i może będziesz miał z Hughesem. Byłbym kiepskim przyjacielem, gdybym ci nie powiedział, że powinieneś uważać.

Wayne przysunął się o krok.

– Przyjacielem? Zmusiłeś mnie, kurwa, do Memphis!

Dwight przysunął się bliżej. Uderzył Wayne'em o latarnię i przyszpilił go do niej.

– Wendell Durfee miał swoją cenę, synu. I nie mów mi, że w pewnym stopniu nie chciałeś tej roboty.

Wayne odepchnął Dwighta. Świerzbiące ręce, nie wkurzaj go. Dwight wygładził Wayne'owi marynarkę.

– Chcę być na bieżąco z Carlosem. Dawaj mi coś, co uszczęśliwi starego pedała.

– To nieświeże nowości. Chłopcy chcą sprzedać Hughesowi resztę swoich hoteli i trzymać tam swoich mętów. Hughes chce spokojnego miasta. Ktoś musi przejąć robotę Warda Littella i tym kimś jestem ja.

„Senior był rasistą! Junior jest zabójcą!” – usłyszał Wayne słabe okrzyki.

– Koperta dla Dicka Nixona. Opowiedz mi o tym.

– Skąd...

– Mamy podsłuch w jego mecie w Key Biscayne. Nixon wspomniał o tym Bebe Rebozowi.

Wiatr zdmuchnął chorągiewki z platformy. Okrzyki senior/junior przybierały na sile.

– Chłopcy chcą zbudować kilka kasyn w Ameryce Środkowej albo na Karaibach i chcą, żeby w Departamencie Sprawiedliwości sprawy nie toczyły się za szybko. Chcieliby ułaskawienia dla Jimmy’ego Hoffy od siedemdziesiątego pierwszego. Uważają, że Nixon wygra wybory i będzie uległy.

Dwight kiwnął głową.

– Na razie to kupuję.

– Przeciek? Memphis? Będziesz...

– Staram się namierzyć subskrybentów nienawistnych wydawnictw. Chętnie bym zerknął na listy twojego ojca.

Wayne pokręcił głową.

– Nie. Ja skończyłem z biznesem nienawiści. Pogadaj z Fredem Hiltzem.

– Kurwa, Wayne. Nie proszę cię o Bóg wie co, proszę cię o...

– Przeciek? Memphis? Daj spokój, nie weźmiesz mnie na to.

Dwight sięgnął po papierosa. Paczka była pusta. Rzucił ją w tłum.

– Dziś rano dzwonił do mnie szef agentów specjalnych z St. Louis. W Grapevine Tavern podsłuchano rozmowę.

– Nie nadążam.

– To spelunka wiochmenów. Właścicielem jest jeden z braci Jimmy’ego Raya. Miałem tam podsłuch. Krążyły tam gówniane plotki i Jimmy to kupił. Pięćdziesiąt tysięcy nagrody za Kinga. Otash zwabił Raya tą pogłoską i urobił go.

„Senior – rasista, junior – zabójca, senior – ra...”

– Mów dalej. Ja nie wykonywałem tej części roboty.

– Paru wiecholi znalazło pluskwy. Wykumali, że to sprzęt FBI, i teraz mówią, że zamach nagrało biuro.

Wayne się podrapał.

– To gadanie, Dwight. Plotki i tyle.

– Tak, ale to trochę za blisko Jimmy’ego i tych pojechanych historii, które opowiadał.

– To znaczy?

– To znaczy, że to może ucichnąć, a może nie, a wtedy będziemy musieli coś z tym zrobić.

– My czy ty?

Dwight chwycił go za krawat.

– My, synu. Wendell Durfee nie był za darmo.

Kropłówka się skończyła. Pielęgniarka spała na kanapie. Janice zasnęła, oglądając telewizję.

Wayne sprawdził jej puls. Bił słabo-miarowo. Leciały popołudniowe wiadomości z przyciszonym dźwiękiem. Reporter standardowo kilka razy nawiązał do Kinga/Bobby’ego i płynnie przeszedł do Nixona i Humphreya.

Zbliżające się konwencje: Miami i Chicago. Pewne dwa zielone światła w pierwszej turze. Potencjalne protesty w obu siedzibach. Sondaż Nixon-Humphrey – w tej chwili remis.

Wayne patrzył, jak Cwany Dick i Serdeczny Hubert gimnastykują się i robią miny. Miał na podsłuchu Farlana Browna. Wieści z Grapevine go walnęły. „Gadki” i „Plotki” mogą oznaczać problemy ze świadkami. Dwight chciał zobaczyć listy subskrybentów Wayne’a seniora. Leżały w bunkrze pod Vegas. Senior zawsze nazywał go Chatą Nienawiści. Przechowywał tam całą kupę nienawistnej literatury.

Janice powierciła się i skrzywiła. Wayne podłączył drugą kroplówkę. Nixon i Humphrey gadali ple-ple-ple. Janice otworzyła oczy.

– Cześć – powiedział Wayne.

– To nieładni ludzie. – Wskazała telewizor. – Jeśli dożyję, nie będę wiedziała, na kogo głosować.

– Zawsze się kierowałaś wyglądem. – Wayne się uśmiechnął.

– Tak. Co wyjaśnia mojego pecha do mężczyzn.

Torebka zaczęła się opróżniać. Płyn dotarł do rurki. Wayne pokrętem wyregulował przepływ. Janice zadygotała. Płyn dotarł do ramienia i spowodował lekką eksplozję koloru.

– Dzwonił dzisiaj Buddy Fritsch – powiedziała.

– I?

– I jest przerażony. Mówił, że są jakieś plotki.

Wayne wyłączył telewizor.

– O tamtej nocy?

– Tak.

– I?

– I Buddy powiedział, że jacyś sąsiedzi gadają. Mówią, że widzieli przed domem mężczyznę i kobietę.

Wayne wziął ją za rękę.

– Jesteśmy kryci. Wiesz, kogo znam, i wiesz, jak takie sprawy się załatwia.

Janice pokręciła głową i zabrała rękę. Wyprostowała się trochę. Łóżko się przesunęło. Wayne ścisnął jej ramię, żeby igła nie wypadła.

– Niedługo umrę, ale nie chcę, żeby ludzie wiedzieli, co zrobiłam.

– Kochanie...

– Nie powinniśmy byli tego robić. To było okropne i mściwe. To było złe.

Wayne odkręcił pokrętło. Torebka zmarszczyła się i nakarmiła rurkę. Janice natychmiast odpłynęła.

Zbadał jej puls. Nie był słaby-miarowy.

– Przykro mi z powodu twojego ojca – powiedział Farlan Brown.

– Tak bywa, proszę pana. Serce mu szwankowało i folgował złym nawykom.



– Złym nawykom? Taki porządniczy mormon?

Wayne się uśmiechnął.

– Mormoni piją i ruchają więcej niż reszta świata razem wzięta, co na pewno pan wie z własnego doświadczenia.

Brown klepnął się w kolana. Był wysoki i niby wieśniacko przyjacielski. Okulary w stylu Michaela Caine'a powiększały niedowidzące oczy. Apartament miał urządzone w stylu naśladowującym epokę Tudorów. Grupa Hughesa zajmowała sześć górnych pięter Pustynnej Karczmy. Wielki facet miał penthouse.

– Zabawny pan jest – powiedział Brown.

– Niech pan na mnie patrzy jak na syna mojego ojca. Proszę dać mi pracę, a ja od razu ją wezmę.

Brown zapalił papierosa.

– Niech mi pan powie, dlaczego miałbym panu dawać pracę. Ma pan minutę, żeby mnie przekonać.

– Zmowa – powiedział Wayne.

Brown postukał w zegarek. Wayne podsunął mankiety i pokazał złotego roleksa. Wayne senior nauczył go tej sztuczki.

– Howard Hughes jest ksenofobem z manią wielkości, uzależnionym od narkotyków i transfuzji krwi z witaminami. Pracownicy nazywają go Drakulą. Pan Hughes opiera się na przytomnych ludziach takich jak pan, żeby w jego imieniu układali się ze światem i żeby ułatwiali jego umowy ze skorumpowanymi politykami i fiszami świata przestępczego, którzy rządzą stanem Nevada i zapewne całym krajem. Jestem łącznikiem Carlosa Marcella ze światem biznesu. Jestem zdolnym chemikiem, umiem spreparować substancje, które naćpają Drakulę tak, że nic nie będzie jarzył. Ja będę kurierem pana Marcella w kontaktach z Richardem Nixonem i mam nadzieję, że z jego administracją prezydencką. Drakula przekupuje Nixona za pięć milionów dolarów, a ja spustoszę oszczędności ojca, żeby dorzucić podobną sumę. Dostarczę ją, wraz z piętnastoma milionami pana Marcella, osobiście panu Nixonowi, na konwencji Partii Republikańskiej. Jestem odpowiedzialny za nadzór nad nadchodzącym wielkim projektem pana Marcella i jego kohort przestępczości zorganizowanej, którym jest budowanie urządzonych z przepychem hoteli-kasyn w zaprzyjaźnionych, rządzonych przez dyktatorów republikach bananowych gdzieś na południu, i gwarantuję panu, że Hughes Airways będzie miało wyłączne prawo dowozić tam frajerów. Powinien pan starannie rozważyć moją kandydaturę, ponieważ wie pan, kim jestem, i ponieważ ma pan tyle rozsądku, żeby wiedzieć, że dzięki mnie to pan dobrze na tym wyjdzie.

Brown zerknął na zegarek.

– Pięćdziesiąt trzy sekundy. Zapunktował pan u pana Hughesa, a teraz także u mnie.

– Dlaczego zapunktowałem u pana Hughesa?

– Bo zastrzelił pan filcowanych ćpunów w sześćdziesiątym czwartym i pan Hughes uważa, że nadawałby się pan do odstraszenia kolorowych od jego hoteli.

Wayne powiedział to łagodnie:

– Skończyłem z biznesem nienawiści, proszę pana. Proszę przekazać panu Hughesowi, że nie będę chciał tego robić, i proszę mu powiedzieć, że wymagam spotkania z nim osobiście, zanim pan mnie zatrudni.

Brown powiedział to łagodnie:

– Proszę pana, na to akurat ma pan niewielkie szanse.

Wayne rzucił mu na kolana cztery kapsułki i wyszedł z pokoju.

Dwie godziny.

Poszedł do siebie i się przeciągnął. Wyobraził sobie, jak Drakula wiruje wokół pierścieni Saturna i skacze wokół Jowisza. Może lata albo rozbija samoloty. Może rżnie Kate Hepburn na tylnym parkingu RKO.

Zadzwoił telefon. Wayne odebrał. Brown przerwał jego „Halo”.

– Ma pan robotę. I pan Hughes się z panem spotka.

## 5

(Los Angeles, 18.06.1968)

– Clyde mi mówił, że pan szukasz kobiet.

O – pierwsze słowa Króla Nienawiści. O – od drzwi, bez podania ręki ani prezentacji.

– Tak, proszę pana – powiedział Crutch. – To prawda.

Doktor Fred Hiltz się roześmiał.

– Mówił, że się pan na nie gapi.

Hacjenda nienawiści Hiltza – wielkie hiszpańskie domostwo. Beverly Hills, pierwszorzędny materiał filmowy, od groma żydowskich sąsiadów. Olbrzymi, obniżony salon przystrojony sztuką nienawiści.

Świetne oleje. Zrewidowani mistrzowie. Van Gogh linczujący. Rembrandt – obrazek z komory gazowej. Matisse robi okropności bambusom, Paul Klee opieka Martina Luthera Kinga.

Crutch oblukał ściany. Man Ray namalował Bobby’ego Kennedy’ego na stole w kostnicy. Picasso namalował Lady Bird Johnson robiącą patelnię Anne Frank.

Kurwa...

Crutch zwalczył zawroty głowy.

– Poznałem cipkę w Prime Rib Lawry’ego – powiedział Hiltz. – Nazywała się Gretchen Farr. Błysnęła szparką i już się uzależniłem. Ukradła mi z bunkra czternaście kawalków. Znajdź ją i odzyskaj szmal.

Żydki z diablami rogami pędzła Fredericka Remingtona. Grant Wood – poćwiartowany LBJ.

– Opis? Ostatni adres? Zdjęcie, jeśli pan jakieś ma.

Hiltz szybko wyprowadził Crutch na tyły. Wypad na zbity ryj: *Raus! Mach schnell!*. Przecięli długie korytarze. Ominęli koty i kuwety. Zdjęcia JFK w kostnicy przyklejone taśmą do ścian.

Na podwórku zobaczył posąg ogrodowy. Meks polewał z węża Chrystusa naturalnej wielkości, odzianego w strój klanowy.

– Nie mam zdjęć. Gretchen miała światłowstręt. To wysoka, cycata cipka, odrobinę śniada. Mieszkała w Beverly Hills Hotel, więc posuwałem ją w dobrej wierze. Nasłałem na nią Phila Irwina, ale on się uchlał i mnie olał. Próbowałem nająć Freddy’ego Otasha, ale on już nie zajmuje się ucieczkami.

Meks pryskał na Hitlera i Hermanna Goeringa. Zmywał ptasie gówna i kurz.

– Co jeszcze może mi pan o niej powiedzieć?

– Pan nie słuchasz! Ja nie mam nic. Ja moczyłem fajfusa i to mnie kosztowało czternaście patoli. Pan kumasz? Ja pana najmuję, bo pan wiesz, jak znaleźć ludzi, a ja nie wiem.

Kot wdrapał się na Mussoliniego i zaczął się na ptaszki. Hiltz podprowadził żwawo Crutch do jakichś schodów piwnicznych i zepchnął go w dół. Dotarli do wzmocnionych stałą drzwi. Hiltz je otworzył i puknął włącznik światła. Jarzeniówki rozjaśniły gniazdo nienawiści cztery metry na cztery.

Nienawistna literatura na ścianach. Nienawiść do czarnych, nienawiść do Żydów, nienawiść do katolików, nienawiść do Japońców, nienawiść do Chinoli, nienawiść do Latynosów, nienawiść do komuchów, nienawiść do skurwielskich białych ciemieżców. Nienawistne plakaty ułożone na podłodze. Pudła pełne nazistowskich opasek. Laleczki voodoo: Jackie Kennedy Onassis, papież Paweł, Martin Luther Koks.

Hiltz chwycił plakat. Ogromny niewolnik dźga kulącego się żydowskiego kupca. Niewolnik ma gigantyczne wybrzuszenie w kroczu. Żydek ma szponiaste stopy i szczurzy ogon. Napis głosi: LUDOBÓJSTWO TO ŚWIĘTY OBOWIĄZEK WOBEC ALLAHA!!!!

– Szwarce łykają to gówno. Nie uwierzyłbyś pan, jaki rynek stworzył ten rejwach z czarnymi bojówkami. Mam z tego cały geszeft. To więzienne traktaty czarnuchów, rzekomo pisane przez tych koksów w San Quentin. A wiesz pan, kto je naprawdę pisze? Taki rozmiłowany w asfaltach mosiek, z którym gram w golfa.

Crutch kichnął. Gniazdo nienawiści cuchnęło pleśnią i kocimi szczynami. Znowu zakręciło mu się w głowie.

– Gretchen Farr. Niech mi pan powie, o czym rozmawialiście. Niech mi pan powie, co ona panu o sobie mówiła. Niech mi...

– Myśmy nie gadali, tylko się dymali. Robiliśmy *soixante-neuf* i tworzyliśmy bestię o dwóch tyłkach. Nie marnowaliśmy cennego czasu na dyskusje.

– Proszę pana, może mi pan dać cokolwiek, co mógłbym...

Hiltz ściągnął pokrywę z wielkiego kosza na ubrania. W środku leżało pełno upchanych setek. W sumie musiało być tego koło pół miliona.

– To nieustająca zagadka, ślamazaro. Oskubała mnie tylko na czternaście tysiów. Wiem, bo co wieczór liczę swój szmal. Pan chcesz znać moje zdanie? Gretchen była wyważona. Ukradła mi pinda tyle, żebym nie zauważył.

Crutch zajrzał do kosza. Hiltz chwycił banknot i wsadził mu do kieszeni koszuli.

– Stawiam lunch. Znajdź pan ją, a ja panu zrobię siódme niebo z Brigitte Bardot i Julie Christie. Wierz mi pan, mam takie chody.

Szwarcie, fajfus, szmal, bestia o dwóch tyłkach. Ewentualne siódme niebo. Robota etatowa dla Clyde'a Dubera i Spółki.

Crutch pojechał na parking i pogadał z Philem Irwinem. Phil wykonywał dla Chicka Weissa jakąś robotę rozwodową. Crutch wziął go na bok i zadał standardowe pytania do sprawy

z ucieczką. Phil był niewyraźny w temacie Gretchen Farr. Bez kitu – Phil był niewyraźny codziennie po 10 rano. Tak, doktor Fred go najął. Tak, obdzwonił policję LA i szeryfa i dowiedział się, że na Farr nie ma skargi. Pogawędził z recepcjonistą w Beverly Hills Hotel. Recepcjonista odmówił sprawdzenia księgi gości. Wtedy poszedł w tango. Doktor Fred go wylał.

Crutch zadał najważniejsze pytanie:

– Doktor Fred to Icek?

– Nie – powiedział Phil. – Ale wszystkie jego żony były Żydówkami.

Phil odhaczony. Następny krok: Beverly Hills Hotel.

Crutch tam pojechał i się rozeznał. Machnął fałszywą odznaką pedziowatemu boyowi i zrobił porządne wrażenie. Pedziowaty boy ściągnął pedziowatego recepcjonistę. Pedziowaty recepcjonista spojrział z niedowierzaniem na tandetne ciuchy Crutcha. Crutch powiedział mu, że pracuje dla Clyde'a Dubera. Pedziowaty recepcjonista skumał. Clyde miał klasę i *je ne sais quois*. Dobra, młody, pogadajmy.

Crutch zadał standardowe pytania do poszukiwań. Pedziowaty recepcjonista odpowiedział. Nazywał Gretch Farr niepewną. Wynajęła bungalow nr 21 na trzy tygodnie. Zastanawiał się, gdzie ciągnie kasę. Robiła sztuczki z bogatymi gośćmi, Europejczykami i Latynosami obojga płci. Płaciła gotówką za mieszkanie i co rano za dodatki. Zostawiła polecenie odbierania rozmów od Centrali Bev. To był serwis odbioru wiadomości dla podejrzanych ludzi. Gretch była typową podejrzaną laską.

W tym rzecz. Pedziowaty recepcjonista krokiem posuwistym oddalił się łąsić do jakichś matron z pudłami. Crutch chwycił telefon i zadzwonił do informacji. Centrala Bev: 8814 Fountain, West Hollywood.

Pojechał tam i się rozeznał. Pod adresem znajdowało się pomieszczenie przylegające do apteki z prochami. Wszyscy najmici brali stąd dopalacze.

Zaparkował. Uczesał się. Przypiął podrabianą odznakę do marynarki i wrzucił do buzi kilka gum miętowych. Poćwiczył mruganie à la Scotty Bennett. Zapamiętać: kupić kilka much w kratkę.

Wszedł. Przy prawdziwej centrali pracowała starucha. Ciasno tam było – trzy i pół na cztery metry maks. Crutch wyczuł spray na karaluchy.

Starucha go zauważyła. On ją rozpoznał z opóźnieniem. Ciągutka Bev Shoftel. Legenda LA. W latach trzydziestych grała na fletach wszystkich wielkich gwiazd.

– Odznaka jest fałszywa – powiedziała. – Co rano jem płatki ryżowe, więc znam ją z dołączanych gadżetów.

– Jestem prywatnym detektywem – powiedział Crutch. – Pracuję dla Clyde'a Dubera.

Bev zdjęła słuchawki i poprawiła włosy. Spadło z nich trochę łupieżu.

- Obciągałam Clyde'owi Duberowi, jak ciebie jeszcze nie było na świecie. Obciągałam Buzzowi Duberowi na jego dwunaste urodziny, nie sądzę więc, żebyś dał radę mnie zastraszyć. Crutch zamrugał. Powieka mu drgała nerwowo. Ciągutka Bev krzyknęła triumfalne „Ha!”.
- Odpowiedź brzmi nie. Czegokolwiek chcesz, tylko tyle dostaniesz.
- Gretchen Farr. Słyszałam, że jest niepewna, muszę zerknąć do jej rozmów.
- Niet – powiedziała Bev. – I nawet niech ci przez myśl nie przejdzie, żeby mnie prosić o loda, bo mam sześćdziesiąt trzy lata i wyszłam z branży.
- Mógłbym ci pomóc, mała. Wierz mi, mam taką władzę. Bev znowu krzyknęła.
- Koniec przedstawienia, mały. Ale że mnie ubawiłeś, dam ci coś za friko. Słyszałam, jak Gretchen rozmawiała przez telefon po hiszpańsku. Weszła rozmowa. Bev poprawiła słuchawki.
- Proszę – powiedział Crutch.
- Spadaj – powiedziała Bev.

Obciążanie. Ciągutka Bev obciąża Buzzowi i Clyde'owi. Teraz Buzz przymusza do obciążania. Obciążani złodzieje Scotty'ego.

Tego było za dużo. Crutchowi się zagotowało. Nie mógł się rozeznąć.

Wszedł do prochowej apteki i kupił trochę deksedryny. Popił cztery tabletki kawą. Pojechał do siebie i przejrzał kilka „Playboyów”. Wyszedł na dach i gapił się na opalającą się dziewczynę. Deksedryna uruchomiła wspomnienia. Dana Lund przy basenie, w stroju jednoczęściowym bez ramiączek. Dana jako opiekunka na imprezie liceum.

Dana. Gretchen Farr. Spotkania w hotelu. Gretchen dupczyła się z mężczyznami oraz z kobietami.

Crutch naszło dawne uczucie i chwycił swoje dawne narzędzia.

Apteka była zamknięta. Jak również Centrala Bev. Przejście prowadziło na tylny parking. Chmury zasłaniały księżyc. Boczne drzwi nie wyglądały solidnie.

Crutch wsadził do dziurki od klucza wytrych nr 4. Dwa przekręcenia zwolniły główną zapadkę. Wsadził wytrych nr 6. Obrócił jednocześnie. Zamek się zwolnił. Drzwi się otworzyły.

Wszedł i zamknął drzwi za sobą. Od oparów środka na karaluchy chciało mu się kichać. Wyjął latareczkę i ustawił wąski promień światła. Obok centralki zobaczył szafkę na akta.

Trzy szuflady na szynach. Oznaczone „A–G”, „H–P”, „Q–Z”. Pociągnął za rączki. Wszystkie trzy były zamknięte.

Skoncentrował się na zamku szuflady „A–G”. Wbił wytrych nr 5. Jedno pchnięcie i *trzask*.

„A–G”. Aaronson, Allworth. Trochę pod B, pod C i D. Echert, Ehrlich, Falmouth. Jest, Gretchen Farr.

Crutch trzymał latarkę w zębach i oburącz chwycił teczkę. Była cienka. W środku znalazł jedną kartkę. Przejrzał ją szybko. Rozmowy sprzed trzech tygodni, do końca maja '68.

Żadnych notatek z adresami i informacjami o samej Gretchen. Tylko lista rozmów przychodzących.

Avco Jewelers, Santa Monica – w sumie cztery rozmowy. Sześć rozmów z zagranicznych konsulatów – Panamy, Nikaragui, Dominikany. Że co? Co to ma być? Nieźle się zapowiada.

Imiona trzech mężczyzn: Lew, Al, Chuck. Pełno telefonów z prośbą o oddzwonienie do Gretchen – wszystkie numery z LA.

Du-32758/„Nie poda nazwiska”. Sal/No-52808. On znał nazwisko i ten numer: aktor, kumpel Clyde'a.

Crutch wyjął notes i przepisał wszystko. Spocił się jak na włampie. Opary środka na karaluchy drażniły mu nos. Od pieprzonej latarki bolały go zęby.

Bar Klondike, róg Ósmej i La Brea. Grecki drażal i różowy magnetyt dla zniewieściałych gości.

Crutch zadzwonił do Buzza z budki na zewnątrz. Chodnik był wielkim castingiem dla kowbojów z Kentucky. Crutch sprawdził Du-32758 przez Buzza i kazał mu poszukać w notesie. Buzz przejrzał notes i powiedział do Crutch: „Zero wyników”. Crutch kazał mu zadzwonić do P.C. Bella i sprawdzić lewy numer.

Akcja na chodniku stała się zbyt zmysłowa. Crutch siedział w samochodzie i obserwował drzwi. Lincoln Sala stał na parkingu z tyłu. Sal w zasadzie mieszkał w Klondike. Wyjdzie wcześniej lub później, sam lub z kimś.

Sal Mineo. Płatny informator Clyde'a i Freda Otasha. Dwie nominacje do Oscara. Jeden kłopotliwy pedalski wybryk.

Crutch się zastanowił. Od deksedryny miał odloty. Toho Theatre był kawałek na południe. Przytulone pary stały w kolejce po bilety na debilne kino. Dziewczęta miały długie, proste włosy. Każdy najmniejszy ruch głowy powodował iskry.

Ktoś zastukał palcami w przednią szybę. Crutch zobaczył Sala Minea – przylizane loczki, obcisłe dzinsy. Otworzył drzwi. Sal wszedł. Miał to pełne zachwyty spojrzenie pedalskiego makaroniarza.

Crutch przejechał za róg i zaparkował.

– Mogłeś wejść do środka – powiedział Sal. – Nie musiałeś się tu czaić cały wieczór.

– Nie czaiłem się.

– Zawsze się czaisz.

– Kurde, facet. Czekałem.

– Czaiłeś się.

Crutch się roześmiał.

– Dobra, czaiłem się.

Sal się roześmiał.

– Clyde coś chce, tak? Gdybyś robił coś na własny rachunek, czaiłbyś się pod oknem jakiejś laseczki.

Crutch mocno zacisnął dłonie na kierownicy. Sal podniósł ręce – hej, nie miałem na myśli nic złego.

– Dobra, zacznę jeszcze raz. W czym mógłbym pomóc tobie i Clyde'owi?

– Gretchen Farr. Obrobiła z kasy jednego z klientów Clyde'a, a ja wiem, że ty ją znasz.

Sal zapalił papierosa.

– Pewnie, znam ją. Wiem, że rutynowo dyma na kopy facetów i zmywa się z ich kasą, ale nie wiem, jak po niej do mnie trafiłeś. Jeśli wyjaśnisz mi to przekonująco, powiem ci, co chcesz wiedzieć.

To wydućcie warg, ten uliz Italiańca – Crutch zacisnął dłonie w pięści.

– Sprawdziłem telefony. Dwa tygodnie temu do niej dzwoniłeś.

Sal otworzył okno i wywietrzył w samochodzie. Sal podwinął nogi pod siebie i zrobił cielejące oczy.

– Powiedziałbym, że Gretchen Farr to pseudonim. Nie pytaj mnie, skąd to wiem, po prostu wiem. Nie mam pojęcia, gdzie ją znaleźć, bo nigdy nie mówi ludziom, gdzie mieszka. Jak powiedziałem, dyma mnóstwo facetów, okrada ich albo od nich pożycza kasę i znika. Dzwoniłem do niej, bo ona dzwoniła do mnie. W zasadzie nie rozmawialiśmy. Wcześniej naprowadzałem ją na facetów, ale zwykle chodziła swoją drogą. Jest bardzo, bardzo ostrożna, ta nasza Gretch. Zawsze pilnuje, żeby jej faceci byli z różnych parafii.

Dymanie, pieprzenie, ruchanie...

– Zdjęcia?

Sal pokręcił głową.

– Nie. W życiu nie widziałem dziewczyny, która by tak unikała aparatu.

– Ci faceci. Daj mi jakieś nazwiska.

– Nie. Naprawdę nie mam szczęścia, a Gretch zapłaciła mi za namiary i obiecałem, że jej nie wydam, jak boni dydy.

Crutch walnął dłonią w kierownicę. Crutch walnął dłonią w deskę rozdzielczą. Sal dalej patrzył maślanym wzrokiem i ani mrugnął.

– Lepiej ci, kochanie?

Crutch zacisnął dłonie. Bolały go palce. Sal zawinął włosy na palcu i westchnął.

– Dlaczego myślisz, że Gretchen Farr to pseudo? – spytał Crutch.

– Za bardzo wyglądała na Latynoskę, żeby się nazywać Farr. Już prędzej by się nazywała Spanglo.

– I nie mieszka w LA?

– Nie, tylko przejeżdża, pracuje i jedzie dalej.



– Jakieś powiązania? Znasz kogoś, kto ją zna?

Sal spojrział wzrokiem łani.

– Wydajesz się zrezygnowany, więc coś ci dam. Umawiałem Gretchie z jednym pośrednikiem od nieruchomości, Arniem Moffettem, straszliwym kolesiem, który kiedyś naganiał dla Howarda Hughesa. Kupił mnóstwo starych dymalni Hughesa, więc może Gretchie mieszka w jednej z nich.

Crutch strzelił stawami palców. Głowa go bolała. Nie mógł się rozeznać. Myśli mu się plątały.

– Czekam na ten dzień, skarbie – powiedział Sal.

– Jaki dzień?

– Dzień, kiedy skumasz, że wcale nie jesteś taki twardy.

Te imiona dzwoniących: Al, Lew i Chuck. To mogli być klienci Gretchen. Mogli mu pomóc. Mogli mu podsunąć jakiś trop.

Crutch odkręcił deksę anielskim pyłem i old crowem. Przespał się i przed południem zadzwonił do trzech kolesi. Rzucił nazwisko Gretchen. Nastraszył ich. Umówił się w Carolina Pines – trzy spotkania z klientami w godzinnych odstępach. Dotarł do Pines wcześniej i zajął boks w głębi. Wciągnął naleśniki i kawę i przejaśniło mu się w głowie.

Al przybył o czasie. Był wkurzony. Kurwa, jestem żonaty. Zwabiłeś mnie tu, żeby mnie przemaglować o jakiś potajemny numer. Crutch zasypał Ala pytaniami. Al powiedział mu co następuje:

Poznał Gretch w Trader Vic's. Zaliczyli kilka numerków w ciągu dnia u niej i u niego. Miała metę w Beachwood Canyon. Nie pytaj gdzie, zawsze jechałem tam strasznie nawalony.

Gretchie powiedziała, że ma zasoby. Wspomniała o jakimś interesie import-eksport. Poprosiła go o pięć tysięcy. Zastanowił się nad tym. Prawie odmówił. Coś go odstraszyło.

Czuło się od niej coś podstępnego. Zerknął jej do torebki. Zobaczył cztery różne paszporty. Odmówił kasy.

Paszporty jakich czterech krajów? Jezu, nie wiem. Jakieś znajomości? Mówiła o jakichś ludziach? Stary, myśmy się tylko różnieli.

Crutch zobowiązał się do milczenia i kazał Ałowi odejść. Al odszedł. Przyszedł Lew. Był wkurzony. Fiucie, jestem żonaty. Zwabiłeś mnie tu, żeby mnie przemaglować o jakiś potajemny numer. Crutch zasypał Lew pytaniami. Lew powiedział, co następuje:

Poznał Gretchen w Stat's Char-Broil. Zgadali się. Posuwał ją w hotelu Miramar i w jakiejś dziupli przy Beachwood Canyon. Wyłudziła od niego pięć tysięcy. Zmyła się. Próbował znaleźć tę metę w Canyon. Nie udało mu się. Był zalany w trupa za każdym razem, kiedy tam jechał. Nie mógł znaleźć tej cholernej mety.

Jacyś znajomi? Paszporty? Tematy rozmów? Facet, ty nie kumasz, myśmy w zasadzie nie gadali.

Crutch zobowiązał się do milczenia i kazał Lew odejść. Lew odszedł. Pojawił się Chuck. Był wkurzony. Ty ćwoku, jestem żonaty. Zwabiłeś mnie tu, żeby mnie przemaglować o jakiś potajemny numer. Crutch zasypał Chucka pytaniami. Chuck powiedział, co następuje:

Poznał Gretchie w Westward Ho Steak House. Puknął ją w domu milę na wschód od Beachwood Canyon. Wynajmowała go. Na meblach były nalepki z cenami – powinienem był się domyślić.

Pożyczył jej pięć tysiaków. Uciekła mu. Dzwonił do tej Centrali Bev i próbował ją znaleźć. Stara Bev milczała jak grób. Kazała mu spadać. Następnego dnia dostał pocztą prezent.

Zdjęcie zrobione polaroidem: Chuck i Gretchen Farr się dymają. Chuck skumał: odpuść sobie albo dostanie to twoja *frau*.

Chuck odpuścił. Chuck głównie wiedział o paszportach i znajomych. O czym rozmawialiście. Stary, myśmy się tylko ruchali.

Crutch zobowiązał się do milczenia i kazał Chuckowi odejść. Crutch poprosił kelnerkę o ołówek i papier. Przyniosła je. Crutch narysował kilka razy Gretchen Farr.

Klienci dali mu nieco inne opisy. Angielka z latynoską krwią? Jasne, może, może nie. Bev słyszała, jak mówiła po hiszpańsku. Odbierała rozmowy z trzech konsulatów: Panamy, Nikaragui i Dominikany. Kraje latynoskie. Jest szalona, ciemnowłosa, blada, kiedy pracuje po ciemku, rysuj, rysuj.

Narysował Gretchen sześć razy. Z różnymi fryzurami, uśmiechniętą i skrzywioną. Czuł, że kieruje nim jakiś szalony duch. Złamał mu się ołówek. Zatkanęło go i wkurwiło, kiedy zobaczył, do czego doszedł.

Narysował Gretchen Farr jako Danę Lund, sześć razy. Gretchen była Daną zrobioną na ciemno.

Avco Jewelers znajdowało się przy plaży. Na wystawie leżały eleganckie zegarki na aksamitnych poduszkach. Crutch schował się pod pasiastą markizą. Był pokrzepiony. Jechał na tłustych plackach i resztkach prochów.

Wszedł. Za ladą stał jakiś maruda, coś tam marudził z perłami. Przyjrzał się Crutchowi. Granatowy blezer i szare spodnie – dobra, damy radę.

– Słucham pana?

– Mam kilka pytań, gdyby był pan tak miły.

– Oczywiście. Czy ma pan na myśli coś konkretnego?

– Coś – zaskoczmy go. – Gretchen Farr – rzucił prosto z mostu.

Maruda pomarudził jeszcze z perłami.

– A to się tyczy...?

– To dochodzenie.

– Tyle rozumiem, ale wydaje się pan zbyt młody jak na policyjnego detektywa.

– Jestem prywatnym detektywem.

– Wątpię, ale rozstrzygnę tę wątpliwość na pańską korzyść.

Crutch zrobił się drażliwy.

– Słuchaj pan, ktoś dzwonił na jej centralę z pańskiego numeru. Ja tylko próbuję...

Rozbrzmiał dzwonek u wejścia. Tanecznym krokiem weszła do środka starsza pani tuląca do siebie chihuahua. Emanowała gorącą nadzieją na nowe perły.

– Panna Farr – wyszeptał maruda – przyszła tu jakieś dwa tygodnie temu, pod moją nieobecność. Zostawiła dla mnie wiadomość, prośbę, żebym zadzwonił, co uczyniłem. Odbyliśmy rozmowę. Chciała porady co do pocięcia pewnej liczby cennych szmaragdów, które posiadała. Spytałem ją o pochodzenie kamieni. Nie była w stanie udzielić mi odpowiedzi, co uznałem za osobliwe.

Starsza pani odstawiła pieska. Chihuahua spadł na ziemię, ujadając. Maruda wyszedł zza kontuaru i omdlał z zachwytu.

Buzz nazywał robotę dla Hiltza sprawą. Crutch myślał o niej „moja sprawa”. Doktor Fred miał szmal, by rozruszać etatową robotę dla Clyde’a. *Cherchez la femme* – Król Nienawiści miał z Gretchie dużo do pogadania. Buzz zadzwonił do P.C. Bell i przekupił jakiegoś pracusia, żeby namierzyć ten lewy numer. Na razie bez skutku. Buzz wykorzystał policyjne kontakty Clyde’a, żeby znaleźć informacje o *la belle* Farr. Na razie bez skutku. Arnie Moffett był ich jedyną wskazówką. Buzz nazwał ją gorącą. Crutch nazwał ją petardą.

Stali na dachu Vivian i rozpracowywali to wszystko. Zmierzchało. Było gorąco. Resztki słońca rozmazywały niebo w zieleń. Buzz jarał skręta i miał słowotok, głównie o brykach i dupach. Crutch grzebał przy teleskopie.

Zobaczył w Paramount zgrabne tancerki. Zobaczył Lonniego Ecklunda pracującego nad mercem z 53. Zobaczył kilku pijaków wytaczających się z Nickodell. Zobaczył, jak Sandy Danner ukradkiem pali papierosa na tylnej werandzie matki. Lonnie/Sandy/Buzz/Crutch – Liceum Hollywood 1962.

Dana Lund była poza zasięgiem. Crutch obrócił teleskop na zachód. Zobaczył Barb Cathcart grillującą hot dogi. Miała na sobie farbowaną nierównomiernie koszulkę i pacyfkę. Widać było piegowaty dekolt. Barb śpiewała z grupą o nazwie The Loveseekers. Przegrywali każdą Bitwę Kapel, w której brali udział. Barb pokazała mu cipę na balu w liceum wiosną 1958. Zmieniło się wtedy jego życie. Brat Barb był męską dziwką. Podobno miał fiuta o długości 35 centymetrów.

Szmaragdy, garsoniery, klienci, pieprzenie...

– Jesteś większym świrem niż ja – powiedział Buzz.

– Przyciśnijmy Arniego – powiedział Crutch.

Spid dawał ikrę. Cztery deksedryny, dwa anielskie pyły i jeden głębszy Jima Beama. Odlecieli. Crutch czuł, jak jego źrenice się rozszerzają.

Nieruchomość Moffetta to była dziupla. Zaraz obok delikatesów Mamy Gordon, „Dom Żydowskiego Bohatera”. Drzwi były otwarte. Światła włączone. Przy jednym biurku rozwał się chudy koleś. Na czerwonej koszuli z krótkim rękawem miał naszywkę „Arnie”.

Był zajęty. Wgapił się w obrotowe lustro i wyciskał sobie wągry. Crutch odchrząknął. Buzz odchrząknął. Arnie się nie poruszył.

– Hm, proszę pana? – powiedział Buzz. Crutch go uciszył.

– Studenciaki, tak? – odezwał się Arnie. – Chcecie wynająć na imprezę jedną z moich dziupli i zwabić tam jakieś cipki.

Pomieszczenie się zakreśliło. Zamigotały światła.

– Jesteśmy prywatnymi detektywami – powiedział Crutch.

Arnie wstał. Arnie chwycił się za krocze i powiedział:

– Tu sobie możecie pośledzić.

Crutch zobaczył Czerwień. Czerwony pokój, czerwone światła, czerwony świat. Kopnął Arniego w jaja. Ten zgiął się wpół. Walnął go w kark. Rzucił go twarzą na podłogę. Arniemu trzasnął nos. Rozprysła się krew. Arnie klapnął i sięgnął po telefon. Crutch wyciągnął kabel z gniazdka i rzucił jebanym telefonem przez pokój.

Buzz dygotał. Jego usta wyrabiały śmieszne rzeczy. Crutch zobaczył plamę moczu na jego spodniach i wyczuł gównno w jego gaciach.

Arnie młócił powietrze. Krew mu się lała. Crutch postawił stopę na jego szyi i uspokoił go.

– Gretchen Farr – powiedział.

Arnie zabalgotał. Buzz pobiegł do kibla, żeby się wyrzygać. Crutch rzucił chusteczkę. Arnie przetoczył się na plecy, zakrył nos i zatamował krwotok. Crutch wyciągnął piersiówkę. Arnie dał znak, żeby spokojnie i przechylił głowę. Crutch dał mu kilka łyżek. Jim Beam, stuprocentowy.

Arnie wciągnął powietrze, dyszał i kaszłał. Arnie odgrzebał umiejętności interpersonalne.

– Ty gnoju pierdolony – powiedział.

Crutch przykucnął. Starał się nie upaść krwią. Cały był spięty, a pokój skakał i wirował.

– Gretchen Farr.

– To komuszka. Taka lewacka przejezdna, ma więcej nazwisk niż połowa świata.

– Mów dalej.

– Słyszała, że kombinuję cipy dla Howarda Hughesa.

– Mów dalej – powiedział Crutch. Arnie dał mu znak, żeby spokojnie. Crutch dał mu trzy łyki. Arnie wciągnął bourbon doprawiony krwią i odetchnął.

– Wynajęła jedną z moich met. Hollywood Hills, mała dziura, dwa tygodnie.

– Mów dalej.

– To obrzydliwe speluny. Zestaw pornosów, popijawy, wynajmy krótkoterminowe.

– Mów dalej. Im szybciej mi powiesz, tym szybciej pójdę.

Krew przeciekła przez chusteczkę. Arnie ją rzucił i wytarł krew w spodnie. Podszedł Buzz, zapinając rozporek. Wyglądał psychodelicznie zielono.

– Dawaj, Arnie – powiedział Crutch.

– Co dawać? To komuszka z jakimś pojebanym planem.

– Arnie...

– Dobra, dobra. Wyciągnęła ze mnie informacje o organizacji Howarda Hughesa. Powiedziała, że chce się dostać do kolesia o nazwisku Farlan Brown. Powiedziałem, że go znam. To taki piździelec, który zgrywa mormona przed Hughesem. Kiedy się pojawia w LA, zawsze przychodzi do Dale's Secret Harbor.

Jest: Hughes, Gretchie, szmaragdy i ten milioner...

– Klucze, Arnie. Do domu, który wynajęła Gretchen, i do wszystkich twoich dziupli.

Arnie kiwnął głową i wstał. Crutch pomógł mu utrzymać równowagę. Arnie kiwał się chwilę. Crutch zaparł się stopami i się ustabilizował. Jego Czerwony Świat wirował i się kiwał.

Buzz się przebrał i pojechał do Dale's Secret Harbor. Crutch dalej się kiwał. Nagle zapragnął pogadać z Philem Irwinem i sprawdzić rejestr praw jazdy. Zatrzymał się przy budce telefonicznej i zadzwonił do wydziału komunikacji. Podał nazwisko Clyde'a Dubera i zbliżone dane Gretchie. Zero – tylko jedna osiemdziesięciodwuletnia Gretchen Farr aż w Visalii. Zadzwonił do Dale's Secret Harbor i wywołał Buzza. Buzz zameldował: tak, rozpytał. Dowiedział się, że Farlan Brown jest fiszą od Hughesa. Głównie zajmuje się Hughes Airways. Było późno. Crutch przejechał obok parkingu. Czterydziesiątka Phila nie było. Crutch się zastanowił. Jego skręt przeszedł w napięte nerwy i ziewanie. Sprawdził w delikatesach Cantera, Linny i Arta – Phil zawsze żarł późną nocą z żydowskim prawnikiem Chickiem Weissem.

Trzy punkty, zero Phila. Pojechał do Tommy Tucker's Playroom, do Washington i La Brea. Phil lubił czarne. Uwielbiał kolorowe cipki. Playroom wychodził na asfaltowy burdel. Phil mógł tam być.

Owszem, był. Przy tylnym wejściu stał jego samochód. Zaparkowany. Kołysał się. Na tylnym siedzeniu widać było jego białą dupę. I szeroko rozstawione tłuste, ciemne nogi.

To trwało i trwało. Crutch zaparkował i się rozejrzał. Phil i czarna zapodali ścieżkę dźwiękową „Och, skarbie”. Crutch zatkał sobie uszy. Czarna wysiadła z samochodu. Miała afro i ważyła ze sto kilo. Spokojnym krokiem wróciła do Playroom. Phil wypadł z auta. Wstał i przyjrzał się GTO Crutch. Ej, znam ten wóz.

Crutch wysiadł i się przeciągnął. Phil podszedł chwiejnym krokiem. Jego dres Dodgersów był w totalnym nieładzie.

– Śledziłeś mnie?

– No, szukałem.

– O, kurwa, pierwszej w nocy?

– Daj spokój. My nie mamy harmonogramu.

Phil zapalił papierosa. Musiał użyć czterech zapalek. Cuchnął perfumami czarnej laski.

– Mamy robotę, co? Mamy jakąś robotę i przyszedłeś po mnie.

Crutch pokręcił głową.

– Nie, to tylko ponowne przesłuchanie. Chciałem, żebyś opowiedział mi znowu o Gretchen Farr.

Phil wypuścił poskręcane kółko dymu.

– Dobra, dwadzieścia dolców.

– Dwadzieścia dolców?

– Właśnie. Wyruchałem doktora Freda na robocie i napiję się za dwadzieścia dolców.

Crutch wyciągnął zwitek i wyjął dwie dziesiątki. Phil rzucił papierosa na oldsmobile'a z 1964. Pomazał murzyński różowy lakier.

– Dobra, więc wypełniłem kilka raportów „brak tropów” dla doktora Freda, głównie dlatego, że nie uśmiechało mi się bieganie za tą podejrzaną Gretchen diabli wiedzą gdzie i dlatego, że ktoś mi zapłacił za odpuszczenie.

– Kto? Kto ci zapłacił?

– To była transakcja gotówkowa. Anonim. Kurier przywiózł mi kasę, a ja odesłałem nadawcy materiały. Kumasz, to było Hughes Tools Company. Pomyślałem, Jezu, to dopiero interesujące; potem przestałem się interesować i się uchlałem.

Znowu Hughes. Człowiek Hughesa Farlan Brown. Czerwony Świat znowu się zakołysała.

Phil ziewnął.

– Wszystko z tamtego czasu mi się myli, ale mam poczucie, że naprawdę widziałem Gretchen Farr, gdzieś w Hollywood Hills. Była taką starszą laską z blizną po nożu na prawym ramieniu. Widziałem też cometa z sześćdziesiątego szóstego, może białego... i część tablicy... ADF-dwa... Kurwa, co ja tam wiem? Byłem napruty.

Wydział Komunikacji w Hollywood prowadził informację całodobową. Gliny latały i sprawdzały akta w try miga. Crutch rzucił dyżurnemu dwadzieścia dolców i nazwisko Clyde'a Dubera. Facet wpuścił go do archiwum.

Miał rocznik i model, i część numeru rejestracyjnego. To oznaczało niełatwe poszukiwania. Phil był nałogowym pijakiem. Jego pamięć budziła wątpliwości. Comet nie musiał być zarejestrowany w Kalifornii. Karty rejestracyjne cisnęły się w wielkich pudłach. Oznaczono je według hrabstwa pochodzenia i ułożono nazwiskami rejestrujących. Poczynając od hrabstwa Los Angeles, F jak Farr, do dzieła.

Crutch ściągnął pudła na podłogę. Całą noc wyciągał karty. Szedł hrabstwami po kolei. Zaczynał od F jak Farr i szedł w tył i w przód. Gretch pewnie używała fałszywych nazwisk. Farr mogło być nazwiskiem szesnastym albo czterdziestym drugim. Resztki prochów ulotniły

się z jego organizmu. Czuł się jak jeden wielki ból i ziewnięcie. Pajęczyny poprzyklejały mu się do rąk. Pleśń przykleiła się do głowy.

Przez okno zobaczył świt. Doszedł do hrabstwa Kern. Żadnego F jak Farr. Sprawdźmy pod G i H. Doszedł do wynajmu samochodów Hertz, rozproszonego na biura w całym stanie. Trafił.

Biały comet rocznik '66. ADF 212. Zarejestrowany w hrabstwie Kern, wysłany do hrabstwa Los Angeles. Wynajęty w biurze na rogu Sunset i Vermont.

Crutch wyciągnął kartę i wybiegł na zewnątrz do budki. Zadzwoił pod numer Hertz. Przedstawił się jako sierżant Robert S. Bennett z policji Los Angeles. Głupek u Hertz to kupił. Scotty/Crutch zapodał gadkę o comeście 66 i Gretchen Farr.

– Co mi pan może powiedzieć na ten temat?

Głupek szurał papierami. Nie znalazł Gretchen Farr – nic dziwnego.

– Kto miał ostatnio wóz i kto ma go teraz? – spytał Scotty/Crutch.

Głupek powiedział, że comet ma wrócić dzisiaj o dwudziestej drugiej. Po dwóch tygodniach wynajmu. Wynajmujący: kobieta o nazwisku Celia Reyes. Adres miejscowy: Beverly Hills Hotel. Prawo jazdy z Dominikany. Szampańska Dominikana, hot spot Karaibów.

Crutch zaparkował pod Hacjendą Nienawiści. Wrzaskliwa opera ryczała na podwórku. Ruszył podjazdem. Brama nie była zamknięta na klucz. Ptaki gnieździły się na posągach dyktatorów. Muzyka dobiegała z drzwi do schronu.

Podszedł i pokonał kilka stopni. Celowo zrobił hałas. Doktor Fred przy biurku kreślarskim rysował komiks. Robił tego szalonego smolucha z głową jak arbuz.

Doktor Fred miał na sobie szatę Klanu i sandały. Luger na pasku marszczył mu prześcieradło. Muzyka ogłuszała.

Zobaczył Crutcha. Wyłączył arię w pół krzyku. Szybko narysował lugera i zrobił jakiś numer z uzbrojonym bandytą.

– Ma pan brązowe oczy. Jest pan Żydem?

– Pan też ma brązowe oczy.

– Owszem, ale ja wiem, że nie jestem Żydem.

Crutch potarł uszy – krzyk jeszcze w nich rozbrzmiewał.

– Ma pan krew na spodniach – powiedział doktor Fred.

– To krew z pańskiego zlecenia.

– Strasznie chce mi pan coś powiedzieć. Chce pan znać moje zdanie? Myślę, że czuje pan zapach pieniędzy.

Czuł zapach kryjówki: stęchlizna, pleśń, na pewno pieniądze.

– Gretchen, Arnie Moffett i Farlan Brown. Niech mi pan powie to, czego mi pan nie powiedział.

– Dlaczego miałbym to robić, ślamazaro? Wie pan, co to ślamazara? To samo co nieudacznik.

– Próbuję panu pomóc. Jestem tylko...

– Dzieciakiem. Rzykantem, który wpadł w jakieś gówno z Clyde'em Duberem. I teraz wpadł pan w gówno ze mną. Clyde płaci panu sześć dolarów za godzinę, ale ja się z panem podzielę całym milionem.

Na schodkach przysiadła wiewiórka. Doktor Fred wymierzył z lugera i wystrzelił. Strzał wywołał grom dźwiękowy w schronie. Wiewiórka zniknęła. Doktor Fred podrzucił łuskę.

– Nie sądziłem, że mnie okradnie. Pizda to jedno, a złodziejka to drugie.

Crutch potarł uszy.

– To nie wszystko.

– Dlaczego pan to mówi? Pan jesteś ślamazara. Phil Irwin bez wody.

– Niech mi pan nie pieprzy. Poskładałem do kupy kilka nazwisk i one wszystkie prowadzą w jedno miejsce.

– Drakula – powiedział doktor Fred.

Że co? Resztki gromu dzwoniły mu w uszach.

Doktor Fred wsadził lugera do kabury.

– Więc powziąłem podejrzenia względem Gretchen. Więc przeszukałem jej torebkę i znalazłem numer Arniego Moffetta. Więc zadzwoniłem do Arniego. A Arnie był giętki. Więc mu zapłaciłem za wiadomości o Gretchie, a on mi powiedział, że Gretchen chciała się dostać do ważniaka Howarda Hughesa, Farlana Browna.

– I? – spytał Crutch. Resztki świergotu po wystrzale zgasły.

– Więc ja chciałem się zbliżyć do Hughesa. Mamy tę samą wrażliwość na tematy rasowe, i ja mam plan oczyszczenia, który on może sfinansować. Miałem rywala, który nazywał się Wayne Tedrow senior. Pomiędzy siebie mieliśmy wpierdolony ten cały biznes nienawiści. On właśnie umarł, a jego tępy dzieciak Wayne junior może być nowym frontmenem Drakuli. Chcę położyć łapy na kryjówce poczty nienawiści seniora i dostać się do Drakuli i myślę, że ten mormoński dupek Farlan Brown jest kluczem. Jestem zbyt kontrowersyjny, żeby zrobić podejście, ale taki nieudacznik jak pan mógłby się tam przemknąć niezauważenie. Magazyn „Life” oferuje milion dolców za zdjęcie Hughesa, a taki oportunistą jak pan mógłby się do niego dostać.

Przechył, skręć, obrót i krew na jego spodniach.

– Dobrze, proszę pana – powiedział Crutch.



## 6

(Las Vegas, 20.06.1968)

Kolejny pokój hotelowy. Kolejny posiłek podany przez narąbany personel.

Pan Hoover polecił mu przysiąc w Vegas. Nie dawała mu spokoju śmierć Wayne'a Seniora. Chciał, żeby Wayne Junior był potulny i na usługi. Stąd ta główniana przerwa w podróży. Stąd pobyt na policji w Las Vegas. Stąd zmiętolona sałatka i straszny stek.

Dwight odsunął talerz. Posiłek go nadwerężył. Spowolnił go, osłabił strzał energii, który wcześniej zaczerpnął z nikotyny i kawy. Gwiazdny Pył należał do chłopaków z Chicago. FBI było rzekomo antymafijne. I tak trzymało tu apartament. Pan Hoover nie miał nic do przestępczości zorganizowanej. To była *bête noire* wyłącznie Bobby'ego K. Pan Hoover nienawidził komuchów, czarnuchów i lewackich natrętów. Pan Hoover zapewne uwielbiał zmiętolone sałatki i straszne steki.

Pieprzony Gwiazdny Pył. Cztery tysiące automatów i luksusowe apartamenty. Chłopcy z Chicago nie mogli się doczekać podrzucenia tej speluny Howardowi Hughesowi. Hrabia Drakula nie mógł się doczekać jej zakupu. Chłopcy oskubią Hrabiego do cna.

A Wayne Tedrow junior ułatwia to. Wayne rżnie swoją umierającą macochę. Zabili Wayne'a seniora. Dwight i senior znali się bardzo, bardzo długo. Dwight kręcił z juniora niezłą bekę. Teraz miał spojrzeć na niego jak na gościa, który popełnił morderstwo pierwszego stopnia.

Totalny rozpierzdol.

Na zewnątrz było 45 stopni. Wentylacja wiała lodem. Dwight poczuł się jakiś taki uwięziony w tym hotelu. Zaczął się przechadzać po apartamencie.

Ciągle wychodziło jakieś gówno. Buddy Fritsch był zbyt nerwowy. Szef agentów specjalnych z Vegas powiedział, że plotki junior-zabił-seniora kalają pustynne powietrze. Pan Hoover gonił w piętkę. Pan Hoover wciąż jednak panował. Sirhan Sirhan toczył pianę z ust w LA. Jimmy Ray toczył pianę z ust i walczył z ekstradycją. Kwestia Grapevine Tavern się rozrastała. Widział dzisiaj rano dalekopis BAT, federalnego Biura ds. Alkoholu, Tytoniu, Broni Palnej oraz Materiałów Wybuchowych. Pan Hoover przeteleksował go zdenerwowany. BAT mogło wziąć Grapevine pod obserwację. Stała klientela przemycała narkotyki i broń. Międzyagencyjny ból. Podśluch w Grapevine przyniósł odwrotny skutek i zainspirował gadki o spisku. Większość gadek o spisku była nieistotna. Ta mogła nie być. Może należało interweniować. Interwencja kłóciłaby się z obecnością BAT.

Bliskość. Gadki szmatki Jimmy'ego Raya. Gadki szmatki w Grapevine. Nieprzypadkowe gadki szmatki – brat Jimmy'ego Raya był współwłaścicielem przybytku.

Totalny rozpierdol.

Nerwy miał w strzępach. Spał czujnie. Memphis budziło go co noc o trzeciej. Ruch aut odbierał jak wystrzały. Wszelki ból zastałych stawów odbierał, jakby ktoś go trafił.

Dwight podszedł do okna sypialni. W pokojach hotelowych zbierało mu się na tęsknotę za Karen. Kilka razy włamywał się do jej domu. Chciał tam być pod jej nieobecność. Instynktownie pragnął dowodu, że ona nie ma innych kochanków. Znalazł spokój, którego szukał, i uznał, że ma dowód. Ona raz włamała się do jego pokoju w DC. Zauważył trochę śladów, poszukał odcisków palców i znalazł dwa należące do Karen Sifakis. Ona zobaczyła jego anonimową książeczkę czekową. Przeczytała jego dziennik. Ledwie przed dwoma dniami napisał „Kurewsko ją kocham”.

Wymijająco powiedzieli sobie nawzajem: „Buszowałem u ciebie”. On czyta jej pamiętnik. Ona pewnie ukrywa strony, których nie chciałaby mu pokazać. Nagabuje go o czeki. On może jej powie pewnego dnia.

Dwight wcześniej nalał sobie codziennego tylko-tego-jednego-drinka. Zmierzch nadszedł i przeminął. Ciemne niebo pulsowało i ścierało się ze wszystkimi neonami Vegas.

Styczeń '57. Oblodzone jezdnie Merritt Parkway. Pracował w biurze nowojorskim. Prowadził samochód służbowy, schlany. Zmierzał na weekend do Cape Cod ze swoją dziewczyną. Ściął barierkę i uderzył w samochód jadący z przeciwka. Zabił dwie nastoletnie córki pana George'a Diskanta i jego żony.

On odniósł lekkie obrażenia. Pan Hoover wyciszył wszystko wraz z policją stanową Connecticut. Zgłosił się do sanatorium pod New Caanan. Niezauważalnie przechodził od napadów płaczu po długie okresy milczenia. Został w Silver Hill przez miesiąc i cztery dni. Pozbierał nerwy i wrócił do pracy. Trzymał się z daleka od kobiet aż do Karen.

Dwight powoli pił swojego tylko-tego-jednego-drinka. Pokaz świateł zaczął go drażnić. Wyjął akta czarnych bojówek i zaczął je czytać.

Drugie czytanie potwierdziło pierwsze. Pantery i ZN – zbyt znane i zbyt zinfiltrowane. Sojusz Czarnego Plemienia i Front Wyzwolenia Mau Mau – mało znane, z wielkim potencjałem demaskacji.

Karen mogła mu znaleźć informatora. On czy ona mógł być biały albo czarny. Mógł kapować na obie organizacje. Infiltrator musiał być Murzynem. Mógł kapować na wszystkie kryminalne akcje uzasadnione politycznie.

Może glina. Może były glina. Może glina albo były glina z niepewną przeszłością. I znowu ta uwaga: sprawdzić listy subskrybentów nienawistnej poczty.

Wayne junior miał dostęp do list Wayne'a seniora. Wayne junior powiedział, że skończył z biznesem nienawiści. Doktor Fred Hiltz był informatorem Biura. Zadawał się z prywatnym detektywem z LA Clyde'em Duberem. Clyde zadawał się z szefem agentów specjalnych w LA.

W korytarzu zadzwonił dzwonek. Dwight skoczył jak oparzony.

## 7

(Las Vegas, 20.06.1968)

Hrabia popił pigułki czerwoną mieszanką. Wyglądała jak połączenie soku owocowego i krwi. Miał na sobie strój chirurgiczny i buty z pudełek kleenexów. Włosy miał długie. Zamiast paznokci szpony. Nosił włóczkową czapkę i daszek krupiera.

Wayne nawiązał kontakt wzrokowy. Było to trudne. Farlan Brown nawiązał kontakt wzrokowy. Miał więcej doświadczenia. Poprowadził rozmowę.

Penthouse w Pustynnej Karczmi. Chez Drakula. Sala szpitalna z wielkimi telewizorami od ściany do ściany. Trzy ekrany z wiadomościami. Legendy męczenników. Domniemani zabójcy. Nixon kontra Humphrey i słupki poparcia.

Dźwięk szemrał cicho. Wayne go wyłączył. Jego krzesło przylegało do łóżka Drakuli. Pachniał środkami dezynfekcyjnymi o stężeniu przemysłowym.

– Pan Tedrow wie, że ma pan pytania – powiedział Brown.

Drako nasunął maskę chirurgiczną. Głos ledwie się spod niej wydobywał.

– Czy wierzy pan, że prezydenta Johna F. Kennedy’ego zastrzelił samotny strzelec?

– Tak, proszę pana, wierzę.

– Wierzy pan, że senatora Roberta F. Kennedy’ego zastrzelił samotny strzelec?

– Tak, proszę pana, wierzę.

– Wierzy pan, że pastora Martina Luthera Kinga zastrzelił samotny strzelec?

– Tak, proszę pana, wierzę.

Drakula westchnął.

– On jest realistą, Farlan. To niezłomny mormon i nieskłonny do fantazjowania.

Brown złożył ręce jak do modlitwy.

– Wybrał pan mądrze. Wayne ma wszystkie właściwe umiejętności i zna właściwych ludzi.

Drako zakaszłał. Jego maska się nadeła. Flegma ściekła po brodzie.

– Zna pan naszych włoskich przyjaciół. To prawda?

– Prawda, proszę pana. Znam dość dobrze pana Marcella i pana Giancanę.

– Sprzedali mi kilka wspaniałych hoteli-kasyn, a ja kupię jeszcze kilka.

– Będą szczęśliwi, mogąc je panu sprzedać, proszę pana. Cieszy ich pańska obecność w Las Vegas.

– Las Vegas to wylęgarnia czarnej bakterii. Czarni mają wysoki poziom białych krwinek. Nigdy nie powinien pan ścisnąć im ręki. Emitują cząsteczki ropy przez opuszki palców.

Wayne przyjął to z kamienną twarzą. Sekundy się wlokły. Brown włączył się z uśmiechem:

– Wayne dokłada do pańskiego datku dla pana Nixona taką samą sumę.

Drako kiwnął głową.

– Chytry Dick. Pożyczyłem jego bratu pieniądze w pięćdziesiątym szóstym. Wróciły i ugryzły Dicka w dupę. Może zdecydowały o wygranej Jacka Kennedy’ego.

– Dostarczę kopertę na konwencji – powiedział Wayne. – Pan Marcello chce mieć pewność, że on ma zapewnioną nominację.

– Jestem delegatem. – Brown się uśmiechnął. – Miami w sierpniu, mój panie.

– Czarni wywołują rozruchy, będą wymagać masowej sedacji. W grę wchodzi środek uspokajający dla zwierząt. Pan Tedrow powinien nadzorować wytwórnę preparatu i przetestować dawkę na kilku czarnych włóczęgach osadzonych w areszcie.

Wayne przyjął to z kamienną twarzą. Sekundy się wlokły. Brown włączył się z uśmiechem:

– Wayne powiedział, że będzie dla nas monitorował konwencję. To potwierdzone, prawda, Wayne?

– Tak. Chętnie się rozejrzę i zrobię, co w mojej mocy, żeby chronić nasze interesy.

Drako upił czerwonego drinka.

– Martwi mnie Chicago. Młodzieżówki mobilizują się, żeby zorganizować masowe waśnie, które zdyskredytują demokratów. Zechciałby pan pomóc im rozegrać kilka sztuczek?

– Z przyjemnością, proszę pana.

– Hubert Humphrey jest mięczakiem i wieprzem. Przypuszczam, że ma wysoki poziom białych krwinek. Urodził się, żeby przegrywać wybory prezydenckie i umrzeć na białaczkę.

Wayne kiwnął głową. Brown kiwnął głową. Do pokoju wszedł pielęgniarz. Umieścił na nocnym stoliku Draka dymiącą pizzę. Brown go odprawił.

– Czytał pan mój okólnik? Nasi włoscy przyjaciele przygotowują plan zbudowania hoteli-kasyn w Ameryce Środkowej albo na Karaibach. Wayne będzie to nadzorował, a Hughes Airlines ma zapewnione wyłączne prawa do lotów czarterowych.

Drako powąchał pizzę.

– Które kraje?

– Panama, Nikaragua i Dominikana – odpowiedział Wayne.

– Dobra lokalizacja. Wszystko to strefy niskiego poziomu krwinek. Panie Tedrow, potwierdzi pan albo zaprzeczy pogłosce, która do mnie dotarła? Nie daje mi spokoju.

Wayne się uśmiechnął. Pizza pyrkiała. Drako powiedział:

– Czy pański ojciec został zamordowany?

Brown trochę się skręcił.

– Zdecydowanie nie – odrzekł Wayne.

## 8

(Los Angeles, 20.06.1968)

Obserwacja:

Parking Hertza. 21.56. Szybki zwrot się opóźnia. Comet rocznik '66: przybędzie w ciągu czterech minut albo zostanie naliczona kara.

Crutch siedział w swoim GTO. Miał kraciastą muchę i fryzurę à la Scotty Bennett. Dzisiaj kupił muchę i ostrzygł się na rekruta. To na cześć swojej sprawy i umowy z doktorem Fredem. Na cześć skopania dupy poprzedniego wieczoru.

Trzymał swojego rolleifleksa z obiektywem o zmiennej ogniskowej. Miał klucze do mieszkań Arniego Moffetta. Mucha nie pasowała do koszulki polo. Fryzura nie pasowała do bieżącej mody. Chłopaki z LA nosiły długie włosy. Pieprzyć to – on i Scotty to awangarda.

Było gorąco. Uruchomił klimę i skierował sobie strumień powietrza na jaja. Przed godziną rozmawiał z Buzzem. Złe wieści: ciągle ani śladu po tym lewym numerze. Zapamiętać: nie mówić Buzzowi ani Clyde'owi o umowie z doktorem Fredem. Zrobi zdjęcie Hughesa i wtedy się z nimi podzieli.

Na parking wjeżdżały samochody: buicki, fordy, dodge darty. Ludzie wysiadali i targali kluczyki do biura. Odliczanie: 21.57, 21.58, 21.59. Punktualnie co do sekundy: ten comet, ADF212.

Wjechał z Sunset od wschodu. Spod maski wydobywała się z sykiem para. Pewnie wybuchła chłodnica.

Wsiadły dwie kobiety. Crutch nastawił obiektyw i zrobił zbliżenie.

Gretchen Farr/Celia Reyes – wysoka i nieco śniada. To musiała być ona. Była biała, z jakąś latynoską ikrą. Nosiła jasnobrązową koszulę i rozszerzane džinsy. Była oszałamiająca i cycatoposągowa. Jakieś trzydzieści dwa lata. Przewyższała towarzyszkę.

Może dziesięć lat starsza. Miała jeszcze więcej tej jakiejś ikry. Niższa, niedbały, chwiejny krok. Błada. Okulary. Niemal czarne włosy z siwymi pasmami. Nagie ramiona i blizna po nożu – to zauważył Phil Irwin.

Weszły do biura. Crutch zrobił zdjęcia. Serią – sześć klitek wchodzących, sześć wychodzących.

Wsiadły do fairlane'a rocznik '63. Crutch zrobił maksymalne zbliżenie. Błoto na tablicy rejestracyjnej, nie ma szans odczytać numeru. Dlaczego zmieniają samochody? Z daleka bije od nich profesjonalizm.

Samochód wyjechał na Sunset i ruszył na zachód. Crutch je śledził. Prowadził jedną ręką. Przeskakiwał. Zmieniał pasy i wpuszczał przed siebie jakąś taksówkę. Skręciły na północ w Berendo, na zachód we Franklin, na północ w Cheremoya. Crutch za ostro wziął zakręt i za szybko zmienił bieg. Zgasł. Fairlane przyspieszył na północ.

Wcisnął sprzęgło, nacisnął gaz za szybko i zalał gaźnik. Spokojnie – nie spierdol tego. Odczekał całą minutę. Sprawdzał adresy na pęku kluczy Arniego. Mieszkanie, które Gretchen Farr kiedyś wynajmowała, znajdowało się w odległości półtora kilometra. W promieniu kilometra znajdowały się jeszcze trzy mety Arniego. Meta Gretchie była jedną z czterech.

Teraz spokojnie. Rozeznajemy się. Powoli, bardzo powoli obracamy kluczyk.

Udało się. Silnik zaskoczył. Wjechał w Beachwood Canyon i po drodze wyglądał przez okno. Zobaczył mnóstwo poblasków z telewizorów. Zobaczył maryśkową imprezę. Zobaczył hipiskę kiwającą się w samotnym tańcu.

Drogi wijące się w górę kanionu. Pierwszy adres: 2250 Gladeview. Jest – mały domek niby wiejski.

Ciemno. Żadnych świateł. Ani śladu po fairlane '63. Sprawdź pozostałe mety – jechały tu nie bez powodu.

Najbliższa meta znajdowała się sześć przecznic dalej na południowy zachód. Crutch pojechał tam i stanął przy krawężniku. Cholera – zero świateł, zero fairlane'a. Pojechał do następnej mety – cztery przecznice na południe. Jest – mały domek tynkowany. W oknie się świeciło, na podjeździe stał wóz.

Zaparkował i podszedł. Frontowe okno było zasłonięte. Przez zasłony sączyło się przyćmione światło. Zobaczył poruszające się postacie. Przeciął podjazd i śledził wzrokiem postaci w głębi domu. Boczne okno było uchylone i niezasłonięte. Przykucnął pod parapetami i śledził cienie.

Usłyszał przytłumione głosy. Słowa: „Tommy”, „Grapevine”, „wtyka”. Cienie dotarły do ostatniego okna. Pokazały się dwie kobiety. Patrzyły sobie w oczy. Obejmowały się i całowały.

Crutch zamrugał oczami. To nie jest prawdziwe – owszem, jest. Obraz trwał i palił.

Gretchen/Celia przesuwiała dłonie pod koszulką kobiety z blizną po nożu. Kobieta z blizną po nożu rozwiązała włosy i rozrzuciła je. Światło z okna podkreśliło siwe pasma.

Przesunęły się w stronę holu. Znowu stały się cieniami. Crutch zamrugał i przeszedł od jednego okna do drugiego. Pochylił się nisko. Zobaczył zmieszane cienie, ale osób nie.

Wrócił do swojego samochodu i czekał. Nie mógł się ogarnąć. Oddech i puls wciąż mu nie wróciły do normalności.

Wyszły pół godziny później. Zaniosły bagaż do fairlane'a i wsadziły go do bagażnika. Światło księżycy oświetliło mu szczegóły. Gretchen/Celia wyglądała na rozmarzoną. Kobieta z blizną po nożu scałowała całą szminkę.

Wsiadły do samochodu i odjechały. Było późno. Żadnego ruchu maskującego. Nie mógł ich śledzić. Siedział tylko i patrzył, jak znikają ich światła.

Nic nie mógł zrobić.

Po prostu go zostawiły.

Wiedział, że w życiu nie zaśnie. Zdecydował się działać dalej. Zajechał do pozostałych met i zobaczył, jak zaczynają się piwne imprezy. Melanz: hipisi, dzieciaki z college'u i wszędzie długie włosy. Wrócił do tynkowanego domku, sforsował zamek w bocznych drzwiach i wszedł. Czuł się bezwstydnym. Włączył światła.

Najpierw przyciągnęła go sypialnia. Łóżko było ciepłe. Dotknął poduszek i wyobraził sobie ich postacie na pościeli. Zobaczył jeden siwy włos na kapie. Przycisnął do niego policzek i tak pozostał.

Coś mu powiedziało, żeby wyszedł. Opuścił dom, wsiadł do auta i po prostu odjechał. Został w kanionie. Wykonywał leniwe ósemki wokół tynkowanej mety. Czas przestał istnieć. Jego światła padły na biały hiszpański dom. Na drewnianych drzwiach wejściowych widniały dziwne ślady. Coś mu powiedziało, żeby wysiadł i obejrzał to.

Zrobił to. Zaparkował przy krawężniku i podszedł. Przebiegł światłem latarki po drzwiach i przyjrzał się śladom. Dzikie: geometryczne wzory nakreślone ciemną czerwienią.

Pionowe linie aż do werandy. Rozdarty ptak na wycieraczce.

To twoje miejsce. Mogłoby być twoje.

Coś mu powiedziało, że drzwi będą otwarte i że w środku ma skrócić w prawo. Zrobił to. W salonie panowały ciemności i pachniało stęchlizną. Plastikowe płachty zakrywały meble. Podążył za metalicznie kredowym zapachem do kuchni. Oddech mu sfiksował. Ręce drżały. Światło latarki podskoczyło. Oburącz je unieruchomił i zobaczył to.

Wnętrznosci w zlewie. Oddzielone ramię/bez dłoni/brązowa skóra, niewątpliwie kobieca. Geometryczny tatuaż na bicepsie. Głębokie cięcie przez tatuaż i obok. Skruszone zielone kamienie osadzone głęboko aż do kości.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 21.06.1968. Nagłówek i podtytuł z „Los Angeles Herald Express”:

PRZEDPROCESOWE RUCHY W SPRAWIE KENNEDY'EGO

Domniemany Zabójca Sirhan: „Jestem Więźniem Politycznym”

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 24.06.1968. Nagłówek i podtytuł z „Milwaukee Sentinel”:

DOMNIEMANY ZABÓJCA KINGA W BRYTYJSKIM ARESZCIE

Jego Opowieści o Spisku FBI Określa Jako Wyssane z Palca

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 27.06.1968. Podtytuł „Los Angeles Times”:

„Strażnicy Syjoniści Zatruli Mi Jedzenie” – Mówi Zabójca

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 2.07.1968. Nagłówek i podtytuł z „Hartford Courant”:



## EKSTRADYCJA RAYA PRAWDOPODOBNA

Zabójca Kinga Opisuje „Powszechny Spisek”, w Którym Ktoś Chce Go Wykorzystać

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 8.07.1968. Podtytuł z „San Francisco Chronicle”:

FBI Zapewnia Prezydenta: Zabójca Kinga Działał w Pojedynkę

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 12.07.1968. Podtytuł z „Nashville Tennessean”:

Hoover Do Legionu Amerykańskiego: „Ray Działał w Pojedynkę, Definitywnie i Bezdyskusyjnie”

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 13.07.1968. Nagłówek i podtytuł z „Des Moines Register”:

NIXON–HUMPHREY – ZACIĘTY WYŚCIG

Organizatorzy Konwencji Przewidują Zakłócenia ze Strony „Hipisów i Wywrotowców”

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 16.07.1968. Nagłówek i podtytuł z „Seattle Post-Intelligencer”:

NIXON KONTRA HUMPHREY – MINIMALNA RÓŻNICA

Miami i Chicago Przygotowują się na „Huczną Konwencję”

ZAŁĄCZNIK DO AKT: artykuł z „Las Vegas Sun”:

### BARWNY FREDDY O.

Był już policjantem w Los Angeles i wziętym prywatnym detektywem tamże, jak również instruktorem musztry marines w czasie II wojny światowej. Zuchowaty chłopak pochodzenia libańsko-amerykańskiego, urodzony w małym miasteczku w Massachusetts, przez 46 lat zdążył zaliczyć dziewięć żyć, a teraz zaczyna Życie numer Dziesięć jako właściciel i operator hotelu-kasyna Złota Pieczara.

Witamy w Las Vegas, panie Otash!

Kupił Złotą Pieczarę od „Wielkiego” Pete’a Bonduranta, postaci równie barwnej i również byłego gliniarza z LA, prywatnego detektywa i najemnika. „Pete B. chce odejść na emeryturę” – powiedział Otash naszemu dziennikarzowi. „Przejąłem Złotą Pieczarę za piosenkę, a ta piosenka nosi tytuł *Vegas to moja pani*”.

Freddy O. w swoim życiu z niejednego pieca chleb jadł. „To prawda” – mówi. „I wielokrotnie ten chleb wyrwano mi z ręki”. Poproszony o wyjaśnienie, odpowiada: „Bezpodstawnie wyrzucono mnie z policji w Los Angeles. Zdobyłem licencję prywatnego detektywa i weryfikowałem skandale dla magazynu »Confidential«, ale »Confidential« zbankrutował pozwany o zniesławienie. Te plotki, że szprycowałem konia wyścigowego o imieniu Wonder Boy? W stu procentach fałszywe. Owszem, straciłem przez to licencję, ale

kiedy hollywoodzkie gwiazdy wpadają w opały, nadal krzyczą »Dajcie mi Otasha«. Wciąż więc jestem mile widziany w LA”.

Specjalizujący się w rozwodach prawnik z Beverly Hills, Charles „Chick” Weiss, potwierdza słowa Freddy’ego O. „Freddy to król prywatnych detektywów w LA, mimo że stracił licencję i teraz zajął się hotelarstwem. Proszę posłuchać, ja się zajmuję rozwodami i czasami to nie jest ładna robota. Freddy jest moim łącznikowym z towarzystwem najmitów, takich facetów za kółkiem, którzy mają śledzić zdradzających małżonków w trakcie pozamałżeńskich schadzek. To bojownik wyćwiczony w miejskich bitwach, facet gwarantujący sukces na wysoce stresującym przedmieściu Las Vegas”.

„Howard Hughes może wykupić wszystkie wielkie lokale na Stripie czy całą Glitter Gulch” – powiedział Otash naszemu reporterowi. „Jestem tu dla turystów i szarych ludzi, którzy chcą się zabawić i ani myślą zgrać się do ostatniej koszuli. Proszę nie nazywać mojego lokalu szulernią, nie mówić, że tu się gra o niskie stawki. Może mnie pan nazwać przyjacielem wyrobionego gracza o ograniczonych możliwościach finansowych, doceniającego dobrą rozrywkę za uczciwą cenę”.

Prywatny detektyw z Los Angeles, Clyde Duber, ma odmienną opinię o Freddy’em Otashu i zaznacza, że nie jest w tej opinii odosobniony. „Freddy to zwyczajny szantażysta” – mówi. „Jego jedynym przyjacielem jest wszechmocny dolar, można więc uznać, że Vegas to dla niego idealne miejsce”.

Auć! Proszę nam powiedzieć, panie O., co pan na to?

„Clyde jest po prostu zazdrosny” – mówi Otash z szerokim uśmiechem. „Zawsze grał drugie skrzypce i to go niezmiennie bolało. Owszem, jestem barwną postacią i mam kilka wad. Zna pan moje motto? »Zrobię wszystko prócz morderstwa i będę pracował dla każdego prócz komunistów«. Czy można się z tym spierać?”

No rzeczywiście – i jakże to pasuje do Las Vegas! Więc raz jeszcze: witamy w Pustynnym Klejnocie, panie Otash!

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 20.07.1968. Wiadomość teleksowa FBI. Od: Szef Agentów Specjalnych Wilton J. Laird, Biuro St. Louis. Do: Agent specjalny Dwight C. Holly. Oznaczono: „Tajne 1-A: Tylko do wiadomości odbiorcy”.

Agencie Specjalny Holly,

W związku z naszą rozmową telefoniczną i z Waszą wcześniejszą notatką (Notatka nr 8506, tajna 1-A) domagającą się aktualizacji na temat pogłosek dotyczących zabójstwa M.L. Kinga, krążących w Grapevine Tavern w St. Louis, możemy złożyć zapewnienie w następujących kwestiach:

1. Sprzęt do inwigilacji elektronicznej, może pochodzący z Biura, został odkryty w Grapevine Tavern w pierwszej połowie czerwca bieżącego roku. Tajni informatorzy Biura uczęszczający do tawerny zameldowali, że aparatura została odkryta przez NORBERTA DONALDA KLINGA i ROWLANDA MARKA DE JOHNA, recydywistów i bywalców tawerny oraz znanych „przywódców” kilku innych bywalców tawerny (tu: CLARK DAVIS BRUNDAGE, LEAMAN RUSSELL CURRIE, THOMAS OGDEN PIERCE i GEORGE JAMES LUCE). Wszyscy to karani przestępcy działający w rozmaitych skrajnie prawicowych ugrupowaniach paramilitarnych.

2. Odkrycie aparatury wywołało intensywne spekulacje wyżej wymienionych. Np.: że aparatura to część działań monitorujących zorganizowanych po to, by wpłatać oskarżonego o zabójstwo Kinga JAMESA EARLA RAYA w „zlecony przez FBI” spisek mający na celu zamordowanie Kinga. O ile plotki te są w sposób oczywisty niedorzeczne, należy zauważyć, że mogą okazać się szkodliwe dla prestiżu Biura, ze względu na liczne ostatnio obraźliwe uwagi pana Hoovera na temat Kinga, i ze względu na fakt, że brat Raya, CHARLES ELDON RAY, jest współwłaścicielem tawerny.

3. Biuro nie ma nic wspólnego z instalacją elektronicznej aparatury podsłuchowej, chociaż rzeczywiście na terenie tawerny znaleziono sprzęt z Biura pochodzący. Jeśli jakieś inne jednostki terenowe Biura zainstalowały wyposażenie, mnie osobiście nic na ten temat nie wiadomo ani też instalacji tego wyposażenia nie dokonał żaden agent na moje polecenie.

4. Zgodnie z twierdzeniami szerzonymi przez wyżej wymienionych bywalców tawerny, często jest omawiana „nagroda” za Kinga w wysokości 50 000 \$, którą rzekomo ma wypłacić klika bogatych segregacjonistów każdemu „Bojownikowi Białej Rasy”, który „oprze się liberalnej hegemonii LBJ i pozbędzie się Martina Luthera Koxsa”. Ten niedorzeczny temat był często podejmowany przez licznych bywalców tawerny w miesiącach poprzedzających śmierć Kinga.

5. Plotki o „spisku FBI” przybierają zarówno na zjadliwości, jak i częstotliwości. Niestety, tajne źródła w Federalnym Biurze ds. Alkoholu, Tytoniu, Broni Palnej oraz Materiałów Wybuchowych w St. Louis poinformowały mnie, że tawerna wkrótce znajdzie się pod obserwacją tej jednostki ze względu na dowody wskazujące, iż na terenie tawerny są załatwiane sprawy związane z przemytem broni. Powyżej wymienieni bywalcy tawerny nie są podejrzani o przemyt broni, ale uważam, że obecność BAT w tawernie jest kłopotliwa, ze względu na zjadliwość i częstotliwość pogłosek wymierzonych przeciwko Biuru, jak również ze względu na fakt, że CHARLES ELDON RAY jest współwłaścicielem lokalu.

Z uszanowaniem

SAS Wilton J. Laird, Biuro St. Louis

/POUFNE/PO PRZECZYTANIU ZNISZCZYĆ

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 26.07.1968, artykuł z „Los Angeles Herald Express”:

## CIĄGŁE NIEWYJAŚNIONY: „WIELKI SKOK” I POLICJANT OGARNIĘTY OBSESJĄ

Wtorek 24 lutego 1964. W Los Angeles było chłodno, zbierały się chmury burzowe. Ciszę wczesnego poranka rozdarł trzask kolizji ciężarówki z mlekiem i furgonetki opancerzonej Wells Fargo przewożącej wielomilionowy ładunek waluty amerykańskiej i bezcennych szmaragdów. Na spokojnym skrzyżowaniu ulic Osiemdziesiątej Czwartej i Budlong rozpętało się piekło. W ciągu kilku minut czterech uzbrojonych strażników i dwóch członków śmiałego gangu rabusiów padło trupem – ci ostatni najwyraźniej zdradzeni przez kompana – a sprawa rabunku i morderstw od czterech i pół roku pozostaje nierozwiązana.

„Niedokładnie” – mówi nam sierżant Robert S. „Scotty” Bennett w Piper’s Coffee Shop. „Minęły cztery lata, pięć miesięcy i dwa dni”.

Nikt nie odważy się sprzeczać z sierżantem Bennettem w żadnej kwestii dotyczącej sprawy, nad którą pracuje on tak ciężko od tak dawna. Prowadzi śledztwo od owego feralnego krwawego poranka, a jego determinacja, by sprawę tę rozwikłać, obrosła legendą w Policji Los Angeles. Ten niemal dwumetrowy mężczyzna sam jest legendą. W trakcie pełnienia obowiązków służbowych zabił osiemnastu uzbrojonych bandytów i upamiętnia ten rekord policji Los Angeles małą osiemnastką przyszytą do nieodłącznej muchy w szkocką kratę. Kiedy pytamy o te wydarzenia, odpowiada: „Jak się już wystrzeli pocisk, nie ma jak go cofnąć”.

To zabawne sformułowanie, jeśli wziąć pod uwagę straszliwą prawdę, która się pod nim kryje: detektywi pracujący w Kwaterze Głównej Wydziału Przystępstw Rabunkowych Policji LA stale mają do czynienia z uzbrojonymi i niebezpiecznymi przestępcami, należącymi do tych zdecydowanych ludzi, którzy z dumą noszą spinki do krawatów z liczbą 212 – przestępstwo karane z tego paragrafu to rabunek z bronią w ręku. „Napad”, jak mówi się o nim w wydziale przestępstw rabunkowych, jest niemal nieustannym tematem rozważań, a Scotty Bennett wypowiada się na ten temat z wielką rozkoszą. „To było zaplanowane po najdrobniejszy szczegół” – mówi. „Zderzenie z fałszywą ciężarówką z mlekiem jako bardzo silne i potencjalnie zabójcze sprawiło, że strażnicy uwierzyli w jego prawdziwość. Bandyci wiedzieli, co będzie przewoził pojazd opancerzony, i nigdy dokładnie nie ustaliliśmy, skąd o tym wiedzieli. Co ważniejsze, nigdy nie ustaliliśmy, czy bandyci byli rasy białej, czy czarnej.

Sierżant Bennett upija łyk kawy i ciągnie: „Napad był śmiało obmyślony i wykonany. I uważam, że przywódca tej bandy zdecydował z wyprzedzeniem, że od razu zabije swoich pomagierów i ukryje ich tożsamość, a także rasę, spalając ich ciała tak, aby uniemożliwić identyfikację. Wszystko świetnie, ale uniemożliwienie identyfikacji rasowej wymaga czegoś więcej niż spalenia powierzchni skóry, więc ten człowiek najpierw zaaplikował ciałom chemiczny przyspieszacz, który znacznie spotęgował zniszczenie tkanek na skutek spalenia.

Nigdy nie zdołaliśmy ustalić, jakiej substancji chemicznej użyto, co jest kolejnym powodem, dla którego ten napad do dzisiaj pozostaje zagadką”.

Jakieś inne powody?

„Cóż – powiedział sierżant Bennett – wiemy, że dużą część zrabowanej z furgonetki gotówki zabezpieczono taśmami z pociskami atramentowymi i rozlany atrament znaleziono na miejscu przestępstwa. Poza tym od czasu do czasu poplamione banknoty pojawiają się w południowej części Los Angeles, więc jestem przekonany, że przynajmniej część członków bandy była rasy czarnej. Poza tym pochodzenie szmaragdów pozostaje nieznane. To był bardzo cenny ładunek, a pośrednicy nadawcy i odbiorcy przesyłki zobowiązali do tajemnicy Wells Fargo, co utrudnia śledztwo”.

A uporczywe plotki, że szmaragdy pochodziły z Ameryki Środkowej albo z Karaibów?

„To tylko plotki” – powiedział sierżant Bennett. „Całkowicie bezpodstawne”.

A plotka, że to murzyńskie bojówki zaplanowały i przeprowadziły napad?

Scotty Bennett roześmiał się serdecznie. „Nie owijajmy w bawełnę. Czarni bojówkarze to fanfarony, które zawsze rozgłaszają swoje czyny. Pantery i ZN są infiltrowane przez informatorów i do tej pory już byśmy odebrali jakieś sygnały. W tej chwili mamy dwie głośne bojówki wywołujące zamęt w LA, Sojusz Czarnego Plemienia i Front Wyzwolenia Mau Mau, ale ja sobie jakoś nie wyobrażam, że przeprowadzają one akcję bardziej złożoną niż napad na monopolowy albo kradzież torebki”.

A przywódca bandy? Bezwzględny manipulator, który na miejscu zabija własnych ludzi?

Scotty Bennett roześmiał się jeszcze głośniej. „Ja mu powiem tyle: jak już wystrzelę pocisk, nie dam rady go cofnąć”.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 27.07.1968. Wewnętrzny okólnik FBI.

Oznaczono: „Tajne I stopnia”/„Zastrzeżone dla Dyrektora”/„Zniszczyć po przeczytaniu”. Do: Dyrektor Hoover. Od: AS Dwight C. Holly.

Szanowny Panie,

podaję opis projektu i celów naszej akcji COINTELPRO obliczonej na dyskredytowanie i sabotaż czarnych bojówek w ogólności, a dokładniej określonych i zlokalizowanych grup czarnych nacjonalistów w szczególności. W oczekiwaniu na Pańską aprobatę nadałem programowi nazwę OPERACJA BARDZO ZŁY BRAT. To nawiązanie do naszej co najmniej mało udanej OPERACJI CZARNY KRÓLIK i ironiczne nawiązanie do faktu, że Murzyni często mówią do siebie „brat”, z czego może sobie pan zdaje sprawę. Jak na pewno pan wie, czarna grupa ekstremistyczna o nazwie Czarni Ekstremiści Nowej Linii podsyca przemoc rasową w Cleveland w Ohio, w minionym tygodniu zabito tam jedenaście osób, w tym trzech białych policjantów. To doskonały moment, żeby rozpocząć niewielką akcję COINTELPRO, która może przynieść rezultaty na wielką skalę.

Zdecydowanie uważam, że zarówno CZARNE PANTERY (CP), jak i ZJEDNOCZENI NIEWOLNICZY (ZN) są zbyt dobrze znani i zbyt głęboko już infiltrowani. Uważam, że do naszych celów bardziej będzie przydatna operacja w obrębie działających w Los Angeles grup SOJUSZ CZARNEGO PLEMENIA (SCP) i FRONT WYZWOLENIA MAU MAU (FWMM). Nasz COINTELPRO może nadać im rozgłos i jednocześnie całkowicie je zdyskredytować. Kontrolując od początku społeczną percepcję dwóch mniej znanych ugrupowań, zdyskredytujemy również czarne bojówki jako całość. Przystudiowałem wstępne raporty Biura na temat SCP i FWMM, które mi Pan przysłał, i poprosiłem wydział wywiadowczy LA o dossier ich członków. Stanowczo twierdzę, że są to doskonałe cele kontrwywiadowcze i że ich zniszczenie powinno być ostatecznym celem OPERACJI BARDZO ZŁY BRAT. Uważam, że powinniśmy to osiągnąć w następujący sposób:

1. Oba ugrupowania podobno rozważają sprzedaż narkotyków w celu finansowania swoich poczynań, a to pozwoli nam ujawnić ich działalność przestępczą i publicznie podkreślić fakt, że działalność przestępcza i działalność wywrotowa politycznie to jedno i to samo.

2. Musimy znaleźć tajnego informatora wysokiej jakości, który wkradnie się w łaski jednego z ugrupowań lub obu i będzie składał szczegółowe meldunki. Uważam, że najbardziej skuteczny byłby informator płci żeńskiej. Kobieta wyszkolona w lewicowo-rewolucyjnym żargonie miałaby największą szansę zyskać zaufanie i inspirować niedyskretne rozmowy i najpewniej lepiej byłaby w stanie manewrować pomiędzy dwiema (zdominowanymi przez mężczyzn) grupami, nie budząc przy tym głębokiej niechęci. W rekrutacji służy mi pomocą tajny informator Biura nr 4361.

3. Głównym punktem wtargnięcia w szeregi wyżej wspomnianych organizacji powinno być umieszczenie murzyńskiego infiltratora, którego zadaniem byłoby składanie raportów o działaniach kryminalnych SCP i FWMM. Idealnie byłoby, gdyby infiltrator miał doświadczenie policyjne. Idealnie też byłoby (aczkolwiek o wiele mniej prawdopodobne), żeby miał na koncie nienawiść rasową do białych. W tym celu złożyłem wniosek o dostęp do akt kadrowych policji i w chwili obecnej staram się zdobyć dostęp do list subskrypcyjnych nienawistnej poczty Wayne'a Tedrowa seniora oraz tajnego informatora Biura, doktora Freda Hiltza. Wayne Tedrow junior odmówił mi udostępnienia list jego ojca, ale będę przy tym obstawał.

4. Za Pańską zgodą przeniosę się do Los Angeles i urzęduję tam tymczasową stałą siedzibę, wraz z zakamuflowanym biurem, przykrywką OPERACJI BARDZO ZŁY BRAT. Tytułem początkowych wydatków operacyjnych proszę o 60 000 \$ gotówką.

Podsumowując:

Zdecydowanie uważam, że SOJUSZ CZARNEGO PLEMENIA i FRONT WYZWOLENIA MAU MAU dają nam doskonałą okazję do sabotowania i zdyskredytowania

projektów wywrotowych czarnych bojówek w ogólności. Czekam na Pańską ocenę i odpowiedź.

Z poważaniem

AS Dwight C. Holly

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 28.07.1968. Wiadomość teleksowa FBI. Od: Marvin D. Waldrin, Biuro Las Vegas. Do: Agent Specjalny Dwight C. Holly. Oznaczono: „Tajne 1-A: Tylko do wiadomości odbiorcy”.

AS Holly,

w odpowiedzi na Wasze wcześniejsze zapytanie (Tajne 1-A, notatka nr 8518) o informacje na temat plotek odnoszących się do śmierci pana WAYNE'A TEDROWA seniora w dniu 9.06.1968, zdobyłem następujące informacje:

A. Plotki, że śmierć pana TEDROWA nastąpiła w rzeczywistości w wyniku zabójstwa, absolutnie bezpodstawne, krążą, według informatorów Biura, w Policji Las Vegas i Biurze Koronera Hrabstwa Clark.

B. Jednym ze źródeł jest prawdopodobnie funkcjonariusz policji Las Vegas, który rzekomo widział ciało pana TEDROWA w noc jego zgonu.

C. Asystent koronera powiedział naszemu informatorowi: „To nie był żaden atak serca. Skąd by się wzięły takie uszkodzenia czaszki?”.

D. Najbliżsi sąsiedzi pana TEDROWA rzekomo powiedzieli zbierającym informacje funkcjonariuszom, że syna oraz byłą żonę pana Tedrowa (były SIERŻANT POLICJI LAS VEGAS WAYNE TEDROW JR. i JANICE LUKENS TEDROW) widziano w pobliżu domu pana TEDROWA wieczorem 9.06.1968.

Wszelkie dalsze dane w tej sprawie przekażę zgodnie z wytycznymi.

Marvin J.D. Waldrin, SAS, Las Vegas,

Tylko do wiadomości odbiorcy/Zniszczyć po przeczytaniu.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 30.07.1968. Wiadomość teleksowa FBI. Od: SAS Wilton J. Laird, Biuro St. Louis. Do: Agent Specjalny Dwight C. Holly. Oznaczono: „Tajne 1-A: Tylko do wiadomości odbiorcy”.

AS Holly,

w nawiązaniu do pouf. not. nr 8506: plotki nt. „Podśluchy FBI i zlecony przez FBI zamach” na pastora M.L. Kinga przybierają na sile zarówno pod względem zjadliwości, jak i częstotliwości, jak podają nieformalnie umieszczone źródła uczęszczające do Grapevine Tavern.

Z poważaniem

Wilton J. Laird, SAS, St. Louis,

Tylko do wiadomości odbiorcy/Zniszczyć po przeczytaniu.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 1.08.1968. Wiadomość teleksowa FBI. Od: SAS Marvin D. Waldrin, Biuro Las Vegas. Do: Agent Specjalny Dwight C. Holly. Oznaczono: „Tajne 1-A: Tylko do wiadomości odbiorcy”.

AS Holly,

w naw. do nr 8518 i mojej odpowiedzi 28.07.1968, uzupełnienie:

A – Źródła spoza Policji Las Vegas meldują rozpowszechnione i szerzące się pogłoski o zabójstwie WAYNE’A TEDROWA SR.

B – Poufni informatorzy Biura w „Las Vegas Sun” donoszą, że gazeta może rozważy dochodzenie, głównie z powodu „burzliwej przeszłości” WAYNE’A TEDROWA JR. i jego podejrzanego obecnego związku z JANICE LUKENS TEDROW.

Jeśli pozyskam jakieś dane, przekażę je zgodnie z wytycznymi.

Marvin J.D. Waldrin, SAS, Las Vegas,

Tylko do wiadomości odbiorcy/Zniszczyć po przeczytaniu.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 3.08.1968. Dosłowny zapis rozmowy telefonicznej sporządzony przez FBI. Oznaczony: „Nagrany na polecenie Dyrektora”/„Tajne 1-A: Zastrzeżone dla Dyrektora”. Rozmawiają: Dyrektor Hoover, Agent Specjalny Dwight C. Holly.

JEH: Dzień dobry, Dwight.

DH: Dzień dobry panu.

JEH: Zanim zapytasz, odpowiedź brzmi tak. Proszę niezwłocznie rozpocząć OPERACJĘ BARDZO ZŁY BRAT zgodnie z opisem w notatce.

DH: Dziękuję panu.

JEH: Tytuł charakteryzuje się świetną nutą środowiskową. Coś jak „John Edgar Hoover to zły, bardzo zły brat”.

DH: Pan jest bardzo zły. I można by dodać „niedościgniony”.

JEH: Można by i należałoby. A jeśli chodzi o arcyzm środowiskowy, słyszałem rano w radiu niepokojącą piosenkę.

DH. Tak?

JEH: Nazywała się *The Tighten Up*. Wykonywał ją murzyński zespół o nazwie Archie Bell and the Drells. W piosence wyczułem atmosferę rozruchów i seksu. Nie wątpię, że biali liberałowie uznają ją za autentyczną. Poleciałem Szefowi Agentów Specjalnych w Los Angeles założenie akt panu Bellowi, jak również ustalenie tożsamości jego Drelli.

DH: Rozumiem, proszę pana.

JEH: Wystarczy tej wylewności. Dwight, bardzo mnie niepokoi paplanie o Wayne Seniorze i to w Grapevine Tavern. Czytałem stosowne meldunki i postrzegam to nagromadzenie



nieprzemyślanych wypowiedzi zarówno jako osobistą zniewagę, jak i afront wobec Biura. Wayne Senior należał do zasobów FBI, a James Earl Ray zabił Martina Lucyfera Kinga bez pomocy pańskiej, mojej, tej agencji, Wayne'a Seniora, Wayne'a Juniora, Freda Otasha, wieśniackiego strzelca wyborowego Boba Relyi ani jakiegoś innego źródła zewnętrznego. Rozumie mnie pan, Dwight?

DH: Tak, proszę pana, rozumiem.

JEH: Proszę położyć kres tym pogłoskom, Dwight.

DH: Dobrze, proszę pana.

JEH: Miłego dnia, Dwight.

DH: Miłego dnia, proszę pana.

## 9

(Miami, 5.08.1968)

Collins Avenue wypełniały słonie. Miały na sobie transparenty Partii Republikańskiej i machały trąbami w upale. Pracownicy wesołego miasteczka zaganiali je różgami. Oni z kolei nosili kapelusiki ze znaczkami manifestującymi poparcie dla Nixona. Jeden koleś karmił zwierzaki orzeszkami. Inny zachęcał gapiów do wiwatów.

Hałas panował ogromny. Wayne uchylał się przed demonstrantami wymachującymi tablicami. Tablice z Nixonem podskakiwały po bokach. Taszczył dwa wielkie sakwojaże. Nixon zatrzymał się w Fontainebleau. On musiał iść. Nie mógł jechać. Słoniowy festyn zamknął ruch.

Konwencja właśnie się zaczęła. Temperatura sięgała 34°C. W gęstym powietrzu wisiał odór słoniowego gówna. Wayne'owi oklapł garnitur. Zbierało mu się na mdłości.

Kolejna fala dumnych machaczy pojawiła się na chodniku. Zabrzmiały okrzyki kubańskie: „Castro, precz! Castro, precz! Castro, precz!”. Wyglądali na gotowych do zamieszek. Wayne zobaczył pałki w ich kieszeniach. Tępaki Nixona ustąpiły im trochę miejsca.

Z daleka widział Fontainebleau. Dwóch bysiorów dostrzegło Wayne'a i ruszyło przez tłum. Mieli ciemne garnitury, słuchawki w uszach i walkie-talkie. Tłum skumał, co jest grane, i przepuścił ich szybko.

Dotarli do niego. Chwycili kufry i błyskawicznie poprowadzili Wayne'a z godnym VIP-a zamieszanem. Cały rozgardiasz potrwał dwie minuty. Dotarli do hotelu. Boczne drzwi otwarte, personel kuchenny rozproszony, zjechała winda. Śmignęli na górę. Płynęli korytarzem wyłożonym grubym dywanem, krzesząc iskry butami. Bysiorzy ukloniły się i zniknęły. Jeszcze większy bysior otworzył drzwi i zniknął w try miga.

Wayne zamrugał oczami. Trach! – oto były wice Dick Nixon.

Na żywo w technicolorze. W luźnych spodniach i koszulce polo. Z popołudniowym zarostem.

– Witam, panie Tedrow – powiedział.

Wayne powstrzymał mruganie powiek. Nixon podszedł do niego, z rękoma w kieszeniach, zero uścisków rąk.

– Przykro mi z powodu pańskiego ojca. Zaprzyjaźniliśmy się.

Wayne kiwnął głową.

– Dziękuję panu.

– A piękna Janice? Jak się miewa?

– Umiera, proszę pana. Jest bardzo chora na raka.

Nixon zrobił smutną minę. Nie udało mu się. Pana Szczery się nie przyjął.

– Bardzo przykro mi to słyszeć. Jeszcze raz proszę przyjąć wyrazy współczucia.

– Dziękuję panu.

Z zewnątrz dobiegło buczenie. Wayne usłyszał „Ni-xon!” i ryk słoni.

– Nie chciałbym zajmować pańskiego czasu.

– Oczywiście, ale na pewno oczekuje pan jakiegoś podziękowania.

– Chciałbym je przekazać, proszę pana. I tyle.

– Chce pan, żebym powiedział, że zapracuję na to.

Wayne uciekł wzrokiem i rozejrzał się po apartamencie. Wszędzie widział prezydenckie pieczęcie i bibeloty.

– Mój Departament Sprawiedliwości – odezwał się Nixon – nie będzie podejmował czynności przeciwko pańskim mocodawcom. Rozumiem, że planujecie projekty w Ameryce Łacińskiej albo na Karaibach, a moja polityka wobec wybranych przez was państw dostosuje się do tych projektów. Jeśli walka wyborcza będzie zacięta, docenię pomoc w lokalach wyborczych.

Wayne kiwnął głową. Nixon zmarszczył nos.

– Moja żona dzisiaj rano poszła na spacer. Powiedziała, że plażę pokrywały słoniowe gówna.

– W Chicago będą osłe gówna, proszę pana.

– Hubert Humphrey to mięczak, lizus i skurwysyn. Nie jest zdolny do kierowania tym krajem.

– Tak, proszę pana.

– Hipisi mobilizują się na Chicago.

– To prawda, proszę pana. Będę na miejscu, by im pomóc.

Carlos miał mieszkanie nad Biscayne Bay. Wayne miał wolny czas. Wynajął samochód i jechał przez Miami.

Plan miasta zawiódł go na zachód od słoni. Nie mógł całkowicie uniknąć konwencyjnego bajzlu. Zaraził całe miasto.

Wszędzie afisze z kłownami. Nad czym bolejesz: Wietnamem, dobrobytem, polityką kubańską. Długowłose dzieciaki oskarżały Cwanego Dicka i opłakiwały doktora Kinga. Barwni Latynosi wołali „Castro, precz!”.

Pięcio- i dziesięciosamochodowe kawalkady. Platformy z dziećmi i psami w ubrankach. Wielkie napompowane słonie obijały się o anteny samochodowe. Durnie z megafonami tryskali urzędniczym żargonem.

Czerwono-biało-niebieskie balony. Epidemia plakatów z Nixonem. Plakaty z Ulubieńcem – mniej liczne niż plakaty z byłym wice. Kawalkada dwunastu wózków inwalidzkich z domu

opieki – starszki słabnące w upale.

Dwanaście nixonetek. Dekoracje z baloników i wózków inwalidzkich. Cztery starszki miały maski tlenowe. Cztery starszki paliły papierosy.

Janice umierała. Patrzył, jak walczy o życie i żałował, że nie może umrzeć w jednej chwili. Przygotowywał dla niej narkotyki. Żyła na kroplówce i z trudem wybudzała się z otępienia. Przygotowywał narkotyki dla Drakuli. Trzykrotnie jeszcze się spotkał z Drakulą i Farlanem Brownem. Farlan miał być na konwencji. Umówili się na spotkanie.

Drako chciał posiadać hrabstwo Clark w Nevadzie. Chłopcy chcieli sprzedać mu swój udział po lichwiarskich stawkach. Nachapać się gotówki. Przeczesać księgi Funduszu Emerytalnego Teamsters w poszukiwaniu nieterminowych pożyczkobiorców. Przywłaszczyć sobie biznes. Chwycić go, sprzedać i nachapać się gotówki. Castro wykopał chłopców z Kuby. Znaleźć nowy hot spot w Ameryce Łacińskiej, wdrzeć się i pobudować.

Kolejne plakaty. Kolejne kawalkady. Kolejne brygady wózków inwalidzkich – okaleczeni weterani z Wietnamu.

Wayne rozejrzał się i wjechał w boczną ulicę. Gotował heroinę w Sajgonie. Widział, jak wojna niszczy życie. Drażniła go sprawa protestów przeciwko Castro. Jego weekend w Dallas uwolnił tę nieufność.

Dwight ciągle do niego dzwonił. Nieustępliwy Dwight kurwa Holly. Jego czyn wielkobratri zdwoił ból. Dwight powiedział, że w Grapevine ciągle wrze. Dwight powiedział, że w Vegas ciągle wrze od nikczemnych plotek na temat śmierci Wayne'a seniora. Dwight chciał zobaczyć listy subskrypcyjne seniora. On wciąż odmawiał. Dwight wciąż naciskał.

Wayne przeciął długą groblę i wyszedł na główne ulice. Wydało mu się, że widzi...

Śledzący samochód. Przeskakiwał. Granatowy sedan to zbliżał się, to oddalał.

Trzy razy skręcił w prawo. Zmieniał pasy. Wjechał w ulicę dwukierunkową i wyeliminował krycie. Granatowy sedan odpadł, podjechał, odpadł. Zerknął na kierowcę. Wielki kark.

Jest zaułek...

Wayne ostro skręcił w lewo. Ogon zahamował, wpadł w poślizg i ściął kilka śmietników. Wayne przeciął jeszcze dwa zaułki i zgubił go.

Impreza. Sam Giancana nazwał to jubilem z okazji zakupu Nixona. Santo Traficante zaśmiał się i kazał mu być cicho. Carlos piekł świnie na tarasie. Stada lokajów i call girlsy. Głupcy z hałaśliwymi zabawkami. Delegaci konwencji o włoskich nazwiskach. Trzy bary i kilometrowy bufet.

Wayne krążył. Apartament był większy niż stadion Orange Bowl. Krążył po pomieszczeniach i dwa razy się zgubił. Poczul się jak na imprezie wspominkowej. Zobaczył bandziora, którego zgarnął za machlojkę jakoś w 1961. Zobaczył pedalskiego aktora, którego zgarnął za seks przez ściankę. Zobaczył stadko przywiezionych z Vegas dziwek.

Sam G. minął go z jakąś kobietą. Wayne dosłyszał „Celia” i „hola” zamiast „halo”. Carlos minął go i postukał w zegarek. Wayne dosłyszał „gabinet” i „pięć minut”.

Wayne krążył. Wybuchło zamieszanie. Z grilla na tarasie strzeliły płomienie i podpaliły zasłony. Lokaj zgasił pożar wodą z syfonu i zebrał wielkie oklaski.

Call girl zaprowadziła Wayne’a do gabinetu. Rozsiedli się tam już Carlos, Sam i Santo. Ściany były obite boazerią. Na fotografii Carlos grający w golfa z papieżem Piusem.

Call girl odeszła. Wayne usiadł. Sam spytał:

– Podziękował?

Wayne się uśmiechnął.

– Nie, ale nazwał Huberta Humphreya skurwysyńskim mięczakiem.

Santo wybuchnął śmiechem.

– Tu ma absolutną rację.

– Humphrey nie może wygrać – powiedział Carlos. – On miękko podchodzi do chaosu społecznego.

– To lewicowiec – rzucił Sam. – Wyszedł z Partii Farmersko-Robotniczej w Minnesocie. To są stuprocentowe komuchy.

Santo napił się galliano.

– Howard Hughes. Przekaż nam najświeższe i najważniejsze.

– Chce kupić Gwiazdny Pył i Kamień Milowy – powiedział Wayne. – Zapewniłem go, że są na sprzedaż. Zdaniem Farlana Browna to niezgodne z prawem antytrustowym, co może opóźnić zakupy do następnego roku.

Carlos napił się XO.

– Jebany Departament Sprawiedliwości.

Santo napił się galliano.

– Tak, ale jego dni są policzone. I muszę powiedzieć, że nasz mały Dick nie pozwoli, żeby takie gówno nam stanęło na przeszkodzie.

Sam napił się anyżówki.

– Nasi ludzie. To mnie martwi. Musimy zachować swoich ludzi na terenie kasyn.

Wayne kiwnął głową.

– Pan Hughes się zgadza. Przekonałem go, że w ten sposób transakcja przebiegnie o wiele bardziej bezproblemowo.

Carlos przeszedł na drambucie.

– Księgi Funduszu. Co się tam dzieje?

– Chcę wykupić banki i firmy pożyczkowe, żeby wyrobiły marginalny zysk i pracowały jako pralnie pieniędzy. W Los Angeles jest należący do Murzynów bank, który mnie interesuje. Hughes Air jest w LA, a potrzebujemy kanału blisko granicy.

Sam pokręcił głową.

– Nie lubię interesów z czarnuchami.

Carlos pokręcił głową.

– Są porywcy, za łatwo się wzburzają.

Santo pokręcił głową.

– Dobrobyt ich demoralizuje.

Sam napił się anyżówki.

– Z czym nasz mały Dick zrobi porządek.

Wayne się podrapał. Skóra go swędziała. W uszach pulsowało.

– Wayne ma nieprzychylną reakcję na tę rozmowę – powiedział Santo.

– Wayne pod wieloma względami jest jak otwarta książka – powiedział Sam.

Santo napił się galliano.

– Jaka książka? *Czarne króliczki, które wypatroszyłem?*

– Wayne to dawny łowca asfaltów – powiedział Carlos.

Sam zarechotał.

– Więc może w tym szkopał.

– Co to szkopał? – spytał Santo. – Gadasz jak pedał.

Carlos spojrział na Wayne'a. Carlos podniósł ręce i skierował je dłońmi w dół – *spokojnie, powoli, powoli.*

Santo zakasłał.

– Dobra, zmieńmy temat.

Sam zakasłał.

– Dobra, to może o polityce? Ja osobiście głosuję na Dicka.

Carlos zakasłał.

– A może nasza wyprawa zwiadowcza? Posłuchajmy o tym.

Sam przeszedł na XO.

– Byłem we wszystkich trzech miejscach. Jak dla mnie ciężko się zdecydować. Panama ma ten jebany kanał, a Dominikana ma jebany wyspowy wiatr. We wszystkich za sznurki pociągają prawicowi chłopcy, co jest najważniejsze. Moja przyjaciółka Celia jest z Dominikany, więc lobbuję za nią.

Carlos udał, że wali konia.

– Sam ochujał dla cipki.

Santo udał, że wali konia.

– Celia to, Celia tamto, Sam ma udar od wyspiarskiej dupki.

Sam się zarumienił. Carlos podniósł dłonie i opuścił je dłońmi do dołu – *spokojnie, powoli, powoli.*

Santo przeszedł na drambuie.

– Zespół operacyjny. Pogadajmy o tym. Jak już wybierzemy punkt, będziemy musieli wysłać tam jakichś ludzi.

Wayne zakasłał.

– Chcę wprowadzić Jean-Philippe’a Mesplède’a.

Carlos głośno przełknął. Santo głośno przełknął. Sam głośno przełknął. Każdy odwrócił wzrok w inną stronę. Mesplède wyruchał Carlosa w Sajgonie na interesie z herą. Najemnik pochodzenia francusko-korsykańskiego. Bojownik antycastrowski. W tamten weekend był w Dallas. Strzelał z trawiastego wzniesienia.

Sam westchnął.

– Przyznam, że to dobry wybór, ale mieliśmy z nim problemy.

– Słyszałem, że jest tu w Miami – powiedział Santo. – Gdziekolwiek robią jakieś gówno antyfidelowskie, Jean-Philippe na pewno tam jest.

– Czy ty właśnie zawsze się mówi „Co było, to było”? – spytał Sam.

Carlos napił się drambuie.

– Trzy nazwiska przychodzą mi do głowy. Mały ptaszek wciąż mi mówi, że Mesplède chce ich załatwić.

Bob Relya. Gaspar Fuentes. Miguel Diaz Arredondo.

Wieśniacki strzelec i dwóch kubańskich uchodźców. Część sajgońskiej kliki. Relya stanął po stronie Carlosa i zrobił w chuja Wayne’a i Mesplède’a. Relya dołączył do zespołu Memphis i kropnął doktora Kinga. Fuentes i Arredondo stali przeciwko Wayne’owi i przeciwko Mesplède’owi. Zeszłej wiosny zapadli się pod ziemię.

Santo westchnął.

– Przyznam, że to dobry wybór.

Sam westchnął.

– Wiem, że on mówi po hiszpańsku. „Co było, to było”? No nie wiem, wy mi powiedzcie.

– Ja go chcę – powiedział Wayne.

Santo napił się drambuie.

– Będzie chciał kropnąć tych gości.

– To twój wybór, Wayne – powiedział Carlos.

Wayne krążył po Małej Hawanie. Całodobowej, gorącej, pełnej robaków. Roje robaków, bombardowania robaków. Robaki większe niż Rodan i Godzilla. Robaki uderzały w szybę samochodu. Włączał wycieraczki i miażdżył je na sok. W Małej Hawanie było GORĄCO.

Krążył. Gapił się na akcję na chodniku. Sklepiki spożywcze, stoiska z owocami, sprzedawcy granity. Dystrybucja ulotek. Gówniarze z paczkami broszur, w koszulkach „Zabić Fidela”. Biura organizacji politycznych: Alpha 66, Venceremos, Batalion 17 kwietnia. Skręcił we Flagler Street i minął rząd domów. Co kilka sekund zerkał w lusterko wsteczne. Tak – znowu jest ten granatowy sedan, chowa się dwa samochody dalej.

Wcisnął gaz do dechy, cztery razy gwałtownie skręcił i znalazł miejsce do parkowania na Flaglerze. Zero granatowego sedana, dobra.

Wayne poszedł z buta. Garnitur od razu mu znowu oklapł. Przepychały się uliczne głupki. Dostrzegł dziwne spojrzenia – Ty nie *Cubano*, ty biały. Niebo wybuchło. Ale światła! Wayne znał źródło: fajerwerki na konwencji.

Ludzie stali i się gapili. Papowie podnosili dzieci do góry. Uliczna walka na pięści zamarła w pół ciosu.

Wayne patrzył. Koleś rozdający ulotki machał małą flagą. Wayne zerknął w okno kawiarni i zobaczył Jean-Philippe'a Mesplède'a.

Spojrzenia uciekły. Mesplède wstał i się uklonił. *Le grenouille sauvage – habillé tout en noir*. Czarna koszula, czarna marynarka, czarne spodnie – *le grand plus noir*.

Wayne wszedł. Jean-Philippe go uściskał. Wayne wyczuł co najmniej trzy sztuki broni pod jego ubraniem.

Usiedli. Mesplède był w połowie piątego pernodu. Kelner przyniósł świeżą szklanę.

– *Ça va*, Wayne?

– *Ça va bien*, Jean-Philippe.

– Co cię sprowadza do Miami?

– Polityka.

– *Par exemple, s'il vous plaît?*

– Na przykład szukam ciebie.

Mesplède napiął ręce. Jego wytatuowane pitbulle warknęły i wyszczerzyły kły. Był francuskim eks-spadochroniarzem. Walczył w Algierii i pod Dien Bien Phu. Sprzedawał heroinę, gdziekolwiek pojechał.

Przeszli na francuski. Popijali pernod. Dookoła nich fajerwerki oświetlały okna. Odgrzewali Wietnam i swoje operacje. Mesplède przeklął Carlosa, *le petit cochon*. Wayne wspomniał dawne kochanki. Co było, to było. Carlos miał dla nich robotę. Pozwól, że ci opowiem.

*Ça va*, Wayne, niech będzie.

Wayne opisał plan z kasynami i wyłożył opcje terytorialne. Mesplède wspomniał o geopolityce Panamy, Nikaragui i Dominikany. Handel i rolnictwo. Obecni despoci, którzy dławią odmienne opinie i czerwoną reakcję. Wayne popijał pernodu i zrobił mu się w głowie wódkowo-językowy mętlik. Mesplède przeniósł wspominki na Kubę. Pozostał oddany sprawie. LBJ, Nixon, Humphrey – wszystko Fidelowe *cochons*. Wybory znaczyły *merde*. Będzie kontynuowana polityka ręce precz od Kuby. Polemizowali na ten temat, *un peu*. Mesplède wiedział, że *la Causa* drażni Wayne'a. Nienawidził handlowania narkotykami. Ich okres operacyjny obrócił go przeciwko nim. Dziwna para – *oui, oui*.

Doszli do fazy tak lub nie. Mesplède powiedział, że może. Najpierw miał pilną sprawę. Wayne podniósł trzy palce. Mesplède kiwnął głową. Wayne powiedział, że rozmawiał



z Carlosem. To teraz moja sprawa. Pozwolę ci zabić dwóch z trzech.

Fajerwerki wystrzeliły z rozmachem. Trach – jasne południe w środku nocy. Światło w oknie zgasło. Mesplède przeszedł na angielski.

– Kto ma prawo przeżyć?

– Bob Relya.

– Wiem dlaczego, ale wyjaśnij mi, proszę, dokładnie.

– W kwietniu miał wielką robotę. Jest za blisko ludzi, z którymi ja trzymam.

– Memphis.

– Tak.

– Ty też tam byłeś.

Wayne’a zakłuło.

– Tak, byłem.

Mesplède splunął na podłogę.

– Wstyd. Straszliwy cios dla amerykańskich Murzynów. Ja z nimi sympatyzuję, bo wielbię ich jazzowy artyzm.

Gęsia skórka, dreszcz, udar cieplny...

– Możesz zdjąć Fuentesa i Arredonda. Na ile to ode mnie zależy.

Mesplède wzruszył ramionami i kiwnął głową.

– Mogą być tu w Miami.

– Poszukajmy ich.

Wzięli wynajęty wóz Wayne’a. Mesplède zasmrodził go francuskimi papierosami. Pojechali. Wyszli i zachodzili do barów i całodobowych sklepików. Sypali napiwkami i pytaniami o Fuentesa i Arredonda. Nie dostali nic.

Wayne’owi szumiało w głowie po pernodzie. Wciąż zerkał we wsteczne lusterko. Nie widział granatowego sedana. Wydało mu się, że widzi, jak przeskakuje jasnobrazowe coupé. Zbliżało się, odpadało, zbliżało. Kierowca: dzieciak ostrzyżony na rekruta, tuż po dwudziestce.

Wkurzył się. Skręcił kilka razy, aż wywołał u Mesplède’a chorobę lokomocyjną. Jasnobrazowe coupé zniknęło. Okrążyli Flagler i przeszli nią z powrotem. Tamtejsze siedziby były otwarte do późna. Komitet Akcji Kubańskiej Wolności, Komitet Wyborczy Kubańskiej Wolności, Rada Kubańskiej Wolności. Mesplède to uwielbiał. Mówił po hiszpańsku i przyciągał kupę nocnych próżniaków. Sępił fajki. Mesplède przedstawił swoje racje. W sumie zebrał trzy wskazówki.

Wskazówka nr 1: Fuentes i Arredondo przenieśli się na Środkowy Zachód. Wskazówka nr 2: Chyba napadają na domy towarowe. Wskazówka nr 3: Chyba napadają na stacje benzynowe w Chicago.

Czwarta rano. Mesplède zasnął w samochodzie. Wayne obudził go i podrzucił do wynajętego mieszkania. Pojechał do swojego hotelu, niemal zamroczony. Słonie i Dick Nixon.

Kuba, ogony, upiory mafii, robaki jak Rodan.

Otworzył drzwi. Światło w pokoju było włączone. Facet z granatowego sedana siedział na krześle. Trzymał w ręku smitha .38. Do marynarki miał przypiętą odznakę biura prokuratora generalnego Nevady.

Wayne zamknął drzwi i oparł się o nie. Facet wskazał na wybrzuszenie na jego marynarce. Wayne rzucił swoją czterdziestkępiątkę na łóżko.

– Chuck Woodrell – powiedział facet.

Wayne ziewnął. Szeroko.

– Powiedz mi, co jest. Wiem, ale i tak mi powiedz.

Woodrell ziewnął. Szeroko.

– Ty i twoja macocha zabiliście twojego tatę. Prokurator generalny wie, że to zabójstwo, i chciałby wnieść oskarżenie. Wie, że pracujesz dla Wujka Carlosa i pana Hughesa, a i tak go to nie obchodzi, bo to facet z jajami. Mam odcisk palca Janice z krwią. Osiem punktów zgodnych, więc dla sądu wystarczy. Nie chcemy wnosić oskarżenia przeciwko umierającej kobiecie, ale biznes to biznes.

– Ile? – Wayne przetarł oczy.

Woodrell ziewnął i się przeciągnął.

– Może byście z Buddym Fritschem znaleźli podejrzanego? Plus pięćdziesiąt tysięcy i będzie po sprawie.

# 10

(Los Angeles, 6.08.1968)

Mieszkanie na dziuplę wynajął umeblowane: trzy pokoje w skaju i zniszczonej szenili. Klimatyzacja działała. Kanapa rozkładała się w łóżko. Przestrzeni wystarczało. Dwight wyobraził sobie, że mógłby tu mieszkać w pełnym wymiarze.

Silver Lake. Zestaw biurowy opłacony przez Biuro na rogu Sunset i Mohawk. Szkoła fryzjerska, gejowski bar i na dole księgarnia porno.

Karen mieszkała o milę na północny zachód. To był dobry punkt do spontanicznych schadzek w ciągu dnia. Zarejestrował biuro pod nazwą Firma Zatoczka. Idealnie mdłe. Nawiązywało do mieszkania Karen na rogu Baxter i Cove.

Dwight się wprowadził. Włożył ubrania do szafy, ustawił kuchenkę przenośną i maszynkę do kawy. Podłączył dwie standardowe linie telefoniczne i bezpieczną szyfrowaną. Rozpakował wyposażenie inwigilacyjne. Zamknął w sejfie pudełko z pistoletami.

Był zjebany jak pies. Złapał nocny lot z DC. Siedział na miniaturowym fotelu. Nogi miał przyciśnięte do klatki piersiowej. Jego codzienny tylko-ten-jeden-drink i jedna tabletką zapewniły mu godzinę snu pełnego koszmarów.

Pan Hoover zaakceptował przekaz telegraficzny: sześćdziesiąt tysięcy gotówką do banku w centrum. To był jego budżet na pół roku. Koszty utrzymania, opłaty dla informatorów i rozmaite wydatki. OPERACJA BARDZO ZŁY BRAT w toku.

Dwight uruchomił klimatyzację i zrobił efekt igloo. Ach, LA w sierpniu – gorąco bez przerwy. Miał trzy widoki z okna, wszystkie na północ. Knajpa z taco, *cholo*, smog w pełnym wymiarze.

Pan Hoover nie liczył się z nim. Stary pedał wpadł w szal doszukiwania się błędów. Pogłoski w stereo: Grapevine i Wayne junior. Powiedział panu Hooverowi, że te sprawy są wyciszone. To był uspokajacz i opóźniacz. BAT wisiało nad Grapevine. Wysłał Freda Otasha do St. Louis, żeby to sprawdził. Umowę z Wayne'em w każdej chwili mógł szlag trafić. Wayne odmówił udostępnienia list nienawiści Wayne'a seniora. Podobnie doktor Fred Hiltz.

Wayne powiedział, że skończył z biznesem nienawiści. Doktor Fred chciał za dużo kasy. Dwight zameldował się wczoraj szefowi agentów specjalnych LA. Jack Leahy pojechał humorem po panu Hooverze, niemal brawurowo. Jack nazwał starego pedała „Amfetaminową Aneczką”. Dwight zarechotał i przypomniał sobie ich ostatnią rozmowę telefoniczną. Pan Hoover nabijał się, dąsał i podskakiwał. Panu Hooverowi daleko było do normalności. Pan Hoover wymienił wszystkich ludzi z Memphis, tylko żeby powiedzieć WIEM.

Dwight miał stracha. W igloo zrobiło się za zimno.  
Rozejrzyjmy się po Czarnogrodzie.

Ślady po piwie słodowym znaczyły granicę. Po nich papierosy mentolowe. Piwo Schlitz, Colt .45, nigporty i koole. Asfaltowy konsumpcjonizm. Afro. Przylizane czarnuchy z twarzami białych i włosami czarnych.

Dwight pojechał na południe. Jego federalna bryka przyciągała przerażone spojrzenia i wywoływała uśmiešky. Było gorąco. Smog wisiał nisko. Mnóstwo bardzo złych braci krążyło po ulicach. Uliczny jazz i gra w kości na parkingach. Mnóstwo siatek na włosach. Mnóstwo fedor i podobnych kapeluszy na przylizanych włosach. Mnóstwo patroli na ulicach.

Przejechał pod siedzibą Panter. Z daleka widział mural na zewnątrz. Dwa czarne koty wypruwały wnętrzności z krwawiącej różowej świni. Świnia miała na sobie odznakę z napisem „Faszystowski gnębiiciel”. W tle widniała Ostatnia Wieczerza. Huey Newton robił za Jezusa. Eldridge Cleaver i Bobby Seale za głównych apostołów. Pozostali mieli na sobie T-shirty z hasłem „Uwolnić Hueya”.

Siedziba ZN była zamknięta. Strażnicy przy drzwiach nosili okulary przeciwsłoneczne i czarne berety. Otaczali hi-fi stojące na chodniku. Sprzęt pluł jazgotem. Bongo wybijały rytm. Dwight usłyszał „Wybić białe robactwo”.

Dość. Dwight ruszył na zachód. Sojusz Czarnego Plemienia miał biuro na rogu Czterdziestej Trzeciej i Vernon. Na drzwiach widniały dwie czarne pięści, pistolety i gliniarze jako białe śwynie z małymi fiutkami. Front Wyzwolenia Mau Mau – cztery przecznice na południe. Mural kanibalski – biali gliniarze krzyczący w wielkich garach, czarni kolesie doprawiali ich i mieszały.

Dość. Przewodniczący Mao spotyka się ze śpiewakiem Mikiem, obejmuje ich Ramar z Dżungli. Dwight ruszył na zachód. Minął Bank Powszechny Południowego Los Angeles. Przypomniał sobie notatki z akt. To podobno pralnia pieniędzy.

Karen miała wykłady na USC. Podjechał tam na czuja i trafił na koniec jej zajęć. Dzieciaki miały długie włosy i były zaniedbane. Zobaczyły jego szary garnitur, pas z bronią i krzyknęły ze strachu. Sala wykładowa była wielka. Karen została na podium. Dwight wskoczył na scenę. Karen podniosła wzrok i się uśmiechnęła.

Pocałowali się nad podium. Kilku studentów zauważyło to i powiedziało: „Hę?”. Karen podniosła slajd do światła. Dwight spojrział na niego. To był pan Hoover około roku 1952.

- Nie mów. Znowu uczysz o czarnej liście.
- Nie mów, że twoim zdaniem to było usprawiedliwione.
- Nie mów, że nie pomogłem niektórym twoim czerwonym kumplom odzyskać pracę.
- Nie mów, że się nie odwzajemniłam.

Dwight się uśmiechnął.

- „Jak-Mu-Tam” jest w mieście?

- Tak.
- Kiedy wyjeżdża?
- Jutro rano.
- A więc jutro wieczorem?
- Owszem, kusząca propozycja.

Siedli na podium, majtając nogami w powietrzu. Byli wysocy. Ich stopy dotykały podłogi. Karen wyciągnęła papierosa i zapaliła.

- Jednego dziennie, tak?
- Tak. I tylko jak jesteśmy razem.
- Nie jestem pewien, czy ci wierzę.
- No dobra. Od czasu do czasu po śniadaniu.

Dwight dotknął jej brzucha.

- Bardziej widać.

Karen dotknęła siebie.

- To Eleanora.
- A jeśli to chłopiec?
- To wtedy Jak-Mu-Tam albo Dwight.
- I jesteś pewna, że to nie moje?
- Skarbie, to nie jest niepokalane poczęcie, a ciebie nie było w pobliżu pojemnika.

Dwight podciągnął nogi i położył się na podium. Ziewnął. Przez ułamek sekundy miał zawroty głowy.

- Jak spałeś? – spytała Karen.
- Gówniano.
- Koszmary?
- Tak.
- Jakieś straszliwe czyny aprobowane przez Biuro, które chciałbyś wyznać?
- Nie w tej chwili.

Karen rzuciła papierosa i wyciągnęła się obok niego. Dotknął jej włosów. Policzył ciemne plamki w jej oczach.

- Jakieś nowe?
- Nie.
- Oczy człowieka zmieniają się z wiekiem. To absolutnie normalne, więc nie powinieneś się tym gryźć.
- Ja się gryzę wszystkim.

Karen dotknęła jego włosów.

- Nic ci nie zarzuciłam. Po prostu skomentowałam.

Dwight przysunął się bliżej. Ich głowy się zetknęły. Poczował szampon migdałowy.

– Znajdź mi tego informatora. Kobieta. Poprowadzę ją i mojego infiltratora i nie poznam ich ze sobą.

– Pomyślę.

– Zrobiłabyś coś dobrego. Oba te ugrupowania są niezinfiltrowane, co oznacza, że mają wszelką swobodę robić paskudne gówna.

Karen zamyśliła się trochę.

– Wymiana?

– Pewnie.

– W przyszłym tygodniu jest tu wiec.

– Antywojenny?

– Tak.

– Nie mów. Chciałabyś, żebym ściągnął ekipę od zdjęć.

– Ściągniesz?

– Pewnie. Zadzwoń do Jacka Leahy'ego.

Karen położyła się na plecy i się przeciągnęła. Dwight dotknął jej brzucha. Wydało mu się, że poczuł kopnięcie Eleanory.

– Kochasz mnie? – spytał.

– Pomyślę – odparła Karen.

Siedzieli w gabinecie. Dwight nalegał. Tam nie było sztuki nienawiści. Reszta Domu Nienawiści szarpała mu nerwy.

– Sto tysięcy – powiedział doktor Fred. – Plus mała przysługa i może pan przejrzeć moje listy.

Dwight ziewnął.

– Jaka przysługa?

– Pomoże mi pan znaleźć tę kobietę. Oskubała mnie na czternaście patyków i spłynęła.

Dwight wzruszył ramionami.

– Niech pan zadzwoni do Clyde'a Dubera. On to załatwi.

– Załatwił. Pracuje dla mnie taki jego drętwy dzieciak. Teraz jest w Miami, ale nie wiem, czy aby nie jest gównem wart. Daj pan spokój, Dwight. Gotówka i jedna mała przysługa.

Dwight pokręcił głową.

– Dziesięć gotówką, funt kokainy. Doskonałej jakości. Będzie pan miał odłot życia, dopóki pana nie zabije.

Zadzwoił telefon. Doktor Fred odebrał, mruknął coś i słuchał. Dwight słyszał brzęczenie. Brzmiało to jak nagrywana rozmowa z Biura.

Doktor Fred kiwnął na niego głową. Dwight chwycił telefon. Brzęczenie przygasło, teraz słyszał nosowy głos z Oklahomy. Dzwoniący powiedział:

– Dwight, tu Buddy Fritsch. Mam tu totalny rozpiardol i lepiej, żebyś przyjechał.

Mały samolot zawiózł go na lotnisko McCarran. Taksówką dojechał do centrum i na komendę. Buddy zaszył się w swoim biurze. Był trochę napruty. Chodził. W jednej popielniczce paliły się trzy papierosy.

Dwight zatrzasnął drzwi i zamknął je na klucz. Buddy stanął i zauważył go.

– Naciskał mnie ten facet z prokuratury. Miał odcisk palca Janice. I rządził. Dobra, zaproponował mi pieniądze, ale i tak nie miałem wyjścia. Mogłem tylko wydać mu Wayne'a i...

Dwight chwycił go oburącz. Dwight rzucił nim przez biurko i walnął nim o segregator. Dwight ściągnął klimatyzator ze ściany i rzucił mu na plecy. Dwight trzy razy kopnął go w jaja.

– Wkurzyłeś mnie przy okazji Wayne'a seniora i teraz znowu to robisz.

# 11

(Miami, 8.08.1968)

Zakładanie podsłuchów:

Kable, cęgi, śrubokręty. Wiertarki, oprawki, listwy. Niezdarza: spocone ręce i narzędzia jak dla komara.

Eden Roc Hotel. Wiercenie: z pokoju 1206 do pokoju 1207. Crutch pracował z Freddyem Turentine'em. Freddy był królem podsłuchów. Jego résumé pluskiew wprawiało w osłupienie. Freddy został wypożyczony do firmy Clyde Duber. Freddy zwykle pracował dla Króla Szantażu Freda Otasha.

Wiercili. W 1206 mieli stanowisko podsłuchowe. Farlan Brown miał wkrótce zająć 1207. Służbowo: koszty poszukiwania Gretchen Farr weszły w dział liczb pięciocyfrowych.

Wiercili. Dowiercili się do 1207 i wepchnęli do środka kable. Crutch sforsował zamek w drzwiach. Mieli dostęp do całego apartamentu. Podłożyli mikrofony pod abażury lampek nocnych w sypialni. Podłączyli się pod dwa telefony. Zagipsowali kable w ścianach i położyli świeżą warstwę farby. Załatali wywiercone dziury i przeszlifowali ślady. Zamietli wszelki gipsowy pył i wrócili do 1206.

Ciężka, czterogodzinna robota, od której dostaje się kurczu w palcach. Crutch był pokryty pyłem. Palce go bolały. Miał kurz gipsowy w uszach, oczach i nosie. Wziął prysznic i się przebrał. Freddy poszedł do swojego pokoju się zdrzemnąć. Crutch włączył w salonie telewizor i ściszył dźwięk. Przed ekranem stał odbiornik. Chwycił krzesło, założył słuchawki i słuchał głuchoj ciszy w pokoju obok.

Zaabsorbowały go pierdoły w telewizji. Nixon dostał zielone światło, pierwsze głosowanie, ziewać/chrapać/przysypiać. Nixon emitował wibracje osłupienia. Robił V jak Victoria i wyglądał trochę jak wsiok, a trochę jak robot. Na pasku sunęły wiadomości o zamieszkach. Czarna dzielnica w Miami wybuchła. Zaczęło się od rwetesu w domach dla czarnych biedaków. Asfalty rzucały kamieniami w samochody białych i cięży kierowców. Gangi smoluchów, podpalenia, szaber. Napięta akcja. Kapitalny materiał filmowy.

Crutch ziewnął. Miał sześciotygodniowy niedobór snu, wszystko przez JEGO SPRAWĘ.

JEGO sprawę. Nie sprawę Clyde'a ani Buzza. JEGO umowę dodatkową z doktorem Fredem. JEGO udział w milionowej wartości umowie na Hughesa. JEGO umowę dodatkową do umowy dodatkowej: Gretchen Farr jako Celia Reyes. Plus kobieta z blizną po nożu. Plus dom ze śladami na drzwiach i częściami ciała w kuchni.

JEGO SPRAWA.



Farlan Brown miał być w Miami. Wayne Tedrow jr już tu był. Junior miał zapasik list nienawiści seniora. Doktor Fred je chciał. Junior pracował dla Farlana Browna i Drakuli Hughesa. Doktor Fred chciał sprzedać Drakuli swoje plany czystości rasowej. Pojebstwo – pewnie. Ale pojebstwo z symbolem dolara.

\$\$\$\$\$\$\$\$\$...

Krył się ze swoją tajemną wiedzą. Nie zdradzał jej Clyde'owi, Buzzowi ani doktorowi Fredowi. Nie wiedzieli o Gretchen jako Celii. Nie wiedzieli o kobiecie z blizną po nożu ani o Domu Grozy na North Tamarind.

JEGO SPRAWA – już od sześciu tygodni.

Jego meta już była zapchana aktami. Akta matki pochłonęły większość podłogi i półek. Wynajął w centrum drugą metę na akta. Elm Hotel – 1200 dolców tygodniowo. Nora, w której się szczało do zlewu, dla zdemenciałych emerytów. Złożył tam kilka pudeł z aktami i ryzy papierów. Pracuje na pełen etat.

Robota przy aktach: tropy, samochody, ślady, akta na North Tamarind 2216.

Poszukał informacji o Domu Grozy. To nie była meta Arniego Moffetta. To było obok wynajętego domu Gretchen/Celii i innych met. Poblize nie równało się powiązanie. Tak, ale – osobliwy charakter tamtej nocy sprawiał, że wszystko wydawało się powiązane. Zupełnie jak we śnie. Pocałunek Gretchen/Celii i kobiety z blizną po nożu – i jego świat się zmienił.

Poszukał informacji o Domu. Proszę: należał do Hollywoodzkiej Izby Handlowej, która używała go do kwest. Od połowy 1967 roku stał nieużywany. Znowu się tam zakradł i przeczesał każdy cholerny pokój w poszukiwaniu odcisków palców. Znalazł tylko zamazane. I gównie warte ochłapy. Izba pozwoliła mu zajrzeć do swoich akt kwestarskich. Wymieniano tam grupy, ale gości nie. Nie ma jak się dowiedzieć, kto był w tym domu. Dziewczyna w Izbie powiedziała mu jedną burzącą krew rzecz: plugawi hipisi włamali się do środka i przez jakiś czas tam squatowali. Pytanie: Co Gretchen/Celia i kobieta z blizną po nożu ciągle robią w domu Moffetta? Prosta odpowiedź: squatują za darmo, skoro ich prawdziwy wynajem wygasł. Pytanie: kto zapłacił Philowi Irwinowi, żeby sobie odpuścił szukanie Gretchen? Możliwa odpowiedź: Farlan Brown poprzez Hughes Tools Company. Brown wyciszył sprawę. Brown chciał, żeby od Gretchen się odpierdolić. Jego motyw? Chuj wie.

Od akt domu po akta samochodu.

Przekupił recepcjonistę w Wynajmie Samochodów Hertza. Gretchen/Celia oddała cometa '66 ze zniszczoną chłodnicą. To oznaczało okres nienadawania się do wynajmu. Comet stał nietknięty od dnia oddania. Crutch ponownie przekupił recepcjonistę u Hertza i spędził samotne dwie godziny z cometem. Poszukał odcisków i znalazł jeden zapomniany. Przez pięć tygodni ręcznie sprawdzał karty odcisków palców w Biurze Szeryfa hrabstwa Los Angeles i na policji. Na razie bez rezultatu.

Od akt samochodu po akta śladów.

Clyde miał haka na koronera hrabstwa, „Tojo” Toma Takahashiego. Tojo Tom był wielbicielem nieletnich ze szczególnym ciśnieniem na młodziutkie japońskie szparki. Crutch przydusił go i nakazał mu trzymać głowę na kłódkę przed Clyde’em. Tojo Tom się zgodził. Crutch wprowadził go do Domu Grozy dwie noce po swoim pierwszym wejściu. Wypili po pincie Jima Beama i ukoili nerwy. Pracowali przy lampie gazowej. Crutch zrobił zdjęcia. Tojo Tom zbadał i zapakował części ciała, pobrał próbki krwi i tkanek. Crutch zrobił fotkę tatuażu na ramieniu i geometrycznych śladów na ścianach. Tojo Tom usunął zmiążdżone zielone kamienie z rany na ramieniu i zapakował je osobno.

Zajęło im to kilka godzin. W koszmarnym smrodzie. Crutch trzymał latarnię, a Tojo Tom odgarniał czerwie. Tojo Tom nazwał to niuchem patroszenia. Ofiarą była młoda Latynoska. Przeanalizował jej krew i wezwał Crutch’a, jak już miał wyniki. Grupa 0+, bardzo powszechna, żadnych cech charakterystycznych. Znalazł dziwny pył w tkankach w ranie i poddał go analizie. Bardzo dziwne: toksykologia nic nie wykazała. Crutch zrobił u gemologa analizę fragmentów zielonych kamieni. Szmaragdy? Nie, zwykłe zielone szkło.

Od akt śladów po akta tatuażu. To już robota na szerszą skalę.

Crutch udał się do czterdziestu siedmiu salonów tatuażu w LA i okolicach. Pokazał zdjęcie części tatuażu nieskończonej liczbie tatuażowych świrów. Na razie bez skutku. Od akt tatuażu po akta tropów. Udał się znowu do Wydziałów Rejestracji Ludności Biura Szeryfa i Policji. Sprawdził zdjęcia zatrzymanych, dalekopisy i protokoły przesłuchań pod kątem Gretchen/Celii i nic nie znalazł. Od akt policyjnych po akta Urzędu Imigracyjnego. Przejrzał zdjęcia wszystkich imigrantek z każdego istniejącego kraju Ameryki Łacińskiej i nie znalazł żadnej wzmianki o Gretchen/Celii. Jej dominikańskie prawo jazdy okazało się lipne. Wydział Komunikacyjny nie miał żadnej obywatelki Dominikany. Ten nielegalny numer, który dzwonił do Centrali Bev? Na razie bez rezultatów.

Od \$\$\$\$\$ do ????? i z powrotem – symbole dolara, znaki zapytania i zera.

Pocałunek. Cienie w jego wizji pojawiały się i znikwały. Siwe pasma włosów kobiety z blizną po nożu. Nie miała imienia. Gretchen/Celia miała dwa. Chciał znać imię tej kobiety. Rysował jej portrety i rozklejał je na ścianach. Nadał jej wizerunkom prawdziwe rysy, nie rysy Dany Lund.

Ich rozmowa – „Grapevine”, „Tommy”, „wtyka” – co to znaczyło? Sprawdził przewodniki po miastach w całym kraju. Znalazł 216 restauracji, hoteli, moteli i barów z Grapevine w nazwie. Nie wiedział, gdzie powinien zacząć sprawdzanie, czy w ogóle powinien zacząć ani czy to ma jakieś znaczenie.

Więc Gretchen/Celia rznąła facetów i kradła im pieniądze. „Al”, „Chuck”, „Lew”, doktor Fred, pewnie Farlan Brown. Sal Mineo podał wszystko, co wiedział. Gretchen/Celia była podobno lewaczką. Co z tego wynikało? Chciała się dostać do Farlana Browna – i co z tego?

Kobieta z bliźną po nożu – jaką ona odgrywała w tym rolę? Martwa kobieta w Domu Grozy – czy miała z tym coś wspólnego?

Myśli Crutch krążyły wokół tych pytań, on sam oglądał telewizję. Na ekranie miał obraz murzyńskich zamieszek, a w słuchawkach szum z sąsiedniego pokoju. Martwa cisza – w apartamencie Farlana Browna ciągle cisza.

Avco Jewelers. Gretchen/Celia zasięga porady na temat cięcia szmaragdów. Odłamki zielonego szkła w ramieniu martwej kobiety.

Znaki zapytania, symbole dolara...

Sześć razy okrążył Las Vegas. Śledził Farlana Browna i Wayne'a Tedrowa juniora. Zobaczył ich w Pustynnej Karczynie. Wsiedli do prywatnej windy i pojechali do matecznika Drakuli. Brown nie spotkał się z Gretchen/Celią w Vegas. Na pewno. Może ona nigdy z nim nie spała. Może orznęła go w LA i spłynęła. Sprawdził, czy Gretchen Farr lub Celia Reyes pojawia się w książce telefonicznej Miami i na listach pasażerów. Nie znalazł żadnych Gretchen. Znalazł dziewięć Celi i sprawdził prawa jazdy wszystkich. Żadna z nich nie była nią.

Sprawdził, czy w rezerwacji lotów do Miami pojawia się Wayne Tedrow jr i był. Sprawdził rezerwację hoteli i namierzył go w Doral. Trzy razy jeździł za Wayne'em juniorem. Wayne junior mógł go zauważyć. Prokurator Okręgowy hrabstwa Clark przekazał plotki z Vegas Clyde'owi Duberowi: możliwe, że Wayne junior sprzątnął w czerwcu Wayne'a seniora.

To wszystko go kołowało. Przesztawiało mu wszystko, stawiało na głowie.

Śledzenie dało superrezultaty. Wayne junior dwa razy spotkał się z odzianym na czarno facetem wyglądającym na obcokrajowca. Crutch wszedł do domu, w którym ten mieszkał, sprawdził jego dane. Jean-Philippe Mesplède, francuski najemnik, czterdzieści pięć lat. Mesplède i Wayne dwa razy przetrzasnęli Małą Hawanę. Crutch podążył za nimi. W czym rzecz: szukali dwóch Kubańczyków, Gaspara Fuentesy i Miguela Diaza Arredonda.

Zamieszki czarnuchów przybrały na sile. Ekran telewizora niemal pulsował. Asfalty rzucały koktajlami Mołotowa. Asfalty ganiały za białymi z drągami. Crutch usłyszał ruch w pokoju obok.

Tak, to głos Farlana Browna. Daje napiwek bojowi. Znowu drzwi. Boj wyszedł. Odgłos wykręcania numeru. Nuda – Brown nawija z żoną.

Ble, ble – dzieciaki w porządku, pies ma pchły, też cię kocham. Odgłos odkładania słuchawki. Odgłos otwierania drzwi. Głos młodej kobiety.

Tak, trafiony...

Negocjowali – pięć dych za obciążanko, setka za obciążanko i jebanko. Brown wybrał to drugie. Łóżko stało pod ścianą. Szum klimatyzacji zagłuszył większość numerka. Szczytowanie całkiem się rozmazało.

Brown przechwalał się postkoitalnie: jestem wielką fiszą u Howarda Hughesa. Dziwka spytała: „To coś wielkiego?”. Brown głądził. Jestem świetny, jestem luzak, rządzę. Prowadzę

Hughes Airways. Będę kierował lotami czarterowymi Hughesa do kilku fajnych nowych ośrodków mafijnych.

Dziwka stłumiła ziewnięcie. Skrzypnęły sprężyny łóżka. Odgłos zamka błyskawicznego. Pa, skarbie – wyszła.

Brown wrócił do telefonu. Crutch powcisnął guziki na konsoli i uruchomił podsłuch telefoniczny. Usłyszał coś niewyraźnego i sygnał wybierania. Usłyszał szorstkie „Halo”.

– Freddy, tu Farlan – powiedział Brown.

– Co jest, *paisan*? – spytał jakiś facet. Crutch rozpoznał głos: szantażysta Fred O.

Uruchomił nagrywanie. Szpuła się obróciła. Słyszał dokładnie zakłócenia i głosy.

Brown: „...Miami. Wiesz, na konwencję”.

Otash: „Nixona. Jezu, ta pieprzona przeróbka ma chyba, kurwa, dziewięć żyć”.

Brown: „To ma długi termin ważności. On wygra”.

Otash: „Mam w Pieczarze bukmachera. Mój człowiek mówi, że idą łeb w łeb”.

Brown: „Ja bym się spierał”.

Otash: „To obstaw coś, ty skąpy mormoński skurwielu”.

Brown: „Tysiak na Dicka. Nie żartuję, Freddy. Węszę zwycięstwo”.

Otash: „A ja węszę, że próbujesz ożydzić mnie na cenie pokoju. O to chodzi, co nie? Twój stary kumpel Freddy jest teraz hotelarzem, więc trochę go podoimy”.

Śmiech – wartości sześciu sekund.

Brown: „...Freddy, ty to jesteś petarda”.

Otash: „Ja to mam petardę. Jestem dobrze podwieszonym Amerykaninem libańskiego pochodzenia”.

Śmiech – wartości dziewięciu sekund.

Brown: „Dobra. Potrzebny mi duży apartament w Pieczarze. Impreza dla kilku delegatów demokratów, tuż przed konwencją. Gorzała i panienki, Freddy. Znasz mój styl”.

Otash: „Kiedy?”.

Brown: „Dwudziestego trzeciego sierpnia”.

Otash: „Dam ci trzysta osiem. To mój prywatny apartament, więc traktuj go dobrze albo poszczuję cię Drakulą”.

Brown: „Oj, boję się, boję się Drakuli”.

Otash: „No ja myślę, ty mormoński lachociągu”.

Brown: „Wolę skurwiela”.

Otash: „No to jeszcze potwierdź pogłoski”.

Brown: „Jasne”.

Otash: „Powiedz prawdę. Wayne junior pracuje dla Hrabiego”.

Brown: „Tak, wysoko stoi”.

Otash: „Junior to kurwa, zawsze spada na cztery łapy”.

Brown: „Zechciałbyś rozwinąć”.

Otash: „Bez komentarza”.

Brown: „To mamy wszystko załatwione?”.

Otash: „Tak, widzimy się dwudziestego trzeciego. Dzięki i spadaj”.

Dwa kliknięcia – rozłączyła się rozmowa w Miami i w Vegas. Crutch przełączył się na podsłuch. Proszę: ziewnięcia, skrzyknięcia, cisza i chrapanie.

Powyłączał sprzęt. Była 1.14 w nocy. W brzuchu mu burczało. Śledził w porze obiadu i potem trochę. Zadzwoił do pokoju Freddy’ego Tarentine’a i obudził go. Powiedział, że mają do założenia podsłuch w Vegas – w apartamencie, do 22 sierpnia.

– Przypomnij mi jutro – powiedział Freddy i się rozłączył.

Telewizja ciągle nadawała. Nixon pokazywał Victorię. Co za przygłup. Zawsze wyglądał na nieogolonego.

Crutch ziewnął i zrobił się nerwowy. Połknął cztery tabletki deksty i chwycił kluczyki do wynajętego wozu.

Kiedy kilka razy źle skręcił i zawrócił, stracił orientację. Dorał znajdował się w pobliżu Eden Rock. Hotel Wayne’a juniora – odległy o dwie minuty jazdy. Jednokierunkowe ulice wyprowadziły go na groblę. W wodach zatoki kotłowało się od konfetti i unoszących się na powierzchni tablic z Nixonem. Znaki wyjazdu go skołowały. Boczne uliczki jeszcze bardziej. Poczł dym. Usłyszał wystrzały. Okolica zamieniła się w slumsy. Zobaczył dwóch czarnuchów podpalających plymoutha ’59.

Czarnuchy też go zobaczyły – Białas! Białas! Białas! Crutch wcisnął gaz i zawrócił. Smoluchy rzuciły się w pogoń. Wysoki smoluch rzucił żarzącym się drągiem i trafił w tylną szybę. Drąg się rozwalił, szyba pozostała nietknięta. Smoluch wywrzeszczał jakieś smolusze hasła i wrócił do plymoutha.

Crutch odzyskał orientację. Jechał szybko i kierował się z dala od płomieni i odoru dymu. Współczynnik wędrujących smoluchów do pijanych smoluchów i werandowych próżniaków wzrósł. Dotarł do strefy bezkoksowej, do grobli i właściwej Miami Beach. Ten objazd ożywił go jak cholera. Przeszukał radio i znalazł stację z soulem. Słuchał z radością *The Tighten Up* Archiego Bella i *The Drells*.

Zaparkował pod Doralem. Gapił się na drzwi i słuchał muzy. DJ wygadywał jakieś prorozruchowe komunistyczne pierdoły z wmieszaną w to spokojną asfaltową muzą. Wayne Tedrow junior wyszedł o 2.49. Wpakował się do wynajętego wozu. Crutch ruszył za nim.

Na ulicach ciągle jeszcze panował wzmożony ruch po konwencji. Łatwo było śledzić. Crutch ciągnął dwa samochody z tyłu. Wayne junior trzymał się strefy bezbambusowej i zmierzał do Małej Hawany. Dotarł do domu, w którym mieszkał Jean-Philippe Mesplède

i odebrał Żabojada. Crutch skumał: ciąg dalszy poszukiwań Gaspara Fuentesesa i Miguela Diaza Arredonda.

Przeskoczyli Flagler Street. Kawiarnie były otwarte do późna. Koleś w radiu gadał z ludźmi na ulicy. Podpalenie pod siedzibą Rady Wolności Kuby – jakieś mekse podpaliły słomianą kukłę Fidela.

Mesplède i Wayne junior robili swoje. Crutch to widział. Wsiadali z wozu, szli od lokalu do lokalu i zadawali pytania. Crutch trzymał się swojego samochodu. Powoli jechał Flaglerem i patrzył. Mesplède z Wayne'em juniorem pochodzili godzinę i ruszyli autem. Ruch ustał. Crutch trzymał się cztery długości samochodu za nimi.

Wayne junior stanął przy krawężniku i podszedł do budki telefonicznej. Mesplède został w wozie. Crutch zahamował i został osiem długości samochodu z tyłu.

Wyjął lornetkę i wyostrzył. Wayne junior wrzucał ćwierćdolarówki do automatu – rozmowa niewątpliwie zamiejskowa. Crutch zrobił bardzo duże zbliżenie. Wayne junior poruszał ustami. Dwie sekundy i *halt* – Wayne junior tylko słuchał.

I zadrzał. I pobladł. I odłożył słuchawkę, podszedł do samochodu i pochylił się do okna Mesplède'a.

Znowu poruszał ustami. Crutch zrobił duże zbliżenie. Rozmowa wyglądała na gorączkową. Mesplède przesiadł się za kierownicę i ruszył, paląc gumę. Wayne junior podszedł do taksówki i wsiadł do tyłu.

Taksówka odjechała. Crutch ruszył za nią. Ruch był za mały, żeby mógł trzymać się blisko. Crutch wyłączył reflektory i podążał za tylnymi światłami taksówki. Przejechali wielki kawał Miami.

Teraz jechali przez tereny wiejskie. Droga stała się wyboista i kręta. Taksówka się zatrzymała. Crutch włączył światła w samą porę. Zobaczył, że gruntowa droga dociera do jakiegoś tandetnego lotniska. Crutch zobaczył na pasie jakiś wąty dwumiejscowy samolocik.

Zatrzymał samochód. Nie widział taksówki. Wysiadł i wyteżał wzrok w ciemności. Zbity z pantałyku. Gównno widział.

Włączyły się reflektory. Oślepiły Crutch'a. Zamrugął powiekami. Przetarł oczy. Coś w końcu zobaczył. Zobaczył Wayne'a juniora, jak stoi przy samolocie i patrzy prosto na niego.

# 12

(Las Vegas, 9.08.1968)

– Mam dla nas podejrzanego – powiedział Buddy Fritsch.

W jego salonie było lodowato. Podał whisky z wodą i chipsy. Chuck Woodrell miał grype i ciągle siąkał nosem. Dwight ciągle ciągnął za pierścień uczelni. Wayne był wyczerpany – to przez lot pełen turbulencji i trzydzieści sześć godzin bez snu.

Była 21.00. Miami wydawało się gorączkowym snem. Strefy czasowe porozciągały mu się nieproporcjonalnie.

Fritsch puścił w obieg pasek z portretem aresztanta: trzy ujęcia Murzyna. Sylvester „Pappy” Dawkins, lat czterdzieści osiem. Chudy facet o aparycji weźspierdalaj. Notatka na odwrocie: „Zatrzymania za włamanie od ’42”.

– Ho, ho – powiedział Woodrell.

– Strzeżcie dzieci – powiedział Dwight.

– To włamywacz z tendencjami do gwałtu – powiedział Fritsch. – W noc, kiedy zginął Wayne senior, przebywał w areszcie nieopodal Barstow, co nie robi nam specjalnej różnicy. Nie ma alibi na tamtą noc, a to mały dwuosobowy posterunek. Mogę przekupić tych chłopaków.

Pasek ponownie ruszył w obieg.

– Lepiej mu nie wchodzić w drogę – powiedział Woodrell.

Dwight powiedział:

– Krzesło elektryczne, skarbie.

Wayne zamknął oczy i przekazał pasek dalej.

Fritsch siorbnął swojego drinka.

– Hrabstwo Washoe ma dla niego dwa zarzuty o włamanie, nie można więc powiedzieć, że mamy do czynienia z cennym członkiem społeczeństwa. Robi kradzieże z włamaniem całkowicie zaćpany, więc będzie kiepskim świadkiem.

Woodrell skubnął chipsa.

– Podoba mi się. Widać, że przed chwilą zszedł z drzewa.

– Mam folię z odciskiem palca – powiedział Fritsch. – Możemy to przetoczyć przez próbkę krwi i przedatować.

Dwight potarł szyję.

– Ile?

– Pięćdziesiąt z mojej strony – powiedział Woodrell.

Fritscha skrzył.

– Uch... dwadziecia dla mnie? I zadbam z tego o tych chłopców z Barstow?

Dwight kiwnął głową.

– Zadzwoń, wiecie do kogo. On chce, żeby to było pozamiatane.

– Nie – powiedział Wayne.

Fritsch zamarł w połowie siorbnięcia. Woodrell zamarł w połowie skubnięcia. Wayne powiedział:

– Dość.

Woodrell westchnął.

– Większej zasługi nikt ci w życiu nie wyświadczy.

– Nie bądź bolszewikiem, synu – westchnął Fritsch.

Woodrell się zaśmiał.

– Pan Wrażliwy. Z tymi wszystkimi smoluchami na koncie.

Wayne podniósł na niego wzrok.

– Natychmiast przestań. Nie przeginaj.

Woodrell się zarumienił, kolano zaczęło mu podskakiwać.

– Słodki Jezu – jęknął Fritsch.

Dwight wskazał na nich dwóch i na drzwi. Pojęli i wyszli. Dwight wstał i podniósł Wayne'a. Dwight chwycił go za koszulę i spoliczkował.

Zapieкло. Twarz mu szczerwieniała. Wayne przełknął łyż bólu. To były ciosy miłości według standardów Dwighta Holly'ego.

– To za Janice. Za was oboje i za wszystko, w czym maczałeś ręce. Za tę chujozę, w której teraz siedzimy.

Wayne wytarł nos. Krew wypełniła mu usta. Łzy szybko wyschły.

– Trzeba tak zrobić, więc pozwól, żebyśmy tak zrobili, i nie utrudniaj mi. Potrzebuję tego od ciebie, i może potrzebuję cię do Grapevine. Otash pojechał do St. Louis, będziemy musieli z nim o tym pogadać, i może w pewnym momencie też będziemy musieli pojechać.

Krew zabawnie smakowała. Dwight go podtrzymał. Nogi mu się złożyły.

– Musisz dać radę. Potrzebne mi listy korespondentów twojego ojca i jak przyjdzie co do czego, będę chciał cię do Grapevine.

Wayne kiwnął głową. Dwight go puścił. Wayne zakołysał się i ustał.

Pościel przemokła. Jej koszula nocna była przepocona. Puls słaby i miarowy. Wayne zakręcił zaworek i wpuścił narkotyk do rurki.

Heroina. Jego mieszanka. Syntetyczna z morfiny.

Janice się rozluźniła. Wayne otarł jej czoło i ręcznikami częściowo osuszył pościel. Nocna pielęgniarka spała w salonie. Janice była cała przepocona i wyziębiona.

Wayne wziął ją za ręce.



– Trzeba zrobić jedną rzecz, żeby zapewnić nam bezpieczeństwo. Kiedy o tym usłyszysz, zrozumiesz. To nie był mój pomysł i nie ma innego wyjścia.

Janice zamknęła oczy. Popłynęły łzy. Uwolniła ręce. Wydawało się, że nic nie ważą, same żyły i kości.

Wayne odkręcił kroplówkę. Narkotyk przepłynął przez torebkę i dalej do żyły. Janice odpłynęła, wstrząsana dreszczami.

Puls miała słaby, normalny. Wayne ułożył jej włosy na poduszce. Chwycił telefon stojący na stoliku przy łóżku i zadzwonił do Mesplède'a w Miami.

Trzy sygnały. Senno-pospieszne.

– *Oui?*

– Tu Wayne.

– Tak, oczywiście. Mój przymusowy amerykański przyjaciel.

– Zrób coś dla mnie.

– Oczywiście.

– W Miami śledził mnie jeden dzieciak. Nie wiem, o co mu chodzi, ale to problem.

– Tak? A jakie masz życzenie?

– Po dwudziestce, średniego wzrostu, ostrzyżony na rekruta. Jeździ wozem z Avisy, numer rejestracyjny GQV osiem-osiem-jeden.

– Tak? A jakie masz życzenie?

– Dowiedz się, jaką ma sprawę, i załatw go.

Schówek znajdował się dwanaście mil na wschód od Vegas. Wayne senior nazywał go bunkrem Führera. Był to zarośnięty pustynną roślinnością cementowy sześcian zatopiony w sztolni. Zaraz przy I-15.

Wayne przyniósł latarkę, puszkę benzyny i zapalniczkę zippo. Znajdował się milę od międzystanowej. W krypcie spoczywały kopie traktatów nienawiści seniora i jego listy subskrypcyjne.

Wayne zaparkował w zatoczce nieopodal stacji Chevrona i piechotą ruszył na pustynię. Czterdzieści jeden stopni w środku nocy. Piasek wsysał mu stopy i spowalniał jego krok. Brnął z trudem. To był bardzo, bardzo wolny marsz. Cały czas myślał o Dallas.

Dotarł. Odgarnął gałęzie krzewów, otworzył drzwi i wyciągnął literaturę nienawiści. Tytuły raziły z okładek. Zobaczył *Pokolenie mieszania ras* i *Żydowski gulasz: książka kucharska*. Zobaczył tytuł *Papież Poncjusz. Jak papiści rządzą zżydziałymi narodami*. Zobaczył spreparowane zdjęcie doktora Kinga i małych murzyńskich dzieci. Zobaczył faksymilia eleganckich wydań Kloranu.

Ogołocił półki. Taszczył papier i atramentem zabarwił sobie ramiona na czarno. Zobaczył nagłówki nienawiści. Zobaczył pornograficzne komiksy nienawiści. Zobaczył zdjęcia linczów z żartobliwymi podpisami.

Ułożył wielki stos nienawiści. Miał ponad dwa metry wysokości. Polał go benzyną. Puścił iskrę z zippo i podpalił go.

Stos zapłonął wysoko w górę. Wielkie czarne niebo poczerwieniało.

# 13

(Las Vegas, 10.08.1968)

Niebo z czerwonego stało się pomarańczowe. Dwight stanął przy dystrybutorze i patrzył.

Płomień podświetlił piasek pustyni i autostradę. Zobaczył samochód Wayne'a w zatoczce. Przywiódł go tutaj instynkt łapsa.

Dwaj pracownicy stacji stali obok niego, wybałuszając oczy. Gorący wiatr przyniósł w ich stronę dym. Dwight podszedł do budki telefonicznej, wrzucił ćwierćdolarówki i zadzwonił do LA.

W dymie gęsto było od kawałków papieru. Dwight poczuł ukłucie. Karen odebrała natychmiast.

– Halo?

– To ja.

– Masz nie dzwonić, kiedy on jest w mieście, do diabła.

– Mów do mnie powoli, proszę – powiedział Dwight. – Tylko przez chwilę, proszę.

Karen coś odpowiedziała. Nie słyszał tego. Oczy miał mokre i szalone. Nie umiał powiedzieć, czy to od dymu, czy od pokręconej miłości do Wayne'a.

# 14

## (Miami, 10.08.1968)

Dym i ogień. Czarnuchy nie chciały przestać. Wystrzały, syreny i świetlny szoł o czwartej nad ranem.

Crutch wjechał na parking Avisy. Siadło sprzęgło w jego wynajętym wozie. Skrzynia biegów się rozwalila. Samochodem szarpało. Zadzwonił wcześniej. Facet w recepcji powiedział: w dupę z zamieszkanymi. Niech pan zaraz przyjeżdża.

Dym i ogień. Bagienny upał. Pomarańczowe niebo obramowane jasnym fioletem.

Samochodem rzuciło i zgasł na stacji benzynowej. Crutch wysiadł i się przeciągnął. Oszołomiły go upał i opary. Głowa go bolała. Non stop siedział przy podsłuchach. Był na nogach Bóg wie jak długo...

Ktoś go pchnął. Albo coś. Zatoczył się z powrotem do wozu. Głową uderzył o dźwignię zmiany biegów. Ramionami o deskę rozdzielczą. Ktoś go przyszpilił. Albo coś. Był cały czarny. Albo było.

Nagle kolano na jego plecach. Nagle pistolet wbity w twarz. Z tłumikiem i odciągniętym kurkiem.

– Dlaczego śledzisz Wayne’a Tedrowa? Mów szczerze. Ściemnianie sprawi, że umrzesz śmiercią straszliwszą.

Francuski akcent. Żabojad. Żab-couture całe w czerni.

– Powtarzam. Dlaczego śledzisz Wayne’a Tedrowa?

Crutch usiłował się modlić. Słowa mieszały mu się w głowie. Moczowody mu się napełniły. Wytrzymał. Pomógł ciężar ciała tamtego. Przypomnił sobie swój amulet – łapkę zajęczą i tajemną wiedzę Kościoła luterańskiego.

– Powtórzę.

Kiszka stolcowa też mu się napełniła. Wytrzymał. Pomógł ciężar ciała tamtego. Otworzył usta. Pisnął i wydobył jakiś dźwięk. Bóg albo jakiś inny niewidzialny pojeb zesłał mu słowa. Zobaczył swoją matkę. Usłyszał „Doktor Fred”, „Howard Hughes”, „Wtyka w Grapevine”, „Milion dolarów”. Usłyszał „martwa kobieta”, „kobieta z blizną po nożu”, „zielone kamienie”. Usłyszał „Niech mnie pan nie zabija” sześć miliardów razy w ciągu sześciu sekund.

Zamknął oczy. Napełniły mu się kanaliki łzowe. Wytrzymał. Pomogło zagryzanie języka. Sześć miliardów lat minęło w ciągu sześciu sekund. Zobaczył swoją matkę i Danę Lund sześć miliardów razy. Próbował modlitw i odgrzebywał hymny.

Ciężar zniknął. Zaciśnął moczowody, kışkę stolcową i kanaliki łzowe i wytrwał w suchości. Pachniało brandy. Zapach mocno dotknął jego warg. Otworzył usta. Odchylił głowę i upił łyk. Gardło mu się ścisnęło. Otworzył szerzej i płyn przepłynął. Otworzył oczy i zobaczył Żabojada.

– Byłem już wcześniej skłonny do litościwych ustępstw. Musisz utwierdzić mnie w przekonaniu o celowości twojego młodzieńczego uporu i potencjale potulności.

Crutch przeczołgał się na siedzenie pasażera. Serce dalej mu łomotało. Spocił się od stóp do głów. Żabojad wyciągnął się na fotelu kierowcy. Uszczknął z piersiówki i podał ją Crutchowi. Crutch gołnął brandy i wyjrzał przez okno. Dymu, syren i oddziałów prewencji było jeszcze więcej – czarnuchy po prostu nie chciały przestać.

– Może cię poproszę, żebyś przekazywał mi informacje – powiedział Mesplède.

Crutch kiwnął głową – tajes, tajes, tajes.

Piersiówka krążyła między nimi. Wręcz synchronicznie. Patrzyli nieruchomym wzrokiem, a Żabojad mówił. Tylko o KUBIE. O *le grand putain* Fidelu Castro i Sprawie Kubańskiej Wolności. O zdradzie JFK w Zatoce Świń. O polityce ustępstw LBJ wobec komuchów. O zniewieściałym dostosowaniu się Ameryki i Karaibów do zalewu Czerwonego Jeziora. O dzielnych ludziach gotowych umrzeć, żeby postawić tamę Czerwonej Fali.

Piersiówka krążyła. Przemowa się ciągnęła. Crutch miał największy w życiu zamęt w głowie.

# 15

(Las Vegas, 10.08.1968)

Nocna pielęgniarka zrobiła sobie przerwę, żeby na dole pograć na automatach. Wayne wpadł na nią w kasynie.

– Wygląda pan na chorego, przyniosę panu coś – powiedziała.

Wszedł na górę schodami i pozbył się nadmiaru ciśnienia. Wciąż śmierdział spalonym papierem. Drzwi do ich apartamentu nie były zamknięte na klucz. Wszedł do sypialni Janice.

Światła były włączone. Stojak na kroplówkę i kroplówka leżały na podłodze. Rurka wciąż łączyła się z ramieniem Janice. Igła trochę się wysunęła.

Dwie puste fiołki na nocnym stoliku. Seconal i dilaudid. Krótki liścik: „Cokolwiek zamierzasz – proszę, nie w moim imieniu”.

Wayne siadł obok niej. Jej koszula nocna wciąż była wilgotna. Zamazany obraz z roku 1964. Wrócił do domu i znalazł Lynette. Wendell Durfee przyszedł i wyszedł. Nad Vegas szalała zimowa burza. Siadł z Lynette i słuchał deszczu.

Janice umarła, ściskając pościel. Wayne odgiął jej palce i złożył je na piersi.

Zachodnie Vegas tańczyło o drugiej w nocy. W barach chłodziła klimatyzacja. W barakach nie. Ludzie siedzieli do późna na dworze, żeby się ochłodzić.

Wayne wjechał. Minął Wild Goose, Colony Club i Sugar Hill Lounge. Szlak wspomnień. Znaki „Allah jest Panem”. Nocne marki pichące barbecue na pięćdziesięciogalonowych beczkach. Ulice noszące nazwiska prezydentów i przyporządkowane literom.

Miał adres Pappy’ego Dawkinsa. To powinno być w bok od Monroe i J. Przyglądał się twarzom. Wszystkie były czarne. Zaparkowane samochody z włączonymi reflektorami. Gruchoty z klimą. Kiwać upał. Odpalić wentylację na całą noc i iść spać.

To tu: nora z pustaków w kolorze fuksji na sklejkowym podłożu.

Wayne zaparkował i podszedł. Światła były włączone. Drzwi otwarte. Pokój od frontu umeblowano wygrzebanymi na śmietniku fotelami samochodowymi. Kilkanaście wiatraków poruszało powietrzem.

Siedziało tam dwóch bambusów. Obok siebie na skórzanej kanapie z chevy’ego. Pappy wyglądał starzej niż na zdjęciu z akt. Ten drugi miał lat pięćdziesiąt z okładem i strój duchownego.

Zauważyli go. Dostrzegli. On dostrzegł lekki ruch oczu. Wiatraki poruszały odorem: kocie szczochy i zwietrzała marihuana.

Wayne zamknął drzwi. Smród przybrał na sile.

– Sierżant Wayne Tedrow junior – powiedział Pappy.

Wayne zakaszłał.

– Już nie.

– W sensie, że już nie policjant, czy że już nie ma seniora?

– W obu sensach.

– On czegoś chce – powiedział ten drugi. – Powinieneś go dopuścić do głosu.

Pappy obrócił popielniczką.

– Pastor Hazzard próbuje mnie zreformować. Odwiedza mnie raz w miesiącu bez względu na to, czy zapraszam, czy nie. Powiem mu: „Ten tu biały skurwysyn zabił kiedyś trzech braci”, on pewnie na to: „Nadstaw drugi policzek”.

Wayne odezwał się do Hazzarda:

– To zajmie tylko chwilę.

Pappy rzucił popielniczką. Przewróciła wiatrak. Powiew zwariował. Zawirowały zagnieżdżone mole.

– Pastor Hazzard uważa, że należy nadstawiać drugi policzek, ale ja z całym naciskiem oznajmiam, że tego nie zrobię, chyba że chcesz pan się skłonić i ucałować mnie w oba pośladki czarnej jak smoła dupy.

Hazzard dotknął ramienia Pappy’ego. Pappy chwycił z podłogi zbłąkany but i cisnął nim. Wiatrak się przewrócił. Powiew uderzał w ścianę. Przyklejone do ściany taśmą zdjęcie Malcolma X furkotało.

– Pastor Hazzard mówi: „Wybaczenie to największa z cnót”, ale ja z całym naciskiem oznajmiam, że tego nie zrobię, chyba że chcesz przeprosić za zabicie Leroya Williamsa i braci Swasey i innych obcych czarnuchów, których może zabiłeś po drodze.

– Pappy, proszę – odezwał się Hazzard.

– Przepraszam bardzo – przeprosił Wayne.

Pappy chwycił kolejny but.

– I tylko tyle masz do powiedzenia?

– Nie, mam więcej.

– Na przykład?

Wayne’owi zadygotały nogi.

– Kilku gliniarzy chce cię wrobić. Nie chcę na to patrzeć. Dam ci trochę pieniędzy, ale będziesz musiał zmyć się z Vegas.

Pappy zakrzyknął triumfalnie.

– Zostawić to wszystko? Tylko dlatego, że ty tak, kurwa twoja pierdolona mać, mówisz?

– Pappy, daj mu gadać – wtrącił Hazzard.

Pappy zakrzyknął triumfalnie falsetem:

– Nie ma mowy, dopóki mam ubaw i kategoryczne wymagania, poczynając od „Ej, junior, przeproś raz jeszcze”.

– Przepraszam bardzo.

*Juhu.*

– I jeszcze raz. Zaczyna mi się to podobać.

Wayne pokręcił głową. Nogi niemal się pod nim ugiwały. Pappy rzucił butem w niego. On się odsunął. Pappy sięgnął do kieszeni. Wayne rzucił się na podłogę.

Błysnął metal. Wayne poczuł w ustach piasek z dywanu i wyciągnął broń przypiętą do kostki. Pappy gmerał przy pistolecie. Pastor Hazzard zamarł. Pappy stoczył się z fotela samochodowego i wymierzył w Wayne’a.

Wypalili jednocześnie. Podłoga wybuchła Wayne’owi przy twarzy. Wymierzył poprzez pył gipsowy i powoli nacisnął spust. Trafił Pappy’ego w środek klatki piersiowej. Pappy obrócił się i pociągnął za spust. Ręką szarpnął skurcz. Strzelał na wszystkie strony.

Pociski uderzyły w wiatraki. Śmigła posiekały je i odbiły. Odłamki pocisków stały się szrapnelami. Rozleciały się szeroko i rozdarły gardło Hazzarda. On się zachłysnął i spadł z fotela. Wayne wymierzył i powoli, bardzo powoli pociągnął za spust. Kula trafiła Pappy’ego w środek twarzy. Padł na plecy. Jego głowa uderzyła w kręcący się wiatrak. Czerwień rozpryskała się dookoła.



# 16

(Las Vegas, 10.08.1968)

Sala odpraw była martwa. Policja Las Vegas od północy działała w połowicznej obsadzie. Czterej detektywi dostali cynk obejmujący całe miasto. Wpadli zdrzemnąć się na swoich biurkach albo żeby odzipnąć.

Spali. Dwight nie mógł spać. Pustynny wiatr ciągle nim obracał. Godzinę temu przechodził obok Złotej Pieczary. Fred Otash był jeszcze na nogach. Omówili jego podróż do St. Louis. Freddy pobył w Grapevine. Plotki o zamachu: ciągle rosną. Dostawcy: sześciu prawicowych zębów. Inwigilacja BAT: sporadyczna, ale nieustająca. Rezultat: nie możemy wejść pod bokiem BAT. Musimy się wstrzymać.

Dwight ziewnął. Sala odpraw późną nocą go pocieszała. Stanowili obrazek z martwą naturą gliniarską. SAS z St. Louis przesłał dalekopis. Dwight przycupnął przy maszynie.

W sali odpraw panowała cisza. Gliny drzemały. Pijaczki za kratą aresztu chrapały. Dalekopis zastukotał. Dwight wyciągnął kartkę.

Informacje lakoniczne i gówniane. Uważaj: BAT uważnie obserwuje Grapevine Tavern.

Dwight podarł kartkę i wrzucił ją do śmietnika. Wszedł gliniarz z patrolu. Tyczkowaty nowicjusz w skórze. Wykrzykiwał dobre wieści i wszystkich pobudził.

„Ofiary policzone! Ktoś skasował tego gnoja Pappy’ego Dawkinsa i jakiegoś bambusowego pastorka!”

Ulica była zablokowana. Dwight mignął odznaką policjantowi przy taśmie i przeszedł pod spodem. Za taśmą: trzy wozy patrolowe, jeden wóz koronera i dwa martwe asfalty na noszach.

Poza taśmą kręci się życie: przygłupy w koszulach nocnych, bieliźnie męskiej i piżamach. Tłuszcioch wciągający skrzydełka kurczaka o kurwa czwartej nad ranem.

Dwaj gliniarze z patrolu przy domu. Buddy Fritsch w cywilnych ciuchach, wyglądający na słusznie przerażonego.

Dwight gwizdnął długo i ostro. Fritsch usłyszał to i się obejrzał. Dwight wskazał na swoją federalną brykę. Fritsch splawił gliniarzy i podszedł do niego.

Dwight otworzył tylne drzwi. Fritsch wsiadł. Miał trzęsawkę. Wyciągnął piersiówkę i wziął dwa łyki na podtrzymanie. Dwight wsiadł i zatrzasnął drzwi. Dwóch wysokich mężczyzn – ich kolana zetknięte.

– No?

– No, jak myślisz, kto? Mam czterech naocznych świadków. Biały mężczyzna wchodzi, padają strzały, biały mężczyzna wychodzi. Metr osiemdziesiąt pięć, jakieś osiemdziesiąt kilo, ciemne włosy. Znasz kogoś takiego?

Gorzała w piersiówce dobrze pachniała – ciężki, słodki burbon. Fritsch wziął jeszcze dwa łyki.

– Wayne znowu wyszedł z siebie. Kiedy ten chłopak nie wie, co robić, idzie sobie po prostu i poluje na bambusy.

Kawałek dalej jakiś smoluszy jazgot. Dwight się obejrzał. Tłuszcioch prowadził jakiegoś zulusa w blackpowerowych okrzykach.

Fritsch pociągnął z piersiówki.

– Na dobitkę dzwoniли do mnie z kostnicy. Janice Tedrow wzięła jakieś tabletki i skończyła ze sobą.

– Ile? – spytał Dwight.

– O nieeee. Przykro mi bardzo, ale tym razem nie będzie żadnego wykupu.

– Ile, Buddy? Ty, Woodrell, prokurator i ktokolwiek jeszcze, komu musimy za to zapłacić?

– Nie-e. – Fritsch pokręcił głową. – Nie ma takich. Twój chłopak z tego się nie wyliże.

Dwight pociągnął za swój pierścień.

– Podaj mi sumę. Bądź dla siebie hojny. Dam ci pieniądze i możliwości, żebyś posmarował każdemu innemu.

Fritsch pokręcił głową.

– Nie-e. Nie ma mowy. Przykro mi, Wayne, ale zabiłeś o dwóch szwarców za dużo. Mamy rok sześćdziesiąty ósmy, synu. *Czasy, czasy się zmieniają...* – zanucił *The Times They Are a-Changin'* Boba Dylana.

Dwight się roześmiał. Fritsch się roześmiał.

– Podaj sumę – powiedział Dwight.

– Nie-e. Nie ma takiej jebanej możliwości. Ani ty, ani pan Hoover nie możecie wykupić z tego juniora.

– Jesteś pewien?

– Pewnie, że jestem pewien. Jestem absolutnie i definitywnie cholernie pewny, że tym razem nie ma metki z ceną.

– No to ostatni raz. Tak między nami.

Fritsch palcem dźgnął Dwighta w pierś.

– Tak między nami to nie. Tak między nami to jakiś czas temu zrobiłeś mi przykrość i nic mi więcej nie wciśniesz. Możesz sobie być najlepszym zakapiorem pana Hoovera, ale ja jestem policjantem, odznaczonym weteranem drugiej wojny światowej, i nie zjem już ani trochę gówna rozrzuconego przez jakiegoś fiuta z Indiany, który uważa, że jest twardym gównem, bo chodził do Yale.

Dwight uśmiechnął się i wskazał piersiówkę. Fritsch uśmiechnął się i podał mu ją. Dwight pociągnął wielki łyk i oddał ją. Fritsch uśmiechnął się szeroko i wyciągnął rękę. Rozchyliła mu się marynarka. Dwight wyciągnął mu broń z kabury i wsadził ją pod siedzenie. Fritsch przełknął ślinę. Jego jabłko Adama pod-pod-podskakiwało.

Dwight wyciągnął swoje magnum, otworzył bębenek i wyrzucił pięć nabojów. Fritsch wywrócił oczami – nie dam się nabrać. Dwight obrócił bębenek i zatrzaskał go.

– Blefujesz – powiedział Fritsch.

Dwight przystawił mu lufę do skroni i pociągnął za spust. Kurek uderzył w pustą komorę. Buddy Fritsch naszczał w spodnie. Dwight patrzył, jak plama się poszerza.

– Ile?

– Ochujales.

Dwight przystawił mu lufę do skroni i pociągnął za spust. Kurek uderzył w pustą komorę. Buddy Fritsch zaszlochał.

– Ile? – spytał Dwight. Fritsch dalej szlochał. Dwight opuścił szybę. Słyszał blackpowerowe okrzyki i widział podniesione czarne pięści.

– Dwieście – powiedział Fritsch.

– Są twoje – powiedział Dwight.

Wymagało to inicjujących telefonów. Zupełnie jak w styczniu 1957. Zostawił dwa trupy na Merritt Parkway. Pan Hoover go uratował.

Dwight zadzwonił ze swojego pokoju hotelowego.

– Tak? – Po dwóch sygnałach.

– Mówi Dwight Holly, proszę pana.

– Tak? A ten niecierpiący zwłoki temat, który chcesz omówić?

– Wayne Tedrow zabił dwóch czarnych. Potrzebna mi duża suma pieniędzy, żeby to pozamiatać, i byłbym wdzięczny za pańską pomoc.

Pan Hoover zakaszłał.

– A suma?

– Dwieście tysięcy gotówką.

– Junior jest w areszcie?

– Nie, proszę pana.

– A gdzie?

– Przypuszczam, że w domku Wayne’a seniora nad jeziorem Tahoe.

– Czy zwykle tam odpoczywa po zabiciu Murzyna?

– Tak, proszę pana.

– Ogląda w telewizji *Soul Train* w celu poprawy humoru i odpokutowania grzechów?

– Obstawiałbym raczej, że preparuje jakieś narkotyki, żeby się uspokoić i zasnąć.

Pan Hoover oddychał z trudem.

– Od bardzo dawna do mnie nie dzwoniłeś, Dwight. To chyba był styczeń pięćdziesiątego ósmego.

– Blisko, proszę pana. Pięćdziesiątego siódmego.

– Kwestionujesz jakość mojej pamięci, Dwight?

– Nie, proszę pana.

– To był styczeń pięćdziesiątego ósmego. Na Cross County Parkway dzień był bardzo ciepły jak na tę porę roku.

Tamta noc, oblodzone drogi, Merritt...

– Zgadza się, proszę pana. Zapomniałem. To było tak dawno temu.

– Prześle fundusze telegraficznie, Dwight. Jestem dla ciebie równie miękki, jak ty dla juniora.

– Dziękuję panu.

– Grapevine Tavern, Dwight. Krążą dziwaczne plotki. BAT nie może tam wisieć wiecznie. W którymś momencie trzeba będzie zdusić to bulwersujące paplanie.

– Rozumiem, proszę pana.

– Dobrej nocy, Dwight.

Zaczął mówić „Dobrej nocy, proszę pana”. Przerwał mu kaszel i odgłos odkładanej słuchawki.

Młody stracił na wadze. Włosy mu się przerzedziły. Więcej się pojawiło siwych wśród brązowych. W ciągu tygodnia stał się wymizerowany.

Dom pogrzebowy pachniał miętą. Dwight poczuł pod miętą zapach płynu balsamującego. Wayne siedział przy trumnie Janice. Trumnie z lśniącego mahoniu. Wieko było zamknięte.

Dwight przysunął sobie krzesło. Wayne spojrzał na niego.

– W środku są jej kije golfowe.

Dwight się uśmiechnął.

– Doceniłaby ten gest.

– Próbowałem go ostrzec.

– Tak właśnie myślałem.

– Miała czterdzieści sześć lat, dziewięć miesięcy i szesnaście dni.

– Jesteś chemikiem. Znasz się na rzeczy.

– Jesteś prawnikiem. Powiedz mi, o co w tym chodzi.

– Sprawa wyciszona – odparł Dwight. – Zwróciłem się do pana Hoovera. Gdybym zwrócił się do Carlosa, domyśliłby się, co się stało. Wszyscy się dowiedzą prędzej czy później, lepiej więc wracaj do gry.

Wayne wstał i obszedł trumnę. Zawahał się i przesunął palcem po słoju.

– Ciągłe mamy Grapevine – powiedział Dwight.

– Rozumiem – powiedział Wayne.

# 17

(Los Angeles, 19.08.1968)

– Podoba mi się twoja mucha i twoja fryzura – powiedział Scotty Bennett.

Crutch się zarumienił. Krata i fryzura na rekruta stanowiły jego talizmany. Miał je od tego dnia, kiedy zobaczył Dom Grozy. Przepowiadały całe jego cudowne gówna.

Scotty stał nad nim. Znajdowali się w pomieszczeniu z odciskami palców. Crutch ręcznie sprawdzał karty odcisków. Robił to od dwóch miesięcy.

– Weź mi to jeszcze raz opowiedz. Zobaczyłeś dziewczynę u Scotty’ego Smorgasburgera. Wypiła 7Up i zostawiła odciski palców na szklance, a ty od tego czasu usiłujesz ustalić jej tożsamość.

Crutch się zarumienił.

– Zgadza się. Pracuję dla Clyde’a i zachodzę tu, jak tylko mam okazję.

Scotty ryknął śmiechem – dzieciaku, rozwalasz mnie. Wcisnął dziesiątaka do kieszeni Crutch’a. Poprawił swoją muchę i przejechał dłonią po ostrzyżonych na rekruta włosach.

– Mam czterdzieści siedem lat, a ty dwadzieścia trzy. Jestem policjantem, a ty nie. Zdejmij muchę i zapuść włosy.

Dziesiątak wystawał.

– Zadzwoń do Laurel – powiedział Scotty. – Webster sześć-cztery-osiem-osiem-dwa. Powiedz jej, że prosiłem, żeby była miła.

Crutch znowu się uśmiechnął. Scotty puścił oko i przeszedł do działu rabunków. Karty odcisków wyskakiwały i krzyczały „Ja, ja, mnie obejrzyj!”.

Trzeba wracać do pracy.

Położyć kartę. Wziąć szkło powiększające. Położyć następną kartę odcisków palców i nałożyć punkty porównawcze. Odcisk z wynajętego samochodu miał wyryty w pamięci. Znał każdą pętlę i wir. Od 21 czerwca pokonał już sześć tryliardów kart odcisków.

Przeglądał, odrzucał karty, ziewał, przeciągał się, mrugał oczami. Od wyteżania wzroku miał zamglone oczy. Narzucił ostre tempo – jedna karta na minutę...

Nagle:

Świeża karta. Znajome pętle i wiry. 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10 punktów porównawczych – zgodność dowodowa.

Crutch przyglądał się karcie i powiększeniu. Otarł oczy, zmrużył powieki. Patrzył. 11, 12, 13, 14 – doskonała zgodność.

Odwrócił kartę. Przeczytał informacje:

„Klein, Joan Rosen/BK/ur. 31.10.1926, Nowy Jork, 1,64 m, 54 kg, oczy brązowe/włosy ciemnobrązowe-siwe. Znaki szczególne: „Blizna po nożu na prawym ramieniu”.

Ona, to ona, tamta kobieta. Ma imię: JOAN.

Ma czterdzieści jeden lat. Urodziła się w Halloween. Jej kartoteka wyglądała na niepełną. Crutch zobaczył aresztowania, ale zarzutów już nie. Zatrzymania za komuszenie. Pogwałcenie przepisów Ustawy o Obcych i Działalności Wywrotowej w 1944. Dwa aresztowania za napad z bronią w rękę – 1951, 1953. Żadnych numerów sprawy.

Działalność prokomunistyczna. Napady. Żadnych zdjęć z aresztowania nie dołączono. Crutch pobiegł do pracowni fotograficznej...

Jego nowe archiwum już było pełne. Pudła z aktami, stopy akt, wielkie wykresy na ścianach. Miał dwie mety w jednym mieście. Sypiał w obydwóch. W Vivian Apartments trzymał akta dotyczące matki. Akta dotyczące swojej sprawy trzymał w Elm Hotel. W obu lokalach trzymał żarcie, kuchenkę i przybory do golenia.

Crutch pojechał do Elm. Przede wszystkim wykres. Na wysokości oczu taśmą przykleił szary papier. Bazgrał po nim. Kreślił linie i strzałki i notował codzienny postęp i raporty podsumowujące.

Wyjął mazak woskowy i znalazł wolne miejsce. Napisał „Joan” i otoczył to kółkiem. Skreślił kilka strzałek z czarnymi piórkami i ostrym małym końcem, prowadzących do:

„Trop Farlana Browna prowadzi donikąd do dn. 10.08.1968. Brown ma spotkanie w Złotej Pieczarze 23.08.1968. F.T. ma założyć podsłuch w hotelu”.

„Gretchen Farr/Celia Reyes: nie znaleziono żadnych kartotek do dn. 10.08.1968”.

„Grapevine, Tommy & wtyczka: co to znaczy?”.

„Tatuaż, znaki na ścianie i puder na częściach ciała: żadnego rozpoznania do dn. 10.08.1968”.

„Nielegalny numer telefoniczny: poszukiwania numeru u operatora w trakcie”.

Crutch przejrzał wykres. Crutch poprowadził strzałki wskazujące na „Joan”. Crutch otoczył to imię wielkimi znakami zapytania.

Padł na łóżko. Przyjrzał się odbitkom z pracowni fotograficznej. Jeden pasek zdjęć policyjnych. Jedno en face, dwa profile. Joan Rosen Klein na wysokości szyi trzymała tabliczkę.

Z tabliczki poznał datę: 12.07.1963. Umiał rozszyfrować pozostałe liczby. Prefiks oznaczał „Zatrzymana jako podejrzana”. To prawdopodobnie oznaczało zatrzymanie przez patrol albo przypadkowe tarapaty. Joan była komuszką i podejrzewano ją o dwa napady z bronią w rękę – przyciągała uwagę policji.

Wtedy miała trzydzieści sześć lat. Teraz wyglądała tak samo. Nosiała okulary. Uśmiechała się w blasku flesza. Niemal czarne włosy z siwymi pasmami. Szeroka i ostra szczęka. Spokojna twarz.

Crutch zamknął oczy, otworzył oczy i jeszcze raz przyjrzał się zdjęciom. Zobaczył siwe pasma, które mu umknęły na początku.

Na łóżku leżały książki z biblioteki. Sprawdzał je od czasu po Miami. Interesował go jeden temat: Kuba.

Pozostawał w kontakcie z Jean-Philippe Mesplède. Żabojad był teraz jego przyjacielem. Rozmawiali przez telefon. Międzymiastową. LA do Miami. Żabojad go lubił. Żabojad uważał, że on jest smarkaczem na jego głowie i uparcie nie chciał traktować jego sprawy poważnie. Jebał go pies – niech tak sobie myśli. Żabojad uważał, że to tylko zawracanie głowy z dziewczką złodziejką. Crutch nie podzielił się całym mnóstwem aspektów.

Wayne Tedrow junior chciał Donalda Linscotta Crutchfielda martwego, ale Jean-Philippe Mesplède złagodził. Żabojad nazywał Wayne'a juniora niezrównoważonym i politycznie podejrzanym. Wayne junior podtrzymywał prawicowe sojusze i tłumił lewicowe skłonności. Żabojad nie mógł popełnić morderstwa dla tak skompromitowanego człowieka.

Więc Crutch musiał żyć i pracować nad swoją sprawą i przyciągać całe to swoje magiczne gówno.

Wszystkie ich rozmowy telefoniczne dotyczyły Kuby. Niesamowita wyspa. Mekka turystów. Raj skalany przez czerwonych. Jack Kennedy zdradził inwazję w Zatoce Świń. LBJ dobruchał Castro. Następny prezio zrobi to samo swoją kanalikową polityką. Żabojad marzył, by niszczyć czerwonych i odzyskać karaibski róg obfitości. Białe piaski. Bajerańskie kasyna upaństwowiono i zamieniono w koryta Trzeciego Świata. Brązowe kobiety w różowych bikini.

Crutch wertował książki z biblioteki i wyrwał kluczowe fotografie. Proszę bardzo: Fulgencio Batista przytulony do Jane Russell. Proszę bardzo: basen na dachu w Capri. Proszę bardzo: wyrobnicy ciągnący bogaczy w rikszach.

Przykleił zdjęcia do ściany. Wyrwał zdjęcie zagrzewającego Fidela Castro. Żabojad mówił o Castro „Brodacz”. W jego zaroście gnieździły się stada czerwonych wszy.

Crutch przykleił zdjęcie Castro do ściany i rzucił w nie scyzorykiem. Trafił w Brodacza cztery razy na sześć. Zdjęcie było w strzępach.

Zadzwoił telefon. Crutch chwycił słuchawkę.

– *Hola. Qué tal?*

– Słucham? – spytał dzwoniący.

Nóż wypadł ze ściany. Teraz Fidel był *mucho* poszarpany.

– Tu Larry z P. C. Bell – powiedział dzwoniący. – Buzz Duber powiedział, że powinienem do pana zadzwonić. Mam ślad tego nielegalnego numeru.

Crutch chwycił notes.

– Wal.

– To dom na Carmina Perdido w Santa Barbara. Wynajmujący nazywa się Sam Flood. Tylko tyle mam.

To nie było żadne tyle. Ksywki „Sam Flood” w cywilnym życiu używał Sam Giancana. Clyde mu to powiedział. Sam G. dzwonił do Gretchen/Celii do Centrali Bev.

Larry głądził. Ej, dupku, gdzie moja dola? Crutch rozłączył się i napisał „Lewy numer/Giancana” na swojej grafice.

Słowa wibrowały. Crutch obrysował je znakami zapytania. Korciło go, żeby narysować Joan. Przykleił jej zdjęcia policyjne do papieru i puścił swobodnie ołówek i papier.

Pochwycił jej ostrość i jej miękkość w zmieniających się portretach. Ani razu nie narysował jej pełnego portretu. Dawał jej różne fryzury. Za każdym razem zwijał albo prostował jej piękne siwe pasma.



# 18

(Las Vegas, 19.08.1968)

Nabożeństwo trwało krótko. Kapłan się spieszył. Burzowe chmury oznaczały deszcz w każdej chwili. W mowie pogrzebowej pojawiły się metafory nawiązujące do niebiańskich pól golfowych.

Janice Hartnett Lukens Tedrow: 1921–1968.

Przybyli Carlos Marcello i Dwight Holly. Przyszedł Farlan Brown. Drakula przysłał pięć tysięcy w kwiatach. Pojawiła się połowa caddych z Wydm i Piasków.

Wayne trzymał się z tyłu. Już docierało suche powietrze. Na cmentarzu obowiązywała segregacja. Droga oddzielała sekcję białych od sekcji czarnych. Biali grabarze pracowali po białej stronie. Czarni grabarze pracowali po czarnej stronie. Grabarzami na pogrzebie pani Tedrow byli rozdający w blackjacku. Mieli na sobie czerwone kamizelki, muszki i daszki. Pod groźbą deszczu bardzo się wiercili.

Numer z niebiańskimi polami golfowymi był przydługi. Wayne spojrział na drugą stronę drogi. Zaczynało się wielkie nabożeństwo. Limuzyny, karawan, ciężarówka z platformą wypchniona różami. Tłumy czarnych ludzi w czerni.

Wayne podszedł. Ludzie zwrócili na niego uwagę. Zobaczył tabliczkę przymocowaną do sztalug. Zawierała datę i nazwisko zmarłego: pastor Cedric D. Hazzard.

Karawan zaparkował nieopodal. Czterech mężczyzn zdejmowało trumnę. Podszedł kapłan i otworzył drzwi pasażera. Wysiadła czarna kobieta. Kapłan jej nadskakiwał. Zbywała go drobnymi uśmiechami i gestami.

Miała na sobie czarną suknię z krepy, toczek bez woalki. Spojrzała na drugą stronę drogi i zobaczyła Wayne'a. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 20.08.1968. Nagłówek i podtytuł z „Seattle Post-Intelligencer”:

ROŚNIE POPARCIE NIXONA W SONDAŻACH PO KONWENCJI

Były Wiceprezydent Zwiększa Przewagę Nad Prawdopodobnym Kandydatem Demokratów  
Humphreym

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 20.08.1968. Nagłówek i podtytuł z „Milwaukee Sentinel”:

W PIERWSZEJ TURZE GŁOSOWANIA

PRZEWIDUJE SIĘ PRZEWAGĘ HUMPHREYA

„Spodziewane Zamieszki Hipisowskie Na Konwencji” – Mówi Jeden z Najważniejszych  
Ludzi w Chicagowskiej Policji

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 21.08.1968. Podtytuł z „Des Moines Register”:

„Hipisi, Jipisi i Co Jeszcze” – Funkcjonariusze Oddziałów Prewencyjnych Mówią, Że Są Przygotowani

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 21.08.1968. Artykuł z „Las Vegas Sun”:

### WIELKA GOLFISTKA, WIELKA DAMA

Janice Tedrow w poniedziałkowy poranek spoczęła na Wisteria Cemetery. Flagi w każdym klubie golfowym w Las Vegas zostały spuszczone do połowy masztu ku czci kobiety, która dziewięciokrotnie wygrała mistrzostwa klubowe pań, sześciokrotnie mistrzostwa pań klubu Piaski, czternastokrotnie mistrzostwa pań klubu Riviera i była zwyciężczynią rozgrywek Polio Drive Scramble hrabstwa Clark nieprzerwanie od 1954 roku.

„Janice Tedrow grała w golfa z zerowym handicapem, nawet kiedy cierpiała na nieuleczalny nowotwór” – powiedział jej lekarz, doktor Steve Mandel. „To talent i siła woli”. Rzesze żałobników na uroczystościach żałobnych zasilili liczni caddy, i wiadomo, że przyszli, ponieważ ta kobieta była prawdziwą mistrzynią z umiejętnością kontaktowania się ze zwykłymi ludźmi.

Janice Lukens pochodziła z niewielkiego miasteczka w Indianie. W 1947 roku poślubiła inwestora i przedsiębiorcę z branży nieruchomości Wayne’a Tedrowa i wkrótce trafiła do Królowej Pustyni, gdzie należała do licznych komitetów dobroczynnych i rozgrywała najbardziej zacięte pojedynki kobiecego golfa, jakie widziała Nevada. Rok 1968 okazał się tragiczny dla rodziny Tedrowów. W czerwcu na atak serca zmarł Wayne Tedrow, a teraz przedwcześnie odeszła czterdziestosześcioletnia Janice.

„Niezbadane są wyroki Boże” – powiedział naszemu reporterowi pastor G. Davis Kaltenborn po uroczystościach żałobnych. „Dlatego właśnie wybrałem golf jako oś tematyczną mowy pożegnalnej. Życie to nieprzewidywalna wyprawa ku niepewnemu końcowi. Po pogrzebie podzieliłem się tym spostrzeżeniem z pasierbem pani Tedrow, a on odrzekł, że doskonale to rozumie”.

Spoczywaj w pokoju, Janice. Starter w Wydmach powiedział mi, że kiedy po raz ostatni grałaś w golfa na tej ziemi, miałaś cztery birdie. Już widzę tam pośród chmur wiele rundek ukończonych poniżej para.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 21.08.1968. Artykuł z „Las Vegas Sun”:

### MORDERSTWO I SAMOBÓJSTWO WSTRZĄSA MURZYŃSKĄ SPOŁECZNOŚCIĄ

Sylvester „Pappy” Dawkins miał 48 lat, na koncie dwukrotną odsiadkę za włamanie i reputację narkomana. Pastor Cedric D. Hazzard miał lat 52 i opiekował się zborom baptystów New Bethel w północnym Las Vegas. Oddany murzyńskiej społeczności w Królowej Pustyni, był równie szanowany, jak Pappy Dawkins pogardzany.

A jednak tych mężczyzn łączyła bliska przyjaźń. Często spotykali się w zaniedbanym domku Dawkinsa w zachodnim Las Vegas i rozmawiali do późnej nocy na wszelkie tematy. Teraz pogrążeni w bólu Murzyni Las Vegas zastanawiają się, na jaki temat toczyła się rozmowa tuż przed tym, jak tamtej nocy 10 sierpnia rozegrała się tragedia.

„W zasadzie nie wiemy, co doprowadziło do tej tragedii” – powiedział dziennikarzom porucznik Byron Fritsch z Policji Las Vegas. „Wiemy tylko, że Pappy zastrzelił pastora Hazzarda, a następnie wymierzył broń w siebie”.

To naprawdę straszliwa tragedia. Wielu wiernych zboru pastora Hazzarda poruszająco opowiadało, że ich świętej pamięci wielebny niestrudzenie starał się zapoznać Pappy’ego Dawkinsa ze Słowem Bożym i pomóc mu odzyskać równowagę moralną. „Ced już taki był” – powiedział Kenneth S. Wilson, dziekan Kościoła Baptystów New Bethel. „Każdy, kto go znał, powie panu to samo”.

„Mój zmarły mąż był dzielnym i uczciwym człowiekiem, który szedł za głosem serca” – powiedziała wdowa po pastorze Hazzardzie, Mary Beth. „Był oddany dobroci i sprawiedliwości społecznej”. Pani Hazzard, lat 44, jest działaczką Związku Zawodowego Pracowników Hotelowych Las Vegas i przewodziła wielu akcjom charytatywnym w miejscowej społeczności murzyńskiej. To nie pierwsza tragedia w jej życiu. W grudniu 1963 r. jej syn Reginald, wówczas dziesiętnastoletni, zniknął i nigdy się nie odnalazł. Reginald był wzorowym uczniem Liceum Seminole, laureatem wielu konkursów chemicznych. Hiobowe zgoła próby dotknęły panią Hazzard, ale ona nie upada na duchu. „Tak, mój syn zaginął dawno temu, a mąż nie żyje” – powiedziała. „Uważałam, że misja Cedrica nawracania Pappy’ego Dawkinsa jest nierozważna i nieroztropna, choć szczerą, ale zginął, okazując współczucie. Czczę go za to. Jeśli chodzi o mnie, to nie, nie ulegnę rozpaczcy ani klęsce. Mam powinności i nic mnie nie powstrzyma przed ich wypełnieniem”.

W pogrzebie pastora Hazzarda uczestniczyło ponad 300 osób. Na Wisteria Cemetery złożono wiązanki o szacowanej wartości 10 000 \$. Pani Hazzard i członkowie zboru New Bethel rozdali je pacjentom miejscowych szpitali.

Pastor Cedric Douglass Hazzard: 1916–1968. Niech spoczywa w spokoju.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 22.08.1968. Nagłówek i podtytuł z „Las Vegas Sun”:

HUGHES MA CHĘĆ NA GWIEZDNY PYŁ

Czy Przepisy Antytrustowe Pokrzyżują Plany Króla Względem Strip?

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 23.08.1968. Nagłówek i podtytuł z „Las Vegas Sun”:  
MILIARDER PUSTELNIK DO HRABSTWA CLARK: „CHCĘ WAS KUPIĆ!”  
Hughes Chce Kontynuować Szaleńczy Wykup Hotelu

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 23.08.1968. Wiadomość teleksowa. Od: Jednostka kontrolna, Biuro St. Louis, Federalne Biuro do spraw Alkoholu, Tytoniu i Broni Palnej. Do: Jednostka operacyjna, wszyscy funkcjonariusze. Temat: Inwigilacja Grapevine Tavern.

Panowie,

kontynuować całodobową inwigilację lokalu, zgodnie z wszystkimi wcześniejszymi wytycznymi operacyjnymi.

Thomas T. Wiltsie, agent dowodzący

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 24.08.1968. Okólnik dla funkcjonariuszy operacyjnych. Od: Fred Turentine. Do: Clyde Duber i współpracownicy (do wiad. Clyde’a Dubera, Buzza Dubera, Dona Crutchfielda). Temat: Inwigilacja elektroniczna apartamentu 308, Hotel-Kasyno Złota Pieczara, Las Vegas (dot. Śledztwa dr. F. Hiltz–Gretchen Farr)

C.D., B.D., D.C.,

z wczorajszego podsłuchu w Pieczarze nie mam w zasadzie nic. A dokładnie: nic prócz mormonów, dziwek i plotek o konwencji dem. w Chicago. Farlan Brown rozmawiał o swoich planach obecności na konwencji (organizacja Hughesa zabezpiecza zakłady wyborcze przez podlizywanie się ludziom Humphreya). Nie omawiano niczego, co by dotyczyło dr. Hiltza albo G. Farr. Słyszałem częściowo i z jednej strony, jak Fred Otash rozmawiał przez telefon o spotkaniu w dn. 30.08.1968 z Wayne’em Tedrowem i „może innymi”, ale nic więcej. Poza tym nic, tylko popijawa. D.C. będzie na konw. w Chicago, więc może tam śledzić temat. Podsłuch jest w tej chwili nieaktywny, ale na miejscu. Zdejmę go, kiedy dostanę informację, że apartament jest pusty.

Pozdrawiam

F.T.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 25.08.1968. Dosłowny zapis rozmowy telefonicznej sporządzony przez FBI. Oznaczony: „Nagrany na polecenie Dyrektora”/„Tajne 1-A: Zastrzeżone dla Dyrektora”. Rozmawiają: Dyrektor Hoover, Agent Specjalny Dwight C. Holly.

JEH: Dzień dobry, Dwight.

DH: Dzień dobry panu.

JEH: Kopę lat.

DH: To prawda, proszę pana.

JEH: Wayne Tedrow jr. Proszę mi przybliżyć rezultat jego ostatniego nieszczęśliwego wypadku w Czarnogrodzie.

DH: Wyczyszczone, proszę pana. Dochodzenie koronera orzekło, że to zabójstwo połączone z samobójstwem. Prasa donosi to samo.

JEH: Cieszę się ogromnie. A Grapevine Tavern? Czy to nadal puszka Pandory rozmów szkalujących dobre imię Biura?

DH: Tak, proszę pana.

JEH: A BAT? Ciągłe tam siedzą?

DH: Na razie tak, proszę pana.

JEH: Nie mogą tam siedzieć wiecznie.

DH: Mam tego świadomość, proszę pana.

JEH: Omówmy OPERACJĘ BARDZO ZŁY BRAT. Martwe bambusy Wayne'a juniora zaostrzyły mi apetyt.

DH: Zabezpieczyłem kopię list subskrybentów Freda Hiltza. Przeglądam je pod kątem ewentualnego infiltratora.

JEH: I zapłacił mu pan z tej gotówki, którą panu dostarczyłem na ratunek juniora.

DH: Tak, proszę pana. Dziesięć tysięcy gotówką i funt kokainy.

JEH: Biedne jego zatoki. Aż strach myśleć.

DH: To prawda, proszę pana.

JEH: I nadal pan szuka informatora? Najlepiej kobiety?

DH: Tak, proszę pana.

JEH: I informator nr 4361 rozważa kandydatury?

DH: Tak, proszę pana.

JEH: Ach, Dwight. Twój tęskny ton, kiedy o niej mówimy, jest niemal infantylny.

DH: Nie wszystko da się ukryć, proszę pana.

JEH: Syn Klanowca i kwakerska pacyfistka. Sam Bóg niechybnie nie może wyjść z podziwu nad waszymi intymnymi pogawędkami.

DH: Są bardzo żywe, proszę pana.

JEH: Czy rozmawiacie czasami o mnie?

DH: Nieustannie, proszę pana.

JEH: Niepokoi cię, że ona może nagrywa wasz problematyczny związek dla potomności? Na liście jej osiągnięć życiowych znajduje się prowadzenie pamiętnika. Mogła zanotować to i owo o swoim skłonny do tajemnic kochanku.

DH: Przeszukałem jej mieszkanie, proszę pana. Jej notatki wówczas były wyłącznie pochwalne.

JEH: I słusznie, nie wątpię.

DH: Dziękuję panu.

JEH: Starzeję się, Dwight. Wiem o tym i wiem, że pan wie. Jestem jak bokser, który od bardzo dawna walczy na ringu, ale wciąż jestem niebezpieczny, właśnie z tego powodu.

DH: Doskonale to rozumiem, proszę pana.

JEH: Miłego dnia, Dwight.

DH: Miłego dnia, proszę pana.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 25.08.1968. Fragment ukrytego pamiętnika Karen Sifakis.

Los Angeles, 25 sierpnia 1968.

Powinam być w Chicago. Jak-Mu-Tam zatrzymuje się tam w drodze do Filadelfii i będzie do mnie dzwonił z doniesieniami. Będzie niedobrze. Wszyscy to wiedzą. Wszyscy wiedzą, że wybór pomiędzy Nixonem a Humphreym to żaden wybór i że wojna się nie skończy, bez względu na listopadowy wynik. Ten wpis i wszystkie inne wpisy, które może napiszę w czasie konwencji, znajdą się tu w moim drugim dzienniku, tym, który ukrywam w szkole i którego Dwight nigdy nie zobaczy. Mogę zapisywać nazwiska. Pan Hoover (a zatem i Dwight) nie wyściubia nosa poza raporty i myśli, że wszyscy się ze wszystkimi znają i po prostu czasami się zmagają, żeby podjąć jakąś akcję polityczną. Oczywiście, to nie jest prawda. Tak wszechobecnie mogą się zdarzyć romanse – zwykle krótkie i namiętne i z racji partykularnych interesów z góry skazane na niepowodzenie – a nie karalna konspiracja polityczna. Paranoja określa zarówno prawicę (choć Dwight zwykle się jej wystrzega i od czasu do czasu krytykuje ją z nutą szyderczą), jak i lewicę. Każdy się z każdym zna, każdy podejrzewa każdego, a także każdego potrzebuje. Wśród tego przewijają się sprawy polityczne i sprawy osobiste, co niewątpliwie decyduje o wrogich światopoglądach, potajemnych sprawach i głębokim poczuciu koleżeństwa, które łączą Dwighta i mnie. On jest dla mnie towarzyszem, tak jak ja dla niego.

Boże, Dwight Chalfont Holly i „towarzysz” w jednym zdaniu.

W Chicago będzie niewesoło. Danny T. i Sid F. dzwonili podzielić się przecuciami. To marksistowscy nixoniści w swojej determinacji, żeby rozpieprzyć Huberta Humphreya i wybrać człowieka, który wprowadzi większy ucisk i odda lepszy strzał w rewolucję w jakimś nieokreślonym późniejszym momencie. Oczywiście ofiarą padnie wielu ludzi, których życie się pogubi lub zniszczy, i tylko tacy utylitaryści jak ja (i ośmielam się powiedzieć – tacy jak D.H.) rozumieją, że to czysto destrukcyjna głupota. Dwight może mnie namówić niemal do wszystkiego, jeśli da radę mnie przekonać, że to zdoła odwrócić zniszczenie i śmierć. Chicago wydaje się powszechnie upragnionym momentem szczerego oburzenia i straszliwej nienawiści, która jest politycznie i duchowo uzasadniona ponad wszystkie utylitarystyczne względy, i to właśnie mnie przeraża.

Ogrodzenie wokół hali, na której odbędzie się konwencja, zwieńczono drutem kolczastym. Przyjedzie 5000 policjantów z prewencji, a 5000 będzie czekać w gotowości. J.M.T. (który w głębi ducha i upiornie uwielbia broń) powiedział, że Maury W. widział skrzynie z wyrzutniami rakiet rozładowywane na O'Hare. W perspektywie jest strajk taksówkarzy; kierowcy autokarów zgłaszają gotowość do strajku; Międzynarodowe Braterstwo Elektryków zaczęło strajkować 8 maja, w związku z czym usługi telefoniczne w mieście i okolicach są w stanie chaosu. J.M.T. przewiduje obecność 100 000 radykałów lub ich zwolenników (głównie durnych intrygantów z kontrkultury i bezmyślnej lewicy). Będzie źle, bo już od dawna się tak zapowiada, i muszę zrobić zestawienie strasznych i strasznie przyciągających uwagę kosztów, co z kolei sprawia, że wszystko to staje się dla mnie jeszcze bardziej godne ubolewania.

Będę się więc modlić o pokój i będę czuć, jak rośnie we mnie Eleanora i kochać się z Dwightem, który wiele wie o tym, co robię, ale nie może się z tym uporać, bo chwila moralnej eksplikacji doprowadziłaby go do szaleństwa.

Jak zawsze zadziwię się w następstwie swoich modlitw i będę się zastanawiać, jak wiele albo jak niewiele wymiernych dóbr nasze dziwne koleżeństwo sprzecznych ideologii daje światu. Wzajemne korzyści. Wydaje się to brutalnie kapitalistyczne, ale jest jak najbardziej egalitarystyczne w obrębie tego upośledzonego kontekstu.

Dwight potrzebuje informatora, który by pracował w SCP i FWMM. Niemal mnie przekonał, że te grupy bezwzględnie dbają o własne interesy, że są ideologicznie błędne i destrukcyjne. Powinam przedstawić go Joan?

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 25.08.1968. Nagłówek i podtytuł z „Los Angeles Times”:

KONWENCJA DEMOKRATÓW ZWOŁANA

Nad Wietrznym Miastem Wisi Widmo Zamieszek Na Tle Politycznym

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 25.08.1968. Nagłówek i podtytuł z „San Francisco Examiner”:

DO CHICAGO PRZYBYWAJĄ ŻOŁNIERZE

Napięcie Rośnie – Mobilizacja Protestującej Młodzieży

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 25.08.1968. Wiadomość teleksowa. Od: Jednostka nadzorująca, Biuro St. Louis, Agencja Federalna do spraw Alkoholu, Tytoniu i Broni Palnej. Do: Jednostka operacyjna nr 112, wszyscy funkcjonariusze. Temat: Inwigilacja Grapevine Tavern.

Panowie,

inwigilacja Grapevine ma się zakończyć 1.09.1968. Tego dnia należy zaprzestać wszelkich form inwigilacji. Prokurator krajowy uznał zebrany materiał za niewystarczający do sporządzenia aktu oskarżenia.

Thomas T. Wiltsie, agent dowodzący

# 19

(Los Angeles, 25.08.1968)

Listy:

Subskrybenci nienawistnej poczty, uczestnicy nienawistnych spotkań, miłośnicy nienawistnych komiksów.

Powiązania z:

Kartotekami przestępców, listami z Wydziału Komunikacyjnego, listami grup wywrotowych.

Powiązania z:

Nienawistną literaturą. Przykładowe egzemplarze. Całe gówny nienawiści do białego człowieka. Czarni zadymiarze powiązani z tymi wszystkimi pierdolonymi listami.

Dwight pracował w dziupli. Utworzył stopy papierów z zasobów doktora Freda i kopii dokumentów z Policji LA i Wydziału Komunikacji Kalifornii. Nienawiść, nienawiść, nienawiść. Wielkie stopy papierów. Himalaje nienawiści.

Siedział w tym od wypadu do Las Vegas. Zaczął z kartotekami biura wywiadu policji miejskiej. Szukał gliniarzy Murzynów z doświadczeniem infiltracyjnym. Nie znalazł. Wrócił więc do listy subskrybentów. Zabezpieczył papier i przetrzebił papier i zbudował półki, żeby zatrzymać na nich papier. To było polowanie na nazwisko Murzyna. Znajdź czarnego króliczka nienawiści. Skaptuj go, zmusz lub podstępnie zwab – i naucz go, jak znowu nienawidzić.

Zalew nazwisk wciągał. Nienawistna literatura i nienawistne zdjęcia budziły rechot. Biali mężczyźni mieli małe fiutki, czarni mężczyźni mieli wielkie fiuty, diaspora wielkości fiuta określała czarną historię. Żydowski lekarze rozsiewali anemię sierpowatą. Audrey Hepburn urodziła czarne dziecko Jima Browna. Lawrence Welk był tak naprawdę czarny. Count Basie był tak naprawdę biały. John Glenn był pierwszym czarnym astronautą na świecie.

Dwight szukał nazwiska. Od A do Z i z powrotem. Małe gówny, jak kamyk, który powoduje całą lawinę. U, V, W, X, Y, Z i z powrotem do A.

Arthur Atkinson był czarnym nazistą. Willis Barrett subskrybował magazyn „Polowanie na białasa”. Ricky Tom Belforth subskrybował „Chcę czarnego. Białe dziewczki wyją o Prawdziwego Mężczyznę!”. Bistrip, Blair, Blake, Bledsoe – chwila, a co to?

Marshall E. Bowen/5652 South Denker, Los Angeles. Subskrybent antyżydowskiego traktatu nienawiści w latach 1965–1966.

Nazwisko wydało mu się znajome. Dwight zajrzał do list z WK pod B. Jest: Marshall Edward Bowen/czarny/1,80 m/80 kg/ur. 18.05.1944. Nr prawa jazdy 08466. Poprzedni adres:



8418 South Budlong. Akta WK: weryfikacja przed przyjęciem do Akademii Policyjnej Los Angeles, 11.03.1967. Aktualny adres, bingo! Również 5662 South Denker.

Nieprawidłowość. Niewłaściwość. Subskrybent nienawistnych traktatów przeciwko białej rasie, potencjalny gliniarz LA.

Tak, i chyba jeszcze gdzieś widział to nazwisko.

Dwight sięgnął po listy wywrotowców. I znowu bingo! Oto ponownie nazwisko Marshalla E. Bowena.

Na spotkaniach czarnych muzułmanów. Na naradach Ligi Czarnego Węża. Uuuu, a to dopiero zły brat. Bardzo, bardzo zły brat!

Dwight zadzwonił do Policji Los Angeles. Znał faceta w kadrach. Facet po cichu zapodawał poufne dane. Dwight poprosił go do telefonu i przedstawił sprawę Marshalla Bowena. Składał podanie do policji w marcu 1967. Dostał się?

Facet powiedział, że sprawdzi. Dwight czekał przy telefonie sześć minut. Facet wrócił, cały podjarany. I bingo po raz trzeci: Marshall E. Bowen dostał się do Policji Los Angeles.

Skończył akademię w czerwcu 1967. Przydzielony do służby patrolowej na Wilshire. Obecnie nadal na Wilshire. Sprawność fizyczna klasy A.

Marshall, ty łobuzie.

Albowiem:

Subskrybowałeś nienawistną literaturę. Chodziłeś na komunistyczne spotkania. Brachu, to bardzo, bardzo brzydko. Mogliby ci się dobrać do czarnej dupy i wywalić cię z policji.

Albowiem:

Ci, którzy cię weryfikowali, spierdolili sprawę i pominęli twoją nienawistną przeszłość. Lewicowi wrogowie białych w trybie przyspieszonym wylatują z policji.

Brzydki, brzydki chłopiec. Przydatny, szantażowalny, z-roboty-wywalalny. Już ja ci się dobiore do tej czarnej dupy.

Dziewięć sygnałów. Otash odebrał opryskliwe:

– Kto tam?

– Dwight, Freddie.

– O kurwa – powiedział Otash. – Nie mów. Grapevine.

Dwight się roześmiał.

– BAT się zwija pierwszego. Myślę, że wtedy będziemy musieli pojechać.

– A trzydziestego spotykamy się z Wayne'em?

– Zgadza się. I myślę, że wcześniej powinniśmy się spotkać we dwóch, ty i ja.

Otash westchnął.

– Wayne jest na to gotowy?

– Tak myślę – powiedział Dwight.

– Jezu, Wayne junior. Nie możesz na niego liczyć, nigdy nie powinieneś na niego liczyć.

Dwight zapalił papierosa.

– Mam pytanie o policję z LA.

– Słucham.

– Proces weryfikacji. Patrzę na kolorowego dzieciaka o nazwisku Bowen. Chodził na spotkania komuchów i w zeszłym roku dostał się do Policji LA. Powiedz mi, jak to gówno z komuchami mogło się przecisnąć przez sito.

Otash ziewnął.

– Ja znam tego Bowena. On był wtyką Clyde’a Dubera. Clyde go spreparował i wpuścił do paru grup czerwonych.

– Freddy, jesteś boski. Nie ma to jak biały człowiek.

– Nie jestem biały – odparł Otash. – Jestem, kurwa, Libańczykiem.

Marshall Bowen, jesteś zły, bardzo zły.

Clyde wskazał na ścianę. Dwight obejrzał zdjęcia. Dotyczyły napadu na opancerzoną furgonetkę. Spalone ciała, poplamione atramentem banknoty, szmaragdy. Wielki gliniarz tarmoszący dwóch czarnych.

Dwight kichnął. W biurze Clyde’a było arktycznie. Duże fotele wywoływały senność.

– Tamta sprawa – powiedział Clyde. – To takie moje hobby. I tak właśnie poznałem Marsha.

– Niewiele o tym wiem. Jack Leahy przez jakiś czas prowadził to z ramienia Biura.

– Zgadza się. Sprawa wciąż nierozwiązana, a poplamione atramentem banknoty od czasu do czasu ciągle się pojawiają w getcie. Czasami policja zabiera się za ludzi obracających tymi banknotami, tak żeby nie wyjść z wprawy. Tak właśnie było z Marshem. Nieświadomie puścił dwie dychy, a tu ups, Scotty Bennett.

Dwight ziewnął. Powieki mu opadały. Ten cholerny fotel był wymarzony do spania.

– Nie przerywaj sobie.

Clyde wypuścił kółka dymu.

– Więc Scotty dopadł Marshalla i naciskał na niego, a Scotty B. naciskający to naprawdę niemiły widok. Marsh zadzwonił do kumpla, a ten kumpel do mnie. Wyciągnąłem Marsha z tego gówna ze Scottym i zrobiłem z niego infiltratora. Wpuściłem go w kilka poronionych lewicujących grup i grup kolorowych, a Marsh był cholernie dobrą wtyczką. Uwielbia akcję, więc złożył podanie do policji i dostał się pomimo protestów Scotty’ego.

Dwight ziewnął.

– Opowiedz mi o jego poglądach politycznych. Nie może być lewicowcem ani białofobem, bo policja by go nie przyjęła.

Clyde odpalał papierosy jeden od drugiego.

– Jakich poglądach politycznych? To gracz. Żyje, żeby grać, i tylko gra się liczy, a jedyne pojeby, które nie wiedzą, że to gra, to te bogate prawicowe świry, które płacą mi, żebym

umieszczał wtyczki. To kopalnia złota. Ściągam siedemdziesiąt pięć tysięcy rocznie z Freda Hiltza i Charliego Torona.

Dwight przetarł oczy.

– Ja właśnie zrobiłem interes z doktorem Fredem.

– Mój chłopak Don Crutchfield właśnie dla niego łązi teraz za jakimś mormońskim zasrańcem w Chicago.

– Lewicowym mormonem?

– Prawicowym mormonem, jebaką, który wsadzał jednej piździe, której wsadzał Fred. Jezu, nie pytaj. To już trwa całe lato i na razie jestem na tym zarobiony trzydzieści dwa tysie.

Dwight podniósł słuchawkę telefonu na biurku. Clyde kiwnął głową zachęcająco. Dwight zadzwonił do kadrowego w Policji LA. Kadrowy ciągle miał pod ręką akta Marsha Bowena. Dwight poprosił o aktualną rozpiskę służby. Kadrowy powiedział, że Bowen jest w Chicago, gdzie odwiedza chorego ojca.

Clyde wypuścił kółka dymu aż pod niebo. Dwight odłożył słuchawkę.

– Jest w Chicago, a ja nie mogę się stąd wyrwać. Możesz tego swojego Crutchfielda poprosić, żeby za nim pochodził? Chcę coś o nim wiedzieć, zanim do niego uderzę.

– Pewnie, ale chętnie bym się dowiedział, co jest grane.

– Pan Hoover chce zamieszać trochę gówna czarnuchom.

Zjedli kolację przy telewizorze. Relacja przedkonwencyjna zajmowała cały czas antenowy. Wyglądało to jak parada upiorów. Burmistrz Daley wyglądał na kosmicznie wkurzonego. Hubert Humphrey wyglądał na z góry przegranego. Kamera pokazała długowłose dzieciaki zebrane przed halą. Wyglądały złowrogo. Gwizdały na szeregi gliniarzy z prewencji. Gliniarze wyglądali jak gargulce.

Karen patrzyła w skupieniu. Dwight jadł. Dina rysowała w książeczce do kolorowania.

Zawsze rysowała choppery i radiowozy. Doprowadzało to Karen do szału.

Materiał filmowy truł. Hasła upiorów brzmiały, jakby je zmiksowano. Kamera przejechała po buczących Murzynach. Jedna kobieta pochłaniała frytki.

Wayne siedział nad Tahoe. Był panem Naciągaczem. Drakula i Farlan Brown to intryganckie elfy. Pan Naciągacz to wypróbowany współpracownik. Przedstawienie musi trwać. Przewyciężył swój ostatni bambusowy galimatias i występował.

Materiał filmowy truł. Dina kolorowała uśmiechniętego psa i rysowała mu kły. Karen ścisnęła mu kolano i starała się nie palić.

Tłusty Murzyn wygłaszał mowę ku czci doktora Kinga. Erupcja konfabulacji. Światła przygasły do pokazu slajdów. Na ekranie pojawiło się zdjęcie Kinga. Dwight zamknął oczy. Puls mu przyspieszył. Kilka razy odetchnął głęboko i próbował się pozbierać. Karen pochyliła się nad nim.

– Ostatnio jesteś niespokojny.

- Ciągle mam przejebane ze snem.
- Kiedy jesteś niespokojny, ja też jestem niespokojna.

Dwight otworzył oczy.

- Nie bądź, dobra?

Karen się uśmiechnęła.

- Powiedz mi, jak to zrobić, dobra?

Dwight wcisnął guzik na pilocie. Telewizor się wyłączył. Dina tego nie zauważyła. Karen przesunęła dłoń po jego nodze.

- Powinnam być w Chicago.
- Jezu, kochanie.
- Mam ochotę powysadzać jakieś faszystowskie posągi.
- Chciałbym to zobaczyć.
- Może będę miała dla ciebie informatora. To kobieta, ma na imię Joan.

## 20

(Chicago, 25.08.1968)

Na Loop było gorąco. Zmienny wiatr znad jeziora mobilizował termometr do działania. Gliniarze mieli na sobie hełmy i koszulki z krótkimi rękawami. Byli uzbrojeni w pałki policyjne. Hipisi mieli ciuchy profanujące flagę. Byli uzbrojeni w butelki z colą i kamienie.

Potencjalna awantura. Obie grupy aż się do tego rwały. Nocny upał mówił: Śmiało! Tego właśnie chcesz.

Crutch patrzył. Ścisnął torbę ze spożywczego i stał poza zasięgiem. Jego fryzura na rekruta i niedzisiejsze ciuchy stanowiły kamuflaż. Długowłosi go ignorowali. Gliny uznały, że zgadza się z nimi.

Pojebstwo. Najpierw Miami, teraz to.

Starcie. Gliniarze podeszli o pięć centymetrów. Hipisi o dziesięć. Odległość się zmniejszyła, zrobiło się duszno.

Crutch patrzył. Deksedryna i kawa przyprawiały go o psychodelik. Nie spał od trzydziestu trzech godzin. W Ambasadorze siedział przy podsłuchu. Farlan Brown wyprawiał imprezę w pokoju obok. Gorzała, dziewczyny i polityczne okrzyki. Brown rznął dziewczyny i smarował delegatom. Brown obiecywał im czartery w Hughes Air. Brown przyciskał ich o szczegóły kampanii Humphreya, żeby Wayne Tedrow i spółka mogli Huberta wyruchać.

Gliniarze ruszyli się o pięć centymetrów. Hipisi o dziesięć. Odległość się zmniejszyła. Nienawiść przybrała na sile.

Crutch patrzył. Starcie przyprawiało go o nerwowość. Clyde za dużo na niego włożył. Miał ten cały podsłuch i dodatkową robotę: śledzić w mieście jednego gliniarza z LA. Od tego zadania miał teraz największe ciśnienie.

Gliniarze się podsunęli. Hipisi się podsunęli. Tłusty świr wrzasnął „Świnia!”. Gliniarze natarli. Hipisi się zachwiali. Kędzierzawy chłopak cisnął kamieniem. Ten odbił się od hełmu chudego gliniarza. Gliniarze ruszyli ławą, przodem pałki. Hipisi nie mieli gdzie się odwrócić, nie mieli zasięgu, by rzucać. Wykoszenie: gliniarze deptali, kopali i pałowali głowy na ziemi.

Do burdy podjechał samochód. Coś się zapaliło na czerwono. Dwóch czarnuchów rzuciło w gliniarzy płonący pocisk z psim gównem. Doleciał niedaleko. Torba się rozerwała i opiekła łajnem kilkoro zadeptywanych dzieciaków. Czarnuchy zrobiły ten taki gest z zaciśniętą pięścią i się zmyły.

Crutch pobiegł z powrotem do hotelu i padł przy podsłuchu. Miał widok na południe, na wozy strażackie i płomienie odbijające się od jeziora. Konsola aparatury podsłuchowej stała

w drugą stronę, do ściany. Usłyszał odgłosy ruchania. Założył słuchawki. Usłyszał odgłosy ruchania wyraźniej. Ta część roboty dla doktora Freda była czystym gównem.

Tak wyglądała robota dla Clyde'a Dubera. Nie dawała kompletnie nic na temat Gretchen/Celii i Joan Rosen Klein. Clyde oszukiwał z czasem pracy. Clyde powiedział mu, żeby nie zabierał się za Farlana Browna osobiście. Cały ten zamęt niewiele miał wspólnego z kobietami.

O pierwszej w nocy Crutch spałaszował dwie babeczki, żeby zmniejszyć działanie dopalaczy. Umieścił na konsoli zdjęcia kartotekowe Joan. Wciąż patrzył na Joan i widział nowe rzeczy.

Jego sprawa utknęła na amen. Sam Giancana czy ktoś od niego dzwonił do Gretchen/Celii. To była ważna wskazówka i utykacz. Nie bierze się kogoś kalibru Sama G.

Włamał się do biura Arniego Moffetta w drodze na lotnisko. Nie znalazł więcej notatek o Gretchen/Celii. W policji LA i Biurze Szeryfa sprawdził akta osób zaginionych w poszukiwaniu wzmianki o wytatuowanej Latynosce. Nie znalazł nic. Sprawdził Joan Rosen Klein i numery przez kontakty gliniarskie w całym kraju. Czternaście wydziałów policji, czternastu gliniarzy. Wydziały rabunków, oddziały prewencji, biura wywiadu. Nikt nic nie wiedział o Czerwonej Joan.

Mogła mieć akta u federalów. To było ryzykowne. Musiałby poprosić Clyde'a, żeby ruszył swoje federalne kontakty. Teraz Joan należała tylko do niego. Zatrzymał ten trop sobie na wyłączność.

Odgłosy rżnięcio-ssawcze ustały. Pojawił się odgłos zapłać mi zapłać. Crutch przejrzał książkę z biblioteki. Traktowała tylko o Kubie. Bunty, płonące pola trzciny cukrowej, ta klęska w Zatoce Świń. Ciągłe czytał książki. Ciągłe dzwonił zamiejscowo do Żabojada. Mesplède wciąż szukał zdradzieckich imigrantów Fuenteses i Arredonda. Oni zdradzili *le sacré la Causa*. Oni się zajmowali napadami. Mogli obrabiać domy towarowe w Des Moines albo w Duluth. Żabojad był ich serio mentorem. Żabojad pracował z Wayne'em Tedrowem, ale miał co do niego złe przeczucia. Żabojad i Wayne pracowali teraz dla hrabiego Drakuli. Ich zadanie: namącić na konwencji i zjechać jesienną kampanię Huberta Humphreya.

Freddy Turentine napisał raport o operacji z podsłuchem w Złotej Pieczarze. A tam popijawa – tylko kurwy i mormoni. Ale... Fred T. usłyszał, jak Fred O. wspomina o spotkaniu 30 sierpnia z Wayne'em Tedrowem i „może innymi”. To mogło być ważne. Wayne mógł coś powiedzieć albo dostarczyć wskazówki o kryjówce Drakuli. Jedno zdjęcie/milion dolców – stała oferta magazynu „Life”. Żabojad powiedział, że może zażądać najnowszych wiadomości o Wayne'ie. Crutch powiedział, że je dostarczy. Olśnienie: zadzwonić do Freda T. i powiedzieć mu, żeby nie związał podsłuchu.

Obok zadzwonił telefon. Crutch przełączył na podsłuch telefoniczny. Zakłócenia i zniekształcone głosy zaburzyły odbiór. Postukał w przełączniki i usłyszał Farlana Browna.

„...Wayne, cześć. Jezu, która godzina? Nie odsuwałem zasłon od prezydentury Coolidge’a”.

Wayne Tedrow: „Pierwsza dwadzieścia”.

Brown: „W nocy czy w dzień?”.

Tedrow: „Rano. Jestem na O’Hare. Czekam na tego faceta, o którym ci mówiłem. Przylatuje z Sioux Falls”.

Brown: „Francuski najemnik w Sioux Falls, Dakota Południowa. To dla mnie nowość”.

Tedrow: „Namierza jakichś dawno zaginionych kumpli”.

Brown: „Nie znajdzie ich w Chicago. My tu mamy tylko walkę klasową”.

Tedrow: „Na lotnisku jest burdel na kółkach. Same ujarane dzieciaki i dziennikarze. Jak jakiś wielki punkt zborny”.

Brown: „Hubert jest wyruchany. Dick to wykorzysta”.

Do pokoju wszedł Buzz. Crutch mu pomachał.

Tedrow: „Będziemy musieli się przespać. Zobaczymy się za pięć, sześć godzin”.

Brown coś powiedział. Zakłócenia to zagłuszyły. Crutch zdjął słuchawki.

– Bowen nie ma pokus – powiedział Buzz. – Nie pije, nie gania za dupami. To chyba najsztywniejszy kunta kinte na świecie. Do muzeów, kurwa, chodzi i do nabiałowego.

Crutch wciągnął babeczkę.

– Przejmę go.

– Że w jakim sensie? Jest wpół do drugiej. Bowen jest w domu z tatusiem, a w mieście, kurwa, wszystkim odjechało.

– Nerwowy jestem.

– Ty zawsze jesteś nerwowy.

Crutch wciągnął babeczkę nr 4.

– Wrócę za pięć, sześć godzin.

Buzz zajrzał do notesu.

– Ten pojeb jest spięty. Dwudziesta trzecia szesnaście. Minął dwa grille i bar topless o nazwie Cudeńko. Dokąd idzie? Do Całodobowej Krainy Książek u Sida.

Crutch zarechotał. Buzz opuścił głowę na pierś i zachrapał „Chrrr... śśś...”. Na zewnątrz coś wybuchło. Crutch wyrzwał przez okno i zobaczył radiowóz w płomieniach.

Nocne Chicago szalało. Błąkały się legiony długowłosych. Bryza znad jeziora zwijała ich flagi. Gliniarze błąkali się ruchami oskrzydłającymi. Wszystko wyglądało na zsynchronizowane. Gliny konne wyskakiwały z zaułków. Ich konie srały na chodnik. Ludzie wyrzucali różne rzeczy przez okna. Owoce i starocie spływały na ziemię. Nie trafiały w gliniarzy ani w hipisów. Padaly jako ogólne oświadczenie. Nie dało się określić, do kogo było skierowane.

Crutch jechał przez to wynajętym wozem. Samochody przemieszczały się w tempie subślimaczym. Pełno się robiło stłuczek. Tata Marshalla Bowena mieszkał na rogu

Pięćdziesiątej Dziewiątej i Stony Island. Miejsce dla kolorowej klasy średniej – piętrowe domy blisko ulicy.

Czas – 2.41.

Crutch zaparkował przed domem. Na piętrze się świeciło. Położył swoje zdjęcie Joan na desce rozdzielczej i patrzył na nie spod zmrużonych oczu.

Czekał. Trochę wariował. Mózg mówił „Idź”, a ciało „Śpij”. Marshall Bowen wyszedł z budynku o 3.09.

Dotarł do rogu i skręcił w główny trakt. Crutch dał mu kilka sekund przewagi. Zawrócił samochód i przeciął skrzyżowanie. Bowen szedł trzy witryny przed nim, po lewej.

Crutch stanął na luzie i patrzył. Ruch pieszy był żwawy. Bowen zajrzał do baru i dalej szedł. Wyszło paru gliniarzy, palili rozleniwieni. Zza rogu w oddali wyłoniło się kilku długowłosych i zobaczyło gliny. Crutch miał na to piękny widok.

Bowen patrzył w okna i guzdrał się. Długowłosa podniósł butelkę po coli. Długowłosa wcisnął do niej szmatkę i podpalił ją. Wszyscy długowłosi przystanęli przed ogniem. Długowłosa cisnął butelką prosto w gliny.

Spadła blisko celu. Eksplozja była niewypałem. Długowłosi wrzasnęli „Świnie precz!” i uciekli, śmiejąc się. Marshall Bowen się odwrócił... Ej, a to co?

Gliniarze rzucili się na niego. Podniósł ręce do góry: „Proszę, nie”. Gliny waliły go i zamieniały w jedną wielką miazgę.



## 21

(Chicago, 26.08.1968)

Zestaw chemiczny.

Wayne stał w łazience Farlana Browna. W lustrzanych ścianach odbijał się jego obraz. Wyglądał fatalnie. Jesteś stary, chudy i nawalony.

Chwycił kubek do mycia zębów. Zmieszał szkocką z samolotu z kawałkami opium i zmiażdżonym valium. Zabełtał to końcem szczoteczki i pochłonął szybko.

Efekt uderzył go gdzieś w trzewiach i ruszył do głowy. Nadeszło pożądane mrowienie. Oparł się na obramowaniu umywalki i spojrzął w lustro. Nadeszła pożądana odmiana.

Wszedł do salonu. Wszędzie były elfy Draka. Plus Brown i Mesplède. Sześciu brutalnych chłopów od Sama Giancany i ośmiu gliniarzy po służbie. Na podłodze martwy punkt: wielki kufer pełen bólu.

Bandziory i gliniarze siedzieli przemieszani. Brown i Mesplède stali za barkiem. Popijali śniadaniową krwawą mary zwieńczoną łodygą selera. Mesplède częstował francuskimi papierosami. W całym pomieszczeniu kłębił się dym.

Brown kiwnął głową – twoja kolej, Wayne.

– Amfetamina, halucynogeny i haszysz. Dajcie to dzieciakom i przypilnujcie, żeby w pobliżu nie było dziennikarzy. Mamy tu trochę podrzuconych dowodów. Literatura wywrotowa i poradnik, jak zrobić bombę. W tej walizce jest co najmniej pięćdziesiąt pierwszorzędných ciężkich przestępstw, każdy dzieciak, którego dorwiecie, sam dorobi ze dwadzieścia, a wy wszyscy odbijecie sobie na demokracach za to, że zrobili sobie imprezę w waszym mieście.

Kilku gliniarzy zaklaskało. Kilku bandziorów gwizdnęło. Gliniarz podał Mesplède'owi teczkę i powiedział bezgłośnie: „Są tu”. Otyły bandzior strzelił stawami palców.

Brown uderzył dłońmi w kolana. Mesplède pomachał swoją łodygą selera.

Zestaw chemiczny – Wayne zbełtał sobie koktajl na dobranoc. Nembutal i Jack Daniels – niechybnie bezpieczna dawka dla zawodowego chemika.

Spłynęło i osiadło. Wyciągnął się w oczekiwaniu na kurtynę. Od czasu Zachodniego Las Vegas była to jego szesnasta skalkulowana dawka.

Niedługo przestanie. Składniki, które uwarzył nad jeziorem Tahoe, wystarczą mu jeszcze na przyszły tydzień. Już zmniejszył dawki nasenne. Nad Tahoe osiągnął apogeum – sen

ponaddwudziestogodzinny. Kontakt z Carlosem i grupą Hughesa utrzymywał przez szyfrowaną linię. Jestem w lesie, wracam do siebie. Dysk mi wypadł.

Kupili to. Jego osobliwe zachowanie przypisali chorobie. Dwight dopiął twórczość na temat zabójstw. Z czasem pojawią się plotki. Kolejne dwa martwe bambusy – nikt się nie przejmie.

Kurtyna zaczęła opadać. Kiedy światło gasło, zobaczył czarną kobietę odzianą w czerń.

## 22

(Las Vegas, 26.08.1968)

Freddy O. opisywał Grapevine.

Wsiuńska speluna z atmosferą lasów północy przesyconą ultraprawicową nutą. Jaskrawe neony piwa Hamm. Obite poliestrem jodły. Zdjęcie bobra przyklejone nad pisuarami. Wszędzie poupychane kubki z cynglem w uchu. Serwetki z rasistowskimi komiksami – Wara, bambusie.

Dwight i Freddy unosili się na wodzie w basenie w Złotej Pieczarze. Woda była zimna jak w fiordzie. Mieli dla siebie najgłębszą część. Freddy relacjonował plotki.

Emitowało je sześć szumowin: Brundage, Kling, DeJohn, Currie, Pierce, Luce. Faceci, którzy robią napady z bronią w rękę i handlują narkotykami, z upodobaniem do prawicowych ubawów. Totalne moczymordy i ćpuny. Trzymali się razem. Co wieczór zamykali Grapevine i zostawali w środku, żeby pierdolić bez sensu. Mieli klucze do speluny. Właściciele ufali im, że zostawią kasę za gorzałę i zamkną przybytek, wychodząc. To nie oni byli obiektami inwigilacji BAT. To dobrze. BAT nie poprowadzi śledztwa w sprawie ich zbiorowego zabójstwa.

Kelner przyniósł Freddy'emu cuba libre, a Dwightowi mrożoną herbatę. Unosili się na wodzie i gadali. Freddy powiedział, że to robota na trzech ludzi. Dwight, że nie, że na czterech. Wayne zna francusko-korsykańskiego najemnika. Prezentuje się doskonale. Weźmy go.

Freddy się zgodził. Przemknęła apetyczna blondynka i rozproszyła uwagę. Dwight dosmarował sobie olejku do opalania. Omawiali spotkanie trzydziestego. Więc będziemy mieli Wayne'a i najemnika. Damy radę.

– Nie możemy przekroczyć planu – powiedział Dwight. – Tych sześciu debili i nikt więcej. Jest późno, oni są sami, wygadują te polityczne pojebstwa i nagle jebut.

– Jasne – dodał Freddy. – Przyjeżdża policja z St. Louis, pracuje na miejscu zajścia, robi testy i mówi „To i to”. Wszystkie elementy pasują do siebie.

– Musimy strzelać bez tłumików. Chcemy, żeby usłyszano i zauważono liczne wystrzały. Nie możemy użyć tłumików, bo znajdą ślady na łuskach.

– Jasne – powiedział Freddy. – Wszyscy z zasady noszą przy sobie spluwy, ale nie będziemy mieli czasu rozbroić ich i zabić z ich własnej broni. Będziemy musieli zabrać ze sobą broń z wykrywalnym pochodzeniem z St. Louis.

– Jasne, i to twoje zadanie. Ty będziesz teraz chłopcem z St. Louis, więc zrobisz włam do kilku sklepów z bronią i lombardów i zajmiesz kilka sztuk, żeby śledczy je potem namierzyli. I rewolwery, Freddy. Nie chcę, żeby nam się blokowały żadne automaty.

Freddy upił cuba libre.

– Jasne. Sprzątamy ich, podkładamy spluwy tak, jakby strzelali do siebie nawzajem, wyciągamy ich prawdziwe spluwy i przemieszczamy ciała, tak żeby dopasować plamy krwi. W tej części wszystko jest jasne i proste.

Dwight upił herbaty mrożonej.

– Wchodzimy i wychodzimy w ciągu czterech minut. Mówiłeś, że oni zawsze walą na maksa z szafy grającej, tak?

– Tak. Najgorsza na świecie oklahomska muza. I głośna.

– To dobrze. To po części zagłuszy wystrzały, a sąsiedzi są przyzwyczajeni do harmidru o każdej porze. Przy wyjściu podkręcimy muzykę, co zwiększy szanse, że któryś ziom zadzwoni ze skargą na hałas i jakiś patrol głupeków zareaguje i znajdzie ciała.

Freddy unosił się za deską.

– Jeszcze jeden zasadniczy szczegół.

– Kokaina – powiedział Dwight. – Dostali trochę czystego szajsu i odjechali. Zostawimy kilka kresek na blacie. Wayne wytopi porcyjkę. Weźmiemy parę cienkich igieł do insuliny i naszprycujemy ich koką post mortem. Możemy im się wkuć między palcami od nóg, ślady będą za małe, żeby je zauważyć przy autopsji.

– To konkretne i nie pozostawia wątpliwości – rzekł Freddy. – Od razu zostanie skategoryzowane jako wielokrotne zabójstwo białej biedoty wszech-kurwa-czasów i góra po dwunastu godzinach sprawa będzie zamknięta.

Dwight kiwnął głową.

– Zrobimy to przekonująco. I nie martw się o Wayne'a. On jest solidny.

Freddy się roześmiał.

– Martwimy się o niego, a to zimnokrwisty zabójca.

Dwight się roześmiał.

– A my mamy po prostu farta, że wsioki są białe.

Podszedł kelner z mrugającym telefonem. Freddy wyszedł z basenu i zawałczył z kablem i słuchawką. Dwight zamknął oczy i odwrócił się do słońca.

– To do ciebie – powiedział Freddy. – Ten twój Bowen jest w areszcie w Chicago.

## 23

(Chicago, 26.08.1968)

Żabojad podał Crutchowi ciasteczko haszyszowe. Ich kierowca był gliną. Na służbie. Przejazd przez strefę rozruchów w Chicago wróżył nieustanny odlot.

To był pomysł Mesplède'a. Wpadł na Crutch w holu. Crutch opowiedział się za. Bowen siedział w areszcie. Buzz pracował na podsłuchu. Pooglądać Historię, pewnie.

Mesplède kazał mu się trzymać z dala od Wayne'a Tedrowa – „Powinieneś nie żyć, *mon ami*”. Crutch się zgodził. Mesplède ponownie podkreślił swoje zasługi: „Może pewnego dnia cię poproszę, żebyś podsłuchiwał Wayne'a”. Crutch się zgodził. Historia ciągle go odnajdywała: „Najpierw Miami, teraz to”.

Chłopcy z czerwonymi flagami. Dziewczeta bez staników. Gliniarze z kipami. Nimfowate laski rzucające bukiety na Gwardię Narodową.

Gliniarz za kierownicą sunął Old Crow. Radiowóz miał klimę. Mieli pokaz, a unikali nocnego upału.

Uliczne burdy. Ciskane kamienie/pałowanie. Długowłose dzieciaki całe zakrwawione. Dzieciak bez oka. Dzieciak trzymający w ręku zęby.

– Przyznam, że wojna jest niepopularna – powiedział Mesplède. – Przyznam, że z natury się przeciąga, ale nigdy nie przyznam, że jest absolutnie konieczna.

Crutch wyglądał przez okno. Hipis pokazał mu fucka. Hipiska błysnęła cyckami.

– Donald – odezwał się Mesplède. – Wierzysz w wolną Kubę?

– Tak, szefie, wierzę.

– Wierzysz, że perfidia Zatoki Świń domaga się ciągłej reakcji?

– Tak, szefie, wierzę.

– Wierzysz, że Fidela należy obalić i że piąta kolumna, która wspiera reżim, powinna ponieść najsroższą karę?

– Wiesz, że tak, szefie.

Gliniarz za kierownicą miał przenośne radio. Mesplède sięgnął nad fotelem i wcisnął „play”. Gliniarz za kółkiem przeskakiwał po stacjach i znalazł countrową. Wieśniacki tenor śpiewał „Uwielbiam flagi i wódkę z kukurydzy. Pacyfki i trawka to nie dla mnie”.

Mesplède skrzywił się z obrzydzeniem i przełączył stację. Dysharmonijny jazz – aaaa, *oui*. Crutch skrzywił się z obrzydzeniem. Brzmiało to jak symfonia rozwalonej skrzyni biegów. Haszteczo poszło mu do głowy. Kolory na zewnątrz się zmieniły. Pojawiły się pasma i rozdwojone obrazy.

Gliniarz za kierownicą skręcił w boczną ulicę. Zniknęła głównouliczna akcja. Małe piętrowe domki, całe ciemne i śpiące.

Mesplède wyłączył radio. Gliniarz za kierownicą zjechał na bok i stanął. Crutch widział poszczególne przedmioty zdwojone i strojone. Mesplède wysiadł i gestem nakazał Crutchowi zrobić to samo. Crutch wysiadł i wypróbował chodnik. Zdwojenia i strojenia się ujedniły. Chodnik podparł jego rozluźnione członki.

Podążył za Mesplède'em. Podeszli do drzwi zatechłej chałupki. Mesplède sforsował zamek. Crutch podziwiał jego biegłość – dwa obroty wytrychem nr 4.

Weszli do środka. Było całkiem ciemno. Hałas wiatraka zagłuszał ich kroki. Crutch ruszył prosto do KOBIEŃ w swojej głowie.

Podążył za Mesplède'em. Szum wiatraka przybrał na sile. Doszli do korytarza i ruszyli nim. Przystanęli w progu. Mesplède pstryknął włącznik. Światło padło na dwóch Latynosów śpiących w wąskich łóżkach.

Pokręcili się trochę. Jeden zagderał.

– Komuniści i zdrajcy Kuby – powiedział Mesplède. – Zabij ich, proszę, dla mnie.

Wybuchła skrzypliwa muzyka. Wybuchły i zgasły kolory. Crutch poczuł w dłoni coś zimnego. Crutch zobaczył, jak Latynosi rozsnuwają się w dwoistości i troistości.

Drugi Latynos zagderał. Obaj Latynosi otworzyli oczy i spojrzeli na wejście. Obaj Latynosi rzucili się do nocnych stolików.

Crutch podniósł broń i wymierzył. Pojedyncze obrazy się zespoły. Wystrzelił z zamkniętymi oczami. Uderzenie poderwało automat. Zasypał łóżko. Słyszał huk tłumika. Czuł krew z zamkniętymi oczami. Otworzył oczy i zobaczył dwóch mężczyzn bez twarzy próbujących krzyczeć.

## 24

(Chicago, 27.08.1968)

W areszcie miejsca były tylko stojące. Radykałowie i świry tłoczyli się w ciasnej ciupie. W więzieniu zwykle siedzieli sami czarni. Zamieszki spowodowały odwrócenie kwot rasowych.

Strażnik zaprowadził Dwighta przejściem. Wzbudził wiele zaciśniętych pięści i krzyków „Świnie precz!”. Do pokoju widzeń prowadziły drugie drzwi prostopadłego korytarza. Marshall Bowen na niego czekał.

Nieźle. Wysportowany, grzeczny z wyglądu. Dobry pseudopodżegacz.

Strażnik zostawił ich samych. Dwight rzucił na stół paczkę papierosów. Bowen pokręcił głową i odsunął trochę krzesło.

Dwight odwrócił wolne krzesło i siadł na nim okrakiem. Poza odniosła odwrotny skutek. Bowen przysunął swoje krzesło bliżej.

– Nie jesteś prawnikiem. Jesteś policjantem.

Dwight zapalił papierosa.

– Jedno i drugie.

– FBI?

– Zgadza się. Nazywam się Dwight Holly, tak swoją drogą.

Bowen pochylił się niby unieżenie.

– Jesteś z biura w Chicago?

– Nie. Jestem krajowym agentem operacyjnym.

– I przejmujesz się, że policjant z Los Angeles został dotkliwie pobity bez powodu?

Dwight się uśmiechnął.

– Nie widzę żadnych obrażeń. „Dotkliwie” to przesada i wiesz o tym. Wiesz też, że nie możesz pozwać policji z Chicago i wygrać, a jeśli pozwiesz, to zniszczysz sobie reputację w policji Los Angeles.

Bowen się uśmiechnął.

– Oficer dyżurny widział moją odznakę. Gdyby nie to całe szaleństwo, już bym wyszedł.

Dwight rzucił na stół torebkę zioła.

– A czy oficer dyżurny widział to?

Bowen zacisnął pięści. Bowen uśmiechnął się wzgardliwie pod tytułem „Kumam”. Reakcja zesła kilka poziomów niżej.

– To groźba. To oznacza, że padnie oferta.

Dwight wyciągnął papierosa.

– Clyde Duber pozdrawia.

– A więc to robota przy infiltracji?

Dwight pokręcił głową.

– Odpowiedz na kilka pytań.

– Dobra.

– Powiedz mi, co sądzisz o całym tym szaleństwie.

– Przysparza mi kłopotu. Osobiście jestem politycznie urażony.

– A krzywda, której zaznali w tym kraju czarni? Możesz opisać swoje stanowisko na ten temat?

– Nie myślę za dużo o czarnych. A pan?

– Chyba myślę o nich więcej, niż powinienem.

Bowen się roześmiał.

– A dlaczego?

Dwight pokręcił głową.

– Czarne bojówki. Musisz mieć jakieś zdanie.

Bowen wzruszył ramionami.

– Zrozumiałe. Usprawiedliwione historycznie, nawet jeśli nie prawnie, dwuznacznie chwalebne, mogą być wykorzystywane przez szemranych teoretyków i zbrodniczych przedsiębiorców.

Dwight kiwnął głową.

– Dlaczego zostałeś policjantem?

– Dla podniecenia.

– I odpowiada ci służba patrolowa na Wilshire?

– Jestem trochę znudzony.

– A kogo nienawidzisz bardziej? Brutalnych gliniarzy jak ja czy bezwartościowych czarnuchów, którzy omamniają masę waszych ludzi i którzy zawsze ci się wydawali tacy, kurwa, lepsi?

– To żadna różnica.

Dwight chwycił dwie listwy krzesła i wyrwał je. Bowen nie mrugnął okiem.

– Chcę cię przygotować do służby, spreparować. Przygotuję scenariusz, że wydalają cię ze służby, i umieszczę cię w Sojuszu Czarnego Plemienia albo we Froncie Wyzwolenia Mau Mau, albo i tu, i tu, żeby wywołać konflikty polityczne i przestępcze. Musiałbyś wykonywać to zadanie pod moimi rozkazami, przez dowolny czas, o którym ja zdecyduję. Po zakończeniu zadania zaproponujemy ci wstąpienie do FBI z pensją według stawki zaszeregowania G-cztery albo powrót do policji LA na stanowisko sierżanta, z przepisową stawką zaszeregowania i trzema ocenami bardzo dobrymi na ścieżce awansu na porucznika. Pewna bardzo mądra



kwakierka powiedziała mi kiedyś „Uważaj, czego szukasz, bo to coś szuka ciebie”. Jeśli szukasz podniecenia, ta robota dostarczy ci pierwszorzędne.

– Zrobię to – powiedział Bowen.

Nagle zamrugął oczami i się wzdrygnął.

## 25

(Chicago, 28.08.1968)

Na O'Hare było strasznie. Wielka liczba przylotów, wielka liczba odlotów, wielkie masy przybywających do miasta i opuszczających miasto. Terminale zamieniły się w obozy uchodźców. Kolejki do odpraw i do bagażu stanowiły całonocne przedsięwzięcia. Dochodziło do wybuchów wściekłości. Latały wyzwiska. Drobne trącenia rozrastały się w walki na pięści.

Krążyli gazeciarze. Wszyscy czytali „Trib”. Oto zamieszki w Lincoln Park. Oto nadchodzące zamieszki w Grant Park. Nowe zdjęcia uchwyciły usta znieruchomiałe w okrzyku.

Wayne czytał „Trib”. Popychali go dziennikarze i lewicowi kapłani. Byli towarzyszami z kolejek po bagaż. Dwie godziny spędzili razem. Pogadajmy o aktach przemocy – postoiemy tu jeszcze dziewięć.

„Trib”, strona szósta: „Radykałowie schwytani z planami bomb. Możliwe zarzuty o podburzanie”.

Wayne zwinął gazetę i rzucił nią. Lesbijka siostra ze znaczkiem z gołąbką pokoju zgromiła go wzrokiem. Był nawalony. Do spotkania w Złotej Pieczarze zostały dwa dni. Grapevine wydawało się rychłe.

Taksówki wyrzuciły wyjeżdżających pasażerów i dorwały przyjeżdżających. Wayne się rozejrzył. Ten dzieciak wyglądał znajomo – debilna mucha i fryzura na rekruta.

Wayne go rozpoznał. Śledził go w Miami, teraz wyglądał na zagubionego. Mesplède miał go sprzątnąć.

Dzieciak nie widział Wayne'a. Lesbijka siostra stała się agresywna. Wskazała dwóm murzyńskim siostrom, żeby przed nim stanęły.

Wayne odpuścił.

## 26

(Las Vegas, 29.08.1968)

Niezdara. Przewody ciągle się wymykały i nie trafiały w otwory. Tak mu drżały ręce. Mózg miał zgrzany.

– Jesteś nieprzytomny, synu – powiedział Fred Turentine.

Crutch próbował się pozbierać. Zapluskwanie: apartament 307 w hotelu Złota Pieczara. Jutro miało się odbyć spotkanie Otash/Tedrow. To był ich ostatni punkt do sprawdzenia.

Wepchnął przewody do podstawy lampki i ułożył je. Kombinerki się omsknęły. Lampka zakołysała się i niemal przewróciła. Fred T. achnął, synu.

Zabił dwóch ludzi. Nie do końca się z tym pogodził. Teraz Żabojad wrócił już do Miami. Ciągle do niego dzwonił. Telefon nie cichł ani na chwilę. Martwi Latynosi to komuchy i zdrajcy Sprawy Kubańskiej. Odbierali życie i życie zostało im odebrane, i to go nie bolało. Obraz powtarzał ból. Był wtedy nawalony. Powtórka leciała w VistaVision i w Cineramie. Jego świat był podwójnie zobrazowany. Obrazy odtwarzały się podwójnie wyraźne i o połowę spowolnione.

Fred chwycił koniec kabla i zakleił go. Crutch gmerał w skrzynce z narzędziami.

Nie mógł spać. Nie mógł myśleć o swojej sprawie. Ciągle patrzył na zdjęcia Joan.

Wiatrak spod sufitu trzepotał pościelą. Od zimnego powietrza dostali gęziej skórki. Dwight poczuł skurcz. Wiedział dlaczego – Eleanora właśnie kopnęła.

– Powinnam być w Chicago – powiedziała Karen. – Nie powinnam leżeć na składanym łóżku w dziupli FBI.

Zrobiła się pełniejsza. Miała większe sutki. Zniknęły kości biodrowe.

– Źle się tam działo. Cieszę się, że nie pojechałaś.

– Jak-Mu-Tam był w Lincoln Park. Mówił, że masakra.

Dwight chwycił papierosy. Karen wyglądała na pokuszoną. Dwight je odłożył.

– Nie zmuszaj mnie do zazdrości. Albo założę mu sprawę o działalność wywrotową.

Karen się roześmiała.

– Nie wydawało ci się to nieuniknione?

– Jeśli chodzi ci o to, że było to przeznaczone i że obopólnie uzgodnione, to tak.

– Jesteś bardzo religijny, wiesz. Rozumiesz swoją osobistą odpowiedzialność przed Bogiem, ale całkowicie zaniedbujesz świeckie praktyki.

Dwight się uśmiechnął.

– Zdaję się na ciebie w tych spostrzeżeniach. I dwa dni temu zacytowałem cię w rozmowie z jednym człowiekiem w Chicago.

– Jak mnie opisałeś?

– Jako bardzo mądrą.

– A nie jako dwulicową i sprzeniewierzającą się swoim uczuciom?

– Nie posunęliśmy się tak daleko.

Karen pocałowała go w ramię.

– Znalazłeś swojego infiltratora?

– Znalazłem.

– Więc coś jest nie tak.

– Dlaczego tak mówisz?

– Jesteś napięty, ale starasz się nie okazywać napięcia. Ilekroć próbujesz mnie przekonać, że wszystko w porządku, robisz takie drobne rzeczy z rękoma.

Dwight rozluźnił ręce. Pierścień uczelniany niemal spadał z palca. Dwight nie dojadł i żył na kawie.

– Dobra, masz rację.

– Zrobiłeś coś złego czy planujesz coś złego?

Dwight spojrzał na Karen tym spojrzeniem – na tym koniec. Opadła na plecy i położyła jego dłonie na wzniesieniu Eleanory.

– Mam swojego infiltratora. Jest błyskotliwy i dobry, ale tylko tyle mogę ci teraz powiedzieć.

– Dobra. A teraz potrzebujesz informatora.

– Właśnie. A ty znasz tę Joan.

Karen się przeciągnęła.

– Będę musiała popytać. Nie znam jej osobiście. Ktoś będzie musiał ją dla mnie znaleźć.

Poczuł puls w dłoniach. Delikatny – jakby Eleanora bardziej się poruszyła, niż kopnęła.

Karen sięgnęła po papierosy. Dwight chwycił je i rzucił na podłogę. Karen roześmiała się, od czego rozkołysał się jej brzuch. Teraz to Eleanora naprawdę kopnęła.

– Kochasz mnie? – spytał Dwight.

– Pomyślę – powiedziała Karen.

## 28

(Las Vegas, 29.08.1968)

To była ona. Wiedział, że tak będzie. Zdobył zdjęcie, żeby tylko ją znowu zobaczyć.

Fotografia z Wydziału Komunikacji Nevady. Mary Beth Hazzard siedziała upozowana do zdjęcia do prawa jazdy. Urodziła się 4.06.1924. Była dziesięć lat, jeden miesiąc i czternaście dni starsza od niego.

Wayne siedział w swoim samochodzie pod WK. Przekupił funkcjonariusza, żeby dostać kopię akt kobiety. Miała prawo jazdy od 4.06.1940. Żadnych większych wykroczeń. „Musi nosić szkła korekcyjne do jazdy”.

Przeczytał wycinek z gazety. Zobaczył ją na pogrzebie. Wdowa Hazzard. Zaginiony syn. Twojego męża...

Prowadziła Związek Pracowników Hotelowych. Związek walczył z Radą Właścicieli Hoteli. Chodziło o segregację. Drakula posiadał dwadzieścia hoteli interesujących związek. W dwunastu organizowano pikiety. Policja Las Vegas obserwowała sprawę.

Wayne spojrzął na zdjęcie. Nie mógł oderwać oczu. Podobał mu się kształt jej twarzy i potok jej włosów.

## 29

(Las Vegas, 30.08.1968)

Zasilanie działało. Kable między 307 a 308 leżały solidnie. Wczoraj Crutch wywiercił małą dziurkę w ścianie. Dostęp wzrokowy i słuchowy, należycie.

Konsola stała pod ścianką działową. Crutch rozsiadł się ze słuchawkami. Fred T. wrócił już do LA. Ta robota była jego solówką.

Ostatniej nocy zadzwonił do niego Żabojad. Ich rozmowa go uspokoiła. Fuentes i Arredondo byli łajdakami i zdeklarowanymi czerwonymi. Policja Chicago zjechała śledztwo w ich sprawie. Żabojad przechwalał się i opisywał plan, w którym brał udział.

Sabotaże. Skoki nad wyspą z miotaczami ognia i z materiałem wybuchowym C4. Loty nad obozami milicji Castro. Zrzuty ulotek propagandowych. Interes heroinowy dla sfinansowania operacji.

Żabojad wyłożył nikczemne poczynania Fuentes i Arredonda. Byli oni czerwonymi wszami gnieźdzącymi się w *putain* brodzie Fidela. Crutch zaczął się oswajać ze swoimi zabójstwami. Poszedł do szwaczki i kazał sobie przyszyć małą dwójkę do muchy.

Otworzyły się drzwi do 308. *Klik/łup* – to był taki dźwięk. Crutch sprawdził dziurkę. Punktualnie – Fred Otash i Wayne Tedrow.

Usiedli. Gawędzili. Siedzieli za daleko od podsłuchu w lampie. Ich głosy się zamazywały.

Kabel pomiędzy konsolą a dziurką był napięty. Crutch przyciągnął krzesło i poprawił się. Zapamiętać: jutro zaszpachlować dziurkę.

Dzwonek do drzwi. Fred O. otworzył. *Sacre Frog* – to Jean-Philippe Mesplède.

*Punkt zbieżny*. Słowo Clyde'a Dubera. To jego znasz, jego dmuchasz, z nim jesteście wszyscy powiązani.

Wayne przedstawił Freda O. Żabojadowi. Pogadali trochę za zakłóceniami. Fred O. przedstawił Dwighta Żabojadowi. Podał jego nazwisko – Holly.

*Punkt zbieżny*. Dwight Holly znał Clyde'a. Dwight Holly wysłał Clyde'a do śledzenia Marsha Bowena w Chicago.

Crutch się zastanowił. Słuchawki przylegały ciasno, judasz miał na poziomie oczu. Ekipa z 308 przysunęła krzesła do lampy. Fred O. podszedł do barku i wrócił ze szklankami whisky z wodą i z chipsami. Dwight Holly odmówił drinka. Pozostali sięgnęli. Crutch miał sygnał: to nie ma nic wspólnego z jego sprawą.

Czas – 15.18. Uruchom taśmę, na żywo.

Panowie się rozsiedli. Fragmenty zdań się zlewały. Dwight i Żabojad zapalili papierosy. Fred O. wyglądał pulchnie i pyskato, wrócił do swoich normalnych rozmiarów. Wayne wyglądał na zrąbanego i za chudo.

– Dość pieprzenia – zdecydował Freddy O. Doskonale to zabrzmiało w słuchawkach.

– Sześciu mężczyzn – zaczął Dwight Holly. – Zawsze zostają po zamknięciu. Zawsze wszyscy oni i tylko oni, i nie sądzę, żeby zmienili zwyczaj w wieczór, kiedy przyjedziemy.

– Kiedy? – spytał Wayne.

– Z mojej strony jesteśmy gotowi – powiedział Fred O. – Mam te spluwy do podłożenia. Dwight ma prochy. Myślę, że możemy to załatwić w pięć minut.

– W cztery. Nalot będzie prosty. Oni będą nawaleni i zaskoczeni. Chodzi o zmontowanie śladów. Policja w St. Louis ma główniane laboratorium, ale i tak chcę, żeby rozkład ran, trajektorie i takie tam się zgadzały.

Crutch zaczął się pocić. Słuchawki mu się zawilgociły, dobywały się syki zakłóceń. „Sześciu ludzi”, „podłożone spluwy”, „rozkład ran”...

– Grapevine – powiedział Mesplède. – Winorośl. Jest takie amerykańskie powiedzenie, prawda? Usłyszeć coś przez winorośl, czyli dowiedzieć się pocztą pantoflową. To frazeologizm. A tutaj winorośl staje się nazwą miejsca, w którym spotykają się bandziory.

Fred O. zarechotał. Dwight też. Wayne się wzdrygnął. Crutch zajarzył z opóźnieniem.

*20 czerwca. TAMTA NOC. Fragmenty rozmowy – Grapevine/Tommy/wtyka – Joan i Gretchen/Celia.*

Słuchawki zalał pot. Crutch je zdjął, wytarł do sucha i założył z powrotem. Usłyszał warkoty, szумы, piski, stuki i syki. Cholera, pot zablokował słuchawki.

Znowu piski i syki. Odgłosy jedzenia – Fred O. i Żabojad wciągali chipsy. Crutch zdjął słuchawki, potrząsnął nimi i założył z powrotem. Przycisnął oko do judasza. Zmrużył oko. Próbował czytać ruch warg i gesty i połączyć je z sykiem. Miał piski, trzaski i słowa tam i tu w mieszance.

Usłyszał „Memphis”. Zobaczył, że Wayne drgnął. Usłyszał „Patsy”, „King”, „Ray”. Dwight Holly i Wayne wymienili niespokojne spojrzenia. Usłyszał jedzenie. Zmrużył oko bardziej. Oddychał ciężiej. Zaparował judasza. Całą minutę stracił na bip-bip-bipy.

Usłyszał „świadek”.

Usłyszał znowu „Grapevine”.

**ZACZAŁ KUMAĆ.**

Fred O. monologował. Jego basowy głos przedostawał się przez syk na linii. Crutch usłyszał „Sirhan”. Crutch usłyszał „Bobby K.”. Fred O. naśladował strzelanie – bam, bam, trup. Wayne i Dwight H. wymienili *très* niespokojne spojrzenia.

**SKUMAŁ WIĘCEJ.** Rozsadzało mu pęcherz. Zacisnął się, zassał i wytrzymał.



Judasz zaparowało. Podśluch zablokowało. Pierdolony chrzęst chrupanych chipsów jeszcze bardziej wszystko spierdolił. Crutch ściągnął słuchawki, potrząsnął nimi i założył z powrotem. Crutch splunął na Judasza i przetaił go koszulą.

Teraz widział lepiej. Teraz słyszał lepiej. Zobaczył, jak poruszają się usta Żabojada. Usłyszał nieskładne ple-ple i „Dallas”. Usłyszał francuskie przekleństwo, „Kuba”, „odwet”.

Dźwięk całkiem zamarł. Crutch potrząsnęła głową. Słuchawki zadziały i podśluch ożył. Słyszał syk, trzask, pisk, stuk, szum. Usłyszał „*Le grand putain* Jack”. Zobaczył, jak Jean-Philippe Mesplède przybiera pozę snajpera.

I naszczał w spodnie.

I nasrał w spodnie.

I zwymiotował, i dyszał.

Ściągnął słuchawki. Podbiegł do konsoli, szarpnął główny kabel i zerwał gips ze ściany. Uzyskał niewielki otwór. Łączył się z 308 bezprzewodowo. Gips rozsiał się po jego pokoju. Zmrużył oczy i przyłożył ucho do otworu – Boże, błagam błagam błagam.

Spotkanie dobiegło końca. Mężczyźni stali przy drzwiach.

– Jeszcze jedno – powiedział Dwight Holly.

Pozostali kiwnęli głowami.

– Żadnych kobiet – powiedział Dwight Holly. – Jeśli będą tam jakieś kobiety, wycofujemy się.

Fred O. z oporem kiwnął głową. Mesplède wzniósł oczy do nieba. Wayne Tedrow ścisnął Dwighta Holly’ego za nadgarstek.

## 30

(St. Louis, 3.09.1968)

Spluwy do podrzucenia – są. Igły do insuliny – są. Płynna kokaina – jest. Jedna ostatnia fotka – zerknięcie dla utrwalenia.

Brundage, Currie, Pierce. Kling, DeJohn, Luce.

Wszyscy byli w środku. Wszyscy byli uzbrojeni. Wszyscy byli nawaleni. Pierwszy przyszedł o 22.41, ostatni o 0.49. Dwight udawał klienta i obserwował ich. Zagadał do Pierce'a i przygotował grunt. Jestem przedstawicielem Schenleya. Robię dostawy. Czasami się spóźniają.

Teraz była 3.10. Wciąż znajdowali się w środku. Wczoraj Otash zrobił woskowy odcisk zamka w drzwiach od zaplecza. Mieli czyste wejście. Człowiek Schenleya i jego kumple z gorzałą. Hej, Tommy Pierce, kopę lat.

Zaparkowali na tyłach Grapevine. Mieli dzinsy i wiatrówki – myśliwskie wyposażenie mieszkańca Oklahomy. Mieli cztery kartony Schenleya.

Dwight miał .45 z wentylowaną lufą. Wayne .38 z krótką lufą. Otash – colta pythona. Mesplède długolufową .32.

Furgonetka była skradziona. Mesplède ją zwinął. Przez całą drogę mieli rękawiczki. Dwight był spokojny. Otash i Mesplède wyglądali na spokojnych. Wayne wyglądał na zbyt spokojnego – Dwight domyślił się, że coś brał.

W środku muzyka – jakieś gówno rycząco-skoczne. Countrowe skrzypce ryczały i piszczały.

Dwight postukał w zegarek. Wysiedli z furgonetki. Mesplède pochylił się do środka i rozdał kartony. Otash podszedł, otworzył zamek w drzwiach od zaplecza i zostawił je otwarte na oścież. Światło w magazynie było włączone. Dwight zobaczył na półkach towary w puszkach. Wysokie struny skrzypek drapały.

Dwight postukał w zegarek – *teraz*.

Wyciągnęli broń i trzymali ją pod kartonami. Stąpali ciężko, postękiwali jak siłacze i weszli nonszalancko.

Z magazynu wchodziło się do właściwej tawerny. Zapowiadały ich stąpnięcia ich ciężkich butów i samcze stęknięcia. Sześciu zębów siedziało na dwóch debilnych skórzanych sofach. Twarzami do siebie. Między nimi klapnął stolik z desek. Zastawiony butelkami, szklankami i resztkami śmieciowego żarcia.

– No cześć, Tommy – wrzasnął Dwight. Głowy odwróciły się w ich stronę. Dwight je policzył i wyszło mu siedem, nie sześć.

Dodatkowy człowiek. Czterdziestolatek, kręcone włosy. Intruz/przykro mi, koleś/no za późno po prostu.

Spojrzenia przemieszczały się szybko. Tommy Pierce dał koleśiom sygnał – jest okej. Dwight sapał ciężko. Otash, Mesplède i Wayne tłoczyli się za nim. Mieli podejście od lewej, od przodu, z niewielkiej odległości. *Siedmiu zębów siedziało tam sobie*. Dwight rzucił tekst hasłowy:

– Tak, wiem, że jest późno.

Na ostatnią sylabę...

Rzucili kartony. Wycelowali i wystrzelili. Wystrzelili wszystkie naboje w ustalone wcześniej cele, wszystkie w twarze i korpusy. *Zjeby tam sobie tak siedziały*. Strzały ich zatrzymały. Rzucili się, podskoczyli i pozostali na swoich miejscach.

Odgłosy wystrzałów ponachodziły na siebie, odbiły się echem. Odór kordytu był mocny, a dym z luf gęsty. Muzyka stała się niesłyszalna. Krew wystrzeliła im z pleców i zebrała się na kanapach w identycznych połaciach.

Bulgoty, czknięcia, kaszel z ran gardłowych, wzdrygnięcia, sapnięcia. Siedem trupów za jednym mocnym zamachem.

Dwight postukał w zegarek – *do dzieła*.

Założyli gumowe rękawiczki.

Wyjęli martwym mężczyznom spluwy zatknięte za paski i wsadzili je do papierowych toreb. Dwight przeszukał siódmego mężczyznę. Był nieuzbrojony. Dwight przejrzał jego portfel. Czternaście dolców i prawo jazdy z Nowego Jorku. Thomas Frank Narduno, prawie czterdzieści sześć lat.

Odłożył portfel na miejsce. Wayne wyjął płynną kokę i strzykawki. Krew ściekała na podłogę. Wszyscy patrzyli pod nogi i stąpali z dala od wycieku.

Otash ułożył ciała: trzy na podłodze, cztery na kanapach.

Mesplède podłożył spluwy. Trzy w ich rękach, trzy w pobliżu ciał.

Wyciek krwi się powiększał. Wszyscy cały czas patrzyli pod nogi i omijali go uważnie.

Dwight ściągnął im buty i skarpetki.

Wayne wkłuł się im pomiędzy palce nóg i starł wacikiem krople krwi.

Otash wciągnął z powrotem skarpetki. Mesplède założył buty.

Skrzypkowa muzyka ryczała i zgrzytała. Ściany pochłonięły odgłos wystrzałów – Dwight to wiedział.

Odsunęli się daleko, daleko od wycieku krwi. Dwight omiótł wzrokiem scenę. Sprężyny kanapy odsłonięte. Brakujący palec Klinga. Gorzała, kokaina, zbiorcza furia. Wykasłana proteza Pierce'a. Strzaskane okulary DeJohna.

Dwight postukał zegarek – *wychodzimy*. Wayne spojrzał na niego. Dwight nic nie dostrzegł.

Otash uśmiechnął się szeroko. Wayne wysypał kokainowy proszek na bar.

Mesplède chwycił jakieś niezakrwawione chipsy.

# 31

(Las Vegas, 6.09.1968)

Patrzysz przez niego na wskroś.

To przyłącza wstrząs i odwraca przyjemne podniecenie. Odwraca uwagę od szaleństwa. Jego szóste spotkanie z Drakulą twarzą w twarz. Wayne właśnie odkrył tę sztuczkę.

– Miło pana widzieć.

– Humphrey jest bez szans – powiedział Drako. – Hipisi i jipisi tak go urządzili.

Farlan Brown zakasłał.

– Byliśmy tam z Wayne'em, proszę pana. Udzieliliśmy im sporej pomocy.

Sztuczka zadziałała z samym Drakiem. Szczegóły zamku Draka pozostały. Odziane w prezerwatywy kłamki, stopy pudełek kleenexów, na ścianie zdjęcie piersi Jane Russell.

– Byle do listopada – powiedział Drako. – Każde sabotowanie kampanii Humphreya musi być miniaturą Chicago. Może mi pan to zapewnić, panie Tedrow?

– Postaram się, proszę pana.

Brown zakasłał.

– Wayne jest skromny, proszę pana. Kiedy mówi „postaram się”, ma na myśli „Ależ oczywiście”.

– Proszę już nie kaszleć, panie Brown – powiedział Drako. – Tworzy pan niehigieniczne otoczenie. Jeśli znowu pan zakaszle, zwolnię pana i wykupię pański kontrakt po pięć centów od dolara.

Brown wstał i wyszedł, machając chusteczką. Wayne patrzył na wskroś przez Draka. Nowe szczegóły: talerze z resztkami jedzenia. Robaki podskakujące na szczątkach pizzy.

– Stracił pan na wadze, panie Tedrow. Chorował pan?

– Miałem wyczerpującą operację stomatologiczną. Przez trzy tygodnie nie mogłem przyjmować stałych pokarmów.

– Czy operację przeprowadzono w higienicznych warunkach?

– Tak, proszę pana.

– Ile ma pan lat?

– Trzydzieści cztery, proszę pana.

– Ja mam sześćdziesiąt jeden, sześćdziesiąt dwa albo sześćdziesiąt trzy. W licznych wypadkach samolotowych odniosłem rany głowy i częściowo straciłem pamięć.

Wayne się uśmiechnął.

– Urodził się pan w tysiąc dziewięćset piątym roku. Ma pan sześćdziesiąt dwa lata.

Drako zakaszłał.

– Czytał pan o mnie w Almanachu Farmera?

– W Britannice, proszę pana.

– Napisali, ile kobiet ruchałem?

– Ten szczegół pominięto.

– Ruchałem nieprzebrane rzesze kobiet. Ava Gardner zaraziła mnie kiłą trzeciorzędową i dżumą dymieniczą. Oprócz ran głowy i pozostałych chorób cierpię na nieustanny ból. Jestem więc bardzo wdzięczny za pańskie wybitne umiejętności chemiczne.

Wayne udał, że się rozpromienia.

– Bardzo się cieszę, że tak pan uważa.

– Niech pan jednak nabierze trochę ciała. Nie mogę patrzeć na tak wymizerowanego młodzieńca.

– Jutro wracam do stałych pokarmów, proszę pana.

– To dobrze.

Wayne pochylił się i wpatrzył w Draka. Tym razem uderzyły go zamglone oczy i otwarte wrzody weneryczne.

– Panie Hughes, czy mogę pana prosić o przysługę?

– Tak. Rzadko wyświadczam przysługi, ale zezwalam panu poprosić.

– Chciałbym przywrócić Związek Pracowników Hotelowych we wszystkich pańskich firmach w Las Vegas. Chciałbym też poprosić, aby szorstko oznajmił pan Radzie Właścicieli Hotelu, że powinni zarzucić potajemne wymuszanie segregacji rasowej pracowników, co od dawna robią.

Nowe szczegóły: drzenie i suche parsknięcia.

– Jak stanowcza jest ta prośba?

– To grzeczna prośba, proszę pana.

– Ultimatum?

– Nie, ale gwarancja mojej przyszłości na stanowisku pańskiego pośrednika i chemika.

Drako zadrżał. Opadła mu szczeka. Naprawdę miał kły.

– Doskonale. Przychyłę się do pańskiej prośby.

Przynajmniej byli nikczemni. *Przynajmniej byli biali.*

To była jego postgrapevinowa mantra. Stosował ją wraz z opiatami. Dzięki temu przetrwał lot powrotny i spotkanie z Hughesem.

Słabł. Spał lepiej. Ostatniej nocy dzwonił Dwight. Policja St. Louis postrzegła Grapevine po ich myśli.

Spontaniczny samozapłon. Podano poziom zatrucia alkoholem/narkotykami. Szybkie śledztwo koronera zakończyło się orzeczeniem, że sprawa zamknięta.

Czuł się lepiej. Wracał mu apetyt. Zmniejszyły się rwania i skręty w całym ciele.

Wayne krążył po Stripie. Zapadł zmierzch, upał panował zbyt wielki, by żyć. Zobaczył oszołomionych gorącem pikietujących pod Wydmami i Piaskami. Zobaczył pikietujących wymachujących tablicami pod Frontierą. Większość była czarna, niektórzy biali, wszyscy wyraźnie przejęci.

Zaparkował i podszedł do pikiety. Podłapał strzępki radosnego żargonu.

Rada Właścicieli Hoteli ustąpiła. Nagle – nie wiadomo dlaczego – podobno z inicjatywy Howarda Hughesa.

Wayne stał. Pikiciarze go zignorowali. Oddział pałkowy policji czał się przy krawężniku. Mieli hełmy i kręcili pałkami. Wyraźnie wrzeli. Buddy Fritsch kopał rozrzucone kipy i wrzał najbardziej.

Pikiciarze krzyknęli triumfująco i podskoczyli, i machnęli tablicami. Wayne zobaczył Mary Beth Hazzard z uniesioną pięścią.

Buddy Fritsch go zobaczył i podszedł rozkołysanym krokiem. Cuchnął popołudniową wódką i miętówkami.

– Ej, kiler. Chcesz usmażyć kilku smoluchów, jak już tu jesteś?

Wayne mrugnął do niego. Buddy też mrugnął. Pikiciarze się odwrócili. Zaczęli się trącać. Wayne uśmiechnął się do Buddy'ego i czekał.

– W takich chwilach naprawdę żałuję, że już cię nie ma wśród nas. Moglibyśmy wykorzystać szwarcobójcę...

Wayne wbił mu pięść w żołądek. Buddy zachłysnął się i pozieleniał na twarzy. Pozostali gliniarze zamarli. Pikiciarze zamarli. Wayne chwycił Buddy'ego za krawat, przyciągnął do siebie i pociągnął mu z łokcia w twarz. Wayne zerwał mu odznakę z koszuli i wyrzucił.

Buddy zatoczył się i ustał na nogach. Twarz miał zalaną krwią. Wayne puścił jego krawat. Buddy padł twarzą na chodnik. Grupa pikiarzy wzniosła wiwaty.

Gliniarze stali skamieniali. Wayne spojrział na pikiarzy. Mary Beth Hazzard wpatrywała się w niego nieruchomym wzrokiem. Wayne posłał jej całusa.

Crutch senior mieszkał pod Santa Anita. Rządził kartonowym obozowiskiem. Pijaczyny i próżniaki z torów wyścigów konnych. Hooverville<sup>3</sup> po nowemu. Zakłady cały dzień, gorzała całą noc. Kalifornijski styl życia prima sort.

Crutch przyjechał z podarkami: pożegnalna stówa i kanapka Reuben. Cześć, tato – jestem trupem. Posiadłem wiedzę o ściśle tajnym gównie.

Wczoraj zadzwonił do niego Fred Turentine. Fred Otash znalazł jakieś szczątki podsłuchu w 307 i dotarł do niego. Fred O. przycisnął Freda T. Fred T. wydał Crutcha za robotę przy podsłuchach. Fred T. przekonał Freda O., że jego tam nie było, że to tylko głupek Crutchfield. Fred T. pokazał Crutchowi swoje połamane palce. „Nie wiem, coś ty tam słyszał, dzieciaku, ale lepiej uciekaj”.

Czytał gazety z St. Louis. Siedem trupów w Grapevine: „Pijacka burda przybiera na sile”. Sprawdził to i owo. Brat Jamesa Earla Raya był współwłaścicielem. Zabójcy. Jego kumpel Żabojad na trawiastym wzniesieniu. Podsłuchowe gadki: Sirhan i King, Memphis i Dallas.

Obozowisko leżało za parkingiem. Kolesie mieszkali w pudłach po sprzęcie zabezpieczonych przed deszczem szelakiem. Wielki brezent pokrywał dwadzieścia magnavoxowych posiadłości. Puste butelki zaścieślały wspólne podwórko.

Crutch zapukał do kartonu Crutcha seniora. Crutch senior wypełził z formularzem zakładów i tanim napitkiem. Crutch zrobił mu trochę miejsca. Crutch senior wstał, wyjął pindola i odlał się obficie. Wycelował prosto w buty Crutcha.

– Cześć, tato.

Crutch senior się skrzywił.

– Donald, prawda?

– Prawda.

– Dzieciak, którego miałem z Maggie Woodard.

– To ja.

– Pamiętam Maggie. Pochodziła z Pipidówki w Wisconsin.

– Tak, właśnie ta.

– Była dobra w łóżku.

– Daj spokój, tato. To nie jest miłe.



Crutch senior zapiął rozporek. Miał pięćdziesiąt cztery lata. Nosił przepocony Beatle-gajer i Beatle-perukę. Był niemal trupem z otwartymi ranami rakowymi.

– Wpadłeś w gówno i potrzebujesz kontaktu. Przykro mi, ale jestem stuknięty.

Crutch pokazał stowę i Reubena. Crutch senior chwycił banknot i zignorował kanapkę. Dopił drinka i rzucił butelkę na stos pustych opakowań. Zamachnął się kuponem i pacnął nim Crutch po twarzy.

– Nigdy nie znalazłeś Maggie. Powiedziałaś mi, gdybyś znalazł, ale nie znalazłeś. Ja ją przeleciałem pierwszego dnia w Pearl Harbour, a ty jej nie znalazłeś.

Blefuj.

Cały dzień opracowywał plan. Przewidział pukanie do drzwi i wyrok śmierci. Tak, poskładał to. Tak, to wszystko instynkt. Terkot pluskiew, chłopot, zakłócenia i jakieś zmieszane słowa. Wiedział. Oni wiedzieli, że on wiedział. Fred O. powie pozostałym. Wayne olałby Żabojada. Żabojad dałby mu życie.

Za duża sprawa, brzmiała zbyt absurdalnie. Clyde by mu nie uwierzył. Scotty Bennett by mu nie uwierzył. Mógł pójść do *Joe Pyne Show* i wyemitować swoją sensację w ramach Beef Boxa<sup>4</sup>. Joe Pyne by się z niego ponatrząsał. Jacyś lewicowi Żydzi i paranoiczni hipisi może by mu uwierzyli, może. Parchy by go chętnie wykorzystaly. Był zwolennikiem Sprawy Wolności Kubańskiej. Hipisi wyśmialiby jego fryzurę na rekruta i muchę Scotty’ego Bennetta. Żadna hipiska nie pokazałaby mu cipki.

Blefuj.

Wczoraj poskładał do kupy pewne zabezpieczenia. Obmyślił plan na podstawie jedyne go promyka nadziei. *Nie wiedzieli, że podsłuch nie działał. Wiedzieli, że omawiali zabójstwo. Nie przypomniał sobie dokładnie, co mówili. Nie wiedzieli, jak wiarygodnie może wypaść jego zeznanie.*

Crutch czekał w Vivian. Meta była niemal pusta. Wczoraj przeniósł akta swojej matki i swojego osobistego gówna do Elm Hotel. Tam były akta jego sprawy. Buzz znał to miejsce. Znajdzie akta i wykorzysta wszystkie istotne tropy albo ich nie wykorzysta.

Czekał. Przeglądał „Car Crafty” i „Playboye”. Wczoraj poszedł do I. Magnin. Kupił Danie Lund piękny kaszmirowy sweter. Kazał zapakować na prezent i wsadził do pudła walentynkę. Nie podpisał się. Zapewnił Danę, że zawsze będzie ją kochał. Teraz musiał uciekać. Zabił dwóch ludzi i wiedział rzeczy, których wiedzieć nie powinien.

Magnin dostarczył prezent. Crutch parkował po drugiej stronie ulicy. Dana otworzyła pudło i przeczytała kartkę. Sweter się jej podobał. Wiadomość chyba ją przestraszyła. Rozejrzała się i pospiesznie zatrzaskała drzwi.

Joan Rosen Klein rozpląnęła się w powietrzu. Nie mógł jej posłać pożegnalnego prezentu. To mu, kurwa, złamało serce.

Przerzucił „Playboya” z listopada ’67. Z rozkładówki uśmiechała się Kaya Christian. Jego trafnie nazwane kochanie. Znał ją z luterańskiego kościoła świętej Trójcy przed milionami lat.

Nęcił go południowy widok. Podszedł do okna i wyrzwał. Zobaczył dom Sandy’ego Dannera i dom Barb Cathcart i Gail Miller na frontowym ganku Lona Ecklunda.

Wszystkie te zarośla, które służyły mu za punkty obserwacyjne. Nowe zarośla zasłaniały okna, przez które podglądał.

Wyrzwał przez okno. Dojrzał smog w powietrzu. Wychylił się za mocno. Już wypadł. Usłyszał za sobą hałas. Jakaś siła chwyciła go i wciągnęła z powrotem.

Znalazł się na podłodze. Przytrzymała go stopa. Wzrok miał zamglony, trochę nieobecny, trochę obecny. Wyczuł zapach oleju na metalu i zrozumiał, że nasmarowali zamek w drzwiach.

Trochę obecny się umocnił. Rozmazanie osłabło. Zrobił się całkiem obecny. Zobaczył Wayne’a Tedrowa z bronią z tłumikiem i Żabojada trzymającego poduszkę. Chwycił swój medalik ze Świętym Krzysztofem i odmawiał Chwała Ojcu.

Ich stopy kopały. Od Żabojada sączyła się słodka nikotyna.

– Ty cwelu zajebany – powiedział Wayne.

Żabojad opuścił mu poduszkę na głowę. Crutch oderwał ją i chwycił powietrze, żeby to powiedzieć.

– Mam cztery kopie taśm plus pisemne zeznanie. Cztery skrytki w bankach. Pojawiam się osobiście, co pół roku. Weryfikują mnie na podstawie zdjęć i odcisków palców. Jeśli się nie pojawię, to sami wiecie.

Wayne zerknął na Mesplède’a. Mesplède zerknął na Wayne’a. Wayne wziął poduszkę i wtarł ją nogą w jego twarz. Nie widział. Nie słyszał. Żadnych głosów, wystrzałów, bólu ani białych chmur. Przyływ oddechu i uderzenia serca – dobry Boże, umarłem?

Nagle światło, powietrze i model samolotu zwisający z jego sufitu. Nagle oddech. Nagle pistolet Wayne z tłumikiem niewykorzystany.

Czerwony trójpłatowiec Fokker. Historyczny odlot. Zbudował go i nawdychał się kleju tego dnia, kiedy sprzątnięto JFK.

– Chcę do was – powiedział Crutch. – Wezmę każdą robotę.

# 33

(Los Angeles, 10.09.1968)

– Mówiłeś przez sen.

– Co mówiłem?

– Chyba słyszałam „przynajmniej” i „nikczemny”.

Dwight potarł kark. Zawsze mu się spinał w tym samym miejscu. Miał senne reperkusje: Memphis i powrót do rozprysniętej krwi.

Karen usiadła i pochyliła się nad nim. Była opuchnięta po śnie, dorodna. Skrzyżowała nogi i siadła jak Indianka. Schylił się szybko i pocałował ją w kolano. Usłyszał Dinę w pokoju obok, jak gada ze swoją żabą.

– Powiedz mi raz jeszcze i przekonaj mnie. Moja obecność tutaj nie skrzywi tej dziewczynki na zawsze.

Karen wzięła go za rękę.

– Chyba że jak dorośnie, wstąpi do FBI.

– Tu chodzi o jakiś aspekt rodzicielstwa, którego nie ogarniam.

– Ona lubi cię bardziej niż Jak-Mu-Tama. Zostaw to.

– Nie rozumiem tego twojego pierdolonego świata.

Karen pocałowała jego palce.

– Rozumiesz go aż za dobrze. Dostosowujesz się na tyle, że uznajesz istnienie mojego świata i zaszczytasz go bezceremonialnym szacunkiem.

Dwight sięgnął po papierosy. Karen chwyciła paczkę i rzuciła na toaletkę.

– Nie kuś mnie.

– Dobra.

– I wytłumacz się. Połącz „przynajmniej” i „nikczemny”.

Znowu to spięcie – Dwight ugniatał i rozcierał.

– Przyjaciół tak powiedział. Pełen cytat brzmi „Przynajmniej byli nikczemni”.

– O kim mówił?

– Skarbie, proszę.

– Pan Hoover? O glinach w Chicago?

Dwight się roześmiał. W karku mu zapulsowało. Karen połaskotała go w nogi i wzmogła śmiech, a ból ustał.

– W porządku, powiem ci. Mówił o rozwiązłej grupie prawicowych zbirów.

Karen uśmiechnęła się szeroko.

– Podoba mi się twój przyjaciel. Jak się nazywa?

– Bez komentarza.

– To glina?

– Były.

– Jest taki wysoki i atrakcyjny jak ty?

Dwight się uśmiechnął.

– Zdecydowanie nie.

Dina powiedziała żabie dobranoc. Usłyszeli to przez ścianę. Dwight wiedział, że mała chce, żeby oni to usłyszeli. Karen pochyliła się i położyła rękę na sercu.

– Chyba mam kontakt z Joan.

– A więc robimy coś za coś. Wysadź jakiś pomnik i postaraj nie dać się złapać.

Karen zwinęła się wokół niego. Dwight ściągnął jej klamrę z włosów i rozpuścił je.

– Kochasz mnie? – spytał.

– Pomyślę – powiedziała.

## 34

(Las Vegas, 11.08.1968)

Związkowcy zebrali się przy Sills Tip-Top. Wayne studiował ich zachowanie. Pokaże się wcześniej czy później. Poświęcił na to cztery okrążenia.

Sills był zatłoczony – pora lunchu i wszystkie boksy zajęte. Znajdował się w zasranym północnym Vegas. Tu ginęła segregacja rasowa. Knajpa była quasi-posegregowana. Biali jedli po jednej stronie, czarni po drugiej.

Wszedł Wayne. Mary Beth Hazzard siedziała po czarnej stronie. Z czterema innymi związkowcami. Wszyscy byli czarni. Wayne rozpoznał ich z pikiety.

Dwóch go zauważyło. Jeden trącił Mary Beth. Ona go zauważyła i szepnęła coś do pozostałych. Wstali i wyszli. Po drodze minęli Wayne'a. Spuścili wzrok.

Wayne podszedł i wyciągnął rękę. Jej ręka była silna i sucha.

– Pani Hazzard – powiedział.

– Panie Tedrow – powiedziała.

Ruchem oczu wskazała miejsce naprzeciwko. Wayne zrozumiał i usiadł.

Patrzyli na siebie. Spokój. Jakby ucichł gwar restauracji. Ludzie zaczęli na nich patrzeć. I rzeczywiście ucichł gwar restauracji. Tylko oczy strzelały w ich stronę.

Mary Beth dotknęła kubka z kawą.

– Słyszałam o pańskim ojcu. Wyrazy współczucia.

Związkowcy zostawili swoje kubki z kawą i podkładki. Wayne zrobił sobie miejsce na ręce.

– Dziękuję. Mój ojciec straszliwie traktował związkowców, więc pani kondolencje świadczą o dobrych manierach.

– Nie jestem łasa na komplementy, panie Tedrow.

– Wiem. Mam tylko nadzieję, że przyjmie pani ten, który wygłosiłem, i nie uzna go za przejaw protekcjonalizmu.

Mary Beth się uśmiechnęła. Wayne poczuł wzrok miliona oczu.

– Chciałbym złożyć wyrazy współczucia z powodu śmierci pani męża.

– Przyjmuję. Ale w duchu szczerości muszę dodać, że Cedric był nierozważnie żarliwy i nie miał interesu przebywać sam na sam z Pappym Dawkinsem o drugiej w nocy.

Wayne rozejrzał się za kelnerką. Dwie kelnerki to zauważyły i odwróciły wzrok. Mały czarny chłopiec wdrapał się na oparcie w swoim boksie i gapił się na nich. Dwie małe białe dziewczynki wytykały ich palcami.

– Jest pan bardzo nerwowy, panie Tedrow. Jeśli ma pan zamiar zamówić kawę, to chyba lepiej, żeby się pan dwa razy zastanowił.

Wayne się uśmiechnął.

– A poza tym i tak mnie nie obsłużą.

– Obsłużyłyby, gdyby zrobił pan odpowiedni szum.

– Albo chociaż udałbym, że robię.

Mary Beth się uśmiechnęła.

– Pańskie show przy pikiecie było pamiętne. Aż się prosi zapytać, co chciał pan przez to wyrazić, ale nie będę pana naciskać w tej kwestii.

Wayne się zawiercił. Mary Beth podsunęła swój kubek z kawą. Wayne ogrzał sobie na nim rękę.

– Chcę panu podziękować za udział w zakończeniu strajku, panie Tedrow. Krążą plotki, że to pan przekonał pana Hughesa.

– Owszem, ja.

– A co panem kierowało?

– Pyta pani dlatego, że nie pasuje to do mojej przeszłości?

Mary Beth dotknęła kubka z kawą.

– Nie osądzam pańskiej przeszłości tak surowo jak większość czarnych ludzi tutaj.

– A dlaczegoż to?

– Zabił pan tych ludzi, kiedy szukał pan Wendella Durfee, więc w tym wypadku ma pan moje błogosławieństwo.

Ludzie spojrzeli na nich. Wielki, tłusty czarny facet i wysoki, chudy biały facet gapili się, kurwa, na maksa.

– Dlaczego, pani Hazzard?

– Bo Leroy Williams i bracia Swasey dostarczyli narkotyki, które zabiły moją siostrę. Bo Wendell Durfee zgwałcił mnie dziewiętnastego kwietnia tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego roku, co przemawia za tym, bym panu wybaczyła pochopne zachowanie, jak również polubiła pana.

Wayne spojrział na swoje ręce. Podskoczyły i trąciły kubek. Trochę kawy wylało się na dłoń Mary Beth. Chyba nie zauważyła. Nie cofnęła dłoni.

– Czytałem o pani synu. O tym zaginięciu.

– To był cudowny chłopiec. Wiedział dużo o chemii.

– Ja jestem chemikiem.

– Tak, mówiono mi.

– Rozpytywała pani o mnie?

– Tak.

– Dlaczego?

Mary Beth odsunęła dłonie.

– Naciska pan na mnie. Proszę nie wymagać, żebym powiedziała rzeczy, na które nie jestem gotowa.

Wayne rozejrzał się po knajpie. Cały, kurwa, lokal na nich patrzył.

– Wypowiedziała się pani o synu w czasie przeszłym. Myśli pani, że on nie żyje?

Mary Beth pokręciła głową.

– Czasami tak myślę, a czasami nie. Czasami łatwiej myśleć, że nie żyje, a czasami nie.

– Tęskni pani za nim?

– Straszliwie.

– Znajdę go dla pani – powiedział Wayne.

**CZEŚĆ II**  
**JONASZ ZASRANY**

12 WRZEŚNIA 1968–20 STYCZNIA 1969



ZAŁĄCZNIK DO AKT: 12.09.1968. Wewnętrzny okólnik FBI. Oznaczony: „Tajne I stopnia”/ „Zastrzeżone dla Dyrektora”/„Zniszczyć po przeczytaniu”. Do: Dyrektor Hoover. Od: AS Dwight C. Holly.

Szanowny Panie Dyrektorze,

OPERACJA BARDZO ZŁY BRAT obecnie wchodzi w fazę realizacji, dysponuję bazą i funduszami na pokrycie czynności wstępnych, przejrzałem dokumentację policji na temat naszych docelowych grup i ich członków, wybrałem infiltratora, który jest gotowy do umieszczenia, wiarygodny i prowokacyjny. Informator Biura nr 4361 dostarczył mi nazwisko potencjalnego poufnego informatora (płci żeńskiej). Złożyłem wnioski o jej biurowe akta z Centralnego Archiwum i przestudiuję je uważnie, zanim podejmę jakiegokolwiek próby nawiązania kontaktu. SOJUSZ CZARNEGO PLEMIENIA (SCP) i FRONT WYZWOLENIA MAU MAU (FWMM) działają w tym samym kontekście politycznym i przestępczym, który podsumuję wraz z kryminalnymi/politycznymi charakterystykami „przywódców” grup. Jak wcześniej raportowałem, grupy mają skłonności przestępcze, są obsadzone karanymi przestępcami i zdecydowane osiągnąć wyznaczone cele zbrodnictwymi środkami. W ujęciu politycznym rywalizują ze sobą, a w takim razie nasze cele muszą pozostać niezmiennie: wywołać pomiędzy ugrupowaniami waśń, która poskutkuje postawieniem zarzutów i posłuży do zdyskredytowania całego aparatu czarnych nacjonalistów.

1. Obie grupy działają według podobnych zasad. Prowadzą siedziby przykrywkowe, które służą za centra rekrutacyjne, kluby towarzyskie i miejsca zebrań dla miejscowych czarnuchów i przyjezdnych radykałów, a zatem przydatna może się okazać fotoinwigilacja. Obie grupy dystrybuują literaturę skierowaną przeciwko białym i przeciwko Policji Los Angeles, jak również nienawistną literaturę oczerniającą konkurencyjne grupy czarnych bojówek, najczęściej wulgarne broszury w stylu komiksów. Obie organizacje prowadzą rekrutację na terenach miejscowych liceów i gimnazjów. Obie organizacje wymuszają na miejscowych handlowcach jedzenie na cele ich programu Nakarm Dzieciaka i alkohol na cotygodniowe spotkania integracyjne, w rzeczywistości popijawy, które często kończą się burdami. Obie organizacje mają zwolenników płci żeńskiej, tj. fanki, które działają jak prostytutki i większość swoich zarobków przeznaczają na „sprawę”. Obie organizacje podobno dysponują „kryjówkami”, gdzie mogą się ukrywać przyjezdni radykałowie i członkowie ukrywający się przed wymiarem sprawiedliwości. W przeciwieństwie do CZARNYCH PANTER i ZN, nie odnotowano wypadków przemocy ze strony SCP i FWMM skierowanej przeciwko funkcjonariuszom policji. Polecę zarówno naszemu infiltratorowi, jak i informatorowi, aby powiadomili mnie niezwłocznie, gdyby dowiedzieli się o planowanych jakichkolwiek prowokacjach tego rodzaju. Obie organizacje podobno zamierzają spróbować swoich sił w handlu narkotykami, chociaż mocno wątpię, czy dysponują specjalistyczną wiedzą niezbędną do odniesienia sukcesu w tym przedsięwzięciu. Obie do chwili obecnej są nieudolne

w swoich zorganizowanych projektach przestępczych, chociaż wielu ich „przywódców” i sympatyków ma na koncie wyroki za ciężkie przestępstwa. Członkowie SCP są podejrzewani o włamanie do sieci pornograficznych księgarń w rejonie Wilshire. Członkowie FWMM są podejrzewani o udział w serii fingowanych rabunków z udziałem personelu na całodobowe punkty obsługi kierowców sieci Jack in the Box. Zyski z tych przestępczych poczynań rzekomo trafiły na konta operacyjne SCP i FWMM. Członek SCP rzekomo prowadzi destylarnię i wytwarza dziewięćdziesięcioprocentowy spirytus kukurydziany; członek FWMM rzekomo sprzedaje na lewo fałszywe bilety na miejscowe rozgrywki Los Angeles Dodgers i Los Angeles Rams. I tu znowu: te przestępcze poczynania pokrywają koszty operacyjne SCP i FWMM i zwracają uwagę na właściwą ich członkom przestępczość. Ujawnienie endemicznej działalności przestępczej jest kluczowe w naszym projekcie dewaluowania grup i dostarczy dosadnego komentarza sądowego, kiedy nasza operacja przyniesie owoce i zacznie się szeroko komentowany proces sądowy.

2. W kwestii przywódców kilka ważnych szczegółów:

A. – EZZARD DONNELL JONES, Murzyn, ur. 24.08.1937. Dwa wyroki za posiadanie narkotyków (1957, 1961). Ma dyplom teologii ukończonej korespondencyjnie i pozyskuje fundusze w kościołach w południowych dzielnicach Los Angeles. JONES jest „Wysoko postawionym Wysokim Komisarzem” SCP.

B. – CORNELIUS „BENNY” BOLES, Murzyn, ur. 11.01.1940. Jeden wyrok za napad z bronią w rękę (1964). Pracuje jako kelner w barze dla zmotoryzowanych w Dolores Drive-In w Beverly Hills. Domniemany homoseksualista i podejrzany w nierozwiązanej sprawie zabójstw męskich prostytutek w zachodnim Los Angeles. BOLES jest „Asystentem Lorda Wysokiego Komisarza” SCP.

C. – LEANDER JAMES JACKSON, Murzyn, ur. 4.05.1938. Brak poważniejszej przeszłości kryminalnej. Podobno urodził się na Haiti i praktykuje haitańskie voodoo. Rzekomo świetny oszust (sprzedaje fałszywe prenumeraty czasopism, lewe umowy zakupu gruntu, kontrakty na nieistniejące budowy), fałszerz (czeki z opieki społecznej, przekazy pieniężne, bilety na mecze koszykówki) i przemytnik broni (niepotwierdzone pogłoski o powiązaniu z brutalnym lewicowym ugrupowaniem na Karaibach). JACKSON jest „Zbrojmistrzem” SCP.

D. – JOSEPH TIDWELL MCCARVER, Murzyn, ur. 16.07.1937. Rzekomo sprawca napadów na mieszkania i apteki, podobno od roku 1955 dokonał 100 włamań. Nałogowy hazardzista, ma na koncie 26 aresztowań i żadnych wyroków za oszustwa i przestępstwa bukmacherskie. Prowadzi cotygodniowe rozgrywki w kości przed czarnym kościołem separatystycznym, z których zysk trafia do FWMM. MCCARVER to „Wszechafrykański Władca” w FWMM.

E. – JOMO KENYATTA CLARKSON, Murzyn, ur. 4.03.1929. Brak przeszłości kryminalnej, ale podobno jest utalentowanym, wybrednym w doborze zadań bandytą, dokonującym rabunków z bronią w rękę. Rysownik komiksów i autor nienawistnych komiksów skierowanych przeciwko białym i przeciwko SCP, sprzedawanych przez FWMM. Pracuje jako dyspozytor w Kompanii Taksówkowej Czarny Kot w południowym Los Angeles. Podobno popełnił liczne „umotywowane politycznie” gwałty jako „wyraz solidarności” z „Bratem” Eldridge’em Cleaverem z Partii Czarnych Panter. CLARKSON jest „Ministrem Propagandy” FWMM.

F. – CLAUDE CANTRELL TORRANCE, Murzyn, ur. 29.11.1946. Liczne aresztowania za wykroczenia: prowadzenie samochodu w stanie nietrzeźwym, zakłócanie porządku w stanie nietrzeźwym, drobne kradzieże, niepłacenie alimentów, okradanie właściciela zajazdu, włóczęgostwo, udawanie funkcjonariusza policji i rozmaite wykroczenia związane z hazardem. Główny gracz w programie FWMM Nakarm Dzieciaka. TORRANCE jest zarówno „Ministrem Finansów”, jak i „Ministrem Wyłudzeń” FWMM.

3. Do znanych miejsc spotkań SCP i FWMM należą: znajdujący się na odludziu barak KOMPANII TAKSÓWKOWEJ CZARNY KOT, pierwotnie finansowanej z pożyczki z Centralnego Funduszu Emerytalnego Teamster, co świadczy o kryminalnym charakterze przedsięwzięcia; FRYZJER SUŁTANA SAMA, TACKA SUŁTANA SAMA (koktajlbar, finansowany z pożyczki Teamster); RAJSKI BILARD SUŁTANA SAMA (salon gier/księgarnia pornograficzna); IMPREZA DLA DOROSŁYCH U CALVINA (księgarnia pornograficzna); a także następujące bary i kluby pogodzinne: GNIAZDKO NATA, INNY ŚWIAT PANA MITCHA, SŁODKI SZAŁ (lesbijski bar, którego właścicielką jest siostra JOSEPHA TIDWELLA MCCARVERA, RAE CHANTAY MCCARVER (finansowany z funduszu Teamster), EKSKLUZYWNY TOWAR, BAR SKORPION, BAWIALNIA TOMMY’EGO TUCKERA oraz KAWIARNIA CAROLINY PINES przy Imperial Highway. Należy podkreślić, że podobno kluczowe kadry w SCP i FWMM mają powiązania z BANKIEM POWSZECHNYM POŁUDNIOWEGO LOS ANGELES, który podobno był początkowo zasilany z pożyczki Funduszu Emerytalnego Teamster (podobno niespłaconej) i od dawna jest podejrzewany o pranie pieniędzy czarnych przestępców. Wieloletni prezes banku, LIONEL DARIUS THORNTON, Murzyn, ur. 8.12.1919, nie ma kryminalnej przeszłości, jest działaczem społecznym w czarnej społeczności Los Angeles i od dawna jest podejrzewany o powiązania ze zorganizowaną przestępczością.

4. Jak wyszczególniłem w poprzednim poufnym teleksie, naszym infiltratorem będzie FUNKCJONARIUSZ POLICJI LA MARSHALL E. BOWEN, przygotowany do tej roli dzięki wcześniejszym penetracjom grup wywrotowych, finansowanym przez FIRME CLYDE’A DUBERA. W tej chwili przygotowuję precyzyjną akcję wydalenia ze służby FUNKCJONARIUSZA BOWENA, może spowodowanego przez wrogie relacje

FUNKCJONARIUSZA BOWENA z SIERŻANTEM ROBERTEM S. BENNETTEM, detektywem z Wydziału Przestępstw Rabunkowych Policji Los Angeles. Zrobiłem wywiad na temat SIERŻANTA BENNETTA i uważam, że okaże się doskonałym kamuflażem. Umówiłem się na spotkanie z NACZELNIKIEM POLICJI LA TOMEM REDDINEM i SZEFEM AGENTÓW SPECJALNYCH LA JACKIEM LEAHYEM, aby omówić wydalenie/pograżenie FUNKCJONARIUSZA BOWENA. Oprócz nas będą to jedyni przedstawiciele organów wymiaru sprawiedliwości wtajemniczeni w tę sprawę.

OPERACJA BARDZO ZŁY BRAT obecnie ma status „w toku”. Oczekuję Pańskich uwag.

Z poważaniem

AS Dwight C. Holly

## 35

(Los Angeles, 13.09.1968)

Dwight czytał akta. Radio tryskało wiadomościami. Nixon i Humphrey szukają głosów i chwieją sondażami. Jimmy Ray i Sirhan Sirhan wzniecają bunt w areszcie. Miejscowe problemy: dwóch zamaskowanych czarnuchów obrabowało z gotówki i kosztowności dom w Brentwood.

Jego dziupla wypełniła się aktami. Nasączyła się aktami i zajebała się aktami. Potrzebował kolejnych czterech szafek. Był zajebany aktami po chuja.

Czytał kopie z BAT i z policji St. Louis. Potwierdzone ponownie: sprawa „Masakra w Grapevine Tavern” zamknięta. Jedno bez związku: ta niespodziewana ofiara.

Thomas Frank Narduno, lat czterdzieści sześć, z Nowego Jorku. Dziwna była jego obecność. Na jego ciele znaleziono aparaturę podsłuchową.

Dwight sprawdził akta Narduna w archiwach FBI. Skąpe. Narduno obracał się w kręgach lewicowych. Dwukrotnie był podejrzany o napad z bronią w rękę: w Ohio i Nowym Jorku. Żadnych aresztowań, żadnych zarzutów. Wydawał się marginalnym głupkiem albo czerwonym aktywistą. Jego powiązanie z Grapevine wydawało się teraz zbyteczne.

Ulga.

Poczuł ulgę. Pan Hoover poczuł ulgę. Pan Hoover ciągle był w głębi duszy wkurzony. Ciągle odgrzewał kurację spoczynkową Dwighta. Silver Hill '57. Stary pedał miał teraz używanie. Mówił o tym „Happy Hills '58”. Nieważne. Stary pedał miał na to akta – ukryte, skatalogowane, gotowe do wymuszeń.

On miał akta przyszłościowe: Joan Rosen Klein, potencjalna informatorka. Przesłało je teleksem Archiwum Centralne. Strony były mocno ocenzurowane. Grube paski atramentu zamazywały nazwiska, daty i miejsca. Karen sugerowała, że Joan może być trudna. Zawczasu ostrzeżony, na czas uzbrojony.

Dwight ziewnął. Sypiał zrywami, nerwy miał napięte, koszmary odżywały jakoienne obrazki. Wdarł się do magazynu dowodów w Biurze i zwinął trochę środków uspokajających. Zmobilizowały do działania jego tylko-tego-jednego-drinka i jedyną tabletkę na noc. Pomogło, kurwa.

Naczelnik się spóźniał. Dwight gawędził z Jackiem Leahym. Jack pokazał numer o panu Hooverze. Stara ciota kupowała antyki z kochasiem Lance'em. Jack był bezbłędny. Miał

świetne teksty i należycie pokazywał struganie rysia. Ryzykowne gównno. Jack był twardzielem. Trochę G-manem, a trochę Mortym Sahlem.

Dwight się uśmieł.

– Partyzancki humor. Zabawne na impro<sup>5</sup>, ryzykowne w biurze LA.

Jack wyczyścił okulary.

– Dwadzieścia lat i służba cywilna. Jestem szpicloodporny.

– Widziałem, że jako nowicjusz pokazywałeś Hoovera jako Oscara Wilde’a.

– No to chyba mam po prostu szczęście.

Dwight się uśmiechnął.

– Albo masz plan, albo jesteś, kurwa, kamikadze.

Biuro po gliniarsku nużące: szare ściany i flagi. Nadejście Reddina zapowiedziały obłoki Aqua Velva. Był wielki. Klepnął ich po plecach i padł za biurko.

– Jack, kopę lat. Panie Holly, dawno już o panu słyshałem.

Jack zapalił papierosa.

– Dwight Egzekutor Holly. Kategoryczny gość z politycznie niepewną dziewczyną.

Reddin zarechotał i pomachał sztucznym tojadem. Jack mrugnął. Dwight pomyślał, że *el jefe* jest dobry na pięć minut.

– Chcemy spreparować jednego z pańskich czarnych funkcjonariuszy. Młodziak z patrolu na Wilshire, Marshall Bowen. Mam zamiar umieścić go w Sojuszu Czarnego Plemienia albo we Froncie Wyzwolenia Mau Mau, albo w jednym i drugim. To długoterminowa akcja Cointelpro, mająca na celu zdyskredytowanie ruchu czarnych bojówek. Będę to prowadził niezależnie. Z góry przepraszam, ale pan Hoover chce, żeby omijały pana raporty i podsumowania.

Reddin się zarumienił.

– Lubię wiedzieć, co się dzieje z moimi ludźmi.

Dwight zapalił papierosa.

– Pan Hoover nalega, panie naczelniku.

– On będzie pracował na moim terenie – powiedział Jack. – To trochę jak policzek.

Reddin bębnił palcami po biurku.

– Mamy wtyki w Panterach i w ZN. Na żądanie dzielimy się materiałami wywiadowczymi z innymi agencjami, więc muszę powiedzieć, że nie podoba mi się jednostronny charakter tego układu.

– Raz jeszcze powtórzę, że pan Hoover nalega.

Reddin skwitował to uśmiezkim.

– Czytałem materiały wywiadowcze o SCP i FWMM. To błazny.

Dwight uśmiechnął się szeroko.

– Chyba wrzucamy ich do jednego worka. Pantery i ZN też.

– Wszyscy oni od jednej czarnej matki.

Dwight się roześmiał. Jack szturchał popielniczkę. Reddin powiedział:

– W porządku. Mówi pan, że to wydalenie odbędzie się z hukiem. Pewnie pomoże w tym piętno getta.

Dwight kiwnął głową.

– Zgadza się, i myślę, że wykorzystam też istniejący już osobisty zatarg pomiędzy funkcjonariuszem Bowenem a sierżantem Robertem S. Bennettem.

Reddin przewrócił oczami.

– O Jezu, Scotty.

– Ten zjebany psychol.

Reddin uderzył dłońmi w kolana.

– Jack nie lubi Scotty’ego. Scotty panoszył się w sprawie o tamten napad na opancerzoną furgonetkę kilka lat temu, i to działało Jackowi na nerwy.

Dwight wyciągnął papierosa.

– Daj z tym spokój, Jack. Przez tydzień prowadziłeś to z ramienia Biura.

– Ze Scottym tydzień jest wiecznością – wyjaśnił Reddin.

Jack przetarł oczy.

– O co chodzi z Bennettem i tym Bowenem? Co to za wcześniejszy zatarg?

Dwight odchylił się na krześle.

– Kilka poplamionych atramentem banknotów z tamtego napadu krążyło w getcie. Marsh Bowen puścił jeden nieświadomie, a Bennett go dopadł. Bowen dostał się do policji LA, mimo że Bennett protestował.

– Jezu, Scotty i ta sprawa – jęknął Reddin.

– W porządku – powiedział Jack. – Widzę, że to się trzyma kupy. Obsada jest świetna, a możliwości scenariuszowe kuszące.

Dwight się uśmiechnął.

– Tu mamy problem. Nie chcę, żeby Bennett wiedział o akcji. Trzeba to rozegrać bez jego wiedzy.

Zadzwoił telefon na biurku. Reddin odebrał szeptem.

– Dasz mi kopie, co nie, Dwight? – poprosił Jack. – Ze względu na dawne czasy?

– Nie – powiedział Dwight.

Śledzenie – Czarnogród.

Dwight jechał wynajętym wozem. Scotty Bennett jechał nieoznaczonym radiowozem. To był przekręt z przeczesaniem Czarnowa. Scotty się rządził. Tryskał pewnością siebie białego opresora.

Wielki zjeb. Mucha i fryzura na rekruta dawały mu aurę szalejącego jaskiniowca. Dwight przyczał się cztery wozy za nim. Scotty nachodził sklepy monopolowe i wyłudzał darmową

gorzałę. Scotty machał kurwom i rzucał kolorowym dzieciom cukierki Tootsie Rolls. Scotty minął siedzibę Panter i śmignął na chodnik. Banda bambusów wbiegła do środka.

Scotty dotarł do rozgrywek w kości na parkingu i ganiał się z braćmi. Scotty zarejestrował gettowe ploteczki. Scotty rozdzielił drobne między pijaczków. Scotty posmarował donosicielom dyszkami i pogroził bronią walniętemu czarnuchowi, który zawracał głowę starszej pani. Scotty ofiarował karton dżinu kościołowi Zbawiciela. Scotty przeszukał informatora, znalazł strzykawkę w zestawie i złożył mu czarną dupę swoją pałką sprężynową.

Czarnogród skwierczał. Panował upał zwykły dla połowy września. Czarnuchy przywdziały letnie piórka. Mnóstwo podkoszulków bez rękawów, kapelusików i fioletowych czapek gazeciarzy. Apatyczni leserzy żłopali słodowy trunek Schlitza.

Scotty minął Bank Powszechny Południowego Los Angeles. Dwight zobaczył prezesa: Lionela Dariusa Thorntona. Scotty przejechał przed siedzibami SCP i FWMM. Pieprzone gnojki na straży oklapły.

Scotty zasysał hurtowo strach i nienawiść. Ściągał nieszczęście jak jakiś gówniany Jonasz.

Objazd zakończył się o 16.00. Scotty dojechał do Harbor Freeway, przy wyjeździe na Sto Pierwszą i Western Avenue. Zaparkował na drugiego przed speluną topless o nazwie Klub Królicza Łapka. Dwight zaparkował przy krawężniku i poszedł za nim.

Ruda cycatka obracała się na scenie. Renciści i hipisi patrzyli na nią pożądliwie. Scotty uklonił się i pomachał. Ruda przeszła na zaplecze. Zastąpiła ją blond cycatka.

Scotty przeszedł na zaplecze. Dwight przeszedł na zaplecze i zaczął się za jakąś kotarą. Usłyszał gadkę szmatkę i niewątpliwe obciążanie. Wrócił do swojego wynajętego wozu i czekał. Po dziewięciu minutach Scotty wyszedł z Klubu Królicza Łapka. Wskoczył do radiowozu, zawrócił i ruszył na wschód.

Dwight ruszył za nim. Scotty przejechał Hollywood Boulevard, Sunset i Alvarado Street. Skręcił na wschód w Siódmą. Następny przystanek – Steki u Vince'a i Paula, róg Siódmej, Sunset i Union.

Scotty zaparkował i wszedł. Dwight dał mu osiem minut przewagi. W barze panował tłok, wszędzie gliny po cywilnemu wciągające gorzałę.

Dwight pociągał 7Up i starał się nie wyglądać na glinę. Scotty witał się, gawędził i hołubił cycatą brunetkę.

Scotty grzał. Scotty wciągnął darmowe smażone krewetki i rumaki. Scotty poprowadził brunetkę na zaplecze do magazynu. Dwight przywałęsał się pod drzwi. Usłyszał gadkę szmatkę i niewątpliwe obciążanie.

Dość.

Dwight wrócił do swojego wynajętego wozu i czekał. Osiemdziesiąt trzy minuty później Scotty wyszedł od Vince'a i Paula. Dwight śledził go do domu w Pasadenie. Rodzina powitała go na ganku. Pani Scotty była cycatą blondyną pod pięćdziesiątkę. Scotty miał dwóch



nastoletnich synów i dwie nastoletnie córki. Dzieciaki były *très* wysokie i wyglądały dokładnie jak Scotty.

– Bywasz u Vince’a i Paula?

– Czarni gliniarze nie są tam mile widziani.

– Co się stało z „murzyńskimi”?

– Wyszli z mody w zeszłym roku. „Czarni” jest śmielsze. Ma w sobie ten motyw „nie bójmy się tego powiedzieć”. Moi ludzie mają do tego szacun.

Dwight odsunął talerz. Steki Olliego Hammonda deklasowały Vince’a i Paula. Obie knajpy leżały na uboczu. Marsh Bowen skubnął sałatkę.

– Scotty Bennett tam bywa. Dlatego mnie pan pytał?

Dwight łyknął proszek na zagę i zapalił papierosa. Jedzenie mu wystygło.

– Znam się na ludziach, panie Holly. Wiem, że myśli pan nad Scottym.

– Nie dopraszaj się komplementów. Gdybym nie uważał, że jesteś bystry i spostrzegawczy, nie siedziałbyś tu ze mną.

– Ale zastanawia się pan, na ile jestem elastyczny.

– Zgadza się.

– Uznam to za komplement i idźmy dalej.

Dwight pociągnął za swój pierścień.

– Poplamiona gotówka. Bardzo był brutalny?

Marsh bawił się widelcem.

– Zadawał mi pytania z przesadną kurtuazją i walił mnie książką telefoniczną, jeśli nie podobały mu się moje odpowiedzi.

– Nienawidzi Murzynów?

– Czarnych, panie Holly.

– Nie poprawiajcie mnie, funkcjonariuszu.

Żadnego drgnienia ani wzdrygnięcia. Rozprzestrzeniająca się gęsia skórka i pulsująca żyła na czole.

– Nienawidzi Murzynów?

– Bardziej niż pan, ale mniej potoczyście. I jestem pewien, że zabił ich mniej niż pan.

Dwight drgnął.

– Chyba lubi spędzać czas na południu.

– Owszem, lubi. Na południe od Washington Boulevard to Pan Scotty.

– To trafnie wyraża nienawiść do niego. Jest z tego dobrze znany?

– O tak.

Dwight strzelił stawami palców.

– Scotty jest elementem scenariusza twojego wydalenia ze służby. Powiedz mi, jak twoim zdaniem powinniśmy to rozegrać.

Marsh odstawił pantomimę. Zmrużył oko, patrząc przez wizjer. Oddał strzał. Mówił przez megafon.

– Steki Vince’a i Paula. Funkcjonariusz Marshall E. Bowen uderza do płomiennej kelnerki, dziewczyny sierżanta Roberta S. Bennetta, i to w jego obecności.

Dwight wyciągnął rękę. Marsh zostawił ją w powietrzu. Chwila narosła i wygasła. Obaj zauważyli, jak debilnie to wygląda. Roześmiali się jednocześnie.

## 36

(Las Vegas, 14.09.1968)

Jakie to wygodne.

Jego kumple zabójcy mieszkali w wygodnych apartamentach hotelowych. Freddy O. miał w Pieczarze. Żabojad miał nowe kwatery w Fontainebleau. Wayne Tedrow miał posiadłość w Gwiezdnym Pyle. Dwight Holly melinował się w apartamentach w całym kraju.

Crutch czekał na Wayne'a T. Jego apartament składał się z czterech pokoi i laboratorium chemicznego. Jego koledzy zabójcy byli absolwentami college'ów. On wyleciał z liceum. Strzelił fotkę kęпки Gail Miller i zniweczył swoje szanse edukacyjne.

Crutch czekał. Foyer było całe w aksamicie i złoto-lustrzane. Z pokoju obok napływały żrące opary. Na stoliku leżała gazeta z Vegas. O Wayne traktował nagłówek, poniekąd.

Policja Las Vegas wieszała pośmiertnie psy na bambusie, niejakim Pappym Dawkinsie. Mówili tak: zejście Wayne'a seniora. „Atak serca” – gównu prawda. To był taki ochłap, żeby uspokoić rodzinę.

Nagłówki dotyczyły jego kumpli zabójców. Jego kumple zabójcy zmanipulowali nagłówki. Wewnętrzne plotki: Wayne skasował swojego starego.

Crutch oparł się o ścianę. Od kłaków chciało mu się kichać. Wayne i Żabojad pozwolili mu żyć. Owszem, oblefował ich. Owszem, zmyślił zabezpieczenia. Ale... musiał śpiewać.

Wyśpiewał prawie wszystko. Wyśpiewał, że wynajął go doktor Fred Hiltz. Śmiało, mały – skubnij Farlana Browna i Hrabiego Drakulę. To tylko dziewczka złodziejka. Łyknęli to i uwierzyli mu. Nie wyśpiewał o Gretchen Farr jako Celi Reyess ani o Joan Rosen Klein. Nie ujawnił zagranicznych paszportów ani że Sam G. dzwonił do Gretchen/Celii, ani o martwej kobiecie w Domu Grozy.

Wayne otworzył drzwi i minął go. Ani kiwnięcia, ani spierdalaj, jesteś robakiem, którego nie widzę. Crutch podążył za nim. Odór oznajmił laboratorium chemiczne. Same kadzie i zlewki na półkach.

Crutch zatrzymał się w progu. Wayne przycisnął sobie zlewkę do czoła. Znaczyło to „Kurwa, ale mnie głowa boli”.

– Chciałeś do nas. Dobra, jesteś. Jeśli będziesz robił to, co Mesplède i ja ci każemy, to może przeżyjesz. Jeśli nas okłamiesz, okradniesz, oszukasz albo zataisz przed nami jakieś informacje, zabijemy cię i podstępem wyłgamy się z tego zagrożenia, które na nas ściągnąłeś.

Crutch przełknął głośno ślinę. Jego jabłko Adama podskoczyło. Poprawił muchę. Żeby pokazać tę małą dwójkę.

– Zabiłem dwóch ludzi. Jestem oddany sprawie kubańskiej wolności.

Wayne posłał mu To Spojrzenie.

– Sprawa kubańskiej wolności to prawicowe pierdolenie. Mesplède jest omamionym podżegaczem, ja nie, i radziłbym ci, żebyś omamionym podżegaczem nie zostawał. Jeśli rzeczywiście zabiłeś dwóch ludzi, to ze szczeniackiego pragnienia, żeby się podlizać Mesplède’owi, albo ze strachu, że on zabije ciebie, jeśli mu się nie podporządkujesz. Nie nadużywaj mojej cierpliwości takimi szczeniackimi pierdołami. Nie dawaj mi powodu, żebym cię zabił.

– Dobra – powiedział Crutch. Uśmiechnął się jak Scotty B. Wolałby, żeby jego głos był o kilka oktaw niższy.

– Pracujesz z Mesplède’em. Macie sabotować kampanię wyborczą Huberta Humphreya, za trzysta dolarów tygodniowo. Lada chwila pojawi się plan jego podróży, więc pogadaj z Clyde’em Duberem, weź listę lewaków i znajdź jakichś politycznie zmotywowanych głupków, żeby ci pomogli. Nie pozwalaj sobie na ponadprogramowe gówniarskie zajęcia w czasie pracy. Rozumiesz mnie?

Zwinęły się pudrowe opary. Laboratorium wydawało się toksyczne. Crutch potarł nos. Wayne się roześmiał.

– Gadałem dzisiaj rano z Farlanem Brownem. Jest gotów ci wybaczyć wszelkie szczeniackie gówna, których się dopuściłeś w trakcie pracy na zlecenie Freda Hiltza. Kazał ci przekazać, że Gretchen Farr nacięła go na dwadzieścia pięć tysięcy dolarów i możesz zatrzymać połowę, jeśli ją znajdziesz i dokonasz restytucji. Powiedział mi, że w pewnym momencie anonimowo przekupił jakiegoś twojego kumpla alkoholika, żeby zostawił tę sprawę, bo bał się nieprzychylniej prasy, ale teraz, kiedy pracujesz dla mnie, możesz równie dobrze się tego trzymać, na takiej zasadzie, że jak ci się uda, dostaniesz zapłatę.

Crutch uśmiechnął się szeroko. Wayne wskrzesił To Spojrzenie. Crutch szybko się oduśmiechnął.

Wayne połknął trzy aspiryny.

– Brown chciał, żebym ci tę informację przekazał. Powiedział, że kiedyś miał podejrzenia względem Gretchen i przeszukał jej szafę. Zobaczył mundur stewardesy, ale bez oznaczeń linii lotniczych, i tabliczkę z nazwiskiem i imieniem Janet. Tylko tyle mi powiedział i to ja ci teraz mówię. Rób z tym, co chcesz, w wolnym czasie. Nie zaniedbuj swoich obowiązków wobec mnie i przekaz doktorowi Fredowi i Clyde’owi Duberowi, że natychmiast wycofujesz się z tej idiotycznej „sprawy”.

Crutch powstrzymał się od kichnięcia.

– Zabieraj się stąd – powiedział Wayne. – Zdrowy rozsądek podpowiada mi, żeby cię zabić.

„Rozpracować trop o stewardesie od F.B.”.

„Lewy numer Giancany???”

„Do chwili obecnej: nie ma sensownych dokumentów policyjnych na temat GF. O aresztowania za napady z bronią w ręku JRK ('51 & '53) nie mogę spytać Scotty'ego B. (brak danych o zarzutach), żeby nie alarmować Clyde'a. Podobnie nie mogę poprosić fed. o akta JRK. Jeśli chodzi o GF/CR: sprawdzić rejestry urodzeń w całym kraju albo założyć, że pochodzi z zagranicy?”

„GF/CR i ofiara: sprawdzić wywiad miejscowej policji, rejestr osób zaginionych i przestępców w czasie podróży w trakcie kampanii”.

Crutch pisał na swoim wykresie na ścianie. Głowa mu przeskakiwała – z LA do Vegas i z powrotem – przez cztery godziny. Nos go ciągle swędziało. Wayne odprawił go słowami „Dobranoc, dupku”.

Potrzebował więcej papieru na ścianę. Potrzebował więcej kartonów na akta. Może potrzebował trzeciej mety na akta. Wayne go ostrzegł: nie zatrzymuj dla siebie informacji. Jego sprawa była teraz sprawą wysokiego ryzyka.

Crutch przyglądał się swojemu wykresowi. Słowa przepływały. Przez linie i zlepione samorodki tropów. Przyglądał się zdjęciom kartotekowym Joan. Przysunął lampę podłogową, żeby załśniły jej siwe pasma.

*Olśnienie.*

Wyciągnął blok rysunkowy. Narysował twarz Gretchen Farr/Celii Reyes. Dodał strój stewardesy z tabliczką z imieniem Janet.

Żółte Strony – telefonicznie.

Linie lotnicze. Sporządzić listę. Obowiązki kampanijne pod ręką.

Coś się spierdoliło. Beverly Hills, 14.00, emanował stamtąd wielki ból.

Zator w dzielnicy bogaczy. Tajniaki z policji z Beverly Hills, światła i syreny. Dwa chryslery, dwie karetki, dwa wozy transmisyjne.

Crutch podążył za radiowozami. Przejechały dzielnicę biznesu. Fale bólu napływały coraz silniejsze: więcej chryslerów, chopperów, gliniarzy z psami tropiącymi na smyczy. Skręcił na zachód w Elevado. Ruch był całkowicie zablokowany. Zobaczył wielką chmurę mundurowych przed Domem Nienawiści.

Porzucił samochód i pobiegł tam. Ominął stojące samochody i biegł trawnikami. Minął podjazd sąsiada i wspiął się na ogrodzenie. Chmura mundurowych się rozrosła. Są posągi i schron, i doktor Fred. On na noszach przesiąkniętych krwią. Zamiast twarzy ma śruciny z shotguna i spaloną kość.

Zobaczyli go mundurowi. Rozpoznał kilku. Ktoś krzyknął: „Crutchfield, jedź na posterunek!”.

Clyde już tam był. Jak również Phil Irwin. Jak również żydowski prawnik Phila i Clyde'a, Chick Weiss.

W Wydziale Śledczym panował tłok. Policja z Beverly Hills prowadziła sprawy o morderstwo raz na dziesięć lat. Obława. Gliny przeczesywały znane kontakty doktora Freda.

– To rutyna – powiedział Clyde. – Zobaczyli moje nazwisko i nazwisko Phila, i Crutcha w kalendarzu doktora Freda.

– To na pewno któraś z jego byłych żon. Żenił się siedem razy. Ja mu prowadziłem wszystkie rozwody. Miał największe długi alimentacyjne na tej planecie.

– Kto mieczem wojuje, od miecza ginie – rzucił Phil. – Ja tam myślę, że to czarni bojówkarze. Napisał te wszystkie antysmolusze traktaty, więc smoluchyoczyściły jego podżegaczową dupę.

Crutchowi przypomniała się Gretchen/Celia. Crutchowi przypomniała się Joan. Crutchowi przypomniał się wypełniony gotówką kosz na bieliznę.

– Bojówkarze to nie – powiedział Clyde – ale jakieś czarne bandziory. Rozmawiałem z komendantem straży. On uważa, że to ta sama ekipa asfaltów, która napadła na tych ludzi w Brentwood.

– Ja jestem koneserem asfaltowej sztuki – odezwał się Chick. – Podobają mi się karaibskie posągi. Ale to nie znaczy, że chciałbym je rabować.

– Kto mieczem wojuje, od miecza ginie – powtórzył Phil.

Clyde przewrócił oczami.

– Jako twój prawnik – powiedział Chick – doradzam ci, żebyś nic nie mówił. Doktor Fred był umoczony w nieprzebranej ilości gówna. Nie chcesz być z tym powiązany.

Zabrzączał interkom.

– Donald Crutchfield proszony do gabinetu kapitana.

Crutch poszedł. Drzwi były otwarte. Wszedł do środka. Stał tam Dwight Holly.

– Cześć, dupku.

Crutch zatrzasnął drzwi. *Punkt zbieżny* – słowo Clyde'a – *to, kogo znasz i kogo dmuchasz, i jak jesteś powiązany.*

– Ludzie ciągle tak mnie nazywają. A ja ciągle próbuję im udowodnić, że to nietrafne określenie.

– To przez tę muchę z koszulką polo. Trudno przez to dostrzec twoją prawdziwą, dynamiczną osobowość.

Crutch oparł się o drzwi. W piersi mu dudniło. Żółć podjechała do gardła. Poczł się, jakby zzieleniał. Dwight Holly rzucił mu pigułkę na zgagę. Chwycił ją i połknął. Dwight Holly mrugnął.

– Wayne nakreślił mi ten pat, który wytworzyłeś. Powiedziałem „Zabijmy go mimo wszystko”, ale łagodniejsze umysły przeważły. Jeśli chcesz szukać tej kobiety, która oskubała Farlana Browna, klawo. Słuchasz rozkazów, przeżyjesz. Nie słuchasz, *c'est la guerre.*

Crutch zamknął oczy i zobaczył doktora Freda bez twarzy. Gruby śrut, 9 mm. Wielkie ładunki, koniec gry. Poczul w ustach krew. Zacisnął szczęki.

– Pan Hoover chce, żeby to zabójstwo przeszło niezauważone – mówił Dwight Holly. – Paru czarnuchów dokonało rabunku i uciekło. Doktor Fred był informatorem Biura, rozpowszechniał nienawiść, był narkomanem i kompulsywnym jebaką. To styl życia wysokiego ryzyka i świat nie będzie płakał. Zaczynasz pojmować w tym swoją rolę?

Crutch otworzył oczy.

– Miał schron przeciwlotniczy. Tam stał wielki kosz pełen...

– Schron został splądrowany i pieniądze zniknęły. *Paru czarnuchów dokonało rabunku i uciekło.* Wydadzą pieniądze na prochy, cadillaki i futra z nerek dla swoich dziwek, dalej będą dokonywać rabunków, aż jacyś biali gliniarze ich zastrzelą. Czy zaczynasz pojmować swoją...

– Nie mówić policji Beverly Hills o Gretchen Farr. Nie wspominać Drakuli ani Farlana Browna. Kłamać. Przemilczeć. Wykręcać się. Nie wspominać o panu, o Wayne, o Freddym O., Mespledzie ani żadnych innych ewentualnych waszych zaprzyjaźnionych pieprzonych zabójcach. Nie sprawiać kłopotu pańskiemu pedrylskiemu szefowi, panu Hooverowi.

Dwight Holly uśmiechnął się szeroko.

– Tak mi się właśnie wydawało, że masz jakiś mózg.

Crutch przełknął trochę krwi. Dwight Holly rzucił mu kolejną tabletkę. Chybiła i spadła na podłogę.

– Mogę cię zapytać o tę muchę i twoją fryzurę?

– Jasne.

– Czy ty darzysz grzesznym uczuciem sierżanta Roberta S. Bennetta?

– Spierdalaj – powiedział Crutch.

Dwight Holly ryknął śmiechem.

## 37

(Las Vegas, 15.09.1968)

Akta, wykresy, listy. Jego pokój zamienił się w laboratorium chemiczne/papiernię.

Księga firm uchylających się od spłacania pożyczki Funduszowi Teamster. Naciągacze i pijaki. Zestawienia transakcji i umowy kredytowe. Zestawienia przewidywanych debetów i analizy kosztów.

Wayne czytał akta i zapisywał liczby. Pracował z notatnikiem i trzema różnymi długopisami. Plecy go bolały od pochylania, a palce od pisania. Oczy go bolały od czytania akt i przeglądania kolumn cyfr.

Dołączmy sieć Kingburger Steve'a w Akron w Ohio. Kupmy centrum handlowe w Leawood w Kansas. Dołączmy sieć Pizza Pit i przepuśćmy przez to zyski z kasyn. Dołączmy trzy spelunki w południowym LA: Bar Skorpion, Tacka Sułtana Sama i speluna dla lesb Słodki Szał. Przechwyćmy Bank Powszechny Południowego Los Angeles, ze względu na jego pralniczy potencjał. Przywłaszczmy sobie Kompanię Taksówkową Czarny Kot. To biznes całkowicie gotówkowy, w pobliżu Banku Powszechnego, blisko granicy i naszych zagranicznych kasyn.

Wayne odłożył długopis. Był wykończony. Skończył z prochami, dzięki którym przetrwał zachodnie Vegas i Grapevine. Pokonał napady szlochów nad Janice. Wracał do formy. Obojętniał, ponieważ...

*Pracował.*

Mediował i się zjawiał. Pracował dla Carlosa Marcella, dla Howarda Hughesa i przeciwko Howardowi Hughesowi. Hotelowe szaleństwo Draka zostało powstrzymane przez rozporządzenie Departamentu Sprawiedliwości. Chytry Dick je umożliwi, jeśli wygra wybory. Szwadron szkodników udzieli wsparcia.

Ekspediował. Jean-Philippe Mesplède został wysłany na zwiad do państw pod kasyna. Mesplède był mieszanką *grande plus*. Był niestrudzony i kompetentny, i skłonny do sentymentalnych skuch. Darował życie temu tępemu chłoptasiowi. Zabezpieczenia chłoptasia śmierdziały niepewnością. Niepewność była nieprzekonująca. Przewidywał długość życia Dupka na pół roku góra.

Dzieciak przyciągał nieszczęścia. Jak jakiś gówniany Jonasz. On też. I Dwight Holly.

Dwight dzwonił do niego wczoraj. Przekazał wieści: zabito Freda Hiltza. Pan Hoover chciał to mieć pochowane. To dobrze: Drako i Farlan Brown mogli zyskać rozgłos poboczny.



Opowiedział Dwightowi historię Dona Crutchfielda. Dwight spytał „Mam go zabić?”. „Jeszcze nie” – odparł.

Ziewnął i chwycił akta. Zajmowały cztery strony. Dwight pociągnął sznurki i wypluł je dla niego.

Policja Las Vegas – Szeryf Hrabstwa Clark: Sprawa Zaginięcia nr 38992. Reginald James Hazzard/Murzyn/ur. 17.10.1944.

Niewiele i ponuro. Pro forma – zaginione kolorowe dzieciaki nie znaczyły kompletnie nic.

Reginald Hazzard był obsypanym laurami absolwentem liceum. Zaliczał college, pracował w myjni samochodowej, pilnował swoich spraw. Gliny przesłuchały paru sąsiadów, nie dowiedziały się niczego, sprawa zamknięta.

Teczka była nieskalana. Papier pachniał nowością. Do tego dokumentu nikt nie zaglądał i nikt nad nim nie płakał.

Dzwonił trzy razy do Mary Beth. Ani razu nie odebrała. Dzwonił z przerwami jednodniowymi i odczekiwał dwadzieścia dzwonek.

Odłożył akta. Zawahał się. Znowu wybrał numer. Po czterech sygnałach usłyszał jej niemal obcesowe „Halo?”.

– Mówi Wayne Tedrow, pani Hazzard.

Prawie się roześmiała.

– Cóż, miło pana słyszeć, ale nie mogę powiedzieć, że jestem zaskoczona.

– Umówimy się na kawę?

– Dobra, ale ja ją przywiozę.

– Gdzie?

– Pierwszy parking na I-piętnaście. Nie powinnam być z panem widywana.

Od wtedy do teraz się zamazało. Ten parking i parking w pobliżu Dallas. Wtedy sypki piasek i kłęby krzewów. Teraz pustynny żwir. Wendell D. w alfonsowych szmatkach. Podobne domki motelowe zamazane gładko.

Wayne zajechał. Mary Beth siedziała w valiancie 1962. Był środek dnia, pełno ludzi. Zaparkowała z dala od wszystkich wozów. Wayne wskoczył do jej auta. Uśmiechnęła się i stuknęła w kierownicę. Klakson zatrząbił. Wayne walnął kolanami o deskę rozdzielczą.

– Nie jesteśmy zbiegami, wie pan.

– Pani umiałaby to udowodnić – powiedział Wayne.

Podziała mu papierowy kubek z serwetką. Dno przeciekało.

– Zapomniałam poprosić o śmietankę i cukier.

– Mnie wszystko pasuje.

– Pan zawsze taki zgodny?

– Nie, zwykle nie znoszę sprzeciwu.

Mary Beth się uśmiechnęła.

– Wiem. Wczoraj widziałam Buddy’ego Fritscha na Fremont Street. Miał szynę na nosie.

Wayne przytrzymał oburącz kubek. Kawa była za gorąca. Popijał ją powoli. To było czysto bezproduktywne zajęcie.

– Moi przyjaciele uważają, że pan jest szalony.

– Co pani im mówi?

– Mężczyźni, którzy chcą coś od ciebie, zwykle dają ci coś albo pokazują, co znaczy tyle samo co powiedzenie prosto z mostu. Ja mówię „Pan Tedrow ma mi coś do powiedzenia i brakuje mu słów, ale na pewno zna gesty”.

Wayne odstawił kubek na deskę rozdzielczą. Zakołysał się i znieruchomiał. Odwrócił się do Mary Beth i splótł dłonie, obejmując jedno kolano.

– Niech mi pani opowie o swoim synu.

– Przez niego pożałowałam, że nie było go dwóch czy trzech więcej, a jeśli do takiego wniosku dochodzi tak zapracowana osoba jak ja, to naprawdę coś znaczy.

– To opisuje pani uczucia do niego. Miałem na myśli pani ocenę młodego mężczyzny.

Mary Beth upiła kawy.

– Czytał i był chemikiem amatorem. Świata nie widział poza książkami i aparaturami chemicznymi. Próbował ogarnąć świat swoim umysłem, co ja szanowałam.

Obok nich stanął samochód. Biali ludzie się gapili.

– A śledztwo policyjne? – spytał Wayne.

– A jak pan sądzi? Trwało jakieś pół dnia, więc wynajęliśmy z Cedrikiem prywatnego detektywa. Nazywał się Morty Sidwell i myślę, że wykonał dobrą robotę. Sprawdził meldunki o zgonach i meldunki w policji i szpitalach w całym kraju i doszedł do przekonania, że Reginald żyje. Po jakimś czasie skończyły nam się pieniądze, więc musieliśmy odpuścić.

Biali ludzie ciągle się gapili. Wayne ciągle się oglądał.

– Niech pan zostawi – powiedziała Mary Beth. – Chyba nie zniosłabym kolejnego gestu z pańskiej strony.

Wayne odsunął swój fotel. Uwolnił dzięki temu nogi. Mary Beth odstawiła swój kubek na deskę rozdzielczą.

– Prezydenta Kennedy’ego zabito kilka tygodni przez zniknięciem Reginalda. Był bardzo przejęty.

Biali ludzie odjechali. Tata zmienił bieg z podwójnym wysprzęgleniem i miotnął żwirem spod kół.

– Pamięta pan, gdzie spędził tamten weekend?

Wayne spojrzał na nią.

– Byłem w Dallas.

– Dlaczego?

– Próbowałem znaleźć Wendella Durfee.

– I?

– I znalazłem go, i puściłem wolno.

Przyjechało więcej samochodów. Robiło się ciasno. Wayne zaczął się trząść i pocić. Mary Beth położyła mu dłoń na kolanie.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 16.09.1968. OSOBY PROWADZĄCE DZIAŁALNOŚĆ WYWROTOWĄ Raport podsumowujący. Oznaczony: Daty/Fakty/Obserwacje/Znane kontakty/Członkostwo i przynależność organizacyjna. Obiekt obserwacji KLEIN, JOAN ROSEN/Liczne nieznanne pseudonimy/biała kobieta/ur. 31.10.1926 w Nowym Jorku. Sporządzony: 14.03.1967.

1. Podsumowanie: JOAN ROSEN KLEIN należy postrzegać jako postać wywrotową, antyamerykańską o wszechstronnych powiązaniach z niebezpiecznymi radykalnymi organizacjami lewicowymi wyznającymi wszelkiego rodzaju ideologie. Powiązania te rozpoczynają się 20 lat temu. JOAN ROSEN KLEIN była „organizatorką komuny”, planowała „marsze protestacyjne” w rozmaitych wywrotowych sprawach, była instruktorem w podejrzanej „Szkole Wolności”, która opowiadała się za doktryną Partii Komunistycznej, a przede wszystkim dała się poznać jako silny sprzymierzeniec radykalnych grup lewicowych, które orędowny za obaleniem przemocą rządu Stanów Zjednoczonych, np. SOCJALISTYCZNA PARTIA ROBOTNICZA, STUDENCI DLA DEMOKRATYCZNEGO SPOŁECZEŃSTWA i RUCH AKCJI REWOLUCYJNEJ. Te organizacje zadeklarowały solidarność z brutalnymi organizacjami czarnych nacjonalistów, CZARNE PANTERY i ZJEDNOCZENI NIEWOLNICY, czyli pod kątem ryzyka zagrożenia należy je zaszeregować do poziomu 4. JOAN ROSEN KLEIN była też podejrzana (zarzut nieudowodniony) o udział w napadach z bronią w rękę w Los Angeles w roku 1951 i 1953/brak dokładniejszych informacji, oraz o dwa napady z bronią w rękę w r. 1954 w Ohio i Nowym Jorku/brak dokładniejszych informacji.

Dziadek JOAN ROSEN KLEIN, ISIDORE HERSCHEL KLEIN (1874–1937) był bogatym handlarzem szmaragdów i lewicowym polemistą, który ofiarował wielkie sumy pieniędzy grupom anarchistów, radykalnym ugrupowaniom prorobotniczym i Frontowi Komunistycznemu. Jego syn JOSEPH LEON KLEIN (1902–1940) był zdeklarowanym fanatykiem radykalizmu, podobnie jak jego żona HELEN HERSHFIELD ROSEN KLEIN (1904–1940). Po ich śmierci w 1940 r. JOAN ROSEN KLEIN została sierotą. Pojawiła się ponownie w latach wojny i była zatrzymywana za pogwałcenie przepisów Ustawy o Obcych i Działalności Wywrotowej, za zakłócanie porządku w czasie wieców protestacyjnych organizowanych przez komunistów, była też poddana fotoinwigilacji w czasie odbywających się w całym kraju spotkań KOMUNISTYCZNEJ PARTII USA, SOCJALISTYCZNEJ PARTII PRACY, POKOJOWEGO ZWIĄZKU STUDENTÓW, LIGI DEMOKRACJI

PRZEMYSŁOWEJ, ZJEDNOCZONEJ LIGI ZWIĄZKU HANDLOWEGO i rozmaitych zbiorów na rzecz przebywającego na emigracji sympatyka komunistów Paula Robesona. JOAN ROSEN KLEIN podobno jest autorką antyamerykańskiej literatury rozprowadzanej przez wymienione wyżej organizacje.

2. JOAN ROSEN KLEIN uważa się za wędrowną nauczycielkę z zawodu i ostatnio (1962) nauczała w finansowanej przez radykałów „Szkole Wolności” przy Uniwersytecie Południowej Kalifornii, gdzie rzekomo była mentorką czarnych studentów chemii i fizyki. Ma silnie ukrywane relacje i prowadzi korespondencję przez skrytkę pocztową z licznymi lewicowymi profesorami college’ów, którzy umożliwiają jej spotkania z innymi wywrotowcami o podobnych poglądach w podziemiu komunistycznym/socjalistycznym/radykalnym. JOAN ROSEN KLEIN wiele podróżuje za granicę (najprawdopodobniej posługując się fałszywymi paszportami), podobno przebywała na komunistycznej Kubie (łamając przepisy o zakazie podróży) i podobno ma powiązania z prokomunistycznym Ruchem 14 czerwca w Dominikanie. Napisała też antyamerykańskie, antydominikańskie polemiki ostro krytykujące rzekome znęcanie się nad haitańskimi wieśniakami przez „proamerykańskie biznesy faszystowskie działające w zмовie z despotami dominikańskimi w ludobójczej wojnie z Haiti”. Rzekomą współautorką tych polemik jest dominikańska obywatelka znana tylko z imienia – „Celia”.

3. JOAN ROSEN KLEIN intensywnie podróżuje po kontynentalnych Stanach Zjednoczonych i często jest przewożona samolotami (przez bogatych towarzyszy podróży) do powstańczych ośrodków na narady z radykalnymi przywódcami i aby doradzać im, w jaki sposób najlepiej osiągnąć cel. Jej wąską specjalnością jest rekrutowanie naiwnych studentów college’ów, którzy uczęszczają na wykłady „Szkół Wolności”, i podobno pomagała wielu młodym ludziom w porzuceniu studiów i przyjęciu „tożsamości konspiracyjnej”. Rejestry członków grup wywrotowych i rejestr fotoinwigilacji odnotowują uczestnictwo JOAN ROSEN KLEIN w akcjach protestacyjnych przeciwko przysiędze lojalności w Los Angeles 30.08.1950 r., w wiecach pod hasłem „Uwolnić Rosenbergów” w Nowym Jorku w czerwcu 1952 r., w wiecach Postępowej Partii Niepodległości w Bostonie w listopadzie 1951 r. JOAN ROSEN KLEIN zaobserwowano również na prokomunistycznych wiecach popierających Sztokholmską Petycję Pokojową w czternastu miastach USA w 1950 r.

4. Ostatnio JOAN ROSEN KLEIN negocjowała „pakty pokojowe” pomiędzy nienawistnymi frakcjami lewicowymi a grupami (głównie białych) sojuszników czarnych bojówek. Podobno jest autorką 200-stronicowej broszury doradzającej SOJUSZOWI MŁODYCH SOCJALISTÓW w ich „Brutalnej Walce Robotniczej w celu likwidacji stanu Indiana”. JOAN ROSEN KLEIN pracowała (1966) jako „dyskdzokej” w lewicowej stacji Radio-Free Dixie i ostatnio była widziana (fotoinwigilacja) z członkami brutalnego radykalnego ugrupowania WEATHER UNDERGROUND. Cztery wydania ich prokomunistycznego dziennika „The Weather Report” zostały podpisane przez nią. JOAN ROSEN KLEIN rzekomo jest także

mistrzynią w organizowaniu „bezpiecznych domów” – tj. kryjówek dla ukrywających się ultraradykałów.

5. Znane Kontakty:

[REDACTED]

6. Potencjalne zagrożenie ze strony JOAN ROSEN KLEIN (miejsce aktualnego pobytu nieznane) należy oszacować na poziom 4, powinna być objęta całościową inwigilacją, polegającą na przechwytywaniu korespondencji, fotoinwigilacji i ewentualnych 48-godzinnych zatrzymaniach. (Okresowe aktualizacje będą dokonywane w miarę napływu nowych informacji). Numer identyfikacyjny 1499684/Archiwum Centralne/Waszyngton DC. AS Holly: proszę o zwrot pocztą bezpieczną.

## 38

(Los Angeles, 19.09.1968)

*To jej włosy.*

Siwe pasma. Żadnych ulg dla czterdziestu jeden lat. Nagie ramiona, żeby uwydatnić bliznę po nożu. Promieniała swoim wiekiem; ubierała się dojrzałe, wystrzegała się estetyki dzieciaków. Blizna stanowiła wystarczające Pierdol Się.

Zapalili papierosy. Ich boks był wielki i kolisty. U Olliego Hammonda panował powolny przedlunchowy ruch.

– Nie wspomniał pan o wynagrodzeniu – powiedziała Joan Klein.

Dwight napił się kawy.

– Tysiąc miesięcznie, gotówką. Wyda pani sto miesięcznie na zbliżenie się do naszych celów. Kupi jedzenie dla szwindlowatej akcji Nakarm Dzieciaka, żeby bracia mieli trochę więcej kasy na spluwy i prochy.

– A moje obowiązki poza tym?

– Musi pani klecić wyczerpujące raporty, być dyskretna, nie przekazywać informacji, które mogą pochodzić tylko od pani. *Chronić swój status informatora*. Ostrzegać mnie z wyprzedzeniem o ewentualnej brutalnej zbrodni i każdej konkretnej rozmowie o akcjach wymierzonych przeciwko funkcjonariuszom policji.

Joan się uśmiechnęła.

– Oprócz zwykłych gadek „zabić świnię”?

Dwight się uśmiechnął.

– Jeśli konkretne świnię, to chcę wiedzieć. Mgliste gówno o białych skurwielskich świniach mogą sobie odpuścić.

*Jej okulary.*

Czarne oprawki, trochę za luźne, zsunięcia po wybojach nosa.

– Zna pani Karen Sifakis – powiedział Dwight.

– Wiem o kobiecie nazywanej „Karen Bombardier”. Ona zna ludzi, którzy znają ludzi, którzy znają mnie. Pan wie wszystko o wycinkach, skrytkach pocztowych i skrzynkach kontaktowych.

Zgaga – Dwight połknął dwie tabletki. Wytrwały kelner stał. Dwight spiorunował go wzrokiem, żeby odszedł.

– Czytałem pani akta.

– Wyobrażam sobie.

– Są skromne i pełne niezgodności. Nie umiem stwierdzić, czy jest pani pacyfistką, która z piersi matki wyssała czerwone mleko, czy niedoszłym bandytą specjalizującym się w napadach z bronią w rękę.

Joan wypuściła kółko dymu.

– Uznajmy, że jedno i drugie, to unikniemy wielu niespodzianek.

Dwight skipował.

– Żadnych materiałów sądowych, żadnej dokumentacji. Cztery zatrzymania, żadnych informacji o ewentualnym akcie oskarżenia...

– Cztery napady z bronią w rękę w miastach, w których odbywały się strajki robotników. Przypadkowe obławy na osoby, które pogwałciły przepisy Ustawy Smitha, nazwiska z listy najwyższego ryzyka, gliniarze szukający rozrywki.

Dwight nalał im świeżej kawy.

– Doniosła pani na kogoś z towarzyszy?

– Nie.

– Ile czasu siedziała pani w areszcie?

– Różnie.

– Znęcano się nad panią fizycznie?

– W Dayton w Ohio gliniarz bił mnie książką telefoniczną.

– Pani reakcja?

– Nierozważna uwaga o jego matce.

Dwight się roześmiał.

– I co wtedy?

– Wsadzili mnie do celi z takimi męskimi lesbami. Jedna dziewczyna okazała się miłą. Podobało mi się całowanie, ale jak na mój gust za szybka była.

*Wyrażała się precyzyjnie. W jej samogłoskach czaił się Nowy Jork. Zmieniała akcent – cecha wytrawnego udawacza.*

– Nigdy nie odtrącałem kochliwej lesby w areszcie – powiedział Dwight.

– Dźgnęłam ją widelcem. Zęby przecięły jej policzek i utknęły w podniebieniu.

Dwight anulował uśmiech. Joan napiła się kawy. Wyglądała na wymizerowaną, po nocce.

– Jak będziemy się kontaktować?

– Na razie telefonicznie. We wtorki o dziesiątej rano. Budka na rogu Silver Lake i Effie.

– Mam tele...

– Nie jest pani szczerą, panno Klein. Nie chcę wiedzieć, gdzie pani mieszka, i znajdę panią, jeśli będę tego potrzebował.

– Zagwarantuje mi pan, że nie zostanę przypadkowo aresztowana i że nie będę miała kłopotów przez fotoinwigilację?

Dwight pokręcił głową.

– Nie. Gdybym poprosił o tę przysługę, pozostali agenci w LA wiedzieliby, że pracuje pani dla mnie. Już i tak zwróciłem uwagę na pani akta, dołączając do nich fałszywy wykaz. W zeszłym tygodniu robiła pani zadymę z jakimiś agresywnymi skurwielami na UC Davis.

Nie uśmiechnęła się. Chciał, żeby się uśmiechnęła. Uśmiechnięta stawała się mniej surowa.

– Mogę panu powiedzieć, czego nie zrobię?

– Słucham.

– Nie będę donosić na młodych ludzi, którzy przychodzą dla kawału i wynoszą się, jak robi się groźnie.

– Zakłada pani, że zrobią się groźni?

– Tak, a pan nie?

– Nie tak, jak chyba by pani chciała. Nie przewiduję zbrojnej rewolucji w Ameryce, nie postrzegam ulicznych smarkaczy w rodzaju SCP czy FWMM jako awangardy czegokolwiek innego niż kilku walk na pięści i obław na alfonsów.

Joan się uśmiechnęła. Nie stała się mniej surowa. Stała się jeszcze surowsza.

– Dlaczego więc tak bardzo się pan stara ich powstrzymać?

– Bo kierują nimi przestępcze zamiary, bo gardzę bezprawiem i rozruchami, bo pan Hoover mi kazał.

– Bo ich wygłupy zdyskredytują ruch Black Power w ogólności. Bo lepiej znane ugrupowania są większym zagrożeniem, ale przypochlebiają się prasie. Bo czarne bojówki osiągnęły pewien stopień akceptacji, a wy staracie się zapędzić je na dno.

Dwight spojrział na nią. Ona się uśmiechnęła. Na zębach miała ślady szminki.

– Nie spytałem, dlaczego pani to robi.

– Dla pieniędzy? Bo powstrzymywanie w ostatecznym rozrachunku okazuje się nieskuteczne? Bo znajdę ludzi i ukształtuję ich poglądy w sposób, którego pan nigdy nie zdoła oszacować, a pan Hoover będzie mi płacić za przygotowanie rewolucji na niewykrywalnym poziomie, a ten to nigdy nie trafi do akt, którymi on może się napawać o trzeciej nad ranem, kiedy ciepłe mleko, ciasteczka i seconal nie działają.

Dwight się uśmiechnął.

– Jest pani bardzo dobrze poinformowana.

Joan się uśmiechnęła.

– Jedna z dawnych gospośi pana Hoovera ma syna w Panterach. To zdolny rysownik. Zrobił cztery grafiki z panem Hooverem porą nocną. Studiuje materiały z fotoinwigilacji dobrze zaprawionych młodych czarnych Murzynów na plaży, a stara wierna służąca musi pukać, zanim wniesie swoje łakocie.

Dwight uderzył dłońmi w kolana. Łokciami walnął w stół i przewrócił szklanę. Pojawił się kelner i wytarł.

– To nie było aż tak zabawne – powiedziała Joan.



- Nie zgodzę się.
- Jest pan bardzo niepolityczny.
- Pan Hoover i ja niejedno przeszliśmy. Humor czasami pomaga.
- Proszę mi o tym opowiedzieć.

Dwight pokręcił głową.

- Proszę mi opowiedzieć o bliźnie na ramieniu i dlaczego jest pani z niej taka dumna.

Joan pokręciła głową.

– Pracuję nad nową wersją. Coś subtelnego i o charakterze rasistowskim. Coś, co ubawiłoby SCP i FWMM.

- Mogłaby pani powiedzieć mi prawdę.
- Funkcjonalna fikcja jest bardziej w moim stylu.

Żołądek podszedł mu do gardła. Popił dwie tabletki kawą.

– Kto cenzurował pani akta? Pani Znane Kontakty są zaczernione, więc musiała być pani informatorem FBI.

Joan zapaliła papierosa.

– Byłam informatorem, owszem. Nigdy nie byłam informatorem federalnych, więc musiały się tam pojawić nazwiska, które jakiś federalny zwierzchnik chciał usunąć.

– Chyba tego nie kupuję – powiedział Dwight.

– Nie obchodzi mnie, co pan kupuje, panie Holly. Oboje tu jesteśmy w celu dokonania transakcji i jestem pewna, że w jakiś popieprzony, ale dziwnie uzupełniający się sposób stworzymy represję i rewolucję.

*Jej zapach. Pociła się. Już nie pachniała mydłem. Pachy miała wilgotne.*

– Mam kilka szczegółowych pytań, panno Klein.

– Dobra.

– Jak się pani zbliży do SCP i FWMM?

– Prowadzę kryjówkę. Już się umówiłam z SCP, żeby przechować tam trochę broni.

– I nie poda mi pani adresu?

– Nie.

– Oto pani pierwszy test – powiedział Dwight. – Pożycz mi tę broń, wystrzeli z niej i przyniesie mi łuski. Odłóż mi broń, a ja będę miał łuski do porównania.

– Nie – powiedziała Joan.

– A więc nie ma umowy. W takim razie sięgam po nakaz aresztowania z pięćdziesięciu stanów.

Ścisnęła krawędź stołu. Jej palce pulsowały. Cały stół się trząsł.

– Nie ujawnię adresu domu, ale przyniosę panu łuski.

– Skąd będę wiedział, że to te właśnie?

– Bo mi pan ufa? – Uśmiechnęła się.

Dwight położył na stoliku zapakowany w folię bloczek kokainy. W proszku utworzyła się rozpadlina.

– Niech pani uszczęśliwi paru komuszych czarnuchów, tak jak mnie przed chwilą.

– Nigdy jej nie poznałam, ale słyszałam o bliźnie – powiedziała Karen.

Leżeli w łóżku. Karen w całej okazałości. Dwight położył rękę na jej brzuchu. Eleanora kopnęła dwa razy.

– Powiedz mi.

– To się stało w czasie zamieszek na koncercie Paula Robesona w Peekskill. Chyba w czterdziestym dziewiątym. Joan wdała się w sprzeczkę z legionistami.

Dwight włączył wiatrak na biurku. Powietrze w sypialni zakotłowało się i pozostało ciepłe.

– Widziałam wiadomości z doktorem Hiltzem – powiedziała Karen. – Pamiętasz, mówiłeś, że go znasz.

Dwight kiwnął głową.

– Biuro przejęło jego śledztwo.

– Dlaczego?

– Był płatnym informatorem.

– Jak ja?

– Mniej wydajnym, bardziej nieprzewidywalnym i kapryśnym, mniej przebiegłym politycznie.

Karen się uśmiechnęła.

– To chyba najśłodsza rzecz, jaką o mnie powiedziałaś.

– No to musisz mnie kochać.

– No, pomyślę.

Przytulili się do siebie, umościli. Dwight odpłynął z tym zapachem, tym surowym uśmiechem, siwymi włosami.

## 39

(Minneapolis, 22.09.1968)

*HHH wygrać ma! HHH wygrać ma! HHH wygrać ma!*

Bliźniacze miasta stanowiły teren Huberta. Skandujący zapchali parking przy Berglund's Bazaar. Czteryestu prostaków. Rzetelne dzienne żniwo.

Pięćdziesięciu hipisów mąciło. Byli to rekruci Clyde'a Dubera. Wysoko wyrzucali tablice zgrozy. Proszę: żółtki w ogniu, dzieci w napalmie i odrzutowce amerykańskie puszczające smugę.

Okrzyki i kpiny: HHH! i hipisowska nienawiść. Gołąbki pokoju i skośnookie dzieciaki z przyprószonymi ogniem fryzurami.

Crutch i Żabojad patrzyli. Podkradli protestujących gówniarzy z listy lewicowych marionetek Clyde'a. Zapłacili im marychą i dziesiątakami. Ostatniej nocy gościli u siebie afiszowców. Żabojad podał pizzę, piwo i zioło. Crutch był dyrektorem artystycznym. Powycinał magazyny i znalazł jakieś zdjęcia szalonych faszystów.

Wiec się dłużył. Wrzask przyspieszył: HHH! HHH! HHH!

Ochroniarze przeorali ścieżkę do podium. Humphrey i kilku tłustych politysiów przemykało niepewnie pośród nich. Crutch zarechotał. Żabojad się wyszczerzył. Proszę: dorzuciliśmy THC do twojej porannej kawy.

Humphrey sforsował schody i potknął się na podium. Uratował go głupek z ochrony. Wice się pozbierał. Oczy miał zamglone szczęściem. Miał rozpięty rozporek. Widać mu było gacie. Powiało chichotami. Hubert zwrócił się do tłumu. Mamrotał słowa. Powiedział coś w rodzaju „Moi abisyńscy przyjaciele”.

Mieli dwupokojowy apartament w St. Paul. Na koszt Howarda Hughesa. Obsługa dwadzieścia cztery godziny na dobę. Pałaszowali steki, grzyby faszerowane i lody miętowe. Żabojad podawał pernodu i ciasteczka z THC. Zawsze byli nawaleni i rozmawiali o KUBIE.

Mesplède pobił rekord. Owszem, ale ten rekord *wirował*.

LBJ, Nixon, Hubert – wszystko zniewieściałe ciotki. *Heroina*. Sprzedajemy, kupujemy broń, usuwamy Fidela. To zdało egzamin w Wietnamie. Zdrady zniszczyły kadrę Tygrysa. Teraz mają mniejszą ekipę. Żabojad był kasynowym zwiadowcą Wayne'a Tedrowa. Szukał superultraprawicowego kraju. Ich lokalizacje będą blisko Kuby.

Sprzedajemy Wielką H. Przyciągamy wyspiarską klientelę. Zarabiamy pieniądze na broń i robimy desanty. Uderzamy na wybrzeże i zabijamy czerwonych.

– Też chcę w tym wziąć udział – powiedział Crutch.

– Przyjacielu, mogę ci to zagwarantować – powiedział Żabojad.

Crutch wskazał swoją muchę.

– Twoja liczba się zwiększy – powiedział Żabojad – kiedy już podejmiemy decyzję o lokalizacji kasyna.

Crutch wytrąbił pernoda. Upośledziło mu się widzenie peryferyjne. Froggy pokazał mu swój nóż do skalpowania. Oskalpował trzydziestu jeden zjebanych castrowców.

Kwatery podróżne. Na dwudniowy pobyt przystroił ściany. Ciągłe nosił w portfelu zdjęcia Joan Klein. Nakleił wielką mapę Kuby i rzucał strzałkami w obiekty wojskowe.

Crutch rzucał i chybiał, rzucał i trafiał. Ściany dokoła mapy powgniatyły się i podźgały od strzałek. Nauczył się na pamięć większości nazw miejscowości i wszystkich dróg do Hawany. Zapamiętać: kupić nóż do skalpowania, taki jak Żabojada.

Crutch wpatrywał się w zdjęcie Joan. W pernodowo-kokainowym odlocie widział nowe rzeczy. Rozmawiał wcześniej z Clyde'em. Punkt widzenia Clyde'a: zejście doktora Freda nie ułatwiło sprawy z Gretchen Farr. Federalni zgarnęli śledztwo. Prowadził je Jack Leahy. Punkt widzenia Jacka: to robota gangu od napadów. Obrabowali tamten dom w Brentwood i zabrali się za doktora Freda.

Crutch miał ataki paniki. Dwight Holly powiedział: „Czy jest coś, cokolwiek, o czym mi nie mówisz?”. Crutch skłamał: „Nie”. *Nikt nie wie o Domu Grozy. Nikt nie wie o Gretchen Farr alias Celi Reyces ani o Joan Rosen Klein.* Naprowadził Buzza Dubera na jeden trop: rewelację Farlana Browna z mundurem stewardesy. Buzz rozpracowywał teraz ten trop w LA. Z rysunkiem Crutch w ręku sprawdzał biura linii lotniczych.

Pernod i THC. Ściany sypialni zmieniały kolory od brzoskwini po magentę. Nadal ani śladu martwej kobiety z tatuażem. Nadal żadnego tropu o śladach na ścianie. Znowu włamał się do biura Arniego Moffetta, w drodze na lotnisko. Po raz kolejny przetrząsnął akta wynajmu. Nie znalazł nic o Gretchen/Celii ani Joan. Naciskał na Arniego bardzo, bardzo mocno. Gnój chyba po wycisku zniszczył ich akta.

Zadanie Zjechać Huberta teraz obejmowało trzy miasta. Sprawdził akta w trzech wydziałach wywiadowczych i rabunkowych policji. Nic – żadnych wzmianek o Joan Rosen Klein.

Crutch strzałkował Zatokę Świń i Hawanę. Od dziwnego haju zrobił się obrzmiały i mglisty. Przykleił sobie zdjęcia Joan nad łóżkiem. Kolory ścian się zmieniły – od magenty do wschodu słońca w tropikach.

Dzisiaj parking przed kolejnym centrum handlowym. Wieści z ostatniego wieczoru: „Wyczerpany Humphrey popełnia gafy polityczne”. Repsychodelizacja. Żabojad powiedział, że dowiedział się głównianych rzeczy w Chicago.

Tłum sięgnął trzystu. Spaślaki i blondynki. Hałasowali. Wygadywali liberalne entuzjazmy. HHH wpadał w egzaltację na plakatach. Starał się wyglądać ogiernie. Skucha. Wyglądał jak trywialny pedofilski wuefista.

Crutch i Żabojad stali obok trybuny. Podniosły się wiwaty: *Nadchodzi! Nadchodzi!*. Crutch zobaczył, że nadchodzi Humphrey z fagasami, z lewej. Czterech gliniarzy szło cztery kroki za nimi. Mesplède machnął trzema palcami. Trzech dorabiających teamsterów odmachalo.

Cichcem otworzyli pojemniki. Cichcem przykucnęli. Wylali płynny wosk na ziemię przy trybunie. Gówno było bezbarwne. Ślizgało się i rozlewało.

Cztery kroki, trzy, dwa, jeden...

Humphrey i jego fagasy pośliznęli się, sunęli i poslalomowali do stopni na trybunę. Hubert zatańczył fruga, zatańczył wah-watusi, żeby ustać w pionie. Tłum zarechotał. Dwóch gliniarzy wywinęło orła. Tłum ponownie zarechotał. Gruba ryba objęła Huberta. Spojrzenie Huberta pytało „Co to za gówno?”. Gruba ryba powiedziała do mikrofonu. Kolejne rechoty zagłuszyły jego gadkę. Crutch dał znak facetowi przy podium. Facet przewrócił się i wpadł w udawane konwulsje. Giętki był skurwiel. Rzucił rękoma i nogami na wszystkie strony. Alkaseltzerowa piana toczyła mu się z ust.

Fani Huberta zakrzyknęli o pomoc. Sid Napad odstawił swoją sztuczkę. Tłusta cizia wsadziła mu w usta mrożonego marsa. Jakieś tępaki wrzeszczały: „Lekarza!” i „Mamy rannego!”. Tłum się rozproszył. Hubert się wściekał i usiłował okazać współczucie. Gruba ryba rzucała się bez sensu z mikrofonem. Pogłos przeszedł w *iiiiiiiiii*.

Crutch dał znak trzem grupom wśród tłumu. Wybuchły trzy bijatyki. Tłum ponownie się rozproszył. Dwie chude siostry nawalały walczących swoimi tablicami „Chcemy pokoju!”.

Hubert przytupywał. Gliniarze rzucali się po płynnym wosku. Sadło im się kołysało. Wyglądali jak białe świnie w szwarcowym komiksie. Hubert pokazał wiktorię.

Froggy dał znak blondynce w kozaczkach i obcisłych džinsach. Crutch podał jej tabliczkę z Nixonem i pchnął ją na trybunę. Żabojad machnął trzem grupom mężczyzn. Zaczęli gwizdać i skandować „Ścią-gaj! Ścią-gaj!”.

Hubert stał. Gruba ryba łyknęła tabletkę na trawienie. Jacyś świeży gliniarze natarli na walczących. Siostry pacyfistki zostały zdeptane. Gliniarze natarli na podium. Rozłożyli się na płynnym wosku. Blondynka machała tabliczką z Nixonem. Tłum ocipiał. „ŚCIAGAJ! ŚCIAGAJ!” się rozsiało. Blondynka ściągnęła bluzkę, stanik i zaczęła tańczyć topless swim, fish, a potem mashed potato. Crutch pod sceną odpalił muzykę. Proszę: Archie Bell and the Drells i *The Tighten Up*.

Od chuja glin natarło na podium. Mesplède się oddalił. Crutch chwycił rzucony stanik i uciekł.

Z powrotem w LA.

Crutch nudził się na lotnisku. Żabojad odleciał do Miami wcześniejszym lotem. Przy bramce był telefon. Crutch zadzwonił do firmy Clyde'a Dubera na koszt abonenta.

Sekretarka połączyła z Buzzem.

– Mamy trop – powiedział Buzz.

– Co...

– Dzięki twojemu zdjęciu. Mam coś. PSA Airways, mój czwarty strzał. Szef personelu powiedział: „Wiem, to Janet Joyce Sherbourne, była absolutnie beznadziejna”.

Crutch wyciągnął notes.

– Powoli, powoli. Opowiedz mi po kolei.

– Zaczyna się w Dominikanie. Pamiętasz? Gretchen Farr miała te telefony z konsulatu Dominikany...

Buzz znał tę część. Buzz gównie wiedział o Gretchen Farr alias Celi i o dominikańskiej Celi...

– Ej, jesteś tam?

– Jestem. No mów...

– Dobra, ta cipka Sherbourne była stewardesą dwujęzyczną. Latała wyłącznie na trasie Los Angeles–Santo Domingo, aż do tej pierdolonej wojenki w sześćdziesiątym piątym, kiedy LBJ wysłał tam marines. No i wiesz, więc jest przystanek w Mexico City i ta cipka Sherbourne dała się złapać ze spluwą i kilkoma fałszywymi paszportami. No i wiesz, więc wywija się z aresztu i nikt nie wie jak, a potem znika z powierzchni ziemi. I teraz wiesz najlepsze, teraz to, co kurwa, tak doskonale pasuje do Gretchie. Okazuje się, że podanie o pracę tej cipki było z góry do dołu fałszywe, jej adres, kurwa, był jakąś kryjówką komuchów, a jej akta personalne wykradziono z biura PSA.

Crutch upuścił telefon. Buzz gadał w próżnię. Wszystko się plątało. Zobaczył Joan całującą Gretchen/Celię w zwolnionym tempie.

Bibliotekę miał niedaleko swojej mety kartotekowej. Książki były za duże, żeby je ukraść. Dominikana: mapy, zdjęcia, historia.

Zapamiętać: Dominikana znajduje się blisko Kuby. Zapamiętać: mafia widzi w D. potencjalne centrum hazardu.

Crutch zataszczył książki na stolik. Drzemiące pijaczki walczyły o miejsce. Badał strony z mapami. Ogarniał całość. Wyspa Haiti. Republika Dominikańska i Republika Haiti na jednym kawałku lądu. Morze Karaibskie, blisko Kuby i Puerto Rico. Blisko Jamajki i Turks i Caicos. *Powiązanie dominikańskie: przez całą tę jebaną sprawę.*

Na wschodzie Dominikana graniczyła z Haiti. Linię graniczną tworzyła rzeka Dajabón. Całe wybrzeże obu krajów znaczyły zatoczki. Wszystkie nazwy geograficzne były niewiarygodnie fasolowe albo żabie.

Crutch przejrzał streszczenia. Szybko walnęło go rasistowskie gówno. W Dominikanie mieszkali jasnoskórzy meksykanie. Obnosili się ze swoim hiszpańskim pochodzeniem. Ciemnoskórzy Dominikańczycy byli zdeklasowani. Zupełnie jak w Stanach: *biały rządzi!*

Rafael Trujillo cieszył się wielkim poparciem politycznym. Rządził od 1931 do 1961 roku. Stłumił rebelię. Uciskał Haitańczyków i masowo wykańczał skurwiele. Był proamerykański i antyczerwony. Ruchał mnóstwo kobiet, jak również torturował i wykańczał przeciwników politycznych. Komunistyczne ugrupowanie o nazwie Ruch 14 czerwca próbowało usunąć jego dupę w 1959. Ich „rewolucja” się zesrała. Trujillo zeschiłował i pojechał po bandzie. Płądrował kraj zbyt jawnie. JFK i CIA doszły do wniosku, że może przejść na czerwień. CIA pozbyło się go w 1961. Podobno brał w tym udział Żabojad. Nastał mniej jaskrawy despota Juan Bosch. „Wolne wybory” i całe to standardowe gówno fasolowych reform. Wyglądało na to, że Bosch skręcał ku czerwonym. LBJ wysłał paru marines i zduślił wszystko w zarodku. Obecnym despotą był niepokaźny dupek, niejaki Joaquin Balaguer. Dominikana to same zamachy stanu, rewolty, spiski, intrygi, rzezie.

Crutch przeszedł do działu Haiti. Juhuuu! Bardzo zła asfaltowa magiczna moc. Francuskojęzyczne czarnuchy. Dyktator Papa Doc Duvalier Godzilla i Trujillo Rodan. Jeszcze więcej ucisku, zamachów stanu, rewolt, spisków, intryg, rzezi, voodoo – o tak!

Obrzędy voodoo, rytuały voodoo, klątwy voodoo, kapłani voodoo. Fantastyczna voodoo wódka i voodoo zioło. Amerykańskie bambusy jadły pieczone kurczaki. Haitańskie bambusy rznąły kurczaki i piły ich ciepłą krew.

Rany!

Crutch przerzucał kartki. To całe voodoo było wypasione. Dotarł do zdjęć. Bambusy hasały i tańczyły wokół kapeluszy z kurzych piór. Rany, a to jest...

To zdjęcie. Jasnoskóry czarnuch. Ten dziwny tatuaż na jego prawym ramieniu.

Geometryczne wzory. Krzyżujące się. Jak tatuaż martwej kobiety w Domu Grozy...

## 40

(Las Vegas, 26.09.1968)

Chłopcy paradowali w szortach golfowych i długich czarnych skarpetach. Nosili po domu buty golfowe z kolcami.

Carlos to ustanowił. To był jego nibyrymski apartament. Przechadzał się i dziurawił dywany. Sam G. miał tępe kolce. Robił mniejsze zniszczenia. Santo T. miał ostre kolce. Szarpał dywany.

Wayne stał przy zakrytych sztalugach. Chłopcy siedzieli przy przedpołudniowych likierach kahlúa. Carlos obracał kij piątkę. Wayne pochwycił aluzję do Wayne'a seniora.

– Mamy tee time o dziesiątej czterdzieści – powiedział Sam.

– Carlos, odłóż ten kij – powiedział Santo. – Nie prowadź Wayne'a do krainy wspomnień w sposób, który może go udręczyć.

– Nie mam takiego zamiaru – powiedział Carlos. – Ćwiczę kość strzałkową.

– Wypij jeszcze ze dwa drinki – powiedział Sam. – Zostaw zamach na strzelnicę.

– Żywo, Wayne, żywo – powiedział Santo. – Masz tendencję do przygnębienia, jakby nad twoją głową cały czas wisiała czarna chmura.

– O, to, to – powiedział Sam. – O ile uwielbiam trudności jego charakteru, muszę przyznać, że Wayne jest jak jakiś gówniany Jonasz.

Carlos zakręcił kijem.

– Śmiało, Wayne. Przyszliśmy cię posłuchać.

Wayne odchrząknął.

– Jesień idzie po naszej myśli. Nixon prowadzi w sondażach, nasz szwadron szkodników wykonuje dobrą robotę, pan Hughes jest zadowolony z zakupu hoteli i czeka, aż Departament Sprawiedliwości pana Nixona poluzuje przepisy antytrustowe, tak aby mógł jeszcze trochę dokupić. Jean-Philippe Mesplède jest gotów do zwiadu w sprawie lokalizacji kasyn, więc to mamy w toku.

– Moja przyjaciółka Celia – powiedział Sam – nadal opowiada się za Dominikaną. Jest w tej materii nieprzejednana.

– Sam jest nieprzejednany w materii tej wyspowej cipki – powiedział Carlos.

– Sam jest nieprzejednanym pantoflarzem – powiedział Santo. – To choroba słabego umysłu i ducha.

Sam chwycił się za krocze.

– Wykładam na twoją chorobę swoje ćwierć metra.



Wayne zdjął zasłonę ze sztalug. Na pokolumnowanym arkuszu widniały interesy wykupowe połączone z przewidywanymi zyskami.

– Trzy sieci supermarketów, wszystkie na Środkowym Zachodzie, wszystkie w posiadaniu powinowatych ludzi mafii albo mężów zaufania Teamstera. Kupujemy po pięć centów od dolara i sprzedajemy grunt deweloperom centrów handlowych. Myślę, że uzyskamy piętnaście milionów zysku.

Sam zaklaskał. Santo zaklaskał. Carlos wywinął kijem golfowym.

– Bank Powszechny Południowego Los Angeles – powiedział Wayne. – Mają dużo zaległości, ale myślę, że powinniśmy im pozwolić na dalszą działalność, ponieważ mamy bardzo wysoki procent zysku. Po pierwsze, to przykrywka do prania pieniędzy. Po drugie, mogą prac NASZE pieniądze. Po trzecie, Lionel Thornton, prezes, jest całkiem zmafiiowany i chyba możemy go kontrolować. Po czwarte, to blisko węzła lotniczego Hughesa do naszych nowych kasyn, więc możemy bez przeszkód prosto stamtąd wywozić gotówkę.

– Podoba mi się – powiedział Carlos.

– Podoba mi się – powiedział Santo. – Ale nie podoba mi się ten aspekt kunta kinta.

– Podoba mi się – powiedział Sam – z pewnym zastrzeżeniem. Trzymamy Wayne’a poza lokalem, żeby nie powystrzelał klientów.

Wayne się zarumienił. Santo i Sam ryknęli śmiechem. Carlos zawinął kijem golfowym.

Wayne postukał w sztalugi.

– Dwa kolejne biznesy w południowym LA, z nielegalnym hazardem, z którego możemy wyciągnąć co najmniej pięćdziesiąt procent, a jednocześnie przejąć własność obu lokali. Pierwszy to nocny klub o nazwie Tacka Sułtana Sama. Drugi to lesbijski bar o nazwie Słodki Szał.

Sam zarechotał. Santo zarechotał i włączył coś o szwarcach. Carlos szturchnął go kijem golfowym. Santo się zamknął.

Wayne wziął wskaźnik i postukał w kolumny. Debil w todze przyniósł kolejne trzy likiery. Chłopcy wypili. Carlos szturchnął debila w todze kijem golfowym. Debil w todze zwiął.

Od pijackiej woni Wayne’a zemdliło. Na koszuli pojawiły się plamy potu.

– Kompania Taksówkowa Czarny Kot. Też południowe LA. Taxi Tygrys dobrze nam się spisało w Miami i Vegas, a Pete B. zeszłego lata sprzedał część vegaską Miltowi Charginowi. Użyjemy tego do przepływu gotówki, sfalszujemy księgi i przepuścimy dochody z low-endowego odciągania. Chyba mogę pogadać z Miltem, żeby wszedł do LA i poprowadził to. Poza tym mam kumpla w FBI, który na tym terenie prowadzi Cointelpro, i będziemy mieli info od Milta, żeby temu kumplowi zapodać, dzięki czemu zaskarbimy sobie względy pana Hoovera.

– Znam twojego kumpla – powiedział Sam.

Santo się wzdrygnął.

– Dwight Egzekutor Holly.

Carlos upił kahlúa.

– Człowiek z osobistymi listami uwierzytelniającymi na polowanie na szwarce.

– Tak – powiedział Sam – co nie znaczy, że gra w jednej lidze z Wayne’em.

Santo upił kahlúa.

– Nikt nie jest w lidze z Wayne’em.

– Dwight to biały człowiek – powiedział Carlos.

Sam upił kahlúa.

– Podobnie jak Milt Chargin, Żyd jebany.

Carlos upił kahlúa.

– Milt to komediant amator. On się będzie zadawał ze szwarcami i ubawi się setnie.

– Milt mi opowiedział dobry kawał – powiedział Sam. – Po co wymyślono białą czekoladę?

Santo upił kahlúa.

– No, podaj puentę, fiucie.

– Żeby Murzyn mógł się upierdolić – powiedział Sam.

Santo zaryczał.

Carlos zawiął kijem golfowym.

– O co chodzi, Wayne? Nie śmiejesz się.

Morty Sidwell miał biuro na rogu Drugiej i Fremont. Zajmował się kaucjami, rozwodami i zaginięciami. Policja Las Vegas uważała go za koszerne.

Wayne podjechał. Teraz w niepełnym wymiarze godzin zajmował się szukaniem Reginalda Hazzarda. Kumpel gliniarz przeczesał raporty niezidentyfikowanych ciał z pięćdziesięciu stanów. Bez skutku. Podobnie raporty aresztowań. Podobnie czarnych mężczyzn o nieustalonej tożsamości pod koniec roku 1963.

Reginald był mołem książkowym. Tak mu powiedziała Mary Beth. Wayne przeczesał archiwa we wszystkich bibliotekach w Vegas. Jest! Jesienią 1963 młody wypożyczył dwadzieścia dziewięć książek.

Podręczniki do chemii. Książki o lewicowych teoriach politycznych. Dziwne książki o haitańskich ziołach voodoo.

Biuro Sidwella znajdowało się nad speluną topless. Wayne zaparkował na tyłach i wszedł schodami zewnętrznymi. Hałas z klubu dobiegał nieludzki. Łomot ze wzmacniacza wstrząsał ścianami. Od basów tętniła podłoga.

Morty leżał na kanapie. W biurze było gorąco. Morty miał na czole ręczniczek. Zobaczył Wayne’a i zaajwajował. Na ścianach widniała ekspozycja Morty i przyjaciele. Morty z Dinem, Morty z Lawrence’em Welkiem, Morty ze świętej pamięci JFK.

Wayne siadł okrakiem na krześle. Pogłos dygotał listewkami. Protest song w seksownym rytmie.

Morty poprawił sobie okład.

– Zatyczki do uszu nie pomagają, więc próbowałem przegród akustycznych. Doszliśmy z właścicielem do kompromisu. Raz w tygodniu przysyła którąś dziewczynę. Mam kąpiel i lodu. To korzystne dla mojego zdrowia w ogólności.

– Nazywam się... – powiedział Wayne.

– Wiem, kim pan jest. Pański tata wynajął mnie, żebym namierzył szwarcmuzyka w pięćdziesiątym ósmym. Grał bongo. To był artysta jednego przeboju. *Bongo w Kongo* i potem nic. Dupczył pańską macochę, Janice, w motelu Złoty Parów.

Wayne wybuchnął śmiechem.

– A swoją drogą kondolencje. Słyszałem, że oboje zmarli zeszłego lata.

Wayne zamknął oczy i łyknął dwie aspiryny. Listewki krzesła zagrzechotały. Klepki parkietu podskoczyły.

– Normalnie – podjął Morty – spytałbym „jak leci”, ale w pańskim przypadku znam odpowiedź, więc spytam „Czego pan sobie życzy?”.

Wayne otworzył oczy.

– Reginald Hazzard. Prawie pięć lat temu. Dzieciak zniknął, rodzice wynajęli pana, żeby go pan poszukał.

Morty ziewnął.

– Tak, pamiętam. Mili kolorowi ludzie. Cedric i Mary Beth. Cedrica skasował jeden zasraniec Pappy Dawkins. Muszę przyznać, że same wesołe rzeczy z panem się wiążą.

– Co się stało ze śledztwem?

– Nic nie znalazłem, a moim klientom skończyły się pieniądze. Z tego, co posprawdzałem, doszedłem do wniosku, że dzieciak ciągle żyje, i tak im przekazałem. No i tyle.

Tik, tik, tik – odezwał się stary gliniarski wykrywacz kitu.

– To nie wszystko – powiedział Wayne.

– Wszystko – powiedział Morty.

– Nie wszystko, wie pan, że nie wszystko, ja wiem i nie wyjdę, dopóki mi pan nie powie.

Morty ściągnął z oczu okład i podniósł trzy palce. Wayne rzucił mu na pierś trzy setki. Łomot wzmacniacza przyspieszył. Zdjęcie JFK drżało.

– Młody Hazzard wyjechał z Vegas autostopem – powiedział Morty. – Między Bożym Narodzeniem sześćdziesiąt trzy a Nowym Rokiem. Aresztowano go za włóczęgostwo w jakiejś zasranej wiosce przy granicy kalifornijskiej i niech mnie pan nie pyta o nazwę, bo takich jebanych dziur są miliony i naprawdę nie pamiętam. No a Reggie miał przy sobie broń. No więc gliny zgarnęły go za włóczęgostwo i za posiadanie broni i stłukły go jak cholera. No i na to pojawia się jakaś biała kobieta i wpłaca za niego kaucję i Reggie z tą białą kobietą uciekają, i nigdy już się nie pojawili. Została kaucja, fałszywe dokumenty, sprawę umorzono,

a Cedricowi i Mary Beth skończyły się pieniądze. Przekazałem to Cedricowi, ale on poprosił „Niech pan nie mówi Mary Beth, bo to by ją zabiło”.

– Więcej szczegółów – zażądał Wayne. Morty podniósł dwa palce. Wayne rzucił mu na klatę dwa seciaki.

Morty gryzł skórę przy paznokciu.

– No więc to jest pojebana ciemniacka wioskowa gliniarnia. Nie prowadzą archiwów. Gliny przywożą nielegalnych imigrantów z Meksyku do zbierania owoców na boku. Lubią pić bimber, obijać meksów i bambusów, a wszelkie dokumenty im giną, znikają albo ktoś je kradnie. Ci gliniarze stanowili dla mnie bardzo ponure doświadczenie, i to tyle.

Wayne wstał.

– Zdobył pan opis tej białej kobiety?

– To mogę panu dać. Chyba była blada i miała pod czterdziestkę, nosiła okulary, długie ciemne włosy z siwymi pasmami i jeden gliniarz mówił, że na którymś ramieniu miała dużą bliznę.

# 41

(Los Angeles, 1.10.1968)

Minstrel Show<sup>6</sup>.

Marsh Bowen pracował. Wziął w posiadanie knajpę Vince'a i Paula. Bar białych glin się zeszwarcił.

Marsh spędzał tu siódmy wieczór. Zasiał rasowe frasunki z pełną uczucia klasą. Białe gliny wiedziały, że i on jest gliną. Dzięki temu wszedł. To nie usprawiedliwiało jego blackpowerowego ogierowego zachowania.

Marsh w mięśniakowym bezrękawniku. Marsh ze skromnym afro. Marsh cały do białych lasek – ale jeszcze żadnych poważnych ruchów.

Dwight patrzył.

To był jego siódmy wieczór. Siedział w pobliżu baru i udawał turystę z Des Moines. Żaden gliniarz go nie rozpoznał. Kim jest ten wielki przygłup? Wyraźnie mu się tu podoba. Ma sandały i spodnie na wysoką wodę.

Nienawiść rosła. Dwight ją śledził. *Kim jest ten ogier w dzwonach?* Scotty Bennett pojawiał się co wieczór. Scotty łoił. Scotty wybałuszał gały na Marsha. Scotty zachowywał się pożądliwie i infantylnie. Scotty strzygł uszami na każdą wolną chwilę Marsha i barmanki Scotty'ego.

Dwighta doleciał serowy zapaszek. Marsh zagadywał dwie panny z upodobaniem do glin. Wszamał zakąski z ich talerzy i nieproszony spił ich drinki. Dziewczętom się strrrrasznie podobało.

Dwight patrzył. Przedstawienie Marsha Bowena przybierało na sile. Marsh był szałowy i był graczem. Marsh mógł być dwulicowy. Marsha należało zapobiegawczo śledzić. Ewentualny kandydat do śledzenia: ten bystry inaczej szczeniak Crutchfield.

Dwight ziewnął. W żołądku mu zawarczało. Jedzenie się kłóciło z jego rozpędem umysłowym. W Czarnogrodzie wrzało. Jack Leahy wpuszczał im plotki. Całe to bojówkowe gówny bodło gonady Policji LA. Gliniarze po służbie oddawali się klanowaniu. Łojenie na komisariatach. Pantery zatrzymywane i kopane. Nieuzasadnione aresztowania za prochy, nieuzasadnione zatrzymania za prowadzenie po pijaku, nieuzasadnione nakazy aresztowania i...

Do baru weszła kobieta. Dwight zobaczył siwe pasma i okulary i się napiął. Ciągłe mu się to zdarzało. Mignięcie, machnięcie – i to nigdy nie była ONA.

Marsh podszedł do dziewczyny Scotty'ego. Dotknął swojego podbródka – *sygnał/teraz*. Scotty nie odrywał wzroku: w tę i we w tę, jego laska/asfaltowy buhaj.

Dwight wstał i przysunął się bliżej. Marsh uderzył do dziewczyny. Proszę, muska jej szyję. Proszę, liże jej ucho. Proszę, ciągnie za jej kolczyk swoimi zbyt jasnymi zębami.

Scotty podbiegł do niego i złapał go za włosy. Scotty walnął go w nerki, oburącz. Marsh zgiął się wpół i odwrócił z podniesionym ramieniem. Dostrzegł, że Scotty naciera. Wstrząs wtłoczył go w bar. Scotty chwycił go za szyję i zdusił. Wyrzucił. Nie trafił w Marsha. Rzucił się na bar i chwycił nóż do steków. Marsh stanął dokładnie przed nim. Marsh jednym płaskaczem rozbił mu nos, aż trysnął pióropusz krwi. Dwight usłyszał trzask kości. Scotty rzucił nóż, otarł oczy i podszedł do Marsha wściekły. Kilkunastu białych gliniarzy dopadło go wcześniej.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 16.10.1968. Fragment dziennika Marshalla E. Bowena.

Los Angeles, 16 października 1968

Znam już smak krwi Scotty'ego Bennetta. To bardzo spóźniona zemsta za łomot, który Scotty mi spuścił w kwietniu 1966, rok przed moim wstąpieniem do policji. Sprowokowałem tamten łomot, płacąc kilkoma poplamionymi atramentem banknotami z rabunku, i sprowokowałem ten łomot na Scottym, a w następstwie swój łomot z rąk towarzyszy policjantów pod egidą agenta specjalnego Dwighta C. Holly'ego. Przy obu okazjach przyjąłem dwojaką rolę ofiary i prowokatora. Dwa wydarzenia, odległe o dwa i pół roku. Kluczowe wydarzenie – rabunek i morderstwa, w tej chwili sprzed czterech lat i ośmiu miesięcy. Dwie konfrontacje wpływające z jednego motywu: chcę sam, anonimowo rozwiązać sprawę rabunku i morderstw i zatrzymać dla siebie pieniądze oraz szmaragdy.

Nigdy nikomu słowa nie pisałem o swoim zamiarze i rozmyślnie zacząłem prowadzić dziennik z opóźnieniem. Czekałem na moment, w którym mój plan wyda się naprawdę wykonalny. Ten moment właśnie nadszedł. Mógłbym opisać swoje zanurzenie w lewicowe organizacje dla Clyde'a Dubera, gdzie nauczyłem się, jak działać, jak się maskować, i nabrałem wprawy, a dzięki temu wszyskiemu dotarłem tu, gdzie jestem, ale cieszę się, że nie uległem temu samozadowoleniu. Zawsze mi odpowiadało, że jestem niedocenionym czarnym, a teraz jestem lokalnie sławnym i poniekąd przecenionym oraz nadmiernie ocenianym czarnym. To tę przygodę chcę opisać i przeanalizować dokładnie. Ten bieżący zbieg wydarzeń na pewno muszę opowiedzieć.

Zostałem dotkliwie pobity przez kilkunastu swoich braci z Policji LA i spędziłem cztery dni w Szpitalu Centralnym. Złamany nos, rany twarzy i zdeformowane uszy podniosły wartość mojej raczej nieciekawej urody i dodały prestiżu przydatnego do roli początkującego czarnego bojówkarza. Muszę podziękować za to panu Holly'emu. Pan Holly wyczuł moją dzielność

i chęć do gry, a ja nagrodzę go ciężką pracą oraz imponującym przedstawieniem, realizując podczas tej operacji własne cele.

Miejscowe gazety, radio i telewizja podjęły temat straszliwej burdy pomiędzy czarnym a białym policjantem w „biesiadnej oazie uczęszczanej przez funkcjonariuszy Policji LA”. Pan Holly posłużył w tym wydarzeniu za niewidocznego dyrektora ds. reklamy. Policja LA wszczęła wewnętrzne śledztwo i – oczywiście – wszyscy świadkowie kłamali, twierdząc, że molestowałem barmankę i zaatakowałem sierżanta Roberta S. Bennetta. Scotty ma złamany nos i tydzień zwolnienia. Ja stanąłem przed międzywydziałową komisją, czyli nieformalnym sądem. Pan Holly wynajął mi wygadane i krzykliwego czarnego prawnika przypominającego Algonquina J. Calhouna z *Amos 'n' Andy*. Prawnik miotał więcej obarczonych rasizmem przejęzyczeń niż najgorszy korespondencyjny czarny kaznodzieja, co to wali pięścią w pulpit w walce o władzę i zyski. Byłem hosannowany jako „Czarny Jezus”; Scotty Bennett był ostro krytykowany jako „Biały Judasz Iskariota”. Ja, oczywiście, w trybie przyspieszonym wyleciałem z policji. Pan Holly powiedział mi później, że prawnik był pastorem z zakazem wykonywania zawodu, a miał synekurę obrońcy z urzędu w Visalii. Cudowna czarno-biała konkluzja: biali sędziowie i prokuratorzy wynajmują tego człowieka, by dopilnował skazania czarnych klientów, których muszą się pozbyć z ulic.

Nagle stałem się wyrocznią uprzedzeń rasowych, ucząc się na pamięć w sposób oczywisty wyrażonych tekstów, które napisał dla mnie pan Holly, miażdżących krytyk instytucjonalnego rasizmu i autorytatywnej mentalności – pełnej oburzenia, społecznych rygorów i słusznej furii, a wszystko napisane przez białego prawnika i gliniarza o ku-klux-klanowych korzeniach. Pan Holly przeanalizował ze mną te pisma na długo przed tym, nim je miałem wygłosić. Byłem zdumiony i niemal wpadłem w uniesienie. Pan Holly to wielki, przystojny mężczyzna i niesamowity mówca. Kiedy głosi te treści, mam takie niesamowite odczucie, że on rzeczywiście wierzy we wszystko, co napisał.

Pan Holly jest bardzo trudny do rozszyfrowania. Rozumie dyskryminację rasową i stale mówi „kunta kinte”.

Zostałem zaproszony na wielkie przyjęcie zorganizowane w celu zgromadzenia funduszy na kampanię senatora Huberta H. Humphreya w wielkim domu w Beverly Hills. Pan Holly kazał mi iść, więc poszedłem. Byłem w centrum zainteresowania, dopóki nie przybyły jakieś gwiazdy filmowe, które mnie przyćmiły. Natalie Wood strasznie się przejmowała ranami na mojej twarzy i dała mi swój numer telefonu. Harry Belafonte uścisnął mi dłoń. Liczni liberałowie biadolili nad niedawną śmiercią senatora Kennedy’ego i doktora Kinga. Ludzie patrzyli na mnie, bym wyraził polityczny gniew. Nie mogłem ich zadowolić, bo teraz potrzebne mi usługi scenariuszowe pana Holly’ego, żebym sprawiał wrażenie należycie rozwścieczonego. Wkrótce będę cudownie odszczepieńczym czarnym bojówkarzem, ponieważ

syn klanowca wypełni mój gniew swoim radykalnym postrzeganiem, a ja będę się dziwił, skąd mi się to wzięło, i zachwycał tym człowiekiem raz za razem.

Pan Holly dał mi 8000 \$ z funduszu operacyjnego FBI, żebym się przeprowadził dalej na południe do „Kongo”. Powinienem zacząć się pojawiać w „czarnych punktach”, gdzie zbierają się moi „bracia duchowi”, żeby się zorientować, jaką „asfaltową akcję” przeprowadzę.

Pan Holly mówi o mnie „gówniany Jonasz” i wydaje mi się, że podchodzi do mnie raczej podejrzliwie. Chciałbym pofolgować Skłonności, ale nie mogę. Pan Holly może mnie śledzić. Muszę odłożyć osobiste przyjemności, aż poczuję się bezpieczniej w swojej roli.

Mam teraz zupełnie nowe życie. Moja mama nie żyje; mój tata jest stary i mieszka w Chicago. Nie mam w zasadzie przyjaciół, a mój związek z panem Hollym jest obopólnie lichwiarski. Mam teraz nieustraszonego i zaciekłego wroga w Scottym Bennecie. Na pewno wiem więcej o Scottym niż on o mnie. Czytałem ocenzone oficjalne raporty o osiemnastu uzbrojonych bandytach, których Scotty zabił na służbie. Wszystko to byli czarni. Dokonano na nich egzekucji bez sądu, na mocy nieoficjalnego mandatu Policji LA, że uzbrojony bandyta musi umrzeć. Policjant, którym też jestem, akceptuje tę sankcję. Ogromna ilość danych empirycznych mówi, że większość uzbrojonych bandytów pozbawia życia niewinnych ludzi i że trzeba im zapobiegawczo to uniemożliwić. O wyjątkowości Scotty’ego stanowi fakt, że dla niego uzbrojony bandyta jest wyłącznie Murzynem. Pozostali ostrzy gliniarze z Rabunków mają na koncie zestaw biało-meksański mniej więcej w równych proporcjach. Ale nie nasz Scotty. O nie.

Piątego sierpnia zeszłego roku funkcjonariusze z Wydziału Uniwersyteckiego postrzelali się z czterema Czarnymi Panterami. Funkcjonariusze przeżyli, ale Pantery nie. Dwa dni później naczelnik Reddin wysłał Scotty’ego do siedziby Panter z pizzą, piwem i funtem skonfiskowanej marihuany. Z tego, co ludzie mówią, Scotty był uprzejmy. Pantery powitały go z obawą i wydawały się zdezorientowane podarkami. Scotty poradził im, żeby nie strzelali już w Los Angeles do policjantów. Jeśli to zrobią, odwet będzie natychmiastowy i brutalny. Za każdego postrzelonego gliniarza z LA, rannego albo zabitego, Policja LA zabije sześć Panter.

Potem Scotty wyszedł. Nie odpowiedział na pytania ani nie został na kawałek pizzy czy zimne piwo.

Mój podziw i nienawiść dla Scotty’ego Bennetta mniej więcej są sobie równe. Był tam 24 lutego 1964 roku. Nie ma pojęcia, że i ja tam byłem.

Miałem dziewiętnaście lat. Dwa lata wcześniej skończyłem liceum Dorsey i mieszkałem z rodzicami na rogu Osiedzia Czwartej i Budlong. Najpierw zobaczyłem niebo. W powietrzu unosiły się dziwne pryzmaty kolorów i odór gazu. Stałem na dachu swojego domu i widziałem, jak przybywają kolejne radiowozy. Wycie syren było niemal ogłuszające. Zobaczyłem rozbitą furgonetkę opancerzoną i ciężarówkę z mlekiem i na ziemi ciemne



kształty emitujące opary. Widziałem, jak bardzo wysoki mężczyzna w tweedowym garniturze i z muchą zajęzda i bada miejsce zajścia.

Ojciec kazał mi zejść. Czterdziestu policjantów ogrodziło ulicę. Wkrótce okolicę zalały pogłoski: martwi rabusie byli biali; martwi rabusie byli czarni; ciała zostały tak spalone, że nie sposób określić ich rasy. Nieobecność samochodu bandytów wskazywała, że co najmniej jeden z nich uciekł.

*Uciekło dwóch.* Wiem to na pewno. Może wie o tym również Scotty Bennett. Nie mam dowodów na wiedzę Scotty'ego. Po prostu ją wyczuwam.

Policja Los Angeles ruszyła z brutalną siłą. Scotty prowadził bezwzględnie masowe przesłuchania okolicznych „podejrzanych” na posterunku przy Siedemdziesiątej Siódmej. Miejscowy ogół obywateli był oburzony. Ja też byłem oburzony. Przeczesywałem zaułki za moim domem, dzieciak szukający przygody, złąkniony bliskości historii. I wtedy właśnie zobaczyłem tego drugiego.

Ukrywał się za śmietnikami. Był młody, miał lat naście albo niewiele ponad dwudziestkę i był czarny. Twarz miał w oparzeniach chemicznych, ale przezorne dodatkowe zabezpieczenia w postaci gazy, maska i kamizelka kuloodporna uratowały mu życie. Zabrałem go do sąsiada, starszego lekarza. Był w szoku i w ogóle nie chciał mówić na temat napadu i zabójstw. Lekarz wyleczył mu oparzenia, naszprycował go morfiną i zostawił w spokoju. Scotty dalej prowadził walcem swoje śledztwo. Zatrzymani i uwolnieni „podejrzani” wracali do domu posiniaczeni i sikający krwią. Lekarz zdecydował, że nie wyda rannego mężczyzny. Ocalił mu życie i nie mógł teraz tolerować fizycznego maltretowania, które raczej zaowocowałyby jego śmiercią.

Po dwóch dniach opieki mężczyzna opuścił dom lekarza i nigdy nie wyjawiał swojej tożsamości. Zostawił mu 20 000 \$ poplamionej atramentem gotówki. Lekarz złożył ją w Banku Powszechnym Południowego Los Angeles i powiedział prezesowi, Lionelowi Thorntonowi, żeby wypuszczał ją powoli w świat w darowiznach, ostrożnie, tak żeby odbiorcom nie stała się krzywda. Thornton znalazł sposób, żeby częściowo usunąć ślady atramentu. Banknoty od czasu do czasu wypływały w południowym Los Angeles. Scotty Bennett śledził je pieczołowicie. Aresztował i naciskał niewinnych ludzi puszczających w obieg banknoty w swój wyjątkowy i niebywale wytrwały sposób. Sprawa pozostała nierozwiązana. Nigdy nie ustalono przynależności rasowej przywódcy bandy ani martwych bandytów. Scotty dostał obsesji na punkcie tej sprawy, i ja też.

Lekarz zmarł w 1965. Poplamione atramentem banknoty dalej krążyły po południowym LA. Mnie się udało dostać nudną pracę w Banku Powszechnym, nie dowiedziałem się niczego istotnego i rzuciłem ją. Scotty Bennett mnie zafascynował. Chciałem sprawdzić swoją odwagę i zetrzeć się z nim, i zobaczyć, czy ujawni jakieś informacje w brutalnym kontekście pokoju przesłuchań. Podkradłem plik poplamionych atramentem banknotów z banku i zacząłem je puszczać w obieg. Scotty mnie znalazł, prędziutko.

Pokój miał trzy metry na trzy i wygłuszone ściany, żeby krzyki nie wydostały się na zewnątrz. Protestowałem, że jestem niewinny. Scotty był przyjazny, kiedy mnie nie bił. Wyjął książkę telefoniczną i gumowy wąż. Poluzował mi zęby i obił nerki. Stoicko broniłem swojej niewinności. Scotty nie ujawnił żadnej swojej wiedzy o sprawie. Ja nie krzychałem. Po dwóch godzinach mogłem wykonać przysługujący mi telefon. Zadzwoiłem do kumpla, kumpel zadzwonił do swojego kumpla, Clyde'a Dubera. Clyde też podzwonił i wyciągnął mnie.

Clyde mnie polubił. Też miał fiksację na punkcie „Sprawy”. Dla niego to hobby, nic poza tym. Dla mnie i Scotty'ego pochłaniająca energię obsesja.

Wszedłem w świat młodocianych łapsów Clyde'a i zacząłem infiltrować lewicowe grupy dla jego dzianych i obficie paranoicznych prawicowych klientów. Stałem się niezłym aktorem, krętaczem, obłudnikiem, szpiegiem i szpiclem. Nauczyłem się zmyślać, ekstrapolować i opracowywać surowe pisma Clyde'a. Nigdy nie odgrywałem roli tak wymagającej jak ta, którą zgotował mi Dwight Holly, i nigdy nie miałem scenopisarza tak błyskotliwego jak pan Holly.

W 1967 roku wstąpiłem do Policji Los Angeles. Scotty próbował temu przeszkodzić, ale mu się nie udało. „Sprawa” pozostała nierozwiązana. Ja pozostałem zdeterminowany. Jestem przekonany, że rozwiązane spoczywa w południowym Los Angeles. Niezmiennie wierzę w legendę getta: od czasu do czasu czarni ludzie w kłopotach anonimowo dostają pocztą bardzo cenny szmaragd.

Myślę, że Scotty wie więcej o wydarzeniach 24 lutego 1964 roku niż reszta Policji LA razem wzięta. Myślę, że on chce pieniędzy i pięknych zielonych kamieni dla siebie. Postrzegam OPERACJĘ BARDZO ZŁY BRAT jako dar niebios, pomimo drakońskich intencji pana Hoovera. Mam teraz doskonałą południową przykrywkę. Radykalnie zrekonfigurowanemu czarnemu bojówkarzowi ludzie powiedzą rzeczy, których w życiu nie powiedzieliby glinie. Muszę być bardzo odważny i bardzo ostrożny i pracować u boku pana Holly'ego z najwyższą rozwagą.

## 42

(Los Angeles, 18.10.1968)

Śledzenie:

Meta Marsha Bowena, róg Pięćdziesiątej Czwartej i Denker, obrzeża Czarnogrodu.

Wieczór nr 6. Wynajął go Dwight Holly, przez Clyde'a Dubera. Clyde nie miał pewności co do motywu Wielkiego Dwighta. Może od Bowena zajeżdżało komuchem albo potencjalnym zagrożeniem.

Bryka Bowena stała przed wejściem. Jeździł dodge'em '62. Bryka mięczaka. Bowenowi krew leciała z nosa. Poszedł imprezować do debili i zgrywał Zulusa Czakę. Bowen poleciał w chuja ze Scottym Bennettem i wyleciał z Policji LA. Od tego dostał się pod wpływ nieudaczných liberałów i Żydów z showbiznesu.

Crutch ziewnął. Zaczął pracować o północy. Teraz była 2.06. Odchylił oparcie fotela i badał obicie deski rozdzielczej. Wziął ten pomysł od Scotty'ego.

Scotty miał wszystkie swoje zdjęcia przyklejone taśmą. Crutch sklecił własną wersję. Oto Joan, oto fajna plaża w Dominikanie, oto paskudne czarnuchy voodoo w Haiti.

Bowenowe zadanie dręczyło go i rozpraszało. Przeszkadzało w pracy nad własną sprawą i nad szkodnikową robotą z Mesplède'em. Bowen miał jakiś zmysł ogonowy na pół gwizdka. Jakby wyczuwał, że jeździ za nim jakiś wóz.

Crutch słuchał cicho radia. Melodie go drażniły. Sama pacyfistyczna papka albo asfaltowy jazz. Eureka: zamontować w wozie Bowena nadajnik i wywiercić dziurę w tylnej lampie.

Wyciągnął swoją skrzynkę narzędziową, przykucnął i przeszukał ją. Wziął korkociąg i wywiercił dziurę w lewym tylnym świetle. Pod prawym nadkolem przykleił nadajnik z dziewięciowoltową baterią i nastawił kanał 3. Wrócił do swojego wozu i wyjął odbiornik. Klik – jest kanał 3 i odgłosy bieżącego otoczenia.

Crutch usadowił się z powrotem i z powrotem oparł głowę. Poświecił latareczką na zdjęcia Joan. Teraz miał talent. Wiedział, jak sprawić, żeby te siwe pasma zaślniły.

Bowen wyszedł i wszedł do wozu. Sowa – 2.42 nad ranem.

Ruszył. Crutch śledził go z daleka. Dzięki dziurce w świetle tylnym kontrolował odległość i kierunek.

Jechali. Crutch trzymał się sześć długości wozu z tyłu. Asfaltowo balowało. Bowen wolno mijał wszystkie knajpy z grillem i zamykające się bary. Policja LA była na mieście WIELKA. Kościane rozgrywki na chodniku zniknęły, kiedy przejeżdżał Człowiek. Bowen minął siedziby SPC i FWMM. *Co jest, wystawy oglądasz? Coś nie tak?*

Z kanału 3 dobiegały uliczne hałasy. Dżungla huczała po nocnemu. Bowen zawrócił i ruszył dupę na zachód w Slauson i na północ w Crenshaw.

Tu jest bardziej biało. Tu jest bardziej cywilizowanie. Kanał 3 cichnie. Bowen jedzie na zachód w Pico i na północ w Queen Anne Place, zaraz przy parku.

Bowen przejechał krawężnik i ruszył środkowym pasażem. Kurwa – nie ma jak go śledzić z bliska.

Crutch przygasił światła i przycupnął przy krawężniku od wschodniej strony. Park był cały w mokrej trawie, krzakach i drzewach. Śledził wzrokiem dziurkę w tylnym świetle i zobaczył, że Bowen zwalnia.

Światła zgasły. Silnik też. Na kanale 3 cykały świerszcze.

Cisza. Drzwi samochodu Bowena otworzyły się i zamknęły. Ciemno. Zostało samo audio.

I dalej cisza. Nagle dwa męskie głosy. Potem świst rozporków i grzechot sprzączek paska i te wszystkie przerażające jęki.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 19.10.1968. Zapis rozmowy telefonicznej FBI. Oznaczony: „Nagrany na polecenie Dyrektora”/„Tajne 1-A: Zastrzeżone dla Dyrektora”. Rozmawiają: Dyrektor Hoover, Agent Specjalny Dwight C. Holly.

JEH: Dzień dobry, Dwight.

DH: Dzień dobry panu.

JEH: Może byśmy pogadali o kampanii? Niedługo wyłonią się stany niepewne, ale naszemu Dickowi chyba rośnie.

DH: Myślę, że wygra, proszę pana.

JEH: W trzydziestym dziewiątym składał podanie do Biura. Zobaczyłem zdjęcie na jego podaniu i pomyślałem „Ten młody prawnik nie ogolił się dzisiaj rano zbyt dokładnie”.

DH: I w efekcie zmienił pan bieg amerykańskiej historii.

JEH: Codziennie zmieniam bieg amerykańskiej historii, Dwight.

DH: Niewątpliwie, proszę pana.

JEH: Proszę mi przedstawić kwestię intryg naszego zabójczego francuskiego cukiereczka J.P. Mesplède’a i żółtodziobego podopiecznego Clyde’a Dubera, Crutchfielda.

DH: Są skuteczni jak gzy, proszę pana. Teraz mają być w Miami i jestem pewien, że Mesplède nie oprze się powabowi tej zaszraney wyspy sto pięćdziesiąt kilometrów od brzegu.

JEH: Uważa pan, że Sprawa Kubańska jest całkowicie dogorywająca i egzystencjalnie daremna, tak, Dwight?

DH: Tak, proszę pana, tak uważam.

JEH: Ja ponad wszelką wątpliwość tak nie uważam. Castro jest u władzy od dwudziestego szóstego roku i jest gorszym tyranem niż jego poprzednicy: Czang Kaj-Szek i kardynał Mindszenty.

DH: Uhm, tak, proszę pana.

JEH: Wydaje się pan przepełniony wątpliwościami, Dwight. Normalnie nie słabnie pan w czasie naszej żywej i błyskotliwej wymiany zdań.

DH: Nic mi nie jest, proszę pana.

JEH: Żyje pan na kawie i papierosach. One zaburzają pańską pamięć w kwestii powszechnie znanych faktów historycznych.

DH: Tak, proszę pana.

JEH: Może przydałaby się panu kolejna kuracja w Silver Hill? Mógłby pan sobie przypomnieć pierwszą. Wyciągnąłem pana ze sprawy Dillingera w trzydziestym czwartym. Był pan pijany i pozabijał tych czarnych turystów z Indiany.

DH: Uhm, tak, proszę pana.

JEH: Dwukrotne „uhm” w czasie jednej rozmowy? Chyba naprawdę potrzebny panu jakiś urlop zdrowotny.

DH: Nic mi nie jest, proszę pana.

JEH: No to jedźmy dalej. Proszę mi przedstawić stan sprawy doktora Freda Hiltza.

DH: Jest wyciszona, proszę pana. Jack Leahy nadzoruje śledztwo w Policji Beverly Hills. Nie ma możliwości, żeby Biuro zaznało jakichś nieprzyjemności.

JEH: Myślę, że rabusio-zabójcy to czarni bojówkarze, którzy niszczą wszystko po drodze. Może zadają się z przestępczym kartelem o nazwie Archie Bell and the Drells.

DH: Nie sądzę, proszę pana. Archie Bell and the Drells to zespół muzyczny, a Jack Leahy uważa...

JEH: Jack Leahy to dwulicowy agent o wywrotowym poczuciu humoru kojarzącym się ze zmarłym heroinistą i komediantem Lennym Bruce'em. Śledzę ploteczki na imprezach, wie pan. Kiedy miałem operację pęcherzyka żółciowego, Jack Leahy powiedział agentowi z Chicago, że przechodzę operację usunięcia macicy. To było w tysiąc dziewięćset ósmym i doskonale to pamiętam.

DH: Ja również, proszę pana.

JEH: Ależ wiem. Pracował pan wtedy w biurze w Cleveland.

DH: Tak, proszę pana.

JEH: A operacja BARDZO ZŁY BRAT? Niewiadomie ułatwiona przez straszliwego sierżanta Roberta S. Bennetta?

DH: Zarówno mój infiltrator, jak i informator już działają, proszę pana. Jestem pewien, że wkrótce ktoś się do nich zwróci. Uważam, że mój infiltrator nie jest do końca godzien zaufania, więc zleciłem Donowi Crutchfieldowi śledzenie go. Bowen nic nie robi nieregularnie, więc zleciłem śledzenie od dzisiejszej nocy.

JEH: Ach, młody Crutchfield. Najbardziej wytrwale wścibska znajda Clyde'a Dubera.

DH: Tenże sam, proszę pana.

JEH: A Wayne junior? Wytrwale zabójczy i rasistowski pechowiec? Jak się miewa?

DH: Jutro mam z nim spotkanie, proszę pana. Myślę, że uporał się już z ostatnim niefortunnym wypadkiem i żyje dalej.

JEH: Wszyscy musimy żyć dalej. Wytrwałość i uporczywość wcześniej czy później leczą wszystkie choroby.

DH: Tak, proszę pana.

JEH: Miłego dnia, Dwight.

DH: Miłego dnia, proszę pana.

## 43

(Las Vegas, 20.10.1968)

*Patrzyła na wskroś, a i tak go widziała. Kazała wspominać.*

Opowiedział jej historię od Morty'ego Sidwella. Podkreślił wsiowy areszt, kaucję, kobietę z blizną. Postawiony Reginaldowi zarzut o posiadanie broni. Książki Reginalda. Trójka jej syna: chemia, lewicowe teksty, zioła haitańskiego voodoo.

Siedzieli na parkingu przy autostradzie. Siedzieli w samochodzie Wayne'a, żeby mieć więcej miejsca na nogi. Mary Beth przywiozła kanapki i kawę. Lało. Deszcz ich zakrył – nikt im nie rzucał nędznych spojrzeń.

– Co pan teraz zrobi? – spytała Mary Beth.

– Będę działał dalej. Stworzę akta. Dowiem się, ile się da, o tamtym życiu pani syna.

– Chciał pan powiedzieć „tajemniczym życiu”.

– Tak, chciałem.

– Bo pan też takie ma?

Wayne napił się kawy. Kubek parzył go w palce. Mary Beth zrobiła kawę gorącą jak diabli.

– Cały czas się pani przyglądałem. Ta cała historia jest dla pani świeża.

– Nigdy nie rozmawiamy o pańskich zajęciach. Rozmawiał pan z Howardem Hughesem i zniósł segregację rasową w kasynach, ale nie wiem, co pan robi przez resztę swojego czasu.

Uderzył w nich silny podmuch. Samochodem zakołysało. Mary Beth chwyciła się deski rozdzielczej.

– Ułatwiam sprawy panu Hughesowi i kilku dżentelmenom robiącym podobne interesy. Dużo czasu spędzam z funkcjonariuszami policji i działaczami politycznymi.

Mary Beth westchnęła.

– Tajemnicze życie to eufemizm. Widzę tu sekretny świat.

– Niewiele więcej mogę pani powiedzieć.

– Zadaje się pan z ludźmi, których ja bym potępiła. Zostawmy to tak.

Wayne walczył z ogrzewaniem szyb. To było zadanie dla niespokojnych rąk. W samochodzie było albo za zimno, albo za gorąco. Mary Beth przesunęła dźwignię na „wyłączony” i przytrzymała tam jego rękę.

– Ostatnie lato?

– Tak.

– Umarły trzy osoby spośród naszych najbliższych. Człowiek, który zabił mojego męża, został pośmiertnie uznany za zabójcę pańskiego ojca.

Wayne wysunął rękę. Mary Beth ją przytrzymała.

– Nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Pan zawsze przywołuje Reginalda. Nie pozwolił mi pan pograć się w żalobie i sam pan nie za bardzo pograżył się w swojej.

Wayne zakasłał. Mary Beth splotła ich palce. Nogi mu zadygotały.

– Nie chcę, żebyśmy żyli z tymi wszystkimi zmarłymi. Za dużo tego mamy. Niedługo spędzę trochę czasu w południowym Los Angeles, wybadam grunt w sprawie pani syna. Ma dziewiętnaście lat, jest uzbrojony, aresztowano go na granicy Nevady i Kalifornii. Instynkt podpowiada mi LA.

W samochód uderzyły kulki gradu. Wayne podskoczył.

– Dlaczego pan tak się mnie boi? – spytała Mary Beth.

– Hoover demencieje – powiedział Dwight. – I to pogarsza mu się, kurwa, w szybkim tempie. Jak tak dalej pójdzie, to niedługo zamieszka z Liberace'em.

Wayne się uśmiechnął.

– Mógłbyś się zwolnić i podjąć pracę w jakiejś korporacji prawniczej.

Dwight się uśmiechnął.

– Mógłbyś się zwolnić i powykładać chemię na BYU<sup>7</sup>.

Hol w Wydmach imitował ukojenie. Niby oazowy wystrój wydawał się spójny. Niby wydmy, niby wielbłądy przy chlorowanym źródleku.

– Ta sprawa doktora Freda? – spytał Wayne. – Jak teraz wygląda?

Dwight rozżarzył papierosa.

– Te same asfalty obrabowały dom w Newport Beach. Bez ofiar, ale znaleziono te same ślady rękawiczek i identyczne włókna. Myślę, że oni zobaczyli to antyasfaltowe gówno doktora Freda. I to ich rozeźliło.

Wayne napił się wody sodowej.

– Mógłbym w swojej sprawie potrzebować pomocy w LA. Bank Powszechny i Kompania Taksówkowa Czarny Kot zdefraudowały pożyczki Teamstera, więc przejmujemy ich. Myślę, że Czarny Kot byłby dla ciebie dobrym węzłem informacyjnym. Tak myślałem, że mógłbyś nakłonić pana Hoovera, żeby zapobiegł tam ewentualnym problemom.

Dwight wstał. Tracił na wadze. Pas z bronią opadał mu z jednej strony.

– Nie chcę, żeby ktoś mi zarzucał rasizm, Dwight – powiedział Wayne. – Bardzo bym to docenił.

– Jasne, młody. Nie zależy mi, żeby cię skrzywdzić.

Dom miał w Gwiezdnym Pyle. Na górze apartament mieszkalny/laboratorium. Wkrótce będzie musiał zorganizować lokal na archiwum akt osoby zaginionej. Na ogół jadał wieczorami w kawiarni na dole. Wraciał wtedy myślami do Janice i do swojej nocnej służby.



Wayne jadł cheeseburgera. Knajpka była teraz integracyjna. Wymusił na Drakuli uległość. Drako demenciał jak pan Hoover. Można to nazwać efektem długotrwałego uzależnienia od narkotyków i obłądu. Farlan Brown potwierdził diagnozę. LBJ pokrzyżował vegaskie plany Draka. Chytry Dick się podporządkuje. Farlan przekazał plotki: Hrabia właśnie nakłonił do składania fałszywych zeznań kluczowych doradców Humphreya. To go zabezpieczy.

Cheeseburger był rozmamłany. Dwa boksy dalej niegrzecznie obsłużono czarnych gości.

Mesplède i Crutchfield szkodzili w Miami. Prawnicy Sama G. kupowali niewywiążującą się ze zobowiązań sieć sklepów. Rano dzwonił do szefa Kompanii Taksówkowej Czarny Kot. Rozmowę o wykupie ustawiono na następny tydzień.

Weszła czarna rodzina. Dwie białe kelnerki zniknęły. Recepcjonista udawał, że ich nie ma.

Wayne poszedł do swojego pokoju. Drzwi były otwarte na oścież. Wyciągnął spluwę przypiętą do kostki i odsunął skrzydło drzwiowe.

Światła w salonie były włączone. Mary Beth siedziała na kanapie. Miała na sobie piękną beżową suknię.

– Umiejętności z getta i kontakty związkowe. Przekupiłam pokojówkę.

Wayne schował broń.

– Pańskie laboratorium śmierdzi gorzej niż Reginalda.

Wayne zamknął drzwi i przysunął sobie krzesło. Ich kolana były blisko. Odsunął krzesło. Mary Beth przysunęła się bliżej.

– Dlaczego nosi pan broń?

– Wolałbym nie musieć.

Mary Beth otworzyła torebkę.

– Dzisiaj znalazłam w poczcie coś bardzo dziwnego. Anonimową przesyłkę. Najdziwniejszą w świecie. Była owinięta w wycinek z gazety o moim mężu i Pappym Dawkinsie.

Nazwiska paliły przez chwilę. Wayne wytrzymał jej spojrzenie. Mary Beth wyciągnęła gazetowy zgniotek zwitek i odwinęła go. Pośrodku tkwił zielony kamień. Wyglądał jak szmaragd.

Mienił się i migotał. Wayne wpatrywał się w niego. Pochylił się, by przyjrzeć mu się baczniej. Mary Beth do jego twarzy przysunęła swoją.

– Nie możemy trzymać się za ręce na zewnątrz ani robić nic publicznie. Nie chcę wiedzieć o złych rzeczach, które zrobiłeś.

Byli blisko. Przestał widzieć jej przysuwające się oczy. Dotknęła jego ust i zamknęła je. Ich nosy się zderzyły, kiedy przyciągnęła go do pocałunku.

## ASFALTYZACJA:

Krawiecki aspekt OPERACJI BARDZO ZŁY BRAT. Marsh Bowen potrzebował wskazówek stylizacyjnych. Jego kolory się gryzły. Wyglądał jak sepiowy lizak. Złe czarnuchy ubierały się całe na czarno. To pomogło im się ukrywać nocą, a podkreślało białe zęby.

Dwight podał Marshowi trzy setki.

– Nowe ciuchy. Chcę, żebyś wyglądał jak Eldridge Cleaver. Wystąpisz z mroku jak maderfaka Drakula i obwieścisz swoje niegodziwe zamiary.

Marsh schował pieniądze. Przechadzali się przed obserwatorium. Teleskop znajdował się po południowej stronie. LA było spowite smogiem i ostro oświetlone. W Parku Griffitha wrzało.

– Jest pan niezłym parodystą, panie Holly.

– W wypadku twoich ludzi to łatwizna.

– Uznam to za osobisty komple...

– Oto komplement, o który tak niecierpliwie się dopominasz. Do tej pory spisywałeś się świetnie, głównie dlatego, że twoja głośna wymiana zdań miała więcej jaj, niż założyłem, a wobec powyższego jesteś bieżącym czarnym bohaterem getta LA, co bardzo nam skraca czas do chwili, gdy zostaniesz skaptowany do SCP albo/i do FWMM. Nie możesz wyjść z inicjatywą, Funkcjonariuszu. Twoje działania muszą przyciągnąć ich do ciebie albo wzbudzą niepożądane silne podejrzenia. Jesteście aktorem, Funkcjonariuszu. Macie odruchową aktorską potrzebę nadszycowania, więc wymagacie silnej ręki na drodze do ukształtowania swojego występu. Wątpię, czy posiadasz kręgosłup moralny, więc pozwolę sobie ominąć ideę, że taki akurat kompas miałby cię prowadzić. Musisz się wydawać śmiały i ćwiczyć wielką ostrożność. Musisz ostrożnie kapować na swoich nowych kumpli i dobroczyńców i pilnować, żeby zawsze istnieli inni podejrzani o szpiclowanie informacji, które przekazujesz. W jakichkolwiek przestępstwach weźmiesz udział, zachowaj rozsądek. Żadnych zabójstw, żadnych napadów z bronią w ręku, żadnego seksualnego gówna w stosunku do kobiet i dzieci. I nie dawaj swoim dawnym bracholom z Policji LA okazji do skopania twojej czarnej dupy, bo najpewniej to zrobią.

Marsh obrócił teleskop i spojrział na południe. Zawsze zachowywał nieruchomą twarz, by przetrzymać konfrontację. Zawsze za pomocą tego bezceremonialnego gówna ukrywał strach.

Dwight poderwał teleskop. Wizjer walnął w Marsha. Ogarnął się i niezwłocznie ukamiennił twarz.

– Oto twoja lista celów. Zbliż się do Ezzarda Donnella Jonesa, Benny’ego Bolesa, Leandera Jacksona, J.T. McCarvera, Joma Kenyatty Clarksona i Claude’a Torrance’a. Dzwon do mnie co czwarty dzień, dopóki nie znajdę ci łącznika. Zaczynij spędzać czas w Kompanii Taksówkowej Czarny Kot i w Tacce Sułtana Sama, zaczynij chodzić na piątkowe nocne gry u fryzjera na rogu Pięćdziesiątej Ósmej i Florence.

Marsh się uśmiechnął. Prawie mu wyszedł głupawy uśmieszek. Jestem ponad to wszystko.

– Jeszcze coś?

– Tak.

– Co?

– A to, że niewątpliwie jesteś najfartowniejszym czarnuchem na tym bożym świecie.

– Bo pan jest moim szefem?

– Bo jesteś zbyt znany, żeby Scotty Bennett cię zabił.

Joan podała mu kule. Sześć wystrzelonych pocisków z dziwnymi włóknami. Jeździła karmannem ghią ’61. Tablice wyglądały na fałszywe. Podsufitka była złachana od zaniedbania albo od ruchania na tylnej kanapie.

Skrót w Elysian Park. Nieopodal Akademii Policyjnej LA. Uroczy widok i ukryta groźba.

– Skąd mam wiedzieć, że to właściwe naboje? – spytał Dwight.

– Bo mi pan ufa?

Było chłodno. Joan miała długie rękawy. Blizna po nożu była zakryta. Dwightowi brakowało bodźca.

– Zdumiewająco szybko się pani uwinęła.

Joan zapaliła papierosa.

– Myślałam, że pan to doceni.

– Doceniam.

– Sypiam z dziewczyną Ezzarda Jonesa. Jest sceptyczna w stosunku do SCP. Usłyszy pan o tym.

Pomiędzy przednimi fotelami tkwiła sprężynowa pałka. Na tylnej kanapie pełno było lewicowych elaboratów. Poczul zapach szamponu Joan i marihuany.

– Powierzyłam kokainę Leanderowi Jacksonowi. To uroczy Haitańczyk z niestosownym świrem na punkcie voodoo. Już sprzedał kilka gramów. Oddałam swój udział na program śniadaniowy FWMM. Claude Torrance był wdzięczny. Zaprosił mnie na imprezy zbiórkowe.

Dwight się uśmiechnął.

– Będą burdy.

– Wiem.

– Będzie pani obmacywana, w poniżający sposób.

– Liczę na to.

– Dlaczego?

– Dźgnę faceta, który mnie obmaca, w obecności kobiet. One się mną ubawią i opowiedzą mi historie o mężczyznach. To impreza FWMM. Leander jest mi teraz dłużny. Wkurzy się, jak usłyszysz, że zadaję się z FWMM, ale nie zerwie ze mną kontaktu, bo usłyszysz historię o dźgnięciu i będę jedyną kobietą w otoczeniu, która może zdobyć prochy.

Dwight chwycił papierosy. Paczka była pusta. Joan zapaliła jednego ze swoich i podała mu. Dwight poczuł zapach jej kremu do rąk.

Miała czarne buciory. Sukienkę zapiętą na ostatni guzik. W samochodzie było gorąco. Na dekolcie zebrał jej się pot.

– Dla kogo jeszcze pani pracowała jako informator?

– Nie powiem panu.

– Dlaczego pani akta są tak ocenzurowane?

– Nie powiem panu.

– Czy to były rutynowe zatrzymania, czy była pani podejrzana o napad z bronią w rękę?

– Nie powiem panu.

– Proszę mi podać znane kontakty. Nie wykorzystam ich. Próbuję tylko uwierzyć w pani historię.

– Nie ma mowy.

Dwight połknął dwie aspiryny. Joan odsunęła swój fotel i oparła nogi na desce rozdzielczej. Bransoletka z kostki podjechała w górę łydki, nad krawędź buta. Mała czerwona flaga na złotym łańcuszku.

Dwight się uśmiechnął. Joan się uśmiechnęła. Wypuszczali niedbałe kółka dymu i zadymili samochód. Przejechały dwa radiowozy. Na tylnym siedzeniu tkwili skuci czarni goście.

– W Liceum Artystycznym jest nauczyciel wf. Nazywa się Berkowitz. To pedofil. Myślę, że powinien pan udzielić mu reprimendy.

– Czy to jest powiązane z naszą operacją?

– Tak.

– Wolałbym dokładniejsze wyjaśnienie.

– Ludzie mówią mi rzeczy, które wymagają mojej reakcji. Po części z tego powodu dla pana pracuję. Mam nadzieję, że będzie pan przychylny.

– Zadbam o to – powiedział Dwight.

– Chciałabym zobaczyć dowód – powiedziała Joan.

Dwight kiwnął głową. Joan podciągnęła nogi i niechętnie wdusiła klakson. Dźwięk rozległ się przerażający. Oboje się roześmiali.

Spotkali się w kawiarni na Hillhurst. W pobliżu mieszkania Karen i jego dziupli. Był tam kącik dla dzieci. Dwight zwrócił na to uwagę. Poczuł się prawie jak żonaty.

Dina rozsiadła się w kąciku. Dzieciaki przyniosły swoje zwierzaki. Karen utyskiwała na swój los najstarszej matki świata. Dwight żuł gumę. Przestał palić przy Karen. To ją kusilo.

Nie chciał szkodzić Eleanorze.

Karen trzymała się za brzuch. Wyglądała absurdalnie – smukła kobieta z taką wielką bulą.

Dwight wrzucił sobie do kawy dwie skruszone aspiryny. Nowe podejście do bólu głowy. Jack Leahy to wyjaśnił. Zwężenie naczyń, ble-ble-ble.

– Nixon wygra – mówiła Karen. – Nie zacznie natychmiastowych represji i w ogóle niewiele zrobi, żeby nie rozwścieczyć moich towarzyszy rozpierdzielających kampanię Humphreya.

– To wszystko jest dla mnie trochę zagmatwane.

Karen skubnęła ciastko.

– To dla ciebie całkowicie zrozumiałe, co znaczy, że masz coś na głowie, bo nie rzucałbyś takich mdło nieszczerých uwag.

Dwight się roześmiał.

– Mój infiltrator się robi zarozumiały. Będę musiał trochę mu spuścić pary.

Karen się przeżegnała. Wiara hybrydowa. Grekokatolicka dziewczyna, która stała się kwakierką. Kelner przyniósł świeżą kawę. Dwight skruszył świeże aspiryny.

– Dlaczego akta Joan są tak mocno ocenzone?

– Nie wiem. Pytałeś ją?

– Nie powie mi.

– No to odpuść.

– Cała część z kontaktami jest zaczerniona.

– Może jakiś zwierzchnik z przeszłości wyświadczył jej przysługę.

– Powiedziała, że nigdy wcześniej nie była informatorem FBI. Pewnych rzeczy mi nie powie, na przykład...

Karen przewróciła kubek z kawą. Oblało mu ręce. Blister z aspiryną odpłynął.

– Odwała ci na punkcie tej kobiety. Znam cię. Obserwuję cię od miesiący. Każdy mój instynkt mówi mi, że zrobiłeś ostatnio coś kurewsko złego, nawet według standardów twojego zjebanego faszysty...

Dwight usłyszał płacz Diny. Ona usłyszała krzyk Karen. Dina kopnęła w stos zabawek i uciekła do innych dzieci. Karen pognęła za nią.

## 45

(Miami, 23.10.1968)

Hubert Humphrey poduczył się pidżyna hiszpańskiego. Zachęcili go dwujęzyczni politycy. Tłum był półbiały, półmeksowy i cały skonsternowany. Przywiedli w upale. Słońce prażyło parking i Hubert miał południową śpiączkę. Bardzo chcieli zimnego piwa i trochę ubawu.

Mesplède stał pośród tłumu. Crutch na tyłach. Pomachali do kierowcy ciężarówki z paką zakrytą brezentem.

Ciężarówka podjechała na obrzeża parkingu. Crutch dał znak kierowcy. Trzy, dwa, jeden – wytaczają się siły inwazyjne.

Trzydziestu bezrobotnych aktorów. Też podrzutki od Clyde'a Dubera. Aktorzyny z „Guerilla Troup” zrobieni na Fidela.

Brody, buciory, zielone mundury polowe, grube cygara...

*Fidel kocha Huberta! Fidel kocha Huberta! Fidel kocha Huberta!*

Hubert stał z palcem głęboko w dupie. Ośmiu kolesi w nixonowych koszulach wyskoczyło z ciężarówki i zaczęło rozdawać darmowe piwo. Fidele krążyły i rozdawały darmowe cygara. Tłum oszalał. Crutch i Mesplède wyli.

KUBA, KUBA, KUBA – Żabojad mówił to trójjęzycznie i *très grande* bez przerwy. Crutch ciągle myślał o Dominikanie. Wynajętym wozem jechali przez Małą Hawanę. Jarali skręta. Żabojad ciągle powtarzał „cessna” i „desant”. Crutch ciągle widział tamto zdjęcie w książce z biblioteki.

Facet od voodoo. Tatuaz. Wzór jak u martwej laski w Domu Grozy.

Mesplède oddał skręta. Crutch sztachnął się po raz ostatni i zjadł kipa. Dotarli do Flagler Street. Na sklepach uchodźców powiewały kubańskie flagi. Z latarni zwisali słomiani Fidele. Dzieciaki podbiegały i wbijały w nich scyzoryki.

Crutch trzymał gębę na kłódkę. Gadałby ciągle o Dominikanie, jak Żabojad o Kubie. „Trzymaj gębę na kłódkę” – tak mu powiedział Dwight Holly. Jak na razie się słuchał. Marsh Bowen był pedziem. Na tamten temat też trzymał gębę na kłódkę. Ostatniej nocy przetrząsnął akta policji w Miami Dade. Szukał Gretchen/Celii i Joan Rosen Klein. Żabojad spytał go, dokąd idzie. Trzymał gębę na kłódkę.

Uczył się. Jego kumple zabójcy będą mieli szacun.

Pojechali na przedpotopowe lotnisko pod Miami. Cała załoga była kubańska. Wszyscy pociachani od pracy przy trzcinie cukrowej. Mesplède podpisał jakieś dokumenty i wynajął

dwumiejscowy samolot. Wystartowali i zajarali skręta powyżej tysiąca metrów.

Crutch się przeraził. Wysokość podkręciła kwasowy odlot. Ciągłe widział ludzi, których nie było. Jego mama tańczyła twista z Daną Lund. Ciągutka Bev Shoftel robiła loda Salowi Mineo.

Przelecieli nisko nad Małą Hawanę. Mesplède przesunął dźwignię i wyrzucił pięć tysięcy znaczków z Nixonem. Dzieciaki chwyciły je w powietrzu i pokazywały samolotowi faka. Mesplède pożygzakował na południe. Przelecieli nad pasmem mostów i wysepek. Mesplède podał deksedrynę i sznapsa z haszem. Patrz na te brązowe kawałeczki pływające w białym płynie.

Crutch wypił. Alkohol postawił go na nogi. Przelecieli nad Karaibami. Minęli dwie tratwy uchodźców i rzucili im znaczki z Nixonem. Dzięki koktajlowi Crutch nie miał choroby lokomocyjnej. Mesplède wskazał za siedzenia. Crutch zobaczył rozpylacz z magazynkiem na 100 nabojów. Wyciągnął jedną kulę. Zdumumowany czubek, w środku trucizna na szczury.

Crutch zadrżał. Koktajl go znieczulił, został tylko czysty strach. Zamajaczył wielki brązowy kształt. Żabojad wyszczerzył się do niego. Crutch zamrugał powiekami. Teraz kształt już się stał płaską jak naleśnik wyspą.

Żabojad pchnął drążek i ściągnął ich na dół. Pomykali nad falami, kołami podskakując na wodzie. Crutch zobaczył plażę i jakichś Latynosów w brązowych koszulach otoczonych workami z piaskiem. Latynosi pochyliły się nad karabinem maszynowym kalibru .50. Wentylowana lufa, pasy z nabojami, obrotowy.

Żabojad zanurkował prosto na nich. Latynosi strzelały nad, pod i szeroko. Żabojad zszedł maksymalnie nisko. Latynosi obróciły się, z powrotem się obróciły i strzelały w panice. Hałas przypominał stukot maszyny do pisania skrzyżowany z bombą atomową.

Crutch oparł thompsona na obramowaniu okna. Żabojad zszedł na wysokość ich-oczu-widzenia. Crutch odliczył w myślach do ośmiu. Uchylali się i próbowali jednocześnie obracać karabin maszynowy.

Crutch wypalił. Zobaczył, jak eksplodują dwie głowy. Zobaczył, jak jednemu wyskakują żebra z klatki piersiowej, jak krew uderza w worek z piaskiem. Żabojad przeleciał nad jakimiś niskimi drzewami. Liście walnęły o samolot i zasłoniły im widok od przodu. Crutch strzelał do tyłu. Równiutkie strzały, bardzo dokładne. Namierzył czterech facetów stojących razem. Zobaczył, jak okulary wysokiego roztrzaskują się, a głowa mu odskakuje.

Żabojad przyciągnął drążek. Crutch zobaczył Kubę do góry nogami i przytrzymał pawia. Lecieli z powrotem nad ocean. Zobaczył ośmiu nowych zabitych i jak głowa tamtego gościa toczy się w stronę wody.

Kac.

Urwany film.

Nie pamiętał lotu z powrotem ani jazdy do hotelu. Obudził się w swoim łóżku. Mesplède ciągle spał. Zszedł do restauracji i usiadł na zewnątrz. Zamówił placki, krwawą mary i łyknął to wszystko. Zaczął sobie przypominać i cieszył się, że taką go to trwogą zdejmuje. Zabił dwóch kubańskich komunistów w Chicago. Właśnie zabił kolejnych ośmiu. Dwa plus osiem to dziesięć. Zbliżał się do rekordu Scotty'ego Bennetta.

Cieniste drzewo pochylało się nad jego stolikiem. Kochankowie wycinali na nim inicjały i daty ślubów. Crutch wyciągnął scyzoryk i wyciął „D. C.” i „10”.

Wrócił na górę. Drzwi do jego sypialni były otwarte. Mesplède siedział na jego łóżku. Wieko jego walizki leżało wyważone. Raport podsumowujący leżał na walizce otwarty. Mesplède był na stronie 43.

Żabojad trzymał broń. Crutch przełknął ślinę i gorączkowo szukał jakichś kłamstw.

– Dwukrotnie zataiłeś informacje – powiedział Żabojad. – Twoja mania na punkcie Dominikany była tak pozbawiona związku, że wzbudziła moje podejrzenia. Teraz więc musisz mi powiedzieć wszystko.

Więc powiedział.

Zaczął od doktora Freda i przekrętu dziewczki złodziejki. Dołożył Farlana Browna, Gretchen/Celię i Joan. Dodał Dom Grozy. Dodał wszystkie swoje daremne próby na policji. Dodał dominikańskie pochodzenie Celi i Haiti. Dodał tatuaż martwej kobiety i tatuaż kołosa od voodoo na zdjęciu w książce.

Mesplède wyciągnął kieszonkowy atlas Crutch. Był otwarty na Karaibach.

– Nasze cele się łączą – powiedział.

Poprowadził prostą linię pomiędzy Dominikaną a Kubą.



## 46

(Los Angeles, 25.10.1968)

W Kompanii Taksówkowej Czarny Kot na czarnych aksamitnych ścianach widniał hołd złożony czarnej historii. Oś czasu ciągnęła się od czarnego Jezusa do czarnego LBJ. Stłoczone wizerunki się łuszczyły. Klimatyzacja działała całą dobę na okrągło i niszczyła dekorację. Szefer ważył 194 kilogramy. W baraku panował stalaktytowy chłód, na jego polecenie.

Cordell Junior Jefferson: przedsiębiorca, defraudator pożyczki Teamstera.

– Chłopcy zajrzeli do dokumentów, panie Jefferson – powiedział Wayne. – W tym kontekście mam trochę dobrych wieści.

Jefferson wiercił się na fotelu. Trzykrotnie szerszym niż normalny. W pomieszczeniu było 10 stopni. Pocił się.

– Mówi mi pan, że mam dwa miesiące zaległości, i ja mam niby się tym przejąć?

Wayne zadygotał.

– Ma pan trzy lata zaległości. Trzy lata, ale wiadomości, które przynoszę, nie są takie złe.

Jefferson nałożył sobie lodów z dwulitrowej beczki. Jakies typy Panteropodobne przeszły przez barak, patrząc na Wayne'a złym okiem. Ruszył za nimi wielki biały człowiek. Z daleka było od niego GLINĄ. Miał szary garnitur i kraciastą muchę.

Jefferson machnął łyżką.

– Co to są za kurewskie dobre wieści, o których pan mówi, skoro chce pan, kurwa jego mać, wyciągnąć mi stołek spod dupy.

Wayne otworzył aktówkę, wyjął dziesięć tysięcy i rzucił je Jeffersonowi na kolana. Jefferson pogłaskał je, powąchał i potarł nimi twarz.

Strzelił gumką, która je spinała. Ścisnął je w najgrubszy na świecie zwitek banknotów.

– Zachowuje pan własność – powiedział Wayne. – My wprowadzamy białego, niejakiego Milta Chargina, żeby pomógł panu w interesie, pan pomoże kilku moim gliniarskim przyjaciom z informacjami i z praniem gotówki, za co dostanie pan siedem procent.

– A jak powiem nie?

– Taki głupi pan nie jest.

Jefferson jadł lody i zwijał zwitek. Wayne przyglądał się wizerunkom na ścianach. Rozpoznał czarnego Franklina D. Roosevelta i nikogo więcej. Wszedł mężczyzna z potrójnym afro. Uśmiechnął się szyderczo do Wayne'a i podszedł do centralki. Wayne wyciągnął zdjęcie Reginalda Hazzarda i pokazał je Grubasowi. Grubas pokręcił głową, że nie.

Facet z afro rzucił Grubasowi nowe pudło lodów.

– Muszę oddać swój interes. Skoro mój interes ma być naszym interesem, to mógłbym skorzystać z waszej pomocy.

Wayne się uśmiechnął.

Mary Beth spała. Kołdrę miała naciągniętą wysoko na głowę. Jedną nogę na wierzchu.

Wayne na nią patrzył. Zawsze zasypiała pierwsza. Całowała go i zakopywała się sama, dając mu coś do oglądania.

Przysunął krzesło do łóżka i dotknął jej kolana. Czekał. Lubił patrzeć, jak odrywa głowę od poduszki.

Zadzwoił telefon w laboratorium. Wayne wstał i pobiegł do niego. Chwycił słuchawkę przy drugim sygnale.

– Tak?

– Mówi Dwight.

– I to o północy.

– Mam pytanie z chemii.

– Tak?

– Można tak zrobić, żeby odczytać zaczernione rzeczy w aktach?

Wayne oparł się o półkę. Była zapchana komponentami heroiny.

– Może. Spróbuję, jak mi załatwisz trochę C-cztery.

Czarnogród – róg Osiemdziesiątej Piątej i Central. Centrum Afrochluby. Nocny klub, fryzjer, meczet. Obiboki o 2.14 w nocy.

Pośród nich: Jomo Kenyatta Clarkson.

Murzyn, lat trzydzieści dziewięć. Lojalny członek FWMM. Dyspozytor w Kompanii Taksówkowej Czarny Kot. „Minister propagandy”. Twórca nienawistnej literatury. Podejrzany o gwałt/podejrzany o napad z bronią w ręku.

Jomo wciska kity trzem Murzynom. Popijają likier brzoskwiniowy i palą koole. Właśnie sobie zrobili włosy w salonie Siostry Simby.

Dwight był po drugiej stronie Central, trzy piętra wyżej. W pustym budynku. Wspiął się po schodach przeciwpożarowych i przycupnął za szyldem. Miał lornetkę i zdjęcie z polaroida.

Zdjęcie było dowodem dla Joan. Zasadził się na pedofilskiego wuefistę i podziałł trochę pałką. Odwet Joan albo straszak Joan. Nie obchodziło go – to była Strefa Joan. Przypadkowe kobiety zaczynały wyglądać jak Joan. Ona była zawsze Joan. Nigdy nie była poufnym informatorem nr 1189.

Dwight spojrział na południe. Oto Marsh Bowen na swojej nakazanej nocnej przechadzce. Dwight spojrział na północ. Oto jednostka 4-Adam-29, jadąca powoli.

Dwóch białych gliniarzy. Wielbiciele Scotty’ego Bennetta. Stówa na łeb.

Na znak:

Gliny podejmują trop Afrochluby. Jomo i jego entuzjaści chowają szkło. Gliny przejeżdżają. Szkło powraca. Jomo i jego ludzie czarnuchują się na powrót.

Gliny widzą samotnego Murzyna. Kurwa, to Marsh Bowen. *Dobra złojka.*

Gliny zawracają i podjeżdżają. Afrochluba się ożywia. Impreza! Impreza! Użyjmy sobie na oburzeniu społecznym i ponienawidźmy Białego Człowieka!

Siostra Simby pustoszeje. Podobnie Bar Skorpiona. Jomo i Jego Psy się elektryzują. Skwierczą filcowane strzechy gapiów.

Gliny wysiadają. Marsh przechodzi. Jeden gliniarz gwizdże, jeden krzyczy „Wracaj no tu!”. Gapie zaczynają chrząkać jak świnie.

Dwight miał dobry widok. Z fonią już gorzej. Świńskich chrząknięć nie mógł zrozumieć.

Marsh wrócił. Dwight zobaczył gliniarzy, jak go rozkraczają i przeszukują. Chyba usłyszał słowa „czarnuch” oraz „Scotty Bennett zasyła pozdrowienia”. Chyba usłyszał złane kwiki, parsknięcia i jęki. Gliniarze opróżnili Marshowi kieszenie. Gliniarze głupczyli z jego

afrogrzebieniem. Gapie zaczęli zawodzić „Dalej, bracie!”. Jeden gliniarz pchnął Marsha i dźgnął go w klatkę. Jeden gliniarz krzyknął mu do ucha. Gapie rozkręcili świniowanie. Ustny gliniarz prychnął śliną i podkrecał głośność. Dwight usłyszał „czarnuch”, „zdrajca”, „jebany asfaltowy skurwiel” i „pedał”.

Marsh stracił panowanie nad sobą. Zastosował krawat i walnął ustnym o latarnię. Gapie zaklaskali i zadalejbraciowali. Świniowanie przeszło w hi-fi. Ustny obrócił Marshala i rzucił nim o radiowóz. Drugi wyciągnął pałkę i zaczął go walić po głowie i rzepekach kolanowych. Marsh dostał bardzołobratnie cięgi. Jomo i jego paka wszystko widzieli.

# 48

(Los Angeles, 28.10.1968)

Dwadzieścia parę taksówek. Zderzak przy zderzaku, rzędami. Wszystkie z logo korporacji: asfalt w fezie, jak ten dyktator Sukarno.

Barak dyspozytorni znajdował się poza terenem. Parking był pół przecznicy dalej. Całodobowy strażnik patrolował obejście. Zawsze pił obiad w Tacce Sułtana Sama. Żabojad wrzucił mu dwa proszki do ostatniej szkockiej. Teraz facet kimał w kubie na śmieci za Sułtanem Samem.

Wayne i Żabojad dyrygowali. Crutch robił głównianą robotę i przyjmował rozkazy.

Wayne zagniół C-4 i wsadzał je w obręcz kół. Żabojad nastawił detonator. Crutch rozciągał kabel pomiędzy taksówkami.

Przygotowania zajęły całe godziny. Pracowali od północy do czwartej nad ranem. Crutch miał skurcze od przykucania i chodzenia w przygarbieniu. Wszyscy się mocno pocili i mieli ręczniki do osuszenia. C-4 wyglądał jak ciastolina i pachniał jak spalony olej. Kable pościerały im ręce.

Gotowe – 4.11.

Wyszli na ulicę i powycierali się. Wayne wyglądał ponuro, jak zawsze. Żabojad się uśmiechał. Crutch był lekko omdlały jak prawiczek na randce.

Wayne pchnął tłok. Jebane taksówki eksplodowały i oderwały się od ziemi. Hałas był potężny. Wybuchło kilkanaście odcieni różu i czerwieni. Szkło poszybowało pod niebo.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 29.10.1968. Nagłówek i podtytuł z „Los Angeles Express”:

ZACIĘTY WYŚCIG: NIXON–HUMPHREY

Były Wice Prowadzi w Kluczowych Stanach

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 30.10.1968. Nagłówek i podtytuł z „San Francisco Chronicle”:

NIXON KONTRA HUMPHREY: BĘDZIE FUKS?

Figlarze Sabotują Wiece Humphreya

Doradcy Oskarżają Kampanię Nixona

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 1.11.1968. Artykuł z „Los Angeles Times”:

MORDERSTWO HANDLARZA NIENAWIŚCIĄ NADAL NIEROZWIĄZANE

Sama ofiara nazywała swój pałac w Beverly Hills „Domem zbudowanym na nienawiści”, wielu więc nie poczuło się zaskoczonych, kiedy doktor Fred T. Hiltz, były dentysta, były zawodowy golfista i podobno informator FBI, skończył straszliwie w tym właśnie miejscu.

Czternastego września bieżącego roku doktor Hiltz został zastrzelony w schronie na swoim podwórku, a zagadka tej zbrodni pozostała nierozwiązana. Są podejrzani: banda rabusiów, która trzymała zakładników z bogatych rodzin w Brentwood i Newport Beach. Ale niektórzy miejscowi dziennikarze i wielu zapoznanych ze sprawą tego zabójstwa podnosi kwestię, że doktor Hiltz był znanym dostawcą napastliwych nienawistnych broszur, które atakowały w równym stopniu Białych, jak i mniejszości rasowe, i podobno miał na podwórku kryjówkę pełną gotówki, że żenił się wiele razy i podobno zawierał liczne związki z prowokującymi kobietami. Kapitan policji w Beverly Hills, Mike Gustodas, powiedział dziennikarzom: „Doktor Hiltz miał przelotne związki, zajmował się brudnymi interesami, a my mamy jeszcze dużo do zrobienia, to nie ulega wątpliwości”.

Tak, to biuro FBI w Los Angeles wykonuje największą pracę w śledztwie w sprawie Hiltza, i ten właśnie fakt intryguje pewnych dziennikarzy i zachęca do tworzenia teorii spiskowych. Kapitan Gustodas nie umiał udzielić odpowiedzi w tej kwestii, oznajmił tylko, że FBI przejęło tę sprawę od policji Beverly Hills „ze względów bezpieczeństwa narodowego”.

John Leahy, szef agentów specjalnych biura FBI w Los Angeles, powiedział dziennikarzom: „Tak, to sprawa o podłożu politycznym, delikatna, i pojawia się w niej kwestia bezpieczeństwa narodowego, aczkolwiek pomniejsza. Nie mam prawa w tej chwili ujawniać szczegółów, ale kiedy agencja dokona aresztowania, i jeśli dokona aresztowania, opiszemy sprawę dokładnie”.

Krąży uporczywa plotka, że doktor Hiltz został zamordowany przez członków murzyńskiej organizacji paramilitarnej, którzy obrali taką formę manifestu politycznego. AS Leahy nie miał czasu na tę teorię. „Myślę, że to śmieszne” – powiedział. „Żadne ugrupowanie czarnych bojówkarzy nie przypisało sobie tej zbrodni i moim zdaniem zagrożenie działalnością tych ugrupowań jest poważnie przejaskrawione przez media”.

Na razie śledztwo w sprawie Hiltza trwa.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 2.11.1968. Nagłówek z „Dallas Morning News”:

WYŚCIG NIXON–HUMPHREY DO OSTATNIEJ CHWILI

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 3.11.1968. Nagłówek z „Hartford Courant”:

NIXON, HUMPHREY – OSTATNIE WYSIŁKI

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 4.11.1968. Fragment ukrytego dziennika Karen Sifakis.

Los Angeles, 4 listopada 1968

Nixon wygra. Humphrey jest obarczony wojną LBJ, a naród amerykański chce rzetelnego dialogu o zakończeniu wojny, wypełnionego reakcyjną papką, która sprawi, że poczuje się on dobrze, opuszczając (i w rzeczywistości przegrywając) wojnę, a Nixon mówi ludziom dokładnie to, co chcą usłyszeć. Chicago skończyło się katastrofą, nie dlatego, że zapewniło zwycięstwo Nixonowi, ale dlatego, że lewica wydała się przepełniona nienawiścią, małostkowa, bezwzględna, rozłamowa i śmieszna. *Grzech nieumiarkowania*. Muszę zwrócić uwagę na własne skłonności do nieumiarkowania i powinnam zacząć od sklasyfikowania ich jako złe prowadzenie się, a zatem poprowadzić jednoznaczny podział moralny, by skłonnościom tym położyć kres.

Dina zaczęła zadawać mi nieuniknione u bystrej dziewczynki pytania o Dwighta i JMT i mój związek z dwoma mężczyznami. Oczywiście, nie mogę jej powiedzieć, że JMT i ja jesteśmy politycznie zgodni, ale nie jesteśmy towarzyszami i nigdy nie łączył nas związek prawdziwie namiętny, lecz że jesteśmy przyjaciółmi złączonymi ideałami i biznesem rodzicielskim. JMT wie o Dwighcie, ale nigdy o nim nie wspomina. Przezorna i nadmiernie obyta Dina nigdy nie wspomina Dwighta przy JMT, ponieważ wie, że to by go zraniło, i ponieważ rozumie, że to niekorzystnie wpłynęłoby na mój związek z Dwightem. Dina zostanie szufladkowaczem (jak ja) i może odziedziczy moje zamiłowanie do dramatycznych i niepewnych mężczyzn. Dina lubi Dwighta bardziej niż swojego ojca, bo on jest niemiłosierny dla świata, ale bardzo łagodny dla niej, bo nosi broń, bo ja jestem przy Dwighcie wylewna w sposób, w jaki nie jestem przy jej ojcu, a dzięki temu ona się czuje należycie kochana i dzięki temu bezpieczna. I – moja bystra dziewczuszka – rozumie coś, co ja dopiero wykombinowałam: że Dwight i ja jesteśmy prawdziwymi towarzyszami.

Chodzi o kwestię naszej namiętności kochanków i czulej wymiany handlowej naszych przeciwstawnych ról i ideałów. Chodzi o kwestię taką, że oboje chcemy tego samego (poza sobą nawzajem) bardzo głęboko i czysto, i że ja umiem to nazwać, a on nie.

Ciągle przychodzą mi na myśl trójki. Dwight, mój na ogół nieobecny mąż i ja jesteśmy jedną. I to od razu kojarzy mi się z Dwightem i Joan Klein. Nie jestem zazdrosna, ale Dwighta strasznie do niej ciągnie. Co najmniej nie powiedziałam prawdy, jeśli chodzi o związek mój i Joan, ponieważ nie wiedziałam, ile rozmaitych prawdziwych i rzekomych historii o Joan mogę ujawnić człowiekowi, który jednak jest funkcjonariuszem policji i prawniczym zbirem. Dwight mówił mi od samego początku: informatorzy i operatorzy zatajają informacje, żeby zapewnić sobie bezpieczeństwo i bezpieczeństwo osób im bliskich. Ta idea mnie prowadzi w moich kłamstwach i niedopowiedzeniach. Joan swego czasu rzeczywiście była informatorem FBI, ale nie znam nazwiska jej operatora ani nie wiem, czy to on ocenzurował jej akta. Znam Joan blisko od wielu lat. Politycznie nie ufam jej bardziej niż Dwightowi.

Trochę się martwię o Dwighta. Traci na wadze, śpi coraz gorzej i mamrocze przez sen. Ciągle go pytam żartobliwie, czy mogę wysadzić górę Rushmore, a on TROCHEŻ żartobliwie

odpowiada, że tak. Daje mi za dużo swobody. Czy to nie z poczucia winy? Ciągle myślę, że to jakieś niezmiernie straszliwe czyny mu ciążyą, o których nigdy nie mogę się dowiedzieć, bo to by zniszczyło moją miłość do niego albo sprawiłoby, że pokochałabym go jeszcze bardziej. Zastanawiam się, ile lat będzie miała Dina (i Ella w moim brzuchu), kiedy odkryje tę prawdę o kobietach i mężczyznach.

Dwight i ja mamy swój handel wymienny. Zastanawiam się, jaką formę przybierze handel wymienny Dwighta i Joan. Nasz wspólny świat jest po ludzku niewymierny i ideologicznie pogmatwany. Które z nich jest zdolne posłużyć się najwidoczniejszą krzywdą lub dobrem?

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 5.11.1968. Fragment dziennika Marshalla E. Bowena.

Południowe LA, 5 listopada 1968

To moje drugie pobicie przez byłych – i przyszłych, kiedy już operacja dobiegnie końca – braci z Policji Los Angeles. Lepiej mi się powiodło niż za pierwszym razem, jako że scenariusz pana Holly'ego mnie przygotował. Pan Holly nie zdołał być świadkiem tego starcia, a zanim znowu się spotkamy twarzą w twarz, moje rany się wyleczą. Bez względu na to, czy mu powiem o tym zajściu, czy nie, skrytykuję swój spontaniczny występ i poproszę, żeby nie karał wplątanych w to funkcjonariuszy. Bez względu na to, czy mu powiem o tym zajściu, czy nie, w jego wyniku zdobyłem kilku wspaniałych przyjaciół.

Moim niespodziewanym wybawcą został Jomo Kenyatta Clarkson, minister propagandy absurdalnie nazwanego Frontu Wyzwolenia Mau Mau, a także jego dwaj przyjaciele Shondell i Bobby. Jomo jest gadatliwy i ewidentnie psychopatyczny i ciągle bije światowe rekordy użycia słowa „matkojebca” w jednym zdaniu. Na ramionach ma blizny po maczecie, które sam sobie zadał na cześć rzezi brytyjskich osadników dokonanej przez prawdziwego Joma Kenyattę<sup>8</sup>. Jomo z przyjaciółmi zabrał mnie do Morningside Hospital, gdzie miły biały lekarz, który leczył Joma z jego najświeższych ran postrzałowych, opatrzył mi rany i wstrzyknął demerol. Zastrzyk stłumił ból, podniósł mnie na duchu i pozwolił zaprzestać nieustannego powtarzania słów „Scotty Bennett zasyła pozdrowienia”. Potem chciałem wrócić do domu i odpocząć. Jomo nie chciał o tym słyszeć. Orzekł, że powinniśmy sobie uciąć rundkę po pubach.

Odwiedziliśmy kilka klubów pogodzinnych. Poznałem mnóstwo czarnych mężczyzn całych ubranych na czarno, do czego pan Holly mnie zachęcał, uznałem, że im w tym do twarzy, ale też doszedłem do wniosku, że to nie do końca mój styl. Oglądałem lesbijski sex show w Słodkim Szale i byłem powszechnie prezentowany przez Jomo w Tacce Sułtana Sama, Innym Świecie Pana Mitcha i Gniazdku Nata. Szykowałem się i występowałem. Pan Holly byłby ze mnie dumny. Nieustannie opowiadałem o swoim pobiciu przez „policyjne świnię” i ani razu nie wspominałem o własnej świńskiej przeszłości, ponieważ jestem miejscową



gwiazdą i mój przeszły zawód jest w getcie znany. Wciąż powtarzałem śmieszne rzeczy w rodzaju „Wal śmiało” albo „Słusznie, bracie” i ani razu nie wybuchnąłem śmiechem. Reszta nocy, następnego dnia i nocy spowite są mgłą. Jomo zabrał mnie do swojego miejsca pracy, Kompanii Taksówkowej Czarny Kot, gdzie patrzyłem, jak bardzo gruby właściciel zjada ze cztery litry lodów. W pewnym momencie zacząłem zasypiać. Jomo na siłę wdusił mi kilka łyżek kokainy, od czego się rozgadałem. To było jakieś pozacielesne doznanie wywołane alkoholem, narkotykami, długotrwałym wstrząsem i wielotygodniowym ledwie kontrolowanym stresem, podnieceniem oraz zdumieniem, a wszystko przefiltrowane przez to, co pan Holly opisał jako mój „wrodzony instynkt i talent aktorski”. Krytykowałem instytucjonalny rasizm Policji Los Angeles w szczególności i białą rasistowską Amerykę w ogólności i byłem świadom, że przy tym wyłuskuję ze skorupy Joma i jego przyjaciół, i równocześnie wierzyłem w to i nie wierzyłem, a jeszcze inna część mnie osiągnęła kolejny poziom rozwidlenia, kierując przedstawieniem i nabijając się z całości. Nie mogę sobie przypomnieć, co dokładnie powiedziałem, ale wiem, że sięgałem szczytów swoich zdolności umysłowych i mocy artykulacyjnych. Dzisiaj odnoszę wrażenie, że wezbrały we mnie demagogia, analiza społeczna i apostołski zapach. I co dla mnie niesamowite – a czego na pewno nie uzna za niesamowite pan Holly – naprawdę nie wiem, czy choć odrobinę w to wierzę.

Po Kompanii Taksówkowej Czarny Kot nadeszła kolej na „metę” Joma na rogu East i Osiemdziesiątej Dziewiątej. Było tam wielu ludzi, sami czarni. Usłyszałem chyba setkę historii o jebanych świniach z policji, sam wiele opowiedziałem i poznałem dwóch mężczyzn, których bracia, uczestniczący w napadach z bronią w rękę, zostali zabici przez „Megawieprza” Scotty’ego Bennetta. Jomo próbował mi naraić karmelową dziewczynę z farbowanym afro, ale wykręciłem się jakimś pretekstem z „moją suką”. Jomo usadowił mnie w pomieszczeniu udekorowanym plakatami rewolucyjnymi i pełnym stosów durnych polemik, i tam zasnąłem na bardzo długo.

Śniło mi się to, co zwykle, a co rozumiałe, jeśli wziąć pod uwagę moją życiową niepokromioną obsesję. Bezkształtne fale zieleni symbolizujące szmaragdy i dziwnie przestrzenne zdwojenia i strojenia leżących twarzą do ziemi postaci, symbolizujące moją trwałą, podświadomą potrzebę odkrycia, co naprawdę wydarzyło się tamtego dnia na rogu Osiemdziesiątej Czwartej i Budlong. W pewnym momencie wydało mi się, że widzę białą kobietę o czarnych włosach z siwymi pasmami, jak patrzy na mnie, ale to tylko mignięcie.

Kiedy się wtoczyłem do salonu Joma po nie wiadomo jak długim czasie, siedziało tam dwadzieścia parę osób. Urządzili mi owację na stojąco. To była doskonała nagroda za moje przedstawienie.

Przeprowadziłem się do obskurnej mety na obrzeżach Watts.

Zacząłem bywać w Kompanii Taksówkowej Czarny Kot.

Moja rekrutacja do FWMM i/albo SCP jest bliska, ale ja się do niczego nie spieszę.

Chcę, żeby to przedstawienie trwało. Tym samym zataczam krąg i wracam do 24 lutego 1964. Każdy mój pozbawiony praw obywatelskich fragment wie, że to się stanie prawdą.

## 49

(Las Vegas, 5.11.1968)

Chytry Dick wygrał. Ledwie, ale nie fuksem. Bardziej niż o włos ze szczurzej dupy.

Carlos wyprawił balangę. Jego niby-rzymski apartament, gangsterzy i mormoni, wyniki wyborów w telewizji. Call girls opowiadały swoje historyjki A-ja-robiłam-loda-JFK. Farlan Brown powiedział, że z Dicka żaden przywódca. Że bardziej niewolnik z układu sadomaso. Urznie się i wybuchnie jakieś zadupie w Trzecim Świecie. Zjara parę dzieciaków, a potem wszystko zatuszuje. Sprowadzi jakąś chorą laskę z pejczykiem, żeby go zreorganizowała.

Trzeźwi goście machali małymi flagami. Pijani goście mieli słoniowe kapelusze. Z hoteli Hughesa strzelały fajerwerki: Niech żyje Nixon! Czerwono-biało-niebieskie.

Wayne krążył. Farlan Brown pokazał mu liścik z podziękowaniami od Hughesa. Drako wychwalał ciężką pracę Wayne'a i jego pomoc chemiczną. Wspominał czarterowe loty Hughesa do zagranicznych kasyn – zacznijmy niedługo.

Kolejne fajerwerki. Landmark puszczał po markizie neonową twarz Nixona.

– A ten fajfus ciągle nieogolony – powiedział Farlan.

– Kasyna – powiedział Sam G. – Musimy szybko wysłać tam Mesplède'a.

– Nikaragua ma tendencje do szczerwienienia – powiedział Carlos.

– No bo trzeba nam Dominikany – powiedział Sam. – Od wojny w sześćdziesiątym piątym mają stabilny rząd. Nowy *jefe* jest kurdupłowatym pedałem. Marzy tylko o amerykańskiej forsie i ładnych podwyższających butach.

– Sam ma dziewczynę z Dominikany, która go mocno trzyma za fajfusa – powiedział Santo. – Wmówiła mu na przykład, że Dominikanki są białe.

– Celia jest szwarcolubna – powiedział Carlos. – Jeździ do Haiti na czarne fujary.

Sam chwycił się za krocze.

– Włosi są lepiej zbudowani niż smoluchy.

– A skąd to wiesz? – spytał Carlos.

Santo wybuchnął śmiechem.

– Powiedział mu papież Jan Dwudziesty Trzeci. Bywali w burdelu z czarnymi zakonnicami.

Carlos podał Wayne'owi karton pączków.

– Dzięki za wszystko, *paisan*. Za Hughesa, Nixona i w ogóle.

Podróż powrotna trwała wieki. Hotele znixowały z radości i powywieszały jakieś debilne napisy. Ruch na ulicach zamarł. Chytry Dick się zmormonił i zmafiował. Był dobry dla

biznesu. Chłopcy kupili sobie cztery lata tłuste.

W Gwiezdnym pyłe nixonizacja spowodowała paraliż. Legislatorzy opowiadali historie A-ja-znam-Dicka i rzygali na automaty do gry. Wayne wszedł schodami na górę. Już w korytarzu usłyszał, że dzwoni telefon. Telefony o trzeciej nad ranem, ja pierdołę.

Podbiegł do aparatu i chwycił słuchawkę. Usłyszał głos Mary Beth w sypialni.

– Wayne Tedrow, kto mówi?

– Zamiejskowa, proszę pana. Będzie pan rozmawiał z prezydentem elektem Nixonem?

Wayne przełknął ślinę. Na linii coś kliknęło dwukrotnie. Wayne usłyszał wrzawę w tle i głos Człowieka:

– Dziękuję za całą pańską pracę. Może być pan pewien mojej współpracy.

*Klik. Że co? To się działa naprawdę?*

Wayne wszedł do sypialni. Mary Beth oglądała telewizję. Człowiek pokazywał wiktoria. Odpadł guzik od koszuli.

Wyłączyła fonię.

– Kto dzwonił o tej porze?

– Nie uwierzyłabyś.

Uśmiechnęła się i wskazała pudło paczków. Wayne rzucił je na łóżko. Wyleciało pięćdziesiąt tysięcy. Mary Beth krzyknęła i zakryła usta.

– To mój fundusz na poszukiwania twojego syna.

Piękny szmaragd leżał na jej poduszce. Mary Beth dorzuciła go do gotówki.

## 50

(Los Angeles, Las Vegas, Waszyngton DC,  
6.11.1968–24.12.1968)

Nerwy, zapętlenia, sen, pobudka. Zmieszane kalejdoskopy z Memphis.

Tylko-ten-jeden-drink i jedna tabletką nie wystarczały do budzenia i usypiania. Motel Lorraine zmieniał kształt. Przemieniały się nienawistne komiksy. Czarne gargulce nosiły klanowe kaptury.

Karen się martwiła. Widziała, co się z nim dzieje, i nie mogła tego powstrzymać. Jak-Mu-Tam ciągle przejeżdżał i burzył ich wspólny czas. Jej ciąża robiła się zaawansowana, miała więcej wizyt u lekarza, na Boże Narodzenie zabrała rodzinę na wschód. Świrowała, że on świruje na punkcie Joan Klein.

Wayne pracował nad cenzurą akt Joan. Genialny był ten dzieciak – może on zdoła się przedrzeć przez czarny atrament. Pokazał Joan zdjęcie złomotanego pedofila. Joan mu zrobiła coś za coś jak Karen Sifakis. Wydała mu bandę z Cleveland, przesyłającą bomby pocztą, wielozarutowy numer jeden na liście przebojów. On powiedział: „Dziękuję, panno Klein”, ona powiedziała: „Proszę bardzo, panie Holly”.

Donos na sześć sekund przeszedł dreszczem pana Hoovera. Zakres jego uwagi skurczył się do rozmiaru paska komiksowego. Jego monomania urosła do rozmiaru rosyjskiej powieści. Nienawidził czarnych bojówkarzy, tak jak w 1919 nienawidził czerwonych. Biadolił nad czarnymi bojówkami, prawdziwymi i w dużej mierze wyobrażonymi. Miewał napady kaszlu i denerwował się własnymi jasnowidzeniami. Doktor King uśmiewał się w niebie, aż mu się święta czarna dupa trzęsła. Główny czarnuch wskrzeszał się jako wszystkie czarnuchy prawdziwe i wyobrażone, a stara ciota pozostawała bezsilna.

Ale ciągle był niebezpieczny. Ale ciągle miał brudne akta na cały jebany świat – w tym na Dwighta Egzekutora Holly’ego.

Pan Hoover był zadowolony z OPERACJI BARDZO ZŁY BRAT. Dwight przekazał mu, że SCP i FWMM zabiegają o względy Marsha Bowena. Nie powiedział panu Hooverowi, że zapłacił dwóm gliniarzom, żeby skopali Bowenowi jego czarną dupę. Bowen nie powiedział jemu z kolei o biciu i unikał bezpośrednich spotkań, dopóki nie wyleczyły mu się obrażenia. *Próżność* stanowiła klucz do brata Marshalla E. Bowena. *Pogarda* określała brata Bowena jako druga. Był primadonną z żalosnym pragnieniem widowni i współmiernym lekceważeniem. Był aktorem wybitnym i wybitnie złożonym. Uwodził, zdradzał i usidlał z zuchwałością i ogładą niezłomnego szołmena.

Wydawało się, że bicie podkopało jego ego i rozbudziło większą rozwagę. Bicie dało bratu Bowenowi smętny, dumny krok południowej dzielnicy. Teraz potrzebował: łącznika, żeby pracować z bratem Bowenem codziennie. Odwołał Dona Crutchfielda – brat Bowen się podporządkowywał. Bieżące pytanie na przyszłość: czy brat Bowen skrzyżuje swoje ścieżki z towarzyszką Joan Klein?

Mówił o niej „panna Klein”. Myślał o niej „Joan”. Miała jakoś tytułową. Luki w jej aktach i jej niechęć do omawiania własnej przeszłości podsycaly w nim ciekawość. Dużo podróżowała. Na całym świecie ułatwiała lewicowe zadymy. Organizatorka, mediatorka, podejrzana o napad z bronią w ręku. Pamflicistka, informatorka, odstępczy nauczyciel akademicki.

*Powiedz mi to, co chcę wiedzieć.*

*Nie wiem, po co mi to.*

Dał Joan telefon szyfrujący. Dzięki temu mogła do niego dzwonić bez ryzyka wykrycia. Dzwoniła do niego niemal co wieczór. Omawiając swoje prywatne życie, przestrzegali protokołu informator–operator. Nie opisał pełnego wymiaru swojego związku z Karen Sifakis. Joan w ogóle nie wspominała o Karen. Nie rozmawiali o sprawach służbowych. Te tematy zostawili na telefony kontaktowe. Joan powiedziała, że ma dla niego pieniądze. „Jakie pieniądze?” Wyjaśniła, że Leander Jackson zarobił na kokainie agenta Holly’ego. Towarzyszka Klein uważała, że powinna zwrócić swój procent. Powiedział, żeby zatrzymała pieniądze. Podziękowała mu. To było takie, kurwa, olśniewająco obyczajne.

Ścierali się i rozmawiali o polityce. On zmierzał do niewprostego zapytania o jej przeszłe życie i powiązania. Joan odpychała te próby z szorstkością i humorem. Gliniarska część jego osobowości nie mogła sobie dać z nią spokoju. Reszta jego osobowości ciągnęła się pół kroku z tyłu. Joan prowadziła kryjówki. Musiały być ekskluzywne i dobrze zakamuflowane. Nigdy nie trafiła do więzienia. W archiwach policji powinno być więcej papierów na nią. Gorączkowo przeszukał dokumentację na temat jej lewicowych przodków, ale nic nie znalazł.

Karen dzieliła się skromną wiedzą o Joan z dystansującym się żalem. Był pewien, że Joan wie o nim więcej niż on o niej. Na samą myśl o tej nierówności się dusił.

Wdzierał się na teren Czarnogrodu. Wayne wprowadził Milta Chargina, żeby pomógł Grubasowi prowadzić Kompanię Taksówkową Czarny Kot. Białe szachraj i czarny moloch zaskoczyli jako partnerzy biznesowi. Policja wyciszyła sprawę wybuchu w Taxi Big Boy – właściciel był paserem kradzionych wozów, którego chcieli wyeliminować. Śmierć doktora Freda spadła na ostatnią stronę. Jack Leahy posmarował kilku dziennikarzom biurową gotówką i powiedział „Dajmy spokój, dobra?”. Wzmianka w „LA Times” była ostatnią większą. Wayne umówił spotkanie z prezesem Banku Powszechnego. Mogło się zrobić nieciekawie. Chłopcy chcieli odzyskać bank. Federalni chcieli informacji.

W niektóre wieczory jeździł po Czarnogrodzie. To go pobudzało i wyczerpywało, i niekiedy dawało sen przed świtem. Nocne życie getta było zabójczo kuszące. Gliny z obyczajówki rozdawały gumki kurwom od ręcznej roboty. Sklep z płytami grał zuluską muzykę i sprzedawał świnki w mundurach policyjnych. Gliniarze kupowali je hurtowo i przyczepiali sobie do anten. Słuchał radia rewolucyjnego. Nielegalne stacje radiowe nadawały z barów i meczetów. Powiedział Joan, że jego ulubiona piosenka to *Blue Genocide* Muhammada Mao i Łowców Świń. Joan powiedziała: „Wyrabiacie się, towarzyszu Dwight”.

Czasami widywał Scotty’ego Bennetta w radiowozie. Scotty uwielbiał kuchnię czarnego Południa. Kuchnia Siostry Sylwii karmiła go za darmo. Scotty zawsze zostawiał sowity napiwek.

*Musi dojść do wojny między SCP a FWMM. Marsh Bowen musi ją ułatwić. Narkotyki muszą się pojawić w dużych ilościach. Nie może dojść do katastrofy, bo Karen mu nie wybaczy. Musi się zrobić zaciekle. Musi mieć wyniki i kolejne zadania dla towarzyszki Joan. Muszą oboje dotrzeć do jednego miejsca – żeby ona mu powiedziała, gdzie była i co wie.*

# 51

(Los Angeles, 24.12.1968)

Wesołych Świąt.

Dostał standardową kartkę i pięć dolców od matki. Tym razem: stempel z Racine w Wisconsin. Zaniósł ojcu standardową stówę i kanapkę Reuben. Tata wykonał standardowy numer pierdol-się i odlał mu się na buty.

Zapamiętać: pracować nad aktami matki. Wypytać policję w Racine. Zapamiętać: akta są zaktualizowane. Sprawa stanęła w miejscu na amen. Zapamiętać: zabieraj dupę do szalonej Dominikany i omotanego voodoo Haiti.

Wigilia Bożego Narodzenia, parking najmitów, balanga świąteczna Clyde'a Dubera. Żarcie z knajpy i piwo z beczki. Koktajle przy dystrybutorze, darmowy odlot z szybkiej apteki.

Crutch krążył. Był na amfie, świątecznie samotny. Wayne wysłał Żabojada do Panamy. Jebać Panamę. Wszystkie drogi prowadziły do Dominikany. Wszystkie raporty figuranta na nią wskazywały.

Phil Irwin bzykał czarną dupkę w windzie towarowej. Scotty Bennett sprowadził kilka tancerek go-go. Samochód Buzza Dubera zamienił się w Strefę Świątecznego Loda. Fred Otash rozdawał darmowe żetony do swojej vegaskiej spelunki. Bobby Gallard grał w kości z Clyde'em i Chickiem Weissem. W charakterze koca użyli złachanej flagi Wietkongu Scotty'ego.

Crutch dalej krążył i dalej smutniał. Nudził się. Dwight Holly odwołał go od śledzenia Marsha Bowena. Dalej milczał na temat pedalstwa Bowena i zachował to jako asa w rękawie. I tak jednak śledził – mogło go to dokądś zaprowadzić. Clyde w pełnym wymiarze angażował go do spraw rozwodowych. Buzz odpuścił „sprawę”. Nigdy nie miał stosownej wiedzy i stosownych jaj do roboty. Buzz lubił rechotać i ruchać. Donald Linscott Crutchfield zabił dziesięciu komunistów. Arland Buzz Duber wymuszał na kurwach obciążanie.

Scotty się przesnuł. Bobby Gallard go zagadał. Ej, szefie – ten tępak Bowen zrobił się sławny od tego całego gówna, co to się z tobą naszarpał.

Scotty uśmiechnął się i puścił oko.

Scotty wskazał osiemnastkę na swojej muszce.

Scotty wypisał w powietrzu dziewiętnastkę.

Podglądane Boże Narodzenie.



Crutch zajeżdżał pod dom Julie, dom Peggy i dom Kay. Dziewczyny były w jego wieku. Zawsze po kolacji wymieniały się prezentami. Tata co roku wywieszał na dworze te same lampki. Crutch znał zwyczaj.

Widok na okno Julie był lepszy niż w zeszłym roku. Rodzina Julie dała jej głupkowatemu chłopakowi jakieś głupkowane skarpety z reniferem. Wyglądał na „O kurwa”. Julie go trąciła – zachowuj się.

Rodzina obaliła ajerkoniak. Tata miał przyływ stetryczenia. Głupek poszurał nogami i pokazał pierścionek. Mama i tata ryczeli. Wszyscy się ściskali. Kenny, brat Julie, zginął na rogu Pierwszej i Arden. Dwa samochody zmiecione, pod koniec sześćdziesiątego drugiego. Kenny wachał klej i był pokazywaczem. Pokazał dziewczynie Buzza, Jane Hayes. Buzz i Crutch złoili mu dupę w sześćdziesiątym pierwszym mniej więcej.

Julie Show się rozkręcało. Będziecie tacy szczęśliwi, buuuu. Crutch przejechał koło domu Peggy i domu Kay. Zasłony były zaciągnięte. Następny przystanek: róg Drugiej i Plymouth.

Jasne okna. Żadnych żłóbków – Dana Lund miała gust. Wyłączył światła i czekał. Skierował promień latareczki na deskę rozdzielczą i oświetlił świątecznie Joan. Przeskakiwał myślami od twarzy Joan do historii Dany.

Jej mąż, Bob, zginął w Korei. Chrissie miała wtedy cztery lata. Dana wróciła do pielęgniarstwa i pracowała na pół etatu w agencji nieruchomości. Urodziła się w roku 1915. W marcu skończy pięćdziesiąt cztery lata. Od czasu do czasu spotykała się z bogatymi sztywniakami. W połowie sześćdziesiątego czwartego zaczęła dotykać swoich siwych włosów. Crutch je wtedy zauważył.

Chrissie przeszła przez salon. Dana ruszyła za nią. Crutch przełknął łzy. Dana miała na sobie sweter, który jej kupił tamtego dnia, kiedy myślał, że umrze.

Opcje: luteriański kościół Świętej Trójcy albo nowa meta Marsha Bowena. Pasterki czasami go odsmutniały. Nic z tego: pastor znał jego reputację podglądacza i nienawidził go. Ciągłe był podjarany. A więc Czarnogród wygrał walkowerem.

Marsh Bowen uwsteczniał się rasowo. Jego chata na Denker była po szwarcowemu ekskluzywna. Jego chata na rogu Wschodniej i Osiemdziesiątej Szóstej była szwarcową norą. Pustaki, kraty w oknach, szwarcodeliczna farba.

Początek pracy: 0.51.

Crutch zaparkował i czekał. Radio go rozpraszało. Kolędy, brat Bobby X na żywo w Słodkim Szale. Brat Bobby jechał po Żydach i życzył czarnym ludziom bezświniowego nowego roku. Marsh Bowen wyszedł o 1.14. Jakies nowości: fryzura i dużo, dużo czerni.

Bowen minął jego wóz i powlókł się do Imperial Highway. Jasne światła: całodobowe stacje benzynowe i kawiarnie. Wypuść go trochę, jest za blisko, zobaczy cię.

Crutch odczekał dwie minuty i uderzył na południe. Dotarł do rogu i się rozejrzał. Żadnych pieszych. Powoli przejechał obok Pyszotek i Kawiarni Karoliny Pines, wielkie okna w jednym

i drugim. Bowen był w Kawiarni, samotnie pił kawę.

W ogóle było tam pustawo. Crutch zaparkował i podszedł powoli. Homoalert: Bowen łowił okiem wszystkich samotnych mężczyzn.

Wejdz, podejdz, w zasięg słuchu.

Crutch klapnął dwa stoliki obok. Miał widok na plecy Bowena. Kelnerka przyniosła kawę. Ach, świetnie – zatankujmy.

Bowen wiercił się i zerkał na zegarek. Homoalert: tusty Meks zerkał na niego z uśmiechem. Bowen zadygotał i opuścił wzrok.

Crutch zerknął na drzwi. Otworzyły się. Zamrugął oczami. Niemożliwe. Przetarł oczy – tak, nie, tak.

Joan Klein weszła i siadła obok Bowena. Zdjęła płaszcz. Zdjęła beret i potrząsnęła włosami.

Serwetką wytarła okulary. Bez nich wyglądała starzej. Miała czarną włóczkową sukienkę. Blizna po nożu była zakryta. Crutchowi robiło się gorąco/zimno/gorąco/zimno/gorąco.

Joan i Bowen rozmawiali. Szeptem. Crutch nastawiał uszu i nic nie słyszał. Bowen popijał kawę. Joan popijała kawę i paliła. Biała para spojrzała na nich wzrokiem pt. pieprzone mieszańce. Bowen trzy razy się wzdrygnął. Crutch dobiegły jakieś fale dźwiękowe. Doszedł go chrapliwy głos Joan. Przepalił go na wskroś.

Głowę miał opuszczoną. Ich oczy ani razu się nie spotkały. Joan mówi więcej, Joan szuka partnera, Bowen jest homonieczętny. Joan pocałowała tamtej nocy Gretchen/Celię w wynajętym domu.

Crutch wychylił się w ich stronę. W uszach mu tętniło. Nie mógł czytać z ruchu warg Joan. Bowen zakasłał i powiedział: „Miałem dziwny sen z tobą”. Joan mówiła trochę głośniej. Powiedziała: „Kryjówka”.

I tyle, nic więcej, znowu szept i...

Crutch się rozłączył, rozpiął i podłączył od nowa...

Kryjówka, wynajęty dom, fałszywa stewardessa Gretchen/Celia. Fałszywy adres: „Kryjówka jakiegoś komucha”.

Crutch położył dolara i wyszedł powoli, bardzo powoli.

*Kryjówka, lokale do wynajęcia, domy śmierci. Zbieżność, bliskość...*

Wszedł dzięki swoim narzędziom. Dom Grozy: wejście trzecie.

Żadnych hipisów ani pijaczków. Nic się nie zmieniło od ostatniego razu. Więcej wilgoci, nowy zimowy fetor, posunięty rozkład. Podłoga skrzypiała głośniej, zimne powietrze bardziej kłuło.

Jego ostatnie wejście. Musi zostawić widoczne zniszczenia. Nie mógł wracać. Jego obecność tutaj była ryzykowna. Musiał spróbować.

Wytrychy, łom, latarka. Prowizoryczny stetoskop włamywacza, trzy godziny do świtu.

Obszedł dom z góry do dołu. Otworzył każdą szufladę i przejrzał każdą półkę. Rozciął każdy jeden obity mebel. Zajrzał pod każdy obraz i podniósł każdy dywan.

Dom był zimny. Crutch przesiąkł zimnym potem. Rzucił narzędzia, wytarł ręce do sucha i szukał dalej.

Wspiął się po drabinie i sprawdził każdą ścianę i belkę sufitową. Na strychu zatłukł łopatą szczura i przecesał każdy centymetr. Na dole podważył deski podłogowe i zajrzał pod pajęczyny, gniazda robaków i brud.

Padało. Świtało powoli. Dzięki temu miał więcej czasu. Był oblepiony brudem. Pot zamieniał brud w gęste błoto.

Obstukał każdą deskę boazerii. Przez stetoskop nasłuchiwał głuchych odgłosów.

Bożonarodzeniowy poranek, usłyszał kościelne dzwony, prawie się rozplakał.

Na dworze rozwiały się chmury. Przesączyło się trochę dziennego światła. U szczytu schodów dostrzegł luźny stopień.

Podszedł. Górna część stopnia. Gwoździe luźne. Dwie deseczki się chwiały.

Pokazała się dwucentymetrowa szpara. Podważył deskę i zobaczył schowek. Długi na pół metra i wysoki na dziesięć centymetrów. A w środku:

Przerdzewiała krótki rewolwer .38. Przerdzewiała amunicja. Cztery pokryte pleśnią broszury procastrowskie. Dziewięć ulotek popierających nielegalnych imigrantów z Meksyku. Plakat „Precz z Wietnamu”. Mały notes – zszyte kartki, poplamione atramentem i ledwie przezierający tekst. Jedna widoczna data: 6.12.1962.

Crutch przesuwiał latareczką po stronach i mrużył oczy. Nie mógł rozpoznać słów. Widział liczby i olśniło go: kursy przeliczeniowe walut obcych. Pojął ogólny format: zapis jakiejś narady komuchów.

Strona po stronie tekst stawał się coraz mniej wyraźny. U dołu ostatniej strony widniały trzy wyraźne podpisy.

Terry Bergeron, Thomas F. Narduno, Joan R. Klein.

Ona.

Crutch dotknął jej nazwiska. Pocił się i ociekał brudem. Kartka rozpadła mu się w rękę.

Coś innego go dźgnęło. Zagadka: „Thomas F. Narduno”.

Jakiś czas potrwał bezruch. Rozwiązanie nadeszło nagle.

Gazety z St. Louis. Fragment o zabójstwach z Grapevine. Dziwna lewicowa ofiara: Thomas F. Narduno.

Opróżnił schowek. Wsadził wszystko do swojej skrzynki narzędziowej. Znowu usłyszał dzwony kościelne. Wyszedł na zewnątrz i stał, dysząc, na deszczu.

(Los Angeles, 26.12.1968)

– W obrębie ultimatum ma pan wybór. Przydzielamy panu znaczną autonomię.

Dwight przewrócił oczami.

– Jest pan oddany miejscowej czarnej społeczności, jest pan reketierem Partii Demokratycznej, to panu przyznaję. Poza tym? Pierze pan pieniądze mafii, ma długi u Chłopców, a my pana prosimy tylko mniej więcej o to samo.

Ściany biura pokrywała dębowa boazeria. Krzesła były obite zieloną skórą. Pokojem władał olejny portret MLK. Wayne starał się na niego nie patrzeć.

– Bracia w okolicy – powiedział Dwight – mówią o panu Lionel Prac. Jest pan jak ten koleś na pudełku z proszkiem do szorowania. Mówią o panu „Mister Clean”.

Lionel Thornton uśmiechnął się drwiąco. Miał pięćdziesiąt trzy lata. Jego biurko miało dwa metry na metr. Wayne i Dwight mieli małe krzesła. On miał tron. Wayne i Dwight byli wielkimi białasami. On był małym czarnuchem. Nosił najelegantszy na świecie garnitur w białe prążki.

– Będzie pan prał pieniądze budowlane powiązane z zagranicą – mówił Wayne – a także wpływy z odciągania w kasynach. Zostaje pan na stanowisku prezesa banku. Pomaga pan panu Hooverowi i agentowi Holly’emu, przekazując na żądanie informacje, co pozwala panu osobiście zatrzymać trzy procent od każdej wypranej przez pana dziesięciocentówki.

Thornton się uśmiechnął. Dwight zanucił dzingiel z reklamy Mr Cleana. Wayne oderwał oczy od doktora Kinga.

Dwight wyciągnął papierosy. Thornton pokręcił głową. Dwight zaczął zapalać. Wayne go powstrzymał.

– Podnoszę do trzech i pół procent plus pięcioprocentowa podwyżka dla pańskich pracowników i piętnastoprocentowa dla pana. W walizce mam dwadzieścia tysięcy. To pańska premia za współpracę.

Thornton zapalił papierosa i wydmuchnął dym w stronę Dwighta. Dwight wstał. Wayne trącił go w nogę. Dwight siadł z powrotem i splótł ręce.

Doktor King w lśniących olejach – przystojniejszy niż w rzeczywistości.

– Chcę też walizkę.

Wayne się skłonił. Dwight się uśmiechnął. Na zewnątrz coś strzeliło. Dwight podskoczył i dotknął swojej broni. Ten cholerny portret. Dębowa boazeria w czarnych slumsach.

– Pan Hoover ma operację w toku – powiedział Thornton. – Świadczy o tym obecność pana Holly’ego. Domyślam się, że zawracacie głowę jakimś omamionym czarnym bojówkom. Dobrze wam życzę i nie wtrącam się, ale nie będę wam donosił ani proponował wam nadzoru nad okolicą, ani nie będę prowadził osobnych ksiąg dla was.

Wayne kiwnął głową. Pierś Dwighta łomotała – Wayne widział, jak rusza mu się koszula. Thornton wstał i zachwiał się na podwyższanych butach.

– Jeszcze jedna przysługa. Ze strony pana Holly’ego, jak sądzę. Zauważyłem, że nosi pan pałkę u pasa.

Zlewające się wystrzały – tym razem bliżej.

– Były mąż mojej żony ją nęka. Chciałbym, żeby tego zaprzestał.

Zaszumił interkom. Wayne i Dwight wstali. Thornton wskazał portret.

– Zabili go tacy bezwzględni biali matkojebcy jak wy, ale jego głos i tak nigdy nie zamilknie.

– Mam nadzieję, proszę pana – powiedział Wayne.

Przerobił laboratorium. Wywalił składniki do heroiny i dodał kolaż. Z czterech ścian otaczały go zdjęcia Reginalda Hazzarda.

Ścianki działowe oddzielały część na akta. Przyniósł kartony akt i ryzy papieru. Pracował w wywiadzie Policji Las Vegas. Wiedział, jak tworzyć archiwum i rejestrować dane. Mary Beth kupiła mu na Gwiazdkę kaszmirowy sweter. Powiedział jej, że najbardziej to by chciał dalekopolis.

– Masz te wszystkie zdjęcia mojego syna, a żadnego mojego – powiedziała Mary Beth.

Wyjaśnił jej, że chce znaleźć jej syna, ponieważ ją już znalazł. Ona odparła, żeby kontynuował. On, że za każdym razem, kiedy ją widzi, ona wygląda inaczej, więc zdjęcia zepsułyby niespodziankę. Ona mu, żeby kontynuował. On, że nigdy się nie spotkali poza jego apartamentem. Lubił sobie wyobrażać, jak ona wygląda na zewnątrz.

Przestrzeń archiwum miała potencjał. Laboratorium było małe i dobrze wyposażone. Miał spektroskop, rentgenoskop i chemikalia potrzebne do pracy nad kartkami Dwighta.

Wayne odłączył telefon i siadł do pracy. Wcześniej rozmawiał z Carlosem i Farlanem Brownem. Jego wieści: Lionel Thornton ustawiony. Wieści Farlana: prez-elekt wysyłał listy zezwalające do ekipy od kasyn. W tym także zaproszenia na pojebstwo inauguracyjne. Zabawne, ale: Mesplède chciał w ekipie Dupka Crutchfielda. Wayne ustąpił. Dupek pracował za grosze i mógł się czasami przydać. Trzeba smarkacza krótko trzymać.

Chemiczna robota dla Dwighta była wymagająca i miała małe szanse powodzenia. Traktował kartki kwasem węglowym i substancjami żrącymi. Pracował nad tym w niepełnym wymiarze od dwóch miesięcy. Zniszczył dwie trzecie akt Joan Rosen Klein, a nie udało mu się usunąć ani jednego czarnego paska. Pomysł przyszedł mu do głowy dzisiaj rano. Rzucić światło ze spektroskopu i rentgenoskopu na znaki maszynowe. Zbombardować linie atramentu

kontrastującymi promieniami. Delikatnie przemyć kwasem hydrohydroksylowym o wysokim pH widoczne litery i zobaczyć, co powstaje, a co się niszczy.

Przygotował listwy z oświetleniem, dokumenty, kwas i tampony. Założył przyciemniane gogle powiększające. Położył ocenzurowaną kartkę na bibule. Oświetlił. Zmrużył oczy i wydało mu się, że widzi wielkie J, R, i K, niemal mikroskopijnie podkreślenie. Zdał sobie sprawę, że ekstrapoluje. Znał język akt FBI. Wydawało mu się, że widzi JOAN ROSEN KLEIN i tylko tyle.

ALE:

Mógł poświęcić ten pasek atramentu. Mógł szukać innych pogrubionych liter, logicznie powiązanych. W ten sposób mógł udoskonalić swoją technikę.

Więcej światła. Pod innym kątem. Więcej kwasu hydrohydroksylowego, mniej/więcej/mniej/więcej.

Przepalił domniemane JOAN ROSEN KL od razu na wylot.

Kwas się zebrał i spęcherzykował.

Linia atramentu zamazała się i zbladła.

Na kartce pokazały się blade litery EIN.

Wayne zadrzał. Wyciągnął stronę testową i położył stronę oznaczoną „Znane kontakty”. Doliczył się czternastu czarnych pasków i opuścił światła. Przemył kwasem hydrohydroksylowym. Wypalił kwasem łączenia, zbladł linie atramentu, zamazał linie atramentu i uzyskał nieczytelne litery. Przyjrzał się. Poprawił światła i przemył kartkę. Znowu poprawił i uzyskał kleksy. Poprawił i przemył, i zobaczył numer „7412”. Znowu kwas, znowu mazy, U, L, T. Przyjrzał się i jeszcze raz przemył. Zobaczył wyblakłe, wypisane na maszynie Thomas Frank Narduno.

Rękawice wypełnione ołowianymi kulkami łamały kości, a oszczędzały ręce. Maksymalizowały ból, a minimalizowały szkody własne.

Dwight łoił Murzyna wagi koguciej, Durwarda Johnsona. Lionel Thornton patrzył. Johnson wyglądał jak Billy Ecksteine, tyle że nie miał wąsów. Lanie odbywało się na tyłach domu Johnsona. Baldwin Hill było ekskluzywnie kolorowe. Zaulek brukowany. Na brzegach płotów wisały lampki choinkowe.

Dwight wymierzał ciosy, uderzał lekko, a i tak łamał kości. Thornton zastrzegł robotę twarzową. Johnson chwycił się ogrodzenia i ustał na nogach. Thornton zajął pozycję poza zasięgiem rozprysku.

Lewe proste, prawe proste. Policzki i szczęka – nie spierdol mu oczu ani mózgu.

Nos złamał się głośno. Zęby wyciekały po przegryzionym języku. Rękawica Dwighta chyba pękła, ołowiane kulki wypadły. Johnsonowi zleciał z głowy tupecik.

Ustał na nogach. Wypluł pęknięty mostek, a ten uderzył w buty Thorntona. Thornton uśmiechnął się drwiąco. Johnson powiedział: „Ruchałem twoją żonę, smoluchu”.

Dwight wyprowadził prawy sierpowy. Johnson chwycił się ogrodzenia oburącz. Dwight potknął się i poleciał do przodu. Cios wylądował z pełną siłą. Johnson i siatka polecieeli w dół. Dwight razem z nimi.

Świat odwrócił się do góry nogami. Światelka migotały nad nim. Wstał i pomógł wstać Johnsonowi. Thornton zniknął. Johnson zatoczył się na podwórko sąsiada i padł na leżak.

Dwight ściągnął rękawice i wrócił do swojego wozu. Pod wycieraczką zobaczył wizytówkę.

Sierżant Robert S. Bennett/Wydział Przepęstw Rabunkowych/Policja Los Angeles. Pod spodem: „Vince i Paul, za godzinę”.

Tamten pedofil to był śmieć. Koleś dymał dzieci i Joan chciała, żeby mu się stała krzywda. Pokazał Joan zdjęcie z polaroida. Perw był stłuczony na kwaśne jabłko. Wtedy dotknęła jego ramienia. On pochylił się do niej i ich ręce się musnęły. Tak zostali, żeby coś sobie powiedzieć.

Durward Johnson to była brudna robota. Thornton był niezgrabnym karłem. To było niefajne. Ręce go bolały. Znowu chciał się zaszyć w mysiej dziurze i zaprawić się w czarnoziem.

Dwight napiął ręce. Miał dwa nadwerężone palce. Krwawiły mu skórki. Kulki ołowiu wbiły mu się pod paznokcie.

Zadzwoił do Joan przed Johnsonem. Omówili inaugurację Nixona. Powiedziała, że jakieś czerwone łobuzy lecą do DC. Mieli broń powiązaną z obrobieniem banku na Florydzie. W wigilię inauguracji chcieli w maskach Nixona obrobić trzy banki. Joan dostarczyła ich nazwiska i adresy.

Zadzwoił do Biura w Miami. Ekipa bankowa wysłedziła tych zjebów na lotnisku. Udawali się do Austin w Teksasie. Zamierzali obrobić trzy banki przebrani za LBJ.

Wtedy zadzwonił do Karen. Zaproponował jej wysadzenie pomnika, żeby uczcić zapuszkowanie. Karen właśnie jechała do szpitala. Eleanora chciała wyjść niezwłocznie. Dwight usłyszał w tle głos Jak-Mu-Tama.

U Vince'a i Paula było spokojnie. Kelnerki nosiły stroje pańienek Świętego Mikołaja. Dwight wycisnął z rąk trzy ołowiane kulki i zakrwawił obrus. Zamówił tylko-tego-jednego-drinka-i-ani-jednego-więcej.

Kelnerka przyniosła mu podwójną szkocką. Pierwszy łyk go ogrzał, drugi uruchomił alarm. Poczul, że wraca mu czucie w nogach. Scotty Bennett wsunął się do jego boksu.

– Powinien mi pan powiedzieć.

Dwight zakołysał drinkiem.

– A kto dokładnie panu powiedział?

– Te gliny, którym zapłacił pan za złożenie Bowena.

– W takim razie z góry przeproszę. To operacja pana Hoovera. On chciał, żeby pana nie wtajemniczać.

Scotty napił się swojego burbona.

– Spreparował pan Bowena. Pantery i ZN są zbyt dobrze zinfiltrowani, więc wysłał pan Bowena, żeby rozpracował SCP i FWMM.

– Nieoficjalnie potwierdzam – powiedział Dwight. – Oficjalnie nasza największa szansa na powodzenie wiąże się z konfliktem pańskim i Bowena.

Scotty zgryzł kostkę lodu.

– Uporządkujmy to wszystko. Chcę zobaczyć wszystkie raporty Bowena i całą operacyjną dokumentację Biura.

– Nie – odparł Dwight.

Scotty dopił drinka. Jego przyjaciółka barmanka przyniosła mu dokładkę.

– SCP i FWMM to błazny. Nie zasługują na rozpracowanie. Nie znaleźliby własnej dupy na sraczu.

Dwight pokręcił głową.

– Nie zgadzam się.

– Dlaczego?



– Mają przeszłość przestępczą i zrozumiały urazę. Spora część tego społeczeństwa aprobuje ich akcje. To dla takich organizacji decydujące. Najbardziej zaciekły psychopata obejmuje przywództwo i tworzy program, a SCP i FWMM mają paru takich.

Scotty się uśmiechnął.

– Gada pan jak prawnik.

– Jestem prawnikiem.

– I zna się pan na psychopatach, bo od dwudziestu lat jest pan wykidajką pana Hoovera.

Dwight podniósł swojego drinka – trafiony!

Tej urazy nie kupuję.

– Daj pan spokój, sierzancie. Obaj jesteśmy białymi gliniarzami. Nie tworzymy świata, ale obaj wiemy, jak on działa, i obaj wiemy, że tych ludzi źle potraktowano, a paru nagranych białych dzieciaków uważa, że są fajni.

Scotty strzelił kłkciami.

– Jeśli Bowen coś przeskrobie, na własną rękę albo w związku z akcją, to nie zawaham się go za to zdjąć. Mam na myśli wszelkiego rodzaju przestępstwa. Mam na myśli, że zrobię to sam, na własną rękę, nie bojąc się pana, pana Hoovera, naczelnika Reddina ani nikogo innego zaangażowanego w tę operację.

Dwight strzelił kłkciami. Odsłoniły mu się mankiety koszuli. Były przesiąknięte krwią.

– Dochowa pan tajemnicy na temat tej operacji?

– Tak.

– Powstrzyma się pan od prowokacji wobec Marsha Bowena i czynnego ścigania go?

– Tak.

– Powiadomi mnie pan o wszelkich wskazówkach, które do pana dotrą, na temat SCP i FWMM?

– Nie.

– Będzie pan trzymał ręce z dala od SCP i FWMM w trakcie tej operacji?

– Nie.

– A jeśli za pańskimi plecami pójdę pogadać z naczelnikiem Reddinem?

Scotty się uśmiechnął.

– Nie robi pan tego. Obaj wiemy, do czego by nas to doprowadziło.

Dwight się uśmiechnął.

– Cofnijmy się zatem i obaj zrobmy po jednym ustępstwie.

– Ja pierwszy – powiedział Scotty. – Powiadomi mnie pan o każdym zbliżającym się napadzie z bronią w rękę przygotowywanym przez członków SCP albo FWMM?

– Tak. Moje parametry operacyjne są w tym względzie bardzo restrykcyjne. Bowen powiadomi mnie o szykowanym napadzie, a ja powiadomię pana.

– A jeśli Bowen nie będzie miał takiej informacji, a ja zdobędę ją samodzielnie?

Dwight podniósł szklanę.

– To proszę umacniać swoją reputację i zabijać kutasów z moim błogosławieństwem.

Scotty podniósł szklanę.

– Jakże ma być moje ustępstwo?

– Niech pan gada o swojej nienawiści z gliniarzami, informatorami, każdym, kto pana wysłucha. Im bardziej pan go nienawidzi, tym silniejszą będzie miał więź z braćmi.

Scotty wzruszył ramionami.

– To niezupełnie ustępstwo. I tak to robię.

Włączyła się szafa grająca. Bardzo głośno. Dwight wyciągnął kabel. Muzyka zabalgotała i zamarła. Dwight powiódł dokoła schizolskim wzrokiem.

Scotty się przeciągnął. Ukazał się jego szajs: pistolet przy pasie, pistolet pod pachą, nóż, kastet.

– Jest Boże Narodzenie. Może pan poprosić Świętego Mikołaja o jeszcze jedno ustępstwo.

– Niech się pan postara nie zabić Marsha Bowena. To sprzeczne z pańską naturą, ale tak trzeba.

– Umowa stoi – powiedział Scotty.

Podeszła jego przyjaciółka barmanka. Scotty odesłał ją gestem.

– Wie pan, mam na południu paru informatorów.

– O tak, wiem.

– Dzisiaj dowiedziałem się czegoś fajnego.

– Zamieniam się w słuch.

– Marsh Bowen to pedał.

Szpital przysłał telegram do dziupli. Eleanora Sifakis, trzy trzysta, zdrowa. „Matka wkrótce zadzwoni”.

Dwight nalał sobie tylko-tego-jednego-drinka i obłożył dłonie lodem. W głowie mu się kręciło – Karen/Joan, Karen/Joan, Karen/Joan.

Napił się. Natarł palce. Kręciło mu się w głowie od Eleanory, która przyszła na świat, i od Marsha Bowena, który jest ciotą. Telefon zadzwonił o 23.14.

Podniósł słuchawkę.

– Przepaliłem większość kartek – powiedział Wayne – ale mam tylko jedno nazwisko z ZK. Thomas Frank Narduno. Mnie się wydaje znajome, a nie mogę skojarzyć. A tobie coś się kojarzy?

Bardzo:

Lewicowa ofiara Grapevine. Podejrzany o napad w Nowym Jorku i Ohio. Na ciele znaleziono urządzenia podsłuchowe.

Wayne powiedział coś o rentgenoskopie i kwasie hydrohydroksylowym. Dwight odłożył słuchawkę i nalał sobie jeszcze-tylko-jednego.

Palil i wywołał dreszcze. Dwight wybrał numer szyfrowanego telefonu.

Na było odgłosu wybierania. Tylko cichy syk i:

– Słucham, panie Holly.

– Mogę dzisiaj z panią spać?

– Tak – powiedziała Joan.

**(Wody terytorialne Kuby, 27.12.1968)**

Płetwy i spienione fale. Mesplède rzucił przynętę. Rekiny wahały się, po czym wyskakiwały po nią wysoko. Lśniły w jasnym świetle księżyca. Ślizgacz wypożyczony na Boca Chico Key. Cel: Varadero Beach, Kuba.

Mesplède zadzwonił do niego do LA. Wayne zaakceptował go do podróży do Nikaragui i Dominikany w przyszłym miesiącu. Żabojad złożył negatywny raport o Panamie. Panama odpadła. Nikaragua zostanie odrzucona. Dominikana dostanie aprobatę. Wszystkie tropy jego sprawy tam prowadziły.

Crutch zjadł aviomarin. Zzieleniał od choroby morskiej. Chciał wzmocnić: gorzała, prochy, hasz. Żabojad powiedział „Niet”.

– To będzie intymna akcja. Chcę zobaczyć, jak to robisz.

Mieli za sobą czterdzieści mil. Mieli sadzę lampową i postrzępione kombinezony. Mieli noże bojowe i owinięte w folię magnum z tłumikiem.

Rekinia eskorta wyskakiwała i migiała. Mesplède gadał do nich jak do dzieciaczków. Na przynętę składały się same kocie flaki. Mesplède miał kumpla z pitbullem lubującym się w mordowaniu kotów. Nazywał się Batista. Batista był weteranem Korpusu K-9 z Zatoki Świń. Szalał z pragnienia, by zabijać koty w wolnej Kubie.

Ścigacz nacierał na fale i rozgniatał je. Crutch walczył z przebłyskami pamięci: Dom Grozy, zapis spotkania, Joan Klein i Thomas Frank Narduno.

Rekin musnął łódkę. Mesplède go popieścił. Przynęta śmierdziała dziesięć razy gorzej niż kocie gówno. Dotarli do punktu dziesięć mil. Przynęta się skończyła. Mesplède wyłączył silnik, żeby niosły ich fale.

Fale pchały ich w kierunku brzegu. Rzucalo, rąbało i wody po kolana w łódce. Crutch połknął więcej aviomarinu i oddychał głęboko.

Zobaczyli brzeg. Rzucili kotwicę przy jakiejś mieliznie pięćdziesiąt metrów od niego. Mieli noktowizory. Zobaczyli pięciu milicjantów grających w karty przy stole piknikowym.

Wywiad uchodźczy. Koleś w Radzie Wolności Kubańskiej zapodał info Żabojadowi. Karcjarze: wszyscy torturują więźniów w więzieniu La Cabana. Wykastrowali prawicowych rebeliantów. W każdy wtorkowy wieczór wychodzili ze swoich koszar i grali w karty.

Rzucili kotwicę. Krzyki mew zagłuszyły szuranie o skały. Crutch założył gogle. Mesplède miał na twarzy maskę. Broń zapakowali w potrójną warstwę folii.

Wskoczyli do wody. Była potwornie zimna. Płynęli po skosie. Przybrzeżne drzewa zasłoniły księżyc. Karciarze palili. Koniuszki papierosów migotały – małe urządzenia naprowadzające.

Dotarli do plaży i przetoczyli się. Pokryli się ciemnym i jasnym piaskiem. Pozbyli się nakryć głowy. Odetchnęli. Crutch zjadł piasku i opanował skurcze żołądka.

Trzy metry do stolika. Dwa kształty toczące się po piasku. Pięć celi, dwanaście kul, bliski zasięg.

Mesplède dał sygnał. Ułożyli się na brzuchu, wymierzili oburącz i wystrzelili. Błysnęły wyloty luf, głucho puknęły tłumiki, usłyszeli uderzenie ciał. Podskoczyły kawałki stolika. Zobaczyli, jak spadają papierosy. Usłyszeli, jak rozpadają się czaszki, i dwaj mężczyźni pochyłili się do przodu.

Trzej mężczyźni wstali – wielkie cele. Mężczyźni zatrajkotali i odpięli kabury.

Mesplède wystrzelił. Crutch wystrzelił. Trafili w nogi, powalili ich i strzelili w brzuch. Crutch schował głowę i wciągnął piasek do ust.

Echo tłumika i odgłos fal. Krzyki mew i zero odpowiedzi ogniem.

Crutch podniósł głowę. Mesplède stał przy stoliku. Włączył latarkę. Crutch podszedł.

Pięciu martwych mężczyzn. Trzy koniuszki papierosów wciąż się żarzące.

– Oskalpuj ich – powiedział Żabojad.

Crutch potrząsnął głową. Froggy chwycił go za włosy i rzucił na stół. Crutch uderzył kolanami i padł na piasek. Głową niemal dotknął mężczyzny bez twarzy. Linia włosów mężczyzny była opalona od prochu. Zwisiał płat skóry.

Żabojad patrzył. Crutch wyciągnął nóż. Odmówił jakiś infantylny paciorek i wbił ostrze. Nie trafił w płat i wyszarpnął gałkę oczną.

Mary Beth włożyła jego podchoinkowy sweter do łóżka. Był o wiele za duży. Schowała brodę w golfie i nabijała się z niego. Naciągnęła mankiety na dłonie.

– Nie ma gwarancji, że znajdziesz mojego syna, ale i tak jesteś zdecydowany trwonić ten cały czas i pieniądze.

Zasłony w sypialni były rozsunięte. Nixonizmy zniknęły. Hotele handlowały teraz bożonarodzeniową uciechą. Zielone żarówki przypominały im o szmaragdach. Zupełnie jakby ożył sen.

– Nie ma gwarancji, że go znajdę, ale instynkt ciągle podpowiada mi LA. Buduję tam sieć informatorów, zawsze więc jest szansa, że coś się uda.

– Jak wcześniej to robiłeś?

Wayne odsunął się od niej. Czuł jej szampon na poduszce. Wciągnął ten zapach.

– Znalazłeś Wendella Durfee, prawda?

Wayne spojrzał na nią.

– Tak, znalazłem.

– I zabiłeś go?

– Tak.

Przyciągnęła poduszkę i zetknęli się twarzami. Często tak robiła. Mówiła, że oboje mają te zielone plamki.

– Kochanie, ja już to rozgryzłam.

Biuro wynajmowało apartament w Statlerze. Dziecko Karen właśnie się urodziło cztery przecznice dalej. Joan miała czerwoną sukienkę. Dwight miał swój najfederalniejszy szary garnitur.

Na Wilshire migotały bożonarodzeniowe światełka. Poprzedni lokator zostawił butelkę Ten High. Joan zobaczyła fatalne ręce Dwighta, zaaplikowała im przemycie burbonem. Szczypało. Dwight powstrzymał łzy. Pomyślał o Thomasie F. Narduno i zastanawiał się, co Joan wie o wszystkim. Pomyślał o Karen i Eleanorze.

– Oszczędzaj ręce – powiedziała Joan. – Masz pięćdziesiąt dwa lata.

– Skąd wiesz?

– Nie powiem ci.

– Co ty chcesz z tego wszystkiego?

– Powiedz mi, co znaczy „to wszystko”.

– Praca. Opera...

Joan dotknęła jego ust.

– Jestem tu, bo tak chcę. Gdybyś ty mnie nie spytał, ja bym spytała ciebie.

Ręce mu płonęły. Wypłynęło kilka łez. Joan wspięła się na palce i całowała mu je z policzków. Światła z zewnątrz rzucały na nich dziwne cienie. Padli na łóżko. Joan trzymała jego głowę i całowała go. Jej oddech smakował papierosami i wytrawnym winem. Starła mu łzy swoim kciukiem.

Trzymał ją w ramionach. Ręce się do niczego nie nadawały. Chciał ją chwycić za włosy. Wiedział, że ręce go od tego zabolą. Nie mógł znieść tego przeciekania oczu. Gdyby dotknął jej włosów, zraniłby siebie i chciałby to zostawić już na zawsze.

Odchyliła jego głowę. Całowała go. Pochyliła się nad nim, przytrzymała mu nadgarstki, jej włosy spadły na niego. Trącał nosem ciemne pasma i zagryzł siwe, i kolanami siłą rozsunał jej nogi. Przełożyła mu ręce nad głowę i tam przyszpiliła nadgarstki. Światła igrały na jej włoskach pod pachami i bliźnie po nożu. Zobaczyła, że on tego pragnie. Puściła jego nadgarstki i pozwoliła mu położyć się przy niej. Podniosła ramiona i dała mu się tam całować. Usłyszał swój ciężki oddech i zobaczył, że oboje są nadzy, i wiedział, że stracił poczucie czasu. Coś mówiła. Nie były to w zasadzie słowa. Może powiedziała jego imię. Trzymała go delikatnie. Delikatnie wzięła jego ręce i pozwoliła, żeby muskały tu, tu i tu. Całował wszystkie miejsca, których dotykały jego ręce. Trzymała tam cały czas jego ręce i głowę. Rozsunęła dla

niego nogi, żeby dotykał i smakował i został tam. Ona dyszała i on dyszał i z jego oczu wypaliły się wszystkie łzy, a ręce ani trochę nie bolały.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 12.01.1969. Fragment dziennika Marshalla E. Bowena.

12 stycznia 1969

Zabiegają o mnie. Tempo jest wolniejsze, niż pan Holly by chciał. Znalazł mnie zarówno SCP, jak i FWMM, wraz z Panterami i ZN. Eldridge Cleaver zaprosił mnie na lunch. Przyprowadził szemranego agenta literackiego, który chciał, żebym napisał wspomnienia pod tytułem *Brat Świnia. Były policjant opowiada, jak to jest wewnątrz ludobójczej Policji Los Angeles*. Odmówiłem. Pan Cleaver spojrzał na mnie podejrzliwie. W getcie krążą plotki, że pan Cleaver sam jest bardzo dobrze umieszczonym informatorem i składa meldunki łącznikom rozmaitych federalnych komisji kryminalnych, które nie wierzą już, że pan Hoover racjonalnie ocenia informacje. Brat Cleaver miał to spojrzenie informatora/karierowicza i myślę, że może to samo dostrzegł u mnie.

Splawiłem Pantery i ZN. Moja relacja z Jomem Clarksonem skłoniła mnie ku FWMM. Jomo podobno napada na sklepy monopolowe. Jeśli natknę się na jakieś szczegóły na ten temat, zgłoszę to panu Holly'emu.

Kluby na południu miasta to główne miejsca werbunku członków obu organizacji. Jeśli ktoś spędza czas w Tacce Sułtana Sama, Słodkim Szale, Gniazdku Nata, Innym Świecie Pana Mitcha, Przemądrzałym Lisie, Bawialni Tommy'ego Tuckera i w Kawiarni Karoliny Pines na Imperial Highway, na pewno podejdzie do niego któryś z braci SCP/FWMM, który przemówi nierozważnie, trochę się popodlizuje i zachęci do uczestnictwa w wiecach i innych planowanych przedsięwzięciach. Ci ludzie uwielbiają gadać i opisywać swoje przestępcze czyny. Poznałem alfonsów, koników biletów, ludzi napadających na księgarnie pornograficzne. Członek SCP spoił mnie bimbrem z własnej piwnicy i zabrał mnie na mecz Lakersów z fałszywymi biletami. Król SCP Ezzard Jones – wyposażony w zmyślony stopień boskości – z umiarkowanym sukcesem zabiega o fundusze w kościołach na Południu i narzeka, że jego dziewczyna zadaje się z tą upartą białą kobietą Joan. Benny Boles zaprowadził mnie na grilla SCP i uruchomił wszystkie moje przyciski alarmowe. Ma na koncie wyrok za napad z bronią w rękę (1964) i w 1958 podobno zabił kochankę, męską prostytutkę. Leander Jackson jest uroczy ze swoim haitańskim zaśpiewem, irytujący z gadkami o voodoo i ciężko go sobie wyobrazić jako handlarza bronią, byłego członka haitańskiej tajnej milicji Tonton Macoute, ostro traktującego lewicowe grupy na Karaibach. J.T. McCarver prowadzi rozgrywki w kości dla FWMM, słynie z napadów na apteki i diluje proszkami wśród uczniów Liceum Jordan, podczas gdy Claude Cantrell Torrance, Minister Finansów i Minister Przymusu FWMM, diluje wśród uczniów Liceum Sztuk Plastycznych. (Uwaga: FWMM to fani drużyny futbolowej



Liceum Sztuk Plastycznych; SCP to fani Jordana, a oba ugrupowania rozprowadzają po kampusach tych szkół broszury nawołujące do nienawiści wobec białych i wobec policji).

Obie grupy prowadzą program finansowania pełnowartościowych śniadań dla biednych dzieci z getta. Biali liberałowie uważają, że to twarzowe, i ofiarowują pieniądze, które FWMM i SCP wydają na rozprowadzanie nienawistnej literatury, broni i narkotyków. Śniadania są niewyszukane, często opisują je i obfotografowują przychylnie media. Żywność na śniadania jest wymuszana od lokalnych kupców, dzieci karmi się napakowanymi cukrem mieszankami, takimi jak Fruit Loops i Cocoa Puffs, Trix, Crispy Critters i Puff-and-Stuff Pals. Po niedzielnych śniadaniach często następują „drinki dla mediów”, na których podaje się krwawą mary, słone zakąski i marychę. To są przekomiczne, niejednoznaczne, wszechrasowe chwile. Owszem, chcemy zabić wszystkie te świny i zniszczyć strukturę białej władzy, ale uważamy, że jesteście fajni.

I te tępe białe skurwiele myślą, że rzeczywiście są fajni. I te tępe białe skurwiele czują się wniebowzięte w obecności szalonych czarnych bojówkarzy.

SCP i FWMM rywalizują, a ja lawiruję pomiędzy nimi i oczy mam szeroko otwarte. W obu ugrupowaniach są bardzo groźni ludzie, ale nie dostrzegam zagrożenia ze strony grup jako całości. Oba ugrupowania przechowują broń w kryjówkach (Joan Klein podobno przechowuje broń dla członków SCP), ale oba ugrupowania przede wszystkim uwielbiają broń ze względu na jej pośredni manifest męskości i rzadko ją noszą, ze względu na obławy Policji LA. Dużo się gada o handlowaniu heroiną w celu finansowania rewolucji, ale „rewolucja” to dla tych ludzi komiks, rasistowsko-polemiczna mrzonka i wątpię, czy zdołają się zmobilizować na tyle, by zebrać pieniądze niezbędne do zakupu heroiny w znaczącej ilości.

Pozostaje więc sprzedaż broszur, zbieranie się w pubach, wiece i wielkie gadki w dużych ilościach. Oba ugrupowania rozpowszechniają nielegalne wydania *Czerwonej książeczki Mao* i *Wyklętego ludu ziemi Frantza Fanona*. Czytałem obie książki. Ze względu na moje życie w Los Angeles, na straszliwe opowieści moich rodziców o życiu na Południu, na moje własne doświadczenia w Policji Los Angeles i moje dwa obiecujące pobicia przez Policję Los Angeles, identyfikuję się, na ile pozwala mi poszufladkowana psyche i dusza. Ale rewolucja? Osiągnięcie czegokolwiek innego niż efemeryczny pożytek społeczny? Ci ludzie są zagubieni w ogólnie infantylnej, samolubnej grze, wszystko ostatecznie skończy się źle, a moje wysiłki stłumienia i zakazu doprowadzą do tego, że wytworzę własną markę efemerycznego pożytku społecznego.

Mogę poświęcić „pożytkowi społecznemu” kapkę atramentu. Jestem tu, bo szukam przygody i chcę rozwiązać sprawę napadu na furgonetkę opancerzoną i mieć korzyści finansowe.

Zabiegają o mnie. Słucham, uczę się. Myślę, że już niedługo zostanę zwerbowany do przedsięwzięć przestępczych – z powodu błędnej interpretacji mojej glińskiej przeszłości.

Czasami widuję Scotty'ego Bennetta na patrolu. Zawsze machamy sobie i puszczaemy oko, bo obaj jesteśmy otumanieni wyobrażeniem stoicyzmu i wyluzowanego zachowania, a jednocześnie żywimy wielkie emocje i nienawiść. Scotty kupił mi klucz do getta, a ja jestem mu za to wdzięczny.

Tak sobie myślę, że teraz chyba patrzę na oba pobicia z właściwej perspektywy. Czuję, że zbliżają mnie do pieniędzy, szmaragdów i tajemnic 24 lutego 1964 roku.

Rozmawiam z panem Hollym przez telefon kontaktowy co trzeci albo co czwarty dzień. On szuka dla mnie bardziej stałego łącznika, a jednocześnie cały czas prowadzi akcję. Kilka razy od świąt pofolgowałem swojej Skłonności na Numer w Queen Ann Park, i muszę pamiętać, żeby być bardziej ostrożnym i dyskretnym. W Wigilię umówiłem się na kawę z Joan. Wydawała się lecieć na mnie – przykro mi, nie ma mowy – i rozpracowywać mnie. Albo o niej śniłem, albo ją widziałem tamtej nocy, kiedy spałem u Joma, co samo w sobie jest dziwne. Kobiety w ogólności są dla mnie trudne, a Joan wydaje mi się niepokojąca i nieco przerażająca. Może przepiszę swoje spostrzeżenia i przekażę je panu Holly'emu.

Pan Holly dalej nie daje mi spokoju. Ciągle myślę o nim więcej, niż powinienem.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 16.01.1969. Fragment ukrytego dziennika Karen Sifakis.

16 stycznia 1969

Eleanora marudzi i całą noc trzyma mnie na nogach, a ja zdaję sobie sprawę, że to radość z Diny jako dojrzałego dziecka i rozwijającego się moralnie bytu uspiła mnie na tyle, bym się wkopała w destrukcyjny reżim nowego macierzyństwa, tym razem w wieku czterdziestu czterech lat. Nie śpię, JMT cały czas przebywa w LA, żeby pomóc, jego ciągła obecność przeszkadza mi w życiu wewnętrznym i w żaden sposób nie kompensuje pomocy, której mi udziela przy Elli. Od narodzin Elli nie widziałam się z Dwightem; obecność JMT skutecznie to uniemożliwia. Dina tęskni za Dwightem i pyta o niego, kiedy JMT nie słyszy. Zapewniam ją, że wkrótce wróci, żeby jej opowiedzieć cudownie ocenzone relacje z przygód agenta FBI.

Wczoraj wieczorem spytała mnie o J. Edgara Hoovera. Ojciec jej opowiedział (zbyt wyraziście) historie o tchórzowskich akcjach pana Hoovera w czasie Czerwonej Paniki w latach 1919–1920. Dina spytała mnie (znowu kiedy nie słyszał Jak-Mu-Tam), dlaczego jej ojciec tak bardzo nienawidzi pana Hoovera, a Dwight tak bardzo go szanuje. Nie powiedziałam jej, że Dwighta i pana Hoovera łączy przeszłość złożona moralnie, że jej ojciec jest nieuleczalnie rozżalonym ideologiem i że Dwight jest skołowany wszystkimi swoimi sprzecznymi wyobrażeniami o władzy i uważa, że małym dziewczynkom najlepiej opowiadać pokrzepiające bajki. Dina nie do końca to zrozumiała. Nie winię jej. Ciągle się tylko zastanawiam, jak daleko Dwight się posuwa, by zaspokoić pana Hoovera w kwestii spłaty swojego długu.

Sprowadziłam Eleanorę w życie cnotliwego i dwulicowego małżeństwa, na niespokojny świat, z Richardem Nixonem, który ma zasiąść w Białym Domu. Dwight niedługo będzie jej kupował dziwne pluszaki, takie jak aligatory, które kupił Dinie, a ona dorośnie, myśląc, że drapieżniki (takie jak Dwight!) są miłutkie i urocze. W którymś momencie zwróci się do mnie, żebym to potwierdziła. Jeśli jestem choć trochę uczciwa, przyznam się do wielkiej miłości do tego człowieka, co może w pewnym stopniu wyjaśni, dlaczego niedźwiadki, które kupił jej tata, nie mają wielkiej władzy emocjonalnej.

Tęsknię za Dwightem. Zamierzam wkrótce wykopać z miasta Jak-Mu-Tama, tak żebyśmy mogli spędzić trochę czasu razem i żeby Dwight poznał Ellę. Ma obsesję na punkcie Joan – czuję to. Jak zawsze modłę się, żeby moje manipulacje i powiązania, które umożliwiam, spowodowały więcej dobrego niż złego.

(Waszyngton DC, 20.01.1969)

„Mamy za sobą długą noc amerykańskiego ducha. Ale kiedy nasze oczy dostrzegają słabe światło pierwszych promieni świtu, nie przeklinajmy resztek ciemności. Skupiajmy światło”.

Wywalczyli sobie miejsca na wielką przemowę. Woleli przejścia parad. Mieli bilety na sześć bali inauguracyjnych.

Nowy prezio delektował się aplauzem.

– To mdły facet – powiedział Żabojad. – Musimy obejść jego brak oddania sprawie kubańskiej.

Crutch dotknął spinki w klapie – prawdziwa złota piętnastka. Zdjął skalpy i nie wyrzygał lunchu. Żabojad kupił mu spinkę. Podkreślała jego status zabójcy-z-bliska. Wciąż miał koszmary senne z powodu tej gałki ocznej.

„Nasze przeznaczenie daje nie kielich rozpaczy, lecz puchar sposobności. Wykorzystajmy go więc nie w strachu, ale w radości...”

Oto LBJ – wyczerpany i groźny. Oto Earl Warren, oto frau Dicka, Pat, oto były wice Humphrey. Cześć, Łysku, to myśmy cię z Żabojadem wyruchali!

Nixon przeczekiwał owację na stojąco i wiwaty. Żabojad udawał, że chrapie. Senator Charles H. Percy zgromił go wzrokiem.

Wszyscy zostali na stojąco i korzystali z chwili. Crutch zapamiętywał szczegóły. Młodziotkie córki LBJ. Jakieś zbłąkane resztki Kennedych. Ej, chujki – Żabojad zastrzelił wam wujka Jacka!

Crutch stał i klaskał. Ludzie go mijali. Pomyślał o swojej matce i Danie Lund. Dotknął spinki w klapie. Pomyślał o Joan. Pomyślał o swojej sprawie i zbliżającej się Dominikanie. Nixon przeszedł. Dzisiaj rano ogolił się dokładnie. Nixus przesiedział II wojnę światową na jakimś bezzółtkowym atolu. On, Crutch, zabił komuchów z bliskiej odległości. Jack K. zabijał żółtków z pokładu PT-109. To była łupina funta kłaków niewarta. Łódki się nie liczyły. Jack nie był zabójcą z bliska.

Tłum się przerzedził. Crutch utrwał zapamiętane.

– Ciesz się ze swojej skrajnie pomniejszej roli – powiedział Mesplède. – Ale pamiętaj, że nasze przeznaczenie znajduje się dalej na południe.

– Powiedz mi jeszcze raz, Żabojadzie. Lubię te powtórzenia.

– Jakie powtórzenia?

– Powiedz mi, jak zarobimy pieniądze, żeby kupić broń i pozabijać Castroidów.

– Będziemy sprzedawać heroinę.

Skakali z balu na bal. DC wypełnił się limuzynami i iluminowanymi pomnikami. W powietrzu czuć było proch. Głównie z powodu fajerwerków. Poza tym z powodu czarnuchów strzelających w Czarnogrodzie.

Jipisi w maskach Nixona latali pomiędzy samochodami. Crutch zobaczył napad obok pomnika Lincolna. Jechali limuzyną ze sztywniakami z Partii Republikańskiej i z Ronaldem Reaganem. Crutch powiedział Reaganowi, że podobały mu się *Hellcats of the Navy*. Gubernator Ronnie podziękował i nazwał Crutchem młodemu kolegą.

Z balu na bal akcja się rozmazywała. Crutch zobaczył milion znanych twarzy. Mickey Mantle, Floyd Patterson, jakieś kociaki z telewizyjnych show. Mumiowały J. Edgar Hoover.

Dostali namiar na jubel w Hay-Adams. Złapali dziką taksówkę i przez dwie godziny pokonywali odległość sześciu przecznic. Kierowca był czarnym Jamajczykiem z warkoczykami i w szydełkowym berecie. Powiedział, że jest kochankiem Pat Nixon. Miał trochę trawy z domowej uprawy. Sztachnęli się i słuchali długiego przejazdologu. Czarnuch wychwalał świetną dominikańską cipkę i ostrzegał ich przed Haiti. Voodoo prawda. Musicie wziąć dobry amulet. Wsadzacie włos łonowy dziewicy do medalionu i wieszacie na fiucie. Składacie hołd Baronowi Samedi.

Dotarli do Hay-Adams. Rachunek wyniósł dwie stówy. Hotel wyglądał znajomo. Crutch załapał, w czym rzecz: czarnuch woził ich w kółko.

W holu sam luksus. Mesplède zasalutował generałowi Curtisowi LeMayowi. LeMay odmachnął mu cygarem. Crutch zapamiętywał. Otwarte wejście/głośna muzyka/Lucy Baines Johnson i nawalony elegancki aktor tańczą świńskiego twista.

Balanga odbywała się w 1014. Drzwi były otwarte, hałas był wielki, a gośćmi byli mafiosi i politycy. Crutch spojrział w lewo i zobaczył Billa Scrantona z Carlosem Marcellem. Crutch spojrział w prawo i zobaczył Sama Giancanę splecionego z wysoką brunetką.

Odwróciła się w ich stronę. To była o-ja-cię-pierdołę Gretchen Farr/Celia Reyes.

# **CZEŚĆ III**

## **STREFA ZOMBIE**

24 STYCZNIA 1969–4 GRUDNIA 1970

## 58

(Los Angeles, 24.01.1969)

Czarny Kot tańczył. Był teraz wyremontowany i dwurasowy. Czarny personel, biały współszef Milt Chargin. Precz z aksamitnymi ścianami. Dawać pomarańczowo-czarne pasy.

To był pomysł Sama G.: wskreśmy Taxi Tygrys. Miami i Vegas, antycastrowe dni. Wayne, to twoja robota. Stygrytuj te taksówki i niech czarnuchy to polubią.

Junior Jefferson żarł lody.

– Tygrysy są okej, ale pantery mają więcej ducha.

– Wyczuwam tu deklarację polityczną.

– Nie chodzi o politykę. Po prostu widzę o dwóch więcej niż zwykle białych gości, co wzmaga ból głowy wywołany gównopasiastą tapetą.

W baraku panował tłok. Współszefowie siedzieli na zdartych fotelach. Wayne przysiadł na oknie. Dwaj mężczyźni stali przy centralce. Wayne zidentyfikował ich po zdjęciach z akt: Marshall Bowen i Jomo Kenyatta Clarkson.

– Dzisiaj przyjeżdżają lakiernicy – powiedział Milt. – Spodoba wam się nowy wygląd. Do tylnych zderzaków przymocują tygrysie pazury.

– To jakieś durne białasowe gówno. Przywłaszczacie sobie tożsamość rasową tej firmy. Tygrysy to pedalskie zwierzaki, byle gówniarz może je skopać. Pantery są straszniejsze, ale mają wytworność, o której wy, białe fiutki, możecie tylko pomarzyć.

Wayne ziewnął. Miał niedobór snu. Ostatniej nocy zerwały go dwa telefony. Sam powiedział: „Jesteś nadzorcą Taxi Tygrys”, Dwight powiedział: „Mam dla ciebie robotę”.

– Tożsamość rasowa to jedno, panie Clarkson. Wygoda to drugie. Do wszystkich wozów zamówiłem klimatyzację.

Jomo wskazał na swoje blizny po maczecie. Polityczne, własnoręcznie zadane. Marsh Bowen nosił strój wyłącznie czarny. Nie udało mu się groźnie wyglądać. Wyglądał jak męski model szwendający się po slumsach.

– Podoba mi się to – powiedział Junior. – Grubasy zwykle się pocą.

Milt zapalił papierosa.

– Musisz schudnąć, baranie. Otyłość jeszcze ci później bokiem wyjdzie.

– Jak dla mnie nie ma w życiu żadnego później. Nadchodzi wojna rasowa i ja mam tylko nadzieję, że nie będę zbyt utuczony, żeby uciekać.

Milt westchnął.

– Jeśli nadchodzi wojna rasowa, to dlaczego tak mile spędzasz ze mną czas?

– By ty jesteś fajny żydek jebany i mnie bawisz.

Jomo zgromił Wayne'a wzrokiem. Junior podał mu całostronicowy komiks. To był arkusz z powielacza, zamazany. Świnie z Policji LA pałkami ruchały w dupala przywódców Czarnych Panter, a Richard Nixon patrzył i się brandzlował.

Junior siorbał lody.

– Może bracia z ZN publikują to gównno, żeby skompromitować Pantery.

– Świata nie trzeba więcej nienawiści – powiedział Milt. – Świata trzeba więcej miłości. Międzyrasowe ruchanie i ssanie ożywi nasz wielki naród i oszczędzi nam mnóstwa bólu.

Junior zarechotał, Wayne się zaśmiał, Marsh Bowen się uśmiechnął. Jomo znowu spojrział groźnie, bardzo groźnie. Na centralkę weszła rozmowa. Jomo ją zignorował. Na zewnątrz zapiszczały opony. Huk shotguna, a po nim wybuch szkła. Wayne ocenił odległość – pół przecznicy.

– Nowi właściciele to nowe zasady. Nie jestem tu po to, żeby doprowadzić do upadku wszystko, co macie na boku. Pomniejsze przestępstwa, niech będzie. Polityka, jasne. Sprzedaż zioła i pigulek, jak dla mnie okej. Żadnej heroiny, żadnych brutalnych przestępstw, żadnych napadów z bronią w ręku. Chłopcy tego nie chcą i ja nie będę tego tolerował. Jestem byłym stróżem prawa, więc musicie się po prostu przyzwyczaić do nowego porządku.

Junior wzruszył ramionami. Milt przełknął ślinę. Marshowi twarz skamieniała. Jomo wyciągnął nóż i wyciął na ścianie FWMM.

Ostrze weszło głęboko. Tynk się wykruszył. Odpadła tygrysowa tapeta.

Wayne uśmiechnął się do Joma.

– Cieszę się, że poruszyłeś ten temat. Od tej chwili dwa procent zysków Taxi Tygrys idzie na program Nakarm Dzieciaka FWMM.

Milt i Junior wyszli na zewnątrz. Marsh się odsunął. Nóż został w ścianie. Uchwyt drgał. Jomo podłubał w zębach diamentową szpilką do krawata.

Wayne podszedł i wyciągnął nóż. Wytarł ostrze o spodnie i położył nóż na centralce.

Jomo dłubał w zębach. Szpilka podskoczyła i rozkrwawiła mu dziąsło. Obrócił się powoli i odszedł.

Wayne podał Marshowi kartkę: „Jestem twoim łącznikiem. Za godzinę w zajeździe U France'a”.

Dwight wyłożył to tak: Bowen jest prowokatorem FBI. Jego zadanie: rozpracować SCP i FWMM. Dwight dostarczył akta i opisał postępy do chwili obecnej. Dokładny plan Dwighta: heroina.

Wayne był zbulwersowany. Gotował H i handlował H. Widział, jak rozpierdala getto w Vegas i amerykańskich żołnierzy w Sajgonie. Dwight użył wyrażenia „wojna na nieśmiertelne dawki”. To było federalne owijanie w bawełnę połączone z nienazywaniem



rzeczy po imieniu. Pasywna aprobatą FBI dla ograniczonego handlu narkotykami. Zakaz i akt oskarżenia dla efektu medialnego.

– Pewnie, ty nienawidzisz narkotyków – powiedział Dwight. – Ale to wyrównuje wszystkie twoje stare długi. Jesteś pieprzonym dawnym gliniarzem. Założę się, że bracia ulżą sobie na tobie. Powiedz Bowenowi, żeby rozpuścił plotki o twoim vegaskim gównie. Chcę stworzyć reakcję ambiwalentną. A przy okazji: Bowen jest ciotą.

Wayne krążył po południowej dzielnicy. Wisiał smog. Przyciągały go uliczne billboardy. Rozpromowani czarni modele. Bądź czarny i pal papierosy, bądź czarny i jeźdź krzykliwymi autami, bądź czarny i pij gorzałę z górnej półki. Jechał powoli. Przechodnie mu się przyglądali. On usiłował czytać z ich twarzy w ułamku sekundy.

Tu był u siebie. Miał tu interes. Reginald mógł się tu pojawić. Tworzył akta. Przeszukał Biuro Szeryfa Hrabstwa Clark i znalazł więcej dokumentów. Niedługo przyślą mu kopie.

Miał robotę w LA i robotę w Vegas. Chłopcy mieli apartamenty w hotelach Księcia. Nixon był teraz prezydentem. Szybko uchylił antytrustowe zakazy LBJ. Chłopcy sprzedali Drakowi Hotel Landmark i osiemset hektarów pierwszorzędного vegaskiego gruntu. Nową obsesją Draka stały się odpady atomowe. Próby podziemne przerażały go jak cholera. Wezwał Wayne'a, żeby mu wyjaśnił rozszczepienie jądra atomu. Drako uważał, że promieniowanie po wybuchu bomby atomowej zwiększa u czarnych popęd płciowy.

Robota polegała na delegowaniu. On wysłał Mesplède'a i Dupka na południe. Mesplède wykluczył Panamę jako potencjalną lokalizację kasyna. Następny przystanek: Nikaragua. Robota była dręcząca. Mary Beth naciskała go o szczegóły. Zbywał ją i naciskał o jej pracę. Opisała marne zarobki, awantury z kierownictwem i niepewne programy opieki zdrowotnej. Słuchał przez chwilę i robił się cały spieprzony. Jego świat kontra jej świat. Miał od tego gonitwę myśli.

Znowu się spotkał z Lionelem Thorntonem. Omówili przekazy pieniędzy i ostateczne pranie zasobów. Wiązało się to z napięciem. Thornton posadził go twarzą w twarz z portretem doktora Kinga. Wyszło z tego jakieś megastarcie.

Thornton był ciulowy i traktował swoich pracowników jak gówno. Wayne powiedział mu, żeby wprowadził związkowców, a wyrzucił łamistrajków. Thornton się wściekł. Wayne powiedział mu, żeby spłacił długi w towarzystwie kredytowym pracowników. Thornton walnął pięścią w biurko. Wayne powiedział mu, że w sali pocztowej z rur cieknie azbest. To stwarzało zagrożenie dla zdrowia. Zajmij się, proszę, tą kwestią niezwłocznie. Thornton kopnął biurko i rozwalił buty. Wayne zasalutował do portretu.

– Co o mnie wiesz?

– Wiem, że kiedy pracowałeś w policji Las Vegas, zabiłeś trzech ćpunów w niejasnych okolicznościach.

– A poza tym?

– Poza tym wiem, że szukałeś niejakiego Wendella Durfee, który zgwałcił i zamordował twoją żonę.

– Jak na razie wszystko się zgadza. Wiesz, co się stało z Wendellem Durffe?

– Został zamordowany mniej więcej rok temu. Sprawa do dzisiaj nierozwiązana. Nie zdziwiłbym się, gdybyś mi powiedział, że ty go zabiłeś.

Drive-in był punktem spotkań międzyrasowych. Na tyłach stał barak. Pracowały tu kelnerki białe ORAZ czarne – ładne dziewczęta na wrotkach.

Siedzieli w wynajętym wozie Wayne'a. Mocowane tace zajmowały dużo miejsca, musieli siedzieć bokiem.

– To ja go zabiłem.

– Tak myślałem. Chcesz, żebym coś zrobił z tą informacją?

Wayne zakręcił kawą.

– Rozpuść te wieści w wyważony sposób. Byłeś wtedy w Policji LA. Opisz swoją obecność na miejscu zbrodni. To było bardzo brutalne. Rzucili się na mnie za to śledczy, ale mój ojciec miał za duże wpływy.

Marsh zakręcił kawą.

– Co wiesz o mnie?

– Dwight Holly mnie zapoznał i przeteleksował mi najważniejsze akta. Wiem o Scottym Bennecie, że pracowałeś z Clydem Duberem i znam stan operacji na dziś.

– A twoja ocena?

– Nie pochwalam aspektu z heroiną, ale to opłaczalne w kontekście całości.

– Dramatycznie opłaczalne? Jak przedstawienie braciom twojego rasistowskiego bagażu?

Wayne się uśmiechnął.

– Powiedz mi parę rzeczy. Plotki, percepcja, jak ty to do tej pory widzisz?

Marsh próbował skrzyżować nogi. Powstrzymała go taca. Wyglądał prawie sztywno.

– Obie grupy o mnie zabiegają. Wątpię, żeby zdobyli narkotyki, więc ta strategia może się okazać problematyczna. Na południu będzie seria napadów na monopolowe z towarzyszącymi plotkami o podejrzanych czarnych bojówkarzach, ale poza tym nic poważnego. Wie pan o tych nienawistnych komiksach. To jest albo akcja Panter przeciwko Niewolnikom, albo odwrotnie, chociaż moi bardziej spiskowo nastawieni bracia uważają, że to FBI. Pan Holly zapewnia mnie, że nie.

Przejechała obok nich kelnerka i pomachała Marshowi. Wyglądała jak młodsza wersja Mary Beth.

– Dzisiaj jest wycieczka – powiedział Wayne. – Nazwijmy to imprezą zapoznawczą dla załogi Taxi Tygrys. Chcę, żebyś tam był. Przekonaj do przyścia Joma i co najmniej jednego

człowieka z SCP. Chcę kupić parę klubów pogodzinnych. Nie miałbym nic przeciwko namacaniu odrobiny politycznego gówna przy świadkach.

Znowu przejechała kelnerka. Marsh obrzucił ją niby-pożądliwym spojrzeniem. Wayne wyciągnął swoje zdjęcie Reginalda Hazzarda. Marsh przyjrzał mu się i zamrugął.

– Widziałeś go?

– Nie. Kto to jest?

– Młody człowiek, którego staram się znaleźć. Na zdjęciu ma siedemnaście lat, ale teraz miałby dwadzieścia cztery.

Na twarzy Marsha pojawił się uśmiezek. Gafa aktorska, uwaga – Wayne to dostrzegł.

– Powiedz mi, o czym pomyślałeś. Bądź szczery albo nic nie wyjdzie z naszej umowy.

– Zastanawiałem się, czy zamierza go pan zabić.

Wayne spojrział na kelnerkę. Miała oczy Mary Beth.

– Ten etap mam już za sobą.

– Miło mi to słyszeć.

– Słyszałeś, żeby ostatnio jacyś czarni dostawali anonimowe przesyłki ze szmaragdami?

Marsh mrugnął i powiedział:

– Nie.

Lakiernicy popaskowali limuzynę lincolna '63. Śmierciowóz JFK jako miejski okręt flagowy. Południowe LA jako rzeka Styks.

Tylne siedzenia umieszczono naprzeciwko siebie. Kolesie siedzieli kolana w kolana. Wayne, Marsh, Junior, Milt. Jomo i zbrojmistrz SCP Leander James Jackson.

Przyciemnione szyby. Stereo z tyłu. Archie Bell and the Drells na sześć głośników. Rum 151 i poprawiane haszem koole.

Lincoln wyłonił się z parkingu Taxi Tygrys. Podjechał chudy brat Juniora, Roscoe. Wayne pozostał trzeźwy. Pozostali sobie pofolgowali. Milt zrobił przedstawienie. Nixon stręczył swoje córki brzydulki, żeby odbić sobie koszty kampanii. Gej Edgar Hoover bardzo pragnął czarnej fujary. Junior wciągał torty lodowe i banany w czekoladzie. Jomo i Leander wprawiali się w ziejących nienawiścią spojrzeniach. Marsh zerkał na Wayne'a z ukosa.

Przejechali obok obławy policyjnej. Jomo opuścił szybę i zachrumkał. Dotarli do Przemądrzałego Lisa. Podróbka Moms Mabley dawała śmieszna gadkę i obrażała widownię. Wyróżniała Milta i Wayne'a. Byli białymi mieszańcami, matkojebcami, którzy chcą wyrwać czarne laski przy indiańcu. Ten wampirzy gość nagonił ich do tego. Zrobił patelnię jednej niewydymce, a teraz chrapie w swojej trumnie, kiedy my sobie tu gadamy.

Wayne zerknął na Marsha. Marsh rechotał przekonująco, jak rdzenny mieszkaniec getta. Twarze z akt ożywały. Oto Benny Boles. Ciota. Przechadza się. Sprawdza Roscoe X. Oto Joseph Tidwell McCarver. Wszechafrykański Władca z FWMM. Towarzyszą mu trzy kurwy. Podnosi zaciśniętą pięść do Joma.

Komiczkę zastępuje ćpuńska kapela. Pianista odleciał tak, że walnął facjatą w klawisze. Wyszli. Podjechali lincolnem do Słodkiego Szału. Występowały zakapturzone kobiety ze sztucznymi penisami. Nad miejscem przyczepienia pulsowały migające światełka. W ramach podkładu muzycznego leciało *All You Need is Love* Beatlesów.

Miltowi i Jomowi się to podobało. Leander i Junior odwrócili wzrok. Wayne zdecydował, że kupi tę knajpę. Klientów od metra. Duży potencjał pralniczy.

Następny przystanek: Bar Skorpionia. Bufet z kuchnią czarnego Południa i gra w kości o niskie stawki. Krupierem była dziewczyna w toplesie i z półmetrowym afro. W boksach na tyłach podskakiwały afroglowy. Obciążanie szło po dyszce.

Jomo i Leander podsycili Te Groźne Spojrzenia. Marsh i Wayne patrzyli. Zerknęli na siebie. Wymienili przekaz telepatyczny – Marsh, twoja kolej.

Kupmy tę knajpę. To kopalnia gotówki. Mister Clean robi ten zielony blask.

Przeturlali się do Tacki Sułtana Sama. Wayne’a oszołomiło od haszowego dymu. Kupić to miejsce – łatwy dostęp – full gości o pierwszej w nocy. Knajpa miała wystrój dalekowschodni. Kelnerki nosiły turbany i przezroczyste sari. Ściany były nabite kolorowymi kamieniami. Zielone skojarzyły się Wayne’owi ze szmaragdami. Zupełnie jakby ożył sen.

Szukał twarzy z akt. Jedną wychwycił. Ezzard Donnell, szef SCP. Był z białą kobietą. Wayne widział ją od tyłu. Miała ciemne włosy z siwymi pasmami. Nad nią rozpraszały się doskonałe kółka z dymu.

Siedli przy trzech stolikach. Wayne patrzył, jak Marsh zwija dłonie i pracuje szybko. Skruszył na proszek dwie benzedryny. Zgarnął je i podzielił. Wrzucił proszek do szkockiej z mlekiem Leandera. Potrząsnął szklanką i przysunął do Joma. Jomo pił burbona z popitką – piwem słodowym. Marsh odwrócił jego uwagę i dosypał mu proszku do obu napojów.

Wayne kiwnął głową. Marsh kiwnął mu też. Wayne dotknął zegarka na ręce. Marsh mignął dziesięcioma palcami.

Była druga nad ranem. Wszyscy ziewali. Milt wspomniął coś o jedzeniu. Junior powiedział: „Ja wszystko słyszę”. Zakrzyżył konkret: Pines na Imperial Highway.

Zapanowała jednomyślność w kwestii żarcia. Zapakowali się do limuzyny. Milt i Junior padli pierwsi. Wayne i Marsh zczekali. Jomo i Leander ścisnęli się razem. Nastroszyli się od kontaktu fizycznego.

Limuzyna ruszyła. Jomo i Leander siedzieli ściśnięci. Każdy się zwinął w swoim kącie. Skulili ramiona i dali sobie po kilka centymetrów. Wayne i Marsh siedli naprzeciwko nich. Milt i Junior drzemali. Jomo wyglądał na nadąsanego i niewyraźnego. Leander dostawał już poamfowego spida.

Usta mu się wykrzywiły. Ręce mu gadały. Drobne szarpnięcia za spodnie, drobne zmarszczenia i grymasy. Puknął Joma. Jomo się odsunął. Ich stopy się zderzyły. Każdy szurnął butami tego drugiego. Zjebie, nie przekraczaj moich granic.

Jomo zrobił wielkie oczy. No weź powiedz, co jest? Zgrzytnął, napiął się i walnął w stopę Leandera. Wayne trącił Marsha – teraz.

– E, Leander – odezwał się Marsh. – Ja chyba nie kupuję tego wszystkiego z Tontorem i voodooogównem, o którym mówiłeś. Weź mi to jeszcze raz wytłumacz.

– Mnie to gównu też nie podchodzi – dorzucił Jomo. – Wszelkie gadki mistyczne nie pozwalają czarnym ludziom wyzwolić się z niewoli. Haiti to zniewieściałe zasaństwo. Voodoo wymyślił francuski biały człowiek, żeby czarny człowiek siedział spętany kajdanami i ruchał zdechłe kury.

Leander zapalił koola king size'a. Wciągnął powietrze i rozżarzył go na całej długości na jednym wdechu. Wypuścił dym przez nos. Zadymił cały tył wozu.

– To dzięki voodoo mam moc, żeby to zrobić. Smoczy oddech. Papa Doc umie to zrobić i połowa moich przyjaciół z Tontona. Myślisz, że sto pięćdziesiąt jeden jest mocne? Spróbuj klerina. Spróbuj ziół i toksyny z rozdyмки. Chcesz ruchać białego? Bierzesz bokura, żeby go zamienił w zombie. *Bokur* rzucił zaklęcie na tego dominikańskiego fiuta Trujillo. Zamach CIA, gównu prawda. Jak zabijecie Haitańczyków, zombie przychodzą po was. To czysta prawda, maleńki.

Jomo zapalił koola king size'a. Zaciągnął się, zakrztusił i upuścił sobie papierosa na kolana. Wypaliła mu się dziura w spodniach. Porzucił kurwami i dłonią zdusił ogień.

Leander wybuchnął śmiechem.

– FWMM rucha zdechłe kurczaki – powiedział Leander. – SCP rucha piękne czarne siostry.

Jomo wyciągnął nóż. Leander wyciągnął nóż. Obaj się odchyłili, żeby się zamachnąć. Dźgnęli jednocześnie, w klatkę piersiową, z całej siły.

Rozdarł się materiał. Ostrza przecięły płaszcz i marynarki i uderzyły tępo. Ostrze Jomo się złamało. Ostrze Leandera się wykrzywiło. Zrobiło dziurę w ramieniu Joma i utknęło w oparciu.

Rzucili się na siebie z pazurami. Leander odsłonił zęby i chapnął Jomo w szyję. Wayne dał im jeszcze dwie sekundy. Marsh doskoczył telepatycznie. Milt i Junior się przebudzili. Roscoe X zjechał z drogi.

Grad zdjęć:

Wayne Tedrow całujący czarną kobietę. Improwizowana foto FBI. Agent z Vegas strzelił ją przed apartamentem hotelowym Wayne'a.

Fotka nr 2: miesięczna Eleanora Sifakis. Przyszła wysadzaczką w powijakach. Wygląda jak Karen – nie jak jej orzeszkofiuty mężulek.

Panu Hooverowi nad wyraz podobało się zdjęcie Wayne'a. Szalonego Wayne'a: kobieta i władza łącznika. Międzygrupowa walka na noże już pierwszego dnia.

Dwight odsunął się gwałtownie na krześle. W dziupli zalatywało stęchlizną. LA było deszczowe i ciepłe. Powietrze gęste. Więcej palił. Na biurku miał bałagan. Wszędzie akta Thomasa Franka Narduna.

Akta niewiele wносиły. Obławy na podejrzanych, skłonności lewicowe, żadnej listy „Znanych Kontaktów”. Narduno – zmarły w Grapevine. Narduno – jedyne widoczne nazwisko na liście kontaktów Joan.

Thomas Frank Narduno – podejrzany o napad z bronią w rękę w Nowym Jorku i Ohio. Żadnych wyroków, żadnych dokumentów pozostałych w Ohio czy Nowym Jorku. Żadnych dat w aktach Narduna. Daty Ohio wymienione w aktach Joan: obie 1954. A także: dwa podejrzenia o napady w 1951 i 1953. Żadnych aktów oskarżenia ani żadnych innych dokumentów.

Dwight położył teczkę Joan obok teczki Narduna i po raz kolejny przeczytał zawartość obydwóch. Nic go nie natchnęło. Wysłał teleks do policji każdego większego i średniego miasta w stanach Nowy Jork i Ohio. Nie dostał nic ani na Joan Rosen Klein, ani na Thomasa Franka Narduna. Joan powiedziała mu, że zbił ją gliniarz w Dayton w Ohio. Doszło tam dwukrotnie do zrabowania pieniędzy na wypłaty, w sumie na jakieś sześćdziesiąt tysięcy. Zamaskowani mężczyźni, żadnych kobiet, sprawa zamknięta. Przesłano mu akta teleksem. Nie było tam wzmianki o Nardunie, Joan ani lewicowych podejrzanych. Wyznanie Joan o przypadkowej łapance? Może prawdziwe.

Dwight zapalił papierosa i otworzył okno. Wiatr i deszcz rozrzuciły kartki. Oparł Eleanorę o lampkę na biurku.

*Kurwa – Joan Rosen Klein i Dwight Chalfont Holly.*

Już miesiąc. Statler, Ambasador, Hollywood Roosevelt. Neutralne punkty. Dziupła pozostała miejscem Karen.

Rozmawiali i kochali się. Omawiali operację i unikali „Czego chcesz?”. To protokół informatorski i dorozumiany pakt kochanków.

Joan zacieśniała więzi z SCP. Marsh był przyjazny SCP, a także FWMM. Oboje się wściekali na te komiksy zalewające Kongo. Joan winiła za to FBI – uzupełniająca akcja Operacji Bardzo Zły Brat. Myliła się. Większość komiksów zniesławiała Pantery i ZN. Niektóre – SCP i FWMM. On uważał, że to amatorszczyzna. Nie wyglądało na zaplanowaną prowokację.

*Nienawiść.*

Śmierć doktora Freda – ciągle nierozwiązana i ciągle rozgrywana na zwłokę przez Jacka Leahy’ego. Nienawiść i prochy – w dżungli brakowało H. Marsh Bowen na sucho dawał wiarę blackpowerowej świadomości.

Wiatr przewrócił Eleanorę. Dwight zamknął okno i odstawił zdjęcie. Tęsknił za Karen. Eleanora pochłaniała czas. Jak-Mu-Tam wrócił do LA do pomocy. Karen nie знаła całej historii z Joan. Mogła ją wyczuć. Nie czuł się winny. Czuł się nadwerężony. Coraz więcej przecieków.

Chwycił kosz na śmieci i wyciągnął zdjęcie Wayne’a. Poszukał w wydziale komunikacyjnym i w zeszłym tygodniu zidentyfikował tę kobietę. Mary Beth Hazzard. Rozgardiasz Wayne’a w zachodnim Vegas. Wdowa po zabitym pastorze.

Wziął jej akta z wydziału komunikacyjnego. Porównał zdjęcie z prawa jazdy ze zdjęciem pocałunku. To był absolutnie powalający moment wszech czasów. Pędem powrócił do Joan.

– O czym myślisz?

– O moim przyjacielu i kobiecie, z którą jest.

– Opowiedz mi o nim.

– On jest w Życiu niechętnie. Jest wyjątkowo zdolny i kompetentny i ma skłonności do katastrof.

– Gdzie teraz jest?

– Nie wiem.

– Dobrze się czujesz, kiedy tyle mi mówisz?

– Nie.

– To zwykle ty zadajesz mi pytania.

– Wiem, to prawda.

Jakiś zlot handlowców zajął Statlera. Na korytarzu trzaskały drzwi. Nie ustawał hałas hulanków.

Mocno padało. Okna mieli otwarte, żeby wpadała bryza. Ogrzewanie w pokoju włączało się w dziwnym rytmie. Raz się zakrywali, raz odkrywali.

– Leander Jackson i Jomo Clarkson mieli głośną wymianę zdań.

– Wiem, odebrałam Leandera ze szpitala.

- Zadzwoił po ciebie?
- Tak.
- No to teraz jesteś całkiem SCP.
- Nie do końca.
- Opowiedz mi o tym.
- Ani myślę.
- Na razie?
- Dobra, na razie ani myślę. Muszę się chwilę nad tym zastanowić. Powiem ci, jak skończę. Dwight ziewnął. Wcześniej powaliła go dzienna dawka proszku/drinka.
- Powinieneś się przespać – powiedziała Joan.

Wyłączył światła. Wystawił nogi spod kołdry dla schłodzenia. Joan zarzuciła włosami i przytuliła się, otaczając go nogą. Jej głowa wpasowała się w jego ramię. Objął ją i zakrył dłonią bliznę po nożu.

Cztery godziny, bezsenne. Rekord ostatnich dni.

Joan nie było. Nigdy nie zostawiała liścików pożegnalnych – tylko ślady szminki. Tym razem na poduszce.

Podniósł słuchawkę telefonu na nocnym stoliku. Potrzebował kawy do pokoju i połączenia z DC.

Usłyszał kliknięcie słuchawki. Wcisnął widełki i spróbował jeszcze trzy razy, słabo.

Dwight się uśmiechnął. Umiejętności podsłuchowe. Jej CV się poszerzało.

Podszedł do okna i wyrżał. Pod portykiem dużo się działo. Zobaczył, jak znika cień. Zobaczył, jak kółka dymu rozsnuwają się nad markizą.



## 60

(Managua, 28.01.1969)

Fasolowo nad jeziorem. Pomniki znanych führerów. Chłopi, miejskie mekssole i gliny ze stenami. Ogólne wyświechtanie.

Nie przylatują tu samoloty Hughes. Liniami La Nica Air dotarli na lotnisko Xolotlan. Panowała zimowa duszność. Dzieciaki oblażyły taksówkę i polowały na karty bejsbolowe. Papugi śmigały i obsrywały pomniki.

Ruch na ulicach był powolny. Spaliny gęste. Buchające dymem samochody pochodziły co najmniej z poprzedniej dekady. Większość ulic miała daty w nazwie: od calle 27 de Mayo do calle 15 de Septiembre. Żabojad powiedział, że odnoszą się do stłumionej rewolucji.

Sprawa uboczna, krótki wypad, chwila wypoczynku. Nikaragua była handlową pustynią i jałową przerwą w podróży. Następnym przystanek – Dominikana.

Jeden jasny punkt majaczył na horyzoncie. Żabojad miał zamiar na pułkownika, byłego marine. Facet był tu teraz. Na stałe mieszkał w Dominikanie. W Santo Domingo przebywał od wojny 1965. Siatka najemników Żabojada umówiła spotkanie.

Nazywał się Ivar Smith. Zgodził się napisać propagujący Dominikanę raport dla Wayne'a i makaroniarzy. Smith zadzwonił wczoraj do Żabojada. Powiedział, że zna czterech Kubańczyków, przeciwników Castro. Byli bardzo, bardzo źli. Uwielbiali mokrą robotę, na którą się wyprawiali z Dominikany.

Samochód ominął peona z wozem zaprzężonym w woła. Żabojad rzucił drobne żebrakom. Crutch bawił się spinką w klapie i przeglądał ostatnie taśmy w głowie.

DC, noc inauguracji, Hay-Adams. Sam G. i Gretchen/Celia. Mesplède zna Sama. Mesplède nie zna jej. Dwusekundowa prezentacja, *auf wiedersehen*.

Powiedział później Żabojadowi: *to ta dziewczka-złodziejka*. Żabojad wzruszył ramionami i rzucił tylko jedno słowo: „Kuba”.

Papuga śmignęła w dół i wylądowała na parapecie. Crutch nakarmił ją chipsami z torebki. Wcisnął guzik REPLAY i raz jeszcze przewinął do Wigilii.

Dom Grozy, kryjówka, księga spotkania komuchów. Data: 6.12.1962. Nazwiska: Bergeron, Narduno, Joan.

Wtedy właścicielem domu była Hollywoodzka Izba Handlowa. Poszedł do Izby i zagadał do urzędniczki. Marne wieści: dom stał niewynajmowany od sezonu jesienno-zimowego '62.

Papuga zjadła wszystkie chipsy i zaskrzeczała o dokładkę. Crutch chciał ją pogłaskać. Dziobnęła go, dziwka, i odleciała.

Śledził na piechotę Sama i Gretchen/Celię do Willard Hotel. Mieli tam osobne apartamenty. Następnego dnia przeszukał apartament Gretchen/Celii. Znalazł jej notes z adresami. Przyniósł zestaw do zbierania odcisków i obsypał okładkę. Znalazł jeden odcisk Joan Rosen Klein.

Wpisy były zaszyfrowane: dziwne litery, cyfry i symbole. Sfotografował minoxem każdą stronę i odłożył notes na miejsce. Bardzo, bardzo ryzykował i powiedział Żabojadowi, co zrobił. Żabojad zadzwonił do kumpla z CIA w Wirginii. Klucz łamiący szyfr powinien dotrzeć do Managui w tym tygodniu. Sprawdził wyloty z DC. Sam wrócił do Vegas. Celia Reyes: odleciała do Santo Domingo.

- Donald, ręka ci krwawi.
- Papuga mnie ugryzła.
- Czerwona była?
- Tak.
- To powinienes być ją zabić.

Hotel Lido-Palace znajdował się blisko jeziora. Kolesie z United Fruit okupowali bar i rozmawiali o golfie i ucisku. Z szafy grającej non stop leciała piosenka o bananach Chiquita. UF rządziło Nikaraguą i wykorzystywało marionetki z rodziny Somozów. Odstępcy stanowili uporczywą zgryzotę zbliżoną do papuziego gówna. UF dysponowało siecią szpicli i siłami policyjnymi. Ich zlecenie: zdusić czerwoną rewoltę.

Crutch i Żabojad zameldowali się i zeszli do baru. Kelnerki miały spódniczki na krynolinach i fryzury z kiściami bananów. Żabojad powiedział, że w kraju jest Czerwony Alarm. Komuchy rzuciły robaki na plantacje owoców. Marionetkowy Somoza obiecywał niedługo represje.

Podkradli się do altanki przy stawie z karpami koi. Dokoła siedziały koty i śliniły się do rybnego obiadku. Sięgały pazurami, chwytaly i nigdy nie trafiały. Karpie miały sonar i radar.

Ivar Smith był wysokim gościem w ciuchach golfisty. Prawicowym gadułą wypełnionym przedpołudniowymi koktajlami Singapore Sling. Dominikański chwaliپیęta generał i komitet powitalny. Prowadził firmę ochroniarską. Asystował bandyckim szwadronom szefa Balaguera. Balaguer łaknął tych amerykańskich kasyn i pragnął dużego ruchu turystycznego. Tak, napiszę ten raport. Dominikana to dojrzały owoc. *Yanqui, sí, Commie, no*. Chcemy wasz biznes.

Zapłać mi. Jestem łącznik. Posmaruję Balaguerowi. Kontyngent CIA – wszystko narąbane jebaki. Balaguer był delikatnie *fascisto*. Na osobności gwałcił dojrzewające dziewczęta, a publicznie epatował przyzwoitością. W ten sposób był anty-Trujillowy. Dominikana wróżyła turystyczną bonanzę. Chłopcy Smitha i zbiry La Banda rutynowo odwozili niezdolnych czarnuchów do Haiti. Balaguer miał dwupunktowy plan: obejść właściwy proces i eugenicznie wybielić kraj o trzy odcienie. Kasyna przyciągną szychy. Chłopcy Smitha i La Banda będą robić za sprzątaczy i śmieciarzy.

Tak, Haiti było blisko. Dajabón, rzeka Masakry, była trafnie nazwaną linią graniczną. Smith odrzucał Haiti i voodoo. Papa Doc Duvalier gwałcił Haiti, jak Trujillo gwałcił Dominikanę.

Mówili o Trujillo „Kozioł”. Nękał haitańskich osadników w Dominikanie. To rasowe gówno. Bładoskórzy Dominikanie mieli hiszpańskie korzenie. Nienawidzili atramentowoskórych Haitańczyków z ich religią ruchania kurczaków i francuskim afektem. Haitańczycy mieli lewicowych sojuszników. Była tam grupa komuchów o nazwie Ruch 14 czerwca. Smith i La Banda uciskali ich dla sportu.

Ho, ho – sześć Singapore Slings i ciągle na nogach!

Na północnym brzegu Dominikany-Haiti jest małe miasteczko. Rządzi tam skorumpowany człowiek z Tonton Macoute. To dobry przystanek dla operacji kubańskich. Zaciszne, głębokie zatoczki.

Smith przeszedł niepostrzeżenie do tych bardzo złych Kubańczyków. Teraz byli w Managui. Wszystko to byli cholerni zabójcy. Mieli bukku heroinowe CV. Przekazywali kradzione z aptek narkotyki przez grupę udziałowców UF w Miami. W grupie jest paru byłych agentów CIA. Wielki członek: kumpel Dicka Nixona, Bebe Rebozo.

Zgniłe jabłka. Wybierali apteki należące do komunofilów. Robili skoki w Gwatemali i Hondurasie. Podobno dzisiaj w nocy mieli tutaj napaść na aptekę.

Smith wygasał. Twarz mu poczerwieniała rumowo. Teraz nadeszła kolej Mesplède’a.

Chcę się spotkać z Kubańczykami. Mogę wziąć ich do nadzoru robót budowlanych. Mam heroinowe listy uwierzytelniające. Chcę organizować operacje antycastrowe.

Smith wytoczył się z baru. Ściągnął kelnerce z głowy banana, ugryzł go, obrał i tak dalej.

Książka telefoniczna była *en español*. Crutch wyrwał stronę z listą *farmacias*. Managua była wielkości Pipidowy. Sześć aptek, *no más*. Miasto zbudowano na planie siatki. *Calles* krzyżowały się z *avenidas*. Nigdy nie widział napadu na aptekę. Żabojad drzemał. Sprawdźmy Kubańczyków przy pracy.

Recepcjonista dał mu plan miasta. Małe centrum Managui dawało się szybko przejść na piechotę. Klębiło się tu od peonów. *Mamacitas* gotowały placki z mięsem na grillach skleconych z siatki drucianej i śmietników. Mięso gołębie. Gołębie przysiadły wszędzie. Dzieciaki strzelały do nich z wiatrówek i pakowały je do papierowych torebek.

Kilka ładnych drzew, wietrzyk znad jeziora, budynki w krzykliwych kolorach. Gliniarze w butach wojskowych, uzbrojeni w pałki z drutem kolczastym.

Dzięki prostopadłości ulic szło mu łatwo. Szybko odszukał cztery apteki. Wyglądały nieszkodliwie: jasne ściany, wąskie przejścia, przy ladzie w głębi latynosi w białych fartuchach. Wielka kartonowa reklama listerine i pepsodentu. Żadnych sygnałów, że łatwo tu zrobić rabunek.

Crutch włókł się calle Central i avenida Bolivar. Małe latyniątko machały zdechłymi gołębiami. Crutch rzucił im amerykańskie dziesięciocentówki i patrzył, jaka burda się z tego wywiązuje.

*Numero 5*: punkt z wielkim czerwonym krzyżem i wielkim automatem do coli. Nie czuć napadem. Dobięgała szósta, niedługo mieli zamykać – *trabajo finito*.

Crutch skręcił w zaułek. Przyciągnęło oczy: Gonzalvo Farmacia. Cichy, niewielki punkt z wielkim, głośnym plakatem.

Żebrzące chore dzieci. Nixon z kłami. Jasnoczerwone komunistyczne hasła. *Mucho* wykrzykników.

Czterech *cholos* po drugiej stronie ulicy, w mercu '55. O tak, wyglądają źle, bardzo źle. Ich bryka wygląda satanistycznie. Obudowane koła, chromy, skalpy na antenie.

Nie ma żartów. Ciemne latynoskie włosy, skóra obszyta, zabezpieczona.

Crutch przeszedł do głównej. Przeprowadził rozpoznanie i znalazł przejście za rzędem budynków. Odliczył cztery do apteki, może boczne okno da się wyjść.

Pochylił się i szedł w przykucu. Dotarł na tyły apteki i spojrzał na okna. Te od zaplecza były zakratowane. Zobaczył półki z prochami i trzech farmaceutów przy pracy. Boczne okna nie były zakratowane. Jedno uchylone. Zasłaniał je karton na sztalugach.

Pełzanie, chowanie.

Crutch uchylił okno o pięć centymetrów więcej i wemknął się do środka. Kolanami uderzył o reklamę. Chwycił sztalugi i uspokoił je.

Rozejrzył się. Karton reklamował krem do skóry Noxzema. Ładna *chiquita* nacierała ramiona i dziwiła się, że ojej, jaki efekt. Wyglądający na szefa przepędzał dwóch klientów. Trzech farmaceutów stało przy ladzie i rejestrowało recepty.

Widok prima sort. Jest zegar, 17.58, wchodzi czterech *bandidos*.

Szefowaty wygląda na wkurzonego. Kolesie się rozchodzą. Jeden ogląda pomadę, trzej przechodzą w głąb. Szefowaty odwraca się plecami i czyści półkę ze słodyczami. Ten od pomady wyciąga rewolwer z tłumikiem i podchodzi do niego. Szefowaty odwraca się i mówi „Och”. Pomada wsadza mu lufę do ust i odstrzeliwuje mu tył głowy. Tłumik wydaje głuchy odgłos, mózg i czaszka się rozpryskują. Żadnego łomotu – szefowaty po prostu ześlizguje się po półkach i umiera.

Farmaceuci dalej pracują. Jeden z gości podchodzi do pasty do zębów Ipana. Jeden do Clearasilu. Jeden do Vick's VapoRub. Farmaceuci załapują. Jeden zaczyna płakać. Jeden chwyta medalik ze swoim świętym. Jeden próbuje uciekać.

Ipana sięgnął po broń i strzelił do wszystkich po dwa razy. Padli ciężko. Ich krzyki i bulgoty się zmieszały. Clearasil doskoczył do lady i sięgnął do schowka z mocnymi narkotykami.

Krew ściekła z półki z lekarstwami na astmę. VapoRub zamoczył w niej palec. Znalazł kawałek białej ściany. Napisał: „MATAR TODOS PUTAS ROJA”.

Crutch wrócił do Lido Palace. Na trzęsących się nogach. Rabusie szybko weszli i wyszli. On opuścił kryjówkę roztrzęsiony i łkający. Ukradł colę i bromo i wciągnął je, żeby przełknąć

zółc. Na drżących nogach podszedł do baru, zamówił trzy szkockie i udał się do swojego pokoju.

Ktoś położył na jego łóżku pudełko zapakowane w szary papier. Na stemplu pocztowym przeczytał „Langley, Wirginia”. Rozpakował paczkę. Żabojad dotrzymał obietnicy – oto książka deszyfrująca.

Wyjął zdjęcia notesu adresowego Gretchen/Celii. Rozłożył je na biurku. Przejrzał książkę kodową i przeszedł do biurka po zawartość. Zobaczył listę „Indeks symboli”. Obejrzał. Od chuja symboli, wszystkie opisane alfabetycznie. Wyróżnienia geograficzne i polityczne w nawiasach.

Crutch przejrzał zdjęcia zrobione minoxem. Symbole Gretchen/Celii: schematyczne rysunki postaci ze znaczkami X i artystycznie poszatowanym tłem. Przejrzał książkę kodową. Żadnych liczb ani liter odnoszących się do liczb i liter Gretchen/Celii. Zobaczył inne warianty jej postaci i znaczków. Przeczytał tekst: „Przedstawienie duchowego chaosu przez kapłana voodoo, kiedy ofiara jest pod wpływem uroku”.

Dom Grozy, zeszłe lato. Tamte znaki, te symbole, opis.

Jasna sprawa: kartki Gretchen/Celii były papierową kłutwą i księgą umarłych voodoo.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 29.01.1969. Fragment dziennika Marshala E. Bowena.

Los Angeles

To była nieważna walka na noże z ważnymi politycznymi konsekwencjami dla dwóch skrajnie nieistotnych ugrupowań politycznych. Niemniej ułatwiłem ją i rozegrała się pierwszego dnia pracy Wayne’a Tedrowa w roli mojego łącznika.

Jomo odniósł nieistotne obrażenia, a Leanderowi zostały siniaki na klatce piersiowej, po tym jak Jomowi złamał się nóż. Wayne zabrał Joma do Szpitala Daniela Freemana. Zszyto go i wypuszczono po kilku godzinach. Ja zabrałem Leandera do Szpitala Morningside. Wprawił lekarzy w zakłopotanie, połykając na izbie przyjęć kilka pigułek haitańskich ziół. Placebo go jakoś uspokoiło. Jomo to FWMM, Leander to SCP. Do których ja trafię? To mój osobisty dylemat, oczywiście. Jak zawsze borykam się z tą nieznośną dysjunkcją: realna konstrukcja czarnej tożsamości i wątpliwa konstrukcja rewolucji, zrealizowana przez zbrodniczą szumowinę usiłującą czerpać korzyści ze słusznej krzywdy społecznej i trendu kulturowego.

Teraz to czuję: pan Holly wiedział, że powiedzie mi się ta infiltracja, ponieważ jestem zbyt bystry, by dać się przekonać retoryce rewolucji, i zbyt na czasie, by łyknąć naiwny odzew reakcyjny. Pan Holly rozumie, że niezdecydowanie decyduje o jakości przedstawienia i że aktorzy koniec końców są skupieni na sobie i tylko ich dotyczy kontekst przedstawienia. Pozwoli mi stąpać po cienkiej linii ideologicznej i wręcz ryzykować konwersję na bojówkarza, ponieważ wie, jak samolubne kierują mną motywy. Błyskotliwy pan Holly. Niezrównanie

utalentowany obserwator ze znakomitym wyczuciem całokształtu gry aktorskiej. Obsadzenie Wayne'a Tedrowa w roli mojego łącznika pozwala zabłysnąć mojej sile i sile Wayne'a i natychmiast okazuje się opłacalne. Były glina z potężnym bagażem rasistowskim nadzoruje Taxi Tygrys; bracia myślą, że to łajdak, i raczej im się podoba. I nikt nie podejrzewa, że to pomagier FBI.

Obaj panowie mnie naciskają: Wayne chce, żebym sprzymierzył się jednostronnie albo z SCP, albo z FWMM. Pan Holly chce, żebym jakoś ułatwił narkotykową część OPERACJI BARDZO ZŁY BRAT, a tej części mojego zadania Wayne nie aprobuje z żarliwością niemal kalwińską. Heroiny w okolicy brakuje. Ze względu na jej stosunkowy niedobór daję wiarę pewnej formie czarnej świadomości, może nawet czarnej wojowniczości. Tym samym w najbliższym czasie nie mogę podkablować członków SCP ani FWMM za nabywanie ani za sprzedaż. Będzie więcej napadów na monopolowe w południowej dzielnicy, pełno plotek o podejrzanych czarnych bojówkarzach, ale moje delikatne rozpoznanie w temacie jeszcze nie ujawni żadnych nazwisk. Mam nadzieję, że awantura Jomo–Leander zaogni relacje między kierownictwami SCP/FWMM i spowoduje jakieś niezadowolenie, które da się wykorzystać. Tymczasem czynię przygotowania.

Powkręcałem się na imprezy z udziałem politycznych pozerów wszelkiej maści. Odtwarzają zatęchłą postać nowojorskiej kawiarnianej socjety z lat trzydziestych. Wtedy towarzystwo przesiadywało w El Morocco, Stork Club i 21, teraz przesiaduje w Tacce Sułtana Sama, Barze Skorpion i Słodkim Szale. Odcień skóry pociemniał, zmieniła się moda, knajpiane życie kulturalne zostało upowszechnione i reanimowane. Ci ludzie uwielbiają widywać i być widywanymi. Ezzard Donnell Jones, Joan Klein, Benny Boles, Joe McCarver i Claude Torrance skaczą po klubach niemal co wieczór. Ja zawsze zasługuję na „Racja!” albo „Cześć, bracie”, bo jestem gwiazdą, męczennikiem i cenionym towarem zarazem. Wyczuwają, że chcę być jednym z nich, i chyba postrzegają mój brak przynależności do jednej grupy jako znak skromności i zrozumiałego oporu. „Musimy bratu pozwolić na wybór. No ja jebię, przecież on jeszcze kilka miesięcy temu był świnią!”

Od kilku tygodni południową część miasta zasypuje niepokojący grad nienawistnych komiksów. Głównie wymierzonych w Pantery i ZN, ale też w SCP i FWMM. Mój przyjaciel, który rysuje komiksy i pisze nienawistne traktaty, Jomo, wyśmiewa ich artyzm i przekonał mnie, że nie wyszły one spod jego ręki – „Nie mój styl, barcie. To robota pana Hoovera, ja ci to mówię”. Pan Holly polemizuje z tym – przekonująco – bo zwykle nie zapodaje jednoznacznych potwierdzeń ani zaprzeczeń, postrzega mnie jako bratniego glinę po swojej stronie i nie próbowałby nieszczerze twierdzić, że takie poczynania są poniżej godności Biura. Dwight Chalfont Holly, realista, człowiek, który czarnucha nazywa czarnuchem, a czasami smoluchem, bambusem, koksem, asfaltem, bambo, kunta-kintem czy zulusem. Mistrz niejednoznacznego przekazu. Krytyk obrzydliwie napastliwego postępowania Policji LA

w południowej części miasta. Człowiek, który ze smutkiem przyznaje, że tłumienie nigdy nie zdaje egzaminu, wyraża dość udręczony szacunek do Martina Luthera Kinga i bawi się robieniem ze mnie heteryka w improwizowanych skeczach rodem z *Amosa 'n' Andy'ego*. Gardzę wyświechtanym wyrażeniem „niezła robota”, ale tak to pan Holly określa. To samo wyrażenie odnosi się do jego udręczonego adiutanta i quasi-młodszeo brata Wayne'a Tedrowa – może jeszcze bardziej. Jakie to dziwne, że z nich dwóch to Wayne jest prawdziwym zabójcą; jakie to dziwne, że on zdaje się w mniejszym stopniu powodowany motywami rasowymi i wydaje się bardziej zdolny do utrzymywania poprawnych relacji z czarnymi. Lubię Wayne'a. Podobało mi się te kilka spotkań łącznik/agent, które odbyliśmy. Rozpuściłem wieść, jak to zabił trzech czarnych ćpunów i psycholskiego gwałciciela Wendella Durfee. Oczywiście braciom się to zajebiście spodobało. Wayne już się stał esencją niejednoznacznej mądrości getta. Aaaa, ten Wayne T., ten to dopiero jest zły.

I coś jeszcze.

Na jedno z naszych spotkań stawilem się wcześniej. Zaskoczyłem Wayne'a. Widzialem, jak patrzy na zdjęcie czarnej kobiety. Wyrażnie się zakłopotał. Odłożył zdjęcie i obdarzył mnie spojrzeniem nakazującym szorstko: „Nie pytaj”. Nie spytałem Wayne'a. Spytałem pana Holly'ego, który odpowiedział: „Wayne ma z wami silne powiązania, czarni matkojebcy”, i tym uciął temat.

Poszukałem trochę w gazetach z Las Vegas i zidentyfikowałem kobietę ze zdjęcia jako działaczkę związkową Mary Beth Hazzard. Jest dziesięć lat starsza od Wayne'a i jest matką dawno zaginionego syna o imieniu Reginald. Reginald Hazzard to ten młody człowiek z fotografii, którą Wayne pokazał w dniu, gdy się poznaliśmy. Wayne pokazuje fotografię niemal każdemu, kogo spotyka na południu miasta, i chyba postanowił znaleźć młodzieńca, choćby się waliło i paliło. Przeszukując gazety, trafiłem na jeszcze jedną informację: w zeszłym roku narkoman z zachodniego Las Vegas zabił męża pani Hazzard, pastora, po czym popełnił samobójstwo. Zdumiewające, nieżyjący już narkoman został wskazany jako morderca ojca Wayne'a w czerwcu 1968. Jeszcze bardziej zdumiewające: w Vegas mówi się, że Wayne'a seniora zabił Wayne junior ze swoją zmarłą macochą/kochanką.

Wayne i pan Holly absorbują mnie na kilku poziomach. Nie są to łajdackie gliny w rodzaju Scotty'ego Bennetta – są to łajdaccy despoci. A Wayne, co niebywałe, pojawił się w moim życiu w chwili, kiedy moje nieśmiałe śledztwo w sprawie napadu na furgonetkę opancerzoną okazało się bezowocne i po raz kolejny znalazłem się w punkcie wyjścia. W tym właśnie momencie poznałem Wayne'a. Jak gdyby nigdy nic pyta mnie, czy slyszalem o Murzynach, którzy dostają szmaragdy nie wiadomo od kogo. Pokazuje mi fotografię młodego Murzyna, którego szuka. Młodzieniec mgliście przypomina człowieka ze spaloną twarzą, którego spotkałem 24.02.1964 roku. Czuję się, jakbym wchodził w stan snu pełnego szczęśliwych odkryć. Co to wszystko znaczy?

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 11.02.1969. Dosłowny zapis rozmowy telefonicznej sporządzony przez FBI. Oznaczony: „Nagrany na polecenie Dyrektora”/„Tajne 1-A: Zastrzeżone dla Dyrektora”. Rozmawiają: Dyrektor Hoover, Agent Specjalny Dwight C. Holly.

JEH: Dzień dobry, Dwight.

DH: Dzień dobry panu.

JEH: Wayne Tedrow i posępna Murzynka Mary Beth Hazzard. Byłoby niedbalstwem z mojej strony, gdybym nie wyraził swego przerażenia i zachwytu.

DH: Oczywiście, proszę pana.

JEH: Poczucie winy przybiera różne formy. Pani Hazzard nie jest nadobną murzyńską damą w rodzaju Leny Home. Niewątpliwie ma skłonność do powtarzania wyrażeń w rodzaju „władza dla ludu” i jest podatna na muzykę Archiego Bella i tych Drelli.

DH: Tak, proszę pana.

JEH: Dzisiejszego poranka udaje pan głupiego, Dwight. Zupełnie jak w tysiąc dziewięćset dziewiętnastym, kiedy deportowałem Emmę Goldman.

DH: Tak, proszę pana.

JEH: Sirhan Sirhan ma proces, a formalne procedury w sprawie Jamesa Earla Raya powinny się rozpocząć w kwietniu. Czy pan mówił, że Biuro jest w tej sprawie absolutnie kryte?

DH: Tak, proszę pana.

JEH: A zabójstwo doktora Freda Hiltza?

DH: Tak samo, proszę pana. Jesteśmy kryci. Jack Leahy tego pilnuje.

JEH: Jack Leahy to Alger Hiss dla mojej HUAC<sup>9</sup> i Costello dla mojego Abbotta. To zdrajca i nieśmieszny tani komediant, który od wieków wykpiwa moje słabości.

DH: Tak, proszę pana. Nikt tak jeszcze nie rozszyfrował Jacka jak pan.

JEH: Był pańskim partnerem w dwudziestym trzecim. Pracował pan z nim w Biurze w Milwaukee.

DH: Tak, proszę pana, pamiętam.

JEH: Jestem zbulwersowany tymi nienawistnymi komiksami, które krążą po południowym Los Angeles. Chcę, żeby pan niezwłocznie określił ich pochodzenie i przysłał mi kopie wszelkich pozostałych takich wytworów plugastwa.

DH: Zabiorę się za to, proszę pana.

JEH: Wayne Tedrow jako łącznik Marshalla Bowena. Nadal obstaje pan przy tym wyborze?

DH: Z całą stanowczością, proszę pana.

JEH: Dlaczego, proszę mi wyjaśnić. Bo ciemnoskóra wdowa po pastora, którego zabił, przepełniła młodego Wayne'a nadmiarem soulu?

DH: Tak, proszę pana. Po części.

JEH: A nasze asfaltowe słodziaki, SCP i FWMM? Czy będą współpracować w ramach naszego planu rozprowadzania heroiny?



DH: Tak sądzę, proszę pana.

JEH: A jak tam młodsza córka informatora 4361?

DH: Cała i zdrowa, proszę pana.

JEH: A pańska nowsza informatorka/umiłowana?

DH: Jest obecna w moich myślach nieustannie, proszę pana.

JEH: Jako i pan w moich, Dwight.

DH: Dziękuję panu.

JEH: Miłego dnia, Dwight.

DH: Miłego dnia, proszę pana.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 13.02.1969. Wiadomość ze skrzynki kontaktowej. Do: Wayne Tedrow. Od: Pułkownik Ivar S. Smith, Korpus Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych (w stanie spoczynku). Przewodniczący: ISS Security Limited, Santo Domingo, Dominikana. Oznaczone: Dostarczyć do rąk własnych przez kuriera/Po przeczytaniu zniszczyć.

Szanowny Panie Tedrow,

list niniejszy jest owocem niedawnej podróży Pańskiego kolegi Jeana-Philippe'a Mesplède'a do Dominikany. Kolega Pański podjął tę podróż w celu obejrzenia ewentualnych lokalizacji pod kasyna i omówienia budowy rzeczonych hoteli-kasyn w tym kraju. Z radością chciałbym Panu przekazać, że prezydent Joaquín Balaguer bardzo pragnie, abyście tu właśnie, Panowie, założyli swój interes, i zobowiązał się przeznaczyć pewne zasoby na cel przekonania Panów do tej idei. Krótkie wprowadzenie da Panu pewne wyobrażenie o Dominikanie i naszym wyspowym sąsiedzie, Haiti, a przede wszystkim przekona Pana, że to miejsce jest bezpieczne dla amerykańskich turystów, dla Pańskich mocodawców i personelu hoteli-kasyn.

Dominikana obejmuje wschodnie dwie trzecie wyspy Haiti, a Santo Domingo, odkryte przez Kolumba w 1492 roku, jest uważane za najstarsze miasto półkuli zachodniej. Niezliczone przewroty z udziałem Hiszpanii, Francji i Holandii doprowadziły do uniezależnienia Dominikany od Hiszpanii. Liczne bitwy pomiędzy tubylczymi Murzynami a Francuzami zapewniły niepodległość Republice Haiti. Pomiędzy Dominikaną a jej sąsiadem relacje pozostały napięte, i tak jest do dziś. W Haiti jednakże istnieje stan straszliwej biedy, podczas gdy z Dominikany z każdym dniem wyrasta bezpieczna i zdrowa, proamerykańska, antykomunistyczna republika. Granica z Haiti jest intensywnie patrolowana przez wojska Dominikany, którym towarzyszą funkcjonariusze z osobistej jednostki wywiadowczej prezydenta Balaguera o nazwie La Banda, we współpracy z moją firmą ochroniarską. Wyżej wspomniane jednostki zrekrutowały całą siatkę informatorów. Mieszkańcy Dominikany pochodzenia haitańskiego i nielegalni haitańscy imigranci w D. są skutecznie nękani. Haitańczycy to lud prymitywny, silnie uzależniony od praktyk voodoo i bezwolny z powodu nałogowego spożycia alkoholu klerin, jak również halucynogennych ziół. Prezydent Haiti,

François „Papa Doc” Duvalier, doszedł do władzy jako zwolennik voodoo i uciska naród dzięki temu, że zgadza się na rozkwit voodoo. Jego osobista milicja, Tonton Macoute, jest rekrutowana spośród społeczności voodoo. Voodoo to główne narzędzie prezydenta Duvaliera do zachowania status quo i pozostania przy władzy. Pod rządami dominikańskiego prezydenta Trujilla (1930–1961) wojsko dominikańskie dopuściło się kilkakrotnie rzezi na niesfornych imigrantach haitańskich. Czternastego czerwca grupa zwolenników Castro o nazwie Ruch 14 czerwca dokonała nieudanej inwazji na wybrzeże Dominikany. Krótka wojna domowa w 1965 roku była po prawdzie farsą, bezwzględnie zakończoną, kiedy prezydent Johnson wysłał z interwencją kontyngent piechoty morskiej, by przywrócić porządek w narodzie spragnionym wolnych wyborów. Lewicowiec Juan Bosch został wybrany nieuczciwie i sprawował władzę krótko. Prawdziwie wolne wybory przeprowadzono w 1966 roku. Bosch został usunięty ze stanowiska, a z honorem wybrano proamerykańskiego prezydenta Balaguera. Ostatnia jednostka piechoty morskiej została wycofana z Dominikany 19.08.1968 roku.

Prezydent Balaguer nie jest tak ekstrawagancki jak Rafael Trujillo, wie, jak po cichu zachować niezależność, i rozumie, jak ważne jest istnienie porządnego państwa, które chętnie będą odwiedzać turyści amerykańscy i europejscy. Utrzymuje dobre stosunki z wojskiem, na wypadek gdyby były potrzebne zdecydowane akcje albo czystki Haitańczyków czy też lewicowych rebeliantów. Prezydent Balaguer pragnie też aktywnie uczestniczyć w Waszym przedsięwzięciu i zobowiązuje się zapewnić grunt wolny od obciążeń pod kasyna we właściwym Santo Domingo i poza nim (por. załączony raport analiz budowlanych i analiz gruntu). Przyzna Hughes Air wyłączne prawo do zarezerwowanych dla VIP-ów pasów startowych na lotnisku w Santo Domingo, zbuduje dodatkowy, wolny od opłat pas startowy dla zwiększonego ruchu lotniczego i dostarczy niewykwalifikowanej siły roboczej spośród chłopów haitańskich oraz dominikańskich do budowy kasyn. Firma budowlana, której jest współwłaścicielem, dostarczy materiały budowlane po obniżonych stawkach, a moja firma ochroniarska i La Banda są gotowe zapewnić całodobowe bezpieczeństwo placów budowy. Polecam Kubańczyków – WILTONA MORALES, FELIPE GÓMEZ-SLOANA, CHICA CANESTELA I CRUZA SALDÍVARA – jako szefów budów kasyn. Są to kubańscy najemnicy, płynnie posługujący się językiem hiszpańskim oraz angielskim, i od dawna powiązani służbowo z agentami w mojej firmie ochroniarskiej i agentami w La Bandzie. Raz jeszcze podkreślę: zagrożenie rewoltą czy błazenadą lewicowych ugrupowań w niczym nie zagrozi budowie kasyn, a obecność niesfornych haitańskich emigrantów i dominikańskich chłopów będzie zredukowana, zanim osiągnie punkt, w którym może zaniepokoić turystów. W chwili gdy piszę ten list, prezydent Balaguer przygotowuje dodatkowy pakiet motywacyjny jako swoiste osobiste *Bienvenidos!* skierowane do Pana i grupy Pańskich inwestorów.

Podsumowując, mogę tylko zapewnić, że Pan i Pańscy ludzie postąpiliby słusznie, odpowiadając *Si!* na naszą propozycję. Będziecie mile widziani w kraju ze stabilną sytuacją polityczną, silną gospodarką i przywództwem, które chętnie poda Wam pomocną dłoń.

Z poważaniem

Ivar S. Smith, KPMSZ (w stanie spoczynku)

# 61

(Las Vegas, 16.02.1969)

Biuro Szeryfa Hrabstwa Clark przesłało kolejne dokumenty. Wayne przejrzał teczkę i przypiął dokumenty do ściany.

Notatki z zebranego wywiadu – kopie akt policji Las Vegas. Kopie protokołu przekazania – umazane kalką.

Wnęka na akta była przeładowana – trzeba przenieść sprzęt chemiczny, żeby mieć miejsce na półkach. Chwila, coś tu jest...

Wayne przypiął to do ściany. Mandat za parkowanie, 29.11.1963. Parkowanie przy hydrancie. Monroe Street 2082, północne Vegas. Reginald Hazzard dostał go tydzień przed swoim zniknięciem.

Był to teren trójrasowy. Tak zarządziła Baza Sił Powietrznych Nellis. Na część handlową składały się punkty z automatami i tanie bufety. Były to biznesy jednorasowe. Biali mieli Shamrock, czarni Monty's Mosque, a Meksykanie Al's Alamo.

Ulice mieszkalne mieszały się i przecinały. Wayne zaparkował na Monroe i ruszył piechotą. Przeczytał wcześniej raport Ivara Smitha i przygotował streszczenie dla Chłopców. Gleba i miejsca pod budowy były znakomite. Balaguer chciał, żeby otworzyli tam interes. Płacił im za to, żeby przyjechali i budowali. Chłopcy powiedzieli: jedźmy. Wayne zadzwonił do Smitha do Santo Domingo. Smith powiedział, że Balaguer chce dla siebie pięćdziesiąt tysięcy miesięcznie. Wayne powiedział, że ok. Chłopcy powiedzieli, że ok. Wayne zaproponował zdobycie glejtu od Dicka Nixona. Farlan Brown powiedział: potrzebny nam łącznik do pogawędki. Kandydat Wayne'a: Dwight Holly.

Prezio był glinofilem i niedoszłym agentem FBI. Uwielbiał gadać z federalnym twardzielami. Dwight Egzekutor? Nie mogłoby być lepiej.

Same zniszczone mikrusie domy z pustaków. Okna pokryte folią, żeby oszukać upał. Wayne zaczął od 2082 i pukał od drzwi do drzwi. Była 16.10. Znalazł przedstawicieli trzech ras pracujących w Nellis. Uśmiechał się, mówił cześć, pokazywał zdjęcie Reginalda. Cztery razy nie dostał żadnej odpowiedzi, a czternaście razy negatywną.

Szedł dalej. Minął go radiowóz. Gliniarz go rozpoznał i zrobił „bum!”.

Kolejne trzy razy bez odpowiedzi i kolejnych dziewięć odpowiedzi negatywnych. Minął dom z otwartym garażem. Zobaczył Murzyna gotującego coś w kadzi na kuchence. Pachniało tropikalnymi roślinami i amoniakiem.

Mężczyzna machnął na niego. Wayne podszedł. Opary z kadzi go odrzuciły. Mężczyzna śmiał się i śmiał, i śmiał.

Uścisnęli sobie ręce. Mężczyzna coś mówił, krztusząc się. Miał zaśpiew francusko-wyspiarski. Wayne rozejrzał się po garażu. Wyglądało jak w jego laboratorium, tylko w wersji zapuszczonej – tanie urządzenia i butelki opisane etykietami przyklejonymi taśmą.

*Urera baccifera. Diodon holocanthus. Crapaud blanc. Theraphosidae E., Anolis coelestinus, Zanthoxylum martinicense.*

Sproszkowane kolczaste rośliny, stosowane miejscowo środki drażniące, mielone tarantule, jaszczurki i ropuchy.

Mężczyzna się uśmiechnął.

– Zatrucie tetrodoksyną – powiedział Wayne.

Mężczyzna skinął głową.

– Jest pan chemikiem?

– Tak.

– Może mi pan powiedzieć coś jeszcze?

Wayne przejrzał etykiety. *Tremblador, Desmembres*, rozdymka, parząca pokrzywa. *Diffenbachia seguine* – silnie drażniąca roślina.

– Mam nadzieję, że używa pan tych składników w zbożnych celach.

– O tak. Jeśli można uznać za zbożny cel walkę z inwazją wściekłych gofferów na moim podwórku.

Wayne się uśmiechnął.

– No to radziłbym dodać więcej amoniaku i z proszku przygotować emulsję.

Mężczyzna chwycił długopis i zapisał coś po francusku w notatniku. Wayne rozpoznał zapachy: alkaliczne zmieszane z ziołem.

Wyciągnął zdjęcie okazowe. Mężczyzna założył okulary i pochylił się pod lampką.

– Widziałem tego młodzieńca.

– Kiedy?

– Dokładnie pamiętam. Zaraz po tym, jak zastrzelono prezydenta.

– A w jakich okolicznościach?

Mężczyzna posmarował maścią zacięcie na palcu. Skóra natychmiast się obkurczyła, a rana się zamknęła. Wayne poczuł wodorotlenek potasu i coś zupełnie nowego. Efekt go oszołomił.

– To był miły młodzieniec i chemik amator, z ogromną wiedzą. Słyszał o mnie. Interesowały go znieczulające właściwości haitańskich ziół, szczególnie ich możliwości przeciwbólowe i zmniejszające palność.

## 62

(Los Angeles, 18.02.1969)

Emma Goldman, Moskwa, Archie Bell and the Drells. Zapchane żyły nakłaniają do Looney Tunes.

Stara ciota była niedzisiejsza. Jak długo mógł trwać? Ile gównianej roboty przydzielić?

Rasistowski szajs nakłania do szajsu nienawiści. Doktor King miał sen. Pan Hoover miał ubaw z komiksów.

Nienawistne komiksy i nienawistne sonety. „Tu kokoszka kaszkę warzyła. Temu dała w miseczkę. Temu dała w łyżeczkę. A temu nic nie dała, bo Panterze obciągała”.

Dwight jeździł od drukarni do drukarni. Przerabiał listę z książki telefonicznej. Też drukowanej. Druk za drukiem i drukiem pogania.

Padało. Miał za sobą szesnaście drukarni. Pokazywał ten nienawistny szajs i masowo psuł humory. Jego odznaka i nerwy powodowały odloty. Tępaki pokazywały mu pacyfki.

Panu Hooverowi podobały się pacyfki. To był „odcisk łapy amerykańskiego kurczaka”.

Dwight kierował się na północ. Jeździł już od pięciu godzin. Południowa dzielnica i Miracle Mile były kaput. Następne Hollywood.

Wszedł do drukarni na Fountain i do drukarni na Cahuenga. Po drodze słuchał radia. Pasma policyjne szalało. W centrum marsz przeciwko wojnie. W Boyle Heights marsz zbieraczy owoców. Mnóstwo czarnych małąp kierowało się na południe.

Usłyszał „Nie” i „Nie, proszę pana”. Ruszył na wschód. Sprawdził drukarnię na Vine i drukarnię na Wilton. Pryszczaty szczeniak zarechotał na widok nienawistnego szajsu. Hipiska powiedziała „Eee”.

Wszedł do drukarni na Vermont. Poczł marihuanę i kadzidełko. Dwoje dzieciaków przy ladzie kiwało się z głupkowskim uśmiechem. Po wyglądzie rozpoznali jego zawód. Dziewczyna podała skręta chłopakowi. Chłopak go zjadł.

Dwight pokazał szajs.

– No i? To nie jest nielegalne – powiedział chłopak. Dziewczyna zachichotała.

Przyglądali się szajsowi. Dwight rozłożył go, żeby lepiej im się rzucało okiem. Dziewczyna skupiła się na dobrze podwieszonym koleśiu.

– To wolny kraj – powiedział chłopak.

– Drukowaliście te materiały?

– Tak, jasne, to wolny kraj.

Dziewczyna zachichotała:

– No, tak jakby.

– Kto to przyniósł? Jak wyglądali? Kto odebrał? Jak zapłacili albo gdzie to wysłaliście?

– To cenzura – powiedziała dziewczyna.

– To wolny kraj – powiedział chłopak.

Dwight podszedł do drzwi, zamknął je i wrócił do lady. Dziewczyna zagryzła wargę. Dwight zacisnął pięści.

Chłopak oklapł.

– Płacili gotówką, dostawa gdzieś do Eagle Rock. Kobieta, silna taka, wie pan, taka herod-baba, że nie chciały pan z nią mieć nic wspólnego.

Dwight się uśmiechnął.

– Czterdziestka z małym okładem, ciemne włosy, siwe pasma, okulary. Na ramieniu blizna po nożu.

Dzieciakom opadły szczęki.

– Jak miała na imię? – spytał.

– Joan – odparła dziewczyna.

Okolica była pagórkowata i dość tania. Parę ładnych widoków, kręte malownicze trasy. Koegzystencja białych sztywniaków i meksów. Naklejki na zderzakach „Wallace na prezydenta” i tanie tacoknajpy.

Pod wskazanym adresem stał pawilon pomalowany w cętki. Jakiś wieśniak zdarł biały tynk, żeby ściany wyglądały na cieniowane. Osiem mieszkań ze szparami na listy. Senna cisza o 15.00.

Dwight wcisnął dzwonek przy drzwiach. Mógłby zbudzić umarłego. Przyłożył ucho do szpary przy zawiasie i nasłuchiwał pustki. Odczekał pół minuty, wyjął scyzoryk i sforsował zamek. Łatwo poszło.

Za łatwo, nie-Joanowo.

Wszedł i założył łańcuch. Włączył górne światło i szybko się rozejrzał. Salon-sypialnia, łazienka-kuchnia. Niepościelone składane łóżko.

Noclegownia przemytnika, nie kryjówka. Krótkoterminowa meta – przystanek zbiega.

Dwight przeszedł przez nią. Wiedział, że w kuchni znajdzie żarcie w puszkach. Wiedział, że znajdzie tanie przybory w kiblu. Wiedział, że znajdzie ciuchy, w których nigdy jej nie widział. Toaletkę zostawił na koniec.

Sprane dżinsy, letnie sukienki o fasonie odsłaniającym ramiona.

Dotykał wszystkiego. Kilkanaście razy przeszukiwał mieszkanie Karen. Nigdy nie dotykał co delikatniejszych rzeczy.

Dwight siadł na łóżku. O zagłówek opierały się dwie poduszki. Znowu zaczęło padać. Metr od niego przeciekał dach. Zrzucił poduszki. Oczywiście: pod spodem magnum i pamiętnik.

Rewolwer miał rękojeść owiniętą gumą. Dzięki temu nie zostawały na niej odciski i łatwiej się go trzymało. Pamiętnik miał okładkę z czarnej skóry i prawie nic nie ważył.

Otworzył go. Wypadło zdjęcie z polaroida. On, spał. W tle ich pokój w Statlerze. Leżał zwinięty ku jej połowie posłania.

Odłożył zdjęcie. Ręka mu drżała. Położył ją na poręczu, żeby się uspokoiła. Wyjął jedną kartkę. Ręczne pismo – ostre, kanciaste litery Joan Rosen Klein.

Jesteśmy zdecydowani osiągnąć ten sam rezultat i powoduje nami niemal ta sama użyteczność. Nasz wspólny cel to przygotowanie kontrolowanego chaosu. Dwight z zaangażowaniem popiera krótkoterminowe rozwiązania FBI. Ja chcę stworzyć iluzję, że operacja osiąga swój logiczny koniec, wiążący się z sukcesem. Dwight uważa, że taki koniec wykończy ruch czarnych nacjonalistów. Ja uważam, że ruch czarnych nacjonalistów zostanie tylko chwilowo zdyskredytowany. Dwight zrobi swoje i spojrzy na to zadanie jako całość wraz z powierzchownie poręczonym końcem. Odparciem tego niekońca będzie ciągły i ciągle rosnący poziom niedowierzania, moralne przerażenie i nieoficjalne potępienie, które doprowadzi w swoim czasie do na razie niewyobrażalnego planu wyzwolenia. FBI chce, żeby SCP i FWMM rozprowadzały heroinę. Uważają, że to ukaże czarny nacjonalizm jako z natury przestępczy, a czarnych ludzi jako z natury zdeprawowanych. Krótkoterminowy cel FBI to zneutralizowana czarna populacja. Długoterminowy cel to utrwalenie niewolnictwa rasowego. Ja chcę, żeby SCP i FWMM rozprowadzały heroinę. Zaryzykuję krótkoterminowe prawdopodobieństwo plugawości w żarliwej nadziei, że długotrwałe zepsucie heroiną doprowadzi do głębokiego wyrażenia tożsamości rasowej i ostatecznie do objawienia politycznego i rewolucji. W tym widzę honor, nadzieję i piękno, tam, gdzie nie widzi ich Dwight. Nasze cele są zarówno wrogie, jak i w pełni synchroniczne. Różnicujemy się i spajamy w równej mierze. Jesteśmy gorącą zgodą i mezaliansem. Wstąpiłam na drogę do celu z rasistowskim prowokatorem, który dał mi coś niezgłębionego i cennego. Zawsze będę przedkładać swoje cele nad jego i przyznam, że nie mogę przewidzieć szczegółów naszej podróży.

Silny podmuch uderzył w siatkę na oknie. Kartki wyleciały mu z rąk. W jego głowie ryczało słowo „towarzysz”.



## 63

(Santo Domingo, 26.02.1969)

Drako ich dowiózł. El Jefe przysłał długą limuzynę. Pasy startowe były świeżo wylane asfaltem. Peoni mozolili się z wyładunkiem.

Aeropuerto de las Americas – liga czysto krzakowa. *Bienvenidos*: kartonowe postaci Joaquina Balaguera obok baraku celników.

Crutch i Froggy wysiedli z samolotu. Upał ich powalił. Dwaj gliniarze z Policia Nacional zanieśli ich bagaż do limuzyny. Podjechały cztery harleye. Limuzyna reprezentowała rocznik '56. Harleye jeszcze wcześniejszy. Gliniarze mieli bufiaste bryczesy i buty wojskowe. Dominikana. Uwaga 1: jesteśmy niebogaci, ale się staramy. Nie pogrywaj z nami. Albo cię zabijemy, albo ci obciągniemy, zależy od nastroju.

Eskorta ruszyła. Na tylnej kanapie panował przygotowany wcześniej chłód. Na wielkich antenach łopotały flagi. Krzyże, wstążki. *Dios Patria Libertad*. Z lodówki wystawały puszkowane napitki. Crutch i Żabojad otworzyli sobie daiquiri. Balaguer urządził na ich cześć balangę w porze lunchu. Przed nimi Pałac Prezydencki.

Crutch wyjrzał przez okno. Jakaś jebana wyspa. Plaża nieplaża. Nagie skały wpadały do wód przyboju. Malecón<sup>10</sup> to jakieś marne skały nadbrzeżne. Klify skaliste i porośnięte brązową trawą. Bulwar był po części brukowany, po części wysypany żwirem.

– Jesteśmy tu potrzebni – powiedział Żabojad. – Zrealizujemy własny plan i ożywimy gospodarkę.

Slumsy. Mnóstwo czarnuchów i czarno-fasolowych hybryd. Blaszane dachy: wiekowe i całkiem nowe. Porażające kolory: pałacy róż, limonka, kanarkowy.

Wysiedli z limuzyny pod El Embajador. Skrzyżowanie taniego Fontainebleau z tanim Miami. Przylegało do niego boisko do gry w polo. Jasnoskóre latynosy jeździły na białych koniach i odbijały białe piłki. Jasnoskóre kobiety śledziły grę z wózków golfowych. Miały letnie sukienki i lśniły grubą warstwą olejku do opalania.

Niewolnicy hotelowi w lansadach przemieścili ich do pokojów. Wyposażonych w pełen barek i kosze dóbr. Crutch miał widok: pastelowe chaty, mazista rzeka, ruina. Pomniki i smętne linie energetyczne.

*Uszczypnij mnie – jestem tutaj.*

Przebrał się w garnitur z kory. Chciał osiągnąć efekt Ivy League skrzyżowany z białym kahuną. Wrócił na dół. Mesplède przerodził się w elegancika w czarnym garniturze. Ivar Smith spotkał się z nimi w holu. Siorbał granitę z jakimś alkoholem. Pachniała jak crème de menthe.

Wsiedli do limuzyny i odjechali. Crutch i Mesplède przestawili się na martini z puszki. Ulice były wąskie i zniszczone. Ruch pieszy w dwóch trzecich składał się z jasnych latynosów i mulatów. Od prawdziwych czarnuchów wiało voodoo. Crutch przewinął taśmę do Managui.

Książka kodowa, notes adresowy, symbole voodoo z krzyżujących się linii. Dwadzieścia parę dni pracy szyfranta. Zero rozpoznania cyfr i liter Gretchen/Celii.

Slumsy z blaszanymi dachami i przywiędłe z upału szumowiny. *Calles* i *avenidas* ochrzczone po królach trzciny cukrowej. Ulice z datami w nazwie – tak jak w Managui.

*Mucho* pustych działek. Wszystko potencjalne lokalizacje pod kasyna. Dwie na avenida Maximo Gomez, dwie na calle 27 de Febrero. Eskorta stanowiła szturm mięśni. Choppery nie miały tłumików. Ich silniki ryczały głośno.

– Organizuję robotników – mówił Smith. – Śpią w namiotach na miejscu i pracują na dwunastogodzinnych zmianach. Kubańczycy spotkają się z wami w hotelu dzisiaj wieczorem. Chcą jechać na północne wybrzeże i poszukać bazy wypadowej w związku z drugą waszą sprawą.

Jechali avenida San Carlos, całkowicie wybrukowaną. W oddali majaczył Palacio Nacional. Wysoka kopuła, zbudowany z różowego marmuru. Mini Biały Dom, w kolorze lodów brzoskwińowych.

Jakieś obdarte dzieciaki wałęsały się po ulicy. Trzymały tabliczki zwieńczone czerwonymi flagami. Większość stanowiła krzyżówkę czarno-latynoską, à la Harry Belafonte.

Bramy pałacu się otworzyły. Limuzyna przyhamowała i zwolniła. Smith otworzył ich okno i wskazał coś. To zachęciło zgraję.

Obok dzieciaków stała furgonetka. Na znak wytoczyło się czterech mocnych chłopca. Wszyscy jasnoskórzy. Mieli pałki ze strunami.

Natarli. Dzieciaki ruszyły do biegu. Złapali je i deptali, i pałowali im nogi do krwi. Dzieciaki były zbyt pochlastane i zakrwawione, żeby ustać. Na klęczkach popęzły w zaułek. Wszystko zajęło najwyżej dziesięć sekund.

Smith siorbnął swojej granity.

– Dobrzy to La Banda. To osobiste chłopaki El Jefe, pracują z moimi chłopakami. Żli to czternasty czerwca. Jeszcze nie skumali, że odstępstwo kosztuje.

El Jefe był małeńki jak krasnoludek. Wyciągał najwyżej metr pięćdziesiąt dwa. Zapodał im *mi casa es su casa* absolutnie nieszczerze.

Balaguer znał już ich nazwiska. Mówił do nich señor Mesplède i señor Crutchfield. Przesyłał wyrazy szacunku dla señora Tedrowa i jego grupy inwestorów. Nie powiedział „Chłopcy” ani „mafia”, ani „Ekipa”. Smith mówił o Balaguerze „Jefe”. Balaguer przerażał go jak cholera. Jefe powąchał jego oddech i uśmiechnął się pogardliwie. Smith ukradkiem wrzucił do ust miętówkę.

Nastąpił obchód pałacu. Smith podał Jefe torbę. Crutch znał zawartość: pięćdziesiąt tysiaków. Trasa zwiedzania wiodła obok posągów i dzingoistycznych obrazów. Ostatni Führer Trujillo został pominięty. Żabojad brał udział w zamachu na Trujilla. Krasnoludek nie miał o tym pojęcia. Crutchowi się to podobało.

Na lunch podano sałatkę z owoców morza i paellę. Pojawili się trzy jasnoskóre kobiety i miejscowy szef CIA. Chiquity okazały się kurtyzanami sprowadzonymi dla zlikwidowania jednolitości płciowej. Crutch usiadł w zasięgu wzroku. Po jednej stronie miał gościa z CIA, po drugiej Krasnoludka.

Trzymał głowę na kłódkę i zaglądał w dekolt. Mesplède rozbawiał niewiasty swoim numerem z pitbulowym tatuażem. Gość z CIA nazywał się Terry Brundage. Narąbał się i wpadł w przechwałkowe tempo Ivara Smitha. Żartowniś był z niego. Dworował sobie kosztem Mesplède'a. Twój kolega chce kupić kuter torpedowy. Służył z JFK? Był kiedyś w Dallas? Nie jesteście chyba handlarzami narkotyków i zbójcami antycastrowymi, prawda?

Crutch trzymał głowę na kłódkę. Przyszło mu do głowy wyrażenie „tajemnica poliszynela”. Kobieta zauważyła jego podglądanie. Pomachała serwetką – a kysz.

Krasnoludek tokował po angielsku. Za każdym razem robił wstęp z cichym pokasywaniem o mocy ACHTUNG! Opowiadał o swoim Planie Rozwoju Wsi. Opowiedział dowcip o Papie Docu Duvalierze i kurczaku. Wysławił swój Plan Rozwoju Miast. Zbudujmy parę baraków z prefabrykatów, żeby zakwaterować tam biedaków i obniżyć wskaźnik przestępczości. Zbudujmy wysokie bloki, żeby je zasłonić.

Na deser podano barwny sorbet. Krasnoludek przemówił prosto do Crutch.

– Cóż ma znaczyć spinka w klapie pańskiej marynarki?

– Zabiłem piętnastu kubańskich komunistów, proszę pana.

Krasnoludek machnął ręką – *comme ci, comme ça*. Crutch zamarł z łyżeczką w powietrzu. Sorbet kapnął mu na marynarkę.

– Jest pewne określenie na młodzieńców pańskiego pokroju, panie Crutchfield. *Pariguayo*. Dosłownie to znaczy, że ktoś na imprezie podpira ścianę. Pochodzi z czasu, kiedy Piechota Morska Stanów Zjednoczonych zakazywała szerzenia komunizmu w moim kraju. Oddaje niechęć młodych marines do proszenia naszych dziewcząt do tańca.

OKO.

Słyszysz „Oskalpuj ich”. Nie może tego zrobić. Miota się w piasku. Twarz martwego mężczyzny jest opalona od prochu. Płat skóry wisi. Jego nóż wślizguje się w oczodoł. Słabnie jego chwyt. Ostrze rozcina gałkę oczną. Zamyka oczy. Nie może patrzeć. Oburęczny cios roztrzaskuje kości wokół oczodołu. Stawia stopę na karku martwego mężczyzny i analizuje zadanie. Ostrze jego noża jest ząbkowane. Odpilowuje płat skóry. Nacisk stopy wypycha krew z rany na szyi. Krwią nasiąkają jego buty. Pracuje teraz jak przepompownia. Usunięcie skalpu zajmuje dziesięć minut. Nacisk stopy przetacza krew przez nozdrza, oczodoły i uszy.

Nagle trzask i dym i...

To się nie zgadza. Zawsze biorę skalp i macham nim. Żabojad zawsze mnie oklaskuje.

Crutch się obudził. Był cały spocony. Z klimatyzacji dobywał się dym. Chwycił syfon z wodą i ugasił ogień. Iskry postrzelały i zasyczały. Dym się rozproszył i zostawił brejowate pozostałości.

W pokoju się gotowało. Otworzył okna i wpuścił powietrze. Ściągnął pościel z łóżka i zamoczył prześcieradło w zimnej wodzie w wannie. Wyjął z walizki sznurek murarski i rozpiął go od ściany do ściany. Rozwiesił prześcieradła i włączył wiatrak na biurku. Uzyskał chłodną bryzę.

Oko, Sen. Przebiegł to sześć czy siedem razy.

Wyjął książkę kodową i notes. Wyjął notes adresowy Gretchen/Celii. Zaczął liczyć litery, cyfry i spacje pomiędzy przypuszczalnymi słowami. Robota na miesiąc. Szyfr podstawieniowy. Zidentyfikował litery K i S. Bełkot. Nie rozpoznał żadnego słowa.

Crutch analizował i prowadził teoretyczne linie. Prześcieradła się nadęły. Wiatraczek odmienił powietrze.

Zadzwoił telefon. Crutch odebrał.

– Kubańczycy już są – powiedział Mesplède.

Teraz partnerzy – apteczni zabójcy.

Pomada nazywał się Wilton Morales. Ipana – Chic Canestel. Clearasil – Cruz Saldívar. Vick's VapoRub – Felipe Gómez-Sloan.

Wszyscy wymienili uściski rąk i poklepywania po plecach. Kubańczycy wyglądali podobnie i zamazywali się w jednego Latynosa. Czterech mężczyzn średniej wielkości. Wszyscy po czterdziestce, wszyscy w formie. Wszyscy powybrzuszani od poukrywanej broni.

Była 20.00. Mieli jechać nocą. Mesplède wspomniał o kawie. Canestel wspomniał o amfie.

Saldívar wyciągnął sześć fiolek. Morales powiedział, że napadli na aptekę Rexalla w Miami. Patrzcie: płynna metamfetamina, lekarstwo na narkolepsję.

Przemieścili się na parking. Narkotyk był kwasowy. Spłukała go popitka w postaci pepsi. Gómez-Sloan jeździł impalą z 1962. Miała opony z dżipa i transaxle z offroada. Zapakowali się i ruszyli na północ.

Dotarli do autopisty Duarte. Dwujezdniowej, nieprzedzielonej. Miasto szybko się rozproszyło w zarośla i plantacje trzciny cukrowej. Ciemni ścinali trzcinę pod lampami łukowymi. Jaśni szefowali im konno. Od świateł całe połacie pól lśniły.

Drogowskazy zapowiedziały Plaine du Massacre. Rzeka oddzielała na północnym zachodzie Dominikanę od Haiti. Massacre oznaczało po francusku coś więcej niż masakrę. Żabojadowi podobała się ironia. Do roku sześćdziesiątego Trujillo dokonał rzezi na bukuu Haitańczyków.

Metamfetamina zadziałała. Crutch miał odczucia totalnie orgazmiczne. Reszcie też zadziałała. Omawiali niebieskie smugi graniczące z fioletem. Wszystko było francusko-

hiszpańskie. Crutch się wyłączył i w głowie przeglądał kobiece twarze. Zamknięty krąg: Dana Lund, Gretchen/Celia, Joan.

Nie było żadnego innego ruchu. Ciemności panowały jak na pustkowiach. Gómez-Sloan cały czas jechał na długich. Teren się wznosił. Wjechali na wzgórze. Otoczyły ich pasma gór – Kordylera Środkowa i Kordylera Wschodnia. Wspinali się równym tempem. Chevy miał wielki bak pełen wysokooktanowej benzyny. Minęli miasta: Bonaó, Abajo, Jarabacoa. Widzieli darmozjadów przeczesujących wysypiska śmieci. Wszyscy byli czarni. Mesplède nazwał ich haitańskimi arywistami. Mieli amulety voodoo na szyjach. Jeden miał na głowie stroik z ptasich skrzydeł. Jeden miał pomalowaną krwią twarz. Żabojad przeszedł na angielski i powiedział o zamachu na Trujilla.

Był początek roku 1961. Kozioł pił z Czerwonego Koryta i ssał Czerwony Cycek Rosji. JFK powiedział dość. To samo zrobili szef dominikańskiego wojska i ziemiaństwo dominikańskie. Terry Brundage najął załogę. Dwa samochody do ataku, jeden do ucieczki, czterech strzelców. Manewr kleszczowy/wypadek pod Santo Domingo. Kozioł i jego ochroniarze wyskoczyli, płonąc. Dołączeni strzelcy zabili ochroniarzy. Mesplède wyciął Kozła z przydrożnego nasypu.

Chevy się wspinał. Powietrze rzedło. Skręcili na zachód do Moki. Rio Yaque del Norte płynęła na zachód. Przez drogę przebiegły haitańskie wetbacki<sup>11</sup>. Jeden w kajdankach. Gonił ich gliniarz na koniu. Z zarośli wypadli następni gliniarze na koniach. Ciemny pogubił się i pobiegł prosto w napięte smycze psów. Psy skoczyły i dopadły jego twarzy. Chevy minął szczyt wzgórze. Crutch nie słyszał już wycia ani krzyków.

Znowu skręcili na północ. Świtało. Dotarli do wybrzeża pod Puerto Plata. Dalej żadnych, kurwa, plaż, tylko skały prosto w przybój. Mesplède powiedział, że potrzebują bezpiecznej zatoczki. Tu schowamy łódkę. To musi być blisko Haiti, a tym samym Kuby. Cieśnina Zawietrzna oddzielała Kubę od Haiti. Cieśnina Mona oddzielała Dominikanę od Puerto Rico. Zdobędziemy heroinę w Puerto Rico i sprzedamy w Haiti. Zorganizujemy wypadki na wybrzeże kubańskie z północnego brzegu. Jesteśmy na południe od patroli amerykańskiej Straży Przybrzeżnej. Marynarki wojenne haitańska i dominikańska stacjonują na Karaibach. Północny brzeg atlantycki mamy dla siebie.

Wysiedli, stanęli na skałach i odlali się do oceanu. Speedowali z prędkością sześciu tysięcy obrotów na minutę. Trójjęzyczna gadka brzmiała jak skrzek papugi. Crutch trzymał głowę na kłódkę.

- Ten Crutchfield to się nic nie odzywa – powiedział Morales.
- Nie, ale jest kompetentny i nieustępliwy – powiedział Mesplède.
- On jest *pariguayo* – powiedział Canestel, zapinając rozporek.

Crutch wybuchnął śmiechem. Stali na skałach i pierdolili. Kubańczycy opowiedzieli o Zatoce Świń. Crutch opowiedział historie o niewiernych małżonkach. Mesplède o Magii Tygrysa.

Pierwotnie: Taxi Tygrys w Miami. Krzykliwie pomalowane taksówki i operacje przeciwko Castro. Przerzut narkotyków mafii z Sajgonu do Vegas. Kadra Tygrys/Ekipa Tygrys, *arriba!* Kubański desant z Florida Keys na pokładzie Tygrysięgo Pazura.

Teraz Taxi Tygrys było w LA. Prało pieniądze na budowę kasyn. Tygrysy to dzikie i piękne stworzenia. Musimy czcić ich nieskalaną godność i naszą z nimi symbiozę.

Saldívar warknął jak tygrys i walnął Gómeza-Sloana. Morales i Canestel syknęli po tygrysiemu.

– Teraz my jesteśmy nową Ekipą Tygrysa. Nasz torpedowiec będzie nowym Tygrysim Pazurem. Pomalujemy kadłub w tygrysie paski i powiesimy na antenie radiowej kubańskie skalpy. Damy mu numer PT-sto dziewięć, na ironiczne wspomnienie niesławy człowieka, którego zabiłem w Dallas.

## 64

(Las Vegas, 3.03.1969)

Wayne preparował zioła. Gruczoły żaby drzewnej i roztwór alkaliczny. *Ocimum basilicum*. Tetrodotoksyna – a wszystko haitańskie. Sproszkowana jaszczurka i wieloszczet.

Połączył kadzie i zrobił pastę z proszku. Haitańczyk dał mu paczkę ziół. Złapał kilka jaszczurek na pustyni i przeprowadził ich sekcję. Usunął im woreczki żółciowe i ślinianki.

Podążał śladami Reginalda Hazzarda. Reginald zgłosił się do Haitańczyka pod koniec 1963 roku. Miał trochę wiedzy o haitańskich ziołach. Pytał o ich moc przeciwbólową i zmniejszającą palność. Mężczyzna dał Wayne'owi tę samą radę, co kiedyś Reginaldowi. Wayne postąpił zgodnie z jego instrukcjami z zerowym rezultatem.

Stworzył papkę. Zwiększyła ból i wznieciła niewielkie płomienie. Szybko przepaliła potraktowaną nią tkaninę. To mogło oznaczać błędną poradę i ogólnie fałszywą wiedzę. Reginald mógł osiągnąć ten sam efekt chemiczny albo mógł odnieść pełen sukces. Haitańczyk mógł być pomyłony. Był mistykiem. Wierzył w zombiefikację. Twierdził, że voodoo podnosi skuteczność chemii.

Wayne wlał papkę do słoja i wrócił do czytania. Wypożyczył z biblioteki te same książki, które w 1963 roku wypożyczył Reginald.

Haitańska chemia: klerin, zioła, toksyna z rozdymki. Teoria lewicowa: Marks, Frantz Fanon, Herbert Marcuse. Nauka uznana za błędną. Brak kontrolowanych rezultatów. Opisane rezultaty odczytywane jako rodzaj religijnego obłądzenia. Lewicowi teoretycy poszli daleko w teorię, a zabrakło im precedensu. Ich sprawą była rewolucja. Każda teoria wracała do myśli, że to niewątpliwa konieczność. Reginald miał dziewiętnaście lat i szukał odpowiedzi. Znalazł politykę i chemię magiczną.

Haitańska obsesja. Dziwny zbieg okoliczności. Ich desant siedział teraz w Dominikanie.

Wayne podszedł do swojego archiwum i przejrzał arkusze z dziwnymi notatkami. Jego taśma czasu była niekompletna i kończyła się gwałtownie.

„Biała kobieta wyciąga RH za kaucją i od tego czasu nikt ich nie widział”.

Wpatrywał się w taśmę czasu. Nabazgrał przy niej znaki zapytania. Napisał: „Czy Marsh Bowen mrugnął na widok zdjęcia RH? Bardzo mało prawdopodobne”.

Wstał i umył ręce w zlewie laboratoryjnym. Czuł na skórze ukłucia po drobinkach ropuchy.

– Pierdolisz.

– Nie. Farlan Brown to ustawił.

– Jezus Maria.

– Nie, Richard Nixon.

Dwight jadł paracetamol i aspirynę. Hol w Dunes był grobowcem. Jody and the Misfits grali odgrzewane kotlety. Klienci sunęli do automatów.

– To umowa pro forma – powiedział Wayne. – Ty uspokajasz prezydenta, ja uspokajam Chłopców. Dominikana to urocze miejsce, wszystko jest super.

– Pan Hoover będzie ode mnie wymagał raportu. Trochę to stonuję i powiem mu to, co chce usłyszeć.

– Czyli?

Dwight zapalił papierosa.

– Że Nixona czarne bojówki absorbują równie mocno jak jego. Że rozumie zagrożenie bezpieczeństwa państwowego ze strony Archie Bella i the Drells.

Nad ich stolikiem przechylił się pijak. Wayne przysunął bliżej swoje krzesło.

– Bójka na noże. Miałeś coś od swojego informatora?

Dwight wzruszył ramionami.

– Powiedziała, że teraz bracia z SCP o wiele bardziej nienawidzą braci z FWMM. Nie wspomniała o udziale naszego małego Marsha.

– Znam Clarksona, ale Jacksona nie za bardzo. On jest Haitańczykiem, tak?

– Tak. Nie ma na koncie żadnych wyroków, ale podobno w Haiti służył w Tonton Macoute. Wyemigrował, zmienił nazwisko i został, kurwa, czarnym bojownikiem. Dlaczego pytasz? Nie jest taki zły jak większość tych pojebów.

Wayne wzruszył ramionami.

– Zbieg okoliczności. Z czystej ciekawości. Dla zabicia czasu.

Dwight wyłamał palce.

– Pierdu pierdu. Od zabijania czasu to jest Marsh. Chcę, żebyś mu kota pogonił. Powiedz mu, że musi wstąpić do SCP albo FWMM i podkablować trochę pokrewne grupy, żeby stara ciota mogła się poślinić.

Wayne się uśmiechnął.

– Powiem mu.

– I powiedz mu, że ma zdobyć przy okazji trochę heroiny.

Wayne ścisnął szklankę tak, że niemal pękła.

– Wyluzuj trochę, synu – powiedział Dwight. – To nie tak samo, jak osobiście ją robiłeś, przerzucałeś i sprzedawałeś czarnym.

Musiał odetchnąć. Przeszedł się po Stripie w burzy.

Dwight miał uporządkowany cały szajs. Dwight wiedział, jak go zmusić do pracy i jak go rozbroić.

Było zimno. W deszczu spadały drobinki lodu. Hotelowe neony nie działały i gubiły litery.



Chłopcy go przeładowali. Wykupy dłużników Teamstera pochłaniały jego czas. Od Nowego Roku kupił trzydzieści cztery biznesy. Pranie pieniędzy w LA było gotowe do startu. Bank Powszechny robił za główną pralnię. Taxi Tygrys i speluny prały pozostałą forszę. Mesplède i Dupek byli w Dominikanie. Zawiozło ich tam Hughes Air.

Drako demenciał w tempie Geja Edgara. Wayne spotkał się z nim w jednoosobowej sali szpitalnej i złagodził strach przed Bombą. Drako chciał ograniczyć populację czarnych. Jego rozwiązanie: podłożyć opad promieniotwórczy w jarmużu i w restauracjach serwujących kuchnię soulową. Drako miał dwie transfuzje dziennie. Drako od Nowego Roku kupił osiem kopalni złota, dwie kopalnie srebra i pole golfowe. Jego prawnicy pisali pozwy przeciwko stanowi Nevada. Drako chciał zakazu wszelkich testów z bronią atomową. Farlan Brown powiedział, że na adwokatów Drako wydaje pięćdziesiąt tysięcy miesięcznie. Farlan spytał o Dupka – ciągle szuka tej dziewczki? Wayne odparł, że pewnie tak. Dupek łąził za kobietami, kiedy nie miał nic innego do roboty.

Deszcz przeszedł w grad. Wayne schował się do Top O' the Strip. Art and Dottie Todd po raz tysięczny śpiewali *Chanson d'Amour*. Bar się obracał i dawał hulakom widok 360°. Lód padał płachtami.

Sonny Liston niszczył zdjęcie reklamowe Muhammada Alego. Aktualnie były po dysze od łebka. Biali frajerzy kupowali je i wieszali w swoich gabinetach. Sonny pisał „Dekownik” i dorysowywał Alemu diable rogi. Drako miał takich pół tuzina. Farlan Brown wysłał preziowi specjalność Listona: Ali robi loda LBJ.

Wayne pomachał. Sonny spławił frajerów i podszedł. Kelner przyniósł Wayne'owi colę, a Sonny'emu szkocką z lodem. Wznieśli toast za dawne czasy.

Sonny był alumnem Taxi Tygrys. Wayne powiedział mu, że interes właśnie się przeniósł do południowego LA. Sonny powiedział, że pali gumy i udziela braciom poparcia. Wayne powiedział, że docenia to. Sonny powiedział, że słyszał plotki – ty i czarna kobieta.

Wayne przyznał, że i owszem. Sonny przypomniał Wendella Durfee. Wayne powiedział, że szuka zaginionego syna czarnej kobiety. Sonny śmiał się bite dwie minuty. Zelektryzował całe pomieszczenie. Ludzie się oglądali. Wayne zgromił ich wzrokiem. Sonny się uspokoił i dopił drinka.

– Skończyłeś? – spytał Wayne.

– Ach, ty i te twoje bambusowe problemy.

Ramki, strzałki. Linie prowadzące do i z.

Ramka oznaczona „Książki z biblioteki”. Powiązanie: ramki „Teksty polityczne” i „Haitańskie zioła”. Ramka „Mandat za parkowanie”. Powiązanie: ramka „Haitański zielarz”. Ramka „Areszt”. Powiązanie: „Biała kobieta/Kaucja”.

Wykres pomagał mu w myśleniu. Wykres umieszczony na ścianie pozwalał mu siedzieć i stać. Zastępował lub częściowo zastępował pracę z aktami.

Wayne przejrzał pudła. Raport z policji Las Vegas wołał: „Przeczytaj mnie”. Usiadł i przejrzał go raz jeszcze. Streszczał samotność Reginalda. Liceum, J.C., praca w myjni. Nikt tak naprawdę nie znał tego chłopaka. Kiepskawe znajomości i zero przyjaźni.

– Zanim mnie zapytasz po raz dziesiąty: nie, nigdy nie rozmawialiśmy o haitańskich ziołach ani o lewicowych lekturach.

Wayne obrócił się na krzesło. Mary Beth położyła mu ręce na ramionach i okrakiem siadła mu na kolanach.

– Nic bym ci nie mówił, gdybym wiedział, że będziesz mnie tym zadręczać.

– Ty lubisz udrukę, więc ja się tylko dostosowuję.

Wayne podciągnął jej koszulę.

– Moglibyśmy się na chwilę położyć.

Dotknęła jego ust.

– Moglibyśmy, a nawet powinniśmy, bo widzę na twojej twarzy tę minę „jestem policjantem i mam rutynowe pytania”.

– Nie są rutynowe.

– Wiem, wiem, skarbie. Żartuję tylko z ciebie. W ten sposób hamuję swoją skłonność do szorstkości.

– Co oznacza?

– Co oznacza, że jestem tu w tej chwili, a Reginald nie.

Pocałował ją. Przesunęła palcem po jego szczęce. Jej oczy. Jak zawsze, te zielone plamki.

– Szmaragd. Pamiętasz, powiedziałaś...

Zasłoniła mu usta. Co zawsze znaczyło „Cichooo”.

– Tak, pytałam. Nie dowiedziałam się niczego ciekawego, co mnie nie dziwi. Dowiedziałam się natomiast, że krąży taka mglista legenda, że czarni ludzie w trudnej sytuacji dostają szmaragd w przesyłce od anonimowego nadawcy.

Wayne wstał. Mary Beth przytrzymała się i została na nim. Zaśmiała się. Zaniósł ją tak do sypialni i rzucił na łóżko.

Podskoczyła lekko. Zrzuciła buty i ściągnęła skarpetki.

– Nie chcę psuć nastroju, ale coś sobie przypomniałam.

Wayne ściągnął koszulę.

– O Reginaldzie?

– Tak.

– Powiedz. Nie psuj nastroju, tylko...

– Znalazłam trochę jego starych szkolnych ciuchów, więc pamięć mi ruszyła. To było wiosną sześćdziesiątego drugiego. Reginald pojechał na szkolną wycieczkę do Los Angeles. Na jakąś sesję naukową na USC. Powiedział, że był na kilku wykładach Szkoły Wolności. Mieli małe tymczasowe biuro na uczelni.

Coś zaskoczyło. Nie mógł tego zidentyfikować. Zamarł. Mary Beth rzuciła w niego butem.  
– Ja tu jestem. A mój syn nie.

## 65

(Waszyngton DC, 17.03.1969)

– Patrzcie na ten dywan – powiedział Nixon. – Poruszają mnie szczegóły. Ten cholerny ptak ma te wszystkie strzały i liście w szponach.

Dwight spojrział na dywan. Bebe Rebozo też. Gabinet Ovalny, godzina 18.00, napoje. Nixon przy swoim trzecim old fashioned.

– W latach trzydziestych pan Hoover miał show radiowy – powiedział Bebe. – Ja byłem wtedy kadetem w Hawanie. Dwustuwatowy nadajnik nadawał to z Miami.

Nixon wyciągnął wisienkę ze swojej szklanki.

– Agent Holly ma w dupie dywany i cielece lata pana Hoovera. Chce zakończyć te wszystkie cholerne nonsensy z czarnymi bojówkami.

– Zgadza się, panie prezydencie – powiedział Dwight.

– I chciałby ode mnie obietnicy, że nie planuję żadnego zamieszania w Dominikanie.

Dwight kiwnął głową. Bebe powiedział: u la la. Prezio i Pierwszy Kumpel wyglądali bratnio. Byli ogorzali. Mieli jasnioletowe alpakowe swetry z prezydenckim godłem. Połączenie rotarian i Rat Pack.

Bebe zapalił papierosa.

– Mnie z Dominikaną wiele łączy. Miałem tam w latach czterdziestych kilka pól trzciny cukrowej. Była tam grupa uchodźców, której rzuciłem trochę mamony. Teraz stamtąd działają.

Nixon zakaszłał. Bebe zgasił papierosa i pomachał ręką w powietrzu. Padał śnieg. Okna wychodziły na portyk i wielki trawnik.

– Moi chłopcy sprzedawali heroinę – powiedział Bebe. – To szybki zwrot dla inwestycji. Jeśli chcecie walczyć z komunizmem, musicie przejść do konkretów.

Nixon zamieszał drinkiem.

– Ujmijmy to tak. Heroina finansowała każdy przewrót w Trzecim Świecie od niepamiętnych czasów. Prawda, panie Holly?

– Zgadza się, panie prezydencie.

– Farlan Brown mówił, że studiował pan w Yale. Jak to się stało, że pan nosi odznakę, a ja mam na głowie te wszystkie problemy i noszę ten cholernie idiotyczny sweter?

Dwight się uśmiechnął.

– To kaprysy losu, panie prezydencie.

– Kaprysy gówna. Ten irlandzki łodiarz Jack Kennedy ukradł mi wybory w sześćdziesiątym. To był kaprys losu. To, co mam teraz, to triumf.

Bebe zjadł swoją wisienkę.

– Podoba mi się Dwight, panie prezydencie. Powinieneś go zrobić prokuratorem generalnym.

Nixon zachichotał.

– Hoover ma na mnie za dużo haków. Nigdy by się nie zgodził, żeby facet od brudnej roboty jak Dwight dyktował warunki.

– A pan jest od brudnej roboty, Dwight? – spytał Bebe.

– Owszem, proszę pana.

Nixon skubnął skórę przy paznokciu.

– Gdzie Hoover trzyma swoje tajne akta? Jeden mój doradca mówił, że w piwnicy w Willardzie.

– W piwnicy swojego domu, panie prezydencie. Są zabezpieczone przeciwwilgociowo i przeciwogniowo.

Bebe parsknął.

– Nie ma nic na prezydenta, czego on sam nie chciałby upublicznić.

Nixon przewrócił oczami. Bebe się zająknął. Dwight przyjrzał się podkładce pod swoim drinkiem. Widniał na niej ten sam wkurzony ptak.

– Dominikana to syf – powiedział Bebe. – Wasi inwestorzy będą musieli poprawić jej wygląd zewnętrzny, jeśli chcecie tam zwabić turystów. Właśnie odwiedziłem moich uchodźców i trochę rzuciłem okiem. Balaguer jest zdecydowanie proamerykański, ale wszyscy goście z CIA to pijaki i jebaki. Jest tam emerytowany pułkownik piechoty morskiej o nazwisku Smith, który wykonuje dla Balaguera większość brudnej roboty.

– Odpowiedzialność. Macie przed sobą marionetkę. Jak wpadnie gówno do wiatraka, jesteście poza zasięgiem. A ja? Ja byłem na meczu Red Soxów albo posuwałem moją starą.

Dwight się roześmiał. Bebe pobawił się szmaragdowym pierścieniem nad obrączką ślubną.

– Moja grupa ma dwóch nowych twardzieli. Ten francuski najemnik i jego młodzik. Może nie usuną Fidela, ale bardzo się będą starać.

Nixon ziewnął.

– Castro ma sporo powiązań. Amerykański elektorat ma już po dziurki w nosie Kuby. Pozwolę uchodźcom wykręcać numery, dopóki to mi się nie odbije na poparciu.

Bebe udawał zranionego. Kochanie, jak mogłeś? Dwight odwrócił wzrok.

– Dwight, pogadajmy poważnie – powiedział Nixon.

– Zamieniam się w słuch, panie prezydencie.

– Niech pan opisz stan umysłu Hoovera. Proszę przyjąć, że jestem już dobrze poinformowany i że żadna informacja nie opuści tego pokoju. Może pan być pewien, że szczerść opłaci się panu w dłuższej perspektywie, i niech mi pan powie, jak jest.

Dwight poprawił mankiety.

– Stan jego zdrowia fizycznego i psychicznego pogarsza się znacznie. Ma obsesję na punkcie murzyńskiej przestępczości, murzyńskich rytuałów godowych, murzyńskiej działalności politycznej i murzyńskiej higieny. Jego umiejętność oceny sytuacji jest wątpliwa pod każdym względem. Jest w sposób oczywisty upośledzony. Gwałtownie traci prestiż pośród społeczności stróżów prawa. Popełnia kłopotliwe gafy. Rutynowo rzuca wysoce niepowściągliwe uwagi. Jest obelżywy do przesady. Trzyma się przy życiu siłą woli, nienawiści i codziennych iniekcji amfetaminy w odbytu. Pomimo ogromnej i wszechstronnej niemocy pozostaje dość świadomy i należy go uważać za groźnego adwersarza, a zatem i znaczącego oraz absolutnie niezbędnego przyjaciela.

Bebe gwizdnął.

– Powiedziane wprost, kochanie.

Nixon gwizdnął.

– Amen, bracie.

Dwight poczuł, jak tętno mu przyspiesza. Nixon mrugnął okiem. Jako sztuczka „Jesteś mój” nie zdało to egzaminu.

– Chcę być na bieżąco w tym temacie. Zadba pan o to, Dwight?

– Tak, panie prezydencie, zadbam.

Bebe błysnął pierścieniem ze szmaragdem.

– Ładny, co? Mam go z Dominikany.

Echo Park był zalany. Łódki do wynajęcia stały zacumowane, zakryte brezentem. Deszcz lał niemiłosierny. Kaczki się pochowały. Niepotrzebnie kupił popcorn.

Był nieżywy. Przyleciał nocnym rejsem z DC do LA, wciśnięty pomiędzy dwóch buddyjskich kapłanów. Zobaczyli jego broń i zaczęli om-czyszczać jego aurę. Zanieczyścił się na powrót swoimi tabletkami i drinkami. Udało mu się zasnąć na godzinę.

Zadzwoił do pana Hoovera i złożył raport o spotkaniu z Nixonem. Opisał je jako powierzchowne. Stara ciota się rozwścieczyła. Dwight go koił. Hoover wygłosił czternastominutową antynixonowską tyradę. Chciał wieści o nienawistnych komiksach. Dwight powiedział, że trafił w ślepią uliczkę.

Dwie noce, trzy godziny snu. Następujące po sobie koszmary z MLK. Doktor King wygłaszał kazanie. Dwight patrzył z tylnej ławki.

Podeszła Karen. W beciku miała Eleanorę. Stali pod markizą wypożyczalni łodzi. Dziecko było szczelnie opatulone, ciepłe i bezpieczne.

– Wygląda jak ja – powiedział Dwight.

Karen się uśmiechnęła.

– To była procedura, a ciebie nie było w pobliżu pojemnika.

Eleanora miała rysy i włosy Karen. Spała mimo burzy.

– Dawno się nie widzieliśmy – powiedział Dwight.

– Owszem. Ja miałam Elle, a ty operację.

– Jak-Mu-Tam wkrótce wyjeżdża, tak?

– Tak.

– Więc możemy się zarejestrować na jakiś czas. Masz klucz do dziupli.

Karen się odsunęła.

– To był gest pod tytułem „nie mam nic do ukrycia”.

– Pojąłem, ale to prawda.

– Zmieniasz temat.

– Więc podaj jej imię. Oskarż mnie o coś. Daj mi szansę potwierdzić lub zaprzeczyć.

Karen zapaliła papierosa. Ręka jej drżała. Kiedy paliła, Dwight trzymał Eleanorę.

– Pan Hoover w Legionie Amerykańskim nazwał Bayarda Rustina czarnym stworzeniem o chwytym ogonie.

– Wiem – powiedział Dwight.

– Jego uwaga to regres.

– Wiem. Jack Leahy pokazał mi kopię przemówienia.

Eleanora wierzgnęła. Dwight ukołysał ją do snu. Markiza przeciekała. Woda kapła tuż obok ich stóp.

– W pobliżu Cal Riverside jest kryjówka – powiedziała Karen. – Byłam tam. Jest tam szafa z czterema strzelbami powtarzalnymi i skrzynka granatów ręcznych. Człowiek w masce Mao Zedonga i ze strzelbą obrabował cztery sklepy w San Bernardino.

Dwight przyglądał się Eleanorze. Wierzyła nogami przez sen.

– Zawsze wezmę napad z bronią w ręku. Co mogę zrobić w za...

– Biuro w Filadelfii przegląda akta mojego męża. Agenci nagabują dziekana. Jeden z nich okazał się śmiały i frywolny. „Twoi kumple z college’u dużo rozrabiają. Słyszałem, że żona zabawia się z najważniejszym twar dziełem pana Hoovera”.

Dwight kopnął w ścianę. To zaniepokoiło Eleanorę. Karen wyrzuciła papierosa i wzięła becik. Ella zagruchała i zamknęła oczy.

– To pan Hoover powiedział o nas temu agentowi, Dwight. To narusza umowę, którą mieliśmy od początku.

– Wiem.

– Pan Hoover w ogólnopństwowej telewizji nazwał Corettę Scott King schorowaną tancerczką.

– Wiem.

– Czy mógłbyś powiedzieć coś więcej niż „wiem”? Bardzo mi na tym zależy.

– Pan Hoover traci zmysły. Jest stary i chory. Nikt nie ma jaj wyciągnąć mu wtyczki, bo ma kompromitujące akta na cały jebany świat.

– Na ciebie też?

– Też.

Karen kołysała Eleanorę. Chmury stały się po dwakroć ciemniejsze i uwolniły ulewę.

– Czasami nie mogę od tego uciec, Dwight.

– Od czego?

– Od rzeczy, o których nigdy nie mówisz. Od tego, jak daleko się posuwałeś dla tego człowieka. Od każdej potworności, której się dopuściłeś.

Dwight sięgnął po Eleanorę. Karen ją odsunęła. Dwight odszedł w deszcz.

Trzy tabletki i drinki nie pomogły. Jego obwody ciągle iskrzyły i nie dawały zasnąć. Adrenalina przeżerała się przez środki uspokajające. Ubrał się i pojechał do Eagle Rock.

Był środek nocy. Na podwórku panował spokój. Deszcz sprowadził czerwone błyski i pogłos grzmotów. Dwight sforsował zamek i wszedł.

Włączył światła. Mieszkanie wyglądało identycznie. Podszedł do łóżka i odrzucił poduszki. Znalazł ten sam rewolwer i pamiętnik. Otworzył go i zobaczył nowe kartki.

Moje krótkoterminowe cele i krótkoterminowe cele Dwighta się złąły. Zaczęłam dzielić opinię Dwighta o SCP i FWMM. To zbrodniarze powodowani osobistymi animozjami kosztem świadomości politycznej. Dwight przypisuje im brak wszelkiej świadomości. Ja przypisuję im świecąca świadomość przytępioną przez wyrachowaną patologię wściekłych samców. Ci mężczyźni muszą rozprowadzać heroinę i umożliwić definiowalną nędzę. Chaos, którego pragniemy Dwight i ja, musi być samodzielny. Świt świadomości musi być wywołany przez zastosowanie moralnego terroru. Dwight i pan Hoover uważają, że bodziec heroiny okaże się przemożny dla czarnych bojówek, ich zwolenników i niezliczonych czarnych ludzi poruszonych ich retoryką. Ich masowa kapitulacja potwierdzi nikczemną rasistowską karykaturę, zdyskredytuje czarny radykalizm i zduś jego wyłaniającą się dominującą atrakcyjność. Uważam, że budzenie się politycznej świadomości posłuży do konfrontacji i przekroczenia tej przeszkody, odmieni byłych zbrodniarzy i obsadzi ich w rolach bohaterów, których teraz tak samolubnie i bezmyślnie pragną. Ten kontrolowany chaos nie zakończy się politycznym rozkładem. Chaos jest zbyt zanurzony w przerażającym kontekście białego lekceważenia i niesprawiedliwości, żeby być czymkolwiek innym niż wyzwoleniem. W swojej długiej rewolucyjnej walce widziałam i robiłam rzeczy przerażające. Zastosowanie heroiny w Algierii w 1956 okazało się niejednoznaczne. Ufam głęboko, że wszelkie konflikty w tej podróży zakończą się korzystnie dla mnie, nie dla Dwighta, i że nie zginie żaden człowiek.

Dwight przeczytał kartki ponownie. Przejrzał, przeskoczył i poprzelatywał tekst. Litery się zamazały. Gorzała i tabletki podziałały z opóźnieniem. Zobaczył punkty i atramentowe mazy.



Podłoga się zakołysała. Położył się i zamknął oczy.

Łóżko się zakołysało. Podłoga zanurkowała. Nie wiedział, czy śpi, czy nie, czy to może coś pomiędzy. Dryfował. To było przerażające i spokojne. Dziwnie odczuwał głowę i członki. Na chwilę stracił przytomność. Otworzył oczy i zobaczył Joan.

Siedziała na łóżku. Z jedną nogą podniesioną. Kolanem muskała jego biodro. Miała wysokie buty i czarne nylonowe pończochy pełne oczek. Włosy miała związane.

– Jak tu trafiłeś?

– Komiksy, które drukowałeś. Zostawiłeś trop.

– Komiksy były klapą. To się już nie zdarzy.

– Kto je narysował?

– Mój dawny student ze Szkoły Wolności.

Dwight usiadł. Zawroty głowy powaliły go z powrotem. Joan ścisnęła jego kolano. Dwight przesunął palcem po oczkach w pończochach i znalazł kawałek nagiej skóry.

– Heroina – powiedziała.

– Nie mogą jej zdobyć. Nie będą w stanie poradzić sobie z nią przez dziesięć sekund, żeby jej nie wziąć.

– Ja mogłabym im pomóc.

– Zastanowię się.

Joan splotła ich palce. Dwight rozdarł oczko w pończosze i objął jej nogę.

– Ile masz takich met?

– Nie powiem ci.

– Zostawiłaś mi specjalnie ten pamiętnik. Wzięłaś ten pomysł od Karen Sifakis?

– Karen to moja korespondencyjna znajoma.

– Zostawiłaś pamiętnik dla mnie?

Joan kiwnęła głową.

– Nikt nie zginie – powiedział Dwight.

Joan ujęła jego twarz w dłonie.

Zawroty głowy ustały. Odzyskał czucie w ciele. Jej ręce go unieruchomiły.

– Czego chcesz? – spytała Joan.

– Chcę upaść – powiedział. – I chcę, żebyś mnie złapała, zanim spadnę na dno.

Oczy go bolały. Ciągłe widział słupy słów. Palce miał pocięte kartkami.

Miesiąc roboty szyfrowej. Może jakiś postęp. Rozpoznawanie słów z liczb, liter i spacji.

Taxi Tygrys ruszyło na autopista Duarte. Ivar Smith sprzedał im half-tracka armii dominikańskiej. Saldívar i Canestel pomalowali go w tygrysie paski. Morales namalował wielką tygrysią łapę. Kierowali się do Piedra Blanca i Jarabacoi. Załogi niewolników zabrały się za prace ziemne na ich nowych budowach. Krasnoludek sprzedał im dwie działki na prowincji i dwie w Santo Domingo. La Banda rekrutowała robotników z więzienia La Victoria. Kryminaliści mieli obiecane skrócenie wyroków w razie dotrzymania terminu zakończenia budowy.

Firma budowlana Balaguera czekała w gotowości. La Banda wyeksmitowała biedaków z lokalizacji pozamiejskich. Budowa kasyna ruszyła. Torpedowiec zamówiony. Później spotkają się z facetem z Tonton Macoute, żeby omówić biznes narkotykowy.

Crutch wpuścił sobie krople do oczu. Half-track miażdżył chodnik. Żabojad prowadził. Kubańczycy przysiedli nad kołem zapasowym. Crutch siadł w gnieździe karabinu maszynowego. Mijali pola trzciny cukrowej i polany. Crutch dla uciechy strzelał w drzewa.

Haitańskie wetbacki uskoczyły z drogi. Morales strzelił im pod nogi. Crutch ziewnął i się przeciągnął. Robota szyfrowa powodowała bukoo niedobór snu.

Voodoo. I prawdopodobnie księga zmarłych. Litery, cyfry, symbole i matematyka. To trop do morderstwa w Domu Grozy. Symbole w księdze pasowały do symboli Domu Grozy. To księga Gretchen/Celii. Kurwa – ciągle nie widział w Gretchen/Celii i Joan zabójczyń.

Kręci mu się od tego w głowie. Myśli, że Gretchen/Celia jest w kraju. Przeczesał wszystkie możliwe rejestry i jej nie znalazł. Mesplède powiedział mu, żeby nie zaczynał z Samem G. Twoja „sprawa” to czyste głupstwo. Jesteśmy tu, żeby przerzucać heroinę i usunąć Fidela Castro.

Teren był stromy. Half-track rozjechał przewrócony pień drzewa. Crutch ćwiczył strzelanie serią. Celował w drzewa i odcinał gałęzie ogniem z kalibru .30.

Wkrótce przyjedzie Wayne Tedrow. Chłopcy powiedzieli mu, żeby klepnął umowę z Krasnoludkiem. Geolodzy pobrali próbki gleby ze wszystkich czterech lokalizacji. Powiedzieli, że wytrzyma ciężki budynek. Mesplède znalazł punkt na wybrzeżu przy granicy dominikańsko-haitańskiej. Blisko Cap-Haïtien. Ich facet z Tonton był tam Kimś.

Tygrysowóz zawitał do Piedra Blanca. Miejscowi peoni zobaczyli bestię i zwiali. Budowa drżała. Buldożery orały chałupy. Goście z Policia Nacional aresztowali wywłaszczonych. Mówili po hiszpańsku. Morales tłumaczył Crutchowi. To znakomite włości. Jefe potrzebuje twojego domu. Masz tu czterdzieści dolarów i talon na żarcie.

Niektórzy eksmitowani płakali i patrzyli groźnie. Goście z La Banda otaczali buldożery. Stali w rozkroku z karabinami w prawym ręku.

Paniemajster się wałęsał. Powiedział Gómezowi-Sloanowi, że grunt jest solidny. La Banda sprowadziła trochę więźniów, żeby wykarczować zarośla. Jego ludzie zbudują barak z prefabrykatów. Więźniowie będą spali w kajdanach. Gliniarze z bykowcami będą doglądać ich pracy.

Kierunek Jarabacoa.

Crutch dostał choroby lokomocyjnej. Tygrysowóz miażdżył gąsienicami wszystko na swojej drodze. Była 14.00, gorąco jak w piekle. Olejek do opalania ściekał mu z karku. Głowa wróciła do Santo Domingo. Jego podkochanie w Joan i Gretchen/Celii płonęło pełnym ogniem. Widział w nich komuszki. Nie widział w nich zabójczyń. Pasujące do siebie symbole nie musiały oznaczać Morderstwa Pierwszego Stopnia.

Santo Domingo było, ogólnie rzecz biorąc, pipidową. Dzielnica Gazcue przypominała Hancock Park dla Latynosów. Strefa jasnoskórych. W zeszłym tygodniu zaczął tam podglądać. Szukał Joan i Gretchen/Celii. Zadowalał się przypadkowymi kobietami. Śledził je od parków po restauracje. Śledził je do domu. Podglądał je przez okna łazienek i sypialni.

Tygrysowóz wjechał do Jarabacoa. Miasto było pełne szałasów o blaszanych dachach i tropikalnej roślinności. Plac budowy był dwie drogi w dół. Crutch słyszał chrzęst buldożera. Z krzaków wybiegła trójka dzieciaków. Nosiły maski i koszulki z Wujkiem Ho, niosły butelki z płonącym wylotem. Kumacie? Koktajle Mołotowa.

Rzuciły je. Pociski uderzyły w tygrysowóz i spowodowały zasraną eksplozję. Crutch obrócił karabin maszynowy i wystrzelił w ich stronę. Ściął kilka trzciny i nie trafił w zasrańców.

Dzieciaki uciekły. Krzaki je schowały. Tygrysowóz dotoczył się do budowy. Skuci robotnicy taszczyli gruzy. Buldożery atakowały fundamenty. Czterech kryminalistów ciągnęło kawałki zrzuconego dachu, które cięły im ręce. Gliniarz na koniu smagnął batem powolnego.

Paniemajster pomachał. Ekipa cofnęła się z tygrysim warkotem. Crutch usłyszał trzy wystrzały na autopięcie.

Tygrysowóz ruszył na północ. Zobaczyli dzieciaki od mołotowów martwe w rowie. Postrzał w głowę z bliska. Ich koszulki z Wujkiem Ho były pocięte. Dłonie i stopy odrąbane.

Koleś z La Bandy wyszedł z zarośli i pomachał.

Ivar Smith załatwił im dzipa. Tygrysowóz był za duży do pokonania rzeki granicznej. Plaine du Massacre leżała niedaleko. Morales poniuchał w powietrzu. Powiedział, że śmierdzi

Kozłem i plewami dusz zarżniętych Haitańczyków. Crutch zobaczył rysunki krwią na pniach drzew. Poczul silne wibracje voodoo.

Dżip był zatankowany do pełna. Płócienny dach odbijał słońce. Gruntowe drogi zawiodły ich do rzeki. Przy moście siedzieli goście z Tonton. Nosili obcisłe mundury, zachodzące na boki ciemne okulary i słomkowe kapelusze. Pomachali do dżipa. Roztaczali francuski *savoir-vivre* i luz czarnych hipsterów.

Rzeka była mulista i szeroka na osiem metrów. Czarnuchy wylawiały z wody raki. Przejechali i obrali drogę gruntową do Kordyliery Środkowej. Całą drogę pokonywali zakręty i tratowali zarośla. Morales zwymiotował do papierowej torby. Żabojad zasuwał na niskim biegu ponad sześćdziesiąt kilometrów na godzinę.

Chaty nędzarzy śmigają. Szopy o blaszanych dachach połatane wielkimi płatami tynku z ogromnymi strasami. Drewniane szalasy ze zdjęciami kapłanów voodoo na drzwiach. Nad drogą wisiały trzy gałęzie. Dyndały na nich zlinczowane kurczaki. Parę ociekało świeżą krwią.

Dotarli do szczytu wzniesienia i ruszyli w dół. Płaskie drogi prowadziły do północnego wybrzeża. Czarnuch ze zdechłym ptakiem na kapeluszu rzucił na nich urok z pobocza. Gómez-Sloan strzelił do niego i chybił.

Las tropikalny. Powietrze pachniało jak słona woda i kurz. Każde zasrane drzewo było poznaczone krwią. Strzeż się Strefy Zombie.

Dotarli do brzegu. Słone powietrze się podgrzało. Żabojad sprawdził mapę i slalomem ruszył po zarzuconym kamieniami piasku. Crutch zobaczył zatoczkę. Jakiś nie wiadomo skąd kunta-kinte wyskoczył nagle przed dżipa.

Miał ze dwa metry, a ważył najwyżej sześćdziesiąt parę kilo. Nosił wąż à la Fu Manczu. Miał fioletowy kapelusz i mundur z madrasu. Dwie czterdziestki, dwa szmaragdowe pierścienie, na szyi kryształowa fiolka pełna krwi.

Żabojad zahamował. Czarnuch się uśmiechnął i rzucił na dżipa płatki róży. Były perfumowane. Przepłynęły i poperfumowały Ekipę.

– Jestem Luc Duhamel. Witajcie w moim królestwie, chłopczyki.

Jego pałac był kamienną chatą ze stanowiskiem karabinu maszynowego i ogrodzeniem z drutu kolczastego. Na wodzie unosił się ścigacz. Do masztu flagowego był uwiązany wózek golfowy. Na maszcie powiewały trzy flagi voodoo. Podwórko zaścielały zdechłe szczury. Mięsożerne ptaki nurkowały i się objadały.

Luc usadził ich w środku. Ściany były obłożone cekinami. Każdy dostał własne krzesło ze sztuczną norką. Luc podał klerin w strasowych kielichach. Każdy popijał z wahaniem i przełykał w bezruchu.

Luc zdjął płaszcz. Na chudych ramionach widniały ślady po igle. Crutch zrobił wielkie oczy. Mesplède i Kubańczycy zachowali kamienną twarz.

– *En français?*– spytał Mesplède.

Luc pokręcił głową.

– Po angielsku, chłopczyku. To żadna sztuka mówić w czyimś języku ojczystym.

– Heroina – powiedział Saldívar.

– Hera – powiedział Gómez-Sloan.

– Bestia ze Wschodu – powiedział Morales.

Canestel pogłaskał się po nieistniejącej brodzie – kod „zabić Castro”.

– Tak – rzekł Luc. – Pułkownik Smith mnie powiadomił. Powiedział: ci ludzie zostaną twoimi *bons frères*.

Żabojad napił się klerinu.

– Kupujemy kuter torpedowy. Rozwija prędkość do czterdziestu węzłów.

Saldívar napił się klerinu.

– Pułkownik Smith powiedział, że ma pan źródło heroiny w Puerto Rico.

Morales zakrztusił się klerinem.

– To protektorat Stanów Zjednoczonych, ale Tygrysi Pazur będzie bardzo szybki.

– Rozumiemy, że prezydentowi Duvalierowi należy się rekompensata – powiedział Gómez-Sloan.

Canestel poniuchał swój klerin.

– To trójwyspowa umowa. My zarobimy, a kubańscy komuniści zginą.

Luc spojrział na Crutchę i wskazał jego puchar. Crutch wyłopał całą zawartość i zobaczył gwiazdy.

– A ty, chłopczyku? Masz coś do powiedzenia?

– Proszę pana, ja po prostu bardzo się cieszę, że tu jestem.

Ekipa zjadła obiad w Gazcue. Dołączyli do nich Ivar Smith i Terry Brundage. Dominikańczycy późno jadali obiady. Był już prawie środek nocy. Crutch czuł się obolały po drodze powrotnej. Jechał na amfie. Ciągłe sobie przypominał martwe dzieci. Trzy strzały, zero dłoni i stóp.

Restauracja miała stoliki na wolnym powietrzu, a znajdowała się zaraz przy Malecónie. Słone powietrze zdarło tapetę do osnowy. Pozostali gadali o pierdołach i jedli z apetytem. Crutch dziobał kalmary i przyglądał się kobietom.

Biesiadowali ekskluzywnie. W rejonie jasnoskórych. Miał niezły wachlarz hiszpańskich typów ziemiaństwa. Ciągłe śnił na jawie. Śródnocne odloty dziwnie go buntowały i niektóre kobiety wprawiały w spowolniony ruch. Kamera jego mózgu klikała fotosy i panoramowała. Kobiety jadły, rozmawiały, śmiały się i dotykały swoich przyjaciół albo eskorty. Wiedział, kiedy patrzeć i jak sobie radzić z wirowaniem.

Koleś z La Bandy padł przy stoliku. Ivar Smith ukrył w dłoni kopertę.

– Od Bebe Reboza – powiedział koleś.

Smith pogłaskał się po nieobecnej brodzie. Crutch ich ledwie percepował. Morales trącił Gómeza-Sloana.

– *Pariguayo* – powiedzieli jednocześnie.

Crutch uśmiechnął się i bawił się swoim jedzeniem. Wirowanie prawie ustało. Kobieta zgasła papierosa, odrzuciła głowę i wypuściła dym. Jej włosy się kołysały. Wiatrak pod sufitem bawił się dymem. Nosła zapinane buty na wysokich obcasach i jasnozieloną sukienkę. Podniosła ramiona i związała włosy. Ciemna szczecina, krople potu. Była blada, z brązowymi piegami. Nosła męski zegarek.

Crutch poszedł do kibla. Kobieta pożegnała się ze swoimi przyjaciółmi i wyszła drzwiami od frontu. Crutch wymknął się przez kuchnię, przeciął zaułek i wyszedł na ulicę dziesięć metrów za nią.

Poszła calle Pasteur do avenida Independencia. Skręciła w Maximo Gomez i dotarła do Malecónu. Morska bryza podrywała jej sukienkę. Przytrzymała ją, jakby to było zabawne. Crutch trzymał się dwadzieścia metrów za nią i obmyślał od nowa ujęcie. Ona szła szybko. Jego głowa pracowała powoli.

Skręciła w ulicę bez nazwy. Morska bryza zniknęła. Znaleźli się w dzielnicy mieszkaniowej. Kobieta paliła. Światło z okien chwytalo wznoszące się pasma jej dymu.

Crutch odpadł o pięć metrów. Okolica była bajerancka – zabytkowe domy, żółtawobiałe, żadnych krzykliwych kolorów. Skręciła w lewo w avenida Bolivar. Otworzyła drzwi eleganckiego piętrowego domu.

Crutch stał po drugiej stronie ulicy i kadrował światła w oknach. Blondynka porządkowała książki na półkach. Podeszła do niej jego kobieta. Blondynka się odwróciła. Uśmiechnęły się jednocześnie i zaczęły się całować.

Chwila się rozplynęła i trwała. Crutch patrzył. Ich ciała się złączyły i wypełniły okienny kadr. Ich ręce wędrowały tu i tam i potęgowały objęcia. Pocałunek trwał. Przyspieszyły go, on go zwolnił.

Światło zgasło. Jego kobieta je zgasła. Wyteżał słuch, żeby dosłyszeć głosy, ale bezskutecznie.

Zadzwoił, że jest chory.

– *Ça va* – powiedział Żabojad i: – Zły moment. Tygrysi Pazur jest w suchym doku w St. Ann's Bay na Jamajce. Ominie cię jego przypląnięcie.

Wyłożył zapasy: dopalacze, kawa, notesy i długopisy. Wniósł trzy dodatkowe wentylatory. Zaatakował szyfr.

Zaczął od liter S i K. Wydobył je z opracowania kodu podstawieniowego od CIA. Trzycyfrowe grupy oznaczały każde S i K. Każda cyfra wymagała odejmowania i mnożenia. Sumy oznaczały litery alfabetu. To było przypadkowe. Sumy różniły się w zależności od punktów zestawienia. Robota dla szyfranta: ukształtować słowa i litery z cyfrowego jazgotu.

Liczby, litery, symbole. Najpierw zabierzmy się za symbole.

Zawijasy, patyczkowe postaci i ikсы. Nakrapiały notes adresowy Gretchen/Celii w nieregularnych odstępach. Książka kodowa CIA określała je jako pochodzące z voodoo. „Przedstawienie duchowego chaosu przez kapłana voodoo, kiedy ofiara jest pod wpływem uroku”.

Symbole – do roboty. Nie przejdziesz do liczb i liter, dopóki tego nie rozgryziesz.

Jadł kolację, pił kawę, studził się trzema wiatrakami i klimatyzacją. Wpatrywał się w czterdzieści dziewięć symboli notesu Gretchen/Celii. Zalewał się potem w igloo.

Trzy symbole się powtarzały: zawijas, patyczkowa postać, znak X. Musiały mieć to samo znaczenie. Wpatrywał się w notes przez dziewięć bitych godzin. Jego umysł doszedł do tego:

Powtarzanie oznaczało banał. Oznaczało znudzenie Gretchen/Celii. Doprawiła swoją opowieść, żeby się ubawić i zmylić ewentualnych czytelników. Symbole nie wróżyły cudu. Były nieszkodliwe.

Drugi wniosek: były skrótami. Trzeci wniosek: wyjaśniony tekst będzie spójny, ale skrócony. Pochyłe pismo Gretchen/Celii było rozgorączkowane. Była niespokojna, składała je pospiesznie, praca szyfrowa pochłaniała jej energię. Czwarty wniosek: symbole były zamiennikami „r”, „i” oraz „z”.

Wykreślił symbole i dodał te słowa na swojej kartce. Sprawiały wrażenie koherentnych. Umieszczenie wydawało się prawidłowe.

Bolała go klatka piersiowa. Serce uderzało o żebra. Słyszał w głowie głosy. Zobaczył OKO i ODCIĘTE DŁONIE, i STOPY, nie wywołał ich. Gwałtownie tracił na wadze i czuł, jak spadają mu spodnie.

Minęły dwa dni. Od dodawania, odejmowania i mnożenia gotował mu się mózg. Odpłynął, pomimo dopalaczy. Ocknął się, widząc cyfry. Pisząca ręka zaczęła mu drżeć. Nie był pewien, co ma. Zdecydował zająć się powtarzaną sumą samogłosek. Pomyślał, że ma „l” i „t”. Ciągłe wychodziła mu suma 14. Świat się przechylił.

Ruch 14 czerwca czy też 14.06. Wspierani przez Castro czerwoni najeżdżają Dominikanę.

I:

Przed każdą czternastką miał R. Jego szyfr na razie zdawał egzamin.

Uzyskał E i C. Uzyskał T i R i W. Znowu przechylił. Samogłoska E znajdowała się zawsze na właściwym miejscu.

Zjadł więcej dopalaczy, wypił więcej kawy, sikał prawie na brązowo. Skóra mu się trzymała kurczowo kości jak u ćpuna. Miał sześć nowych grup cyfr i liter, które wydawały się właściwe. Odpłynął na pięć godzin. Obudził się otumaniony i pomodlił się! Zmusił się do zjedzenia jabłka. Doprawił je garścią dopalaczy. Poczul się nad wyraz ożywiony i zaczął budować słowa na podstawie szyfru i instynktu.

Zajęło to jedenaście godzin. Potwierdziło Managuę. Tak, to papierowa klątwa i księga zmarłych. Nie, to o wiele więcej.

Skróty, pominięte słowa, popękany tekst. A jednak w pełni spójne. Historia 14.06.1959 roku na wylot.

Jest 13.06.1959 roku. Ruch jest wspierany przez Castro i bazuje na zniewolonej przez Brodacza Kubie. Dwie przerobione żaglówki płyną Cieśniną Zawietrzną na północny brzeg Dominikany. Na pokładzie było dwustu rebeliantów. Mieli karabiny M1 Garand, bazooki i karabiny maszynowe. Prawie sami mężczyźni. Prawie, bo jeszcze Joan Klein i Celia Reyes.

Siły lądują na Estero Hondo i Maimón. Strzelcy wyborowi armii dominikańskiej czekają. Wszyscy rebelianci zostają schwytani albo zabici.

Jest 14.06.1959. DC-3 startuje z Czerwonego Brzegu Kuby. Osiemdziesięciu uzbrojonych mężczyzn jest spokojnych i przygotowanych. Noszą na ramieniu przepaski z napisem Union Patriótica Dominicana. Samolot leci na wysokości niewykrywalnej dla radarów i ląduje pod Constanzą. Rebelianci zabijają żołnierzy pilnujących lotniska i kradną ich pojazdy. Pędzą do miasta, zabijają kolejnych żołnierzy, jadą do pobliskich wąwozów górskich i tam się ukrywają.

Wojskowe patrole przeczesują góry, chwytają i zabijają rebeliantów. Rebeliantów z morza i tych z powietrza trzymano w Bazie Sił Powietrznych San Isidro i w komnacie tortur Trujilla, La Cuarenta. Oddział osobistych pałkarzy Trujilla siekał ich maczetami i palił na krzesłach elektrycznych. Kozioł rozpoczął ogromne obławy na podejrzanych o sympatyzowanie z Ruchem 14 czerwca. Sprzyjający mu członkowie rządu zostali zabici. Komuchy były torturowane, zabijane, niechętnie uwalniane. Ruch 14 czerwca tak naprawdę zrodził się w więzieniach Kozła. Brodacz rozpamiętywał nieudaną inwazję. Dominikańską prawicę ogarnęły nastroje antyfidelowskie. Kozioł został usunięty w 1961 roku. Brodacz 29.11.1963 przeprowadził drugą inwazję. Ta grupa oficjalnie nazywała się Agrupación Política Catorce de Junio. Tym razem rebeliantów było 125. Wylądowali w sześciu miejscach na północnym brzegu, zastrzelili kilku żołnierzy i uciekli w góry. Tymczasowy prezydent Juan Bosch nakazał polowanie. Żołnierze wspięli się na zbocza i wymietli rebeliantów. Kilku przeżyło. Zinfiltrowali dominikańską lewicę i anonimowo zrobili rewolucyjną zadymę.

Crutch czytał kartki Celi/Gretchen. Ciągłe posuwał się naprzód z odszyfrowanym tekstem. Dręczyło go voodoo i był na amfie. Głowa uderzała krwią w klatkę piersiową.

Główna opowieść się urwała. Nastąpiła po niej „Deklaracja solidarności” z zamordowanymi Haitańczykami. Kozioł i Krasnoludek zostali oskarżeni o ludobójstwo.

Listy: zamordowanych przez Trujilla Haitańczyków, zamordowanych przez Balaguera Haitańczyków, zwolenników Ruchu 14 czerwca uprowadzonych i zabitych przez La Bandę. „Ekskomunikowanych” zdrajców 14 czerwca zabitych przez samych członków. Listy: nazwiska, daty i miejsce śmierci.

Jedno nazwisko u dołu: Maria Rodriguez Fontonette.

Jej przydomek/przezvisko/pseudonim polityczny: Tatuaż.

Data zniknięcia: czerwiec 1968. Zniknęła w Los Angeles.



Tatuaż, kolor skóry, miejsce/data.

To ta noc.

To Dom Grozy.

To noc, kiedy widział pocałunek Joan i Gretchen/Celii.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 29.03.1969. Fragment ukrytego dziennika Karen Sifakis.

29 marca 1969

Eleanora rządzi moim życiem. Jest potężną carycą i władczą władczynią mojego serca, jak również wyczerpującym tobołkiem nieustannej energii i potrzeb. Skupia mnie oraz obraca wniwecz moje poczynania i myśli niezwiązane bezpośrednio z nią. Mój mąż jest teraz z powrotem w Filadelfii; jego wielomiesięczna obecność urosła do zakontraktowanej niewoli, podobnie jak pomaganie mi w prozaicznych obowiązkach nowego macierzyństwa i trzymanie mnie z dala od Dwighta. Teraz jestem sama z Eleanorą – a de facto obłożona przez nią – i Dwight jest z powrotem z siłą oblegającą.

Nasza kłótnia w Echo Park była straszna. Nie mam prawa pytać o poczynania z Joan, ponieważ nasz dwulicowy związek jest sam w sobie poważnym nadużyciem. Jedna różnica pomiędzy Dwightem a mną: cudzołóstwo nie jest w zasadzie tak uciążliwe jak sianie politycznego zamętu. Druga różnica: ja chciałabym się prześliznąć nad moimi nieprawościami, podczas gdy Dwight żywi skrywaną potrzebę poniesienia kary za swoje. To mój zwięzły elementarz kochania go.

Widzę, jak potęgują się polityczne występki, i jakoś odruchowo przypisuję je FBI, panu Hooverowi i – tym samym – Dwightowi. W styczniu na terenie UCLA zastrzelono dwie Pantery. Zabójstwa rzekomo wzięły się z od dawna istniejącej urazy pomiędzy Panterami a Zjednoczonymi Niewolnikami, a osiągnęły punkt krytyczny w momencie stworzenia Ośrodka Studiów Afroamerykańskich w kampusie. Wiem, że Biuro ma w obu organizacjach podwójnych agentów i jest zaangażowane w sianie niezgody między ugrupowaniami. Rzecznik Panter nazwał zabójstwa „politycznymi zbrodniami dokonanymi przez ZN na rozkaz świńskich struktur władzy”. Zaczynam nienawidzić słowa „świnia” tak samo, jak nienawidzę słowa „czarnuch”, i chyba potępiam Dwighta za jego postrzeganie zakorzenionej przestępczości w ruchu czarnych bojówek. Przeciwko licznym Panterom w Nowym Jorku wniesiono akty oskarżenia za rzekomy spisek i wybuch dynamitu na torach Perm Central w godzinach szczytu. Czy oni poszaleli? Nie wiedzą, że Murzyni też by zginęli? Ja wysadzam pomniki i nigdy fizycznie nie uszkodziłam żadnej ludzkiej istoty. Czy ja jestem szalona, że robię to za aprobatą Dwighta Holly’ego? Jaką straszliwą cenę zapłacę za swoją rolę w łagodzeniu poczucia winy tego człowieka i skąd dokładnie to poczucie winy się bierze?

Pan Hoover wydaje się zdecydowany odejść w psychotycznie nienawistnym blasku chwały i znalazł w Dwighcie niestrudzonego sługusa, który teraz ma Joan Klein do pomocy i nakłaniania, i może do pocieszania. Obawiam się, że Dwight biernie pozwoli albo aktywnie nakłoni SCP i FWMM do sprzedaży narkotyków i w tym znajdzie ochoczą współniczkę w Joan. Joan postrzega narkotyki jako narzędzie rewolucji i sięgała już po nie wcześniej. Obawiam się, że Joan i Dwight szukają tego samego fizycznego końca z przeciwstawnych politycznie motywów. Chcą doprowadzić SCP i FWMM do punktu powszechnego potępienia i beztrzesko lekceważą koszty ludzkie.

Powiedziałam Joan intymne rzeczy o Dwighcie. Wie, że Dwight czasami buszuje po moim domu i że zostawiam mu na pożarcie o wiele mniej szczerzy i kontrowersyjny pamiętnik. Obawiam się, że wyjawienie Joan mojej problematycznej miłości do Dwighta pcha ją ku niemu w próbie wspierania jej własnych politycznych celów.

Joan bywała już w beznadziejnie niebezpiecznych miejscach ogarniętych rewolucją i popełniała czyny, jak również występki, do których ja jestem kompletnie niezdolna. Zresztą tej swojej niezdolności żałuję i w równej mierze dziękuję za nią Bogu. Nie wątpię w jej szczerść ani bezgraniczne oddanie i widziałam ją w chwilach prawdziwej dobroci – nasze wykłady w Szkole Wolności w 1962 są jednym z przykładów – ale bezgranicznie się boję jej furii i woli. Ona i Dwight posiadają zaskakujące niemile podobieństwo poglądów i emocjonalny głód. Modłę się, żebym nie wyparła ich funkcjonalnych instynktów i nie spowodowała oplakanych szkód.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 2.04.1969. Fragment dziennika Marshalla E. Bowena.

Los Angeles, 2.04.1969

Mam problem. Incydent z ostatniej nocy może dotrzeć do Scotty'ego Bennetta. Konsekwencje mogą spierdolić równowagę mojego życia osobistego i operacji, a co za tym idzie – moje poszukiwania pieniędzy i szmaragdów z opancerzonej furgonetki. Pan Holly naciska mnie o donoszenie, a Wayne naciska mnie, żebym się zadeklarował wyłącznie do SCP albo FWMM. Przyciśnięty waham się i rozważam opcje. Rzadko waham się do tego stopnia, że popadam w oszołomioną beczynność. Ostatniej nocy tak właśnie się stało.

Wayne bywa teraz na południu miasta regularnie. Kupuje bary i kluby nocne i zorganizował Taxi Tygrys. Ze wszystkich ludzi Wayne wybrał i sprowadził do zagrody Taxi Tygrys byłego czempiona wagi ciężkiej i durnia, jak sam o sobie mówi, Sonny'ego Listona. Sonny chleje, łyka prochy i lata za kurwami. Sonny to głupek. Bracia się go boją i boją się przyznać, że go lubią. Sonny jest bardzo prawicowy. Nienawidzi muzułmanów i bojowników, a lubi Richarda Nixona i wojnę w Wietnamie. Dwie przegrane z Muhammadem Alim, połączone ze spożyciem prochów, wygładziły mu zwoje mózgowy. Jest jednak zabawny, czego nie można powiedzieć

o współszefie Taxi Tygrys, Milcie Charginie, który nie cofnie się przed niczym, by rozśmieszyć czarnych i wydać się fajnym. Taxi Tygrys jest teraz *très* modna. Ekipa zasuwa jak szalona. Jedziemy po czarnonacjonalistycznym duchu czasów. Pantery są największą atrakcją, podczas gdy SCP i FWMM robią sceny na miarę nic nieznaczących ludzi, którzy pytają w Stork Clubie o Waltera Winchella. Prosimy, zauważcie nas: jesteśmy czarni, jesteśmy groźni, próbujemy zdobyć prochy i jesteśmy tacy fajni.

Waham się i odwiedzam siedziby zarówno SCP, jak i FWMM. Znoszę ciągłą inwigilację Policji LA i trzy, cztery obławy uliczne tygodniowo. Moja policyjna przeszłość rozgrzewa do białości gliniarzy z południowej dzielnicy. Mówią do mnie „chłopcze” i zatrzymują mnie na okres dwudziestu minut, podczas których sprawdzają przez radio moją kartotekę. Zawsze okazuję się czysty; zawsze mnie wypuszczają, dźgając mnie w klatkę piersiową i wyzywając na pożegnanie. Wściekam się w duchu i nic nie mówię.

Nie mogę zajmować się moją Skłonnością. Obawiam się, jestem teraz wyjątkowo znany, każda schadzka mogłaby poskutkować obławą albo telefonem na policję. Muszę odłożyć swoje intymne potrzeby na później, bo teraz szacuję, bo pan Holly i Wayne mnie naciskają, bo bracia z SCP i FWMM niecierpliwie postukują swoją czarną nóżką i popędzają mnie, żebym dokonał wyboru.

Delikatnie wziąłem na spytki każdego znajomego na południu, każdego głupca i dobrego kompana, jakiego znam i poznałem przypadkowo, pytałem o informacje o napadzie i niczego się nie dowiedziałem. Ciągłe widuję w pobliżu Scotty’ego Bennetta. Zawsze uchyla po murzyńsku, w swoim pojęciu, kapelusza i puszcza do mnie oko.

Scotty wie dużo o napadzie. Jestem pewien. To błyskotliwy detektyw i ma skitrane pięć lat wiedzy. Silnie czuję, że głównie czerpie wiedzę od Policji Los Angeles.

Zupełnie jakby Scotty drażnił się ze mną i naciskał mnie, tak jak pan Holly i Wayne drażnią się ze mną i naciskają mnie swoją potężną męskością i zawzięcie określonymi chęciami. Ciągłe myślę o panu Hollym z kobietami i jak by to wyglądało, dopóki te obrazy nie zaczynają mnie drażnić i ranić. Wayne ma podszyty poczuciem winy związek z czarną kobietą i dostarcza mi podobnie erotyczny pokaz slajdów. Szuka zaginionego syna tej kobiety, który jest trochę podobny do ocalonego bandyty z napadu. Nie uważam tego za prawdziwy trop. Twarz bandyty była mocno poparzona, a Reginald Hazzard miał wtedy ledwie dziewiętnaście lat. To bardziej afirmacja sennego aspektu mojego obecnego życia, z tymi wszystkimi postaciami, które się przez nie przewijają i nęcą mnie.

Benny Boles krążył wokół mnie całkiem śmiało. Jest równie określony, jak ja wymijający i pewnie zaatakuje, jeśli pójde do SCP. Jest mordercą i ewidentnie psychopatą, co może tłumaczyć się jego wiarą we własną męskość. Regularnie widuję Joan Klein w klubach. Całkiem świadomie mnie nęci. Jest zachłannie zmysłową tancerką, jednocześnie zgadza się i nie zgadza ze swoimi partnerami płci żeńskiej i męskiej. Zerka na mnie w ciemności,

nawiązuje kontakt wzrokowy i pozdrawia, nie wypadając ani na chwilę z rytmu. Zupełnie jakby mówiła mi o mnie rzeczy, które zebrała we śnie. Ja przyłapuję się na fantazjach o panu Hollym i Joan ze mną w łóżku. Oni się w rzeczywistości nie znają, ale ja znam ich oboje i zbiegają się w mojej psychice.

I Jomo.

To na pewno łajdak, ale moim zadaniem jest bratać się i usidlać łajdaka, a i tak go lubię. Spędzamy razem czas w Taxi Tygrys, FWMM i klubach. Od walki na noże z Leanderem Jacksonem Jomo jest przy mnie swobodniejszy. Przechwala się, jaką to kasę zdobył, a ja bardzo ostrożnie wyciągam z niego szczegóły, by przekazać je panu Holly'emu. Już byłem w ogródku, już witałem się z gąską, do incydentu ostatniej nocy.

Byliśmy na wymuszeniu w spożywczym. To było ciche przyzwolenie i zawołowana groźba: chcieliśmy kartony płatków kakaowych dla dzieci uczęszczających na wieczorki akcji FWMM Nakarm Dzieciaka. Stamtąd poszliśmy na sponsorowanego przez FWMM grilla i rozdawanie broszur w Gimnazjum Foshay. Jomo zachowywał się należycie w obecności dzieciaków. To było jednocześnie upiorne, jak i budujące, ze względu na naturę tego człowieka. Jestem pewien, że miał z tym coś wspólnego jego poziom narkotyków: cały dzień wciągał kokę i łykał seconal.

Wyszliśmy z Foshay, ruszyliśmy na chatę do Joma i zajechaliśmy do monopolowego na Florence Boulevard po fajki. Jomo zatoczył się i walnął o stojak z chipsami. Właściciel był czarny i obraził się. Powiedział: „E, smoluch, co ci jest?”.

Jomo przeskoczył ladę i walnął faceta spluwą, a ja zamarłem i nie zrobiłem nic. Potem Jomo ukradł dwie butelki szkockiej J&B i trzy kartony kooli.

Ja nie zrobiłem nic. Jomo wrzeszczał na tego gościa i wykrzykiwał obelgi pod adresem SCP. Jestem pewien, że właściciel mnie rozpoznał. Jestem byłym policjantem, znanym bratem i słynną w południowej dzielnicy osobistością.

## 67

(Los Angeles, 3.04.1969)

Milt C. miał kukłę o nazwie Narkogorylek. Robił z nią drętwe sztuczki. Raczył nimi braci. Sonny i Jomo ryczeli na dany znak.

Centralka się przegrzewała. Jomo zonglował rozmowami. Liceum Jordan walczyło z Liceum Washington. Koszykówka wszechmiejska – ludzie potrzebowali taryf.

Narkogorylek nosił kapelusz alfonsa i garnitur w szachownicę. Z jednego ramienia zwisała mu igła. Milt poruszał jego małpimi ustami.

– Te świny z Policji LA to one normalnie spokoju mi nie dają. Ja tu sobie klapen dupen na werandzie, a tu jakaś kurwa akcja. I mówią do mnie, że co ja tu robię z tą igłą. A ja, że wy biali lodziarze w dupę pchani macie fiutki jak igiełki, ja to mam czarnego węża, co mi lata po całym, kurwa, podwórku.

Junior zarechotał. Jomo odbierał wezwania i zarechotał.

– Narkogorylek to maminsynek i tchórz – oznajmił Sonny. – Muhammad Ali ruchał jego małpią matkę.

Wayne zerknął na zegarek. Marsh powinien już tu być. Właśnie odebrał wiadomość ze skrzynki. Znowu usłyszał w głowie kliknięcie. Znowu jakieś dziury w pamięci.

Miesiąc temu. Kłótnia z Mary Beth. Reginald, Szkoła Wolności, skąd do kliknięcia?

Był zawalony. Drako i Chłopcy go przeforsowywali. Do tego ta robota łącznika. Jeszcze nie miał czasu popracować nad tym kliknięciem.

– Beatlesi zapierdalają po całym getcie – mówił Narkogorylek – żeby zdobyć jakąś czarną cipkę. Spotykają takie dwie niezdrowo wyglądające siostry Zarazę i Dżumę i...

Wayne wyjrzał przez okno. Zobaczył Marsha. Wayne wstał i śledził go wzrokiem aż na parking. Szesnaście taksówek Tygrys lśniło.

Marsh był dziwnie spocony pomimo chłodu. Wayne podał mu chusteczkę.

– Mów.

– Dwa dni temu byłem z Jomem. Pobił sprzedawcę w sklepie monopolowym i obrobił go. Jestem pewien, że facet mnie rozpoznał.

– Dlaczego dopiero teraz mi to mówisz?

– Taką mam skłonność. Zwykle przeczekuję.

– A na co czekałeś?

– Na Scotty’ego. Każdy właściciel monopolowego na ziemi zna go i ma wobec niego zobowiązanie.

Huknęła muza. Jakiś debil odpalił w dyspozytorni hi-fi. Wayne poprowadził Marsha do ogrodzenia.

– Nie zadzwonił do Scotty’ego. Już byś wiedział.

– Tak, tak właśnie myślę.

– Daj mi coś – powiedział Wayne.

Marsh wytarł czoło.

– Co masz na myśli?

– Daj mi trop dla Dwighta. Powiedz mi coś, żebym go przekonał, że pracujesz.

Marsh westchnął.

– Napady na monopolowe. Sporo ich było.

Wayne udał, że wzdycha.

– Wracamy do monopolowych?

– Nie o tym mówię. Mówię, że może coś mam.

Wayne westchnął mocniej.

– Napady na monopolowe w południowej dzielnicy z podejrzanymi Murzynami? Możesz im dać coś oryginalniejszego?

Marsh otarł czoło.

– Jomo gadał, że zdobył jakąś wielką kasę, ale nie podał źródła.

Wayne pokręcił głową.

– To za mało. Wyciszę to na razie, ale musisz efektywniej pracować.

– Jezu, Wayne...

Wayne pchnął go na ogrodzenie.

– Idziesz do SCP. Podlizujesz się Leanderowi Jacksonowi i ustawiasz publiczny konflikt z Jomem. Ja jadę do Dominikany. Szczegóły ustalimy po moim powrocie. Wywalisz Jomowi prosto z mostu o tej sprawie z monopolowym. Nazwiesz go dupkiem, chujem i szczeniakiem, a ja na to będę patrzył.

– Jezu, daj mi...

Wjechała taksówka i stanęła koło nich. Wayne odsunął się na bezpieczną odległość.

– Zrobisz to. Bo jak nie, to powiem wszystkim, że jesteś pedałem.

Monopolowy był blisko. Właściciel miał zabandażowaną głowę od brwi w górę. Wayne wszedł i kupił paczkę chipsów. Facet wyczuł glinę.

– Policja Los Angeles?

– Las Vegas, i to w spoczynku.

Facet wbił na kasę.

– Dlaczego w spoczynku?

– Zastrzeliłem nieuzbrojonych Murzynów i się to rozniosło.

– Zasłużyli?

Wayne dał mu dolara.

– Tak.

Facet dał mu resztę.

– Źle panu z tym było?

– Źle.

Facet się uśmiechnął. Wayne wskazał jego bandaż i rzucił mu zwitek banknotów. Dwa tysiące w pięćdziesiątkach, spięte gumką.

– Dzwonił pan do Scotty’ego?

– Zastanawiałem się.

– Ten Scotty to ma jaja.

– Jeszcze jakie. Ci sami bracia obrabowali mnie sześć razy, więc zadzwoniłem do Scotty’ego, tak sam z siebie. Powiedziałem mu, że zwykle gliny się nie wywiązują. Scotty powiedział, że o to zadba, i zadbał.

– Musiało się dziać.

– Działo się. Weszli w kominiarkach, a wyszli w workach. Scotty postrzelił ich z shotguna, niewiele z nich zostało.

Wayne zjadł chipsa.

– Jesteś lojalny wobec Scotty’ego.

– Tak, pewnie tak samo jak ty wobec tego Marshalla Bowena.

Wayne rzucił zwitek nr 2. Facet go przewertował.

– Bowen musi się kumpłować ze szmalcowymi gośćmi. „Informator wysokiego szczebla”. Nie mam racji?

– Masz zadłużoną hipotekę. Jestem gotów cię wesprzeć.

– I jeszcze mam zaległy rachunek za prąd.

– Coś jeszcze?

– Tak, jedna rzecz. Chcę taką tygrysową limuzynę na szesnastkę córki.

Do USC miał niedaleko. I miał napięty plan. Drako zażądał rozmowy telefonicznej. Tak, proszę pana. Opad radioaktywny pana zabije. Nie, proszę pana, nie w najbliższym czasie. Tak, powinniśmy zakazać prób z bronią jądrową. Nie, żadne z mocarstw nie przychyli się do pańskiej osobistej opinii.

Wayne zaparkował i wędrował po kampusie. Połowa studentów była staroświecka, połowa długowłosa, a wszyscy byli pokrzywdzeni. Lewicowe i prawicowe ulotki pokrywały tablice ogłoszeniowe. Młodzi Amerykanie dla Wolności kontra Studenci dla Społeczeństwa Demokratycznego, Stowarzyszenie Zwycięstwo w Wietnamie kontra Studencki Komitet Pokojowej Współpracy. Dzieciaki z gitarami, dzieciaki w uczelnianych swetrach, kilkoro czarnych dzieciaków w afrykańskich koszulach.

Wayne zaczepił przechodnia. Szkoła Wolności? Zabij mnie. Sprawdź w informacji. Nie, nie słyszałem.

Na tym się zatrzymał. Zadzwoił z budki do Farlana i odłożył spotkanie z Drakiem. Zobaczył paru strażników na dymku i podszedł do nich.

Byli czarni. Wyczuli glinę. Wayne wyczuł wyroki na koncie. Wyjął dziesiątki i skubał je z uśmiechem.

– Działo tu coś o nazwie Szkoła Wolności. Sześć czy siedem lat temu, tu w kampusie.

Wszyscy trzej odpowiedzieli kamiennym obliczem.

– Już nie działa – rzekł jeden. – Wyłączyli to przed zamieszkami w Watts.

– Tam parę pawilonów naprzeciwko – rzekł drugi – w ośrodku sportowym. Nikt ich nie używa. Pan spojrz na te zakurzone drzwi z tym wyblakłym plakatem.

Wayne powiedział, że dzięki i odszedł. Wzdłuż chodników rosły drzewa. Ukradkowe dymki trawki wiły się gdzieniegdzie. Znalazł ośrodek sportowy i pawilony. Zobaczył drzwi z plakatami.

Jesień 1964. *RATUJMY USTAWĘ RUMFORDA! PRAWA WŁAŚCICIELI LOKALI TO RASIZM!*

Drzwi wyglądały na liche. Wayne łatwo wyważył je ramieniem. Wszedł do środka. Okno w głębi zapewniało światło. Pomieszczenie całe było zastawione kartonami.

Przejrzał je. Stosy ulotek i polemik. *Huelga!* Ręce precz od Kuby! Strajki zbieraczy owoców. Wsparcie Al Fatah, OWP, Ruchu 14 czerwca. Pamiętajcie o Leo Franku, Emmecie Tillu i Chłopakach ze Scottsboro. Tyrady w obronie praw obywatelskich, elaboraty o czarnej sile. Malcolm X, Frantz Fanon, Uwolnić Rosenbergów. Wolna Algieria! Wolna Palestyna! Precz z kozłem Trujillo, karaluchem Wuja Sama! United Fruit: wiesz, ile kosztował twój banan?!

Znalazł zdjęcia. Z 22.09.1962. Wyglądały na fotki z zajęć.

Siedmioro mężczyzn i kobiet przed pawilonem. Troje białych, czworo czarnych. Dwie białe kobiety nieco z boku. Jedna wysoka i ruda. Druga niższa. Trzydzieści pięć lat, może ciut więcej. Ciemne włosy z siwymi pasmami i okulary w czarnych oprawkach.

Klik. Bip. Może, prawdopodobnie, nie do końca.

Klik się włączał i wyłączał, aż nadeszło olśnienie. Bip przybrał osobliwą formę. Tacka Sułtana Sama, trzy miesiące temu. Kółka dymu i siedząca tyłem do niego kobieta z takimi właśnie pasmami.

Wayne przyjrzał się bacznie zdjęciu. Kobieta miała długie rękawy. Nie było widać żadnych blizn. Reginald pojechał do tej szkoły. Reginalda zapuszkowali w Wypizdowie. Może, może niekoniecznie – ta kobieta wpłaciła za niego kaucję.

Poleciał liniami Draka. Samolot wylądował na prywatnym pasie Hughesa. Gliny z bykowcami pilnowały hali dla VIP-ów.



Joaquín Balaguer przysłał limuzynę i cztery motory obstawy. Pojazdy pochodziły z głębokiej epoki Trujilla. Wszystkie pięć ryczało jak wiertarka udarowa.

Wjechali do Santo Domingo. Szyby były przyciemniane. Jaskrawe kolory filtrowały się do środka monochromatycznie. Limuzyna jechała powoli. Obrazy były przesączone sepią. Kronika filmowa narodu nędzarzy. Dzieciaki ciągnęły riksze, żebracy zebrali, pałkarze ganiłi młodzież wymachującą tablicami. Pokaz slajdów przerywany zamknięciem migawki. Mrugasz okiem i widzisz ucisk. Mrugasz okiem i go nie ma.

Wayne'owi załzawiły oczy. Pokaz slajdów: wciąż miał przed oczami twarz kobiety. Jej okulary, posiwiałe włosy – slajd się zablokował i w kółko widział jej obraz. Na pokładzie samolotu przeczytał o Ruchu 14 czerwca. Potępiał on dominikańskich despotów i zamordowanie niewinnych Haitańczyków. Przepowiadał przyszłych despotów bardziej łebskich niż Kozioł. Przewidywał znową amerykańsko-dominikańską w interesie jankeskiej branży turystycznej.

Reginald poznał Haitańczyka. Omawiali zioła voodoo. Klik – błysk pamięci. Kobieta, Szkoła Wolności, już, już coś ma zaskoczyć i bach, po zawodach.

Wayne opuścił szybę. Monochromatyczna kronika filmowa stała się jaskrawa, że aż wypalała oczy. Kolory atakowały. Słone powietrze paliło. Gliniarze zagonili protestantów w ślepią uliczkę i przyszpili ich do ściany. Wayne zobaczył uniesioną pałkę i usłyszał krzyk.

Limuzyna dowiozła go do El Embajador. Lizus ulokował go w aksamitnym apartamencie. Miał rozległy widok. Rio Ozama płynęła na zachodzie. Czarne dzieciaki nurkowały i walczyły ze sobą o odpadki z łódek rybackich. Odcień skóry zmieniał się z każdą dzielnicą. Gdzieś widział czerwone flagi.

Poszedł do apartamentu Mesplède'a, zapukał i nie doczekał się odpowiedzi. Poszedł do apartamentu Dupka i zastał drzwi otwarte na oścież.

Wpadł do środka. Melina szczeniaka. Rozrzucone w nieładzie magazyny. Dupek czytał „Playboya” oraz „Broń i Amunicję”. Dupek lubił oglądać obrazki. Miał polaroida. Miał pozowane zdjęcia kobiet...

Brązowe butelki na nocnym stoliku. Białe etykiety, co...

*Sulfur oxide precipitant, ammonia, acetic anhydride.*

– Cześć, Wayne. Co tam?

Dupek nosił colta pythona do bermudów. Dupek lizał rożka lodowego. Dupek miał trądzik.

Wayne uśmiechnął się i podszedł. Dupek podał mu rękę. Wayne zgiął palce, szarpnął go do siebie i kopnął go w jaja. Dupek rzucił loda i zsiniał.

– Żadnej heroiny. Nie robisz, nie kupujesz, nie sprzedajesz. Zabiję każdego, kto to robi.

Dupek wyrzygał kawałki toffi z lodów i wafelka. Cień padł na ścianę.

– *Ça va, Wayne. C'est fini, l'héroïne.*

Balaguer negocjował. Wypłaty i plany awaryjne faworyzowały Führera. Ogólne umowy faworyzowały Chłopców. Balaguer targował się i ustępował. Wayne obrał tę samą taktykę. Rozmawiali w saloniku Palacio Nacional i pracowali nad notesami. Smith i Brundage grali w golfa. Kubańczycy poszli na kurwy.

Koszty budów, koszty robocizny, łapówki lotniskowe. Zredukowane opłaty za loty USA–Dominikana. Premie motywacyjne. Opłaty dla celników za niewtrącanie się. Szczegóły prania pieniędzy. Inspekcje Dwighta Holly’ego, łącznika prezydenta Nixona.

Ostatni punkt wkurzył Balaguera. Wayne go udobruchał. Proszę pana, to w zasadzie formalność.

Der Führerowi się to spodobało. Wayne rzucał przynętę, żeby ją potem podmienić. Turystyka miała szanse tylko w pokojowych miejscach. Za dużo biedy odstraszy turystów. Prezydent Nixon to rozumie, panie prezydencie. On jest pańskim typowym turystą, bardziej politycznie kumatym. Odwiedzający uznają pańskie środki przymusu za krępujące. Oddziały pałkarzy i ganiecie dysydentów to dla nich chińszczyzna. Nie umieją ekstrapolować. Będą wstrząśnięci tym, co zobaczą.

Balaguer jeżył się w czasie tej rozmowy. Wayne zrezygnował z trzech punktów finansowych, żeby go ułagodzić. Rozmowa zajęła sześć godzin. Balaguer wstał i powiedział *adiós*.

– Żadnego batożenia, panie prezydencie – powiedział Wayne. – Obawiam się, że muszę nalegać.

Formalność.

Zobaczył to od razu: darmowe jedzenie i mniej krzywdy ze strony La Bandy. Pokaz slajdów sprawiał wrażenie zmarginalizowanego. Szybciej strzelała mu migawka. Widział albo nie widział w przyspieszonym tempie. Pomógł monochromatyczny widok: samochód Mesplède’a i przyciemnione szyby.

Lokalizacje w Santo Domingo były zaorane i gotowe do budowy. Pilnowała ich policja. Znajdowały się w rejonach niemal wyludnionych. Dowozy z lotniska mogły przebiegać przez dobre dzielnice. Wycieczki będą all-inclusive. Gości się będzie zachęcać, by siedzieli w hotelach i wydawali pieniądze.

W Santo Domingo obowiązywała segregacja. Jasnoskórzy ludzie, ciemnoskórzy ludzie i rozwarstwione mieszanki. Wayne przypomniał sobie Little Rock 1957. 82. Dywizja Powietrzna i wymuszona desegregacja.

Mesplède jechał i palił jednego za drugim. Dupek siedział z tyłu i szarpał się za swoją dupkową szpilkę w kłapie. Muzyka w radiu tłumiała rozmowy. Karaibski jazz, krzykliwy i monotony.

Autopistą pojechali na północ. Droga była fatalna. Pola trzciny cukrowej i polany desaturowały monochromatyczność. Czarni przebiegali przez drogę. Mesplède ich omijał.

Stanowisko w Piedra Bianca było sprawdzone i strzeżone. Z wysokościowca będzie widać kilka szalasów i rozległe połacie roślinności. Stanowisko wydawało się pospiesznie opuszczone. Wayne zobaczył plamy krwi na porzuconej belce.

Zostali kilka minut i ruszyli do Jarabacoi. *C'est fini, l'héroïne* – nikt nic nie mówił.

Jechali trzy godziny. Wayne otworzył okno, wywietrzył samochód i go ożywił. Jaskrawe kolory powodowały ból oczu. Poczł zgniliznę dżungli i proch.

Jarabacoa była identyczna. Strażnicy byli służalczy i zaproponowali im *cervezas*. Wayne zobaczył batog złożony za krzakiem.

Murzyn biegł za polem trzciny. Jego twarz była otwartą, jęczącą się raną.

– Jean-Phillipe, ty wracasz – powiedział Wayne. – Crutchfield, ty wieziesz mnie do Haiti.

Mesplède wyrzucił papierosa.

– Mamy tylko jeden samochód, Wayne.

– Mię stąd jest przystanek autobusowy. Podrzucimy cię.

Klimatyzacja zasuwała. Na Kordylierę Środkową wspinali się w mobilnej saunie. Przez otwarte okna wlatywało gorące powietrze i owady wielkości Godzilli. Skręcili na południe przez Dajabón. Chwiejny most pylonowy spinał Plaine du Massacre. *Fascisto* strażnicy graniczni pomachali na pożegnanie i zawołali hej. Aligatory wygrzewały się na słońcu na haitańskich brzegach, otoczone kośćmi nóg.

Odcień skóry pociemniał. Jasne kolory trzymały się tam, gdzie spadał wskaźnik biedoty. Baraki z przerdzewiałymi blaszanymi dachami i gliniane lepianki. Poznaczone krwią drzewa i zlinczowane kurczaki ociekające flakami.

Dupek prowadził. Ręce mu drżały na dźwigni zmiany biegów. Wayne zamknął oczy i opuścił oparcie swojego fotela. Tapicerka była śliska od potu. Przy lamówce w kałużach zbierała się wilgoć.

– Żadnych więcej burdeli. Następnym razem cię zabiję.

– Dobra – powiedział Dupek.

– Twoje zabezpieczenia to kit. Nikt ci nie uwierzy. Jesteś koniowałem. Jesz rożki lodowe i jesteś perwem. Mesplède jest dla ciebie miękki, ale ja nie.

– Dobra – powiedział Dupek. Jego głos pisnął i się załamał.

– Powiem ci raz i nie będę powtarzał. Nie wydostaniesz się z Życia bez szwanku ani żywy. Zabijanie komunistów i praca dla takich ludzi jak ja nie da ci nic prócz następnego koszmaru.

– Jasne – powiedział Dupek. Cichym piskiem.

Wayne otworzył oczy. Jechali teraz drogą gruntową. Gruchoty, wozy ciągnięte przez woły i wioska: chaty kryte strzechą i pastelowe kostki powiewające flagami voodoo.

Ściany obłożone strasem. Murale na sztydach na sztalugach. Tawerna o nazwie Port Afrique.

– Zatrzymaj – polecił Wayne.

Dupek stanął. Wayne wysiadł. Murzyni kłębili się, żeby przyciągnąć uwagę.

– Wracaj do Santo Domingo. Ja wrócę sam.

Dupek wzruszył ramionami i odjechał z piskiem opon. Wayne wszedł do Port Afrique. Wyczuł zasadę amonową, nieoczyszczony alkohol. Pomieszczenie było prostokątne. Bar z półkami butelek i nic więcej. Na bocznych ścianach widniały francuskie slogany: „Mocą świętej gwiazdy idź i znajdź”. „Spanie bez wiedzy i spania”.

Barman spojrzał na niego. Trzej inni mężczyźni też. Trzymali obcekinowane kielichy. Unosiły się z nich opary. Zawartość o wysokiej kwasowości, niskiej zasadowości. Na pewno klerin. Dziwactwo na półtrujących związkach z gadzich gruczołów.

Wayne podszedł do baru i ukłonił się, żeby okazać szacunek. Trzej mężczyźni odeszli. Butelki na półce były przezroczyste i opisane po francusku. Barwiony talk, kora drzewa, proszek z węża farmakologicznie czynny.

Barman się ukłonił. Wayne wskazał pusty puchar. Spojrzenie barmana mówiło „Jesteś pewien?”.

– *S’il vous plaît, monsieur. Je suis chimiste, et voudrais essayer votre plus potion.*

Barman się ukłonił.

– *Comme vous voulez, monsieur. Mais vous comprenez q’il y a des risques.*

– *Oui* – powiedział Wayne.

Barman otworzył butelki i zanurzył łyżeczkę. Rośliny wymienialne, kora, wątroba rozdymki. *Bufo marinus*: gruczoły przyuszne węża morskiego. Klerin z syfonu. Nieznany płyn, który to wszystko spenił.

Syk i bulgot przybrały na sile. Pachniał jak wiązanie lotnych komponentów. Barman podał puchar z gestem błogosławieństwa. Wayne ukłonił się i położył na barze amerykańską gotówkę.

Podeszło trzech mężczyzn. Jeden wznosił toast, jeden go pobłogosławił, jeden podał mu kartę sekty. Piana przepaliła powietrze dokoła nich. Wayne wypił miksturę jednym haustem.

Przypiekła mu gardło. Wstrząsnęły nim dreszcze.

– *De rien, monsieur* – powiedział barman. – *Bonne chance.*

Znalazł zacienione miejsce pod wioską. Stanął tam i wyłączył odgłosy z zewnątrz. Usłyszał oddech powietrza i wiedział, że wierzy w tę chwilę. Poczuł, jak wiruje pod nim ziemia.

Puls mu walił i łączył jego członki z otaczającymi drzewami. Widzenie peryferyjne mu się poszerzyło i pozwoliło mu widzieć tyłem głowy. Oczy mu załzawiły. Zobaczył doktora Kinga i pastora Hazzarda, pływali. Doktor King kolorował Mary Beth. Pastor miał oczy Marsha Bowena. Przysiadły w nim ptaki. Ich ćwierkanie rozbrzmiewało jak te kliknięcia, które słyszał ciągle tam w świecie. Słońce zmieniło się w księżyc i wpadło mu do kieszeni. Wciąż widział kobietę o ciemnych włosach z siwymi pasmami.

## 68

(Los Angeles, 10.04.1969)

– Marsh spierdolił sprawę – powiedział Scotty. – Był świadkiem rabunku i nie zameldował.  
Dwight zapalił papierosa.

– Wiem.

– Marsh ci się przyznał?

– Powiedział łącznikowi.

– Masz na myśli Wayne'a Tedrowa?

– Zgadza się.

Scotty się roześmiał.

– Genialny casting. Czarnuchy się go boją, więc go uwielbiają. Nikt nie podejrzewa, że jest pomocnikiem FBI, bo pracuje dla Chłopców.

Kawiarnia Dudziarza na Western. Pierwsza w nocy: gliny i upiory z Schaeffer Ambulance.

– Kto ci powiedział o Wayne? – spytał Dwight.

– Jeden z moich licznych informatorów na południu.

– Facet z monopolowego?

– Milczę jak grób.

Dwight przetarł oczy.

– Pogadajmy o Jomie.

– Najpierw poproszę ustępstwo.

– Dobra. Puszczę Joma, jeśli odpuścisz Marshowi.

– Znaczy?

– Znaczy, że Jomo może być wyłączony z mojej operacji. Znaczy, że to mój najlepszy psychol z czarnych bojówek, ale mogę się obejść bez stawiania go w stan oskarżenia. Znaczy, że masz coś, o czym mi nie mówi, bo nie dzwoniłbyś do mnie w nocy z powodu jednego czarnucha.

Scotty dodał śmietanki do kawy.

– Zgadza się pod każdym względem. Jomo ma dużo hajcu i chyba wiem, gdzie go trzyma.

– I jeśli będziesz potrzebował Marsha na świadka, to go wezwiesz.

– Zgadza się.

Dwight palił jednego za drugim.

– Obiecujesz, że nie ujawnisz powiązania Marsha z Biurem?

Scotty wysepił fajkę. Dwight mu podpalił.

– Tak. Obiecujesz, że nie przyskrzynisz Joma pod żadnym zarzutem federalnym, kiedy ja montuję swoją sprawę?

– Tak.

Scotty się sztachnął i zgasił. Przeszło dwóch gliniarzy i zaszalutowało. Scotty do nich mrugnął.

– Dzięki za przyjście. Zdaję sobie sprawę, że to tak w ostatniej chwili.

Dwight się przeciągnął.

– W porządku. I tak nie mogłem spać.

– Zawsze jest gorzała.

– Na mnie słabo działa.

– Zawsze są kobiety.

– Trochę mam dość tematu – powiedział Dwight.

– *C'est fini, l'héroïne.*

– Jesteś fiutem.

– *Allons-y, l'héroïne – oui.*

Tygrysi Pazur ciął fale. Cel: Point Higuero, Puerto Rico. Saldívar obsługiwał silnik. Żabojad mostek. Gómez-Sloan i Canestel torpedy. Morales czytał instrukcję obsługi.

Crutch obsadzał dziobowe stanowisko karabinu maszynowego. Luc Duhamel rufowe. Wystartowali z prywatnej zatoczki Luca. Bez problemu opłynęli północny brzeg. Ryzykowali jak cholera.

Łódkę kupili z funduszu pomocowego. Bebe Rebozo dostarczył kupę hajcu. Luc znał ludzi od prochów w Point Higuero. Tygrysi Pazur nadchodził ukradkiem, nocną porą. Zrobił już cztery kursy sabotażowe. Niegrzeczna łódka.

Z zatoczki Luca do Cieśniny Zawietrznej, stamtąd do czerwonych klifów Kuby. Zniszczone dwa porty motorówek, trzydziestu Fidelistos *mort.* „Jesz różki lodowe i jesteś perwem”. Owszem, ale dziewiętnastu komuchów smaży się w piekle.

Tygrysi Pazur: drewniany kadłub, model z II wojny światowej. Tygrysie paski, tygrysie łapy, numer 109. *L'hommage à le grand putain Jack.*

Crutch zjadł aviomarin. Tygrysi Pazur skakał po wzburzonych falach. Zmierzch zgasił słońce, freon zamroził wodę. Łąd zbliżał się od prawej burty. Saldívar dostrzegł miganie semafora. Żabojad skręcił w stronę zatoczki. Mielizna ich otoczyła. Światło latarni ostrzelało dziób. Crutch zobaczył czterech Latynosów z thompsonami.

Latynosi chwycili Tygrysi Pazur bosakami i przycumowali go solidnie. Wszystko dopasowane: karabiny maszynowe do szczelin w skale. Ekipa wyskoczyła. Piasek wsypał im się do skarpet. Latynosi z Puerto Rico wyglądali jak Kubańcy. Wszyscy mieli te charakterystyczne oblicza macho. Padły nazwiska. Crutch milczał jak grób. Latynosi pokłonili się Lucowi. To był jego rodowód. Dwumetrowy kapłan voodoo i funkcjonariusz Tonton. Absolutnie wyjątkowy gnojek.

Ekipa podążyła za Latynosami. Zarośla dżungli naciskały na plażę. Roily się nocne robaki. Światło latarni większość z nich zabijało w powietrzu. Crutch zobaczył rybacką chatę. Drzwi do niej pilnowało dwóch wartowników. Środek miał dwa i pół na dwa i pół metra. Przy stole siedziały gostki od proszku.

Saldívar przyniósł pieniądze w plecaku. Luc przyniósł wypełniacz sacharozowy, brzytwę i strzykawkę podskórną. Latynosi przeżegnali się i pobłogosławili jego testowy odlot.

Gómez-Sloan rozciął pakunek. Saldívar łyżeczką nałożył proszku do fioletowego roztworu. Zrobił się żółty. Żabojad powiedział *voilà!* Latynosi powiedzieli *arriba!* Luc przetarł swoją igłę, naciągnął opaskę uciskową i zapodał sobie w żyłę.

Oczy wszystkich skierowane na Luca. A on jest już na koksodromie na przylądku Czarnaweral. Kieruje się na pozycję startową.

Luc wcisnął tłok. Krew wpłynęła do strzykawki. Luc słuchał, cichł, lewitował i opuścił ich, kierując się do Siódmego Nieba.

Woda była zimna. Fale uderzały o kadłub i pieniły się na fordeku. Crutch miał wachtę. Musiał sobie zajarać. Jego myśli udały się w podróż. Pocałunek Dominikanek. Stamtąd udał się do Joan i Gretchen/Celii i ich pocałunku zeszłego lata.

Księga umarłych voodoo. Tatuaż znika tamtego lata. Jest zdrajcą 14 czerwca. Joan i Gretchen/Celia chcą jej śmierci. Zabójstwo nożem – albo może coś innego.

„Jesteś perwem”.

Nie bał się Kubańczyków. Nie bał się Luca. Nie bał się Żabojada, Scotty’ego ani Dwighta Holly’ego. A Wayne’a tak, Wayne’a się bał. Inni się Wayne’a nie bali. Żabojad mu się stawiał. Żabojad powiedział, że mogliby prowadzić narkobiznes w sekrecie. Wayne zabił Martina Luthera Kinga i kilku czarnuchów pomniejszego kalibru. Wayne miał czarną dziewczynę. Wayne był straszny, bo przetwarzał zło i przekazywał ci je, nie pytając o zdanie.

Wysadził Wayne’a w piekle w Haiti. Wayne wrócił po trzech dniach, wymizerowany i odjechany. Klepnął transfer: dolce od Chłopców dla Krasnoludka. Teraz pracowali skazańcy i niewolnicy. Kubańczycy i La Banda strzelali z bata. Ekipa Tygrysa pracowała non stop. Nadzorowali budowy. Mieli Tygrysi Pazur. Najęli stróża. Voodoo niewolnicy Luca dłubali w zatoczce. Żabojad nazywał ją Tygrysią Zatoczka. Luc miał narkopowiązania w Port-au-Prince. Tontońskie czarnuchy przekażą herę dilerom. Sam szef czarnuchów Papa Doc sporo podkradnie.

Wayne powiedział żadnej hery. Ekipa się nie podporządkowała. Crutch bał się Wayne’a. Nienawidził Wayne’a. Miał zdjęcie, na którym Wayne ściska dłoń Krasnoludkowi. Luc nauczył go, jak rzucać urok. Przeklął Wayne’a. Wbił igły w zdechłego kurczaka. Upuścił sobie krwi i wbił szpilkę w zdjęcie twarzy Wayne’a.

Fala nim rzuciła. Rozjebała mu obrazki w głowie. Strzelił pociskiem dymowym w niebo.

Kolesie z CIA mieli kota na punkcie golfa. Terry Brundage miał zerowy handicap. Jego fagasy ciut gorsze. Biuro prowadzili w byłej budzie caddy na prywatnym polu golfowym Krasnoludka. Pod dziewiątym dołkiem La Banda miała izbę tortur.



Crutch wszedł. Na podłodze sztuczna murawa. Szklanki do koktajli jako dołki. Terry i jego fagasy mieli na sobie T-shirty i gatki z surówki jedwabnej.

– *Hola, pariguyao* – powiedział Terry.

Crutch się roześmiał. Jeden z fagasów strzelił putta. Inny fagas wbił longa. Wszędzie był bajzel. Trzy biurka, krótkofalówka, dalekopis. Szafki z przeładowanymi szufladami.

W baniaku z wodą było daiquiri. Crutch chwycił kubek z podajnika i nalał sobie.

Terry machnął putterem.

– Mesplède cię przysłał?

– Nie, to był mój pomysł. Chciałem sprawdzić wasze akta dysydenckie. Wydaje mi się, że jakieś komuchy weszły po budowach.

Fagasy spakowały torby golfowe. Między kije wetknęli strzelby.

Terry napełnił termos słodkim rumem.

– W kiblu mamy mały pornozbiorek. Jak szukasz dupek, to tam masz większe szanse.

W archiwum panował chaos. Cztery segregatory, szesnaście szuflad, zero systemu porządkowania. Wrzucone teczki, zdjęcia luzem. Zero numerów rejestracyjnych. O porządku alfabetycznym nie wspominając.

Crutch sprawdzał szufladę po szufladzie. Zamknął się w biurze. Miał cztery godziny. Tyle trwa golf i pijacka burda. Wywalał zawartość szuflad i przeglądał dokumenty. Szukał czegokolwiek powiązanego z Joan Klein/Celią Reyes/14 czerwca. Znajdował listy nazwisk, listy członków, listy podejrzanych, listy przesłuchiwanym i listy uznanych za zmarłych. Zobaczył całą kupę pseudonimów komuszych i listy po hiszpańsku. Zobaczył listę czternastu tysięcy wrogów Rafaela Kozła Trujilla. Zobaczył listę podejrzanych kryjówek w Santo Domingo i zapamiętał ją tak jakby. Zobaczył fragmenty taśmy czasu 14.06.1959. Była poszatkowana. Brakowało połowy stron.

Znał już podstawowe fakty. Nowy szajs go przeraził. Kozioł masowo wymordował maczetami zwolenników Ruchu 14 czerwca. Zniknął przygraniczne wioski. Karcił dziećmi aligatory na Plaine du Massacre. Potem lista: schwytanych członków 14 czerwca. Joan – brak, Gretchen/Celia – brak, Maria Rodriguez Fontonette – brak.

Relacja się skończyła. Potem nastąpiły jakieś strony bez związku. Crutch wywalił kolejne trzy szuflady i znalazł, co następuje:

Krótkie notatki na nienumerowanych kartkach. Maria Rodriguez Fontonette. Pseudonim Tatuaż.

Należała do 14 czerwca. Była zdrajczynią. Podkablowała inwazję. La Banda wiedziała. Szybko podjęto skuteczne działania. Zdrajca Tonton Macoute pomógł rebelii i uciekł nie wiadomo gdzie. Nazywał się Laurent-Jean Jacques.

Crutch przeczytał tę kartkę ponownie. Przeczytał następne kartki i potem jeszcze raz przejrzał wszystko, co już czytał. Nic nie zapełniło przerwy w relacji. To wszystko zajęło mu

trzy i pół godziny.

Wyrzucił kolejne cztery szuflady. Znalazł kolejne nazwiska, nazwiska, nazwiska. Wyrzucił kolejne dwie szuflady. Zobaczył teczkę. Na okładce wypisano: „Reyes, Celia”. Teczka była pusta.

Napił się rumu prosto z kranika. Wyrzucił kolejną szufladę. Zobaczył miliony zdjęć Latynosów komuchopodobnych. Zobaczył zdjęcie oznaczone datą 14.06.1959. Gdzieś pod polem golfowym usłyszał krzyki. Światło w pokoju przygasło na dwie sekundy.

Przeglądał zdjęcia. Zrobiono je w terenie. Jakaś skalista plaża. Żołnierze mierzyli z broni do niechlujnych rebeliantów.

Zamrugał powiekami, zmrużył oczy. Przyjrzał się z bliska. Zobaczył kobietę z trzydziestokilkuletnim mężczyzną. To była Joan Rosen Klein. Z uniesioną prawą pięścią.

Z szybu wentylacyjnego wydobył się dym. I jakiś odór. Od inwazji minęło dziesięć lat. Wtedy włosy Joan były całkiem ciemne.

Jeszcze więcej dymu i odoru. Kolejny krzyk – niewątpliwie kreolski. I jeszcze odór – niewątpliwie przypalonego ciała.

Narkogorylek naigrawał się z Sonny'ego Listona. Sonny się wkurzał. Sonny wyczerpał wszystkie zasoby na drag queens i nie miał energii na Alego. Jego męstwo się zdejakulowało.

Jomo odbierał telefony. Junior łykał maczane w koniaku ciasteczka Moon Pies. Numer Milta się dłużył. Wayne i Marsh patrzyli, jak Sonny się gotuje.

Padało. Dach przeciekał. Przeciekały pasiaste tapety. Doktor Humorek posiadał tygrysową taryfę nr 350. Płacił metamfetaminą i dilauidem. Sonny i Jomo byli wkurzeni od mieszanki heroiny z kokainą.

Narkogorylek był dzisiaj afektowany. Narkogorylek muskał swoje afro i się dąsał.

– Ali taki ładny, taki śliczny. Ten młodzieniec umie rymować i grać jak nikt, jak boni dydy. „Liston to cienias. W trzeciej rundzie umknie w las”. „Liston potoroczce wali tylko w krocze”. „Ostatnia będzie runda czwarta, i to jak Liston będzie miał farta”. „Liston naćpany jest wyruchany”.

Sonny popijał paliwo rakietowe – płynną amfę ze spirytusem. Sonny palił koola kinga z filtrem.

– To nie jest śmieszne. Weź zrób ten numer, jak Lady Bird Johnson mi obciąga.

Narkogorylek się nadąsał.

– Tę małpią siostrę zmęczyła twoja niechęć do ślicznego młodzieńca, który przywiódł naród kolorowych do Ery Wodnika, podczas gdy ty jesteś małpką kataryniarza występującego dla świń i mafii.

Sonny zacisnął pięści. Skruszył papierosa. Marsh spojrział na Joma. Wayne spojrział na Marsha. Junior poczłapał do kibla. Milt przykleił taśmą plastikowego papierosa do ust Narkogorylka.

– W rundzie numer siedem Sonny będzie zjebem. Jak dziewiątej dobieje, to go we dwa kije.

– Dość – wtrącił się Jomo. – Męczy mnie to gównno.

Wayne kiwnął głową. Marsh skumał – jesteśmy blisko.

Narkogorylek nastroszył piórka.

– A dziewczynka tak bardzo ma was dość, pozerzy, co to nie odróżniacie Eldrige'a Cleavera od Beavera Cleavera, a Frantza Fanona od mojej tłustej dupy, wy durne...

– Zamknij się, ojciec – powiedział Jomo. – I nie będę się powtarzał.

Wayne dał sygnał Marshowi – teraz.

– Spokojnie, brachu – powiedział Marsh. – Niech sobie małpa gada.

Jomo strzelił knykciami. Powoli i głośno.

Wayne dał sygnał Marshowi – jeszcze.

Marsh podszedł do centralki. Jomo był blisko. Marsh oparł się o krzesło.

– Kto ci dał prawo dyrygować starszymi? O tobie mówię, czarnuchu. Mówię o tym gościu z monopola, któremu przywaliłeś, który ci, kurwa...

Jomo wstał. Marsh przysunął się bliżej. Obaj chwycili krzesła. Jomo zamachnął się szeroko i chybił. Marsh się uchylił. Krzesło walnęło w centralkę.

Nogi się roztrzaskały. Centralka też. Wtyczki spadły na podłogę. Marsh zamachnął się krótko. Walnął Jomo w plecy, walnął w nogi, obtarł Jomowi głowę i odkroił mu pół ucha. Jomo zatoczył się i uderzył w centralkę. Marsh wymierzył cios od dołu. Celował w krocze i walnął nogą od krzesła w jaja.

Jomo wrzasnął. Marsh wybiegł na zewnątrz i krzyczał w deszczu. Wydawało się, że powtarza jedno słowo. Wayne otworzył okno, żeby słyszeć.

Marsh wymachiwał krzesłem w powietrzu i krzyczał: „SCP! SCP! SCP!”. Ludzie zaczęli wyglądać na ulicę. Niektórzy wiwatowali.

Poszedł szukać. To było szukanie konkretne. Dotyczyło tego powtarzającego się „klik”.

Pokłócił się z Mary Beth. Powiedziała mu o Szkole Wolności. Poszedł tam i zobaczył zdjęcie z wykładu. Kobieta o włosach z siwymi pasmami. „Klik”, którego nie mógł skojarzyć. Półklik, który skojarzył się z łażeniem po pubach.

Trzy miesiące temu. Pierwsza popijawa Taxi Tygrys. Widział od tyłu kobietę z takimi samymi włosami.

Jego pejzaż wyobraźni w Haiti. Zioła i zmienny obraz.

Wayne krążył po południowej części miasta. Jego telefoniczna kłótnia z Mary Beth odbijała się echem. Przyciskała go o podróż. Skłamał – w Dominikanie i Haiti nie jest tak źle. Moi inwestorzy rozkręcają gospodarkę. Balaguer to nie Trujillo. Uwierz, proszę, że wszystko będzie lepiej. Mary Beth szydziła. Już ja swoje wiem.

Wayne skręcił w Central Avenue. Przed nim kluby. Tamtą kobietę widział w Tacce Sułtana Sama. Mogła tam teraz być. Mała szansa, ale jednak.

W Haiti spędził trzy dni. Non stop na haju. Skalejdoskopowało mu się całe życie. Twarze wyrastały z drzew i potoku. Zioła przepaliły mu organizm. Wpadł w stan zombie. Musiał siedzieć nieruchomo i słuchać. Nie miał woli tworzyć myśli ani uciekać. Zasnął po milionie godzin haju. Prawdziwy świat wrócił do niego zmieniony.

Wayne skręcił na wschód w Slauson. Zobaczył handel prochami przed stoiskiem z kreolskim żarciem. Ekipa Tygrysa chciała sprzedawać heroinę. On to utrudniał. Nie zwodziliby go. Bali się jego wpływów u Chłopców. Ekipa pewnie zrobi najazdy na Kubę. Kuba: idée fixe Prawicy.

Przeszło paru pozerów z SCP. Mieli kozackie czapki i obcisłe czarne ciuchy. To zasługa Marsha. Był teraz Misterem SCP.

Przed Sułtanem Samem stał tłum. Wayne zaparkował na pasie ruchu i poszedł na początek kolejki. Bramkarz nazwał go szefem. Teraz ta knajpa należała do Chłopców. Czarni ludzie za liną zmrozili go wzrokiem.

Otworzył drzwi i zajrzał do środka. Wszyscy byli czarni. Żadnej białej kobiety z włosami o siwych pasmach.

Podjechał do Słodkiego Szału i zgrywał wielkiego białego *bwanę*. Zmrożono go wzrokiem jeszcze bardziej i obkwiczano. Nie było jej tam. Pojechał do Chytrego Lisa, Gniazdka Nata i KuKlubu. Wszędzie kwiki przybierały na sile.

*Cherchez la femme. La femme n'est pas là.*

Wayne podjechał do Pana Mitcha. Tej knajpy nie posiadał. Posmarował bramkarzom za wejście dla VIP-ów. Czarny człowiek zakwicział nań krzykliwie.

W środku było ciemno jak w jaskini. Hostessa sadzała klientów z latarką. Podprowadziła Wayne'a do stolika. Zobaczył Sonny'ego ukrytego z Juniorem Jeffersonem. Dwa boksy dalej: Ezzard Donell Jones i kobieta.

Wayne dołączył do Sonny'ego i Juniora. Byli narąbani paliwem raketowym pana Mitcha. Butelki promieniowały.

– Jomo będzie woził jaja na taczce – powiedział Sonny.

Junior prychnął orzeszkami liczi.

– Marsh lepiej by się teraz na parę dni ulotnił.

Sonny napił się piwa.

– Ty jesteś za gruby, a Wayne za chudy. Za każdym razem, jak sięgasz po ciasteczko, podaj mu jedno.

Kobieta paliła. Kobieta odrzuciła włosy. Kobieta kołysała się do muzy z taśmy.

– Kto to? – spytał Wayne, wskazując na nią.

– Zadaje się z SCP – powiedział Sonny – i oddaje się tańczeniu. Ale mnie się nie podobają okularnice.

– Chyba ma na imię Joan – powiedział Junior.

Wayne patrzył na Joan. Sonny i Junior go ignorowali. Stworzył sobie miejsce w głowie. W klubie stało się cicho. Wayne zsynchronizował muzykę z jej ruchami. Wydawało mu się, że czuje smak ziół voodoo i klerina. Pasma czuciowe – ani chybi wspomnienie.

Joan połą koszuli oczyściła sobie okulary. Jej oczy bez nich stały się łagodniejsze. Z jednego buta sterczał jej majcher.

Nieco oklapła. Jej ruchy były płynne. Wydmuchiwała doskonałe kółka dymu.

Ton muzyki się zmienił. Joan przestała się kołysać. Położyła pieniądze na stoliku, wstała i wyszła.

Wayne też wstał. Ciemności go ukryły. Podążył za Joan na tylny parking. Wsiadła do chevy'ego 1959. Tablice pokrywało błoto. Była profesjonalistką od zabezpieczeń przeciwofonowych.

Wyjechała na Manchester i skierowała się na zachód. Wayne wsiadł do swojego wynajętego wozu i wypuścił ją na czterdzieści metrów. Joan jechała środkowym pasem. Korzystała z kierunkowskazów i zgrywała porządną obywatelkę. Skręciła w Harbor Freeway i pojechała na północ. Wayne się zbliżał i odpadał.

Było późno. Ruch panował skąpy. Wayne przeskakiwał z pasa na pas, by wyglądać niewinnie. Przecięli śródmieście i Chinatown. Pasadena Freeway prowadziła ich na północ. Joan skręciła na zachód w Golden State. Wayne podjeżdżał i się oddalał. Joan przecięła Atwater i obrzeża Glendale. Skręciła w prawo i wjechała w zjazd na Eagle Rock. Wayne odpadł i pilnował jej tylnych świateł. Zatrzymała się pod bungalowami na wzgórzu.

Wayne nie ruszał się z miejsca. Joan zaparkowała chevy'ego przy krawężniku i otworzyła stojącego obok dodge'a. Włączyły się światła. Zawróciła i skierowała się prosto na niego. Zobaczył jej twarz za przednią szybą. Przednia tablica była zasmarowana błotem.

Błysnął jej kierunkowskaz. Skręciła na wschód w Colorado Boulevard. Wayne trzymał się z tyłu, zbliżał do niej i znowu oddalał. Jechali przez Pasadenę. Joan skręciła na północ w Lake Avenue. Pasadena przeszła w Altadenę. Jechali w stronę San Gabriel Hills. Wayne został dwa samochody z tyłu. Wystawił głowę przez okno i skupił się na tylnych światłach Joan.

Skręciła w lewo w boczną uliczkę. Wayne dodał gazu, skręcił i przyhamował. Joan zaparkowała i podeszła do krytego gontem domu. Ktoś otworzył drzwi i ją wpuścił. Tamta meta w Eagle Rock z daleka pachniała kryjówką. Jako i to miejsce.

Wayne zaparkował i podbiegł. Włączyły się światła w domu. Przykucnął i pochyłony obiegł podjazd. W środku dostrzegł cienie. Rolety okienne były opuszczone do połowy. Wstał i zajrzał do środka.

Mały salon. Na meblach leżały stosy strzelb i broni krótkiej. Na nich koce.

Karabiny, M14, rugery z lunetą. Automaty i rewolwery w pudle.

Wszedł Jomo Clarkson. Na głowie miał szwy i opatrunki. Joan szła za nim. Rozmawiali. On wyglądał na podnieconego. Ona na spokojną. Zamknięte okno nie dawało dostępu do fonii.

Joan zdjęła płaszcz. Wayne zobaczył bliznę po nożu na prawym ramieniu.

KLIK:

Te akta, które wysłał mu Dwight. Nie było tam żadnego zdjęcia. Przepalił się przez ocenzone fragmenty. Znalazł jedno nazwisko z ZK i przekazał je Dwightowi. Postrzepił akta. Nie mógł sobie przypomnieć nazwiska. KLIK zabrzmiało solidnie i NIEKOMPLETNE.

Jomo i Joan rozmawiali. Wayne przycisnął się do okna. Usłyszał szum, żadnych konkretnych słów, nie umiał czytać z ruchu warg.

Zobaczył stację benzynową kawalek dalej. Pobiegł do budki telefonicznej...

Dwight popijał kawę.

– Wezwanie w środku nocy. Zaczynam się przyzwyczajać.

Canter's Deli na Fairfax. Klientela o trzeciej nad ranem: gliny i ultrabrudni hipisi.

– Kim jest Joan? – spytał Wayne.

Dwight podniósł ręce – nie bij – nieszczerze, nieprzekonująco.

– Czy to Joan Rosen Klein? W zeszłym roku dałeś mi do odczytania jej akta, ale nigdy nie widziałem jej zdjęcia.

Dwight powtórzył gest „nie bij”. Wayne walnął w stół. Ich kawa chlupnęła i wylała się z kubków.

– Powiedz mi o niej.

Dwight pokręcił głową. Wayne walnął w stół. Podskoczył koszyk na chleb.

– Ma bliznę po nożu na prawym ramieniu.

Dwight się kurwa uśmiechał. Wayne zacisnął pięści. Dwight dotknął jego dłoni – nie rób tak, synu.

– Widziałem ją z Jomem Clarksonem. Jeden-osiem-sześć-cztery Avondale w Altadenie. To kryjówka. Broni od chuja.

Dwight szarpnął za pierścień szkoły prawniczej. Pierścień spadł mu na kolana.

– Mów dalej.

– Jomo gadał o kasie, którą ma. To bandyta, pisze traktaty o nienawiści do białych. Fred Hiltz, pamiętasz? Sprzątnięty król nienawistnej literatury. Policja Beverly Hills przypisała to nieznanym sprawcom rasy czarnej.

Dwight wstał i wybiegł. Wayne podniósł z podłogi jego pierścień.

# 71

(Beverly Hills, 14.04.1969)

Policja Beverly Hills pozwoliła mu zajrzeć w akta. Ulubiony wykidajło Hoovera o czwartej nad ranem? Dowódca zmiany się podporządkował.

Dwight siadł w sali ogólnej. Akta były skrócone. Pan Hoover skrócił sprawę. Jack Leahy ją uśpił, na jego rozkaz.

Jedna teczka, dziewięć kartek, czterostronicowa rozpiska. Długa lista Murzynów. W większości podkablowanych przez policyjnych informatorów i wkurwionych kochanków. Ogólny rejestr bandytów rasy czarnej. Nie ma Joma Kenyatty Clarksona, w ogóle nie ma żadnych, kurwa, czarnych bojówkarzy.

Dwight przeczytał raport z oględzin miejsca zbrodni i protokół z sekcji zwłok. Świadkowie mówili o dwóch zamaskowanych Murzynach. Przyczyna śmierci: rozległe rany postrzałowe ze strzelby. Jak również: cztery naboje kalibru .38 w czaszce.

Chwila...

Protokół zawierał zdjęcia pocisków. Technik laboratoryjny orzekł, że wszystkie cztery pochodziły z jednej broni. Miękkie czubki, sześć pól, osiem bruzd, spłaszczenie.

Chwila moment...

Joan sprawdziła broń z kryjówki. On jej kazał to zrobić. Wystrzelone pociski – tu, w jego walizce.

Otworzył ją. Pociski trzymał w folii. Znalazł jeden wgnieciony .38. Chwycił zdjęcia i pobiegł korytarzem do laboratorium kryminalistycznego.

Drzwi były otwarte. W środku nikogo. Takie były te dupowate gliny. Dwight się rozejrzył. Pod ścianą w głębi – mikroskop balistyczny.

Podszedł i wyłożył swój pocisk na stojak. Na blacie położył zdjęcia. Nastawił ostrość i zerknął. Zrobił zbliżenie. Sześć pól, osiem bruzd i niemal identyczne spłaszczenie. Sprawdził zdjęcia. Nie było wątpliwości – oba pociski zostały wystrzelone z tej samej broni.

Usłyszał syreny na zewnątrz. Usłyszał w pokoju obok wezwanie przez radio: kod 3, wszystkie radiowozy, Altade...

Na miejscu zbiorowisko:

Biuro Szeryfa LA, policja z Beverly Hills, dwadzieścia jednostek biało-czarnych i w cywilu. Mundurowi wynosili broń w kocach.



Dwight podjechał do blokady. Ulica była oświetlona na różowawo lampą łukową. Wapniaki kręciły się w piżamach. Gliny wchodziły do podejrzanego lokalu i wychodziły z niego. Kryjówka, no ja nie mogę.

Podszedł do niego strażnik z blokady. Jakiś głupek z Biura Szeryfa z trądzikiem postmłodzieńczym. Dwight wysiadł z wozu i pokazał mu odznakę.

– Chodź tu, młody.

– Yyy, tak?

– Powiedz, co się dzieje.

Głupek trzasnął obcasami.

– No, dostaliśmy donos o magazynie broni i o tym zabójstwie tego kolesia od nienawiści z zeszłego roku. To sprawa policji Beverly Hills, więc wezwaliśmy...

– Joma Clarksona. Gdzie on jest?

Głupek się cofnął o krok.

– No, policja z LA nam go zabrała. Pojawił się ten Byczek Napad ze stanowczym nakazem. Zabrał kolesia na posterunek przy Siedemdziesiątej Siódmej.

Dwighta zamroczyło.

– Aresztowano jeszcze kogoś? Białą kobietę? Ci z LA zwinęli z czarną kobietę?

– Nie, proszę pana. Ten detektyw tylko bardzo pospiesznie zwinął tego kolorowego. Na pewno mamy broń, ale o kobiecie nic nie wiem.

Dwight wszedł do swojego wozu i z piskiem opon ruszył z powrotem. Przy zawracaniu walnął o krawężnik i bocznymi uliczkami dopadł Pasadena Freeway. Włączył sygnał i pędził prawie dwieście na godzinę. Do centrum dojechał w sześć minut. Harbor Freeway dotarł do Kongo. Posterunek był o rzut beretem od zjazdu.

Zaparkował na parkingu dla radiowozów i przypiął sobie odznakę do płaszcza. Minął dyżurnego, który zresztą drzemał. Słyszał pijanych smoluchów wyjących w areszcie.

Pokój odpraw był na górze. Dwight przeskakiwał po trzy stopnie. W areszcie tymczasowym same biurka i przejścia. Gliny z rannej zmiany czytały teleksy i pisały na maszynie jednym palcem. Wyglądały na znudzonych. Jeden pomachał. Dwight przeciął przepoławiający korytarz. Pokoje przesłuchań znajdowały się pod ścianą po prawej.

Jest i Scotty.

Je jabłko. Ma na sobie brązowy garnitur i kraciastą muchę. Zagląda w lustro fenickie.

Dwight podszedł. Scotty mrugnął. Dwight zajrzał przez fenickie lustro. Jest Jomo, przykuty do krzesła.

– Nie mów – powiedział Scotty. – Pan Hoover chce, żeby sprawa Hiltza była wyciszona.

– W ogóle nie zamierzałem się odzywać.

Scotty się roześmiał.

– Chciałbyś popatrzeć?

– Tak. Dasz mi jeszcze chwilę?

– Tak.

Dwight wyciągnął papierosy. Scotty wziął dwa i oba zapalił.

– Co się stało? Powiedz mi, czemu tu stoimy.

Scotty wrzucił jabłko do śmietnika.

– Dzwonił do mnie twój Marsh i podkablował Joma za napad z bronią w ręku na monopolowy. Dopadłem go, zanim BH zdążyło go capnąć za Hiltza, a myślę, że to dobrze dla niego. Zabawne jednak. Gadałem z Marshem przez telefon, i na pewno gadał nieswojo. Co-kurwa-więcej, wydawało się, że jakaś kobieta szepcze koleśowi do ucha, co ma gadać.

Dwight dotknął pierścienia. Zniknął. Scotty zgasił papierosa na ścianie. Jomo splunął na lustro. Flegma spadła na przykręcony stół. Jomo zawiercił się na przykręconym krześle.

Scotty otworzył drzwi. Dwight wszedł za nim. Podsunęli krzesła i siedli nad Jomo. Skurwiel był przymocowany do podłogi i mocno skuty.

– Chcę pogadać z prawnikiem. Dajcie mi któregoś z tych żydków z loczkami, co to pracują dla Panter.

– Pan Holly jest prawnikiem – powiedział Scotty. – Pouczy cię, jakie masz prawa.

– Masz prawo zeznawać i unikać kary fizycznej – pouczył Dwight. – Masz prawo powiedzieć sierżantowi Bennettowi dokładnie to, co chce wiedzieć. Ja również będę wymagał niezwłocznych odpowiedzi na moje pytania. Jeśli będziesz współpracował, damy ci paczkę fajek i batonika. Jeśli nie, skopiemy się na miazgę i wrzucimy do pierdła z ciotami.

– Co za kurwa pierdolenie! Znam prawo. Wyrok *Miranda-Escobedo*!

– *Miranda-Escobedo* nie ma tu zastosowania. To sąd nieformalny.

Jomo splunął na stół. Scotty odpiął od paska gumową pałkę. Miała ponad dwadzieścia centymetrów i rękojeść obklejoną taśmą izolacyjną.

– W ciągu ostatnich siedmiu miesięcy w południowej części Los Angeles obrabowano czternaście sklepów monopolowych. Ty pasujesz do większości rysopisów domniemyanych sprawców. Dzisiaj zadzwonił do mnie tajny informator. Doniósł na ciebie, a ja uznałem ten donos za wiarygodny. Radziłbym ci się przyznać. Jeśli potrzebujesz porady prawnej, możesz się zwrócić do swojego adwokata.

– Przyznawaj się – poradził Dwight.

– Marsh Bowen mnie zakablował – powiedział Jomo. – Najpierw mnie pobił, potem na mnie kabluje. Widzicie te szwy na mojej głowie? To robota tego skurwysyna. Myślicie, że się nie zemszczę, jak stąd wyjdę?

Scotty wygiął swoją pałkę.

– Synu, z rozkoszą bym na to popatrzył. Mnie Marsh też nieźle dopierdolił i bardzo bym chciał, żeby dostał za swoje.

Jomo się skrzył. Zagrzechotał łańcuch jego kajdanek. Były mocno zapięte. Nadgarstki mu krwawiły.

– Marsh mnie zakablował, co?

– Zgadza się – odparł Scotty.

– Więc mnie stąd wypuść. Odpuść mi tę śmieszłą robotę z monopolowym, a wpierdolę mu za nas obu.

– Najpierw się przyznaj – powiedział Dwight. – Damy ci przepustkę, żebyś uporządkował swoje szajsy. Mam dobrego żydowskiego prawnika. On cię wybroni. Dostaniesz najwyżej rok.

Jomo splunął na stół.

– Ruchaj swoją matkę. Ty faszystowski karaluchu, ty sługusie świńskiej władzy. Twoja matka mi obciąża.

Scotty mrugnął do Dwighta. Scotty okrążył stół i stanął za Jomem. Scotty walnął w afro Joma swoją pałką.

– Przyznaj się, synu. To w twoim najlepszym interesie.

– Pierdol się – rzekł Jomo.

Scotty machnął pałką. Jomo wrzasnął. Idealny cios w nerki.

– Przyznaj się – rzekł Dwight.

Jomo splunął na stół. Scotty zamachnął się pałką. Jomo wrzasnął głośniej. Idealny cios w nerki.

– Przyznaj się – rzekł Dwight.

Jomo miał torsje. Scotty położył na stole kartkę papieru. Dwight ją przejrzał. Wymieniono na niej czternaście napadów z bronią w ręku.

– Spójrz na listę i kiwnij głową – powiedział Scotty. – Uznamy to za przyznanie się do winy.

Jomo splunął na stół. Jomo rzekł:

– Pierdol się.

Scotty zamachnął się swoją pałką. Jomo wrzasnął. Idealny cios w nerki.

– Spojrzał na listę – powiedział Dwight. – Jako jego adwokat uznaję, że to przyznanie się do winy.

Scotty się uklonił.

– Zgadza się. Spiszę to później, a pan Clarkson może to podpisać, kiedy będzie w stanie trzymać długopis.

Z Joma ciekła zółć. Z krwią. Głowa mu zwisała. Kajdanki werżnęły się mocno. Z oczami działały mu się śmieszne rzeczy.

– Przychodzi mi do głowy dobry uczynek – powiedział Scotty.

– No? – spytał Dwight.

Scotty bawił się swoją pałką.

– Możemy się ugadać z policją z BH, żeby wyczyścili swoje stare sprawy. Moglibyśmy ci załatwić glejt na tę kryjówkę i tę broń.

Dwight pomyślał o Joan.

– Zapomnij o kryjówce. Moi ludzie mogą pójść na kompromis. Skupmy się na sprawie Hiltza.

– Hiltza – szarpnął się Jomo. *Że jak? Co jest? Nic nie wiem o sprawie Hiltza.*

– Czternastego września zeszłego roku dwóch Murzynów dokonało kilku napadów na rezydencje i w ich trakcie zabiło bogatego siewcę nienawiści, doktora Freda Hiltza. Moim zdaniem ty byłeś Murzynem numer jeden. Myślę, że powinienes się przyznać do tych zbrodni i ujawnić tożsamość Murzyna numer dwa. Panie Holly, co by pan poradził swojemu klientowi?

– Przyznaj się – powiedział Dwight.

Jomo splunął krwią na stół. Jomo rzekł:

– Pierdol się.

Scotty zamachnął się swoją pałką. Jomo krzyknął. Idealny cios w nerki.

– Przyznaj się – powiedział Dwight.

– Przyznaj się – powiedział Scotty.

Jomo splunął krwią na stół. Jomo wydyszał:

– Pierdol się.

Scotty zamachnął się swoją pałką. Jomo wrzasnął.

– Przyznaj się – powiedział Dwight.

– Przyznaj się – powiedział Scotty.

Jomo splunął krwią na stół. Jomo załkał:

– Pierdol się.

Scotty zamachnął się swoją pałką. Jomo wrzasnął.

– Przyznaj się – powiedział Dwight.

– Przyznaj się – powiedział Scotty.

Jomo splunął krwią na stół. Pojawiły się w niej skrawki tkanki. Jomo poderwał głowę i wziął głęboki wdech.

– Dobra, ja zrobiłem te napady. Ja i czarnuch Leotis Waddrell. Leotis mnie orznął. Pojechał do Vegas i rozpierdolił naszą forszę na kokę i ruletkę. Zabiłem go. Jest na pustyni. Załatwcie mi zabójstwo drugiego stopnia, to dam wam ciało.

– Przyznał się – powiedział Scotty.

– Sprawdź to – powiedział Dwight.

– Mam jeszcze kilka pytań – powiedział Scotty.

Dwight potrząsnął głową.

– Wezwij mu karetkę. Próbował uciec i go złapałeś. Możesz antydatować zeznanie.

Scotty potrząsnął głową. Scotty trącił pałką podbródek Jomo.

– Dwudziesty czwarty lutego tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego czwartego roku. Napad na opancerzoną furgonetkę na rogu Osiemdziesiątej Czwartej i Budlong. Na pewno o tym słyszałeś. Martwi strażnicy, martwi bandyci, dużo skradzionej kasy i szmaragdów. Szef bandytów zabił własnych ludzi i spalił ich ciała, uniemożliwiając identyfikację. Uciekł, ale jestem prawie pewien, że uciekł też jeszcze jeden bandyta. Skoro już tu rozmawiamy, może cię zapytam, czy coś o tym wiesz.

Dwight zamrugał powiekami. O co chodzi? Co ma piernik do wiatraka?

Jomo zamrugał powiekami. Krew ciekła mu po brodzie.

– Facet, dlaczego mnie o to pytasz? To jakieś stare dzieje.

Scotty zamachnął się pałką. Jomo wrzasnął. Idealny cios w nerki.

Dwight wstał. Jomo położył głowę na stół. Scotty chwycił go za włosy i poderwał do góry. Błat stołu był usmarowany krwią.

– Plotki, cokolwiek, co słyszałeś. Grzecznie pytam i oczekuję grzecznej odpowiedzi.

Jomo odsunął głowę. Jego afro zostało Scotty’emu w ręku. Była to przyklejona peruka. Scotty się roześmiał i rzucił ją na podłogę.

– Pytam po raz ostatni. Wydarzenia z dwudziestego czwartego lutego sześćdziesiątego czwartego roku. Powiedz mi, co wiesz...

– Człowieku, nic nie wiem! Plotki to plotki! Może to ludzie z SCP, zanim powstało SCP. Może to biali. Nic, kurwa, nie wiem.

Scotty pogłaskał pałką głowę Joma.

– Dość – powiedział Dwight.

Scotty odłożył pałkę.

– Jak pan sobie życzy – powiedział.

– Wezwij karetkę. Zawieźcie go do Morningside.

Scotty mrugnął okiem.

– Jasne, Dwight. Wezwę karetkę i się pożegnamy.

Dwight podszedł do drzwi. Nie miał pierścienia. Nogi mu zdrętwiały. Czuł zapach zółci i krwi.

– Jestem dłużnikiem Marsha Bowena – powiedział Scotty.

Dwight wyszedł przez drzwi i dalej, na dół. Nie czuł nóg. Na parking dotarł roztrzęsiony. Joan stała oparta o jego samochód.

Świt w knajpie faszystowskich gliniarzy. Wszędzie dokoła niej zaparkowani biało-czarni. Czerwona bogini w dwurzędowej kurtce i zdartych butach.

– Jestem równie dobra jak ty. Teraz już wiesz?

– Tak.

Było zimno. Joan zadrżała i wcisnęła dłoń w kieszenie.

– Wieści się rozchodzą. Marsh wkopał Joma. Poświadczyliśmy wiarygodność Marsha i w tym samym ruchu sprzątnęliśmy z ulicy Joma. Dlatego pozwoliłam, żeby FWMM trzymał broń w kryjówce SCP. SCP i FWMM zajmą się resztą.

– Wiedziałaś, że Marsh jest moim infiltratorem.

Joan kiwnęła głową.

– Wydalony po kłótni ze Scottym Bennettem? Tylko ty mogłeś wymyślić coś tak kurewsko śmiałego.

Dwight zadrzał.

– Nikt nie umrze, pamiętasz?

– Jest trochę broni, która nikomu nie zrobi krzywdy.

– To może nie być takie proste.

– Ale i tak nam nie przeszkodzi.

Przeszło dwóch gliniarzy. Dwight przysunął się do Joan. Wziął ją za rękę na ich oczach.

– Po co to? I czemu teraz?

– Oboje mamy krew na rękach. Może ja więcej niż ty.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Wiem o tobie parę rzeczy – odparła.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 21.04.1969. Fragment ukrytego dziennika Karen Sifakis.

Los Angeles, 21 kwietnia 1969

Świat zewnętrzny ingeruje w moje spokojne życie domowe, które próbuję stworzyć moim dzieciom. Co rano na moim progu lądują gazety, a ja mogę tylko na to patrzeć. Potem do moich drzwi puka Dwight i mówi mi to, co gazety ominęły.

Dwie Pantery stanęły przed sądem za nieudany zamach na dwóch funkcjonariuszy policji w Brooklynie. Działania prawne przeciwko Panterom są podejmowane w kilkunastu miastach. Dwight uważa, że Pantery są autodestrukcyjne. Są pełne informatorów FBI i policji, ci wywołują spory wewnętrzne, co prowadzi do przemocy wewnątrzgrupowej, która jest mocno nagłaśniana, co z kolei prowadzi do cenzury publicznej na wielką skalę, a to skutkuje większą przemocą nastawioną na rozgłos. Pantery, i od czasu do czasu ZN, są chętnie opisywane w gazetach, podczas gdy Dwight dalej gromi skromne SCP i FWMM, ponieważ uważa ich wyskoki za wydarzenia całkowicie medialne, które sam może reżyserować. Oto człowiek bezgranicznie oddany swojej pracy.

Z gazet dowiaduję się, że „podżegacz z czarnych bojówek”, Jomo Kenyatta Clarkson, „który przyznał się do popełnienia szeregu śmiałych napadów rabunkowych na sklepy monopolowe”, popełnił samobójstwo w areszcie hrabstwa Los Angeles. Incydent ten ożywił nienawiść pomiędzy SCP a FWMM. Słyszałam, co ludzie mówią na ten temat. A mówią to samo: były

policjant Marshall Bowen, obecnie gorliwy miłośnik SCP, doniósł na Clarksona. Z opóźnieniem doszłam do wniosku, że Bowen musi być infiltratorem Dwighta.

Dwight nigdy nie wymienił jego nazwiska. Chroni tożsamość swoich łączników, infiltratorów oraz informatorów. Mnie też chronił, chociaż pan Hoover, w swoim pogarszającym się stanie, rozpowiadał nierozważnie o moim związku z Dwightem. Pan Hoover jest trwającym w celibacie homoseksualistą ze słabością do szorstkich i stanowczych mężczyzn. Moja intymna zgoda z Dwightem, wypełniona sprzeczną ideologią, musi kłopotać i przerażać staruszka co niemiara.

Sprawa Clarksona ciąży Dwightowi. Tę intrygę – cokolwiek zaszło między Clarksonem a Bowenem – musiał zainicjować Dwight, może z udziałem Joan Klein. Ostatnio widziałam się z Dwightem dwukrotnie. Kochaliśmy się, ale on chyba pragnął bardziej pocieszenia niż seksu. Ciągłe przywoływał temat heroiny i jak to lewicowi radykałowie postrzegają ją jako narzędzie polityczne. Wyczułam w tym wszystkim Joan.

Dwight sypia teraz jeszcze bardziej niespokojnie. Czuję, jak szarpie się wśród koszmarów. Po przebudzeniu zerka na mnie niemal podejrzliwie. Jakby się zastanawiał, co wiem o nim i co powiedziałam innym. Przeszukiwaliśmy swoje mieszkania nawzajem. Czytał mój mniej szczery dziennik. Ja widziałam jego zestaw czekowy i wspomniałam o nim w sposób zawołowany. Moje włamania są podtekstem naszego związku, tym, który Dwight akceptuje. Często się zastanawiałam nad istotą długu Dwighta u pana Hoovera. W zeszłym tygodniu poszukałam trochę i zdobyłam coś w rodzaju odpowiedzi.

Przypomniałam sobie początkową datę w rejestrze czeków Dwighta: wiosna 1957. Znalazłam nazwisko adresata czeków: Państwo Diskant z Nyack, Nowy Jork. Przeszukałam mikrofilmy gazet i poznałam tę historię.

Stało się to w styczniu 1957 roku. Mężczyzna podróżujący w kierunku północnym Merritt Parkway sforsował barierę między jezdniami. Był pijany. W wypadku zginęły dwie nastoletnie córki państwa Diskant. Mężczyzny nie zidentyfikowano, nigdy nie stanął przed sądem.

Mogę tylko przypuszczać, że pan Hoover wszystko załatwił. Byłabym też głupia, gdybym przyjęła, że straszliwa więź Dwighta z tym człowiekiem jest ukształtowana tylko przez jeden wypadek i nic więcej.

Joan powiedziała mi, że wie różne rzeczy o Dwighcie. Na tym poprzestaje. Zastanawiam się, czy wie o nim więcej niż ja, pomimo ich krótkotrwałej relacji. Mogę przypisywać Joan jakość, której ona tak naprawdę nie posiada. Niemniej słowo honoru, że czuję jej zapach na Dwighcie.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 1.05.1969. Fragment dziennika Marshalla Bowena.

Los Angeles, 1.05.1969

Pierwszy maja. Stoję na dachu swojego budynku i obserwuję ruch uliczny na freewayach San Diego i Harbor oraz marsze pokojowe w centrum. SCP i FWMM rozdają ulotki na trasie marszu. Odmówiłem udziału. Spodziewam się, że dojdzie do potyczek i że będę postrzegany jako ich przyczyna.

Bardzo się boję. To uczucie przybierające na sile. Zaczęło się w zeszłym miesiącu, kiedy Wayne kazał mi doprowadzić do konfrontacji z Jomem – „Jeśli tego nie zrobisz, powiem wszystkim, że jesteś pedałem”. O tak, groźba poskutkowała. Doprowadziłem do konfrontacji z Jomem i Jomo nie żyje, a ja jestem bezpośrednim powiązaniem pomiędzy przyczyną a skutkiem.

Skoro Wayne wie, to kto jeszcze wie i skąd się dowiedział? Czy wie pan Holly? A Scotty Bennett i Policja LA w ogólności? Czy wie FBI? Czy wiedzą ludzie z SCP i FWMM?

Jak się ujawniłem? Czy to nieobecność kobiet w moim życiu sprawiła, że Wayne doszedł do takiego wniosku? Nie jestem ani trochę zniewieściały i zawsze starannie unikałem afektacji, która zwykle cechuje TYCH mężczyzn. Jestem ciotowaty? Przybieram nieświadomie te pozy z rękoma na biodrach? Seplenię? Czy moja maniera hipermęskiego bezwzględniego twardego jest pedalska w jakiś zakodowany sposób? Czy któryś z moich dwusekundowych anonimowych kontaktów z bardzo podejrzanej przeszłości rozpoznał mnie w roli gwiazdy i zakablował mnie, żeby mieć fory na policji? Czy ludzie po prostu wyczuwają aurę w naładowanym seksualnością świecie, który zamieszkuję?

Wszystko to mnie przeraża. Ostateczny rezultat zajścia z Jomem jest o wiele bardziej niebezpieczny.

Scotty Bennett aresztował Joma za te pojebstwa z monopolowymi, o które go podejrzewałem. Pan Holly, który wydawał się dziwnie wstrząśnięty tym incydentem, powiedział mi, że Scotty niemal załkował Joma na śmierć na posterunku przy Siedemdziesiątej Siódmej i wysłał go do szpitala Morningside z poważnym uszkodzeniem nerek. Kilka dni później Jomo powiesił się w celi. Ta ostatnia część historii na krótko przyciągnęła uwagę gazet i telewizji. Pan Holly opowiedział mi historię, która nigdy nie trafiła do wiadomości publicznej: że Jomo przyznał się do serii napadów rabunkowych na rezydencje i do zamordowania doktora Freda Hiltza w zeszłym roku.

Łup z tych napadów to prawie 750 000 \$, a dokonał ich z partnerem niepowiązanym ani z SCP, ani z FWMM. Ten drugi wydał wszystkie pieniądze na kokainę, hazard i prostytutki w Las Vegas. Jomo dowiedział się o tym, zabił go, a ciało porzucił na pustyni. Pan Holly przesłuchał Joma w areszcie dzień przed jego samobójstwem. Jomo powiedział panu Holly'emu, że jego połowa z łupu została przeznaczona na fundusz zakupu heroiny dla FWMM. Bezwzględni i nieszczęśliwi głupcy: Jomo dokonuje śmiałych napadów na wysokim szczeblu, a jednocześnie obrabia monopolowe. Jomo ufa swojemu kurwiarskiemu, uzależnionemu od prochów partnerowi. Pieniądze FWMM przeznaczone na narkotyki zostają



roztrwonione. Ja biję Joma, Jomo jest aresztowany w zupełnie innej sprawie i kończy ze sobą. Powinienem się cieszyć, że Scotty złamał Joma – bo Jomo prędzej czy później przyszedłby po mnie. Jomo nie żyje? Tym lepiej. Niestety, rozgrywa się to zupełnie inaczej.

Rozchodzi się wieść: ja wydałem Joma Scotty'emu.

To nieprawda.

Ale wszyscy w to wierzą.

Moi nowi bracia z SCP się cieszą. Od tej chwili – brat Marsh: ten czarnuch Jomo był zły jak chuj i był przeciwnikiem SCP. Z nimi jestem bezpieczny, a z wszystkimi innymi nie.

Powiedziałem Wayne'owi, że nie doniosłem na Joma. On powiedział, że mi wierzy, ale nie jestem tego pewien. Powiedziałem panu Holly'emu, że tego nie zrobiłem. Pan Holly powiedział, że mi nie wierzy, ale jego niedowierzenie nie jest w pełni przekonujące. Scotty wie, że nie jestem informatorem, ale przyszedł wczoraj do Taxi Tygrys i uściskał mnie przy wszystkich.

Scotty chce, żeby ludzie tak myśleli. Straciłem natomiast zupełnie rozeznanie, jakiego myślenia chcą od ludzi Wayne i pan Holly.

Zostałem na lodzie. Nie wiem, kto to zrobił. Nie sędzę, żeby Scotty po prostu przypisał donos mnie, żeby zemścić się za zorganizowany przez pana Holly'ego łomot. Ktoś mi to zrobił. Nie wiem kto, ale na pewno ma to motywy polityczne. Nikt nie wie, że jestem wtyczką, tylko Wayne, pan Holly i bardzo niewiele osób w FBI i Policji LA.

Mógł to być pierwszy lepszy głupek z bojówek albo dumny doktryner. Mógł to być jakiś zepchnięty na margines debil z SCP albo FWMM z idiotycznym odruchem.

Zacząłem nosić kamizelkę kuloodporną. Podobno FWMM wyznaczyło za mnie cenę. Kilku kretynów z FWMM zobaczyło mnie na Central Avenue i rzuciło we mnie pełnymi po brzegi puszkami z wódką.

Boję się. Noszę kamizelkę i całymi godzinami stoję przed lustrem w mojej sypialni, doskonaląc manierę. Czy nieświadomie zdradziłem swoją orientację? Nie jestem ani trochę afektowany. Czy ktoś przenikliwy po prostu ją we mnie dostrzegł?

Zarzuciłem poszukiwania w sprawie napadu na opancerzoną furgonetkę. Żądza pieniędzy i szmaragdów przygasła wobec instynktu przetrwania. Na razie się przyczaiłem, ale Wayne i pan Holly domagają się rezultatów. Pan Holly zachwala SCP jako kanał heroinowy. Chce, żebym podsunął tę wizję braciom z SCP, którzy są, kurwa, zbyt tępi, by zdobyć heroinę na wyprzedazy na farmie makowej w Tajlandii, czego pan Holly trochę nie rozumie.

Boję się. Siedzę i nic nie robię. Czekam. Noszę kamizelkę. Przyglądam się hiperheterikom i ćwiczę w lustrze ich męskie ruchy.

A skoro mowa o hiperheterikach – jest teraz w moim życiu jeden jasny punkt: mój szalony haitański przyjaciel, Leander James Jackson. Leander mnie uwielbia, ale on jest hiperhetero, więc w tej kwestii pech. Stoczył walkę na noże z Jomem – którą sprowokowaliśmy

z Wayne'em – więc uwielbia mnie za mój rzekomy donos, który zaowocował śmiercią Joma. Powiedziałem Leanderowi, że tego nie zrobiłem. Leander roześmiał się i rzekł: „Nie wierzę ci, mały”.

Leander uwielbia rum 151 i trawę i nieustannie wspomina swoje czasy w *la belle* Haiti. Torturował dysydentów dla Tonton Macoute, praktykował voodoo i ostro skręcił w lewo. Pomagał grupie rebeliantów, którzy najechali wyspę i uciekł z wyspy, o włos unikając stryczka. Chciałbym mu powiedzieć: „Mały, boję się, więc siedzę i nic nie robię”.

Mam jednego przyjaciela, wielu bezimiennych wrogów i dwóch wrogich przyjaciół, którzy są gdzieś blisko. Wayne wie o mojej orientacji. Nie chcę, żeby wiedział o tym pan Holly ani żeby wiedział o swoich zdjęciach z tą dziwną kobietą, która nawiedza mój senny stan. Gdyby pan Holly się dowiedział, byłbym martwy.

*KRZESŁO ELEKTRYCZNE.*

Nie mógł się otrząsnąć z tego obrazu. Gównu ciągle mu się przypominało. Znalazł ten bunkier pod polem golfowym. La Banda zostawili Murzyna przypiętego. Dłonie mu się stopiły na elektrodach. Więzy przepaliły go do kości.

Crutch czekał na lotnisku. Miał przylecieć Sam G. Hala przylotów dla VIP-ów działała. Siedzenia przypominały trony. Wyglądały jak KRZESŁA ELEKTRYCZNE.

Samolot się spóźniał. Drako Air zawsze się spóźniały. W hali prezentowano sztukę Führera. Malarstwo olejne Krasnoludka zajmowało ściany.

Crutch się przejmował. Niedługo miał wrócić Wayne. Miał pieniądze z odciągania na budowę kasyn. Wayne wprowadził prawo bezherowe. Ekipa Tygrysa złamała je cztery razy. Cztery kursy do Puerto Rico. Cztery przerwy w pracy chłopaków Luca w Port-au-Prince. Potem sprzedaż haitańskim ćpunom.

Samolot Sama się spóźniał. Sam mógł lecieć w towarzystwie Gretchen/Celii. Crutch zgłosił się na szofera. Żabojad uznał to za niestosowne.

Jego sprawa kipiała. Zidentyfikował ofiarę morderstwa: Maria Rodriguez Fontonette, pseudonim Tatuaz. Widział tę listę zmasakrowanych Haitańczyków. Zapamiętał nazwiska. Mógł w tym znaleźć jakąś wskazówkę. Zaktualizował wiedzę Żabojada. Żabojad natrząsał się z niego. „To jest twój amok wywołany wojerystyczną obsesją. Zabijaj więcej komunistów, a odpuść sobie obsesję na punkcie tyłu kobiet”.

Samolot Draka wylądował. Podbiegły dzieciaki i rzuciły girlandy kwiatów. Pomysł Krasnoludka. Kiedyś był na Hawajach.

Podjechał wózek bagażowy. Wyglądał jak ruchome KRZESŁO ELEKTRYCZNE. Elektrody rozpuściły kolesiowi skórę. Na górze bogaci Latynosi grali w golfa.

Jego sprawa nierozzerwalnie łączyła się z voodoo. Bardzo groźne czary-mary. Strzeż się Strefy Zombie.

– Pomimo całego swojego szalonego smoluszego szajsu – powiedział Sam G. – Wayne to, kurwa, biały człowiek. Jego amerykańska działka działa jak złoto. Puszczamy kasę z odciągania z hoteli w Vegas przez asfaltowy bank w LA. Mamy Taxi Tygrys, a w czarnych klubach pierzemy resztę. Wayne rucha Hughesa w dupala i prowadzi nasz Teamsterowy wykup jak jakiś jebany wirtuoz.

Żadnej Gretchen/Celii – to była popijawa. Drinki z kofeiną dawały fajny odjazd. Objeżdżali budowy w Santo Domingo. Sam był pod wrażeniem. Wylano fundamenty. Stały dwie pierwsze kondygnacje. La Banda batożyła niewolników i karmiła ich kool-aidami z amfą. Robota szła bardzo szybko.

Pojechali do Jarabacoi. Na autoście roilo się od riks i haitańskich uchodźców. Sammy się narąbał. Czarnuchy były pokieraszowane maczetami i nosiły kapelusze z kurzymi łbami. Luc i Kubańczycy czekali w Jarabacoi. Crutch ich ostrzegł: nie wspominajcie Samowi o heroinie.

– Jem obiad z Balaguerem – powiedział Sam – i będę musiał go skarcić za wszystkich tych biedaków na widoku ruchu turystycznego. Batista był świetny w tym względzie. Uciskany wiedział, że nie należy się wpierdalać białej klasie odwiedzającej ani jasnoskórym Latynosom, którzy rzadzili imprezą. Muszę właśnie tak dokładnie powiedzieć El Jefe.

Kury bez łbów powbijane na łądygi trzciny cukrowej. Poznaczone krwią drzewa. Dominikańscy gliniarze z mastiffami na smyczy. Przebiegające czarne wetbacki.

– To trzeba wszystko zredukować – mówił Sam. – Jak ludzie chcą się nastrachać, to jadą do Disneylandu i tam sobie dobierają pełne grozy atrakcje.

Czarnuch w kurzym kapeluszu na stopie. Miał oczy zombie. Walił konia. Miał półmetrowego fiuta.

Sam wziął od Crutch'a broń i strzelił do niego. Strzał poszedł bokiem i przebił trzy zlinczowane ptaki.

Crutch się nie odzywał.

– W tym kraju trzeba krucjaty Billy'ego Grahama – powiedział Sam. – Sprowadź pastora Grahama, żeby stworzył uświęcony nastrój, potem wszyscy nawróceni wrócą na złą drogę do gry w kości. Wystarczy popracować nad klimatem, żeby osiągnąć taki efekt.

Jarabacoa kwitła. Stały trzy piętra. Niewolnicy pracowali *rapidamente*. Popędzali ich wykonawcy Krasnoludka. Kubańczycy pilnowali dyscypliny. Cała grupa łykała kool-aidy. To tworzyło towarzyską atmosferę. Luc sprowadził swoje trzy pitbulle. Miały nabijane cekinami obroże i stożkowe kapelusze voodoo przymocowane sznurkami.

Crutch siorbnął kool-aida. Szybko podziałał. Ekipa rozsiadła się przy stole piknikowym. Sam wskazał pierścień ze szmaragdem na palcu Luca.

– O co chodzi ze szmaragdami?

– W sensie, że co, mój drogi? – spytał Luc. – Wyjaśnij mi, co masz na myśli.

Sam ziewnął.

– No bo są ludzie, którzy w ogóle lubią kamienie szlachetne, i ludzie, którzy lubią tylko szmaragdy, a kiedy lubią szmaragdy, to już na maksa.

Luc się uśmiechnął.

– Rozumiem. Zarówno w Haiti, jak i w Dominikanie istnieje tradycja kultu szmaragdów. Reprezentują „Zielony ogień” w tekstach voodoo. Rzucają światło na mroczną historię.

Sam ziewnął szeroko.

– Moja dziewczyna Celia jest Dominikanką. Umie gadać o tradycji szmaragdów bez końca. Crutch drgnął na Celię. Luc wzdrygnął się dziwnie.

– A jak ma Celia na nazwisko? *Je m'appelle* Celia i co dalej?

– Celia Reyes – odparł Sam. – Później jesteście umówieni w hotelu, co oznacza, że powinienem się zmywać.

Luc wzdrygnął się raz jeszcze. Crutch drgnął raz jeszcze.

### OKO, DŁONIE I STOPY.

Stopiona skóra, krwawe ślady, ostrze noża. Kubańska plaża i twarze martwych dzieciaków. Trzask przewodów. Światła gasną. Murzyn krzyczy.

Obudził się w nowym miejscu. Pot się zebrał w jego słuchawkach. Na dworze zrobiło się ciemno. Zerknął na zegarek – 20.14.

Podsłuchiwanie – szybkie i improwizowane.

Odwiózł Sama do Santo Domingo. Zakwaterował go w El Embajador. Sam zajął apartament 810. Sam wziął seconal i ruszył do sypialni. Crutch zajął apartament 809, wysokie ryzyko.

Wywiercił dziurę do salonu apartamentu 810. Wsunął przewód. Wywiercił drugą dziurę do operowania. Przymocował minimikrofon. Pył gipsowy wleciał do niego. Przewód/mikrofonik były maluteńkie. Wyglądały jak efekt latynoskiego sprzątnia w stanie nawalenia.

Niedługo miała się pojawić Celia. Crutch drgnął na dźwięk jej imienia. Szmaragdy. Zielone szkło w ciele Marii Rodriguez Fontonette.

Crutch ziewnął. Był strasznie złożony. Seconalem wyłączał działanie kool-aida, żeby się zdrzemnąć. Uwaga do Sama i Celi: jeśli będziecie gadać w sypialni, to mam przejebane.

Pierdolił się ze wzmacniaczem. Uzyskał z pokoju obok dziesięciominutowe zakłócenia i dziesięć minut kompletnego nic. Nagle – klik – otwierają się drzwi sypialni.

Sam ziewnął. Sam postękał na och moją cabezę, na zmianę stref czasowych. Klik – telewizor chodzi. Hiszpańska paplanina, pierdolić to, wyłącza.

Crutch poprawił słuchawki. Sam ziewnął – och, moja *cabeza*, tabletki nasenne to jednak kosztują.

Stuk – otwierają się drzwi. Piski, odgłosy kotku-chrobotku, misiu-pisiu, buzi buzi. Hiszpańskie słowa, boy szura i szeleści. Stuk – wychodzi. Zniekształcone słowa – Sam i Celia. Syk/puk – ktoś otworzył szampana.

Stuk szkła. Siadanie na kanapie. Dwuminutowe och kochanie mizianie, cmokanie i wdychanie. Długie, bardzo długie westchnienie Celi.

Crutch znowu poprawił słuchawki. Usłyszał zakłócenia, chlupot i Sama: „Szmaragd... Murzyn... powiedział, że to zielony o...”.

Zasilanie nawaliło. Cholera – same półgłosy. Crutch nastawił uszu i coś tam słyszał. Zaczął łapać podteksty.

Samowi mózg się lasuje od tej cipki. Jest starszy o trzydzieści lat, jest durnym makaroniarzem, Celia robi z nim, co chce.

Stuk szklanek. Szurnięcie zapałki. Celia krztusi się i wydmuchuje dym. Sama ledwo słyhać. Sam mówi: „Te twoje głupiutkie szmaragdowe sprawy”. Jego ton jest protekcyjny. Celię słyhać jeszcze inaczej. Mówi coś nieczytelnego, o „szmaragdowej intrydze”.

Crutch poprawia słuchawki. Leciutka poprawa. Celia mówi: „Budowy. Jak to wygląda?”. Sam się przechwala i peroruje. Nie słyhać żadnych pełnych słów. Mówi zwyczajnym tonem.

Celia też. Docieka, dobrucha, naprowadza go. Trzy słowa w ciągu sześciu minut: „długość”, „dostęp”, „bezpieczeństwo”.

Fonia zamiera. Crutch wgapia się w dziurę w ścianie. Musi to zobaczyć.

Tygrysi Pazur kołysał się w zatoczce Luca. Niewolnicy voodoo zbudowali mu ładną przystań. Luc rozłożył się na pokładzie dziobowym. Jego psy drzemały pod mostem. Z anteny na dziobie zwisały skalpy. Oznaczone emblematem Ekipy Tygrysa.

Crutch wskoczył na pokład. Luc był wylewny. Wciągał kokę i ziołowe speedy. Crutch przysiadł przy gnieździe karabinu maszynowego. Luc napiął nozdrza i zasiłił głowę.

Crutch powiedział, że nie może spać. Był w okolicy, ple ple.

– Ty jesteś *pariguayo* – stwierdził Luc. – Ty zawsze patrzysz i myślisz. To znaczy, że obmyślasz następne pytania. Jesteś bardzo młody, pochodzisz z głębin straszliwego regionu, gdzie na twoje pytania często się udziela niemiłych odpowiedzi. Nie zazdroszczę ci, że tak daleko o tej porze jechałeś, żeby ze mną pogadać, mały.

Pies się podniósł. Crutch go pogłaskał. Pies trącił go nosem.

– Mam fioła na punkcie historii, a wiem, że ty niejedno widziałeś.

Luc otarł nos.

– Jestem tu od samego początku. Noszę w pamięci wizerunki psów, kurczaków i ludzi. Znam historie o obu krajach tej wyspy i chętnie podzielę się z tobą swoją wiedzą. Czy pożądasz jakiejś konkretnej wiedzy?

– Myślałem o inwazji z czternastego czerwca. Wiem, że to niezła historia.

– Znam ją. Przejdźmy się, a przekażę ci ją.

Luc miał lincolna 1961. Pomalowanego w historię Haiti w obrazkach. Czarne demony nabijały na pale białych Francuzów. Psy Luca gwałciły ich żony. Płaszcz Barona Samedi pokrywał maskę i nadkola. Na bagażniku uśmiechał się Papa Doc Duvalier.

Było gorąco. Luc zdjął dach i uruchomił klimę. Robaki zaatakowały samochód. Luc zabił je voodooziołowym sprayem na robaki. Jedno psiknięcie zabiło skurwieli. Dwa psiknięcia zniknęły skurwieli.

Jechali w głąb Haiti. Wioski pojawiały się i znikły. Czarnuchy z pomalowanymi na biało twarzami znikły we mgle.

Luc jechał na długich. Lincoln miał terenowe opony. Zmiatły z drogi wielkie kamienie.

Crutch zamknął oczy. Wciąż widział pasma demona w cieniu. Luc perorował.

– Powstańcy z czternastego czerwca znali się na haitańskim voodoo i mieli voodoochemiczne umiejętności. Marksistowska doktrynerka Maria Rodriguez Fontonette miała zaaplikować odpowiednie substancje do ujęć wody w pobliżu miejsc inwazji na wybrzeżu Dominikany w nadziei, że to wywoła masową świadomość duchową dominikańskich chłopów. Zioła i toksyna z rozdymki w nieśmiertelnych dawkach, chłopczyku. Chciała wywołać uniesienie u chłopów i spowodować duchowy chaos wśród policji i wojska. Niestety, zdradziła powstańców, wydała ich Tonton i Policia Nacional. W ten sposób byliśmy w stanie odeprzeć inwazję. Większość powstańców została zabita. Niektórych schwytano i stracono, garstka uciekła.

Crutch otworzył oczy. W świetle reflektorów skakał białogęby upiór. Crutch szybko zamknął oczy.

– Była taka kobieta, Celia Reyes, prawda? Widziałem, jak zareagowałeś, kiedy Sam o niej wspomniał. Miała przyjaciółkę. Amerykankę z ciemnymi włosami o siwych pasmach.

Luc zapalił papierosa.

– Och, one uciekły, chłopczyku. Znalazły się wśród tej garstki.

– Szmaragdy. Sam mówił, że Celia kocha szmaragdy, a ty powiedziałaś, że szmaragdy mają wyjątkowe znaczenie.

Luc włączył radio. Rozbrzmiał niski śpiew po francusku.

– Szmaragdy są, jakie są, chłopczyku – powiedział Luc. – Mają moc same z siebie.

Crutch otworzył oczy. Pędzili na południe. Morskie powietrze zniknęło. Robaki stały się większe. Luc prowadził kolanami i zabijał je rękoma. Robaki spadały martwe na Crutch. On krzyczał z obrzydzenia i wyrzucał je z samochodu.

Wjechali do wioski. Była niewielka: dwie lepianki, sześć podwórek, dwie gospody.

– Odwiedzimy mojego przyjaciela – powiedział Luc. – On jest bokurem. Chętnie cię pozna, chłopczyku.

– Fajnie.

Luc zwolnił i podjechał powoli do gospody. W oknach się świeciło. Od frontu powiewała flaga sekty voodoo. Taka sama jak na lincolnie Luca. Luc zaparkował i wprowadził Crutch do środka.

Przy barze stał tłusty czarnuch. Miał dwa miksery pieniącej się mazi i cztery gorące talerze gulaszowego szajsu. Luc ukłonił się czarnuchowi. Czarnuch ukłonił się Lucowi. Rozmawiali po francusku. Dotknęli szmaragdowych pierścieni. Luc powiedział: *Il est 'pariguayo*.

Czarnuch nalał dymiącego napoju do pucharu. Crutch chwycił go i wyżyłopał.

Palilo. Smakowało jak suche liście i grzyb. Zamazał mu się obraz i wyostrzył. Beknął woniami z ostatnich dziesięciu posiłków i zatoczył się na krzesło.

Pomieszczenie robiło się okrągłe, kanciaste i znowu okrągłe. Na ścianach wypaczały widok zniekształcające zwierciadła. Przetaczały się przed nim obrazy. Nie mógł rozróżnić szczegółów. Luc się roześmiał. Czarnuch powiedział:

– *Pariguayo, oui.*

Crutch zmrużył oczy. Wzrok mu się skupił na najdalszej ścianie. Była oblepiona rysunkami anatomicznymi. Organy wewnętrzne były podkreślone. Sterczały z nich szpilki.

Crutch jeszcze silniej zmrużył oczy. Czaszka przerodziła się w twarz Wayne’a Tedrowa. Wstał, żeby wbić szpilkę w oczy Wayne’a. Jego ręce i nogi się nie poruszały.

Luc się roześmiał. Czarnuch się roześmiał. Luc powiedział:

– *Le pauvre pariguayo.*

Zobaczył twarz swojej matki i twarz Dany Lund. Zobaczył Danę nagą z oczami Chrissie Lund. Zobaczył *KRZESŁO ELEKTRYCZNE, DŁONIE I STOPY, OKO*. Próbował mówić. Jego struny głosowe zamarły. Próbował stać. Nogi opuściły jego ciało i wybiegły na zewnątrz. Próbował poruszać rękoma. Palce mu się roztopiły. Zobaczył tysiąc fotek Joan.

– *Pariguayo* – powiedział Luc.

– *La poudre zombie* – powiedział czarnuch.

Crutch próbował krzyczeć. Jego usta roztopiły się w tunel Trzeciej Ulicy pod Bunker Hill. Luc i czarnuch chwycili go i zaciągnęli na zaplecze. Próbował stawiać opór. Jego ramiona zamieniły się w ptasie skrzydła. Rzucili go. Zamknęli za sobą drzwi na klucz. Po podłodze buszowały szczury. Próbował się od nich odtoczyć. Łaziły mu po plecach i nie pozwalały się ruszyć. Zobaczył Joan. Zaczął płakać. Jego łzy przybierały rozmaite kolory. Szczury pomknęły ku jego twarzy i zaczęły go lizać. Zobaczył ich pchły i otwarte rany ich ciał. Ich ogony się zwijały, błyskały do niego zębami jak piły.

Nie mógł się ruszać. *La poudre zombie*. Zobaczył Joan. Usłyszał mamrotanie za drzwiami. Tworzyły się słowa po francusku. Zobaczył dziewczyny z lekcji francuskiego w jego liceum. Jego nauczycielka powiedziała: „Donald, jesteś bystrym chłopcem. Ucz się słuchać, ucz się mówić”.

Szczury go skubały. Zobaczył drukowane francuskie słowa i usłyszał, jak panna Boudreau tłumaczy. Usłyszał „szmaragdy”, „podejrzani”, „zabić go”. Usłyszał „Laurent-Jean Jacqueau”, „Ameryka”, „zmienił nazwisko”.

„Trujillo i Duvalier”. „Smaragdy”. „Zginęły w Ameryce”. „Celia”. „1964”. „Chłopak chce kamienie”.

Słowa zamilkły. Zaczęły się znowu mamroty. Pojawiły się czarno-białe obrazy. Biuro Clyde’a Dubera, deska rozdzielcza Scotty’ego Bennetta. Zdjęcia z miejsca zbrodni – *NAPAD NA OPANCERZONĄ FURGONETKĘ*.

Crutch usłyszał kroki. Crutch usłyszał odbezpieczanie broni. Szczur przebiegł mu po twarzy. Crutch zapragnął otworzyć usta. Szczur zajrzał do środka. Crutch zamknął usta i odgryzł mu



łeb.

Szczurem miotnęło. Crutch gryzł dalej. Smak krwi i futra coś z nim robił. Otworzyły się drzwi. Weszli Luc i czarnuch. Luc miał trzydziestkęósemkę przyciśniętą do nogi.

Crutch leżał. Szczur wiercił się i zdychał w jego ustach. Luc i czarnuch się zbliżyli. Crutch wyciągnął rękę i chwycił broń. Szczury truchtały po całym jego ciele. Luc i czarnuch zamarli. Crutch wycelował i rozpierdolił ich bambusowe mózgi.

## 73

(Santo Domingo, 6.05.1969)

*Joan.*

Samolot schodził do lądowania.

Podmuch przewrócił znaki powitalne Krasnoludka. Wayne się obudził. Cały czas miał przy sobie torbę – czterysta tysięcy przypięte do nadgarstka.

Sen był porozrywany. Zobaczył Joan trzy tygodnie temu. Od tego czasu sen mu się przewijał przez większość nocy. Rzeczywiste odgłosy klubu i muzyka. Fikcyjne wyobrazenie blizny po nożu.

Oddał Dwightowi pierścień. Dwight nie chciał rozmawiać o Joan. Wayne domyślał się, że jest jego informatorką. Wykładała w Szkole Wolności. Reginal Hazzard chodził tam na wykłady. Wayne wrócił do Szkoły Wolności i jeszcze raz przejrzał akta. Nic nie znalazł o Reginaldzie. Jego mały klik w końcu się wklikał na swoje miejsce.

Szkoła Wolności pojawiła się w aktach Joan. Zniszczył akta. Dwight nie zgodził się dostarczyć mu nowego egzemplarza. Znowu coś kliknęło. Jeszcze o czymś zapomniał albo coś przeoczył.

Wayne wysiadł z samolotu. Limuzyna czekała. Przyciemniane szyby odcięły go od nadmorskiej Tijuany. Przeszukał krajowy rejestr karny, ale nie znalazł nic na Joan Rosen Klein. Przygotował poszukiwania w południowej części miasta. Wniosek: zadaje się z SCP, a kiedyś była cizią któregoś szefa.

Limuzyna się wlokła. Krasnoludkowy Plan Rewitalizacji Miasta uśpił ruch. Robotnicy ziemni mieli na sobie kombinezony więzienne. Stawiali drobne krocзки. Ich skute kostki krwawiły.

Mary Beth stanowiła teraz problem. Miała tyle pracy, że nie dawali rady się spotykać. On szukał Reginalda, ją to dręczyło. Waliła prosto z mostu. Pracujesz dla Chłopców. Wozisz łapówki dla dyktatorów. On jej perswadował i ją koił. Eufemizował i kłamał. Ona wręcz kipiała.

Dwight stanowił problem. Jomo Clarkson zabił się w areszcie. Marsh był przerażony i zaprzeczał, że zakablował Joma. Kwestia donosu nudziła Dwighta. Zachowanie zupełnie do niego niepodobne.

Limuzyna podążała Malecónem. Szyldy oznaczały Krasnoludkowy punkt wydawania żywności. Zaparkowana platforma. W kolejce stali ciemno- i jasnoskórzy biedacy. Dwóch La

Bandaites rzuciło w nich papierowe torby. Torby się rozerwały. Wybuchły minizamieszki na tle rasowym. Torby zawierały skrawki mięsa i powgniatane puszki z psim zarcieciem.

Marsh się bał. Wayne i Dwight się zgodzili: jest niestabilny i może się wdać w podwójną grę. Niech Dupek zjedzie do Stanów i zapluskwi mieszkanie Bowena.

Haiti wyskoczyło go z torów. W ziołowym odlocie patrzył przez ziemię na wskroś i śledził korzenie drzew. Widział magiczne stwory w akcji.

Klaksony ryczały i ryczały. Ruch został zatrzymany przez pieszy pościg. Dzieciaki z ulotkami. Bieg ulicą i zygzaki. Bandziory z La Bandy się rozdzieliły. Jedna grupa dzieciaków, dwie flanki bandziorów. Manewr kleszczowy, zero wyjścia/ślepy zaułek. Dzieciaki biegły prosto w szereg glin: kołesie z Policia Nacional z plastikowymi tarczami i pałkami.

Kleszcze się domknęły. Brązowe koszule wchłonęły dzieciaki. Ich pałki były ostro zakończone. Lekkie ciosy rozdierały ciało.

Dzieciaki próbowały uciekać do budynków. Dozorcy na ich widok zamykali drzwi na klucz. Jeden dzieciak przebiegł obok limuzyny. Nie miał koszuli. Jedno oko spływało krwią.

Wayne otworzył drzwi. Dzieciak próbował przeskoczyć przeszkodę. Uderzył w drzwi i poleciał w powietrze. Wayne go chwycił i wrzucił na tylne siedzenie. Dzieciak się opierał. Wayne go przyszpilił i krzyknął do kierowcy. Dzieciak pojął, w czym rzecz, i krzyknął po hiszpańsku. Wayne usłyszał numer i że na calle Bolívar. Kierowca zawrócił i ruszył pędem aleją.

Wayne otworzył walizkę i wyciągnął koszulę. Dzieciak trzymał gałkę oczną. Krew lała mu się przez palce. Wayne odchylił mu głowę i zatamował krwotok.

Limuzyna wyjechała z korka. Kierowca dodał gazu i wciskał klakson. Flagi na ich antenie pomogły im się przedostać przez wąskie gardła i czerwone światła. Pojawiła się calle Bolívar. Kierowca zredukował bieg i stanął przy niewielkim domu w połowie ulicy. Dzieciak stracił przytomność. Wayne wziął go na ręce i zaniósł do środka.

Biuro było małe. Meble zniszczone i przypadkowe. Wyglądało na tajny komuszy punkt medyczny. Pielęgniarka i lekarz chwycili dzieciaka. Wydawało się, że go znają. Zanieśli go czym prędzej na zaplecze i zamknęli drzwi.

Wayne siadł w poczekalni. Kajdanki od torby werżnęły mu się w nadgarstek. Co dziesięć sekund dzwonił telefon. Ściany się trochę zbliżyły. Pomyślał o Haiti i Mary Beth.

Telefon dalej dzwonił. Minęła godzina. Wyszedł lekarz. Fartuch miał zakrwawiony. Na rękach gumowe rękawiczki.

- Uratowałem chłopcu oko.
- Cieszę się.
- Kim pan jest?
- Nazywam się Wayne Tedrow.

- Zapewne mieszka pan w El Embajador?
- Zgadza się.
- Bardzo panu dziękuję. Zachował się pan odważnie.

Przejechał przez place budowy w Santo Domingo. Były dopracowane w każdym szczególe.

Pojawiły się dwa piętra. Za szybko. Pracownicy powitali Jefe Tedrowa. To byli oszuści. Wyglądali jak aktorzy z opowieści o dzielnym wieśniaku. Nie widział żadnych biczów ani broni. Gdzieniedzie leżały kajdany.

Limuzyna zawiozła go na północ. Place budowy na prowincji wyglądały identycznie. W Jarabacoi pojawiła się stołówka. Tłusci i pogodni robotnicy stołowali się z szefami. Wayne wspiął się na drzewo i rozejrzał się po terenie. Czterdzieści metrów dalej: kutasy z La Bandy i skuci prawdziwi robotnicy.

Wayne zdrzemnął się w drodze do zatoczki Ekipy Tygrysa. Przyciemniane szyby zapewniały widok pozbawiony nędzy. Obudził się i zobaczył Dupka przed obozowiskiem. Gówniarski ścigacz komuchów wyglądał na lekko obłąkanego.

Kierowca zwolnił. Wayne postukał go i kazał stanąć. Dupek podniósł wzrok.

– Lecisz ze mną do LA – powiedział Wayne. – Chcemy z Dwigthem, żebyś zapluskwił mieszkanie Marsha Bowena.

Dupek kiwnął głową. Trochę chętnie, a trochę z otepieniem. Wayne postukał kierowcę. Limuzyna wjechała na polanę. Byli tam Mesplède i Kubańczycy. Kubańczycy byli wymienni. Nigdy nie zapamiętał, jak który się nazywał. Jeden miot, czworo ponurych szczeniąt.

Zobaczyli limuzynę i pomachali. Wayne wysiadł i podszedł. Wieszali rzeczy na linie rozpiętej między pniami drzew. Wayne wyczuł rozkład.

Mesplède podszedł. Wayne go odepchnął. Są: pięć skalpów, znak tygryziej łapy.

Kubańczycy się stawiali – uśmiezki, nogi rozstawione, bandolierzy i pasy z nabojami. Mesplède się wahał. Na rzemieniu nosił swój nóż do skalpowania.

– Koniec z najezdami – powiedział Wayne. – Koniec z politycznym szajsem, kiedy pracujecie dla mnie. Jeszcze jedno naruszenie i *muerto*.

Kubańczycy poprawili postawę: uśmiezki, kciuki w szlufkach, nogi rozstawione bardzo, bardzo szeroko. Mesplède podrapał się nożem po szyi.

Wayne ściągnął skalpy ze sznura. Wayne szedł od najemnika do najemnika. Wayne wcierał im skalpy w twarz.

– Viva Fidel, wy jebane śmierdziele.

Telefon w apartamencie zadzwonił o północy. Zerwał się. Zasnął przy włączonych światłach. Santo Domingo było plamą za oknem. Od razu pomyślał o dzieciaku z rozwalonym oknem.

- Halo?
- Obudziłam cię?

– I tak, i nie.

– Mam nadzieję, że nie śniłeś – powiedziała Mary Beth.

– No... i tak, i nie.

– Spytałabym, co słychać, ale nie jestem pewna, czy chcę wiedzieć.

Wayne przetaił oczy.

– Mam ślad kobiety, która wpłaciła kaucję za twojego syna.

– Kochanie, nie mówiłam o Reginaldzie.

Wayne zerknął na swoją walizkę.

– Wiem, że nie. Powiedziałem to, bo dotyczy to ciebie i mnie, a nie mojego sposobu zarabiania na życie.

– Ani ludzi, dla których pracujesz?

Wayne westchnął.

– Skarbie, nie rób tego, proszę. Nie przez telefon.

Mary Beth westchnęła.

– Twarzą w twarz będzie gorzej.

– Więc zachowujmy się przyzwoicie i nie róbmy tego wcale.

– Powinniśmy chyba w tym momencie się pożegnać.

– Tak, tak mi się wydaje.

Koniec połączenia. Wayne wyjrzał przez okno. Niebo było wolne od neonów. Krasnoludek powiedział Samowi G., że chce *mucho* neonów. Sam powiedział, że załatwi jakies.

Odezwał się dzwonek. Wayne wstał i otworzył drzwi. Na progu stała Celia Reyes. Poznał ją w czasie wyborów w Miami. Wtedy towarzyszyła Samowi.

– Witam, panie Tedrow – powiedziała. Miała na sobie białą sukienkę i płócienną bluzę. Wyciągnęła rękę.

Odsunął się na bok i przytrzymał jej drzwi. Celia siadła na kanapie.

– Chcę panu podziękować za mojego przyjaciela Ramona. Lekarz powiedział, że wspianie się pan zachował.

Wayne przysunął sobie krzesło.

– Cieszę się, że nic mu nie będzie.

– Lekarz powiedział, że niesamowicie to wyglądało. Niósł pan Ramona z teczką przykutą do nadgarstka.

Teczka stanęła między nimi. Wayne wskazał na nią.

– Było nieporęczne, owszem.

Celia się uśmiechnęła.

– Nie pyta pan, co mnie tu sprowadza.

– Po części oczekiwałem takiego wydarzenia.

– A dlaczegoż to?

– Możemy uznać, że chciałem tego.

– Mam przyjaciółkę. Wydaje się nam, że może pan sprzyjać naszym działaniom.

Wayne się uśmiechnął.

– Tak, to możliwe.

– Czy to pana zdenerwuje, jeśli powiem, że przed dzisiejszym pańskim czynem wiedzieliśmy o panu pewne rzeczy?

– Ludzie zwykle coś o mnie wiedzą. Ja zwykle robię więcej szkody niż pożytku.

– Mogę zapytać o pańskie przekonania?

– Kieruję się znakami. Powoli nabieram przekonania, że może mam cel, który jest niedostępny dla moich zdolności pojmowania.

Celia wskazała walizkę.

– Zawartość?

– Czteryście tysięcy dolarów.

– Mogę to wziąć?

– Tak.

– Będzie więcej?

– Tak.

Celia wzięła walizkę i podeszła do drzwi. Wayne je otworzył. W korytarzu mignął cień. Rozpłynęło się kółko dymu. Wayne wiedział, że to ona.

– *Celia powiedziała, że był pan bardzo hojny.*

– Trafiła na właściwy moment.

– Nie będę na pana naciskać.

– Może pani. Będę szczery. Nacisnę na panią w kilku sprawach i mam nadzieję, że pani też będzie szczera.

– Może mnie pan pytać o wszystko. A ja udzielę odpowiedzi albo nie.

– Chciałem panią zapytać o związek z Dwigthem Hollym i o młodego człowieka, którego poznała pani w Szkole Wolności i niemal na pewno ocalała pani rok później.

– Nie odpowiem.

– To szczera odpowiedź.

– Uprzedziłam pana.

– To prawda.

– Mam nadzieję, że moja bezceremonialność nie zakończy naszej współpracy.

– Nie pozwoliłbym na to. Jestem bardzo bezceremonialnym byłym policjantem i zwykle dostaję odpowiedzi, których pragnę.

– Nie spytał mnie pan, co wiemy o panu z Celią, a to bardziej naglące pytanie.

– Uznam, że wiecie wszystko, i niech tak zostanie.

– Rozmowa z panem sprawia mi wielką przyjemność, panie Tedrow.

– Dziękuję za telefon, panno Klein.

Wayne obudził się nad Teksasem. Szkocka w samolocie i voodooioła zapewniły mu sen od startu.

Dupek czytał „Playboya”. Wyglądał nędznie. I jakby się bardzo bał.

Pod nimi majaczyły urwiska o głębokich wąwozach. Drzewa sterczały ukośnie. Zakryły je chmury burzowe.

„Czysta magia” – pomyślał Wayne.

„Stałem się komunistą” – pomyślał Wayne.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 13.05.1969. Dosłowny zapis rozmowy telefonicznej sporządzony przez FBI. Oznaczony: „Nagrany na polecenie Dyrektora”/„Tajne 1-A: Zastrzeżone dla Dyrektora”. Rozmawiają: Dyrektor Hoover, Agent Specjalny Dwight C. Holly.

JEH: Dzień dobry, Dwight.

DH: Dzień dobry panu.

JEH: Pański teleks sugerował, że ma pan złe wieści. „Mów, jak jest” – jak często rzuca prezydent Nixon w swoich lizusowskich wysiłkach, żeby sprawiać wrażenie, że jest na bieżąco z długowłosymi oraz ze spragnionymi insurekcji czarnuchami.

DH: Tak, proszę pana.

JEH: Jeszcze jest: „Kumasz ten odjazd?” i „Jak ci z tym?”, obecnie ulubione wyrażenia białych osobowości radiowych, które jęczą, że jestem za stary do tej roboty.

DH: Tak, proszę pana.

JEH: „W porządku, brachu” to wyrażenie dzisiaj uważane za modne. W zeszłym tygodniu zwróciłem się tak do wiceprezydenta Agnew. Zasalutował mi zaciśniętą pięścią. Odczułem głęboką satysfakcję. Zupełnie jakbym otrzymał francuską Legię Honorową.

DH: Tak, proszę pana.

JEH: Ociąga się pan, Dwight.

DH: Dzwonił do mnie naczelnik Reddin, proszę pana. Powiedział, że wykreślił Marsha Bowena z listy zatrudnionych. Został wyrzucony z Policji Los Angeles, więc Policja Los Angeles nie jest w żadnym stopniu odpowiedzialna za jego poczynania. Zwolnienie było tajne, co chroni nas przynajmniej...

JEH: Nic nie może zakłócić OPERACJI BARDZO ZŁY BRAT, nie może też ona zmienić charakteru. Bowen nie może się dowiedzieć, że został zwolniony. Dlaczego tak się stało? Mów, jak jest.

DH: Myślę, że Scotty Bennett poszedł do Reddina i zaproponował racjonalne uzasadnienie zwolnienia. Uważam, że u podstaw tego posunięcia leży osobista uraza Bennetta.

JEH: Bennett wyświadczył nam przysługę co najmniej pod jednym względem. Nie ujawnił udziału świętej pamięci Joma Kenyatty Clarksona i jego świętej pamięci kompana w zabójstwie świętej pamięci siewcy nienawiści doktora Freda Hiltza, co oszczędziło Biuru wścibstwa kretynów.

DH: Tak, proszę pana.

JEH: Jomo Kenyatta Clarkson wielokrotnie ruchał Pat Nixon. Powiadomił mnie o tym tajny informator w społeczności Hollywood. Byli pod wpływem metakwalonu.

DH: Tak, proszę pana. Sądziłem...

JEH: W pierwszym tygodniu czerwca Biuro dokona nalotów na siedziby Panter w Denver, Chicago i Salt Lake City. Cieszę mnie one, ale brak im olśniewającego szyku naszej operacji, którą uzasadnia przestępczość czarnych i wrodzone im lenistwo. Chcę, żeby SCP albo FWMM, albo jedni i drudzy sprzedawali heroinę. Pantery zabójczo otumaniały publikę, ukołysały ją do snu. Potrzebne im złe małpy, w których zatopią zęby. Zapewniam pana, Dwight, że jest tak, jak mówię.

DH: Tak, proszę pana.

JEH: Honorowy czarnuch Wayne Tedrow. Słucham, brachu.

DH: Nic się nie zmienia, proszę pana. Był w Dominikanie.

JEH: Dick Nixon jest zły na Wayne'a, w pierwszej kolejności. Wayne dezaktywował dzielną grupę antycastrowych zbójców, których wspiera finansowo Bebe Rebozo. Bebe jest zdecydowanym antykomunistą. Szanuję go za to.

DH: Jutro wieczorem będę rozmawiał z prezydentem, proszę pana. Poradzę mu w temacie Wayne'a tak, jak pan radzi mnie.

JEH: Niech pan robi, jak uważa. Mów, jak jest, bo ja jestem równy gość.

DH: Tak, proszę pana.

JEH: Nikuś nigdy nie ogarnie podstaw starannego golenia. Ja używam ostrzy marki Wilkinson Sword. Moja osobista teczka na Nixona zrujnuje go. Akta w mojej piwnicy natychmiastowo wywołają Armagedon.

DH: Tak, proszę pana.

JEH: SCP i FWMM muszą rozprowadzać heroinę. Musimy stworzyć należycie kontrolowany chaos.

DH: Tak, proszę pana.

JEH: Dość często śni mi się Martin Lucyfer King. Niezmiennie nosi kostium czerwonego diabła i ma widły.

DH: Tak, proszę pana.

JEH: Panu on się śni?

DH: Często, proszę pana.

JEH: I jak wygląda?



DH: Zawsze ma aureolę i skrzydła.

JEH: (Gwałtowna, stłumiona uwaga/w tym miejscu następuje koniec zapisu).

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 14.05.1969. DOSŁOWNY ZAPIS ŚCIŚLE TAJNEJ ROZMOWY TELEFONICZNEJ/DOSTĘP OGRANICZONY. Akta nr 48297. Rozmawiają: Prezydent Richard M. Nixon i Agent Specjalny Dwight C. Holly, FBI.

RMN: Dobry wieczór, Dwight.

DH: Dobry wieczór, panie prezydencie.

RMN: Nie nagrywa pan tego, co, Dwight?

DH: Nie, panie prezydencie. A pan?

RMN: Ja i owszem. Mam takie urządzenie, które automatycznie nagrywa moje rozmowy, ale jeden z moich niewolników przychodzi i wrzuca taśmy do krypty. Nigdy nie ujrzą światła dziennego, a w każdym razie jeśli ujrzą, to my już będziemy wachać kwiatki od spodu.

DH: Jestem spokojny w tej sprawie, panie prezydencie.

RMN: Kumam. Głosował pan na mnie, Dwight?

DH: Nie ma mnie w spisie wyborców, panie prezydencie.

RMN: Jest pan złym obywatelem. Jest pan jak pański przyjaciel Tedrow, który zadziera z moim przyjacielem Bebem. To Pierwszy Przyjaciel, Dwight. Uwielbiam te gadki na nasz temat, a Wayne odegrał kluczową rolę w naszej umowie z Włochami, ale Bebe to Bebe, a Wayne z nim zadziera.

DH: Czy mógłbym wygłosić kilka bezpośrednich uwag, panie prezydencie?

RMN: Wał pan śmiało.

DH: Wayne Tedrow to człowiek bardzo kompetentny, o skłonnościach do spektakularnych, ekstrawaganckich gestów. Głupota, której zakazał, może mieć duże znaczenie dla budowy kasyn w Dominikanie. Ulubiona grupa wygnańców pana Reboza jest złożona z podejrzanych, skrajnie prawicowych ideologów z potężnym pierdolcem na punkcie usunięcia Fidela Castro, a jak sam mi pan kiedyś powiedział, panie prezydencie, ten skurwiel musi być. Określiłbym kompanów pana Reboza jako nieostrożnych i kapryśnych, w najlepszym wypadku, a jako niepotrzebnie psychopatycznych w najgorszym. Wayne postąpił rozważnie, panie prezydencie.

RMN: Ma pan absolutną rację, Dwight. Co więcej, Dominikana to zadupie, Chłopcy mogą stracić kupę forsy na swoich hotelach, a Joaquín Balaguer jest granitowo antykomunistyczny i o wiele bardziej potulny niż Rafael Trujillo. Tamten kutas to był koszmar. Oko by panu zbieleło, gdyby zobaczył pan akta CIA na jego temat. Gównno, które wyczyniał ze swoim tak zwanym zaciętym przeciwnikiem Papą Dokiem Duvalierem, było straszne. Plądrowali ziemię, przemycali szmaragdy, zajmowali banki i dzielili się łupami. Po drodze Koziół wyrzynał haitańskich uchodźców, a Papa Doc ruchał połowę jego dziewczyn.

DH: Osobliwa para, panie prezydencie.

RMN: A skoro o tym mowa, porozmawiajmy o wie pan kim. Słuchałem dzisiaj radia. Dyskdokej nazwał go Gejem Edgarem.

DH: Media są ostatnio niemile, panie prezydencie.

RMN: Myśli pan, że on bierze w dupala?

DH: Myślę, panie prezydencie, że życie w skrytości uniemożliwia mu taką ekspresję.

RMN: Jakby zaznał solidnego wacka, to może nie byłby taki spięty.

DH: Tak, panie prezydencie.

RMN: On traci rozum, prawda, Dwight?

DH: Tak, panie prezydencie. Ale z drugiej strony jest niebywale niebezpieczny i należy się z nim ostrożnie obchodzić.

RMN: I ma te cholerne teczki.

DH: Owszem, panie prezydencie.

RMN: A one są wymowne i kłopotliwe.

DH: Nie tak bardzo jak nasza obecna rozmowa, panie prezydencie.

RMN: Dwight, z pana to jajcarz. Fajnie tak gołnać sobie i pogadać z takim bezpośrednim gościem jak pan.

DH: Panie prezydencie, ta rozmowa sprawia mi wielką przyjemność.

RMN: Ten irlandzki lachociąg Jack Kennedy ukradł mi wybory w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym.

DH: Tak, panie prezydencie.

RMN: A teraz lachociąg nie żyje, a ja jestem prezydentem Stanów Zjednoczonych.

DH: Tak, panie prezydencie.

RMN: Niech pan ma na oku wie pan kogo. Zrobi pan to dla mnie, Dwight?

DH: Oczywiście, panie prezydencie.

RMN: Dobrej nocy, Dwight.

DH: Dobrej nocy, panie prezydencie.

– Boisz się czegoś – powiedział Dwight. – Ręce ci się trzęsą.

Dupek przesunął przewód przez wywierconą dziurkę. Cęgi mu podskoczyły. Mieszkanie Marsha Bowena było idealne do zapluskwienia. Telefony były wielkie i staromodne. Listwy ścienne mięciutkie.

– Nie przeszkadzaj mi. Nie mogę się skupić.

Dwight się uśmiechnął.

– To na jakiś czas. Wayne wróci i sprawdzi stanowisko podsłuchowe. Będzie nagrywał rozmowy.

Robota wiązała się z wierceniem. Dupek był dobry. Podłożył szmatkę i w ogóle nie nabrudził. Marsh był na imprezie SCP. Mieli trzy godziny.

– Ilu komunistów już zabiłeś?

– Więcej niż ty.

– Ciągłe podglądasz?

– Podglądałem twoją matkę. Dawała w slumsach.

Dwight się uśmieł i sprawdził salon. Marsh stosował metodę Stanisławskiego. Chata była nietypowa. Blackpowerowe plakaty, zdjęcia seksownych czarnych lasek ze spluwami.

– Rozmawiałem o tobie z prezydentem Nixonem.

Dupek zaszpachlował wywierconą dziurkę. Ręka mu drżała. Miał pas z narzędziami i szkło powiększające. Oferma jako zawodowiec od podsłuchów.

– Nie przeszkadzaj mi. Czas nam się kończy.

– Ty i Bowen jesteście jak od jednej matki. Ty jesteś bojdudek, ale cholernie dobrze udajesz.

– Bowen to twoja czarna zabaweczka. Daj spokój, muszę pracować.

– Ilu komunistów zabiłeś?

– Jezu, facet.

Dwight zerknął na zegarek. Była północ. Czarne wieczorki towarzyskie trwały do wczesnych godzin rannych. Marycha i przemówienia, gaduły i demagogdy.

Dupek skończył. Podłączone: dwie lampy, trzy listwy ścienne, dwa telefony. Dupek był spocony i pokryty gipsem. Dwight rzucił mu ręcznik.

– Jak tam klienci w Dominikanie? Podglądasz tam?

Dupek się osuszył ręcznikiem.

– Przestań się ze mnie nabijać.

Dwight obszedł mieszkanie – ostatnie spojrzenie, żadnych niedoróbek. Marsh żył Metodą. Książki komunistyczne, w lodówce żeberka, nic, co by wskazywało na glinę czy pedała.

Dobra robota. Żadnych śladów gipsu, żadnych wypukłości ani sterzących kabelków.

Dupek był spięty. Oddech mu się rwał. Nogi drżały. Pas narzędziowy dygotał na biodrach.

– Nie spierdol – powiedział Dwight. – Wayne chciałby zabić jakiegoś głupiego prawicowca.

– Nie nazwał JFK lachociągiem.

Dwight położył rękę na sercu.

– Nie okłamałbym cię.

Norm's na Vermont. Klientela z pierwszej w nocy: nawalone dzieciaki pałaszujące tanie steki.

Karen przyniosła Eleanorę. Spała w swoim foteliku. Dwight ciągle się na nią gapił.

– Wygląda jak ja.

– Nie, nieprawda. To była procedura, a ciebie nie było w pobliżu pojemnika.

Dwight zarechotał i napił się kawy. Karen zapaliła papierosa. Dwight postawił kartę i zasłonił Ellę przed dymem.

– Lubisz Richarda Nixona. Nie do wiary, jak to o tobie świadczy.

Dwight się uśmiechnął.

– Kochasz mnie. Jak to świadczy o tobie?

Karen zakręciła popielniczką.

– Mam kilku przyjaciół w więzieniu San Mateo. Aresztowano ich bez zgody sądu.

– Zajmę się tym.

– Jak tam pan Hoover?

– Trochę spięty.

– Marshall Bowen jest twoim infiltratorem?

– Bez komentarza.

– Joan jest równie dobrym informatorem jak ja?

– Czas pokaże.

Ella się zawierciła. Dwight zakołysał fotelikiem. Karen zerknęła zza karty. Ella uśmiechnęła się szeroko i ponownie zasnęła.

– Jesteś za chudy, Dwight.

– Już to słyszałem.

Karen się uśmiechnęła.

– Koszmary nocne?

– Na to pytanie znasz odpowiedź.

– W takim razie uściślę. Koszmary wynikające z poczucia winy?

Ella wystawiła nogę z fotelika. Dwight zawinął ją z powrotem.

– Kocham ją, wiesz?

- Tak, wiem.
- Spletli palce.
- Kochasz mnie? – spytał Dwight.
- Pomyślę – odpowiedziała Karen.

Został w Norm's. Pokaz głupka był zabawny, w dziupli śmierdziało stęchlizną, a on i tak nie mógł spać.

Gliny i pacyfiści. Nocni miłośnicy filmów. Maruderzy z sąsiedniej księgarni porno.

Kelnerka ciągle przynosiła kawę. Dwight palił z nią w jednym rytmie. Czas miał przerzuty.

Wayne wszedł i siadł. Był za chudy. Miał nowe siwe włosy.

- Zjawiasz się nieproszony.
- Wiesz, dlaczego tu jestem.
- Przechodziliśmy już przez to. Przyznam, że ona dla mnie pracuje, ale ani kroku dalej.

Wayne odprawił kelnerkę.

– Godzinę temu widziałem, jak wychodziła stąd wysoka ruda kobieta z niemowlęciem.

Spisałem jej tablice i sprawdziłem, jak się nazywa, i przyjmuję, że była tu z tobą.

Dwight zapalił papierosa.

- Skąd to przypuszczenie?
- Bo nie wierzę w zbiegi okoliczności.

Dwightowi przeszkadzał pierścień ze szkoły prawniczej. Potoczył go przez stół. Wayne odtoczył go z powrotem.

– Widziałem zdjęcie z wykładów w lewicowej Szkole Wolności. Karen Sifakis i kobieta, o której mówimy, stały razem i dyskutowały.

*Karen powiedziała, że nigdy nie poznała Joan osobiście. Powiedziała, że znają się tylko z kontaktów. Joan powiedziała to samo.*

Dwight wzruszył ramionami.

- Powiedz mi – poprosił Wayne.
- Ani myślę – odparł Dwight.

Weszło stado pijaków. Dwóch gliniarzy przy barze się zjeżyło.

- Powiedz mi, jak ona się nazywa, Wayne. Chcę usłyszeć, jak ty to mówisz.
- Joan – powiedział Wayne.

Dwight położył rękę na sercu.

## 75

**(Dominikana, Haiti, basen Morza Karaibskiego, Los Angeles, 16.05.1969–  
8.03.1970)**

*Krążenie:*

Z Dominikany do LA i z powrotem. Budowa kasyn, herobiznes, najazdy na wybrzeże Kuby. W to wciśnięta jego sprawa.

Zlikwidował Luca Duhamela i bokura i nikomu nic nie powiedział. Podpalił budę i lincolna Luca i nocą wrócił piechotą do Dominikany. Luc po prostu zniknął. Paru bandziorów z Tonton zadało Ekipie Tygrysa kilka pytań. Crutch jakoś to wytrzymał. Poszła wieść: Luc kopnął w kalendarz w jakiejś wojnie sekt voodoo. Nastąpiły akcje odwetowe: klątwy, masakry maczetami i zombiefikacje. Crutch poukrywał się i przetrwał. Z nerwów świrował. Miał koszmary w Voodoo VistaVision.

Znalazł dobre domy dla psów Luca. Żabojad znalazł paru gostków z Tonton, żeby prowadzili interes od strony Haiti. Zatoczka Luca nadal zwała się Zatoczką Tygrysa. Kotwiczyl tam Tygrysi Pazur. Wypadu portorykańskie i kubańskie ruszały z dawnych terenów Luca.

Praca szła pełną parą. Jego sprawa na pół gwizdka. Oto objawienie z voodooszopy. Został zombiefikowany. Jego umysł się gorączkuje, podczas gdy ciało jest związane z bokurem i nieruchome. Szmaragdy/1964/Celia. Laurent-Jean Jacques/Ameryka/zmienione nazwisko. Jego umysł topi się i przechodzi do *NAPADU NA FURGONETKĘ OPANCERZONĄ*.

Wyśledził objawienie i potwierdził je. Spenetrował biuro operacyjne La Bandy i znalazł trochę dokumentów. Były enigmatyczne i po hiszpańsku. Zrobił zdjęcia minoxem, wywołał film i przetłumaczył, jak umiał. Dostawa szmaragdów opuściła Santo Domingo 10.02.1964. Cel: LA. Nadawca i odbiorca – niepodani. Niepodany środek transportu. Żadnych nazwisk, żeby znaleźć w nich punkt zaczepienia. Dokumentacyjny ślepy zaułek.

Próbował wytropić Tontonowego zdrajcę, Laurenta-Jeana Jacques. Przyjął 14.06.1959 jako datę jego zniknięcia i ekstrapolował. Sprawdził rejestry wyjeżdżających. Nie znalazł nic. Sprawdził rejestry przybywających do USA i nie znalazł nic. Zaczął od prawdziwego nazwiska – Jacques. Nic. Wziął inicjały. Nic. Poszerzał poszukiwania. Sprawdził formularze wszystkich czarnych mężczyzn pochodzących z Karaibów i nic.

Zdobył jedynie złośliwe plotki i podania ustne. Kozioł i Papa Doc byli szmaragdowymi maniakami. Tego się właśnie dowiedział i niczego więcej. Zarówno w kwestii szmaragdów, jak i Laurenta-Jeana Jacques. Zarówno w kwestii szmaragdów, jak i Celi Reyes oraz Joan Rosen

Klein. Zrobił nalot na trzy skarbnice archiwalne: CIA, La Bandy i grupy Ivara Smitha. Nie znalazł żadnych list nazwisk. Nie znalazł tropów Zielonego Ognia.

### *Krążenie.*

Wziął udział w szesnastu najazdach na Kubę oraz w ośmiu narkowypadach, wszystko w największej tajemnicy. Wszystko wbrew Wayne'owi T. Wayne zapłacił Ivarowi Smithowi, żeby śledził Ekipę Tygrysa i składał mu raporty. Ivar powiedział o tym Żabojadowi. Żabojad i Ivar cofnęli rozkaz Wayne'a. Ivar zagrał na dwa fronty za to, że Wayne uciął narkobiznes. Zorganizowali system ostrzegawczy. Ivar uprzedzał o wizytach Wayne'a. Wtedy ukrywano narkobiznes i wyprawy na Kubę. Po wyjeździe Wayne'a Ekipa Tygrysa antycastroizowała się i narkobiznesowała. Tygrysi Pazur opuszczał miejsce odosobnienia. Kursy do Puerto Rico były potajemne. Czarnuchy z Tonton prowadziły kanał do Port-au-Prince.

Jego rachunek martwych komuchów utknął na dwudziestu czterech. Najazdy na wybrzeże wymagały użycia torped. Tygrysi Pazur podkradał się i wypuszczał pociski na wybrzeże. Zacumowane łódki szły na dno ze spalonymi komuchami na pokładzie. Wyprawy po skalpy bardziej mu odpowiadały. Liczba trupów była niższa, co dawało wysoki współczynnik koszmarów. Wszystkie wypadki wykańczały nerwy. Wzmacniał się ziołami voodoo. Żabojad i Kubańczycy niczego nie podejrzewali.

*La poudre zombie* omal go nie zabił. Objawienie dotyczące napadu pochodziło z tego odmiennego stanu. Wierzył, że ten moment powróci, i próbował go wywołać. Większość ziół voodoo mobilizowała mózg i była łagodna. Uległ iluzji. Przemknął do Haiti i zdobył zioła, które miały go ożywić, ale też uspokoić. Działo. Umacniało mu jaja i dzięki temu mógł się udać do Kuby i z powrotem. Ani razu nie wskrzesiło jego objawienia związanego ze sprawą. Pomogło mu na koszmary.

### *KRZESŁO ELEKTRYCZNE. DŁONIE I STOPY. OKO.*

Złe sny trzymały go na nogach. Zapodawał sobie zioła voodoo i szedł podglądać. To go umęczało. Na ogół śnił wizerunek kobiety.

Spodobało mu się voodoo. Nie wierzył w to. I tak jednak przeklął Wayne'a milion razy. Bawił się rytuałem. Wayne był za duży, żeby z nim pogrywać. Voodoo miało moc większą niż on. Ten aspekt do niego trafiał.

Jego życie wypełniała praca. Budowa kasyn posuwała się do przodu. W czterech miejscach urosło dwanaście piętér. Ulewne deszcze spowolniły prace. Niewolnicy umierali z przepracowania i trzeba było ich zastępować. Żabojad i Kubańczycy szefowali załogom. Bandziory z La Bandy pomagały. Ivar Smith ostrzegał ich o wizytach Wayne'a. Żabojad sprowadzał ekipy oszukanych robotników. Wayne przywoził łapówki i gotówkę budowlaną. Crutch trzymał się z dala od niego i rzucał na niego klątwy. Żabojad i Kubańczycy emanowali udawaną niewinnością. Nienawidzili Wayne'a. Wayne wymagał wielkiego cichego przyzwolenia i delikatnego obchodzenia.

### *Krążenie.*

Crutch pracował w Dominikanie i LA. Jego sprawa się rozwidliła: zabójstwo Marii Rodriguez Fontonette i napad na furgonetkę opancerzoną. Celia przylatywała do Santo Domingo i odlatywała. Nie mógł jej wyśledzić. Przetrzęsął jeszcze więcej dokumentów. Obserwował znane kryjówki z listy La Bandy. Śledził czerwonych smarkaczy z listy dysydentów CIA w próżnej nadziei, że ją znają. Daremnie. Jego uwagę odciągały przypadkowe kobiety. Zerknięcia przez okna rozpraszały go na całe dni. Musiał znaleźć Celię. Była jego punktem zaczepienia do Joan.

### *Krążenie.*

Crutch okłamał Żabojada. Zapodał opowieści, jak to Clyde Duber potrzebuje go w LA. Żabojad powiedział, że jasne. Poleciał do LA i tropił. Kilkanaście razy przeczytał archiwum Clyde'a dotyczące napadu, ale nie znalazł nic prócz podstawowych informacji. Zadzwoił do Wells Fargo. Próbował wyśledzić przesyłkę ze szmaragdami i spotkał się z odmową. Wrócił do archiwum Clyde'a. Obsesja Scotty'ego Bennetta na punkcie tej sprawy była szeroko znana. To były stare wieści. Nowe wieści: raporty Scotty'ego były zredukowane.

Ominięcia. Braki. Znał Scotty'ego. Pieprzyli sobie na parkingu najmitów. Scotty pokazywał mu raporty na temat mniej ważnych napadów – zawsze pełne szczegółów. Jego raporty w sprawie 24.02.1964 – w porównaniu z nimi niewielkie.

Próbował wziąć Scotty'ego na spytaki. Wypytywał go bardzo, bardzo delikatnie, ale Scotty pary z pyska nie puścił. Nie powiedział Scotty'emu, że zakładał podsłuchy u Marsha Bowena. Scotty we właściwym czasie spuści łomot Bowenowi.

Krążyły plotki: Bowen zakablował czarnucha o imieniu Jomo za jakieś napady na sklepy monopolowe. Jomo skończył ze sobą w areszcie. Scotty powiedział Crutchowi, że to on rozpuścił te plotki. Pewniak: pedalskiej dupy Bowena nic nie uratuje.

### *Krążenie.*

Wyspa była Strefą Zombie. LA było strefą bezpieczną. Zajechał na parking najmitów i przywiózł piwo i pizzę. Pojechał do swojego mieszkania w Vivian i do swojego archiwum w centrum. Przeczytał akta w sprawie zaginięcia matki. Dzięki temu zduślił nocne koszmary.

Matka przysłała mu pięć dolców i kartkę bożonarodzeniową. Tym razem z Kansas City. Zniknęła w 1955. Pierwszą kartkę przysłała w tym samym roku. Przysłała kartkę na rok 1969. A teraz był 1970.

Ciągle żyła. Jak Celia i Joan. Jak Dana Lund i wszystkie dziewczęta w oknach Hancock Park. Jego sprawa utknęła. Scotty musiał mieć więcej dokumentów. Dana Lund miała nowe siwe włosy. Na święta wkładała kaszmirowy sweter, który jej kupił.

Siwe pasma Dany wyglądały jak siwe pasma Joan. To wszystko mu, kurwa, wbijało nóż w serce.



**(Las Vegas, Los Angeles, Dominikana, Haiti, 16.05.1969–8.03.1970)**

*Stan snu.*

To był pomysł Bowena. Stanowił jego obecne życie. Był niewymierny. Przypominał mu początek studiów chemicznych. Wyniki niektórych doświadczeń były pewne. A wielu nie. Podejmował większe ryzyko i lepiej się dostrajał do niepewności. Świat istniał poza jego rozumieniem. To spostrzeżenie go prowadziło i pocieszało, od czasu do czasu.

Odloty ziołowe wyjaśniły jego stan snu. Dały mu nieprzewidzianą nadzieję. Przytępiły jego wycucie większego ryzyka.

Lata do Dominikany i wyprawa się do Haiti. Wynajmuje pałkarzy z Tonton, żeby go chronili, kiedy igra chemicznie. Przywozi pieniądze dla Celi i Joan. Mówi Celi, żeby rozdysponowała pieniądze i oszczędziła mu szczegółów. Ona się zobowiązuje, że zostawi w spokoju miejsca budowy. On daje 1 649 000 dolarów. Rezultaty są niewymierne.

*Stan snu.*

Zlikwidował majątek ojca i zrefundował firmę budowlaną Balaguera. W ten sposób pokrył pierwszą improwowaną dziesięć. Wtedy stał się malwersantem.

Chłopcy ufali mu w kwestii szybko rejestrowanej i niekwitowanej gotówki. Wiedzieli, że uwielbia władzę i niewiele się zastanawia nad wynagrodzeniem finansowym. Odciągał odciąganie z hoteli Draka. Przekierowywał płatności z wykupów z ksiąg Teamstera. Fałszował księgi Taxi Tygrys i klubów w południowej części miasta. Szybko prał i suszył fundusze przez Bank Powszechny. Dostarczał miesięczne pobory Balaguerowi i niemal równe fundusze Celi.

Poprosił o rozmowę z Joan. Dotyczyła młodego człowieka, którego kiedyś znała. „Nie ma mowy” – powiedziała Celia i dodała: „Proszę mnie więcej o to nie prosić”. Powstrzymał się od dalszych dociekań. Gonił za Joan i za duchem Reginalda Hazzarda z powrotem do LA.

Dwight nie chciał rozmawiać o Joan. Przez przyjaciela w Policji LA Wayne złożył wniosek o akta. Akta Joan zniknęły z centralnego archiwum. Biuro nie posiadało również akt koleżanki Joan, Karen Sifakis. Wayne był pewien, że to robota Dwighta. Przeszukał krajowy rejestr ludności, ale nie znalazł nic w sprawie żadnej z kobiet. Drugie małe klik klikało mu nieustannie. Wykonał antycenzurową pracę na aktach Joan. Jego pamięć kliknęła i utknęła.

Przeszukiwał południowe LA. Nie mógł znaleźć Joan. Zbudował częściową taśmę czasu Joan–Reginald. Szkoła Wolności – 1962. Wpłacenie kaucji – 1963. Przeszukał akta w Dominikanie. Joan: powiązana z Celią Reyes i wplątana w powstanie dominikańskie. Joan: jedno zdjęcie w aktach. Inwazja 14.06 i młoda kobieta z uniesioną pięścią.

Jesień 1963: Reginald uczy się o haitańskich ziołach i skrajnie lewicowej polityce. Joan jest odstepczym profesorem. To dzikie nauczanie. Powiązanie haitańskie – od wtedy do teraz.

Joan jest blisko związana z SCP. Zbrojmistrz SCP: haitański diabeł wcielony, Leander James Jackson. Brat Jackson walczył na noże ze zmarłym Jomem Clarksonem. Sprowokowali to Wayne i Marsh Bowen. Jackson był podobno kiedyś funkcjonariuszem Tonton Macoute. Wayne próbował znaleźć coś na jego temat w aktach Tonton. Tonton nie prowadziło żadnego archiwum dokumentów.

Kolejne poszukiwania w archiwach, kolejne ślepe zaułki.

Żadnych akt na temat Leandera Jamesa Jacksona. Żadnych akt w archiwum imigracyjnym na temat ludzi z tymi trzema inicjałami. Żadnych ocalałych akt u federalistów ani policji municypalnej.

Jackson: najprawdopodobniej niepowiązany z Reginaldem ani Joan. Zastanowił się, czy przycisnąć Bowena na temat Jacksona, i uznał, że nie. Bowen pewnie by wydał poufne informacje.

*Stan snu.*

Krąży po południowym LA. Szuka ludzi, których tam nie ma. Taxi Tygrys i kluby służą mu za centra informacyjne. Nikt nie znał wtedy Reginalda i nikt nie zna teraz Reginalda. Ręcznie przeszukuje archiwa Policji Los Angeles i Biura Szeryfa. Szuka jednego nazwiska pośród milionów słów.

*Znajdę Reginalda Hazzarda, tak jak znalazłem Wendella Durfee. Przyniosę zmiłowanie, tak jak kiedyś niosłem śmierć.*

Jego sen narzucał przejrzystość. Zdawał się spinać LA i Dominikanę. Hotele-kasyna rosły. To był kontrolowany eksperyment z policzalnymi wynikami. Płacił dziesięcinę rewolucji na spójnie przeciwnej zasadzie. Ivar Smith nadzorował Ekipę Tygrysa. Te skurwiele powstrzymały się od wypadów na Kubę i ucięły narkobiznes. To było policzalne. To stanowiło kontrolowany eksperyment. Odwiedził Ekipę Tygrysa. Napawał się ich nienawiścią i strachem. CZERWONE granice jego wypadów na trasie USA–Karaiby się zamazały.

Chłopcy go uwielbiali. On ich nienawidził i podlizywał się im, i oszukiwał ich. Chłopcy wiedzieli, że jest z czarną kobietą. Siedzieli cicho, bo potrzebowali jego talentów. Spędzał z nimi czas. Oni bratali się z pedalskimi czarnymi bojówkarzami. On przemierzał swoją senną krainę z duchem czasów, powiewając flagą „precz z komunistami”.

Marsh Bowen był na maksa okablowany. Wayne co trzeci dzień sprawdzał stanowisko podsłuchowe. Marsh i jego kumple gadali o rewolucyjnym gównie i gówno robili, żeby rewolucję wywołać. Nie umieli zdobyć heroiny. Połowa z nich nie chciała zdobyć heroiny. Niektórzy mieli lekkie wątpliwości natury moralnej. Większość po prostu się bała. W grudniu gliniarze z LA zabili dwie Pantery. W tym samym miesiącu Pantery postrzelały się z Policją

Los Angeles. Przychodziło im do głowy, że jeszcze nie jest za późno, uszła z nich para, mogło trafić na nas. Uff! Heroina? Brachu, no ja nie wiem.

To frustrowało Dwighta. A cieszyło Wayne'a. Raz palił zioło z Marshem. Znowu omawiali koncept snu. Marsh nie wiedział, że jest podsłuchiwany. Marsh nie wiedział, że Policja LA poluje na jego dupę. Stali na parkingu Taxi Tygrys. Wayne'a naszedł szalony pomysł: *Powiem mu, że zabiłem Martina Luthera Kinga. Ciekawe, co on na to.*

Dwight nie ufał Marshowi. Dwight miał rację – to grający na zwłokę pozer zagubiony w uległym wyrachowaniu. Marsh dwukrotnie wpłacił kaucję za Ezzarda Donnella Jonesa – na posterunku przy Siedemdziesiątej Siódmej i na Uniwersyteckim. Marsh bał się odwetu ze strony FWMM i bicza SCP. Marsh miał w głowie tylko zastój i granie na zwłokę.

Dwight miał w głowie tylko knowanie. Tracił na wadze. Upijał się, żeby ukoić nerwy i zasnąć choć na chwilę. Dwight powiedział, że pan Hoover domaga się rezultatów. „Jakich?” – spytał Wayne. Dwight pokazał dawanie w żyłę.

Ta pantomima była straszna. Wayne dostał dreszczy.

– Synu – powiedział Dwight. – Nie możesz mi się wpierdalać w ten temat.

*Stan snu.*

Nie powiedział Mary Beth o swojej dziesięćcinie. Ona uznałaby to za kradzież. Skrytykowałaby jego poczucie winy. Potępiłaby jego ziołowe odloty. Postrzegłaby jego teorię eksperymentu jako bezmyślny szajs wszech czasów. Jej uraza była oskarżeniem. Przyniosła je do ich łóżka. On przyniósł obraz Joan, dla żaru i pocieszenia. Ona uważa jego poszukiwania jej syna za pretensjonalne i wyrachowane. Nie pojmuje ogromu jego długu.

*Zniknęła.*

Zostawiła go z dziewiętnastoma arkuszami akt i bez listu pożegnalnego. Na poduszce zostawiła ślad szminki.

Na kartkach znajdowały się doniesienia wyciągnięte z SCP. Joan wskazała sześć zespołów rabunkowych, dwie bandy od porwań i jedenastu lewaków wysyłających przesyłki pocztowe z materiałami wybuchowymi. Dwight przypisał tę robotę Marshowi Bowenowi. Dawała więcej czasu nierobowi, a on miał coś, żeby wzbudzić zachwyty pana Hoovera. Stara ciota osobiście wydała federalnym rozkaz rozpoczęcia akcji.

Krótki powrót do formy, a potem kolejny spadek:

– Dwight, te ogonochwytne mały muszą sprzedawać heroinę. Obawiam się, że nie osiągną tego za mojego gasnącego życia.

Koił starą ciotę. Stara ciota odpowiadała codziennym gradem teleksów. Rasistowskie rymowanki i nienawistne komiksy wysyłane pocztą służbową FBI.

Pat Nixon daje po kolei Archiemu Bellowi i wszystkim Drellom. Spadek formy coraz bardziej groził załamaniem.

Zostawił to. Próbował znaleźć Joan.

Telefony, akta – nic. Delikatne wypytywanie Karen – nic. Wayne trafił na trop tej Szkoły Wolności. Dowodziło to, że Joan i Karen go okłamały. Wayne ocenzurował akta Joan. Powiedział Dwightowi, że mały klik wciąż mu umyka. Dwight wiedział, co to jest. Wayne odczytał jedno zatarte imię i nazwisko – Thomas Frank Narduno. Ten człowiek znał Joan. Byli towarzyszami. Banda Dwighta i Wayne’a zabiła Narduna w Grapevine Tavern. Tu rodziły się największe pytania ich życia:

Czego ona chce? Co ona wie? Dlaczego ją dopuściliśmy?

Dwight szukał odcisków palców w mieszkaniach w Eagle Rock i w Altadenie. Nie znalazł żadnych odcisków, wpisów z dziennika ani broni pod poduszką.

*Zniknęła.*

Nerwy miał przeciążone. Wpatrywał się w ściany swojej dziupli, a czas sobie płynął. Wziął więcej tabletek i więcej wódki i spał niewspółmiernie gorzej.

Pustkę po Joan wypełniał przy pomocy Karen. Joan dała mu dziewiętnaście donosów. Karen dostała od niego korzyść na tradycyjnej zasadzie coś za coś. Wyciągnął z aresztu rekordową liczbę jej przyjaciół. Karen zrobiła więcej kwakierskiej zadymy niż kiedykolwiek wcześniej.

Miał koszmary z doktorem Kingiem. Karen następnego dnia dostała pozwolenie na wysadzenie pomnika. On ciągle myśli o Silver Hill. Lekarze powiedzieli, żeby nie myślał. Wpatrywał się w ściany, a i tak myślał.

*Zniknęła.*

Miał więcej czasu, żeby myśleć, żeby patrzeć na ściany i czekać, aż do niego przemówią. OPERACJA BARDZO ZŁY BRAT zapadła w duchową śpiączkę. Bracia z SCP i FWMM szybko tracili zapał. 18 października 1969. Pantery organizują zasadzkę na gliniarzy LA. Jeden gliniarz jest ranny, jedna Pantera jest ranna, jedna Pantera nie żyje.

8 grudnia 1969. Wielka strzelanina pomiędzy glinami a Panterami w siedzibie Panter. Ranni, żadnych ofiar śmiertelnych. Odwet Policji LA? – prawdopodobnie. Najpewniej zrealizowany przez Scotty’ego B.

Marsh Bowen był bezużyteczny. Podśluch był bezużyteczny. Podstawy rewolucji dla opornych. Przyszło mu do głowy coś nowego na temat Marsha – skurwiel miał własny plan. Skurwiel się czaił. Powinien był wymyślić coś więcej ze sprawy Joma.

Scotty mu ciążył. Scotty miał swój plan. Scotty nastawił Policję LA, żeby wyłączyć Marsha. Scotty rozpuścił wici: żadnych odwetów na Marshu. On zakablował Joma, nie obchodzi mnie, nie zaczynać z nim albo ja zacznę z wami.

Pokój przesłuchań, ciosy pałką, przesłuchanie. *Po co te pytania o napad na opancerzoną furgonetkę?*

*Podejrzenie.*

To nie dawało spać nocami starzejącym się glinom. Fragmenty ich mózgu się sączyły. Widzieli gówno, którego nie było, a umykało im gówno rzeczywiste. Rozmawiał przez telefon z prezydentem Nixonem i panem Hooverem. Prezydent Nixon bał się tajnego archiwum pana Hoovera. Pan Hoover bał się miękkiego nastawienia prezydenta Nixona do czarnych bojówek i komuchów. Pan Hoover miał obsesję na punkcie czarnej dziewczyny Wayne’a i bał się, że czarnobójca Wayne przeszedł na czerwoną stronę. Nixon wysłał Dwighta na zwiad do Dominikany. Chciał, żeby Dwight kupił Krasnoludka. Chciał mieć pewność, że jego interes z mafią nie wróci do niego jak bumerang. Dwight poleciał do Santo Domingo. Budowa kasyn przyspieszała. Krasnoludek wydał porządny lunch. La Banda dawała porządny wycisk. Zadzwoił do prezia i powiedział, że Dominikana sprawia wrażenie koszernej.

*Podejrzenie.*

Zadzwoił do pana Hoovera i złożył raport z podróży. Pan Hoover był *podejrzliwy*.

– Dwight, czy Nixon mówił coś o mnie?

– Nie, proszę pana. Nic nie mówił.

Pan Hoover był przerażony i czuł ulgę. Opowiedział czternastominutowy (!) żart o doktorze Kingu i Lassie. Opowiedział szesnastominutowy (!) żart o prezium i Liberace’em.

*Podejrzenie.*

W Santo Domingo miał czas przestoju. Zadawał się z Ekipą Tygrysa i czuł smród. Jego przeczucie: szmuglowali heroinę za plecami Wayne'a. Nie powiedział Wayne'owi. Po co krzewić chaos?

Dominikana wydawała się odrażająca. LA wydawało się z kolei dobre.

*Zniknęła.*

W zeszłym tygodniu miał urodziny. Skończył pięćdziesiąt dwa lata. Prezio zadzwonił i zażądał ponownej podróży do Dominikany. Karen postawiła mu obiad w Perino's. Pocztą dostał zwykłą białą kopertę.

Przysła na adres skrzyńki. Na maszynie wypisano jego nazwisko i adres. Brak adresu zwrotnego.

Otworzył kopertę. W środku: mała czerwona chorągiewka na patyku.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 8.03.1970. Fragment ukrytego dziennika Karen Sifakis.

Los Angeles, 8.03.1970

Moje córki bawią się w pokoju obok. Czteroletnia Dina patrzy, jak piętnastomiesięczna Eleanora trzyma się na wielkiej piłce plażowej i uczy się chodzić. Za chwilę stanie się zazdrosna o szybkie postępy Elli i zepchnie ją na podłogę. Ella będzie płakać, wstanie i pójdzie dalej. To trzeci czy czwarty raz. Za pierwszym razem skarciłam Dinę. Ona wini Dwighta za swoje poczynania. Podśluchała, jak Dwight mówi do mnie, że Ella szybko staje się dominującą dziewczynką i że lepiej, by Dina wymyśliła jakąś zemstę, póki jeszcze może.

Powinnam skarcić Dwighta za taką wypowiedź. Wygłosił te słowa kilka miesięcy temu i teraz już za późno. Przeglądam kartki pamiętnika z zeszłego roku i czuję, jak zupełnie niepowiązane wydarzenia stają się spójne. Dwight pozwalał mi na coraz większą swobodę w moich poczynaniach politycznych i wyciągał z aresztu moich przyjaciół zatrzymanych z powodów politycznych w tempie równomiernie przyspieszającym. Po zestawieniu dat wszystko staje się oczywiste: wyjątkowa szczodrość Dwighta zaczyna się w chwili, gdy powiedział mi, że Joan zniknęła.

Oczywiście są kochankami. Oczywiście nie mogłam powiedzieć Dwightowi, że jej zniknięcia są doskonale ustalone, ponieważ okłamałam go co do rozległości mojej przyjaźni z Joan. Kilka miesięcy temu Dwight spytał mnie o Joan i o Szkołę Wolności na USC. Oczywiście skłamałam. Oczywiście Dwight wiedział, że kłamię. Jesteśmy ze sobą związani zbyt głęboko, by karcić się nawzajem czy w jakikolwiek inny sposób korygować zasady dwulicowej, lichwiarskiej i skategoryzowanej harmonii. Co dziwne, chyba aprobuję to, że Dwight i Joan są kochankami. Kocham Dwighta bardziej niż kiedykolwiek, ponieważ Joan wzbudziła w nim wątpliwości. Dwight powoli eroduje. Modłę się, by ten proces się poszerzył i zmienił go delikatnie, a nie wpędził go w żal i szaleństwo. Bardzo prawdziwy strach

towarzyszy temu zanoszeniu modłów. Pełniej zdaję sobie sprawę, że Joan wmanewrowała mnie w znajomość z Dwightem. W jakim celu? Muszę objąć modlitwą wszystkie inne osoby, które zamieszkują ich piekielnie upartą orbitę.

Jadłam z Joan lunch krótko przed jej wyjazdem. Napomknęła coś o tropikalnym celu podróży i powiedziała, że zostawiła Dwightowi trochę papierkowej roboty. Powiedziała, że ma nadzieję, że się uda, nie tak jak w 1951, 56 i 61. Nie poprosiłam Joan o rozbudowanie wypowiedzi. Wspomniałam o Dwighcie i jego opłatach pokutnych i napomknęłam o jego osobistej katastrofie w 1957 roku. Joan przyznała, że zna tę historię, ale nie chciała powiedzieć skąd. I w tym momencie zrozumiałam, że Joan kocha Dwighta bez tych wszystkich politycznych planów.

Płakałam trochę. Joan uściskała mnie i dała mi piękny szmaragd.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 8.03.1970. Fragment dziennika Marshalla E. Bowena.

Los Angeles, 8.03.1970

Czas strachu.

Teraz jest czas strachu i przez jakiś czas jeszcze będzie. Boję się od tak dawna, że stało się to niemal banalne. Teraz jestem hiperskupiony na sygnałach paniki wysyłanych przez moje ciało. Miesiące strachu ogólnego uczyniły mnie bardziej wrażliwym na strach konkretny i uzasadniony. Z chwili na chwilę trwam i zyskuję przewagę.

Anonimowy informator pozwolił mi zyskać trochę czasu u pana Hoovera i pana Holly'ego. Dziewiętastodonosowy pakiet przypisano mnie. Pan Holly w ten sposób zyskał na czasie u pana Hoovera, jestem pewien. Potwierdziła się w ten sposób zasadność operacji OPERACJI BARDZO ZŁY BRAT, a ja zyskałem czas na zbadanie tropów w sprawie napadów na furgonetkę opancerzoną. Z czasem FWMM przestał się mną interesować. Członkowie FWMM widzą mnie w klubach, samego albo z braćmi z SCP. Odwracają wzrok, spluwają na podłogę albo wykonują obsceniczne gesty. Dochodzi do poszturchiwań, kiedy obie grupy dobierają sobie przestrzeń na marsze pokojowe. W tych sytuacjach jestem raczej pełen obaw niż przerażony. Monitoruję swoje ciało, wyczekując oznak paniki, i zdaję sobie sprawę, że zyskałem na czasie.

Czas mnie wyzwala i ogranicza. Przyjaciel z Policji LA doniósł mi, że Policja LA potajemnie zwolniła mnie z pracy. Pan Holly i Wayne najwyraźniej wiedzieli o tym i nie powiedzieli mi. W ten sposób jestem tajnym agentem FBI i nie mam poparcia policji ani zapewnionej posady stróża prawa, kiedy już moje zadanie dobiegnie końca. W zeszłym tygodniu znalazłem podsłuchy w swoim mieszkaniu. Zachowałem się roztropnie: zostawiłem je w spokoju. Muszą stać za tym Wayne i pan Holly. Nie ufają mi. Ich nieufność jest w pełni uzasadniona. Jestem bardzo ostrożny, uważam, z kim rozmawiam w domu i o czym

rozmawiam, osobiście czy przez telefon. Odkrycie instalacji podsłuchowych usprawiedliwia moją paranoję i utwierdza mnie w roli odszczepieńczego czarnego bojówkarza o gliniarskiej przeszłości. Przyjąłem tę rolę w chwili, gdy wynająłem to mieszkanie, i od tego czasu z każdym momentem ją ubarwiam z coraz większym talentem. Ludzie z Tą Skłonnością muszą być ostrożni. Zachowuję się, jakbym nie miał tej orientacji, i robię tak, odkąd Wayne poczynił uwagę o „pedale”. W głębi serca czuję się jak zradykalizowany eksglina, rozważając jego opcje na wszystkich płaszczyznach. Moje aktorskie wyczucie czasu i tożsamości okazuje się tu nieocenione.

Wayne i ja kilka razy jaraliśmy trawę. Omawialiśmy dziwnie różne i dziwnie podobne metafizyczne stany życia jego i mojego. Pod wieloma względami była to najbardziej czarująca rozmowa mojego życia.

Czas jest dla mnie hojny. Prawdopodobnie nic mi nie grozi ze strony getta, bo Scotty Bennett chce, żeby nic mi nie groziło ze strony getta. Getto mianowicie wie, że mogę być policyjnym informatorem. To długofalowa zemsta Scotty’ego, jestem tego pewien. Niepokojące jest to, że nie widzę przed sobą mściwej puenty ani zakończenia. Pod koniec ubiegłego roku Scotty znacznie umocnił swój status legendy getta. Przy okazji zadał poważny cios czarnemu nacjonalizmowi Los Angeles i kupił mi trochę czasu w kwestii zdobywania heroiny. W październiku i grudniu doszło do bijatyki pomiędzy Panterami a glinami. Oba incydenty szerokim echem odbiły się w mediach. Teraz zniknęło dwanaście Panter, z czego połowa przypadkiem. Scotty spełnił swoją obietnicę z sierpnia 1968. Represje, straszaki, odwet – to wszystko się rozegrało i zapewniło mi dodatkowy czas. Ostateczny rezultat? Większa konsternacja SCP, strach i niezdecydowanie. Rosnące pojęcie, że heroina to zagrożenie, którego nie potrzebujemy. Mam poczucie, że FWMM reaguje podobnie. I tu miła niespodzianka: coraz więcej szeregowych braci uważa, że handel heroiną jest zły.

Z ofiarowanymi mi darami czasu przyspieszam poszukiwania na temat napadu. Musiałem milion razy powiedzieć: „Ej, gościu, pamiętasz ten napad na furgonetkę w sześćdziesiątym czwartym?”, i otrzymać milion osłupiałych spojrzeń i gównianych odpowiedzi. Tyleż razy wspomniałem Reginalda Hazzarda i opisałem jego dalekie podobieństwo do bandyty ze spaloną twarzą, z podobnym rezultatem. Następnie zaskoczyły dwie rzeczy, niezależnie od siebie.

Prowadziłem rutynową rozmowę kontaktową z panem Hollym. Ot tak, wspomniał, że Scotty brutalnie przesłuchiwał Joma Clarksona. Scotty zadał Jomowi wiele wyraźnie bez związku pytań dotyczących napadu. Panu Holly’emu wydało się to dziwne.

Nękało mnie to tygodniami. Ach, Scotty – co wiesz i czego nam nie mówisz? Niedługo potem dwukrotnie wpłacałem kaucję za Ezzarda Jonesa. Za pierwszym razem za jazdę po pijaku. Wyciągnąłem Ezzarda z posterunku na Siedemdziesiątej Siódmej. Tydzień później



Ezza zgarnięto za zakłócanie spokoju w stanie nietrzeźwym. Wypełniałem dokumenty na posterunku Uniwersyteckim, na chwilę zostałem sam i wykorzystałem to.

Zajrzałem do szafki z nierozwiązanymi napadami z bronią i znalazłem formularz rejestrowy w sprawie napadu. Zapamiętałem wydziałowy numer sprawy, zadzwoniłem do centralnego archiwum i udawałem glinę. Urzędniczka sprawdziła w archiwum głównym i wróciła do telefonu.

– Przykro mi. Nie ma sprawy o takim numerze.

I wtedy zrozumiałem:

Scotty miał prywatny schowek z archiwum. Powyciągał akta ze wszystkich wydziałów Policji Los Angeles i trzymał informacje dla siebie.

Jestem tego pewien. Nie ma innego wyjaśnienia.

Ulewny deszcz opóźniał pracę. Trzynastopiętrowy szkielet się włókł. Wszystkie cztery budowy wypadły z harmonogramu. Kilku niewolników uciekło.

La Banda zareagowała. Przeczesał ekipę i losowo wybrali paru na tortury. Świsty bata i krzyki niewolników w deszczu.

Crutch był świadkiem. Właśnie ustał deszcz monsunowy. Ziemię pokrywało błoto po kostki. Na budowie leżało pełno przemoczonego drewna i wyposażenia. Same miazmaty i łajno.

Facet z La Bandy używał bicz z chwostem na końcu. Małe kulki dostarczały dodatkowego bólu. Crutch nawalił się ziołami voodoo. Dzięki temu nie zwracał uwagi na brzydkie gówno.

Niewolnik był przywiązany do buldożera. Jego wrzaski odbijały się echem. Echa smagnięć bicz nachodziły na siebie.

Facet z biczem był niezły. Kulki przecinały ciało do żeber. Pozostali niewolnicy patrzyli. Crutch zamknął oczy.

Niewolnik padł na ziemię. Facet z La Bandy spryskał mu rany sprayem na robaki, żeby go jeszcze bardziej bolało i żeby zdezynfekować. Niewolnik jadł błoto. Stłumiło jego krzyki.

Zatrąbił klakson. Crutch się obejrzał. Żabojad miał nowego cadillaca 1959. Miał paski zgodne z wymogami obowiązującej mody. Żabojad mówił o nim Tygrysowóz.

W środku siedzieli Kubańczycy z thompsonami. Canestel wskazał na północ – do Zatoki Tygrysa.

Crutch miał mdłości. Tygrysowóz pędził terenowymi drogami na miękkim zawieszaniu. Siedział wciśnięty między Moralesa a Saldívarą. Czaszka mu pękała. Ciągłe zerkał we wsteczne lusterko. Miał poczucie, że ktoś ich śledzi. Nie umiał tego uzasadnić. Pies gończy na moim tropie.

O zmierzchu dotarli do Zatoki Tygrysa. Tygrysi Pazur czekał w gotowości. Sztorm ustał. Po wzburzonym resztkami sił morzu płynęli na wschód. Północny brzeg i cieśnina Mona – jeden wielki bałwan. Wcześniej dotarli do Point Higuero. Dla zabicia czasu palili trawę. Portorykańskie latynosy już im ufały. Żabojad mówił o nich *Compañeros* Tygrysa.

Crutch usłyszał ruch na brzegu. Latynosy wyskoczyły z krzaków. Wrzuciły walizę z herą na pokład. Gómez-Sloan rzucił im walizę z gotówką. Prędziutka i przyjazna wymiana.

Ekipa odcumowała Pazur i odpłynęła, obierając kurs na swoją zatoczkę. Bałwany nimi rzucały. Crutch odpalił torpedę tak dla jaj. Uderzyła w zasrany atol i wybuchła.

Zacumowali i zasłonili Tygrysi Pazur siatką maskującą. Ruszyli Tygrysowozem z powrotem do Santo Domingo. Crutch odsypiał odlot. Moskity wlatywały mu do ust i budziły go niekiedy.

Świtało. Ekipa wysiadła pod El Embajador. Żabojad kazał Crutchowi przechować walizkę. Tontonowcy mieli ją następnego dnia przerzucić do Port-au-Prince. Crutch ziewnął i pojechał windą do swojego apartamentu.

Otworzył drzwi. Znowu poczuł to coś. Poczuł też dym z papierosa. Zobaczył żarzący się koniuszek.

Włączyło się światło. Na kanapie siedział Dwight Holly. Na stoliku leżało jakieś gównno.

Farba w puszcze i pędzel. Strzykawka i ampułka z morfiną.

Crutch zatrzasnął drzwi i upuścił walizkę. Dwight wyciągnął scyzoryk.

– Ile masz?

– Trzy funty.

– Styknie.

W ustach mu zaschło. Pęcherz się napełnił. Ściany się zakołysały.

– Ściągaj koszulę – polecił Dwight.

– Nie możesz...

– Nie będę tego powtarzał. Ty ścigaszasz koszulę, ja biorę walizkę. Nie będę cię zatrzymywał, jeśli pobiegiesz do drzwi. Jeśli to zrobisz, zadzwonię do Wayne'a i zakabluję wasz narkobiznes.

Crutch ściągnął koszulę. Jego zwieracz niemal pękł. Dwight otworzył puszkę i zanurzył pędzel. Farba była jasnoczerwona.

Podchodził do ścian i ściągał obrazy. Namalował „14.06” nad kanapą. Zanurzył pędzel w puszcze. Namalował „14.06!!!” nad barkiem. Zanurzył pędzel w farbie. Namalował „Śmierć jankeskim dilerom” przy drzwiach.

Crutch modlił się i starał się nie płakać. Dwight otworzył ampułkę i napełnił strzykawkę. Crutch wyciągnął ramię. Dwight zacisnął mu biceps i nadał żyłę.

Crutch ścisnął swój medalik ze Świętym Krzysztofem. Zerwał mu się z szyi. Dwight wbił się w żyłę i załadował mu.

Odpłynął. Pęcherz mu eksplodował. Nie szkodzi. Oczy się wywróciły.

Dwight odpalił zapalniczkę i rozgrzał nóż. Crutch oparł dłonie na drzwiach. Dwight wyciął mu „14.06” na plecach.

Wayne połączył ramki. Jego wykres ścienny zakrawał na dzieło op-artu. Ramki i strzałki pod dziwnymi kątami.

Ramki i strzałki. Od Reginalda do Joan i od Joan do haitańskiego zielarza.

Ramki, strzałki i kopie dokumentów w kartonach – z Policji LA i z Biura Szeryfa. Uzyskał je jego kontakt w Policji Las Vegas. Nazwijmy to strzałem w ciemno. Raporty ze zdarzenia, raporty z rozpoznania w terenie. Gliniarze LA rutynowo brali na spytki czarne dzieciaki. Mogło się tam pojawić nazwisko Reginalda.

Wayne zerknął na zegarek. Miał góra godzinę. Torby już spakował. A do nich odciągniętą gotówkę dla Celi. Zabukował sobie nocny lot do Dominikany.

Strzałki i ramki. Od „Książek z biblioteki” do „Kaucja”. Nowa ramka: „Leander James Jackson/SCP/Tonton Macoute”.

Skrzypnęły drzwi na korytarz. Usłyszał w salonie Mary Beth. Jej klucze zadzwoniły. Rzuciła torby na krzesło. Dyszała, jakby była wściekła.

Wpatrywał się w wykres. Zamknął torbę i przypiął kajdanki. Odhaczył „Leandera Jamesa Jacksona”.

– Chcę, żebyś z tym wszystkim skończył.

Wayne się obejrzał. Mary Beth patrzyła na torbę.

– Nie chcę, żebyś znalazł mojego syna. On nie chce być znaleziony. Jeśli żyje, podjął taką decyzję z własnej woli, a ja nie będę go hańbić, wymuszając spotkanie.

Wayne wcisnął ręce do kieszeni. Od resztek voodooziół miał rozbiegane oczy.

Mary Beth przysunęła się bliżej.

– Cokolwiek zrobiłeś w przeszłości, wybaczę ci. Cokolwiek robisz teraz, wybaczę ci. Wybaczę ci, że mi nie ufasz, bo ty nie chcesz wybaczenia, ty chcesz tylko tworzyć więcej ryzyka i intryg, żeby zapewnić sobie większą karę.

Wayne wbił pięść w ścianę. Wgniół listwę, kłykcie mu krwawiły, stłukło się szkiełko zegarka.

– Kogo skrzywdziłeś?! – spytała Mary Beth. – Co zrobiłeś?!

Poszedł do kryjówki. Santo Domingo wyglądało inaczej. Wizyta była spontaniczna. Nie zadzwonił do Ivara Smitha ani do Chłopców. Chciał po prostu zobaczyć.

Skojarzyło mu się z szerokoekranowym hi-fi. Zwykle jechał limuzyną. Zapewniała mu niewytrzeszcz oczu i mniej dźwięku. Teraz miał gównno. Ścieki cuchnęły, hałas sięgał szczytu, gliny atakowały.

Zimowa gorączka/nocna lepkość. Wayne miał sportowy płaszcz na kajdankach. Adres – Borojol. W okolicy same bary go-go i tanie hotele. Haitańscy sprzedawcy oferowali lody z klerinem.

Wayne znalazł adres: różowa kostka w bok od głównej ulicy. Wolna ręka bolała od ciosu w ścianę. Postukał bransoletą w drzwi. Otworzyła Celia.

Miała na sobie czarną bluzę. Za nią zobaczył pełno koi i stojaków z kroplówkami. Czterech chłopców i dwie dziewczyny ze szwami na głowie. Rany od pałek z drutem kolczastym – Wayne widział, że z ran coś się sączy.

Zobaczył lekarza, którego poznał w zeszłym roku. Dwie pielęgniarki podmieniały baseny. Jeden chłopak miał amputowaną nogę. Jedna dziewczyna miała bruzdę po kuli do kości policzkowej.

Tylnie okno wychodziło na zaułek. Wayne zobaczył na zewnątrz Joan, paliła papierosa. Z cholewy buta wystawały jej skalpele.

Celia wskazała torbę. Wayne ją otworzył. Ręka mu pulsowała. Celia wyjęła pieniądze.

– Ile?

– Sto czterdzieści osiem.

– Rozmawiałam z Samem. Mówił, że Balaguer zgodził się na kolejne cztery kasyna. Będą musieli spalić albo zalać haitańskie wioski, żeby rozpocząć budowę.

Wayne zamknął oczy. Zmysły mu się przeładowały. Poczuł zgniliznę tkanek w pomieszczeniu.

Otworzył oczy. Celia z powrotem spakowała torbę i wsunęła ją pod pryczę. Chłopak krzyczał po hiszpańsku. Dziewczyna jęczała po kreolsku. Joan odwróciła się i zobaczyła go. Wayne ominął pryczę i wyszedł do niej.

Włosy miała związane. Okulary przekrzywione. Miała drobne szorstkie dłonie.

– Przywiozłeś datek?

– Tak, ale nie tyle, co ostatnim razem.

– Ufam, że będzie też następny raz.

– Będzie.

Joan zapaliła papierosa. Paznokcie miała pokryte zakrzepłą krwią.

– Jak prawdziwe to wszystko jest dla ciebie?

– Powiedz mi, co o mnie wiesz. Powiedz mi skąd.

– Nie powiem.

Gdzieś padł strzał. Pościg.

– Lekarz powinien obejrzeć twoją lewą rękę – powiedziała Joan.

Wayne pokręcił głową.

– Próbowałem odnaleźć cię w LA.

– Tak.

– Nie tylko ja.

– Jak zajdzie taka konieczność, znajdę człowieka, o którym mówimy.

Pościg. I jeszcze dwa. Pościg w drugim kierunku.

– Parę rzeczy mogłabyś mi powiedzieć.

– Ani myślę.

Pościg przemknął.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

Wayne zacisnął rękę.

– Na niektórych ludzi czeka się całe życie. Wysyłają cię w miejsce, w które tylko głupiec by się nie udał.

Joan sięgnęła do kieszeni. Wayne zauważył drzenie. Wyciągnęła małą czerwoną chorągiewkę na patyczku.

– Załatw mi tłumik do rewolwera magnum trzysta pięćdziesiąt siedem.

Budowy w Santo Domingo znajdowały się z dala od ulicy, każdej pilnował jeden człowiek. Strażnicy go znali. Robotnicy spali w namiotach trzydzieści metrów dalej. Szopy z materiałami wybuchowymi stykały się z rozporami fundamentów. Wewnątrz dynamit, C-4, nitrogliceryna. Sama łatwopalność.

Teren dokoła był nasiąknięty od deszczu. Brygadziści z poszczególnych budów porozumiewali się przez automaty telefoniczne. Namoczy ścisły syntetyczny przewód i osłoni go plastikiem. Doprowadzi powietrze do płomieni. Okabluje telefony, zadzwoni i będzie się modlił o zapłon.

Poza miastem będzie trudniej. Tamte budowy były oddalone o sześćdziesiąt mil. To mogło oznaczać manewr z rzucaniem bomb.

Wayne znalazł całodobowy sklep z częściami samochodowymi. Kupił narzędzia i dwa fotele samochodowe z akrylowym wypełnieniem. Nabył gruby plastikowy wąż w sklepie narzędziowym i wrócił do hotelu.

Pociął fotele, żeby pozyskać włókna i nasączył je benzyną. Odmierzył w głowie. Pociął wąż na odcinki o zbliżonej długości. Przedziurawił je i stworzył wąż ogniowy. Budki telefoniczne stały na piasku. Poprowadzenie kabli powinno być łatwe. Prąd w telefonie może wystarczyć do zapłonu, a może nie wystarczyć.

Chłopak dostarczył tłumik. Wayne pracował całą noc. Zamienił swój apartament w warsztat. Zadzwonił do recepcji i wynajął samochód na następną noc. Zasnął z pomocą voodooziół i spał cały dzień.

Sny miał w zasadzie spokojne. Doktor King wygłaszał w nich kazania i się śmiał.

Wstał i zmusił się do jedzenia. Zapakował wynajętego chevy'ego i pojechał na pierwszą budowę. Ręka go nie bolała. Nie słyszał dźwięków z zewnątrz ani nie czuł stóp na pedałach. W głowie miał ciszę i spokój.

23.26.

Zaparkował po drugiej stronie ulicy. Strażnik przechadzał się, pałac. Namiot niewolników był ciemny.

Wayne przypiął do paska nożyce blacharskie. Strażnik podszedł do bramy i zbliżył się zaciekawiony. Wayne opuścił szybę i zawołał *Hola*. Strażnik rozpoznał go i otworzył bramę.

Wayne wysiadł i podszedł. Strażnik zrobił tę taką sztuczkę *Ty el jefe*. Wayne wskazał na księżyc. Strażnik odwrócił się tyłem. Wayne przyłożył mu magnum do głowy i strzelił.

Tłumik zdał egzamin. Kula o miękkim czubku przeszła i się rozpadła. Strażnik padł trupem, nie wydając ostatniego tchnienia.

Wayne poszedł do samochodu i wyjął instalację. Wrócił i rękoma wykopał w piasku rowek. Odpiął klucze od paska strażnika i otworzył szopę z materiałami wybuchowymi. Odkręcił tylną ściankę budki, rozplótł przewody i przypiął je do końca rury.

Szesnaście minut.

Rozwinął instalację. Wypełnił nią rowek, od telefonu do szopy. Pobiegł do namiotu niewolników i włączył światło przy wejściu.

Niewolnicy się zawiercili. Byli spięci, prycza przy pryczy. Większość była czarna, niektórzy jaśni, większość wyglądała na Haitańczyków. Wpatrywali się w niego. Zobaczyli rewolwer u jego pasa i przyklękli. Wayne wyciągnął nożyce do blachy. Oni zaczęli krzyczeć. Wayne chwycił pierwszego z brzegu i uwolnił mu nadgarstki.

Mężczyzna tylko na niego patrzył. Wayne się odsunął. Mężczyzna podskoczył i pomachał uwolnionymi rękami. Pozostali patrzyli na Wayne'a, aż pojęli.

Wszyscy naraz podnieśli ręce. Kajdany ich łączyły. Wayne szedł od jednego do drugiego i uwalniał ich. Dopadli go i podnieśli w górę. Kiedy biegli, zapamiętywał ich twarze.

Do drugiej budowy miał dwie mile. Brama nie była zamknięta. Strażnik chrapał w śpiworze przy telefonie. Wayne strzelił mu w głowę i wyciągnął narzędzia.

Ziemia była miękka, rów prawie sam się wykopał, robota szybko poszła.

Namiot niewolników zrobiono z niemal przezroczystej gazy. Był przemoczony i pochłaniał ciepło. Opiekały go cztery palące się całą noc latarnie.

Niewolnicy nie spali. Ich prycze były przesiąknięte potem i przemoczone. Zobaczyli Wayne'a i leżeli nieruchomo. Pomruki przybrały na sile, aż zamieniły się niemal w krzyki. Wayne szedł od pryczy do pryczy. Pierwszy niewolnik odsunął ręce. Wayne chwycił go za nadgarstki i przeciął łańcuch. Pozostali skumali. Wyciągali ku niemu nadgarstki.

Wayne przesuwał się od jednego do drugiego. Wstawali powoli. Zataczali się i utykali. Nikt nie patrzył na Wayne'a. Jeden go povoodoobłogosławił. Dwóch przedarło się przez gazę

i uciekło.

Wayne się im przyglądał. Pobiegli do małej szopy, kopniakami i naporem ramion wyrwali drzwi z zawiasów. Wynieśli ze środka strzelby i steny.

Autopista biegła prosto na północ. Potrzebował punktu widokowego. Wyniesionego i nie za daleko.

W Reporado zobaczył stację benzynową. Widok na góry w dole. Budka telefoniczna. Wielki nocny pejzaż.

Rozmowy nie będą zamiejskowe. Żadnego łączenia przez operatora. Mogło zadziałać, a mogło nie zadziałać.

Wayne wrzucił dwie monety i wybrał numer pierwszej budowy. Odczekał szesnaście sygnałów i nic. Siedemnasty odbił się echem i wywołał różowy blask. Osiemnasty zarzucił niebo czerwoną płachtą.

Wrzucił monety i wybrał drugi numer. Płomienie buchnęły po drugim sygnale. Połączyły się czerwone plamy.

Budowy na prowincji stanowiły dla niego problem. Telefony i szopy były źle rozmieszczone. Namioty niewolników stykały się z fundamentami. To oznaczało ofiary.

Krasnoludek już wiedział. La Banda wiedziała. Budowy na wsi zostaną szybko zasilone wsparciem.

Wayne zaparkował w zaroślach pod Jarabacoą. Zjadł zioła i zmusił się do niemyślenia. Trzy gałęzie podniosły jego samochód. Zobaczył miliony gwiazd. Konstelacje przesuwały się pod jego palcami. Słyszał odgłosy, które mogły być wystrzałami, a mogły być bębniami.

Z nieba spadły monety. Otworzył usta i smakował je. Dzwoniły sygnały łączenia i rozbłyskały pokazy świateł. Kolory ukołysały go w jakieś bezpieczne miejsce.

Obudziło go słońce. Uderzył go blask zza przedniej szyby. Wzrok miał zamglony. Zobaczył płomienie i poczuł dym.

Uruchomił samochód i ruszył bocznymi drogami. Minął wóz strażacki i dwa radiowozy Policia Nacional. Płomienie strzeliły ponad drzewa. Zobaczył, że budowa w Jarabacoi płonie.

*Chcę zobaczyć więcej...*

Zatrzymał samochód. Wysiadł i stanął na dachu. Zobaczył dwóch strażników z budowy zwisających z konarów drzew. Zobaczył „14.06” wypisane na fundamentach i porzuconego stena.

*Chcę jeszcze...*

Doskoczył do konara i wspiął się na wierzchołek drzewa. Świat się rozrósł. Gdzieś blisko wirowały liście. Zobaczył jasnoskórego dzieciaka i czarnego mężczyznę biegnących z bronią.

*Jeszcze...*



Spojrzał na południe. Świat zrobił się jeszcze większy. Dokonał spontanicznych obliczeń. Spadły monety. Niebo wybuchło tam, gdzie powinna być następna budowa.

Maruderzy wyszli z Sułtana Sama. Sambo zamknął. Dwight przysiadł na tylnym parkingu.

W środku pulsowała afromuza. Glinowóz krążył po Central. Maruderzy kwik-kwiknęli. Parking o drugiej nad ranem. Spóźniała się osiem minut.

Muzyka zredukowała bieg do bebopu. Dwight położył szajs na walizce. Przeniósł szajs przez kontrolę.

Zadzwoił jego kontakt z Białego Domu. Nixon był podniecony, prawie wkurwiony. Jakies komuchy dokonały sabotażu na budowach. La Banda typowała Ruch 14 czerwca.

Dupek się w to wpasował z wyprzedzeniem. Dwight go pociął, okradł i przykazał, co kłamać. Leć do LA, podsłuchuj Bowena. Niech Mesplède oplakuje herę. Powiedz mu, że Clyde Duber cię potrzebuje.

Dwight podsunął szybę, żeby nie słyszeć bebopu. Dotarł do LA i zbadał grunt. Powiedz jej, że jesteśmy gotowi, ona skuma, będzie wiedziała. Pogadał z każdym możliwym lewakiem. Zajęło mu to sześć dni.

Zalały go reflektory. Na parking wjechał dodge 1963. Dwight mignął długimi. Dodge też. Dwight chwycił szajs i wysiadł z samochodu.

Joan zatrzymała się przy nim. Zgasiła światła, ale silnika nie. Latarnia oświetlała ją od tyłu. Wyglądała na wykończoną i chyba na spiętą.

– Nie pożegnałaś się.

– Nie wydawało się to konieczne. Wiedziałam, że nie skończyliśmy.

– Gdzie byłaś?

– Nie powiem.

– Powiedz mi, co się dzieje.

– Nie powiem.

Dwight dotknął jej włosów. Joan na ułamek sekundy oparła twarz na jego dłoni.

– Jesteśmy gotowi?

Dwight podał jej walizkę.

– Podaj to do SCP przez łącznika. Jeśli możesz, nie ujawniaj się. Chcemy, żeby Bowen myślał, że to spadło z nieba. Mały, ależ mamy farta, to nam spadło w ręce.

Usłyszał klakson. Dwight namierzył jego źródło. Joan wyciągnęła rękę i pogłaskała go po dłoni od broni.

– Musisz to powiedzieć.

Dwight wsadził głowę do środka. Joan przycisnęła jego dłoń do obramowania okna.

– Powinniśmy to powiedzieć. Tak działa wiara.

– Nikt nie umrze – powiedział Dwight.

# 81

(Los Angeles, 19.03.1970)

Cisza w eterze. Świt i bezsenność – jedno wielkie gówno.

Stanowisko podsłuchowe mieściło się w bambusowej norze w bloku Marsha Bowena. Kable zasilające stykały się z napowietrznymi kablami telefonicznymi. Wskakiwały mu nieistotne rozmowy. Słyszał bambusową kakofonię.

Zabawne. Niezabójcze. Mnóstwo gadek alfonsów i głędzeń dewotów.

Crutch ziewnął. Od czterech dni miał jet-laga. Wielki Dwight go podgryzdał. Żabojad zobaczył jego powycinane plecy i rozjebany pokój i łyknął to. Clyde mnie potrzebuje, szefie. Jedź, synu. Zostaniesz pomszczony.

Zbieżność: niby-komuszy rabunek hery i prawdziwy sabotaż.

Żabojad zadzwonił i przekazał wieści. Ludzie z 14 czerwca podpalili budowy. Krasnoludek szykował Wielką Obławę na Czerwonych.

Crutch poprawił słuchawki. Krzyk przeszył powietrze: astmatyczny babon z pomieszczenia obok.

Matka rzeziła i besztala Governora Raya ladaco. Crutch przetrwał wstrząs nerwowy. Podsłuchiwał apartament Sama G. Słyszał rozmowę Sama i Celi. Ona go ciągnęła za język w sprawie lokalizacji kasyn. Przypomnił sobie łacinę z liceum. *Post hoc propter ergo hoc*. Po tym, więc wskutek tego.

No tak, ale:

To się wydawało debilne, złe, nie pasowało do Celi ani do Joan.

Matka rzeziła – Ray ladaco podprowadził mi czek z opieki. Crutch zrobił się nerwowy. Zdjął słuchawki i ściągnął koszulę.

W lustrze na ścianie odbijała się konsola. Crutch wstał i wykręcił szyję, żeby zobaczyć. Ranę pokrywał łuszczący się strup. Linie blizn się rozciągały. Cyfry były widoczne jak wypalone piętno.

Patrzył dalej. Zerknął na konsolę. Stały tam zdjęcia Joan.

Naszły go obliczenia. Jeden rok, osiem miesięcy i dwadzieścia siedem dni. Tak długo jej szukał.

Błysnęło czerwone światło. Bowen – rozmowa przychodząca.

Crutch założył słuchawki. Usłyszał Bowena, ziewający głos. Usłyszał „Marsh, tu Leander James Jackson”.

Wstawiony. Radośnie. Haitański zaśpiew.

Wymiana powitań, wymiana poglądów na temat „precz ze świniami”. Ten haitański dźwięk. „Chłopczyku” – ten werbalny tik świętej pamięci Luca.

*Chwila...*

*Leander James Jackson. Laurent-Jean Jacquau. Te same inicjały.*

Haitańczycy. Jacquau, tontoński zdrajca. Jacquau, konwertyta z 14 czerwca. Jacquau, niewytrąpialny w Stanach.

Zakłócenia, zaburzenia zasilania, pogłos i szum.

Bowen: niezrozumiale/„trzeba zdobyć herę”.

Jackson: szum/ „w moim kraju mówi się o niej bestia ze wschodu”.

Szum/pogłos/trzaski. Wcina się jakaś przypadkowa rozmowa. Wróciła astmatyczna mamuśka. Och, ten Ray ladaco.

Wielki Dwight. Przejęte prochy. Czarny bojówkarz...

*Robota papierkowa.*

Czytaj akta, jak jesteś podjarany. Czytaj akta, jak jesteś znudzony. Czytaj akta, kiedy nie śpisz całą noc, nawalony. „Czytaj akta” stało się jego mantrą. Pocieszało jego dupę i dawało mu robotę.

Była 7.10. Crutch wpadł do Firmy Clyde’a Dubera, wszedł sobie. Clyde i Buzz pojawiali się koło 9.00. To dawało mu czas na akta.

Konik Clyde’a – napad na furgonetkę opancerzoną. Cztery szafki.

Crutch przyciągnął krzesło i powyciągał teczki. Nie po raz pierwszy. Znał te akta na wylot. Stare fakty go uderzyły: nazwiska, daty, miejsca. Zebrane ślady, spalone ciała. Czy z miejsca napadu uciekł drugi bandyta? Zdjęcia: Scotty B. marszczy brew. Scotty wyciska informacje z Murzynów.

Wypadła luźna kartka. Crutch ją rozłożył. Odręcznie nakreślony plan okolicy. Róg Osiemdziesiątej Czwartej i Budlong, 24.02.1964. X oznaczał miejsce zbrodni. Maleńkie budynki oznaczone numerami i nakreślone w skali.

Crutch przyglądał się mapce. Coś mu umknęło. Jakieś inne akta, jakiś inny fakt, jakiś numer...

O tak. Jest! Tego Clyde nie wie.

*Marsh Bowen mieszkał wtedy na tej przecznicy. Miał dziewiętnaście lat. Dopiero skończył Liceum Dorsey. Mieszkał z mamą i tatą.*

*Robota papierkowa.*

Czytaj akta, kiedy podsłuchujesz. Czytaj akta, kiedy pijesz. Czytaj różne akta, kiedy inne akta nie dają ci spokoju.

Crutch zadekował się w Vivian. Studiował akta matki. Zeskubywał swoje strupy czternastoczerwcowe i sycił się strasznością. Odrzuty Strefy Zombie wprawiają go

w osłupienie.

*KRZESŁO ELEKTRYCZNE. OCZY, DŁONIE I STOPY.* Karły z La Bandy i stopione dłonie tamtego kolesia.

Przeraził się. Popił dwa anielskie pyły old crowem. Odprzeraził się. Chwycił lornetkę i podglądał okolicę.

Barb Cathcart podlewała trawnik od frontu. Miała na sobie szmizjerkę. Od zimnego wiatru dostała gęsiej skórki. Mama Gail Miller gawędziła z listonoszem. Stara Miller go nienawidziła. Podglądał Gail i strzelił fotę jej bobra. Wyleciał za to z Liceum Hollywood.

Zadzwoił telefon. Crutch doskoczył do niego.

– Mówi Crutchfield.

– Donald, jestem wkurwiony.

Spokojnie – *nie wie/na pewno nie wie.*

– Co się stało, Żabojadzie? Mów.

– To Wayne zorganizował sabotaż. Widziano go, jak kupował materiały wybuchowe. Sprofanował budowy na północy, żeby obciążyć winą Ruch czternastego czerwca. Najwyraźniej zwerbował do pomocy komunistów. Myślę, że to jego *putain Rouge* towarzysze cię obrabowali.

– Żabojad, powiedz...

– Balaguer podjął korzystnie rozsądną decyzję. Zarządził, że przeciwko Wayne'owi nie zostaną skierowane żadne działania odwetowe. Zdecydował, że zapłacić musi Ruch czternastego czerwca, żeby przyszli dysydenci mieli nauczki. Ekipa Tygrysa weźmie w tym udział, co oznacza, że musisz tu niezwłocznie wrócić.

Spocily mu się ręce. Słuchawka mu się wysliznęła. Spadła na podłogę. Trzasnęła.

Anielski pył właśnie zadziałał. Przeklął Wayne'a, szpilki w gałki oczne. Wpadł na obrzydliwy voodoo pomysł.

Znał jej nazwisko i numer ubezpieczenia. Napisał list na parkingu Barstow. Za biurko posłużyła mu maska samochodu.

Szanowna Pani Hazzard,

pracuję z Pani przyjacielem Wayne'em Tedrowem przy licznych nielegalnych przedsięwzięciach. Z zasady mnie nie docenia i mówi o mnie „Dupek”. Podejrzewam, że Wayne co najmniej nie był szczery, jeśli chodzi o wydarzenia z niedawnej przeszłości, i że może Pani mieć wątpliwości co do jego zrównoważenia i moralności.

Pani nieufność jest w pełni uzasadniona. Wayne brał udział w zamordowaniu pastora Martina Luthera Kinga w kwietniu 1968 roku, a dwa miesiące później był podejrzewany o zamordowanie własnego ojca. Jest wysoce prawdopodobne, że tego samego lata był

wplątany w tragiczną śmierć Pani męża i kryminalisty z zachodniego Las Vegas. Powinna Pani to wiedzieć. Nie chcę Pani zranić. Chcę tylko, żeby Pani wiedziała.

Szczerze oddany  
Przyjaciel

*Śliska sprawa.*

Związek miał siedzibę tuż przy Fremont. Jego nawalenie słabło. Podrzucić to, przekląć go, nie mięknać.

Wylewali się ludzie z biur. Szybko podchodzili do ich samochodów. Crutch zaparkował na pasie ruchu i przyglądał się twarzom. Zobaczył kobietę zbliżającą się do oldsmobile'a 88.

Wysiadł i ruszył do niej biegiem. Ludzie uchylali się i dziwili: *Co?*. Ona się odwróciła i zobaczyła go. Szybko odczytał wyraz jej oczu. *Kim jest ten młody szaleniec?*

Rzucił tym w nią i pobiegł za róg. Wpadł do szulerni i wziął trzy szybkie. Pozbierał się do kupy. Nabrał tego niefrasobliwego szmerka.

Fremont była jednokierunkowa. To okno wychodziło na ulicę. Musiała przejeżdżać. Gdzie rocket 88?

Odczekał dwadzieścia minut i podszedł do swojego wozu. Zerknął na parking.

Opierała się o oldsmobile'a i łkała. Palce miała zakrwawione. Chwytała się obramowania drzwi, żeby ustać na nogach.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 21.03.1970. Fragment dziennika Marshalla E. Bowena.

Los Angeles, 21.03.1970

Stało się to dzisiejszego ranka. To było najbardziej wstrząsające wydarzenie w moim życiu, przyćmiewające tamten dzień sprzed sześciu lat i jednego miesiąca. Zapamiętałem je sekunda po sekundzie i uruchomiłem proces utrwalania, tak żeby nigdy nie zapomnieć.

Obudziłem się później niż zwykle. W głowie miałem jeszcze ostatnie fragmenty snu. Tło stanowił zlepek klubów z Central Avenue, wypełnionych pretensjonalnymi czarnymi bojówkarzami i białymi pieczeniarkami. Wśród nich Benny Boles, Joan Klein i świętej pamięci Jomo. Nikogo innego nie mogę sobie dokładnie przypomnieć. Muzyka grała – hard bop – aż przycichła do skrzeku policyjnego radia. Siadłem na łóżku i zdałem sobie sprawę, że świny zaparkowały na podjeździe pod moim domem.

Włożyłem ciuchy, podszedłem do drzwi i otworzyłem je. Na progu stał Scotty Bennett. Miał na sobie beżowy popelinowy garnitur, kraciatą muchę i słomkowy kapelusz. Podał mi butelkę whisky Crown Royal z czerwoną kokardą na szyjce. Powiedział dokładnie takie słowa: „Nie mów, że dałem ci tylko kłopoty”.

Nie było to przerażające ani onieśmielające, ani w żaden sposób erotyczne. Scotty się uśmiechnął i rzekł: „Pogadajmy o napadzie. Co ty wiesz i co wiem ja. Ugadajmy się i zrobmy

jakieś pieniądze. Wrócisz do policji”.

Framuga drzwi utrzymała mnie w pionie, kiedy zrobiło mi się słabo. Scotty mówił dalej: „Dostałem donos. Jakaś komuszka chce wpuścić przez SCP trzy funty hery. Sprawdźmy, czy damy radę zrobić z ciebie bohatera”.

Słowo „bohater” miało moc przeradzającą. Najnikczemniejszy glina zabójca swoich czasów nagle obrósł w aureolę i anielskie skrzydła. Scotty mrugnął do mnie. Ja nie dałem rady odmrugnąć, tylko wyciągnąłem rękę. Ale Scotty mnie uściskał.



## 82

(Las Vegas, 22.03.1970)

Chłopcy ciągle dzwonili. Ivar Smith ich popierał. Czysta antyczerwona wściekłość.

Ruch 14 czerwca podpalił place budowy. Przejornie – Krasnoludek właśnie się zgodził na cztery kolejne budowy. Wayne odbierał rozmowy: Carlos, Santo, Sam. Zadzwoił Terry Brundage. Zadzwoił Mesplède. Poziom wściekłości wzrósł.

Wtórował. Wyrażał własną, udawaną wściekłość.

Sen.

Wayne przyglądał się swojemu wykresowi ściennemu. Przykuła jego uwagę ramka z Leanderem Jamesem Jacksonem. Wpatrywał się w nią. Poprowadził połączenia. Przypomniał sobie swój odlot.

Zaczęły się obławy. Zadzwoił do Celi. Powiedziała, że jego działanie zainspirowało ich działania. W kryjówkach kryli się ich ludzie. La Banda znajdzie ludzi, przesłucha ich i okaleczy. Będą porażające koszty. Musimy to powiedzieć – tak działa wiara.

Ochrona na lotnisku była przerzedzona. Celnicy zostali zaangażowani do polowania na czerwonych. Wyleciał swobodnie.

Wayne przeciągnął linie. Kliknięcie kliknęło raz jeszcze. Coś pobudziło pamięć. Kliknęło ku ocenzonej aktom Joan. Coś nie dawało mu spokoju. Wyciągnął z nich tego gnojka i nic więcej.

Odsunął się i spojrzał na ścianę pod innym kątem. Całościowo. Zobaczył przypiętą z boku kartkę. Wiedział, że to nie jego.

„Szanowna Pani Hazzard” – akt oskarżenia spisany przez Dupka. Na dole dopisała się Mary Beth: „Uznałam, że to w pełni wiarygodne. Gdybyś sam mi powiedział, może bym Ci wybaczyła”.

Podpisał dokumenty w kancelarii prawniczej. Pojechał do Hughes Tool Company i zrealizował przekaz bankowy. Poleciał do LA, pojechał do Banku Powszechnego. Lionel Thornton wpuścił go do skarbcza. Spakował 1,4 miliona dolarów z odciągania z kasyn, wpływów z Taxi Tygrys i klubów nocnych. Zapełnił trzy teczki. Zadzwoił do Hughes Charter i zarezerwował lot do Santo Domingo.

Drzewa rosły do góry korzeniami. Joan rzucała szmaragdami i wywoływała deszcz. Każda kropla była zwierciadłem.

Zobaczył swoje dzieciństwo w Peru w Indianie. Zobaczył Dwighta i Wayne'a seniora i Klan w chaosie. Jego matka weszła do kropli deszczu. Studiował chemię na BYU. Tablice molekularne wytrawiły się na zielono. Korzenie drzew rosły w drugą stronę. Przyciągały jego wzrok i pozwalały zajrzeć w głąb. Zobaczył Little Rock 1957, Dallas 1963. JFK pomachał na pożegnanie. Wendell Durfee się śmiał. Przeprosił Reginalda Hazzarda za to, że go nie znalazł.

Powietrze się stopiło. Z wilgotnych cząsteczek powstał śnieg. Doktor King szeptał równania chemiczne. Na chwilę świat nabrał sensu. Joan starła szmaragdowy pył ze swojej blizny po nożu i patrzyła, jak znika. Janice powiedziała mu, żeby się nie martwił. Planety ustawiły się w nowym porządku i wyjaśniły fizykę jako zachciankę. Usłyszał „Tak działa wiara” i skierował wzrok na słońce.

Taksówka zawiozła go do Borojol. Kierowca był czarnuchem. Red alert – sam pan zobaczy.

Stukanie do drzwi, ruch zatrzymany, łapanka na ulicy/przeszukania. Gliny na dachach z lornetkami. Gliny przyglądające się tłumom i arkusiom ze zdjęciami policyjnymi.

Taksówka podrzuciła Wayne'a do kryjówki. Okno było lekko uchylone. Poczł zapach krwi i środków dezynfekujących i usłyszał stłumiony krzyk.

W oknie pojawiła się Joan. Spojrzeli na siebie. Zobaczyła jego teczki i machnęła do kogoś w środku. Drzwi się otworzyły. Wayne się odwrócił w ich stronę. Młody człowiek chwycił teczki i cofnął się szybko.

Wayne zajrzał w okno. Joan położyła dłoń na szybie od środka. Wayne położył dłoń na jej dłoni. Szkło było ciepłe. Patrzyli na siebie. Joan odeszła pierwsza.

Taksówka podrzuciła go nad rzekę. Po moście wkroczył do Haiti o świcie. Facet z Tonton go rozpoznał – *ça va*, szefie.

Wayne wszedł do wioski. Zamaskowane hulaki tańczyły na cmentarzu. Ludzie siedzieli wsparci o nagrobki. Nie ruszali się. *Le poudre zombie* – kielichy stoczyły im się z kolan.

Hulaki nosiły maczety w pochwach. Maski mieli umazane krwią. Powietrze było ciężkie od woni: sproszkowana jaszczurka i piżmo drobiowe.

Wayne wszedł do tawerny. Transparenty sekty Bizango tworzyły nastrój. Przyciągnął rozmaite spojrzenia. Wskazał butelki i stworzył miksturę, której jeszcze nigdy nie próbował. Barman przyrządził mu napój. Kiedy go pił, zielona piana wypalała mu oczy. Zostawił na barze o wiele za dużo pieniędzy.

Teren przy tawernie przepoławiały dwa cmentarze. Wayne przeciął je i odczytywał francuskie napisy na nagrobkach. Jego przodkowie pochowali się pod jego stopami. Zobaczył konwulsje z zombifikowanego mężczyzny. Wyczuł w swoim napoju proch strzelniczy i wątrobę żaby drzewnej.

Zamaskowane hulaki podążyły za nim. Pies w stożkowym kapelusiku ugryzł go i uciekł. Śledził wzrokiem konstelacje. Zamrugał powiekami i zobaczył lecące łukiem meteory.

Kliknięcie się objawiło. Thomas Frank Narduno, zabity w Grapevine. Znany kontakt Joan. Nierozegrany jeszcze motyw między Joan a Dwightem.

Wszedł do tawerny i zamówił eliksir. Sześciu bokurów patrzyło, jak go wypija. Dwóch mężczyzn go pobłogosławiło. Czterech mężczyzn machnęło amuletami i rzuciło na niego urok. Zostawił na barze o wiele za dużo pieniędzy.

Wszedł na zewnątrz. Niebo oddychało. Poczł fakturę księżycy. Kratery zamieniły się w kopalnie szmaragdów.

Pojawiła się uliczka. Zaniósł go w nią powiew. Liście się poruszały i obracały tęczami. Trzech mężczyzn wyszło z promienia księżycy. Mieli przypasane pochwy. W miejscu prawego ramienia mieli ptasie skrzydła.

– Pokój – powiedział Wayne.

Wyciągnęli maczety i go zasiekli.

(Los Angeles, 25.03.1970)

– SCP zdobyło herę. Od kumpla z odsiadki. Ezzard Jones to ustawił.

– Mów dalej – powiedział Dwight.

– Nie wiadomo, skąd się wzięła. Po wydarzeniach z grudnia banda Panter związała do Oakland. Zniknął ważny kontakt. Jego koleś chcieli wyłożyć towar do sprzedaży.

Caroline Pines przy Sunset. Klientela z ósmej rano: senne kurwy i nauczyciele z Liceum Hollywood.

Dwight zapalił papierosa.

– Mów dalej.

Marsh zakręcił widelcem.

– SCP zdobyło półtora funta. Zabawne, że ten wykładający taką samą ilość puścił przez FWMM. Nie wiem, jak to poszło, ale zrobiła się jakaś zgoda. „Zróbmy naradę wojenną, to się nam uda, brachu”. Ja mam negocjować spotkanie na szczycie w przyszłym tygodniu.

*Jebana Joan. Genialna. Rozprowadziła zasoby i zdwoiła akt oskarżenia.*

Dwight wypuścił kółko dymu w stylu Joan. Wyszło niewyraźne i rozproszyło się za szybko.

– Zrób to. Niech to się stanie jak najszybciej.

Dwight wrócił do dziupli. Była zatechła. Podniósł żaluzje i otworzył okna. Wziął teleks z tacki odbiorczej.

DH,

przed chwilą skontaktowała się ze mną Ambasada Dominikany. Z żalem muszę Cię powiadomić, że Wayne Tedrow został w zeszłym tygodniu zamordowany w Haiti. Zbrodni najpewniej dokonano z powodów politycznych i rasowych. Ciało porzucono po dominikańskiej stronie Plaine du Massacre. W kieszeniach ofiary znaleziono skrawki papieru z jednoznacznymi symbolami i antyamerykańskimi hasłami. Oszacuj, proszę, tę sytuację pod kątem układów ofiary z RMN, panem Hughesem, naszymi włoskimi przyjaciółmi i tak dalej. Zadzwoń do mnie po odebraniu tej wiadomości.

JEH

Ciemność w pokoju trochę pomogła. Ściany otoczyły go ciasno. Uliczny hałas był jednostajny. Zamknął okno i odciął szum.

Wciskał się w ciasne miejsca. Klitka z biurkiem i szafa wydawały się bezpieczne. Podciągnął nogi i przeczekał skurcze. Zakrył głowę, żeby się zrobiło ciemniej. Wrzucił broń do kanału wentylacyjnego, żeby się nie zastrzelić. Koszulę miał całą moką, bo szlochał skulony.

Czas wydrążył gdzieś dziurę. Wrzucił wodę i tabletki do kanału wentylacyjnego, żeby nie spać. Telefon dzwonił i dzwonił. Same wystrzały. Zatkanął uszy. Telefon wciąż dzwonił. Wypełzył ze swego gniazda i zrzucił telefon na podłogę. Słuchawka była blisko, linia zatrzeszczała, usłyszał jej głos.

Dziura się powiększyła. Chwycił telefon. Wydobył: „Tak?” i „Nigdy wcześniej tu do mnie nie dzwoniłaś”. Jego głos był głosem Wayne’a.

Połączenie się rozmyło. Jej głos zniknął. Połączenie odżyło. Jej głos powrócił.

– Balaguer robi obławy na ludzi i torturuje ich. Wayne podłożył bomby na budowach. Balaguer wydaje oświadczenie.

Dwight zakaszłał. Połączenie się zerwało. Podniósł żaluzje i odzyskał widok. Zawirowało mu w głowie. Zadzwoił do swojego kontaktu z rewiru LA. Ruszyła nagrana wiadomość. Poprosił o oddzwonienie: minuta z Człowiekiem.

Światło bolało. Spuścił żaluzje. Zaciemnienie i podróż w czasie: Wayne ze swoim pierwszym zestawem chemika i z dziadkiem, imigrantem ze Szkocji.

Peru w Indianie. Wiosna 1948. Wayne miesza proszki i tworzy tęczę.

Telefon zadzwonił. Chwycił słuchawkę. Fagas coś powiedział. Dwight wytarł oczy. Kliknięcie na linii.

– Ma pan jaja, żeby do mnie dzwonić tak ni z tego, ni z owego – powiedział Richard Nixon.

– Wayne Tedrow nie żyje. Balaguer szaleje i katuje ludzi za jakieś gówno, które zrobił Wayne. Wszyscy znamy Wayne’a, panie prezydencie. Z całym szacunkiem, ale trzeba to natychmiast przerwać.

Nixon gwizdnął.

– Jasne, Dwight. Zadzwonię do tego fiutka. Jezu, ci mormoni z Nevady są kompletni pojebani.

(Santo Domingo, 26.03.1970)

Widok na ulicę, widok w lustrze. Nie mógł się powstrzymać od patrzenia.

Jego apartament znajdował się na ostatnim piętrze. Widok był szeroki. Gliny ostro napierdziałały w czerwone dupy. Impreza trwała już od tygodnia. Obławy, bójki, burdy. Utarczki jak cholera.

Pokaz za oknem go przyciągał. Jak również jego rzezane plecy. Piętno 14.06 dobrze się trzymało. Blizna była stała. W zasadzie mu się to jakby podobało. Zdumiewało go i przyciągało wzrok.

Crutch chodził od lustra do okna. Był bez koszuli, był spocony. Piknięcia serca – pik, pik, pik.

Właśnie dzwonił do niego Ivar Smith. Klątwa Crutch'a poskutkowała. Jakies voodooczarnuchy usiekły koksolubną dupę Wayne'a Tedrowa.

Głowa go bolała. Naczynia mu wibrowały. To była migrena dziesiątego stopnia w skali Richtera. LA go przerażało. LA było gorsze. Odczytał znaki: Dwight Holly i Marsh Bowen prowadzili jakieś pojebstwo ze zrabowaną heroiną.

Heroiną Ekipy Tygrysa. Jego heroiną. Jeden, kurwa, oczywisty wniosek.

Crutch wyjrzał przez okno. Gównem się działo jak okiem sięgnąć. Mrówczy pokaz. Ulice były farmą mrówek. Smyrgały gliny i komuchy.

Zawyły syreny. Rozsadzały uszy. Dźwięk wydawał się ogarniać całe miasto. Grupki latynoskich mrówek zamarały.

Podszedł do lustra. Blizna była różowa i pomarszczona. 14.06, *por vida*.

Trop z napadem nie dawał mu spokoju: Leander James Jackson jako Laurent-Jean Jacquau. Namierzył Jacksona w Czarnogrodzie i śledził go. Niczego się nie dowiedział. Śledził Marsha Bowena. Żyła złota: Marsh spotyka się ze Scottym Bennettem u Tommy'ego Tuckera.

Nienawidzący się rywale – *très* zaprzyjaźnieni. *No i co?*

Crutch podszedł do okna. Głowa go bolała. Pocił się. Dyszał i zaparowały mu okulary.

Wytarł je. Zamrugął i zmrużył oczy. Mrówczy pokaz zniknął.

Kawa wydała się kuszącym pomysłem. Skoczy do Gazcue, do kawiarni. Przekalibruje się i przemyśli. Nacieszy się klątwą. Zreassume i ponownie rozważy sprawę.

Crutch szedł niespiesznie. Przeciął boisko do polo. Obejrzał kobiety na padoku. Dotarł do calle Bolívar i skierował się na Malecón.

Żadnych glin, żadnych mrówek. To wycie syren było jakimś odwołaniem alarmu.

Głowa go ciągle bolała. Ból krążył i krążył, i kłuł. Usłyszał, że za nim jedzie powoli samochód. Usłyszał kroki na chodniku. Zobaczył cienie przed sobą.

Potężny cios:

Dwóch za nim, dwóch przed nim. Mieli na twarzach bandany, jednemu się zsunęła, to był Felipe Gómez-Sloan.

Uderzyli go. Padł. Związali go, walnęli w kark, zakleili taśmą usta. Uwolnił jedno ramię i zerwał maskę Canestelowi. Ulica umknęła, niebo go uderzyło, zobaczył Tygrysowóz.

Wrzucili go do bagażnika i zatrzasnęli klapę. Zerwał taśmę. Kopnął w zamek i zachłysnął się stęchłym powietrzem. Tygrysowóz ruszył. Usłyszał jakieś walnięcia na tylnym siedzeniu. Obicie bagażnika się rozerwało, do środka wpadły powietrze i światło. Ostrze noża dźgnęło i przecięło.

Więcej światła. Ręka. Pitbullove tatuaże Żabojada.

Żabojad krzyczał. Słowna *bouillabaisse*. *Cochon, pede, putain Rouge. L' heroine*, a potem lachociąg.

Ostrze ciągle dźgało. Crutch mu się wywinął i wykopał. Uderzył Żabojada w rękę. Ostrze rozdarło mu but. Wygiął się i odsunął nogę.

Dym wypełnił bagażnik. Te pięć fiutów paliło. Crutch zobaczył oczy Żabojada w dziurze bagażnika.

– To nie był czternasty czerwca. To był Dwight Holly. W holu hotelowym była kamera. Kamera miała timer. Nic innego nie wchodzi w grę.

Kubańczycy syknęli tygrysio. Saldívar wydmuchnął dym do bagażnika. Crutch zakrztusił się i kopnął go w twarz.

Żabojad ryknął śmiechem. Crutch wiercił się pod zamkiem bagażnika. Papierosy go zasypały. Strzepywał węgielki.

Modlił się. Ból głowy przemieścił się za oczy i dawał przedmiotom białą otoczkę.

– Te wybuchy bardzo zdenerwowały Sama i Carlosa – mówił Żabojad. – Sam i Carlos nie wiedzą o twoim udziale, chociaż powiedziałem im, że możesz być miękki do komunistów. Wątpię, czy prezydent Balaguer zaryzykuje kolejne budowy i potencjalne sabotaże. Sam i Carlos uważają, że powinieneś ubarwić swoje antykomunistyczne referencje.

Tygrysowóz pędził. Chyba po autopiście. Crutch się modlił. Pędził przez psalmy i Gloria Patri. Głowa mu dudniła. Oczy płonęły. Zobaczył Jezusa i Marcina Lutra w Wittenberdze. Dym wypełnił bagażnik. Zleciały się kipy. Tygrysie syki, tygrysie warkoty, bandyckie gęby w dziurze.

*Pariguayo, pariguayo, pariguayo.*

Crutch zwymiotował i dyszał. Na dziurawej drodze tygrysowóz rzucał się i podskakiwał. Crutch przycisnął twarz do dziury w bagażniku i wciągał powietrze. Gómez-Sloan skipował

mu na nosie.

Wrzasnął i oderwał się od dziury. Usłyszał *pariguayo, pariguayo, pariguayo*. Tygrysowóz zahamował i stanął. Drzwi trzasnęły. Pokrywa bagażnika podskoczyła i wpuściła światłość niebiańską. Chwyciły go ręce i postawiły mu nogi na ziemi.

Jakieś zadupie. Wysypisko śmieci i sześć szalasów.

Papierowe odpadki i ściółka. Pięćdziesiąt ton zmielonego czegoś. Kości wystające ze stosów popiołu. A w tym wiry – młójące ogony aligatorów.

*Pariguayo, pariguayo, pariguayo.*

Słońce wypalało mu migrenę przez oczy. Ręce przytrzymały go i prowadziły. Ktoś powiesił mu na plecach coś wielkiego i ciężkiego. To coś miało wąż, wylot i cyngiel. Ktoś wsadził mu w ręce jakąś tryskawkę.

*Pariguayo, pariguayo, pariguayo.*

To było LA albo Dominikana. Wysypisko Boyle Heights albo bagna Watts, albo jakiś układ z Ruchem 14 czerwca. Słońce topiło tryskawkę w jego rękach. Pozostałe ręce wepchnęły go do chałupy z otwartym frontem. Trzydzieścioro ludzi związanych i zakneblowanych.

Czarni. Mężczyźni, kobiety, dzieci – wychudzeni, wiją się. Ropiejące rany. Żółte oczy skaczą i połyskują.

Tryskawka pachniała benzyną. Żółte oczy mówiły do niego. To było LA albo Haiti. Ci ludzie to motłoch z Czarnogrodu albo władcy voodoo. Psalmi leciały raz za razem.

Ręce go ustawiły. Ręce zacisnęły jego ręce na tryskawce. Chmury na chwilę zgasiły słońce.

Wysunął się do przodu i się odwrócił. Zobaczył ich wszystkich pięciu i po raz pierwszy poczuł, że wie, jak się który nazywa. Słońce wróciło i mrugnęło do niego. Pociągnął za spust.

Płomień wybuchł i poszybował. Krzyczeli i rzucali się spazmatycznie w płomieniach.

Amunicja przy ich pasach wybuchła. Kawałki ich ciał eksplodowały.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 30.03.1970. Fragment dziennika Marshalla E. Bowena.

Los Angeles, 30.03.1970

„Spotkanie na szczycie czarnych bojówek” – ależ rozkoszny koncept.

To miał być czynnik ułatwiający. Leander James Jackson miał reprezentować SCP, a Joseph Tidwell McCarver i Claude Cantrell Torrance mieli negocjować z ramienia FWMM. Wzniosłe wydarzenie zaplanowano jako popołudniowy grill u Joego McCarvera. Będą żeberka, kurczaki, warzywa i wóda, marycha i placek z batatów. Podwórko Joego zostanie świątecznie przystrojone. Jego czteroletnia córka i sześciolatek syn dostarczą rozrywki i może wpłyną na ograniczenia nadmiernej frekwencji słowa „matkojebca”.

Ja miałem heroinę. Miały mi przypaść negocjacje procentowego podziału zysków SCP/FWMM. Najważniejsze, że właśnie w tym momencie miałem przenieść swoją lojalność



z pana Holly'ego na Scotty'ego.

Plan ten był owocem spotkania na szczycie Bowen–Bennett u Tommy'ego Tuckera. Zdecydowaliśmy, że potrzebne jest natychmiastowe działanie. Dokona się podział heroiny. Głupki z SCP i FWMM opuszczą spotkanie, trzymając swoje działki. Scotty wpadnie i zwinie. To oznacza przedwczesne zdekonspirowanie mojej funkcji informatora FBI, a zatem wyruchanie pana Holly'ego i pana Hoovera, z nadzieją natychmiastowego powrotu do Policji LA. Jeśli plan się powiedzie, zarówno SCP, jak i FWMM zostaną nieodwracalnie skompromitowane, federalni dostaną swoje akty oskarżenia, a ja wrócę na swoje stanowisko w policji. Pan Hoover i pan Holly się wściekną. Jednostronnie zakończyłem operację, z pomocą Scotty'ego. Uraza się wygotuje, a potem ulotni. Scotty i ja będziemy wtedy wolni, podzielimy się swoimi informacjami o napadzie. Stworzymy potężną dwuosobową drużynę, która będzie szukać pieniędzy i szmaragdów. OPERACJA BARDZO ZŁY BRAT zostanie uznana za udaną. Ten dziki obszar mojej młodości, ze wszystkimi towarzyszącymi wyobrażeniami, przyjmie całkowicie nowy wymiar.

Spytałem Scotty'ego, skąd wiedział o mojej obsesji na punkcie napadu, przynajmniej na tyle, że ze mną o tym porozmawiał. Scotty powiedział, że zapodano mu, że rozpytywałem delikatnie w minionych miesiącach. Instynktownie sprawdził moją przeszłość. Bingo: adres na rogu Osiemdziesiątej Czwartej i Budlong widniał na moim starym prawie jazdy.

Joe McCarver posiadał niewielki dom na rogu Sześćdziesiątej Ósmej i Slauson. Dzień był ciepły. Na podwórku wygodnie ustawiono fotele. Dzieciaki pluskały się w brodziku. Scotty zaparkował nieoznakowanym radiowozem dwie przecznice dalej. Miał walkie-talkie z możliwością wdzwonienia. Ja potrzebowałem tylko czterech sekund z telefonem w sypialni Joego.

„To będzie dobre takie, że ja jebię” – powiedział Claude Torrance, kiedy usiedliśmy. Między nami, pośrodku długiego stołu, leżała heroina, jakby na ołtarzu. Przed rozpoczęciem negocjacji należało przełamać napięcie międzygrupowe, więc podano rum 151 i trawę pierwszej jakości. Ja zażywałem ostrożnie. Pozostali trzej mężczyźni spożyli całą butelkę rumu i zjarali kilka skrętów. Joe ruszył na jedzenie. Ja przygotowałem uwagi wstępne dotyczące moich mediacji. Nagle Claude zaczął się do mnie dopierdalać.

„Bracie, a nazywam cię bratem z dużą domieszką »kurwa twoja mać«, pozwolę sobie postawić ci pytanie, BRACIE, dlaczego to zakapowałeś brata Joma Kenyattę Clarksona świniom jebanym w zeszłym roku?”

Odpowiedziałem coś niezobowiązującego. Pojechałem jakimś pojednawczym: „Hej, bracie, spokojnie”.

Leander podszedł. Jestem pewien, że uznał moją odpowiedź za ciotowatą. „Słuchaj, chłopczyku – rzekł – wbiłem nóż w Joma i widziałem, jak krwawi słabą krwią. Miał anemię od słabowitych myśli i wielki apetyt na zło. Rzuciłem klątwę na jego czarną duszę i umarł

następnego dnia. Mam powiązania z bokurami sekty Bizango i duchem Barona Samedi. Oni kazali Jomo się wykończyć. Nasłali legiony czerwonych mrówek przez dziurę w jego fiucie, żeby wyżarły mu mózg i oczy. To prawda najprawdziwsza, chłopczyku”.

Wstrzymałem oddech.

Joe odłożył skrzydełko kurczaka i strzelił kłykciami.

„Baron Samedi lizał mojego czarnego fiuta” – rzekł Claude i splunął Leanderowi na buty.

A potem:

Leander wyciągnął broń. Joe wyciągnął broń. Claude wyciągnął broń. Nastąpiły maleńkie pauzy, kiedy mogli się jeszcze wycofać. Silny wiatr śmignął przez podwórko. Przewróciła się butelka. Powodując głośny hałas. I to zdecydowało.

Wszyscy trzej mieli automaty z dużymi magazynkami. Wszyscy wystrzelili jednocześnie, podczas gdy ja wskoczyłem pod stół.

To była bardzo bliska odległość. Hałas powstał straszliwy. Leander zastrzelił Claude’a. Joe zastrzelił Leandera. Leander, umierając, zastrzelił Joego. Wszyscy trzej leżeli na ziemi przy stole. Technicznie nie żyli, ale jeszcze drgali. Wciąż strzelali, na oślep. Dzieci krzyczały i próbowały uciekać. Dopadły je przypadkowe strzały i rykoszety. Zobaczyłem mózg dziewczynki wywalony do brodzika.

Zwinąłem się, zakryłem głowę i czekałem na kolejne strzały albo na spazm śmierci. Nic. Rozejrzałem się i zobaczyłem trzech martwych mężczyzn i dwójkę martwych dzieci. Wszystko trwało niespełna dziesięć sekund. Miałem objawienie. Było to natychmiastowo pojęte wyobrażenie. Niezwłocznie przygotowałem dramatyczny opis swojego bohaterskiego odkupienia w próbie ogniowej.

Dom i podwórko z trzech stron były otoczone pustymi parcelami, co zapewniło mi prywatność i czas do pracy. Spokojnie wyciągnąłem swoją broń i strzeliłem martwemu Claude’owi Cantrellowi Torrance’owi w głowę. Równie spokojnie strzeliłem do martwego Josepha Tidwella McCarvera i Leandera Jamesa Jacksona. Na koniec wyjąłem im wszystkim trzem broń z rąk i oddałem przypadkowe strzały. Wytarłem uchwyty, potem spokojnie umieściłem broń na powrót w ich dłoniach.

*Oczywiście – strzelali do siebie. Ale ja przejąłem kontrolę i zdjąłem wszystkich. Szkoda dzieciaków. Próbowałem je ukryć, ale rykoszety mnie uprzedziły.*

Przeszedłem przez podwórko i wciągnąłem ciała w przekonujące pozycje ognia krzyżowego. Papierowym ręcznikiem starłem ślady narkotyków i rozejrzałem się uważnie. Wbiegłem do domu i udając spanikowanego, zadzwoniłem do Scotty’ego.

Jego syrena odpaliła natychmiast. Usłyszałem ją dwie przecznice dalej. Powoli wróciłem na podwórko.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 1.04.1970. Artykuł z „Herald Express” z Los Angeles.

## KRWAWA STRZELANINA MIĘDZY CZARNYMI NACJONALISTAMI

Dwa dni temu podwórkowy grill w południowym Los Angeles zamienił się w erupcję przemocy. Zginęło trzech mężczyzn i dwoje dzieci. Pierwsze raporty przypisywały strzelaninę niepowodzeniu wielkiej transakcji narkotykowej. Teraz okazuje się, że musiało to być coś więcej.

Trzy dorosłe ofiary – Leander James Jackson, lat 31, Joseph Tidwell McCarver, lat 32, oraz Claude Cantrell Torrance, lat 23 – były zaciekłymi działaczami czarnych bojówek, jak powiedział na konferencji prasowej sierżant Policji Los Angeles Robert S. Bennett. Dwoje zamordowanych dzieci – Theodore, lat 6, oraz Darleen, lat 4, to potomstwo McCarvera i jego konkubiny. Sierżant Bennett ujawnił, że na podwórku Joego McCarvera znajdowała się szósta osoba: były funkcjonariusz Policji LA Marshall E. Bowen.

„Może pamiętacie policjanta Bowena z zajścia, które miał ze mną 1 października 1968 roku” – powiedział sierżant Bennett. „Działania funkcjonariusza Bowena poskutkowały jego zwolnieniem z policji. W rzeczywistości ta utarczka, jak również zwolnienie z pracy stanowiły fortel, który miał umożliwić funkcjonariuszowi Bowenowi przekonujące przeniknięcie do Sojuszu Czarnego Plemienia oraz Frontu Wyzwolenia Mau Mau, dwóch niebezpiecznych grup czarnych nacjonalistów, którzy zamierzali sprzedawać heroinę, by sfinansować swoją działalność wywrotową”.

Funkcjonariusz Bowen przejął mikrofon.

„Jackson, McCavern i Torrance mają sporą kartotekę przestępczą i powiązania z komunistami” – powiedział. „Od chwili rzekomego zwolnienia z policji półtora roku temu zbierałem dowody przeciwko nim. Celem spotkania przy grillu była transakcja narkotykowa, kulminacyjny punkt mojej pracy w roli infiltratora FBI. Niestety, słowna sprzeczka rozrosła się do rozmiarów strzelaniny. Usiłowałem uchronić dzieci, ale dopadły je zbłąkane kule. W tym momencie otworzyłem ogień do Jacksona, McCaverna i Torrance’a, jako że strzelali oni do siebie”.

Dyrektor FBI, J. Edgar Hoover, pochwalił „doskonałą pracę funkcjonariusza Bowena, który dokonał sabotażu działalności dwóch organizacji o powiązaniach komunistycznych”. Nowo wyznaczony szef Policji Los Angeles, naczelnik Ed Davis, oznajmił, że funkcjonariusz Bowen wróci do policji w stopniu sierżanta i zostanie uhonorowany najwyższym odznaczeniem Policji Los Angeles: Medalem za Męstwo.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 2.04.1970. Artykuł z „Milwaukee Sentinel”.

DZIWNE DONIESIENIA Z DOMINIKANY

W Republice Dominikany panuje stosunkowy spokój od czasu wojny domowej z 1965 roku, krótkiego starcia zbrojnego, które zakończyło się niemal pięć lat temu. Piechota Morska Stanów Zjednoczonych, zadowolona ze stłumienia potencjalnej rewolty komunistycznej na wyspie, wycofała się. Usunięto tymczasowego lewicowego dyktatora, a od 1966 roku władzę sprawuje Joaquín Balaguer, reformator o zapatrywaniach centrowych. Ale w ciągu ostatnich kilku tygodni z Dominikany napływają złowieszcze doniesienia.

Żadne z pogłosek nie zostały de facto potwierdzone, niemniej powtarzają się, więc niektórzy amerykańscy dziennikarze zastanawiają się, czy te wydarzenia są powiązane.

W Santo Domingo doszło do serii manifestacji lewicowych ugrupowań, szczególnie castrowskiego Ruchu 14 czerwca. Źródła rządowe podają, że nie jest to nic nadzwyczajnego. W Dominikanie panuje wolność słowa, a zatem demonstracje niczego złego nie zwiastują. Dwa tygodnie temu podobno dokonano aktów sabotażu na czterech budowach hoteli-kasyn finansowanych przez amerykańskich biznesmenów. Źródła rządowe zaprzeczają tym doniesieniom. Jeśli dodać do tego zamordowanie Amerykanina przez członków antydominikańskiej sekty voodoo i znalezienie zwęglonych zwłok jednego Francuza i czterech skrajnie prawicowych kubańskich uchodźców rzekomo wspieranych przez bogatych Amerykanów z uchodźczej społeczności kubańskiej w Miami, powstaje pożywka dla plotek o spisku.

Kierownik miejscowej placówki CIA Terence Brundage powiedział korespondentom: „To nic takiego. Same plotki. Macie garść niepowiązanych ze sobą pogłosek i tyle”.

Temu oświadczeniu towarzyszyło wystąpienie rzecznika prezydenta Balaguera. „Same brednie” – powiedział. „Nie dokonano żadnego sabotażu na budowach kasyn. Uległy one zniszczeniu na skutek wad konstrukcyjnych, a w tej chwili prowadzone są rozmowy z grupą amerykańskich inwestorów, którzy chętnie wkrótce przystąpią do odbudowy hoteli”.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 3.04.1970. Dosłowny zapis rozmowy telefonicznej sporządzony przez FBI. Oznaczony: „Nagrany na polecenie Dyrektora”/„Tajne 1-A: Zastrzeżone dla Dyrektora”. Rozmawiają: Dyrektor Hoover, Agent Specjalny Dwight C. Holly.

JEH: Dzień dobry, Dwight.

DH: Dzień dobry panu.

JEH: Sprawia pan wrażenie przybitego, podczas gdy moje serce się raduje. Nie miałem takiego nastroju od tysiąc dziewięćset dziewiętnastego roku. Byłeś ze mną w porcie, Dwight. Machaliśmy na pożegnanie wojowniczej Emmie Goldman.

DH: Tak, proszę pana.

JEH: Młody Bowen koniec końców góruje. Nie potępiam go za to jego posunięcie z Policją LA i za to, że przydał blasku sierżantowi Robertowi S. Bennettowi. Nasz sepiowy uwodziciel chciał odzyskać pracę, a czyż można o to mieć do niego pretensje?

DH: To prawda, proszę pana.

JEH: SCP i FWMM na chwilę przyćmiły Pantery. Biuro zostało nagrodzone mnóstwem pozytywnych artykułów. Członkowie obu grup zostaną masowo postawieni w stan oskarżenia. To ważne wyjaśnienie moralnej niegodziwości czarnuchów, doprawione martwymi bambuskami, żeby szarpać pańskie głębokie uczucia.

DH: Tak, proszę pana.

JEH: Sprawia pan wrażenie przybitego i nerwowego, Dwight. Powinien pan...

DH: Muszę wcisnąć blef w imieniu pańskim i prezydenta Nixona, proszę pana. Jeśli to do pana dotrze, bardzo byłbym wdzięczny, gdyby zechciał pan potwierdzić jego prawdziwość. I nigdy już nie poproszę pana o przysługę.

JEH: Przybity i zuchwały. Dwight Chalfont Holly, jakiego nigdy nie słyszałem.

DH: Tak, proszę pana.

JEH: Jestem podekscytowany, Dwight. Moja odpowiedź brzmi zatem: „zgoda”. Zlikwidowaliśmy SCP i FWMM niczym wściekłe psy. Ja ci to mówię.

DH: Tak, proszę pana.

JEH: Miłego dnia, Dwight.

DH: Miłego dnia, proszę pana.

## 85

(Nowy Orlean, 4.04.1970)

Zawracanie i błędzenie. Źle oznaczone ślepe zaułki. Plan miasta był nieaktualny od dziesięciu lat.

Znaki prowadziły go na zjazdy i z powrotem na wjazdy. Uchyłał się przed szczątkami na drodze i objającymi się budowlańcami. Było gorąco. Wszystko wyglądało kwieciście. Świat przemieszczał się powoli, kiedy on jechał bez tchu.

Dwight przeciął drogę dojazdową. Wreszcie – drogowskaz do Town & Country.

Był na maksa wykończony. Został z tym sam. Karen była na wschodzie, a Joan zniknęła. Godziny nadliczbowe non stop. Widział zdjęcia z miejsca zbrodni. Wyglądały na sfalszowane. Policja LA kupiła wersję Marsha Bowena albo wręcz wzięła udział w jej tworzeniu. Dupek przysłał mu wiadomość.

„Dwight – widziałem Marsha ze Scottym B. dwie noce przed strzelaniną. Wyglądali na zaprzyjaźnionych. Zdziwiło mnie to, więc uznałem, że powinieneś wiedzieć”.

Droga miała straszne koleiny, mokradła atakowały ją z obu stron. Dwight wjechał na polanę. Motel miał kształt litery L, był piaskoworóżowy. Przed recepcją stały trzy wózki golfowe.

Dwight zaparkował obok nich. Drzwi do recepcji były otwarte. Po schodkach sturlała się piłeczka golfowa. Stop-klatka. Turlała się jak spowolniona upałem. Wszystko, co widział, sprawiało przerażające wrażenie.

Zamknął samochód i podszedł. Garnitur miał zmięty. Zobaczył Santa, Sama i Carlosa w golfowych ciuchach.

Recepcja była wyłożona boazerią. Chłopcy siedzieli na dużych poduchach i polewali likiery z karafek. Carlos wskazał na krzesło i drzwi. Dwight się podporządkował. Santo walnął w klimatyzator i pobudził zimne powietrze.

– Dwight jest za chudy – powiedział Sam.

– To nie jest człowiek przynoszący dobre wieści – powiedział Santo.

– My mamy dobre wieści. Miejmy nadzieję, że jego złe wieści im nie przeszkodzą.

Dwight padł na siedzisko. Ze świstem uszło z niego powietrze. Poczul się, jakby nic nie ważył.

Santo upił anyżówki.

– Dwight H. nie wie, co powiedzieć. Cóż to widzę?

Sam upił galliano.

– Dwight kruszeje. To dlatego traci na wadze. Jest na niepysznej diecie wysokookruchowej.

Carlos upił XO.

– Oto człowiek, który doświadczył straty. Wayne T. podłożył ogień pod budowy i obłupił nas ze skóry Bóg raczy wiedzieć z jakich powodów. Dwight musi się uporać z całym bólem wywołanym przez tego mormońskiego chuja.

– Wiem, że macie plany – powiedział Dwight. – Zabiorę wam tylko kilka minut.

Santo upił anyżówki.

– Tu masz słuszość. Czas to dobro, którego ostatnio nam brakuje.

Sam upił galliano.

– Piszę książkę o Waynie. Nosi tytuł *Śmierć szwarcobójcy*.

Carlos upił XO.

– Jacyś czerwoni usmażyli Ekipę Tygrysa. Założę się, że pojechali na polowanko.

Santo przestawił się na drambuie.

– Jak na mój gust byli zbyt żarliwi. Ja wam powiem. To były prawicowe świry.

Sam przestawił się na wódkę.

– Został tylko Dupek. Pojechał podglądać, kiedy Ekipę grillowano.

Carlos upił XO.

– Po cóż płakać nad rozlanym mlekiem? Balaguer już się pozbierał i znowu sięga do naszych kieszeni. Tym razem nie wynajmiemy ani szwarcofilów, ani neonazistowskich najemników z zamiłowaniem do zajęć dodatkowych.

Santo upił drambuie.

– Białe sztywniaki uwielbiają trwonić kasę w luksusowych tropikalnych ośrodkach. To Era Wodnika, skarbie.

– A więc głowy do góry – powiedział Sam.

– Z miejsca, bracie – powiedział Carlos. – Wyluzujmy.

Dwight pokręcił głową.

– Żadnych zagranicznych kasyn. To wiadomość od prezydenta Nixona. W Dominikanie nastąpił jeden wielki rozpiardol. To się nie może powtórzyć. Prezydent jest stanowczy. Będzie współpracował w każdej innej sprawie, ale swoje kasyna musicie odłożyć na półkę.

Wbili w niego wzrok. Analizowali. Zrobiła się stop-klatka.

Carlos rzucił w niego szklanką. Uderzyła w ścianę i się roztrzaskała. Santo i Sam rzucili w niego swoimi szklami. Spadły przy siedzisku. Spryskała go za słodka gorzała.

Dwight wstał i wyszedł. Nogi się pod nim ugięły. Wpadł do samochodu. Zobaczył łóżko, trawnik i koniec tunelu.

Parking.

Tydzień na starych śmieciach.

*Dupek, pariguayo. Zabiłeś faceta, który zabił JFK. Setki razy wyrzynałeś czerwonych i miałaś bukuu przygody. Masz dwadzieścia pięć lat. Masz siwe włosy i zmarszczki na twarzy. Plecy masz pochlastane.*

Crutch siedział w swoim wozie. Stara ekipa krążyła. Clyde i Buzz Duber, Phil Irwin i Chick Weiss. Bobby Gallard i Fred Otash.

Usłyszał kolejne co-tam-słyszać i nie-wyglądasz-najlepiej. Fred O. patrzył na niego złym okiem. Freddy brał udział w zamachu na Króla Bobby'ego. Freddy wiedział, że on wie. To już stare dzieje.

Biznes się kręcił. Chick wysłał Bobby'ego i Phila na polowanie. Tamten producent na Ravenswood miał trwałą pytosť. Żona nr 3 miała chęć na rozstanie, a mężuś na dupała.

*Ej, człowieku. Czy ty aby nie wplątałeś się w jakieś fajne gównno na Karaibach?*

Nie takie fajne. Trzeba mi było zostać w domu.

Oswobodził wieśniaków. Zrobił numer z wielkim białym bwaną i uciekł w krzaki. Spalił Tygrysowóz i wrócił piechotą do Santo Domingo. Spakował się i zabrał się w cholereę.

Chłopcy nigdy go nie przycisnęli. Dotarł do LA i zlikwidował archiwa. Zrespiknął się z Clyde'em i Buzzem i wrócił do śledzenia. Buzz zasypał go pytaniami. Wszystko zbagatelizował. Buzz spytał go o jego sprawę. Powiedział, że sobie odpuścił.

Rozpętała się burza. Chłopaki przysiadły w swoich wozach. On był osiem dni do tyłu. Clyde zobaczył, że jest rozjebany, i nie szczędził mu roboty. Angażował mocno podwieszzonego Filipino do spraw obu płci. Z wykopem wpadał do pokojów, robił *mucho* zdjęć. Sal Mineo potrzebował kasy i zgodził się wyobrać kobietę. Sprawa umarła wraz z miękkim fiutem Sala. Wyszło fatalnie. Powinien się ubawić. A on się przeraził.

Wszystko go przerażało.

Nigdzie nie czuł się bezpiecznie. Miał swoje mieszkanie w Vivian i swoje archiwum w centrum. Nie czuł się tam bezpiecznie. Zabrał archiwum matki i archiwum swojej sprawy. Wydawało mu się niebezpieczne. Podglądał Hancock Park. Julie Smith wyszła za męża, była w ciąży i wyprowadziła się z domu. Dana Lund miała tępego chłopaka. Postarzała się równie mocno jak on.



Crutch przekręcił kluczyk i włączył radio. Usłyszał piosenkę: „Twarze chodzą po deszczu”. Przestraszyła go. Wywodziła się z voodoo. Piosenka była wymierzona w niego. Teraz padało. Zmrużył oczy i próbował odczytać twarze za oknem. Nic kompletnie – tylko przechodnie z parasolkami.

Wszędzie widział znaki. Nie spał całymi nocami albo spał za długo. Słyszcy krzyki tego dzieciaka, *Dupek, pariguayo*. Mimowolnie widzi szajs. To duble Strefy Zombie kręczone w plenerach Los Angeles.

Jego sprawa się dezaktywowała gdzieś w jego głowie. Była tam – palnik pracuje. Leander James Jackson to Laurent-Jean Jacqueau, ale obaj nie żyją. Gretchen/Celia gdzieś była. Myśl o Joan bolała.

Deszcz zaczął. Crutch zobaczył dwie stłuczki. Wiadomości w radiu ple, ple, ple: Jane Fonda w Hanoi i James Earl Ray.

Crutch wyłączył radio. Czarna laska szła po Beverly. Klątwa przyniosła odwrotny skutek – pomyślał o Wayne.

*Próbowałeś mi powiedzieć, ja nie słuchałem. Zakablowałem cię. Ty dzisiaj nie żyjesz, a ja tu jestem. Odbiłeś na mnie klątwę, kutasie. Nie mogę jeść. Boję się być sam i schizuję na ludzi. Dzisiaj rano poszedłem do kościoła. Chciałem cofnąć klątwę. Pastor wykopał moją podglądaczą dupę z ławki.*

Pariguayo znaczyło „podpieracz ścian”.

Clyde zabrał go na wielkie ochłaj party Policji LA. Jack Webb robił za wodzireja. Marsh Bowen dostał Medal za Męstwo.

Marsh był ciotą. Kto wiedział, a kto nie? Kogo to obchodziło, a komu wisało? Marsh pozował do zdjęć ze Scottym Bennettem. Teraz byli dwubarwnymi kumplami. „Strzelanina Czarnych Bojówkarzy”? – słuszny rozpierdol federalnych. Operacja Wielkiego Dwighta przyniosła odwrotny skutek, a gliny narobiły bajzlu. Dwight gdzieś zniknął. Kilka razy dzwonił do dziupli i nikt nigdy nie odebrał.

Trzasnął piorun. Niebo zrobiło się czerwone jak od miotacza ognia. Crutch podskoczył ze strachu. Pobiegł do zatoczki serwisowej i stanął pod dachem.

Dwóch mechaników pracowało nad oldsmobile’em rocznik ’62. Crutch patrzył, jak wyciągają koło zamachowe i regulują sprzęgło. Na stole warsztatowym leżała rozłożona zmięta gazeta.

„Vegas Sun”. Kawalek o pogrzebie Wayne’a. Zdjęcie Mary Beth Hazzard w czarnej woalce. Płakała. *Uwierzyła w to, co jej powiedział, a i tak cierpiała.*

Stardust był w połowie Stripu. Apartament Wayne’a miał drzwi łatwe do sforsowania. Przeczytał książkę o voodoo. Cofnięcie klątwy to pestka. Dotykasz rzeczy ofiary i przypominasz sobie swoje myśli. Nie wierzył w to. To był luterański tekst usunięty w milion okamgnień. Wyobraził sobie, że posiada Wayne’a.

Jechał sześć godzin. Deszcz nie ustał ani na chwilę. Twarze pojawiały się i znikwały z muzyką z radia. Zaparkował na parkingu podziemnym i wjechał windą na piętro Wayne'a. Na pukanie do drzwi nikt nie zareagował. Sforsował drzwi i wszedł.

Apartament wyglądał tak samo. Te same meble, ten sam żrący odór. Wyglądało na zakonserwowane.

Wszedł do laboratorium. Tuż obok stworzono archiwum. Stosy dokumentów, pudła, wykres na ścianie. Odtworzył sobie swoje zakamarki archiwalne.

Strzałki, linie łączące. Staranne odręczne uwagi.

Prześledził linie i strzałki. Fakty, logika, domysły. To wszystko miało doskonały sens.

Zaginiony syn Mary Beth. Szmaragdy. Haiti i Leander James Jackson. Kobieta o ciemnych włosach z siwymi pasmami.

Celia, lewicowa agitatorka. Wzmianka o zakochaniu Joan i Dwighta Holly'ego.

Jego sprawa i sprawa Wayne'a – niepodzielne.

Dobry Boże, ta czerwona chorągiewka.

Łóżko, trawnik. Białe budynki, wstrzyknięty sen.

Znalazł się tu pod przymusem. Wtedy spędził tu trzydzieści dni. Teraz został osiem miesięcy. Trzydzieści lat pokutnej dziesięciny uformowało jego czas pomiędzy pobytami. Pierwsza wizyta była zbiegiem okoliczności. Kontekst polegał na pijackim zaniedbaniu. Wyrosły z niego odkupiające wpłaty i abstynencja. Ten pobyt wynikał z nierozważnego zamiaru i okrutnego politycznego myślenia. Żniwo śmierci było nieprzeliczalne.

Był tu. Ona była gdzieś tam, dokądkolwiek się udała, kiedy zniknęła. Wiedziała, że jest współsprawcą. Jej nieostrożność siała chaos przy innych okazjach. Odeszła zbudować wolę powrotu.

Silver Hill było piękne. Został na leczeniu trzy pory roku. Widział wybuch wiosny, letni blask i śnieg.

Wysłał teleks panu Hooverowi. Oznajmiał w nim, że potrzebuje długiego wypoczynku i że nie poda gdzie. Pan Hoover wiedział, że będzie tutaj. Miesiąc później przyszła kartka.

Odpoczywaj, ile ci trzeba. Mam dla ciebie nową robotę. W Los Angeles. Zaczynasz w styczniu.

Supernadzorca archiwum, dupogmer – eufemizował. Plotkarz i hiena. Strażnik gówna.

Robota niskiego ryzyka. Przydział niewiążący się z ryzykiem zgonów.

LA to LA. Mógł się czuć bezpiecznie na północy południa. Karen tam była. Joan mogła się pojawić i go znaleźć.

Zemdlał w Nowym Orleanie. Zamówił samolot z Biura i przyleciał prosto tutaj. Lekarze go zbadali i uznali, że jest zdrow fizycznie. Siłą karmili go obfitymi posiłkami i podtuczili go do właściwej wagi. Uśpili go. Przez sześć tygodni spał po osiemnaście godzin na dobę. Budził się przerażony. Gdy tylko otwierał oczy, widział tych, których utracił. Szlochał. Wpadał niepostrzeżenie w ataki paniki i rzucał się o ściany. Pielęgniarki go szprycowali. Zapadał w sen, a potem robił to wszystko od nowa.

Ściany w swoim pokoju miał miękkie. Kiedy się na nie rzucał, nie bolało. Chciał wywołać ból. Myślał, że to zamaze twarze martwych ludzi.

Ten etap miał już za sobą. Wypalił się przez powtarzanie. Lekarze zmniejszyli dawkę leków uspokajających. Unikał psychiatrów i innych pacjentów. Spędzał czas ze stadem oswojonych kóz. Mieszkały chronione na terenie ośrodka. Miały pocieszać wypalonych.

Karmił je i głaskał. Zamawiał pluszaki i wysyłał je dzieciom Karen. Udawał, że to jego dzieci i że ma życie, którego nikt nie rozpiardoli ani nie zniszczy. Te myśli go zabijały. Wściekał się, płakał i bał się, że już nigdy nie wyjdzie na świat.

Wracali do niego ci, których utracił. Siedział z nimi nieruchomo. Słuchał ich całymi tygodniami i rozmawiał z nimi. Dotarł do punktu, w którym mogli koegzystować.

Przychodzili i odchodzili. Zaczął widzieć to, co chcieli i co był im winien. Pozwalali mu odzyskać rozum.

Karen przysłała mu list pełen kwakerskich modlitw o pokój. Dziewczynki przysłały kartkę z podziękowaniem za pluszaki. Karen przysłała zdjęcie z nimi trzema. Na odwrocie skreśliła ich adres i telefon. Dina dopisała: „Jeśli ten pan się zgubi, proszę go zwrócić”.

Nosił zdjęcie. Spędzał całe godziny z kozami. Przemyślał to wszystko i zaczął pojmować.

Szczegółowo opracowana operacja. Wszechstronny projekt. Wyjaśniający wszystko scenariusz. Opowiedz, jak było wtedy i jak jest teraz.

Rasowy obłąd pana Hoovera. Wojna FBI z ruchem obrony praw obywatelskich. Ich katastrofalne faux pas z czarnymi bojówkami.

Wielka ekspozycja. Gęsto wypełniony akt oskarżenia. Traktat o spiskowym nastawieniu. JFK, RFK i MLK nie żyją. Powiem wam, jak to się stało.

Wielki stadny film dokumentalny z wyeksponowanymi głównymi graczami. Marsh Bowen: dwulicowy homoseksualista i bezwzględny prowokator. Postaci z mafii o powiązaniach z gettem. Strefa wynajętych pomagierów pana Hoovera. Agent specjalny Dwight C. Holly – wezwany do spowiedzi.

Wydarzenie poważnie surowej miary. Wielki pomysł zaczerpnięty z manii teczkowej pana Hoovera. Epopeja szkodliwych dokumentów uczynionych banalnymi przez niewiarygodną wagę swej jałowości. Tekst tak głęboki, że opiera się wszelkiej lekturze i powoduje kontrowersyjne badania po wsze kurwa czasy.

Widział to wszystko. Nic nie napisał. Odpoczywał i trącał się nosem z kozami.

Na Święto Dziękczynienia Karen przysłała mu placek brzoskwiniowy. Podzielił się nim z kozami. Robił się marudny na ich temat. Zawracał głowę administratorowi.

– Im się nie stanie krzywda – powiedział ten człowiek. – Nigdy, panie Holly. Będą tu do śmierci. Są tu dla takich ludzi jak pan.

Odpoczął. Spał. Miał kilka spokojnych snów o Waynie. Skorygował i dopracował swój pomysł. Niedługo będzie mógł jej powiedzieć. Wiedział, że jej nie znajdzie. Wyczuwał, że ona go znajdzie w LA.

Mylił się. To się stało nagle. Znalazła go tam z jego kozami.

Usłyszał kroki. Odwrócił się i zobaczył ją. Wyglądała bardziej zaciekle i oszałamiająco niż kiedykolwiek. Dźwigała każdy kawałek swojego brzemienia.

– Witaj, towarzysko – powiedział.

Wyciągnął czerwoną chorągiewkę.

– Co zrobimy? – spytała.

– Ja ci powiem – odrzekł.

# **CZEŚĆ IV**

# **CZARNY KARTEL**

5 GRUDNIA 1970–18 LISTOPADA 1971

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 5.12.1970. Dosłowny zapis rozmowy telefonicznej sporządzony przez FBI. Oznaczony: „Nagrany na polecenie Dyrektora”/„Tajne 1-A: Zastrzeżone dla Dyrektora”. Rozmawiają: Dyrektor Hoover, Prezydent Richard M. Nixon.

RMN: Witaj, Edgarze.

JEH: Dzień dobry, panie prezydencie.

RMN: Jak się czujesz? Na śniadaniu z Legionem Amerykańskim wyglądałeś kiepskawo.

JEH: Zapewniam pana, że jestem zdrow jak ryba, panie prezydencie. I jak pan wie, zawsze jestem gotów.

RMN: Gotów na nagrodę. Zrozumiesz, jak to jest ciężko, kiedy będziesz kierował tym cholernym krajem.

JEH: Tak, panie prezydencie. A skoro jesteśmy przy temacie, pozwolę sobie wyrazić gorącą nadzieję, że będę w stanie posłużyć panu przy wyborach na drugą kadencję.

RMN: Edgarze, ty stary dupku. Każdy, kto cię nie docenia, powinien czym prędzej przebadać sobie głowę.

JEH: Dziękuję, panie prezydencie. Chciałbym też dodać, że jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi od tysiąc dziewięćset czternastego roku.

RMN: Urodziłem się w tysiąc dziewięćset trzynastym, Edgarze. Ani chybi mieliśmy imprezę w mojej kołysce.

JEH: (Sześciosekundowe milczenie). Ekhm... cóż... tak, panie prezydencie.

RMN: Pewnie masz na to teczkę. Otwierasz teczkę za każdym razem, gdy jakiś lewak puszcza bąka.

JEH: Jeśli uważam go za wywrotowca, to rzeczywiście.

RMN: Jakieś sensacje w świecie czarnych nacjonalistów? Moi chłopcy z Departamentu Sprawiedliwości mówią, że to szaleństwo słabnie.

JEH: Może, panie prezydencie. Pantery i ZN są silnie zinfiltrowani i osłabieni procesami sądowymi, a mniejsi co prawda SCP i FWMM są kaput. Szesnaście aktów oskarżenia o ciężkie przestępstwa. Drobną akcja FBI, ale prawdziwe cacko.

RMN: Ta strzelanina była ciosem w samo serce.

JEH: Tak, panie prezydencie. A nawet określiłbym ją mianem Wielkiego Szlema.

RMN: Hmmm.

JEH: (Atak kaszlu/osiem sekund).

RMN: Nic ci nie jest, Edgarze?

JEH: Przechodzę przeziębienie, panie prezydencie.

RMN: Nieszczerólnie mnie zachwyciły posiedzenia Kongresu w ostatnim miesiącu. Tu tracisz fotel, tam tracisz fotel i zanim się spostrzeżesz, to się sumuje. Może poproszę cię o drobną pomoc przed wyborami w siedemdziesiątym drugim. Demokraci staną do nich

w silnej obsadzie. Chciałbym w stosownym momencie dostać na nich jakieś kompromitujące materiały.

JEH: Uch... jakiego rodzaju działania ma pan...

RMN: Brudne operacje, Edgarze. Nie zgrywaj przede mną niewinnej panienki. Nie udawaj, że nie robiłeś tego dla Lyndona Johnsona.

JEH: Uhm... no tak, panie prezydencie.

RMN: Dwight Holly byłby w tym świetny.

JEH: Dwight zablokował w naszym imieniu, panie prezydencie. Wydał edykt zakazujący naszym włoskim przyjaciółom budowy zagranicznych kasyn. To rozsądna decyzja, ale samo posunięcie było bezczelne.

RMN: Dwight to mój najlepszy kumpel. Gadamy sobie czasami przez telefon. Masz rację, ten plan jest świetny. Trzymam Chłopców na dystans i w odpowiednich odstępach czasowych wypuszczam ich ludzi z więzienia. W ten sposób wszystko wygląda należycie.

JEH: Tak, panie prezydencie, zgadzam się z panem.

RMN: Wielki Dwight to jajcarz. Mówiłeś, że on ma jakiś urlop zdrowotny, dobrze słyszałem?

JEH: Zgadza się, panie prezydencie. W przyszłym miesiącu wraca do Biura Los Angeles.

RMN: Dwight jest mocarny. To mi się w nim podoba.

JEH: (Atak kaszlu/czternaście sekund).

RMN: Nic ci nie jest?

JEH: Nic, panie prezydencie.

JEH: (Atak kaszlu/dwanaście sekund).

RMN: Jezu, Edgarze.

JEH: Zapewniam pana, panie prezydencie. Jestem w świetnej formie.

RMN: Skoro tak mówisz.

JEH: Powinienem...

RMN: Bebe Rebozo opowiedział mi któregoś dnia gównianą historię. Konwersował z jakimiś politykami w Paragwaju. Oni mu ją opowiedzieli.

JEH: Tak, panie prezydencie?

RMN: To jakaś legenda. Tajny zapasik szmaragdów finansuje prawicowe zamachy stanu od niepamiętnych czasów. Słyszałeś może...

JEH: (Atak kaszlu i stłumiony komentarz/tu kończy się transkrypcja).



## Scotty Bennett

(Los Angeles, 7.12.1970)

– Wykonując tajne zadanie, nauczyłem się wielu rzeczy, a wśród nich tego, że wrodzona przestępczość to wrodzona przestępczość, bez względu na uprzedzenia rasowe czy polityczne, które służą za usprawiedliwienie, bez względu na trafność czy nietrafność wyrażanej ideologii.

Gadka została nagrodzona owacjami. Burmistrz Yorty i naczelnik Davis klaskali. Scotty klaskał też. Marsh wyglądał dobrze. Paski sierżanta na nowym granatowym mundurze. Krótko ostrzyżone afro.

Pełna widownia: sala gimnastyczna, gliniarze i politycy. Żadnych federalów – to duża niespodzianka.

– Policja Los Angeles znakomicie położyła kres kryminalnym aspektom czarnego nacjonalizmu, jednocześnie otwierając ramiona dla nowego pokolenia policjantów wywodzących się z mniejszości.

Scotty zarechotał w duchu. Przyszedł do Marsha w marcu. Odczekał, aż wszystko ucichnie. Dzisiaj był ten dzień: spotkanie na szczycie w sprawie wielkiego napadu.

Kutas wiedział, jak przemawiać. Dobierał słowa i kołysał się do rytmu. Wystrzegał się homoestetyki.

Naczelnik go lubił. Szeregowcy mieli do niego uraz. Sam Yorty cieszył się swoim dobrotliwym gestem.

Marsh się nakręcał. Ho ho, ależ crescendo! Macha ręką jak JFK. Uderza w tę samą nutę odkupienia co MLK. Dostał owację na stojąco.

Ludzie otoczyli mównicę. Marsh zamienił się w Pana Miłosiernego. Scotty mrugnął okiem, wychodząc.

Napad z bronią w rękę – paragraf 211. W jego mieszkaniu znajdował się skarbiec na ten temat.

Osiemnaście zdjęć na ścianach. Osiemnaście zabójstw udokumentowanych. Dwanaście Panter niedocenionych. Nie można fotografować martwych i pochowanych.

Napady na monopolowe i kradzieże sklepowe. Zasadzki na łatwy cel i strzelaniny. Osiemnastu martwych Murzynów.

Marshowi wydawało się, że nienawidzi czarnych. Marsh był w błędzie. Nigdy nie wypowiedział słowa „czarnuch”. Nienawidził zabójców, dilerów i bandytów. Tam byli czarni bojówkarze. Jego wyłącznie czarny dorobek był fartowny i demograficzny. Tak się rozgrywało gównu.

Ann i dzieciaki byli we Fresno. W domu ciągle odbywały się męskie imprezy. Scotty wykładał gorzałę, dip i fritosy. Scotty wyciągnął wszystkie swoje akta.

Marsh Bowen nie dawał mu spokoju od samego początku. Marsh rozprowadzał te banknoty z atramentem. Marsh przez jakiś czas pracował w Banku Powszechnym. Marsh wstąpił do Policji LA. Każda z tych spraw z osobna niepokoiła, ale nie łączyły się w jedną całość.

Potem Marsh poszedł do federalów i urządził mu zjebkę. Potem Marsh zaczął pytać o napad. Potem on sprawdził w Wydziale Komunikacji i znalazł adres na rogu Osiemdziesiątej Czwartej i Budlong.

Scotty pożerał fritosy i dip fasolowy. Zdjęcia ze ścian przemówiły.

„Jezu, Scotty” – powiedział Rydel Tyner. A on na to: „Ostrzegałem cię, synu”.

Bobby Fisk wykrwawił się w All-American Liquor. Scotty dał babci Bobby’ego jego zwitek banknotów.

Lamar Brown miał szyję jak ołówek. Pociski z grubym śrutem odcięły mu głowę.

Rozbrzmiał dzwonek w piwnicy. Scotty otworzył. Marsh miał z powrotem cywilne ciuchy.

– Witaj, partnerze.

– Witaj, Scotty.

– Czuj się jak w domu. Powymieniamy się.

No to tak: sześć lat i dziesięć miesięcy. Marsh zaczął. Był tam tego dnia.

Był trzeci bandyta. Był czarny. Szef go postrzelił, poparzył i zostawił, żeby umarł. Trzeci mężczyzna wpełzł do zaułka i się ukrył. Marsh mieszkał tam wtedy. Widział trzeciego. Widział jego kamizelkę kuloodporną i dodatkową gazę. Skumał, że to ocaliło trzeciemu życie. Policja LA szalała na ulicach. Marsh był oburzony. Zabrał trzeciego do lekarza w domu obok i ukrył go tam. Doktor wyleczył mu rany i oparzenia. Mężczyzna nie chciał rozmawiać o napadzie i nigdy nie ujawnił swojej tożsamości. Zniknął dwa dni później. Zostawił lekarzowi dwadzieścia tysięcy dolarów w poplamionych atramentem banknotach. Lekarz złożył je w Banku Powszechnym Południowego Los Angeles. Powiedział Lionelowi Thorntonowi, żeby powoli wypuszczał banknoty na świat. Donacje charytatywne: rób je rozważnie. Małe sumy pojawiały się między czarnymi. Scotty naciskał paserów. Lekarz umarł w 1965. Marsh wpadł w obsesję na punkcie tej sprawy. Dostał robotę w banku, niczego się nie dowiedział i odszedł.

Teraz Scotty. Był tam tego dnia. Od razu pojął, że to coś wyjątkowego. Zdażył na miejsce przed mundurowymi. Znalazł nacięte pociski z zablokowanego automatu i schował je do kieszeni. Strażnicy z furgonetki strzelali z rewolwerów. Podobnie kierowca z ciężarówki

z mlekiem i szef, a także dwóch martwych bandytów. A zatem: był jeszcze ktoś trzeci, kto zniknął. To on miał zacięty automat.

Trzeci człowiek – logika teraz potwierdzona fizycznie.

Scotty obszedł miejsce zbrodni. Widział oddalające się ślady krwi. Ślad urywał się przy zaułku. Pobrał próbkę krwi. Kilka metrów dalej znalazł kilka granulek chemikaliów. Były pokryte śliną. Wykumał, że wypluł je ten trzeci.

Obaj wiedzieli tego dnia: trzeci mężczyzna uciekł.

Scotty nieoficjalnie zrobił badania krwi. Rzadkiej grupy: AB-. Pozostali mieli inne grupy krwi. Nacięte pociski: zamknięty temat, bracie. Sprawdził wszystkie automaty w rejonie Policji LA. Sprawdził każde wynajęte auto średniej wielkości. Rezultaty: same żadne. Zrobił badania granulek. Gównu – nie rozpoznano żadnych chemikaliów.

Marsh się wyrwał: ja mam nowy trop. Powiem ci na koniec. Teraz mała konfrontacja. Sprawdziłem akta na posterunkach Uniwersyteckim i przy Siedemdziesiątej Siódmej. Odkryłem fałszywe numery akt. Wiem, że masz prywatne archiwum.

Scotty wskazał swój skarbiec. Scotty im nalał i zesłi.

Prześledził losy szmaragdowej przesyłki i zrobił pewien postęp. Wyruszyła z Dominikany jako przesyłka rządowa. Rząd wykręcał się od odpowiedzi przed Policją LA. Scotty próbował wszystkiego. Pozostali gliniarze próbowali z mniejszym zapałem. Nikt nie mógł wyśledzić pochodzenia kamieni. Scotty wymyślił, że pochodziły z nielegalnego źródła, że zostały skradzione. Wysyłający nie zdecydowali się na przesyłkę dyplomatyczną. Wybrali Wells Fargo.

I:

Dokumenty przewozowe zniknęły z Wells Fargo tydzień po napadzie. Ktoś się włamał. Szefowie Wells Fargo nabrali wody w usta. W ogóle nie chcieli rozmawiać z Policją LA.

Marsh się wtrącił. Słyszał plotki – czarni w potrzebie dostają pocztą szmaragd w anonimowej przesyłce. Scotty znał te plotki. To taka legenda getta, kto wie, ja jej nie umiem zweryfikować.

Scotty zwiększył obroty, bo miał coś dobrego. Oto klejnocik: tu się wszystko kleci.

Pół roku po napadzie przycisnął część naocznych świadków. Jeden koleś powiedział, że przywódca był biały. No, jest biały. No, są plotki o czarnych bandytach. Biało-czarna ekipa w 1964 roku – duża rzadkość. Świadek nie miał innego opisu. Tu Scotty się wnerwił. Raz na wozie, raz pod wozem. Zbadał kierownictwo w Wells Fargo. Nigdy to nie wyszło poza fazę spekulacji.

Facet nazywał się Richard Farr. Zniknął po napadzie i włamaniu do Wells Fargo. Farr był pół Anglikiem, pół Dominikaninem. Scotty zebrał dokumenty na jego temat. Nie trafił na żaden trop. Powiązanie z Dominikaną nie dawało mu spokoju. I przyszło mu do głowy, że Farr mógł być jakimś komuchem.

Scotty dolał. Marsh wyglądał jak uczeń: proszę, niech mnie pan nauczy.

Śledztwo utknęło. Nic się nie pojawiło. Wszystkie tropy zawiodły. Scotty pracował pod kątem tożsamości. Zajęło to całe lata. Wprowadził swojego kumpla koronera, Toja Toma Takahashiego.

Tojo Tom zamroził fragmenty tkanek ze spalonych ciał. Wyizolował komórki skóry z jednego gościa i przebadał je. Znalazł chore leukocyty. Choroba występowała tylko u białych ludzi.

Scotty sprawdził dokumenty w pięćdziesięciu stanach. Zajęło mu to lata. Opłaciło się dopiero w 1969. Miejsce: zadupie w Alabamie. Osoba: Douglas Frank Claverly.

Dougie miał chorobę skóry. Dougie był sklanowany, miał na koncie napad z bronią w rękę. Wyczerpujące poszukiwania korzeni – nic. Owszem, ale... Dougie zniknął w styczniu 1964 – miesiąc przed napadem.

Scotty znowu zrobił użytek z Toja Toma. Tojo zidentyfikował fałszywego kierowcę ciężarówki z mlekiem. Pomogła stopiona obrączka. Obrączka osiadła w zagłębieniu skóry.

Tojo wyekstraktował obrączkę i zbadał komórki skóry na niej. Dobra, to był czarny. Tojo wziął chemikalia i pod mikroskopem odczytał na obrączce: JJJ & CV.

Scotty wysłedził obrączkę w Modesto. Zajęło mu to, kurwa, całe tygodnie. Zamówił ją Jerome James Wilkinson. Murzyn. Nie miał kartoteki ani rodziny. Pracował jako łamistrąjk. Zniknął w styczniu 1964, miesiąc przed napadem.

Tu się pojawia doktor Fred Hiltz. Uwaga: szmaragdy jechały do niego.

Tu Marshowi opadła szczęka. Rozpracowywał lewackie grupy dla doktora Freda i Clyde'a Dubera. Scotty powiedział, że wiedział o tym. Scotty'emu się to nie zgadzało z wieloletnimi tekstami o napadzie.

Kamienie rzekomo jechały do skarbcza Wells Fargo. Gotówka była depozytem bankowym. Kamienie jechały do doktora Freda osobiście. Miała je otrzymać jakaś fikcyjna korporacja. Sługus doktora Freda miał odgrywać kuriera. Doktor Fred uwielbiał kamienie jak cholera. Robiło mu się mokro od jakiegoś pojechanego prawicowego mitu szmaragdowego.

Doktora Freda sprzątnięto w 1968. Marsh powiedział, że znał podstawowe fakty. Scotty wyłożył rewelację z pierwszej ręki.

Zamknął Joma C. za te monopolowe. Ktoś udawał Marsha. Fałszywy Marsh złożył donos monopolowy i donos o dużym arsenale broni. Tamto gównem ściągnęło na głowę Marsha zagrożenie ze strony getta. Marsh wiedział to wszystko aż za dobrze. Marsh wiedział, że Jomo przyznał się do zabicia doktora Freda i do zabicia swojego kompana od tej roboty. A oto, o czym Marsh nie miał jebanego pojęcia.

Scotty przesłuchiwał Joma w obecności Dwighta Holly'ego. Wielki Dwight usłyszał zeznanie Joma o sprawie Hiltza. Nie widział drugiej sesji Scotty'ego.

Areszt Okręgowy. Oddział separatek. Jomo siedział sam.

Teraz Jomo się go bał. Jomo mówił do niego „panie Scotty”. Jomo związał się od dwóch ciosów w nerki.

Powiedział, że to łącznik nadał mu robotę u Hiltza. Znajdziecie schron. Ukradniecie gotówkę. Nie zabijajcie doktora Freda. Ostrzeżcie doktora Freda. Powiedzcie mu, że ma nic nie mówić o lutym 1964. On będzie wiedział, co to znaczy.

Jomo nic nie wiedział o napadzie. Do takiego wniosku doszedł Scotty. Jomo zamilkł. Jomo odmówił podania nazwiska łącznika. Łącznika! Termin z roboty wywiadowczej.

Scotty naciskał. Scotty potraktował Joma pałką. Jomo krzyczał i nie ustępował. Scotty uderzył za mocno i zabił go. Scotty namoczył prześcieradło wodą z toalety i upozorował samobójstwo.

Marsh dostał dreszczy. Synu, przerażam cię? Scotty zrobił mu whisky z wodą sodową i dosypał chipsów.

To go wzmocniło. Pojechał z resztą swojej opowieści.

Napędzany poczuciem winy Wayne Tedrow. Jego wyzwanie: znaleźć Reginalda Hazzarda. Chłopak wyglądał jak ten trzeci. Marsh właśnie sprawdził akta Policji LV. Młody miał wiedzę chemiczną. Marsh myślał o tym. Znowu poczuł to coś: takie spalenie ciała wymagało umiejętności chemika. Granulki i oparzenia chemiczne – Scotty przyznał mu rację.

Zanurzył fritosa w dipie.

– Musimy zdobyć grupę krwi tego Hazzarda.

Marsh narysował w powietrzu symbol dolara. Scotty narysował w powietrzu 50/50.

– Będzie fajnie – powiedział Marsh.

Chick Weiss uwielbiał asfaltową sztukę. Afrykańską i wyspiarską. Posągi jurności i bezrękie anioły stróże ze skrzydłami.

Zagracały jego biuro. Odbojniki drzwi i bibeloty biurkowe. Rzeźbione drewno z zatopionymi głęboko oczami.

Crutch i Phil Irwin przyciągnęli sobie krzesła. Zulubożek stał między nimi. Sięgał im do pasa. Miał trójgłowego fiuta. Strasowe oczy wyglądały kiczowato.

Chick przygotował panatelę. Miał cygarowy gadżet w postaci czarnej bogini. Rozsunął jej nogi, wsadził cygaro i obciął koniuszek. Wcisnął guzik. Usta bogini śmignęły dymem.

Philowi się to podobało. Crutch odwrócił wzrok. Chick zrobił sobie na biurku miejsce na nogi i oparł je.

– Robota foto. Tata to magnat billboardowy, a mama jest laską z dzieci kwiatów. Papa jest blisko z Policją LA. Jeden z jego kumpli pokazał mu taśmę ze spotkania dzieci kwiatów w Griffith Park. A tam mama jedzie z kolegami po całości, na wszystkie warianty, w kolejarza. Tata wynajął Clyde'a, żeby mu to posprawdzał. Spotykają się w motelu Sunset Breeze co drugi wtorek. Chcę to na delikatnie. Film przyrodniczy, cycuszki. Żadnych fotek na chama.

Crutch wstał. Phil wstał i zakiwał się kacowo. Przewrócił zulubożka. Parę cekinów odpadło mu z kutasa.

– Idźcie już, barbarzyńcy jebani. To jest bezcenna sztuka, a wy tak niepoważnie do niej podchodzicie.

Dzień był gorący. Phil przekupił kolesia w recepcji. Crutch włamał się do pokoju schadzek i spierdolił klimę. Uchylilił okno. Obiektyw się wpasował. Phil powiedział, że Chick nadużywał filmów z inwigilacji. Ma całą kolekcję. Uwielbia patrzeć, jak się ruchają zwyczajne laski i proste ciecie. To nielegalne i nieetyczne. Chick ma to w dupie. Ma wpływy. Robi imprezy z perwersyjnymi filmami dla elit LA.

Obserwowali z samochodu na parkingu. Phil naciskał Crutch'a o to gównu ostatnio. Ten trzymał gębę na kłódkę. Ich celem był pokój nr 6. W sąsiednich pokojach trwały hipisowskie imprezy. Przygłupy cały dzień puszczały głośno rocka. To oznaczało krycie odgłosów.

Crutch popijał kawę. Phil popijał 151. Wymieniali ploteczki i gadali o Mando Ramosie na Olympicu. Freddy O. kupił Taxi Tygrys – co za huk jebany.

Phil załadował aparat. Zajeżdża samochód obiektu. Żona i hipisowy ogier weszli do pokoju nr 6.

Crutch strzelił im fotę. Jego aparat notował czas przybycia na filmie. Phil zataszczył kamerę do szpary w oknie.

Wepchnął obiektyw do środka. Włączył. Rolki były pełne. Kamera start.

Kamera pracowała bezszmerowo. Fajnie. Materiał ilustracyjny wystarczał do rozwoju w Kalifornii. Żona i hipis byli głośni. Crutch słyszał ich pomimo rocka. Kamerzysta Phil zatkał sobie uszy zatyczkami.

Crutch próbował drzemać. Wsadź mi, wsadź stanęło na przeszkodzie. Pieprzone posążki Chicka. Czerwone strasowe oczy. Skrzydła w miejscu ramion.

Otworzyły się drzwi od miłosnego gniazdka. Phil wyciągnął kamerę i przykucnął. Żona i hipis wsiedli do swojej bryki i odjechali. Phil przyniósł kamerę.

– Robili sześć na dziewięć. Mam to wszystko w jednym ujęciu. Chickowi się spodoba.

– Ale z ciebie pierdoła.

Phil z szerokim uśmiechem chwycił się za krocze.

Wcześniej wysłała bożonarodzeniową kartkę. Do świąt były jeszcze całe tygodnie. Tym razem stempel z Amarillo w Teksasie.

Crutch wsadził piątaka do kieszeni. Crutch odłożył kartkę do swoich akt. Od 1955 do 1970 – w sumie szesnaście kartek. Margaret Woodard Crutchfield pokrywała już połowę Stanów Zjednoczonych.

Jego szafę wypełniały akta. Ciuchy wieszal w łazience. Akta jego sprawy zajmowały sześć pudeł. W centrum miał dziewięć.

Wyjrzał przez okno. Pozapalały się świąteczne lampki. O tak, rytuał. O tak, trzeba iść.

Ukradł czerwoną chorągiewkę z archiwum Wayne'a. Przykleił ją do swojej deski rozdzielczej. Podarł zdjęcia Joan. To było posunięcie oduroczające. Hancock Park było martwe bez zdjęć Joan. Potrzebował jej do zestawienia.

Osiem miesięcy w domu. Szczątkowa nerwica frontowa. Ciągłe nie może spać. Nie może pracować nad swoją sprawą. Jego koszmary są teraz banalne. Barbiturany je podkręcają. Pracuje dla Clyde'a i szoferuje na pół etatu. Freddy Otash kupił Taxi Tygrys. Wayne Tedrow wysłał z niego gotówkę. Freddy kupił je tanio.

To teraz centrum czarnego żywota. Ośrodek miłośników jazzu, bojówkarzy i Motownowych głupków. Sonny Liston robi sceny. Rock Hudson poluje na czarnego fiuta w stygrysonowanych limuzynach. Redd Foxx sprowadza kokainę i grzybki. Biali kierowcy noszą smokingi w tygrysie paski. Czarnuchom podoba się odwrócenie niewolniczych ról.

Jego sprawa, sprawa Wayne'a, napad. Trzy połączone sprawy. W kwietniu widział skarbiec Wayne'a. Od tego czasu jest unieruchomiony. Myśli o tym. Zatacza krąg.

Z LA do Dominikany i Haiti. Z powrotem. Śledzi Gretchen Farr. Ona oskubała Freda Hiltza. Gretchen Farr alias Celia Reyes. Całuje Joan. On widzi Dom Grozy. Części ciała, voodoooproszek, zielone szkło. Celia jest powiązana z Dominikaną. Celia ma książkę kodową. Miesiące dekodowania. Sukces. Symbole w książce pasują do znaków w domu śmierci. Zidentyfikował ofiarę: Maria Rodriguez „Tatuaż” Fontonette.

Joan i Celia są bardzo czerwone. Tatuaż zdradza sprawę. Kończy w Domu Grozy. Celia się zadaje z Samem G. Chce rozpiardolić budowy kasyn. Szalony Wayne robi to pierwszy. Crutch się mafiuje. Podśłuchuje pokój hotelowy Sama. Rozprowadza heroinę z Lukiem Duhamelem. Luc go zombiefikuje. Słyszy „szmaragdy”, „1964”, „Laurent-Jean Jacques”. To wszystko się łączy.

Wraca do LA. Dołącza się do federalnego przedsięwzięcia Dwighta Holly’ego. Podśłuchuje Marsha Bowena. „Marsh, mówi Leander James Jackson”. Czyli Laurent-Jean Jacques.

To wszystko się łączy. Marsh mieszkał WTEDY na rogu Osiemdziesiątej Czwartej i Budlong. Marsh jest blisko ze Scottym B. TERAZ. Ich pakt pokojowy poprzedziła „Strzelanina Czarnych Bojówek”.

Akta Wayne’a. Dziwne szmaragdowe upominki. Reginald H., zaginiony przed laty. Reggie wyjeżdża z Vegas dwa miesiące przed napadem. Młody kuma chemię. Młody się uczył o haitańskich ziołach. Joan uczyła Reginalda w Szkole Wolności. Joan wpłaciła za niego kaucję. Jest grudzień 1963. Zapowiada się napad.

Joan jest wszechobecna. Jest szpiclem Dwighta Holly’ego i prawdopodobnie jego kochanką. Jego wytchnieniem i kaftanem bezpieczeństwa. Gdzie jest Joan i dlaczego nie mogą jej znaleźć?

Crutch pojechał na skrzyżowanie Drugiej i Plymouth. U Dany świeciły się lampki świąteczne. Jej choinka wypełniała frontowe okno. Paczki prezentów sięgały gałęzi.

Ckliwa muzyka – Ray Conniff – jej zwyczajne sentymentalne bzdury wigilijne.

Kupił jej u Bullocka kaszmirowy sweter. Był czarny, w warkocze. Łosie rogi wpasowane w małe przetyczki.

Był zapakowany świątecznie. Podszedł i położył go na wycieracze. Zadzwoił i się zmył.

Radykalny szyk:

Cztery tygrysie taksówki odjechały z parkingu. Crutch zobaczył François Truffaut, jakichś czarnych koleś i Hanoi Jane we własnej osobie. Z łoskotem wjechała tygrysowa długa limuzyna. Prowadził ją Phil Irwin. Jego tygrysowy smoking zostawiał sztuczne futro na całym siedzeniu. Wiózł pasażerów: Chicka Weissa, Césara Cháveza i Leonarda Bernsteina.

Limuzyna ruszyła na południe. Crutch wszedł do baraku. Fred O. pracował przy centralce. Redd Foxx wciągał kokę. Milt C. trzymał na kolanach Narkogorylka. Sonny Liston sztachał się marihuaną.



– Ósmy marca, Nowy Jork – powiedział Narkogorylek. – Muhammad Ali kontra Joe Frazier. Oglądam to na telewizji przemysłowej w Taxi Tygrys, siedzibie Czarnego Kartelu.

Sonny dmuchnął dymem w twarz Narkogorylkowi. Milt zrobił taki kawał, że niby jest na głodzie, i zakaszłał.

– Ali to zniewieściały tchórz i dekownik. Islam to rynsztokowa religia. Ali bierze w dupala od Gamala Abdela Nassera i Niesławnego Elijaha Muhammada.

Redd Foxx zawył. Poleciał biały proszek i smarki. Fred O. zarechotał. Crutch zachachał.

Sonny rozpakował czopek morfiny. Szybkie rączki: wsadził go w spodnie i wetknął w odbył.

– Chodź, mały. Wieziesz mnie do Vegas.

Czempion odleciał w San Bernardino, a stracił przytomność w Barstow. Crutch całonocnie się zdeksedrynował. I-15 zero ruchu. Crutch jechał sto siedemdziesiąt na godzinę. Pustynia była lodowata. Płonęło sześć milionów gwiazd.

Radio szumiało cichutko. Pasma gór utrudniały odbiór. Crutch złapał stację ze starociami. Piosenki balowe z lat sześćdziesiątych. Magical Mystery Tour Sierżanta Podglądacza.

Muzyka się jednak zesrała. Crutch wyłączył. Sonny przez sen ujadał jak pies.

Crutch zerknął we wsteczne lustro. Sonny zwiślał, nogi miał wystawione za okno. Piasek wlatywał do samochodu.

– Kurwa – rzekł Sonny.

– Nic ci nie jest, mistrzu?

– Nie nazywaj mnie mistrzem. Tak sobie mów do tych wszystkich dupeuszy w slumsach.

– Dobra, szefie.

Sonny zapalił papierosa. Podpalił filtr, rzucił zapałkę i spróbował raz jeszcze. Po sześciu kolejnych natarciach odniósł sukces.

– Widziałem, jak walczysz z Wayne'em Betheą – powiedział Crutch. – Skopałeś mu, kurwa, dupę.

Sonny ziewnął jak pies.

– Znałem luzaka imieniem Wayne. Ciągle zabijał czarnych koleś, których zabijać nie chciał. Tamten chłopak nie żywił do nikogo nienawiści, ale jakoś ciągle wdeptywał w gówno. Ciągle próbował znaleźć czarnuchów do zabicia i czarnuchów do uratowania, a z tą kobietą chodziło o to samo.

Doczekali się wschodu słońca. Dochodził z Las Vegas. Kolorowe światła skompresowane przez ciemności.

– Podrzuc mnie do Piasków – powiedział Sonny. – Mam spotkanie z paroma osobami.

Crutch wcisnął gaz. Poczł się zauroczony i oduroczony. Sonny wrzucił trzy anielskie pyły do kieszeni smokingu. Tygrysi płaszcz cały był zmechacony – kłęby futra na dupie.

– Nie jedź od razu z powrotem. Zaparkuj gdzieś i odpocznij.

Była czwarta nad ranem. Strip tańczył. Mnóstwo taksówek i wózków golfowych. Wózki były wyposażone w wet bary. Pasażerowie obalali koktajle, kierowcy zbaczali.

Crutch zajechał do Piasków. Sonny dał mu setkę i zmierzwił mu włosy. Kawiarnia miała szklany front. Ludzie zobaczyli szaloną limuzynę i zawyli.

Sonny wysiadł. Ludzie pomachali. On się wtoczył do kawiarni. Mary Beth Hazzard podeszła i go uściskała.

Deksedryna pokonała anielski pył. Zaparkował limuzynę pod Gwiezdnym Pyłem i balangował do południa. Jego tygrysi smoking liniał. Futrzane kłaki łaskotały go w nochal. Poczł się wkurwiony niewąsko.

Zrezygnował ze spania i wybrał naleśniki. Mały stosik i kawa go zreaktywowały. Zrób to, zjebie. Jak tego nie zrobisz, to się zrezombiefikujesz.

Pojechał do Związku Personelu Hotelowego. Limuzyna zajęła dwa miejsca parkingowe. Odebrał parę wkurwionych spojrzeń. Szybko zamieniły się w rechoty. Jego tygrysowy smoking wzbudził ryk.

Portier wskazał mu drogę. Cały był jak na szpilkach. Drzwi do jej biura stały otworem. Podniosła wzrok znad biurka.

– Przykro mi z powodu Wayne’a – powiedział.

Odłożyła długopis.

– Próbował mnie ostrzec w paru sprawach.

Wyładziła podkładkę do pisania.

– Widzę rzeczy, których inni nie widzą – powiedział. – Umiem znajdować ludzi.

Otworzyła torebkę i wyjęła klucze.

Dziewczynki goniły psa sąsiadów. On się przyglądał z odległości dwóch domów.

Dina przyspieszyła. Ella dreptała chwiejnie. Pies zataczał zwodzące kręgi. Ella natarła, upadła i wstała. Bawiły się na frontowym podwórku. Na werandzie widział swoje pluszaki.

Dwight odsunął fotel. Samochód był zapakowany: tynktury, rozpuszczalniki i pędzle. Papier listowy wszelkiej maści.

Opuścił Silver Hill przed czasem. Miesiąc później zaczął pracę dla Biura. Joan zrozumiała jego plany. Dopisała się do nich całym sercem – tak działa wiara.

Wczoraj zadzwonił do niego Nixon. Jak tam? Odpoczął pan? Witam, witam, a tak swoją drogą...

Prezio tworzył szwadrony szkodnicze – czterech ludzi od brudnej roboty. Dwight odmówił. Prezio sprawiał wrażenie urażonego. Dwight polecił Howarda Hunta z CIA.

Ella złapała psa. On przycisnął ją łapami i polizał. Ella uśmieła się po pachy.

Karen wsiadła do samochodu. Sklecieli namiastkę uścisku bokiem. Ciągłe się zderzali nogami.

W końcu się dopasowali i tak zostali. Dziewczynki się obejrzały i pomachały.

Karen ujęła jego twarz w dłonie.

- Nic się nie zmieniłeś.
- Ty wyglądasz lepiej.
- Myślałam, że się roztyjesz od mojego placka.
- Większość zjadły moje kozy.

Karen podciągnęła nogi na fotel.

- Mój mąż jest z tyłu. Będę musiała zaraz iść.
- W tym tygodniu?
- Tak.

– Beverly Wilshire?

– Na to nigdy nie powiem nie.

Spletli dłonie na kierownicy.

– Nowe zbiory brudów pana Hoovera – powiedziała. – Poproszę cię, żebyś pokasował trochę akt.

– Ależ czemu trochę?

Karen się roześmiała.

– Chcesz czegoś. Ta improwizowana wizyta po tylu miesiącach nie pasuje do ciebie.

Dwight pogłaskał ją po kolanach.

– Myślę, że powinnaś sklecić zespół. W Medii w Pensylwanii jest Centralne Archiwum FBI. Myślę, że powinnaś się tam wbić na początku marca. Jest tam co najmniej dziesięć tysięcy akt z inwigilacji. Mogłabyś je wykraść i jednocześnie obnażyć politykę prześladowań FBI.

Karen zapaliła papierosa.

– Własnym uszom nie wierzę.

– A powinnaś.

– I to twój pomysł? Nie...

– Nie teraz, proszę.

– Żadnej broni. Wchodzę i wychodzę.

– Właśnie.

– I powiesz mi więcej. Wszystko, co muszę wiedzieć?

Dwight kiwnął głową.

– Tak, i to niedługo.

Ella przewróciła się i podrapała sobie kolana. Rozpłakała się.

– Muszę iść – powiedziała Karen.

– Kochasz mnie? – spytał Dwight.

– Pomyślę – powiedziała Karen.

Akta:

Pokój z aktami był wielkości parkingu. Wysokie półki, głębokie półki, dostęp z przesuwanej drabiny. Akta polityczne, akta kryminalne, akta osobowe. Akta informatorów. Akta z obserwacji, akta plotek, akta brudów w ogóle. W sumie 600 000 akt.

Wszystkie skatalogowane. Zbindowane katalogi wisiały na łańcuchach przy każdej półce.

Dwight szedł między regałami. Drabiny przesuwały się na nasmarowanych rolkach. Trzyipółmetrowe przykręcone do podłogi konstrukcje. Dwanaście półek w regale. Dwadzieścia cztery regały.

– Wyszedłeś przed czasem. Z miesiąc chyba.

Dwight się odwrócił. Jack Leahy opierał się o drabinę.

– Znienawidzisz tę robotę. Te akta nie najlepiej przedstawiają pana Hoovera.

– Najbardziej niezręczny szef agentów specjalnych FBI. Jakim cudem uchowałeś się tak długo?

– Prawniczy fart. A prawo cywilne w porównaniu z tym? Daj spokój.

Uścisnęli sobie dłonie. Jack usiadł na szczeblu drabiny.

– Nie widziałem cię od sprawy Hiltza i od rozpoczęcia OPERACJI BARDZO ZŁY BRAT.

– No, podwójne szczęście, w żadnej z nich nie doszło do ujawnienia.

– Tak, ale jakim kosztem.

Dwight pokręcił głową.

– Wolałbym o tym nie rozmawiać.

– Nie dziwię ci się. Stara ciota, szmatławi bojówkarze i Scotty Bennett w jednym ruchu? Ja bym jeszcze wcześniej wystąpił o urlop zdrowotny.

– Cicho, Jack. To stare dzieje.

Jack zakaszłał.

– No, kurwa, znasz zasady. Monitorujesz akta brudów ogólnych i dokładasz wiedzę od informatorów. Masz gliny, przestępców, którzy chcą względów, dziennikarzy, pluskwiarzy, kelnerów, portierów, kierowców, komorników, recepcjonistów, knajpiarzy i poszkodowany lud całego świata. Starasz się płacić za mało za swój brud. Stara ciota chce gówna, ale po cenach dumpingowych.

Dwight kichnął. Archiwum było przechłodzone. Suche powietrze zapobiegało gniciu papieru.

– Prowadzicie stałe stanowiska podsłuchowe?

Jack przewrócił oczami.

– Mamy podsłuchy w dymalniach i w apartamentach hotelowych. John Wayne zjawia się w Chicago. Portier w Drake dzwoni do tamtejszego szefa agentów specjalnych. W okamgnieniu Wayne jest awansowany do penthouse'a. Niestety, jest podsłuchiwany. A swoją drogą, Wayne jest transwestytą. Nosi długą kieckę w rozmiarze pięćdziesiąt sześć.

Dwight się roześmiał.

– Coś jeszcze powinienem wiedzieć?

– Połowa pedalskich łaźni w LA jest na podsłuchu. Stara ciota raz przyłapała radnego na skrócie w La Cienega, więc prowadzi dziewięć stanowisk podsłuchowych naraz.

Dwight sięgnął po akta i przejrzał je. Johnnie Ray obciąga w Ferndell Park. Obciążany jest informatorem FBI. Lana Turner strzela rowa ciemnym siostron, około pięćdziesiątego czwartego. Podsłuchane w Tacce Sułtana Sama.

– Jak tam zdrowie starej cioty? Widziałem go w zeszłym miesiącu w DC. Wyglądał wręcz widmowo. Miałem kiedyś informatorkę o ksywce Zła Królowa. Musiała być zaginioną siostrą starej cioty.

Męski burdel Liberace'a. Oglądacz Danny Thomas. Nimfomanka Peggy Lee. Mineciarz Sol Hurok. Masochista James Dean – Popielniczka.

Dwight odłożył teczkę. Została notatka na marginesie. Ava Gardner i Redd Foxx. Jean Seberg i połowa Czarnych Panter.

– Baw się dobrze, Dwight. Powiedziałem starej ciocie, że to szalony nowy świat, ale mi nie uwierzył.

Wynajął lokal rezerwowy. Służył za przestrzeń biurową/metę. Blisko dziupli i mieszkania Karen. Klucze miał on i Joan. Tam trzymali swoje rzeczy. Bungalow wychodził na ulicę Karen. Mógł patrzeć, jak dziewczynki się bawią.

Na róg Baxter i Cover miał niedaleko. Dwie przecznice i zasięg lornetki.

Dwight zaparkował i wniósł kartony. Miał czas rozpamiętywania. Później spotykał się z Joan w Statlerze. Lokal rezerwowy stanowił metę spiskowców. Salon, kuchnia, łazienka, materac do drzemki.

Wyciągnął krzesło z tarasu. Skierował na południe swoją lornetkę Bausch & Lomb. Karen przeszła przez podwórko. Dina i Ella ganiały koty.

Karen wyglądała mizernie. Jego propozycja ją oszołomiła. Wie, że to operacja towarzysząca. Wie, że operacja główna jest duża. On nie umie jej powiedzieć, jaka jest jej istota. Zabijemy pana Hoovera i wrobimy w to Marsha Bowena.

Pomanipulują zbieżnością. Marsh zostanie przedoskarżony przez dowody w postaci sfałszowanych dokumentów. Cofną się do roku zero, a sięgną daleko poza 2000. Zrekrutują zawodowego snajpera. Bob Relyea zastrzelił MLK. Powinien strzelić znowu. Zabójcą jest homoseksualny czarny policjant. Zabija najważniejszy w tej epoce symbol białej władzy i natychmiast popełnia samobójstwo. Podłożone dokumenty ujawniają, że to klęska polityki społecznej. Marsha Bowena pochłonęło szaleństwo o rodowodzie politycznym. FBI przekupuje go i zleca mu pracę tajnego agenta. On przechodzi radykalną przemianę. Jednocześnie usiłuje wykorzystać sytuację. Nękają go seksualne demony, które wywołują okropny wstyd. W „Strzelaninie Czarnych Bojówek” ginie dwójka dzieci. Marsh Bowen powraca do policji z zaszczytami zrodzonymi z mordu niewinnych. Pan Hoover stworzył kontekst ogólny. Agent specjalny Dwight C. Holly wprowadził go w życie.

Stworzą pamiętnik Marsha Bowena. Wyszczególni on rosnący chaos w psychice błyskotliwego czarnego mężczyzny. Wpisy będą o dziwnej przyjaźni z agentem specjalnym Hollym. Agent Holly zwierzył się Marshowi Bowenowi. Opowiedział mu o wojnie FBI z ruchem obrony praw obywatelskich i opisał fanatyczno-rasistowskie motywy kierujące panem Hooverem.

Nie pojawi się żadna wzmianka o zamachu na Kinga. To przyćmi wstrząs po śmierci pana Hoovera, wywoła apokalipsę. Fikcyjna przyjaźń pomiędzy Hollym a Bowenem wryje się w pamięć. Obejmie świat winy i nadziei. Pamiętnik przybierze formę uzasadnienia wyroku. Spowoduje zalanie czytających nawałem istniejących wcześniej dokumentów FBI. Dokumenty stworzą opowieść o banalnych szczegółach, która wyciszy się w grozę. Wielka ława pośmiertnie postawi Marsha w stan oskarżenia. Gadki o spisku zaleją ogół obywateli.

Pan Hoover był już teraz częściowo zdyskredytowany. Jego antykingowe ataki stały się powszechnie znane. W porównaniu z tym były bez znaczenia. Brakowało im siły wstrząsu. To

będzie wielkie wydarzenie. Wywoła falę niedowierzania i pełną rezygnacji tragiczną akceptację.

On będzie wyzwalczem. Zasiądzie w komisjach i na obradach wielkich ław. Stanie przed Senatem. Opisz, jak wyzyskiwał Marsha Bowena. Wyszczególni swój własny okres nienawiści rasowej, drobiazgowo naszkicuje swoje czarnobojówkowe faux pas i nakreśli koszty w ludziach. Ujawni swoją przyjaźń z Marshem i namaluje żywy obraz białego człowieka i czarnego człowieka jako bliźniaczych dusz w niewoli. Obejmie Marsha wybaczeniem i zdystansowaną miłością, odczuwaną do tych, których się łamie. Opowie historię swojego załamania nerwowego. Pogodzi się z intensywnie analizowanym życiem.

Dom Karen był oddalony o rzut kamieniem. Dwight wyostrzył widok. Ella rzuciła w Dinę klockami. Starsza siostra się roześmiała i uciekła.

Przedstawił plan Joan. Byli w łóżku. Wynajęli domek w pobliżu Silver Hill. Zadrzała tak, jak on drżał zawsze. Wzbudził w niej podziw taki, jaki ona zawsze wzbudzała w nim.

Pójdzie do więzienia. Cztery do sześciu najwyżej. Areszt ochronny, korty tenisowe, dodatkowe korzyści dla informatorów federalnych. Może tam będą jakieś zwierzęta, to wtedy by się nimi zajmował.

*– Weź je – powiedziała Joan. – Pomogą ci zasnąć. Dwie brązowe kapsułki ziołowe.*

Nie wyłączyły go. Umieściły go pomiędzy. Joan go oprowadzała. Położyła dłonie na jego klatce piersiowej i zmusiła go do oddychania w tempie. Zaczęła mówić po francusku i po hiszpańsku. Większość kumał. *Cap Had'tien, Cotuí, Pico Duarte. Puerto Plata, Saint-Raphaël, El Guayabo.*

*Oddychaj, jestem tu, teraz jesteś bezpieczny. Powiem ci, co zrobiliśmy z podarunkami Wayne'a.*

Znajdowali się w Statlerze. Tyle wiedział. Mieli kwaterę opłaconą przez Biuro. Joan zasłoniła mu oczy i kazała mu iść tam, gdzie ona każe.

*Każdy grosz poszedł na walkę. Odnowiliśmy cztery kryjówki i kupiliśmy lekarstwa na czarnym rynku. Celia pomalowała ściany. Balaguer zamierzał przekształcić Tygrysi Pazur w luksusowy jacht. Czterech towarzyszy wysadziło go w suchym doku.*

*Mostem powietrznym przetransportowaliśmy żywność i zioła lecznicze do slumsów za Dajabónem. Tamtejsza niewielka sekta kanonizowała Wayne'a Tedrowa. Noszą jego zdjęcia z gazety przymocowane do stożkowych kapeluszy. Teraz istnieje senny mit o Wayne. Ludzie uważają, że zamordowali go i umęczyli skrzydlaci.*

*Teraz spokojnie, wiem, że to widzisz, wiem, że go kochałeś. Oddajemy cześć umarłym przez obrazy. Tak działa wiara.*

*Celia zorganizowała kanał przerzutowy broni. Kupiliśmy broń na Kubie i przewieźliśmy ją do Port-au-Prince. Wykupiłam więźniów z więzienia La Victoria i zdobyłam dla nich fałszywe dokumenty oraz broń. Pieniądze trafiły do nawróconych w La Bandzie. Zostawili otwarte*

drzwi więzienia i podarli dokumenty. Młody człowiek, którego uratował Wayne, w pełni spłacił swój dług. Zabił sześciu oprawców z La Bandy w burdelu w Borojol. Celia wysadziła izbę tortur pod polem golfowym El Presidente.

Straciliśmy kilku swoich. Pewne represje były nieuniknione i kosztowały nas wiele. El Jefe założył kaganiec na relacje i publikacje z naszych akcji. Wiadomość o nich rozniosła się przez drukowane ulotki i podziemne radio.

Wielu z uwolnionych przez Wayne'a niewolników dołączyło do nas. Niektórzy noszą na szyi jego zdjęcie. Na północnym wybrzeżu Dominikany doszło do potyczek. Oddział saperski Ruchu 14 czerwca wysadził Zatoczkę Tygrysa. Wiele sekt voodoo uważa place budowy za miejsca święte. Wielu ludzi nie chce po nich chodzić. Zastrzeliliśmy dwóch przywódców Tonton Macoute i trzech bezwzględnych bokurów na polu golfowym nieopodal Ville-Bonheur. Celia zaginęła gdzieś w Dominikanie albo w Haiti. Od miesiący jest nieosiągalna. Nie mogę jej znaleźć ani nie mogę zgodnie z sumieniem kontynuować poszukiwań, skoro mamy do wykonania swoje zadanie. Jeśli cokolwiek z tego zobaczysz albo zobaczysz wszystko, a moje obrazy posłużyły ci za przewodnika, spróbuj teraz zasnąć.

Statler zapewniał szlafroki dla gości. Jeden rozmiar pasuje wszystkim. Jego pasuje było za małe, Joan w swoim utonęła.

Wstała pierwsza. Room service przyszedł i poszedł. Dwight nalał sobie kawy. Joan przeglądała stos papierów. Wózek obsługi służył za stół warsztatowy. Kanapa za kącik do pracy.

– Jak postarzemy dokumenty?

– Dwa posiedzenia w piekarniku. Nakładasz na papier chemikalia i pieczesz go. Później nakładasz atrament albo wstukujesz tekst na maszynie.

– Jak różnicujemy druk czy pismo?

– Wytniemy szablon i zadrukujemy albo zapiszemy odręcznie miejsce na marginesach.

Joan zapaliła papierosa. Oczy miała czerwone – bezsenne noce i dużo palenia.

– Pamiętnik jest ważny. To nasz podstawowy tekst, więc musi być znaleziony.

Dwight siadł na kanapie.

– Musimy być pewni, że on jeszcze nie ma pamiętnika. Musimy go namierzyć, tak żeby go podwędzić i podmienić, tuż przed zbieżnością.

– Pisany na maszynie, tak? Nie chcemy ręcznie fałszować dokumentu tej wielkości.

Dwight napił się kawy.

– Zgadza się. Jeśli ma maszynę do pisania, kupimy taką samą i od tego zaczniemy. Na pierwszym włamie wezmę próbki czcionek.

Joan wzięła go za rękę.

– Scotty Bennett? On jest teraz blisko z Marshem.

Dwight wzruszył ramionami.



– Scotty to niewiadoma. Z jednej strony to zasłużony gliniarz, a z drugiej brutalny kutas. Ważne, że on potwierdza ogólny tekst. Zabił osiemnastu uzbrojonych bandytów i co najmniej dwanaście Panter, i to wyjdzie albo zostanie zatuszowane, co postawi Policję LA w fatalnym świetle.

Joan się uśmiechnęła.

– Jak twoje sny?

Dwight się uśmiechnął.

– Żywe, dopóki mówiłaś. Potem trochę surowe.

Joan wskazała na stos zapalek reklamowych. Wszystkie z knajp dla pedałów. Handlarz, Jaguar, Sokole Gniazdo. Marsh krąży po Hollywood. Marsh trzyma w swojej kryjówce poppery.

– Może mieć kochanka, który zaprzeczy naszej wersji.

Dwight pokręcił głową.

– Jest samotny, dyskretny, szczególnie teraz, kiedy jest gwiazdą. W tym miesiącu trafił na okładkę magazynu „Ebony”.

Joan skipowała.

– Kto strzela?

– Klanowiec, z którym już pracowałem.

– Kompetentny?

– Tak.

– Trudno będzie ich połączyć.

Dwight napił się kawy. Pomagała na dobijający się ból głowy.

– Marsh musi być osobno. Tamten musi strzelać z daleka, inaczej nie da rady. Snajper może strzelić, zabić Marsha i podrzucić broń. Trzeba tylko pomanipulować zbieżnością i zapewnić właściwą linię strzału.

Joan kiwnęła głową.

– Trzeba zadbać o pretekst. Dać Marshowi powód, by tam był.

– Tak – powiedział Dwight. – I LA będzie najlepszą lokalizacją. Po pierwsze, Marsh tu jest. Po drugie, Policja LA będzie pracować nad sprawą z pełną mocą, by ukryć wszystko, co mogłoby postawić ich w niekorzystnym świetle. Jack Leahy będzie reprezentował biuro, a Jack to twardy orzech do zgryzienia z dziwnym nastawieniem do pana Hoovera.

Joan potarła skronie. Zgniotła nabrzmiałą żyłę.

– To potrwa miesiące.

– Wszystko sprowadza się do tworzenia poziomów podtekstu. Na początek musimy położyć warstwę dezinformacji.

– Każda niespójność spowoduje wnikliwsze badanie.

– I wyższy poziom paranoi, i rozpaczliwsze pragnienie, żeby to wszystko dopasować.

– A to wydarzenie wyzwalaające – powiedziała Joan. – Myślałeś o tym?

Dwight strzelił kłykciami.

– Nie tylko myślałem. Biuro ma Centralne Archiwum w Medii w Pensylwanii. Przechowuje się tam 10 000 akt z inwigilacji. Łatwo się tam włamać.

– Ujawnione włamanie? – spytała Joan z uśmiechem.

– Tak, ujawnione wcześniej. Przy odrobinie szczęścia wywoła powszechne oburzenie, wszyscy ruszą do archiwów, dzięki czemu nasze wydarzenie stanie się o wiele bardziej przystępne.

– Im więcej ludzi ruszy do akt, tym więcej zobaczą i nie zobaczą. Nie wiedząc, czego szukają, będą szukać intensywniej, więc ten proces się załamie i wyciszy.

Dwight się przeciągnął. Kark go bolał. Spał wtulony w Joan.

– Karen.

– Tak – powiedział Dwight. – Ona zbierze zespół.

Joan odgarnęła włosy.

– Cóż, jest świetna.

– Tak.

– Nie możesz jej powiedzieć, co robimy.

– Wiem.

– Mamy tu do czynienia z zupełnie odmienną etyką.

– Wiem.

Joan zapaliła papierosa. Dwight przyglądał się jej twarzy. Dostrzegł nowe zmarszczki. Siwych włosów było więcej niż ciemnych.

– Kto ocenzurował twoje akta?

– Nie powiem ci.

– Powiedz mi, co ci się nie udało. Powiedz mi, jak się z tego wykaraskałaś i się w tym wszystkim wzięłaś.

– Nie powiem ci.

Dwight strzelił kciukami.

– Znałaś Tommy’ego Narduna. Został zabity w Grapevine Tavern.

Joan wpatrywała się w niego.

– Tak, to prawda. Jestem pewna, że to ty go zabiłaś i twoi kumple, tak samo jak on był pewien, że to ty przeprowadziłaś zamach na Kinga.

Dwight też się w nią wpatrywał.

– Powiedz mi, skąd on wiedział.

– Widział cię w Memphis dwa dni wcześniej. Wiedział, kim jesteś u Hoovera. Widział, jak rozdajesz koperty gliniarzom w Memphis.

Dwight zamrugał powiekami. Grill u Smitty'ego. Glina pluje sokiem tytoniowym, glina wachluje się setkami, glina pochłania przypalone resztki.

– Co jeszcze?

– Karen mówiła, że całą wiosnę byłeś w złym stanie.

– Szkoła Wolności. Stamtąd się znacie z Karen.

Joan pochyliła się ku niemu. Pocił się. Szlafrok miał cały mokry.

– Znamy się z Karen dłużej, niż sądzisz.

– I to ty ją wmanewrowałaś, żeby nas poznała.

– Tak.

– Dlaczego?

– Bo po prostu wiedziałam.

– To nie jest odpowiedź.

– Bo wyczułam wspólną sprawę. Bo doszłam do wniosku, że pomożesz mi zabić pana Hoovera.

Dwight gapił się na nią. Ona dotknęła jego nogi. Wayne uśmiechnął się skądś. No proszę, paniusiu. Zero strachu.

– Niezależnie doszliśmy do tego samego pomysłu – powiedziała Joan. – Ja chcę go zabić, odkąd byłam dzieckiem. I nie powiem ci dlaczego.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 16.12.1970. Fragment ukrytego dziennika Karen Sifakis.

Los Angeles, 16 grudnia 1970

Zrobię to, oczywiście. Powierzę zadanie swoim najbliższym i najroztropniejszym towarzyszom. Nikomu w czasie akcji nie stanie się krzywda. Dwight sporządził dla mnie schematyczny plan archiwum i przekonał mnie, że budynek nie będzie strzeżony. System alarmowy jest przestarzały, a sam budynek stoi na uboczu. Bill K., Saul M. i Anna B.-W. zgodzili się wziąć udział. Dwight nazywa to „aktem wyjaśnienia samym w sobie”. Oczywiście bywa nieszczerzy. Oczywiście wie, że sposobność demaskacji nielegalnych praktyk inwigilacyjnych FBI jest dla mnie zbyt kusząca, bym się jej mogła oprzeć. Ustalił datę na 8 marca. W ten sam wieczór Muhammad Ali walczy z Joem Frazierem. Dwight uważa, że miejscowi gliniarze będą siedzieć w knajpach, żeby śledzić relację z walki, tak że ich zdolność koncentracji i wola doszukiwania się nadzwyczajnych zjawisk będą ograniczone.

Moi towarzysze są przeciwnikami przemocy. Nie mogę tego powiedzieć z ręką na sercu o Dwighcie. W następstwie szaleństwa z czarnymi bojówkami doznał załamania nerwowego i czuje się współwinny. Widzę to w jego jeszcze czulszym traktowaniu moich dzieci. Czy powinnam tu wyznać pewien sekret? W trakcie tamtej transakcji narkotykowej zginęła dwójka dzieci. Ten właśnie wyjątkowy wstrząs zdaje się nim powodować. Widzę, jak robi to, co ja.

Pieczołowicie oddzielam swoje dzieci od pracy, żeby zapewnić im bezpieczeństwo, a poza tym zachowuję się stosunkowo lekkomyślnie. Jestem butna w sposób, którego próżno szukać u Dwighta. O jego lekkomyślności stanowi trauma, podczas gdy mojej towarzyszą korzyści duchowe i można ją nawet uznać za infantylny wybór stylu życia.

Ella ma już prawie dwa latka. Gdziekolwiek idzie, nosi ze sobą pluszowe zwierzaki, które kupił jej Dwight. Podobnie jak Dina wie już, że ma dwóch tatusiów w niepełnym wymiarze godzin i wygrała los na loterii, jeśli chodzi o uszczęśliwionych tatusiów. Kiedy będą starsze, poproszą mnie o wyjaśnienie. Powiem „To były takie szalone czasy” i poczuję się jak idiotka.

To mój pierwszy wpis od marca. Wtedy opisałam lunch z Joan i podarunek od niej w postaci pięknego szmaragdu. Coraz częściej przypominam sobie naszą rozmowę z tamtego dnia. Joan mówiła o snach jako o połączonym stanie świadomości, wirusie zarażającym podobnie myślących ludźmi, którzy nie mogą się przyznać do tego podobieństwa myśli ze strachu przed samozatraceniem. Trafiło to do mnie, chociaż aspekty mistyczne wydawały mi się bardzo do Joan niepasujące. Dzisiaj wiele dziwnych i dziwnie nierealnych rzeczy nabiera sensu, ponieważ „To szalone czasy”. W tym względzie zarówno Joan, jak i ja jesteśmy sennymi przewodniczkami Dwighta. Ja usiłuję sprowadzić mu sen spokojny i jestem zazdrosna, że Joan może sprowadzić mu sen żarliwej wymiany myśli.

A myśl dla Dwighta zawsze kończy się działaniem.

Mój mąż cztery dni temu wyjechał z miasta. Dwight przychodzi co drugą noc. Jestem pewna, że w nocy, których nie spędzamy razem, sypia z Joan. I co najmniej raz dziennie dzwoni porozmawiać o polityce. Stara się sprawiać wrażenie utylitarysty, ale ciągle zakrada się w to percepcja idealisty.

Na wzniesieniu na Baxter Street o rozmaitych porach dostrzegam błysk szkieł lornetki. Wyśledziłam go w niewielkim pawilonie i zakradłam się do środka. Rozpoznałam ubrania w szafie. Należały do Dwighta i Joan, oczywiście.

Na stole zobaczyłam narzędzia do fałszowania dokumentów i pudła pełne chemikaliów i papieru. Modlę się, aby moje sny pokoju podziały na ich sny i powstrzymały ich od wyrządzenia większych szkód.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 18.12.1970. Fragment dziennika Marshalla E. Bowena.

Los Angeles, 18.12.1970

W zeszłym tygodniu dopadłem za włóczegostwo czarnego głupka. Miał wykroczenia na koncie, a nie mógł się wykazać żadnymi środkami utrzymania. Już miałem go aresztować, kiedy on się skrzywił, rozpoznając mnie. Uśmiechnął się i oznajmił dość beznamiętnie: „Jesteś Gość”.

Miał słuszość. Jestem Gość. Jestem odznaczonym oficerem Policji Los Angeles. Jestem, że zacytuję magazyn „Ebony” – „ikoną nowej czarnej męskości” i „pewnym faworytem na stanowisko naczelnika policji w przyszłości”. Nie należy wykluczać kariery politycznej czy w dziennikarstwie telewizyjnym. Jestem chłopcem z okładki magazynu. „Ebony” i „Jet”, a niedługo dołączy „Sepia”. Ze względu na szczodrość, której sam doświadczam, mogę sobie pozwolić na wielkoduszność. Powiedziałem więc do tego głupka: „Nie mylisz się, bracie. Jestem Gość” i puściłem go wolno.

Pracuję w Wydziale Śledczym Okręgu Hollywood. Jeżdżę na nocne warty K-carem i koordynuję śledztwa na poziomie ciężkich przestępstw. Kryminaliści wszelkiej maści rzucają mi spojrzenia pełne nabożnego lęku i spojrzenia rozżalone, bracia policjanci rzucają mi spojrzenia pełne nabożnego lęku i spojrzenia rozżalone. Mam dwadzieścia sześć lat, z czego trzy spędziłem w Policji LA. Jestem sierżantem, pracuję w prestiżowym Wydziale Śledczym. Jestem czarnym bohaterem, pracowałem jako tajny agent i pokonałem dwa groźne, handlujące heroiną ugrupowania czarnych bojówek, które w głębi duszy były antyczarne. Nie jestem już pomniejszym bratem dla picu szwendającym się po slumsach. Przeprowadziłem się z obskurnej nory w Watts do ładnego domu w Baldwin Hills. Pozwolę sobie powtórzyć: ponad wszelką wątpliwość jestem GOŚĆ.

Najwięcej zarobiłem na czarnobojówkowym duchu epoki. Ruch czarnych nacjonalistów pogrążył się w chaosie. Mamy ogólnokrajową paradę aktów oskarżenia, procesów, wyroków i rozmaitych prawnych awantur, rezultat wieloletniej policyjnej infiltracji i sporów międzygrupowych. Eldridge Cleaver ukrywa się w Algierii. Pantery i ZN zdemaskowały się przez małostkowe spory, ogólny brak kompetencji i wrodzoną krnąbrność. SCP i FWMM nie istnieją. Ja swoimi zeznaniami wpakowałem za kratki moich ujaranych, uchłanych, latających za kurwami towarzyszy. Wayne Tedrow szukał śmierci w okazałym stylu i znalazł ją w Haiti. Pan Holly miał załamanie nerwowe. Ja teraz w getcie się boję. Jestem znanym szpiclem, słynnym zdrajcą i żądnym sukcesów gliną.

„Jesteś Gość”. A pewnie.

Pobyłem trochę w Taxi Tygrys. Nowym właścicielem jest niejaki Fred Otash. „Freddy O.” – były gliniarz z LA, były prywatny detektyw, najemnik mafii i magnes dla bezpodstawnych plotek. Freddy robi wymuszenia, Freddy szprycuje konie wyścigowe, Freddy brał udział w zamachach na MLK i RFK. Nie wierzę w żadną z tych plotek i wierzę we wszystkie. Jestem Gość. Dopiero co zdobyłem wiarygodną przeszłość i jeszcze więcej bieżącego piętna.

Sonny Liston nadal regularnie bywa w Taxi Tygrys. Spędzamy czas razem. On uwielbia władzę i strasznie mu się podoba, że przez ten cały czas, kiedy mnie znał, byłem kapusiem. Sonny jest bardzo mocno uzależniony od heroiny i strasznie tęskni za swoim przyjacielem Wayne’em. Mówi o Wayne’u tęsknie. Często mu współczuję, bo mnie też Wayne obchodził. Sonny wie, że znałem Wayne’a w Taxi Tygrys. Sonny nie wie, że byliśmy w zмовie. Tęsknię

za rozmowami z Wayne'em najbardziej na świecie. Nasze senne stany zazębiały się przez kilka słodkich chwil i próbowaliśmy rozszyfrować, co to wszystko znaczy.

Nie tęsknię za panem Hollym. Ostatnio rozmawialiśmy przed „Strzelaniną”. On zna ocenzone wersję wydarzeń tamtego dnia i wie, że na nich skorzystałem. Nie chce mnie widzieć ani ja nie chcę widzieć jego. Pan Holly przypomina mi trenera footballu, w którym kochałem się w Liceum Dorsey. Bałem się go i darzyłem szacunkiem oraz uczuciem. Z czasem go przerosłem. Adieu, panie Holly. Wiele mnie pan nauczył. Dzięki.

Dyskretnie i wyłącznie daleko od miasta oddają się Skłonności. Nadają się do tego Ventura i Santa Barbara. Nękam cioty na Selma Avenue i Hollywood Boulevard i noszę w tym celu dociążone rękawice. Mam zasadę: każda ciota, która sepleni albo ciotuje zbyt natarczywie w mojej obecności, dostaje baty.

Jestem gliną. Budzę sporo wrogości wśród białej gliniarskiej braci. Nieważne. Trzymam się blisko z jedynym liczącym się białym gliną.

Scotty spytał mnie, czy męczą mnie te zabite dzieci. Powiedziałem, że nie za bardzo. Nigdy nie będziemy sobie naprawdę ufać, ale i tak się lubimy. Zebraliśmy swoje informacje o napadzie i uzgodniliśmy: musimy znaleźć Reginalda Hazzarda. Wczoraj zadzwoniłem do Mary Beth Hazzard w Las Vegas. Zapodałem cały swój urok szlachetnego Murzyna, powołałem się na przyjaźń z Wayne'em Tedrowem i wyjaśniłem, że wiem, że Wayne szukał jej zaginionego syna. Powołałem się na powiązania z Policją LA i zaoferowałem pomoc. Czy Wayne prowadził jakieś akta w tej sprawie? Czy omawiał z nią tę sprawę?

Pani Hazzard była grzeczna. Nie, nie omawiali zniknięcia Reginalda. Po śmierci Wayne'a wyrzuciła akta. Nie czytała ich. Nie chciała wiedzieć.

Zadzwoniłem do Scotty'ego. Spisaliśmy na straty trop z aktami. Sprawdziłem dokumentację szpitalną w Vegas i dowiedziałem się, jaką grupę krwi ma Reginald Hazzard. Owszem, AB-. Owszem, taką samą jak grupa krwi ocalonego bandyty.

Scotty podjął poszukiwania Reginalda w kartotekach w całym kraju i nie znalazł nic. Uzgodniliśmy: może nie żyje, a może wyjechał z kraju. Teraz Scotty sprawdza biura paszportowe.

Wyznaczyliśmy drugie spotkanie strategiczne. Scotty powiedział mi o proroczych ostatnich słowach kolesia, który napadł na bar, a którego Scotty zastrzelił w 1963. Facet wpadł w barze Srebrna Gwiazda na rogu Oakwood i Western. Scotty strzelił mu w plecy. Zostało mu kilka chwil życia. „Scotty – rzekł – ty to jesteś Gość”.

No to jest nas dwóch.

# 91

(Los Angeles, 19.12.1970)

Poszukiwania paszportowe dały efekt. Odrzucony wniosek paszportowy nr 1189 z 14.03.1964.

To dwa i pół tygodnia po napadzie. Reggie jest w Nowym Orleanie. Składa wniosek paszportowy pod własnym nazwiskiem. Ma fałszywy dokument, jego wniosek zostaje odrzucony. Biuro w Nowym Orleanie: słynie z niedbałości. Dokument tożsamości: fałszywy na bank.

Scotty odłożył słuchawkę. W wydziale cisza. W jego boksie porządek. Sztacha się dwukrotnie i gasi papierosa. Zaczyna myśleć.

Reggie jest filarem. Reggie próbuje uciec z kraju. W Nowym Orleanie go utracają. Próbował raz jeszcze? Dostał paszport i udało mu się wyjechać?

Jomo Clarkson, bardzo zły Murzyn. Jomo dostaje zlecenie na doktora Freda Hiltza. Napadniesz na tego rasistowskiego skurwiela. Nastraszysz go w sprawie lutego '64.

Jomo powiedział, że zlecenie dostał od „łącznika”. „Łącznik”: czysta nomenklatura agencyjna. Jomo zmarł śmiercią gwałtowną, ale popatrz na to:

Kobieta zachęcała fałszywego Marsha Bowena. Kazała mu podkablować Joma. Kobieta zakablowała Marsha jako ciotę. Dwight Holly przyglądał się pierwszemu przesłuchaniu Joma. Słowo „kobieta” go jakby ruszyło.

Scotty zapalił kolejnego papierosa i sztachnął się jeszcze dwa razy. Myśli przyspieszyły.

– Czuję świnię – powiedział Narkogorylek. – Widzę wielką dwunożną szynkę. Dlaczegoż ten świński matkojebca nosi taką śmieszoną kokardkę pod szyją?

Opierdalająca się brać zachichotała. Scotty uchylił kapelusza. Sonny Liston zamarł, parskając. Stół ekspedycyjny był cały w proszku.

Fred O. przyjmował rozmowy na centralce. Scotty pokazał mu, żeby wyszedł na zewnątrz. W 1952 mieli razem nocną zmianę w Central. Freddy miał wyjątkowe zdolności.

Parking tęsknił za miotłą. Raziły go rozrzucone śmieci i puszki po drinkach.

– Słucham cię – powiedział Fred O. – Rozmowa z tobą to stracone pieniądze.

Scotty łyknął proszek na zgagę.

– Trzeba przycisnąć cieplaka. Jest taki jeden homo, któremu nie ufam.

Fred O. podkubał sobie w uchu patyczkiem.

– To kosztowna propozycja. Będą ci potrzebne przynęta, podsłuch i cerber.

– Mogę ci dać pięć tysięcy.

Fred O. pokazał w górę.

– Dziesięć – powiedział Scotty.

– Piętnaście i mamy dobite. Po starej znajomości zacznę już i dam ci czas na pozбиeranie kasy.

– Dobra.

– Pracowałem nad przyciskaniem ciepłaków w sześćdziesiątym siódmym z Pete'em Bondurantem. Zabraliśmy się za ciotę z ruchu obrony praw obywatelskich. To była robota federalna. Sfinansował to niejaki Dwight Holly.

Scotty wznosił oczy do nieba.

– Znam Holly'ego. Nie chcę go w to wtajemniczać.

– Dla mnie okej.

– Daj mi kadry.

– Pete i ja mieliśmy na Sala Minea haka z mokrą robotą. Poprzytykał się ze swoim chłopaczkiem i pociął go. Cioty go lubiły. Mogliśmy go jeszcze wykorzystać.

Scotty przeżuł tabletkę.

– Poznałem Sala. Posunie każdego. Był gwiazdą przez pięć minut. Mój cel może na to polecieć.

Freddy zapalił papierosa.

– Fred Turentine na podsłuch i Phil Irwin na cerbera. Fred T. jest najlepszy na zachodzie. Phil jest cholernie dobrym najmitą i jeździ trochę dla mnie.

Scotty pokręcił głową.

– Phil jest alkoholikiem i rucha Murzynki. Zapomina o bożym świecie na widok każdej speluny i czarnej laski.

Freddy wzruszył ramionami.

– Dobra, no to Crutchfield. Zna Sala przez Clyde'a Dubera. Ma jaja na swój perwolski sposób.

Scotty sztachnął się dwa razy i rzucił papierosa.

– Dobra, wchodzę. Na początek jednak dwa zastrzeżenia. Po pierwsze, to jest dla mnie sprawa z asem w rękawie. Po drugie, chcę, żeby trafiły do mnie wszystkie filmy i zdjęcia. Po trzecie, ja mam wszystko pod kontrolą.

– Jasne. Mnie to rybka. Nasz klient, nasz pan.

Odjechała tygrysia taksówka. Wilt Chamberlain jechał z przodu. Gwiazda gładziła sobie afro.

– Cel to glina. Musimy bardzo uważać. To nie jest jakiś durny pedryl, którym możesz poniewierać.

– Więc Reggie składa papiery w Nowym Orleanie i dostaje odmowę. Przyjmijmy, że składa w innych biurach z lepszym dokumentem albo z dokumentem na fałszywe nazwisko i wtedy



dostaje odmowę albo nie. Kolejne telefony nie wystarczą. Musimy zobaczyć te jebane odrzucone akta, bo zawsze są w nich zdjęcia. Poszperałem trochę. Najbardziej bałaganiarskie biura są w Milwaukee, St. Pete i Lynn, Massachusetts. Zjeby z lipnymi dokumentami zawsze wałą najpierw tam. Musisz tam jechać. Jedziesz, machasz odznaką i sprawdzasz akta.

Dudziarz na Western. Klientela z szesnastej: głupki z karetek siorbją kawę.

– Zrobię to – powiedział Marsh.

– Od razu, brachu – powiedział Scotty.

– A co z Bankiem Powszechnym? Myślę, że moglibyśmy przydusić Lionela Thorntona.

Scotty pokręcił głową.

– To zbyt ryzykowne. Po pierwsze, on włązi w dupę każdemu zasranemu politykowi w LA. Po drugie, miałeś tam robotę i niczego się nie dowiedziałeś. Po trzecie, ja umieściłem w banku małe gliniarskie wtyki w sześćdziesiątym szóstym albo siódmym i niczego się nie dowiedzieli.

Marsh skubał swoją porcję. Był wybredny. Prawie, prawie emanował ciotą.

Scotty polał sobie ketchupem frytki.

– Dobra, mamy rok sześćdziesiąty czwarty. Doktor Fred chce podkraść te szmaragdy. Potem mamy sześćdziesiąty ósmy. Doktor Fred ma włam i kasację. Mamy sześćdziesiąty dziewiąty. Jomo mówi, że „łącznik” – jego, kurwa, określenie – kazał mu ostrzec doktora Freda co do lutego sześćdziesiąt cztery.

– Mów dalej. – Marsh kiwnął głową.

– Dobra, ty kablujesz na Joma, ale to tak naprawdę nie ty. Jest wiosna sześćdziesiąt dziewięć. Mamy aferę federalów, a ty jesteś wtyką Dwighta Holly’ego. Wayne Tedrow jest waszym łącznikiem, szuka Reggiego, niestety, mama Reggiego wyrzuciła akta, było, minęło, i założę się, że Wayne był za cienki, jeśli chodzi o tę robotę, żeby w tych poszukiwaniach zrobić duży postęp. To słowo „łącznik” nie daje mi spokoju. Tak mówią gliniarze. Myślę, że tu się dzieje coś lewicowo/prawicowo/gliniarskiego.

Marsh kiwnął głową.

– *Cherchez la femme* – powiedział Scotty.

Marsh wzruszył ramionami, że ale o co chodzi.

– To kobieta szeptała temu, kto cię podrabiał. Wielki Dwight dygnał, jak mu to powiedziałem. Wracajmy teraz na koniec marca. Dostaję cynk, że jakaś komuszka chce rozprowadzić trzy funty prochów.

Twarz Marsha się krzywi. Twarz Marsha kamienieje. Natychmiastowy zwrot. Brachu, tu coś śmierdzi.

„Blak-O-Rama”.

Crutch przejrzał pierwszy numer. Zostawili go Phil Irwin i Chick Weiss. Phil uwielbiał czarne laski z ogromniastym afro i w szydełkowych bikini. Największa była reklama Taxi Tygrys. „Supermodny ośrodek Nowej Czarnej Męskości”. „Laboratorium towarzyskie, które pokazuje, że integracja jest możliwa”.

W interesie panował spokój. Crutch przysiadł w tygrysowej limuzynie. Jego tygrysowy smoking miał łupież. Tygrysove siedzenia miały parchy. Oczy miał bardzo, bardzo nadwężone. Sześć razy czytał akta Wayne’a Tedrowa.

Złożył akta w swojej mecie w śródmieściu. Nowe pudła przytłoczyły mieszkanie. Z lektury dowiedział się:

Wayne nie powiązał Reggiego Hazzarda z napadem na opancerzoną furgonetkę. Wayne nie wiedział, że napad spina to wszystko. Wayne nie powiązał z napadem Joan Rosen Klein. Wayne nie do końca powiązał Laurenta-Jeana Jacqueau i Leandera Jamesa Jacksona. Wayne nie zdecydował, w którym wsiuńskim areszcie Joan wpłaciła kaucję za Reggiego. Wayne umarł przed „Strzelaniną Czarnych Bojówek”. Wayne nie wiedział, że Scotty B. i Marsh B. są teraz partnerami. *Wayne w ogóle nie rozeznał się w powiązaniach z napadem.*

Crutch przeleciał „Blak-O-Ramę”. Najwięksi klienci w cytatach. Wilt Chamberlain powiedział: „Najfajniejsze przejażdżki w LA, mała”. Archie Bell powiedział: „W Taxi Tygrys jesteś Gość”. Allen Ginsberg powiedział: „Taxi Tygrys to wielorasowa awangarda”.

Phil Irwin zajechał na parking. Przywiózł Chicka Weissa i kubańską kurwę. Chick miał wielkie oczy od metakwalonu. Buzz Duber wyjechał z parkingu. Wiózł Lenny’ego Bernsteina i mulata/mulatkę.

To najmodniejszy nowy ośrodek. Dorabiający najmici i doprawiona deksedryną kawa. Taxi Tygrys jeździ całą dobę.

Crutch wysiadł z limuzyny i przeszedł się po parkingu. Lenny B. zerknął sobie na wora. Chick i Phil łyknęli metakwalon i wzdychali z rozkoszy.

– „Rozwód bez orzekania o winie” – powiedział Chick. – Zapamiętaj ten dzień. To koniec takich obciążających wałkoni jak wy.

– Będzie się działo – dodał Phil. – To nieodłączna część całego tego liberalnego hipisowskiego szajsu, co to się rozłazi po kraju. Nie trzeba już przeprowadzić dowodu, żeby dostać rozwód.

– To oznacza, że tacy krętacze jak ja – ciągnął Chick – nie muszą już płacić takim perwom jak wy, żeby wpadali komuś do pokoju albo podglądali przez okno.

– Perwy? – prychnął Phil. – Przyganiał kocioł garnkowi.

Chick go uciszył. Lenny B. łyknął metakwalon i westchnął.

Crutch pokazał im fucka i poszedł do baraku. Czarny Kartel był na nogach i w komplecie. Milt C., Fred O., zbłąkane Pantery i gliny. Sonny Liston, na popijawie.

Wziął „Vegas Sun”. Cytował je bardzo głośno:

„Były mistrz się stacza. Były król wagi ciężkiej tkwi w Brokesville. Liczne poufne źródła doniosły naszemu reporterowi, że zamieszkały w naszym mieście Sonny Liston, niegdysiejszy mistrz świata wagi ciężkiej, lada dzień zgłosi się zapewne po talony żywnościowe albo poszuka roboty w roli kasynowej maskotki jak Joe Louis. Kasa mu się rozchodzi i znika w rezultacie okropnych nawyków, a specjaliści uważają, że wzmianki o trzeciej walce z Muhammadem Alim, gdyby ten przeżył walkę o tytuł 8 marca z Joem Frazierem, nie zasługują nawet na miano bajek”.

– Trudno zaprzeczyć – rzucił Redd Foxx.

– Już ja rozruszam twoją słodką dupę – powiedział Narkogorylek. – Tak się tobą zajmę, że nikt cię nie pokona.

– To jakieś jebane bzdury – wnerwił się Sonny. – Zarobiłem czternaście tysi na płatkach ryżowych Kellogga i sześć mi jeszcze zostało.

Freddy dał znak Crutchowi. Weszli do sracza. Freddy zaryglował drzwi.

– Co byś powiedział na robotę przy pedale? Zapłacę ci dwa tysiące.

Crutch wpadł w uniesienie.

– No kurde, pewnie. Zrobię to.

– Chcemy Sala Minea na przynętę. Znasz go, więc go zrekrutuj. Dostanie trzy i pół i zero prawa do odmowy. Wspomnij moje nazwisko, to powinno stłumić protesty.

Crutch przełknął głośno ślinę.

– A dla kogo to?

– Dla Scotty’ego Bennetta.

Crutch jeszcze raz głośno przełknął ślinę.

– A kim jest cel?

Freddy się roześmiał.

– Ten glina Marshall Bowen. Ten czarny gnojek to ciota.

Sonny dawał sobie w żyłę na tylnym siedzeniu. Pokonali już połowę drogi do Vegas. Do Bożego Narodzenia zostało pięć dni. Ekipa Tygrysa nosiła czapeczki Świętego Mikołaja.

Crutch zdjął swoją. Nie pasowała do tygryśowego smokingu. Północ minęła, nudy.

Przyciskanie ciepłaka. Kłopoty w rajcu. To musi być związane z napadem.

Scotty odwiązał sobie ramię.

– Mam do ciebie słówko, Podglądaczu. Wygadałeś Mary Beth Wayne’owy szajs. Wszystko mi podkablowały renifery Świętego Mikołaja. Teraz już nie spuszczę cię z oka.

Crutchowi przyspieszyło serce. Przed maską przemknął kojot. Crutch prawie zjechał z szosy.

Radio się włączyło. Czterdzieści mil wcześniej góry zabiły sygnał. Brenda Lee i *Jingle Bell Rock*.

Crutch zerknął we wsteczne lusterko. Tętno mu skoczyło do dwustu. Sonny odpadł. Z ust wysunęły mu się protezy.

Piosenki bożonarodzeniowe pocieszały go do granicy stanu. Terapia odwracania uwagi w połączeniu z traktem wspomnień.

Boże Narodzenie 1954. Babcia Woodard przyjechała z Ortonville w Minnesocie. W marcu ma udar. Jego matka ucieka w czerwcu.

Boże Narodzenie 1962. Paul McEachern łoi mu dupę. Boże Narodzenie 1966. Kradnie samochód chłopakowi Dany Lund i wrzuca mu do baku fajerwerka.

Sonny się poruszył. Co dam łobi da ligła? Crutch się nie odzywa. Vegas mający trzydzieści mil przed nimi.

– Nie jestem splukany i nie pobieram zasiłku – powiedział Sonny. – „Vegas Sun” pisze pierdoły i jakiś anonimowy debil przysyła mi, kurwa, pocztą zielony szmaragd. Zawinięty w, kurwa, gazetę, żebym, kurwa, koniecznie skumał.

Cios w splot – Crutch się dusi i widzi podwójnie. Droga ucieka. Zahacza o słupek. Księżyc podskoczył i fiknął.

Sonny przytrzymał się drzwi. Crutch się ogarnął za kierownicą. Księżyc prawie się ustatkował.

– Mogę zobaczyć kopertę od szmaragdu?

– Nie, Podglądaczu. Nie możesz. Możesz mnie dowieźć, kurwa, do Vegas w jednym, kurwa, kawałku i zostawić mnie, kurwa, w spokoju.

*Szmaragdy, przyciskanie ciepłaka, powiązanie z Czarnym Kartelem. To się wszystko łączy.*

Przespał się na parkingu Piasków. Obudził się i przespał raz jeszcze po plackach i krwawej mary. Redd Foxx sprzedał Sonny’emu cztery torebki w LA. Sonny jedną torebkę zapodał sobie w limuzynie. Sonny powinien być w śpiączce w tej chwili.

Crutch obserwował jego chatę. Długa tygrysowa limuzyna przyciągała spojrzenia. Chata była luksusowa wedle smoluszych standardów. Okolica była półbiała.

Teraz albo nigdy.

Szybki ruch i wytrychy. Przed wejściem stał buick Sonny’ego, krążownik szos. Za kołatkę robiła mosiężna rękawica boksyerska.

Obudź umarłego. Lepiej nie ryzykować.

Crutch załomotał kołatką, zadzwonił dzwonkiem i kopnął w drzwi. Nie doczekał się reakcji, więc powtórzył sekwencję. Cisza w eterze przybrała na sile. Pchnął drzwi i wszedł.

Uderzyło go chrapanie. Sonny zramolał na skajowej kanapie. Za opaskę uciskową posłużyła mu gumowa linka z haczykiem. W bezwładnej garści trzymał strzykawkę.

„Mistrz się stacza?” O tak. W chacie było strasznie brudno, brakowało mebli. Z sufitu leciały trociny, klima przeciekała. Freon ściekał do psich misek.

*Szybka akcja, nie spierdol tego.*

Obszedł chatę. Salon, kuchnia, dwie sypialnie. Żadnych półek, toaletek, ciuchy w torbach papierowych. Najpierw szafki kuchenne.

Przeszukał śmietnik. Znalazł spalone tacki po gotowych daniach i półlitrowe butelki po wódzie. Przeszukał szuflady. Eureka! Jest.

Zwykła biała koperta, normalnej wielkości, żadnego adresu nadawcy. Nazwisko i adres Sonny'ego wypisane dużymi literami. Znaczek z LA, w środku wycinek z gazety, zero zielonego, kurwa, szmaragdu.

Crutch chwycił kopertę za krawędzie. Wrzucił ją do plastikowej torebki i schował.

Sonny ujądał przez sen.

Clyde przesłał mu telegraficznie trzy tysiące, na adres Wydm. Przesiedział do piątej za kierownicą. Miał swoje zdjęcie Reggiego Hazzarda. Kupił mapę samochodową Nevady i Kalifornii. Zadzwonił do Taxi Tygrys, że jest chory. Odstawił limuzynę do garażu na dzień, żeby nie wyglądać jak czubek.

Wynajął forda sedana. Zrzucił tygrysowy smoking i kupił sportowy płaszcz. Wyruszył posmarować wieśniackim glinom. Wayne powinien był od tego zacząć.

Wioski. Graniczne miasteczka i osady. Pustynne punkty z posterunkami sześćcio-, ośmio- i dwunastoosobowymi.

Rainbow Hill, Crescent Peak, Dyer, Daylight Peak, Woodford, Minden, Pahrump, Salisbury, Mid-Lockie. Czternaście miasteczek kalifornijsko-nevadzkich.

Jechał od wioski do wioski. Pokazywał zdjęcie przypięte do setki. Smarował wieśniackim glinom, zastępcom szeryfów i świrom od szmuglowania wetbacków. Kładł nacisk na grudzień 1963. Opisał Joan. Wspomniał niestawienie na rozprawę – mogę zerknąć do waszych archiwów?

Kilku gliniarzy go spławiło. Większość wzięła kasę. Paru powiedziało, że wypierdzieliło kartoteki uciekinierów do śmieci. Większość wykręcała się od odpowiedzi po prostu.

Pracował nad tym trzy dni. Wydał 3400 dolarów. Spał w tanich motelach i śniła mu się Joan. Zaliczył dziewięć dziesiątych miasteczek z mapy. Zmierzał do LA.

Zjechał z I-15 w McKendrick. Posterunek mieścił się w baraku z blachy falistej przy polu sałaty. Aresztanci wykonywali schyłaną robotę. Na park samochodowy składały się cztery

stare fordry i szesnaście koni. Zbieracze sałaty mieli więzienne kombinezony. Gliniarze jeździli wózkami golfowymi i chlali piwsko.

Crutch zaparkował przy uwiązonym deresz. Podszedł do niego spieczony słońcem gliniarz. Miał rany rakowe jak Crutch senior.

– W czym pomóc, młody człowieku?

– Mam kilka pytań, gdyby był pan tak uprzejmy.

Gliniarz wyciągnął rękę.

– Uprzejmość kosztuje. Nie udawajmy, że nie.

Crutch rzucił mu pięćdziesiątkę.

– Zatrzymanie za włóczęgostwo i posiadanie broni. Grudzień sześćdziesiątego trzeciego. Do aresztu trafił czarny młodziak, a biała kobieta o ciemnych włosach z siwymi pasmami wpłaciła za niego kaucję.

Gliniarz wyciągnął rękę. Crutch pokręcił głową.

– Miałem wtedy służbę – powiedział gliniarz. – Uprzejmość nie jest za darmo.

Crutch oddzielił dwie pięćdziesiątki. Gliniarz strzelił palcami. Crutch oddzielił jeszcze dwie.

Gliniarz wydłubał kożę z nosa.

– Czarnuch i Żydowa. Zbiegowie. Nie prosz o akta, bo żadnych nie ma. Młody zostawił w celi parę książek o komunie i o chemii. Może ciągle są w magazynie.

Narzędzia:

Proszek do odcisków palców i pędzle. Taśma do odcisków. Szkło powiększające i karta odcisków Joan.

Cele:

Koperta Sonny'ego Listona. *Podstawy chemii* Magrudera. *Wyklęty lud ziemi* Frantza Fanona.

Pracował w Vivian. Ustawił biurko z boku i wyłożył to wszystko. Wielka lampka na wygiętym statywie dawała światło.

Kartki książek były porowate. Odciski nie mogły się na nich zachować. Obwoluty były błyszczące i na nich mogły. Koperta była gładka. Szanse na odciski były spore.

Crutch zanurzył pędzel w czerwonym proszku. Obwoluty były biało-beżowe.

Założył gumowe rękawiczki. Rozłożył książki grzbietem do góry, nie zdejmując obwoluty. Uzyskał niemal płaskie powierzchnie: przednia obwoluta, tylna obwoluta i grzbiet. Z boku położył kopertę.

*Głęboki oddech.*

Obsypał książki i kopertę. Zobaczył smugi, zakrętasy i mazy. Dodał drugą warstwę proszku. Zobaczył dwa dobrze rokujące odciski na książce komunistycznej. Zobaczył dwa dobrze rokujące odciski na kopercie.

*Głęboki oddech.*

Chwycił szkło powiększające. Studiował dwa odciski z książek i kartę odcisków Joan. Jeden od razu wyglądał właściwie.

Zawijasy, skręty, inwersje. Punkty porównawcze: 4, 5, 6, 7, 8, 9...

*Pasuje.*

Joan dotknęła książki Fanona palcem wskazującym prawej ręki. Stało się to w grudniu 1963 roku albo wcześniej. Od tego czasu książka znajdowała się na posterunku policji w McKendrick.

Crutch przyglądał się drugiemu odciskowi. Zrób to – wyrzył w pamięci każdy fragment.

Zapamiętał. Przustudiował kartę odcisków Joan i przebiegł w tę i z powrotem ze szkłem powiększającym. Nie – drugi nie pasuje.

Położył taśmę przezroczystą. Pobrał nieznaną odcisk. Wzmocnił go czarnym plastikowym paskiem. Odcisk ukazał się w każdym szczególe, białe na czarnym.

*Głęboki oddech – już.*

Zajął się kopertą. Przyjrzał się dwóm odciskom. Zapamiętał je. Przustudiował ponownie kartę odcisków Joan. Spod zmrużonych powiek wpatrywał się w nie przez szkło powiększające. Nie – nie ma zgodności.

Przykleił dwa kawałki taśmy. Pobrał nieznaną odciski. Wzmocnił je czarnymi plastikowymi paskami. Odciski ukazały się w każdym szczególe, białe na czarnym.

Położył dwa paski z koperty obok jednego paska z książki. Obejrzał je przez szkło powiększające. Jeden odcisk był wyraźnie inny. Jeden odcisk pasował doskonale.

*To oznaczało:*

Joan dotknęła komunistycznej książki w 1963 roku. Druga osoba dotknęła wtedy książki. Ta sama osoba dotknęła koperty Sonny'ego pod koniec 1970 roku.

Nie mogli to być gliniarze z McKendrick. Szalona myśl: Reggie Hazzard.

Reggie nie miał kartoteki. To oznaczało, że nie istnieje komplet pobranych odcisków. Reggie miał prawo jazdy z Nevady. Wydział Komunikacji w Nevadzie nie wymagał odcisków palców.

Koperta miała stempel z LA. Czy stamtąd wysłano szmaragd? Czy też przysłano go do wysłania z LA?

To nie jest prawdziwe rozpoznanie odcisków. To czyste przypuszczenia. Jest jeszcze drugi odcisk palca na kopercie.

*Głęboki oddech – więcej kurewskiej roboty.*

Boże Narodzenie przyszło i poszło. Nowy Rok rozmazał się w ulewnych deszczach. Sonny Liston przedawkował tydzień później. Czuwanie przy zwłokach w wykonaniu Taxi Tygrys przeszło do historii.

Wystąpili Redd Foxx i Milt C. „Blak-O-Rama” poświęciła temu wielki artykuł. Fred O. dostarczył gorzałę. Chick Weiss dostarczył prochy i wyspiarskie kurwy. Pokazali się chłopcy

Dubera. Kierowcy utworzyli kondukt taksówkowy i pognali przez Czarnogród. Pantery i świnie uczestniczyły w idealnym pokoju. Lenny Bernstein cytował Krishnamurtiego. Scotty Bennett stał się z Jerrym Quarrym. Prawie zrobiło się brzydko.

Przyciskanie ciepłaka trwało. Freddy chciał piętnaście tysięcy. Scotty próbował ożydzić go do dziesięciu, bez skutku. Scotty kombinował hajc. Freddy powiedział Crutchowi, żeby jeszcze nie gadał ze Ślicznym Saleem.

Robił rozwodówkę dla Clyde'a. Wysłał pytanie do Mary Beth Hazzard: czy Wayne zostawił więcej dokumentów? Na pół etatu jeździł na tygryskiej taryfie. Co noc w Wydziale Komunikacji w śródmieściu przeglądał odciski palców.

Bezsenna noc i zmęczenie oczu. Ampułki nembutalu i wiadra visine. Ręczne sprawdzanie odcisków. Porównać je z dwoma plastikowymi paskami.

Odliczał w głowie. Stracił rachubę przy dziesięciu tysiącach. Ciągłe liczył, ile kart na noc. Stracił rachubę 6 stycznia.

Pojawił się późno siódmego. Przekupił nocnego dyżurnego, standardowa procedura. Przyniósł swoje odciski, szkło powiększające i visine.

Otworzył nowe pudło. Przejrzał jedenaście niepasujących. Wziął kartę odcisków nr 12. Zawijasy do niego przemówiły.

*Głęboki oddech. Drugi odcisk z koperty. Nie, tak, nie – może.*

Punkty zbieżne: 1, 2, 3, 4, 7, 8, 9 aż do 14. Niezły wynik.

Doskonałe dopasowanie. *Kurwa, zna to nazwisko.*

Lionel Darius Thornton, Murzyn. Urodzony 18.12.1919.

Koleś z Banku Powszechnego. Lionel Prac. *Consigliere* Czarnego Kartelu.



Chez Marsha: kulturka i zdecydowanie niebojówkarsko.

Pokonał nowoczesne zamki. Dzięki noktowizorowi widział w ciemności. Lepiej nie włączać światła.

Baldwin Hills. Piętrowy budynek przy Stocker. Czarna burżuazja. Zajebiste meble. Fajowa estetyka.

Dwight się szwendał. Była 21.49. Marsh miał zobowiązanie w postaci przemówienia programowego. Republikańskie ważniaki go uwielbiały. Reprezentował taki typ, co to osiąga sukces dzięki własnym wysiłkom. Gubernator Reagan zorganizował mu występ.

Pierwsze przejście. Zapoznajmy się z rozkładem.

Dwight strzelił fotki. Jego minox robił jasne zdjęcia bez flesza. W lokalu rezerwowym mieli ciemnię. Joan mogła tam wywołać film.

Rauschenberg i Rothko w ramach ze stali szczotkowanej. Surowy wystrój, ogólnie. Metalowe łono.

Obstukał panele ścienne. Przeszukał półki i szuflady. Zobaczył albumy o sztuce, zeznania podatkowe i czystą papeterię. Marsh kolekcjonował papier. Zastanowił się. Joan nazwała go ukradkowym pamiętnikarzem.

Dwight przeszukał sypialnię. Motyw tuby przybrał na sile. Marsh uwielbiał szczotkowany metal. Był funkcjonalny i surowy. Emanował męskością, a kobiecością ani trochę. Marsh cały był wyrefinowaną nieugiętością.

Marsh był całkiem nowym niezadowolonym zabójcą. To była jego nora psychopaty. Zimna i wymuska. Musiała być przerażająca.

Dwight przeszukał szuflady nocnego stolika. Przejrzał notes adresowy Marsha i zrobił zdjęcie każdej strony. Zobaczył ludzi wymienionych tylko po imieniu. Zobaczył numery do Klondike, 4-Star, Handlarza i Spike'a. Marsh czuł się teraz bezpiecznie. Metę operacyjną miał w Actors Studio. Ta meta miała sugerować majętność pedała.

Musieli trochę sfalszować wrażenie. Marsh, wielki pedryl z wyszukany smakiem do sztuki. Dom był pięknym obrazkiem. Popsujmy trochę.

Podłóżmy zapalki z pedalskich klubów. Podłóżmy sodomiczne zdjęcia. Dzień przed zamachem posmarujmy nasieniem pościel. Schowajmy w łazience wibratory z zaschniętym gównem.

Dom zostanie poddany nieprawdopodobnie gruntownym oględzinom. Maska musi się powoli skruszyć. Powoli musi narosnąć przerażenie.

Dwight ostukał boazerię. Jeszcze nie usłyszał żadnego głuchego dudnienia. Podrzucanie dowodów. Wywrotowa literatura i politologiczne porno. Instynkt Joan: on prowadzi pamiętnik, znajdź go, podzrucimy spreparowane wpisy.

Elektryczny Underwood. Obok ułożony papier maszynowy.

Dwight wciągnął kartkę i wypisał wszystkie litery, cyfry i pozostałe znaki. Na oko wydawały się akuratne. Sfotografował klawiaturę i czcionki. Czcionki mogły mieć skazy. Będą musieli je skopiować. Technicy sprawdzą maszynę. Będą musieli zadbać o duże podobieństwo.

Ostukał kolejne panele boazerii. Żadnych głuchych odgłosów. To było pierwsze grasowanie. Jeszcze nie ufał swoim uszom.

Schowki. Technicy rozprują tę chatę z góry na dół. Marsh pośmiertnie musi się pojawić w ostrym świetle. Był dziko pomysłowy i zaradny. Meta powinna eksplodować znaleźskami z ostatniej chwili.

Tu podłożymy dokumencik, tam podłożymy dokumencik. Jego życie się rozjechało. Zbiera dokumenty dla pana Hoovera. Szuka miejsc, w których dałoby się podzrucić dokumenty.

Robił to od miesiąca. Pan Hoover dał mu podwyżkę. Cały dział dokumentacji stanowił burdel na kółkach. Większość w LA. Marsh pochodził z LA. Po jego śmierci wszystkie akta w LA zostaną przeczesane.

Przejrzał teczkę i szukał punktów do podłożenia danych. To był podtekst operacyjny. Ukrywasz pozółkłe z niby-starości dokumenty. W efekcie wyłania się polityczne niezrównoważenie i patologia kryptopedalska. Szaleństwo teczkowe FBI wskazuje Marshalla Bowena. Niepowiązane teckę są wnikliwie sprawdzane. Pan Hoover jest wskazany pośmiertnie. Kompilacja akt to pedantyczna nuda i oficjalnie usankcjonowana skatologia. Moralne przerażenie i przyjemne podniecenie zetrą się publicznie. Agent specjalny D.C. Holly obwieści, co to wszystko znaczy.

Spędził godziny w archiwum. Jack Leahy uznał, że to dziwne. On uznał, że Jack jest dziwny. Jack zawsze rzucał złośliwe uwagi o zdrowiu starej cioty. Jack nie wiedział, że stara ciota jest ciągle bardziej przytomna, niż nie jest.

Akta:

Joan wzgardziła akcją na Centralne Archiwum w Pensylwanii. Uznała, że to zbyt wcześnie wyeksponuje szaleństwo teczkowe. Jej zdaniem on wykorzystywał Karen. Ona robiła z kwakerskiej pacyfistki współwinną śmierci.

Przestali o tym dyskutować. Tylko to tak zostało, niewypowiedziane.

Dwight przeszukał wszystkie szafy. Zobaczył wciśnięte mundury Marsha i na półce zwinięty pas z bronią.

Znajdź jakichś aktorów. Przebierz któregoś za glinę. Dorwij radiowóz. Sfałszuj jakieś zajście w Griffith Park. Oto fałszywy Marsh w mundurze. Głowę ma odwróconą. Skuty podejrzany mu obciąża. Marsh trzyma pistolet przytknięty do jego głowy.

Postarzyć zdjęcie. Podrzucić je w starym mundurze. Taki tam zapomniany bibelot.

Kup trochę dopalaczy z ulicy. Wsadź mu w bieliznę. Marsh daje sobie w żyłę na służbie i krąży w poszukiwaniu uciechy.

Dwight wyszedł tylnymi drzwiami. Marsh miał piękny widok. Urocza lokalizacja. Marsh miał dwadzieścia sześć lat. Został mu najwyżej rok życia.

Obsługa przyniosła nowojorskie steki i za dużo bordeaux. On pił mniej. Joan piła więcej. Zamienili się problemami ze snem.

Jedli w szlafrokach. Obfity deszcz bębnił o szyby. W kominku palili sztuczne polano.

– Nie lubię włamów – powiedziała Joan. – To nieprzemysłane.

– Martwisz się o zbieżność.

– Tak.

– To jedyna rzecz, której nie możemy wymusić.

– Muszą z własnej woli znaleźć się w tym samym miejscu jednocześnie.

Dwight oklapł na krześle.

– To samo miasto, z ustalonym wcześniej miejscem. Powinno to być gdzieś w LA. Ostatnie sześć razy zatrzymał się w Beverly Wilshire. Zawsze prosi o apartament z widokiem na północ. Dokładnie naprzeciwko masz siedem dwu- i trzypiętrowych budynków. Na dwóch wiszą szyldy o wynajmie biur. Pozostałe budynki to butiki i restauracje. Na drugim czy trzecim piętrze mają magazyny wychodzące na hotel.

Joan zapaliła papierosa.

– Mów dalej. Wyjaśnij mi, co masz na myśli.

– Myślę, że powinniśmy znaleźć czarnego dzieciaka w wieku Marsha. Decydujące jest duże podobieństwo. On powinien wynajmować biuro i musimy je urządzić. Tam będzie chodził ruchać chłopców, brać narkotyki i przechowywać broń. Ukradnę ze szpitala pojemniki z nasieniem. Rozlejemy je w różnych terminach. Marsh pali crack. Jego uzależnienie od narkotyków rośnie. Podrzucimy strzykawkę z kokainą. Pokażę mu, jak załadować Marshowi toksyny do wątroby, żeby wyglądało to na długotrwałe nadużywanie narkotyków.

Joan wypuściła kółko dymu.

– Jesteś taki zdumiewająco utalentowany, towarzyszu.

Dwight wziął ją za rękę.

– Martwisz się o Celię.

– Nie chcę o tym rozmawiać. Ryzyko zawsze było.

– Mógłbym podzwonić.

– Nie chcę, żebyś podzwonił.

Dwight się uśmiechnął.

– Kiedy powiązałem cię z Tommym Nardunem, myślałem, że na mnie polujesz.

Joan się uśmiechnęła.

– Rozważałam to. Tommy uważał, że mógłbyś ujawnić aspekt Grapevine z waszej operacji i narobić rabanu w mediach. Zawsze był taki naiwny. W głębi serca był demaskatorskim dziennikarzem. Tej nocy, kiedy go zabiliście, miał na sobie podsłuch.

Dwight zadrżał. Joan wskazała wino. Dwight pokręcił głową.

– Co cię przekonało, żeby z tego zrezygnować?

– Karen mnie przekonała. Sugerowała, że jesteś gotowy. W pewnym momencie cytowała Goethego. Zdanie, którego użyła, traktowało o zbawiennym upadku.

Dwight otworzył okno. Kulki gradu musnęły mu twarz.

– Jomo i ta historia z Marshem. O co ci chodziło?

– To były twoje cele i moje cele. Jedne i drugie były synchroniczne i nieprzyjazne. Wiedziałam, że Marsh musi być twoją wtyczką. W tym wyborze uwidoczniła się twoja patologia. Był śmiały, ambitny i autodestrukcyjny. Spędziłam trochę czasu z Marshem i uznałam, że jest słaby i niemal przymilnie wyrachowany. Kiedy myślał, że nie widzę, szukał facetów, co było prawdziwym aktorskim faux pas, dramatycznie ryzykownym i narcystycznym. Zadzwoiłam więc do Scotty’ego Bennetta i ujawniłam mu orientację Marsha. No a potem zatelefonowałam do Scotty’ego raz jeszcze i wtedy Marsh podkablował Joma Clarksona. To była strategia dwutorowa. Chciałam narazić Marsha na niebezpieczeństwo i zmusić go do lojalności wobec SCP. Uważałam, że Jomo jest zły, i byłam w zasadzie pewna, że Scotty nie zdoła się powstrzymać od zabicia go.

Wiatr zrzucił obrus i przewrócił wino. Dwight ściągnął Joan z krzesła.

Puckett, Missisipi. Sześć pól dla przyczep i dziewięć kempingów klanowych.

Bob Relyea prowadzi Wzniosłą Klavernę Klanową. Schlebiał miejscowym glinom i kablował do BAT. Sprzedawał grzybki i nienawistne broszury. Napadał na stacje benzynowe. Bob należał kiedyś do Ekipy Tygrysa. Handlował heroiną w Sajgonie i pracował z Wayne’em Tedrowem. Zastrzelił Martina Luthera Kinga.

Było chłodno i pogodnie. Na kempingu znajdowały się baraki z blachy falistej i boksy dla psów. Czterech zjebów stało wokół strzelnicy. Za cele służyły manekiny sklepowe. Nosiły maski Eldridge’a Cleavera.

Bob zobaczył, że wjeżdża samochód. Dwight zahamował i zatrzymał się tuż przed bramą. Bob dobiegł do niego.

Dwight otworzył drzwi pasażera i schowek. Wypadł zwitek setek. Bob złapał go i wsadził pod koszulę.

– I to za samą rozmowę?

– Właśnie.

- Niech zgadnę. Jeśli kogoś zastrzelę, będzie dużo więcej.
- Zgadza się – powiedział Dwight.
- Rany, facet.

Dwight zapalił papierosa.

– Masz pięćdziesiąt tysięcy. Zdejmujesz cel i jelenia na miejscu. Dwa łatwe strzały. Ta część mnie w ogóle nie martwi. Trudne jest ich połączenie. W razie potrzeby przewiozę jelenia i ułożę go, ale wolałbym nie.

Bob podłubał w nosie.

- Cel to coś wielkiego?

Dwight mrugnął okiem.

- Ludzie będą gadać.
- I bardzo dobrze. Taki jest podtekst.
- Kim jest cel?

Dwight się roześmiał.

- Sam zobaczysz.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 6.02.1971. Fragment ukrytego dziennika Karen Sifakis.

Los Angeles, 6 lutego 1971

Poradzę sobie z tym, bez względu na konsekwencje, czymkolwiek to się skończy dla Joan i Dwighta. Zaryzykuję zastosowanie przemocy. Jestem lojalna wobec Joan i wdzięczna jej za przemianę, którą wywołała u Dwighta. Wiele razem przeszliśmy. Nie przesadzę, jeśli powiem, że w ciągu minionych lat mój pacyfizm złagodził gwałtowność akcji Joan. Niewątpliwie jej arogancja przybliżyła mnie do Boga i nakłania do konfrontacji bez użycia siły. Ja ukształtowałam ją, ona mnie, a obie ukształtowałyśmy Dwighta. Tam, gdzie się spajamy i gdzie się różnicujemy, pojawia się potężna alchemia. Nadal wierzę w nasz dialog, tak samo jak boję się ewentualnych rezultatów. W wyniku straszliwej kłótni z Dwightem musiałam przyznać, że u podstaw mojej moralnej logiki tkwi arogancja i zwodniczość. Żarliwość jego nawrócenia przekonała mnie, że ryzyko jest konieczne.

Dwight zna już rozległość mojej relacji z Joan, o ile nie zna konkretnych szczegółów. Joan poczyniła jakieś aluzje albo ujawniła naszą przyjaźń spojrzeniem czy zdawkową uwagą, których uczeplił się znakomity i znakomicie paranoiczny Dwight, by zyskać intelektualną pewność. Okłamałam Dwighta przez niedopowiedzenie. Jestem już pewna, że Joan posłużyła się mną, by dotrzeć do niego. Teraz Dwight i Joan okłamują mnie, nie ujawniając przede mną szczegółów swojej „Operacji”. To na mnie spoczywa odpowiedzialność za więź Dwighta i Joan. Powinnam była powiedzieć Dwightowi, że Joan korzysta z fałszywych tożsamości i że dzięki nim tak sprawnie prowadzi działalność wywrotową. Powinnam była powiedzieć

Dwightowi, że Joan zaplanowała serię napadów z bronią w ręku na wschodzie. Powinnam była mu powiedzieć, że razem byliśmy w Algierii i że modliłam się za francuskich spadochroniarzy, na których Joan z towarzyszami urządzili zasadzkę pod Baszszarem. Powinnam była mu powiedzieć, że brałam udział w inwazji 14 czerwca, w pokojowej roli planisty. Nie powiedziałam mu tych rzeczy, ponieważ upiornie pragnęłam Ich pożogi, ponieważ chciałam Ich uwolnić, żeby zastąpili jakiś Mój wypalony gniew, żeby zwalić Im na głowę mój powściągliwy, ideologicznie sprzeniewierzony, radykalnie szykowny i wiecznie ostrożny świat z furją, którą Oni na pewno rozwiną.

Teraz muszę pogodzić się ze swoją rolą twórcy obecnej sytuacji, odegrać swoją rolę drugoplanową, przekląć kaprysy radykalnego stylu życia, modląc się o pokój. Włamię się, ukradnę akta, ujawnię praktyki gromadzenia teczek opresyjnej biurokracji i będę miała nadzieję, że bardzo oczekiwany pojedynek bokserski pomiędzy dwoma utalentowanymi czarnymi pięścierzami nie zepchnie mojej akcji na ostatnie strony. Ironia: Dwight nazwał włamanie wydarzeniem medialnym. Archiwum znajduje się w miejscowości Media w Pensylwanii.

Kłótnia z Dwightem odbyła się tutaj, w moim domu. Dina i Ella słyszały ją, słyszały jej gwałtowny koniec. Była to głośna wymiana zdań, która wylęgła się z mojej pychy. Przeceniłam swój wpływ na Dwighta, nie doceniłam wpływu Joan. Byłam piskliwa, małostkowa, zazdrosna i filozoficznie nielogiczna. Dwight natarł na mnie z wściekłością neofity i niekochającego kochanka. „Wysadzasz różne rzeczy, niszczysz symbole, atakujesz korzystne wizerunki instytucji kompletnie, kurwa, nieistotnych” – powiedział. „Dzięki temu czujesz samozadowolenie, podczas gdy ludzie cierpią i giną. I będziesz to robić dalej, aż jakiś odłamek z wysadzonego pomnika konfederatów wylupie oko czarnemu dzieciakowi. Wtedy tu wrócisz i będziesz się nad sobą rozczulać i modlić, i obmyślisz jakiś czyn spektakularny i kwakroakuratny, żeby wrócić do gry, którą tak z całego serca kochasz, a która jest brutalna w swej istocie”.

I miał rację.

I wtedy powiedział: „I nie traktuj protekcjonalnie Joan Rosen Klein, bo to ty mi ją dałaś”.

I miał rację. Tak więc zrealizuję zadanie, które on mi wraz z Joan przydzielił.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 21.02.1971. Fragment dziennika Marshalla E. Bowena.

W drodze do Bostonu, 21.02.1971

Od ostatniego spotkania ze Scottym podróżuję i podążam ewentualnymi tropami. Mój skumulowany urlop posłużył za kamuflaż. Oficjalnie podróżuję samochodem po kraju. Do tej pory mozolnie sprawdziłem ręcznie akta zaakceptowanych wniosków paszportowych i akta wniosków odrzuconych w Nowym Orleanie, St. Petersburgu oraz Milwaukee, a przede mną

Lynn, Massachusetts. To miasta, które Scotty uznał za najbardziej niedbałe, pobłażliwe i niekompetentne w swoich procedurach paszportowych. W tych też miastach pofolgowałem swojej Skłonności i rozkoszowałem się wolnością baraszkowania w anonimowych miejscach. W tych miastach Reginaldowi Hazzardowi nie wydano paszportu i nie znalazłem go też w zbiorach wniosków rozpatrzonych odmownie. Jego zdjęcia – z bliznami oparzeniowymi lub bez – nie dołączono do żadnego z tysiąca formularzy, które przejrzałem.

Tak więc podróżuję i dobrze się bawię z dala od LA. Co kilka dni dzwonię do Scotty’ego, żeby zameldować brak sukcesu. Folguję wyobraźni, mam bardzo żywe sny i dużo rozmyślam nad wypowiedzianym przez Scotty’ego zdaniem: *Cherchez la femme*.

To kobieta doniosła na mnie Scotty’emu. Kiedy Scotty wspomniał o tym przy Dwighcie Hollym, ten dziwnie zareagował. Nabieram przekonania, że tą kobietą była Joan Rosen Klein.

Joan urabiała mnie pod koniec 1968 roku i na początku 1969. Byłem infiltratorem Dwighta Holly’ego i wiedziałem, że pan Holly ma aktywnego informatora. Joan była bardzo obyta i wydawało się, że ma za duże kwalifikacje jak na podrzędny świat czarnych bojówek. Wytrwale mnie podchodziła, może próbowała mnie uwieść, ale wyostrzony zmysł drapieżnika powiedział jej, że nie ma na to szans. Wszystko to wydawało mi się niewinne, aż do chwili, kiedy wpadłem na Juniora Jeffersona, niedługo przed tym, jak wyruszyłem w obecną podróż.

Junior pochłaniał kurczaka i placki w Bawialni Tommy’ego Tuckera i gderał na los Taxi Tygrys. Po pierwsze, Chłopcy odkupili od niego Kompanię Taksówkową Czarny Kot i przemianowali ją, a dali jej imię pedalskiego zwierzaka. Potem świętej pamięci Wayne Tedrow zdefraudował wszystkie pieniądze Taxi Tygrys i Chłopcy sprzedali interes Freddy’emu Otashowi. No a Freddy wylał go, wykopał i zabronił wracać. A teraz Taxi Tygrys jest najfajniejszym miejscem na ziemi, pokazują walkę Alego z Frazierem w telewizji przemysłowej, a on nie może tam pójść.

Kontynuowaliśmy ubolewania. Z pewnym zadziwieniem omówiliśmy „Strzelaninę”. „Przez cały czas byłeś jebanym świńskim szpiclem” – westchnął Junior. Przyznałem, że to prawda. Junior powiedział, że jemu to rybka, i napomknął, że widział Dwighta Holly’ego i tę cizię Joan Żydokomunkę, jak się trzymali za ręce w chińskiej spelunce na Pico w zeszłym tygodniu.

*Cherchez la femme.*

Lynn to obskurne miasto z fabryką butów, jedno z wielu obskurnych miast tej samej wielkości i od progu już biuro paszportowe uznałem za równie obskurne. Przy biurku pracował rumiany Irlandczyk. Niemal się zesrał, kiedy szykowny Murzyn śmignął mu przed nosem odznaką sierżanta Policji LA. Ująłem go jednak poczuciem humoru. Kiedy już przedstawiłem cel swojej wizyty, rzekł: „Nie wyglądacie jak Jack Webb, sierzancie” i poprowadził mnie do archiwum.

Był to szósty formularz w czwartym przeszukiwanym pudełku. Na zdjęciu zobaczyłem Reginalda Hazzarda, z głębokimi bliznami po oparzeniu na twarzy. Nazwisko obok zdjęcia

było rozmazane i nieczytelne. Okrągły stempel na odwrocie czysty.

Reginald dostał wizę turystyczną do Haiti 11.06.1964 roku.

Od razu pomyślałem: nie powiem o tym Scotty'emu.



– Mam kasę – powiedział Scotty.

– Obrobił monopolowy – powiedział Fred O. – Zna się na tym.

– Nienawidzę podsłuchiwania ciot – powiedział Fred Turentine. – Ścieżka dźwiękowa budzi mój niesmak.

Pizza u Barone’a w Venturze. Znany przybytek w Valley. Mieli osobny pokój. Na ścianach wisiały zdjęcia sławnych makaroniarzy.

Piwo było tak zimne, że cierpły zęby. Pizza tak gorąca, że paliła ryj. Scotty rzucił na stół kopertę. Młody Crutchfield miał robaki w dupie. Ciągłe się drapał po jajach.

Scotty polał piwa.

– Pogadajmy o efektach. Wziąłem drugi kredyt na dom, więc żadnych dużych opóźnień, żadnego burdelu.

Fred O. ściągnął nożem pianę ze swojego kufła. Piana spadła na podłogę.

– Kiedyś robiłem przyciskanie ciepłaka dla Dwighta Holly’ego. To biały człowiek. Przydałoby nam się jego doświadczenie.

– Nie – powiedział Scotty. – Dwight i ja ścięliśmy się przy jego robocie federalnej. Nie chcę, żeby o tym wiedział.

Fred T. szamał kawałek z sardelami. Uch, ale gorące.

– Dopiero co go minąłem. Słyszałem, że pracuje w archiwum w Biurze LA. Miał jakieś załamanie.

Scotty upił piwa.

– Chcę sugestywnego szajsu. Zdjęcia, film, rozmaite akty płciowe. Młody przyprowadza Sala. Sal i Marsh się rozkręcają. Chcę ruchania i ssania w różnych anturazach.

– Namierzę Sala – powiedział młody.

– Ej, on mówi – powiedział Fred T.

– Opuśćcie żaluzje – powiedział Fred O. – Nasza podglądacka pantera wyrusza na żer.

Scotty ryknął jak pantera i mrugnął okiem. W pomieszczeniu huknęła muza z taśmy. Dino<sup>12</sup> zaświergotał: *That’s amore*.

– Sugestywny szajs. Pamiętajcie, to nie jest wymuszanie gotówki. Jak przyjdzie co do czego, może być groźnie.

Ekipa była dobra. Pizza gówniana. Ścierpłe od zimnego piwa zęby jeszcze go bolały.

Marsh wrócił. Z jego podróży po biurach paszportowych nic nie wynikło. Wątek paszportowy należało spisać na straty. Reggie Hazzard: wracamy do punktu wyjścia.

Wskaźnik poziomu paliwa dotarł do zera. Scotty zjechał z freewaya. Przed sobą miał Richfield z budką telefoniczną.

Zajechał. Poprosił do pełna. Wrzucił drobne i zadzwonił do Marsha.

– Halo?

– Ten wątek z Reggie jest jak na razie martwy. Trochę się denerwuję.

– No to jest nas dwóch.

– Tak sobie myślę, żeby jednak przycisnąć Lionela Thorntona.

– Nie zgadzam się.

Scotty podłubał w zębie.

– Nie bądź taki delikatniusi. Dostałeś, kurwa, Medal za Męstwo. Teraz jesteś Rama z Dżungli.

Marsh się uśmieł.

– Masz rację. Powinniśmy to zrobić.

– Kiedy?

– Ósmego marca. Thornton pierze kasę Taxi Tygrys. Oni pokazują walnę Alego. Thornton tam będzie i zabierze kasę do banku.

– Podoba mi się – powiedział Scotty. – Dopadniemy go po drodze.

Pedalska pętla:

Zaliczył Właz, Kokpit, Kowadło, Handlarza, Kuźnię. Świrowo. Popaprańce pożerały go wzrokiem. Poppery z azotanem amyłu, skóra, nagie klaty i kolczugi.

Sala nigdy nie było w domu. Sal bywał w homo centrach i całonocnych knajpach. Naleśnikowa pętla: Pines, Arthur J., Biff's Rozen.

Crutch jechał z powrotem do Klondike. To był punkt wypadowy Sala. Barman spieniężał mu czek. Tam Sal miał codzienny obrót fiuta. Ruchał właściciela, dwóch pomocników kelnera i jednego z kucharzy.

Crutch zaparkował na drugiego przed wejściem. Leżakujące tam cioty westchnęły do niego tęsknie. Lenny Bernstein wyszedł z dwoma marynarzami. Pedaly mówiły na marynarzy „owoce morza”.

Lenny pomachał Crutchowi. Crutch pomachał Lenny'emu. Crutch pomyślał, że to tu się wszystko zaczęło.

Lato 1968. Doktor Fred go wynajmuje. Znajdź mi Gretchen Farr. Jego sprawa ma już prawie trzy lata. Może coś się w końcu ruszy.

Odciski palców. Joan dotknęła jednej z książek Reggiego Hazzarda. To potwierdzone. Druga osoba dotknęła książki i koperty Sonny'ego. Dobry koncept: Reggie H. Trzecia osoba dotknęła koperty. Odcisk potwierdzony: Lionel Thornton.

Pytanie:

Czy Reggie rozsyła szmaragdy czarnym ludziom w potrzebie?

Odpowiedź:

Zapewne tak.

Reggie przeżył napad. Reggie miał działkę gotówki i szmaragdy. Reggie nie mieszka w LA. Reggie jest gdzie indziej, bo Wayne by go znalazł. Reggie jest tajemniczy. Stemple z LA mogłyby ściągnąć tarapaty. Reggie zniknął dawno temu.

Wielki trop – teraz rozpierdolony przez przyciskanie cieplaka.

Crutch obserwował drzwi. Rock Hudson wyszedł z Arthurem-Arlene Johannssonem. Arthur-Arlene handlował dilaudidem i babeczkami z marychą. Chick Weiss robił mu wszystkie rozwody. Żony jemu płaciły alimenty. Wyszłaś za drag queen?! A niech cię.

Rock pomachał Crutchowi. Crutch pomachał Rockowi. Zajechała tygrysia taksówka. Prowadził Phil Irwin. Z przodu jechał Chick Weiss. Arthur-Arlene wepchnął Rocka na tył.

Peruka mu się przekrzywiła.

Crutch obrócił swoją czerwoną chorągiewką. Joan zniknęła. Nie mógł jej znaleźć. I tak sobie wyobrażał, że jest w LA. LA to LA. LA to strefa Joan. Dwa razy śledził Dwighta Holly'ego. Dwight mógł być kochankiem Joan. Dwight miał czuja na ogony i go zgubił.

Jest Sal. Ma na ogonie Natalie Wood i mężną dziwkę. Natalie była jawną lesbą. Lizała rowy na hollywoodzkich imprezach. Clyde uratował ją uwięzioną w lesbijskiej melinie, koło roku 1960.

Crutch gwizdnął. Sal usłyszał i podszedł. Natalie i dominolesba poszły w ślinę. Dwóch rybkorek pedziów zaklaskało.

Sal pochylił się do Crutcha.

– Sam zgdanę. Clyde ma robotę z podpuchą.

– Niezupełnie.

– Żadnych dziewczuch. Raz próbowaliśmy, pamiętasz?

– Freddy Otash – wyjawiał Crutch. – Wiem, że ma coś na ciebie, więc nie możesz odmówić.

Sal westchnął. Zakołysał mu się loczek. Crutch otworzył drzwi. Sal wsiadł i zapalił mentolowego koola. Crutch wyczuł mieszankę haszowo-mentolową.

Zajechał za róg i zaparkował.

– Mam nadzieję, że jest dobrze zbudowany – powiedział Sal.

– Dla ciebie trzy i pół.

Sal sztachnął się swoim quasi-skrętem aż do filtra. Sal zrobił cielece oczy.

– Przechodziliśmy już przez to. Zadawałem się z mnóstwem chłopaków, ale z tobą nie było najmniej romantycznie.

– Nie pogrywaj ze mną – powiedział Crutch.

– Wierz mi, ani myślę.

– Ten jeleń nazywa się Marshall Bowen. To gliniarz, gwiazda zasrana.

Sal jęknął.

– Kolejny czarnuch. Jak w grę wchodzi Freddy, to zawsze jest czarnuch. Lubię ciemne mięso, ale nie jako stałą dietę.

Crutch otworzył schowek na rękawiczki i wyciągnął butelkę. Sal chwycił ją i łyknął szybko.

– Więc, kochanie. Znalazłeś w końcu niegdysiejszą Gretchen Farr?

Crutch zabrał piersiówkę.

– Nie, byłem blisko, ale nic z tego.

Sal chwycił piersiówkę. Łyknął i oddał. Crutch łyknął. Sal chwycił i zatrzymał.

– Ja też jej nie widziałem. Gretchie była szemrana, na swój wyjątkowy sposób.

Crutch chwycił piersiówkę. Sal wypuścił ją niechętnie.

– Powiedziałeś mi wszystko, co wiedziałeś, co nie?

– No...

– Daj spokój.

– No...

Crutch zacisnął pięści. Sal udał, że och, och, ależ się boi. Crutch dopił butelkę. Sal potarł kciukiem o palec wskazujący. Crutch wyłożył setkę. Sal podniósł dwa palce. Crutch ponownie sięgnął do portfela i ponownie wyłożył setkę.

Sal odchylił oparcie i zgrywał gwiazdę wieczoru. Mościł się i bawił loczkiem.

– No... znasz *modus operandi* naszej Gretchie. Rucha rzesze facetów, pożyczka od nich kasę i znika. Jesteś na bieżąco, słodziaku?

Crutch kiwnął głową.

– Tak. Ty ją przedstawiałeś facetom, ale nie możesz sobie przypomnieć, jak się nazywali. Ona zawsze uważała, żeby nie pracować w tych samych kręgach, żeby nie mogli porównać zeznań.

Sal kiwnął głową.

– Zgadza się.

Crutch walnął pięścią w zagłówek. Sal zachichotał. To go tak rozśmieszyło, ha, ha.

– Nie boję się ciebie, Crutchusiu. I prawdę mówiąc, nie wierzę w te wszystkie plotki o komunistach, których rzekomo zabiłeś.

Ból głowy jak pociąg towarowy. Za oczami, coś pięknego. Wyciągnął aspirynę i na sucho połknął trzy tabletki. *Nic nie mów/nie spierdol tego.*

Sal zrzucił sandały i oparł stopy palcami o deskę rozdzielczą. Panna Frufu miała wielkie, śmierdzące syry.

– No więc jak wtedy pierwszy raz rozmawialiśmy o Gretchie, to chwilę wcześniej widziałem ją na imprezie. Nie powiedziałem ci, bo to wszystko wydawało się zupełnie nierealne.

– I?

– Cóż... Gretchie powiedziała, że jest taka laska o imieniu Maria, znana też jako Tatuaz. Wykupiła ją z książki umarłych, ona zdradziła sprawę, ale odprawiła pokutę. Wierz mi, ani trochę w tym sensu nie widziałem, dopóki Gretchie mi nie powiedziała, że ta Maria przyjeżdża do LA, że jest szalona i czy ja mógłbym ją umówić z gostkami ze świata filmu. To już bardziej skumałem, więc powiedziałem, że popytam, a nie popytałem, ponieważ Gretchie wisiała mi kasę za poprzednie referencje, ale nigdy mi nie zapłaciła, jaką więc miałem motywację, by dać jej się znowu oskubać? No a potem było tak: Gretchie już nigdy nie wspomniała o Marii, ale jakby zapłaciła mi za tamte polecenia. Dała mi taki maleńki szmaragd i trochę zioła. To były haitańskie prochy, prawdziwa rzeźnia.

*Oddychaj głęboko.*

– No naprawdę, kochanie – powiedział Sal. – Słyszałeś kiedyś takie niestworzone historie?

Pisanie i podrabianie. Uwaga na szczegóły.

Homonotki na serwetce. Fragmenty fałszywego pamiętnika. Pisanie odwołuje się do pedalskich porno powieści i tekstów propagandowych.

W lokalu rezerwowym panowała cisza. Dwight pracował sam. Ostatniej nocy jeździł po barach. Wpadł do Jaguara, Handlarza, Sokolego Gniazda. Wykładał banknoty i podwęzał serwetki. Pedaly wyczuły glinę en masse.

Pisał spazmatycznie. „Uwielbiam twoje włosy!”, „W każdej chwili, skarbie” i rozmazany numer telefonu. „Widziałem cię w TV! To niewiarygodne!”

Różnorodny styl pisma. Pomarszczony papier. Szczątki w kieszeniach, życiowe drobiazgi.

Lance Greekman, *Twardy i Spory*. Richard T. Saltzman, *Klamerykańskie gestapo*. Ph. D., *Obciągnij Gościa* i *Demon wytrysku*. Rozprawy o wojnie pana Hoovera z doktorem Kingiem.

Dwight nakładał paski z odciskami linii papilarnych. Marsh niby dotykał okładek. Dwight napisał miłosne notki pedrylskie. Zamazane numery telefonów, rozdarcia serwetek, słowa częściowo niewidoczne. Marsh: „Mam 23 cm, a ty?”

Na biurku utrzymywał porządek. Pracował w gumowych rękawiczkach. Swoje dzieła wkładał do plastikowych woreczków. W pocie czoła kleił fałszywe wpisy do pamiętnika.

Przemysł to. Wypisz. Masz identycznego Underwooda. Pamiętaj: wyżłobione małe c i j.

Będziesz przy zbieżności. Joan podłoży fałszywy pamiętnik.

*To oznacza więcej włamów. Może on ma prawdziwy pamiętnik.*

Dwight posprzątał na biurku. Wsadził do torebek książki i notki i schował notatnik. O lampę opierało się zdjęcie z Silver Hill. Karen, Dina, Ella. Ich adres/numer telefonu. „Jeśli ten pan się zgubi, proszę go zwrócić na ten adres”.

Zakrył je chusteczką. Napisał jako fałszywy Marsh:

„Mój proces radykalizacji zaczął się, kiedy zdałem sobie sprawę, że nie mogę kontrolować swojego postrzegania. Im usilniej próbowałem stłumić jego fizyczne przejawy, tym silniejsze się one stawały. Zupełnie jakby opanował mnie wirus. Było to znacznie bardziej kłopotliwe niż panika, której doświadczyłem, kiedy dziesięć lat temu uświadomiłem sobie swoją homoseksualność. Wtedy ogarnęła mnie nienawiść do samego siebie, a teraz daje o sobie znać nienawiść politycznie określona i skierowana na zewnątrz. Moja nienawiść dotyczy celów bezpośrednich – należy do nich ordynarny Scotty Bennett, bezwzględny agent Holly i moja rasistowska alma mater, Policja Los Angeles – po czym stopniowo i nieubłaganie przenosi się

na dalszy plan. Nie mogę powstrzymać rozprzestrzeniania się wirusa, dopóki nie zaaplikuję sobie antytoksyny, którą wytworzy tylko śmierć JEH”.

Przeczytał to ponownie. Zakrył biurko płachtą i wyszedł na taras.

Chmury spowiły Silver Lake. Mgiełka zakryła dom Karen. Przeanalizował ich kłótnię. Dina się przestraszyła. Ella zdawała się analizować. Obracał to wyobrażenie. Ella wiedziała rzeczy, których on nie wiedział. Ella wzięła je od Joan.

Ależ się mąci w *spiritus mundi*. Karen mówi o nim Joan. Towarzysz Tommy jest w Memphis w dniu zamachu. Karen czyta jego sny i tuli go, kiedy ma koszmary. *Joan po prostu rozumie*.

Na brzegu tarasu przysiadła wiewiórka. Dwight delikatnie rzucił jej żołądź. Chwyciła je pazurkami i wzięła nogi za pas.

Zabrzączał dynks przy drzwiach. Dwight zerknął przez boczne okno. Eleanora wyskoczyła na ganek.

Dwight przebiegł przez pokój frontowy i otworzył drzwi. Ella wpadła mu na nogi. Porwał ją do góry jedną ręką. Ella żartobliwie ugryzła go w szyję.

Karen oparła się o słup werandy.

– Mogłaś się włamać – powiedział Dwight.

– Zostawiam to na Medię.

– Dziękuję.

– Nie ma za co.

Ella się zawierciła. Dwight ją odstawił. Wbiegła do środka.

– Jak tu trafiłaś?

Karen weszła do środka.

– Zauważyłam błysk lornetki. Pomyślałam, wyczułam obecność podglądacza i skorzystałam ze stereometrii.

Dwight się roześmiał. Karen objęła go ramieniem. Poprowadził ją z dala od biurka. Ella zajrzała do kartonu. Dwight błyskawicznie ją stamtąd zabrał.

Uciekła i zrobiła minę „no co?”.

– To są pistolety do podrzucenia, kochanie.

Karen rzuciła torebkę.

– Kochasz mnie? – spytał.

– Tak, ty cholero.

Wkładki:

Pracował w archiwum. Tam się czuł na luzie. Był nonszalancki i wieczorno-tajny.

Przeglądał akta obyczajowe i donosy. Znalazł protokoły z działań prewencyjnych i dopisał nazwisko Marsha Bowena. Marsh na trzech przeszukaniach barów gejowskich. Marsh na balu przebierańców, Marsh na balandze białofobów.

Przeszedł do działu wywrotowców. Podrzucił postarzone chemicznie dokumenty.

Stworzyła je Joan. On dostarczył perspektywy. Nieżyjący już agent napisał te dokumenty jesienią 1966. Marsh pracował wtedy dla Clyde'a Dubera. Marsh pracował przeciwko Clyde'owi dla Czarnych Muzułmanów. Agent miał podejrzenia. Clyde się nigdy nie dowiedział.

Zdobył gotówkę. Zabezpieczył zapłatę dla Boba Relyei. Potrzebny mu był dokładniejszy plan podróży pana Hoovera. Jutro rano: leci do Medii.

Przejrzał spis donosów. Znał te nazwiska. Bill Buckley kablował na neokonserwatystów. Chuck Heston na ćpunów. Sal Mineo hurtowo na pedałów. Sprośny Sal: nieudolna przynęta na Bayarda Rustina.

Znalazł więcej raportów z działań prewencyjnych. Tu coś dopisał na niebiesko, tam coś dopisał na czarno. Pracowita mróweczka Marsh – 1966 i 1967. Walka na pięści w Klondike. Sprośny szajs z hipisami na spotkaniu dzieci kwiatów w Griffith Park.

Dwight spakował aktówkę i wyszedł. Zobaczył przy windzie Jacka Leahy'ego.

– Sam zgadnę. Nie możesz spać i znajdujesz upodobanie w archiwach.

Dwight się uśmiechnął.

– Jesteś jedynym federalą na świecie, którzy używa zwrotu „znajdować upodobanie”.

– W rzeczy samej, ale nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

Dwight wcisnął guzik.

– Akta brudów uzależniają. Spytaj wiesz kogo.

Jack się roześmiał.

– Od wieków nie rozmawiałem ze starą ciotą. Jestem od ciebie wyższy rangą, ale on rozmawia raczej z tobą niż ze mną.

– Jesteś niepolityczny, Jack. Zapominasz, o kim mówisz i do kogo.

Drzwi się otworzyły. Weszli do środka. Drzwi szarpnęły i zamknęły się.

– Mam ogon, Jack? Ponieważ jesteśmy niesubordynowani, doceniłbym odpowiedź.

Jack pokręcił głową.

– Dwight Egzekutor Holly. Odkąd go znam, czyli od dwudziestu lat, uzależniony od kawy i papierosów i nagle zaczyna coś kumać.

Wszedł do dziupli. Telefon dzwonił uporczywie. Rzucił aktówkę i po ciemku szybko wymacał słuchawkę.

– Nikt nie zginie – powiedziała Karen i się rozłączyła.



– Ali! Ali! Ali!

Czarnogród tętnił walką. Pirackie transmisje rozbrzmiewały z sal bilardowych i monopolowych. Mieli wypasioną telewizję. Chodnikowe bandy odbierały transmisje na przenośnych odbiornikach radiowych. Krążyło szkło i skręty. Grupy liczyły od dziesięciu do stu osób. Central Avenue rozbrzmiewała kakofonią.

Z okien biły światła katodowe. Pirackie stacje: Mosque 19, Sułtan Sam, Cedric's Hair Process. Działo się w środku i na zewnątrz. Na parkingach też się działo. Alfonsi na koturnach przyjmowali zakłady.

Scotty krążył przy Taxi Tygrys. W baraku dzisiaj były tylko miejsca stojące, biła w nim światłość telewizyjna. Ekipa stała jak urzeczona. Fred O., Milt C., Podglądacz Crutchfield. Niezliczone zulusy z południowych dzielnic. Narkogorylek w bokierskich rękawiczkach siedział na telewizorze.

I Lionel D. Thornton – z zamykaną na zamek saszetką.

Scotty wałęsał się po terenie. Marsh przyjechał. Miał buty na gumowej podszewie i rękawiczki. Scotty chwycił swoje rękawiczki ze schowka. Wgapili się w barak.

Radio zatrzepotało. Sygnał się urywał. Marsh szarpał gałką. Zakłócenia i werdykt – Frazier wygrał.

Marsh wyłączył.

– Ma broń – powiedział Scotty.

– Wiem. Mały rewolwer, za paskiem.

– Pójdzie piechotą. Nie widzę jego wozu.

– Do banku ma sześć przecznic.

Scotty podał mu butelkę. Marsh łyknął odrobinę.

– Przegrałem stówę.

– Pokryję ci – powiedział Scotty. – Wygrałem trzy.

– Obstawiał przeciwko Alemu?

– Byłem na Sajpanie. Mam uraz do dekowników.

Marsh podał butelkę.

– Opowiedz mi. Japońska piechota czy bandyci. Kto lepszy?

Scotty się napił.

– Spaliłem bunkier z amunicją. Zjarałem setkę śpiących Japońców.

– Dostałeś medal?

– Krzyż Marynarki. Ładny, ale nie taki ważny jak twój.

Marsh się uśmiechnął. Butelka pokrzyżła. Wyszedł Lionel Thornton.

Ruszył na południe.

– Zdejmiemy go pod bankiem – orzekł Scotty.

W baraku wybuchło. Skurwiele krzyczały „Frazier”. Skurwiele krzyczały „Ali”. Dwaj bracia wymieniali ciosy. Fred O. to przerwał. Telewizor się zakołysał. Narkogorylek spadł.

Scotty ruszył na zachód i skręcił w Stanford na południe. Potem na wschód w Sześćdziesiątą Trzecią i zaparkował po drugiej stronie ulicy.

– Drzwi do magazynu na zachód od wejścia – powiedział Marsh. – Tam nas nie zobaczy.

Scotty założył rękawiczki.

– Jeszcze jakieś cztery minuty.

Marsh przełknął ślinę. Był rozlatany i ociupinkę mokry. Scotty wyczuł jego puls.

– Jak ci, bracie?

– Będzie dobrze, bracie. Wiesz, że tego chcę.

Scotty mrugnął okiem.

– No to idziemy.

Przeszli na drugą stronę ulicy. Schowali się w wejściu. Marsh zerknął na zegarek. Scotty usłyszał kroki.

Bliżej. Głośniejszy. Jego oddech, jego cień, grzechot kluczy.

Klucz w zamku, kliknięcie, szurnięcie drzwi.

Skoczyli.

Przydusili go. Zmiażdżyli. Wepchnęli do środka. Torba z gotówką poleciała. Scotty zasłonił mu usta ręką. Marsh chwycił broń. Thornton kopał i się wyrywał. Marsh oberwał butem w twarz.

Thornton próbował ugryźć. Nie mógł ruszać ustami. Marsh walnął go w kark. Thornton stracił dech. Marsh chwycił klucze i zamknął drzwi od środka. Thornton dalej się miotał. Scotty przerzucił go nad głowę i cisnął nim na dwa metry.

Poleciał skurwiel. Całe jego ciało zrobiło gwiazdę. Stopy musnęły sufit. Walnął przy kantarze kasjera.

Krzyknął. Marsh chwycił lampkę i zaświecił mu w twarz.

Dokoła panowały ciemności. Lampka dawała światło tunelowe. Masz twarz Thorntona, proszę.

Krzyknął. Scotty stanął mu na karku. Przestał krzyczeć. Usta miał zakrwawione. Zderzenie z podłogą skasowało mu przednie zęby.

Scotty kiwnął głową.

– Interesuje nas gotówka poplamiona i niepoplamiona oraz szmaragdy. Wiesz, o co nam chodzi. Uważamy, że masz informacje, które mogą nam pomóc.

Thornton się szarpnął. Scotty mocniej go przydusił. Thornton przestał się szarpać. Scotty wyciągnął piersiówkę. Mieszanka konfesjonałowa pastora Bennetta – burbon i kruszone valium.

Marsh ją trzymał. Marsh chwycił Thorntona za włosy i poderwał mu głowę. Usta Thorntona się otworzyły. Marsh wlał mu łyka. Thornton niemal go wypluł. Marsh stanął mu na twarzy i zapobiegł wypluciu.

Scotty kiwnął głową. Marsh zabrał nogę. Thornton zachłysnął się powietrzem. Thornton powiedział:

– Nie.

Marsh go spoliczkował. Thornton ugryzł go w rękę. Scotty chwycił go za włosy i podciągnął dalej w stronę kantoru kasjera. Marsh odwinął kabel i przysunął lampkę.

W kantorze było ciemno. Lampa dawała tunelowe światło. Marsh oświetlił twarz Thorntona.

– Nie dasz nam rady – powiedział Scotty. – Niepotrzebnie utrudniasz.

Thorntonowi krew ciekła na podłogę. Podbiegł robak. Marsh go nadepnął. Thornton wciągnął powietrze.

– Wieśniak. Gównno wuja Toma.

Scotty kiwnął głową. Marsh wyciągnął pałkę i wałnął Thorntona po kolanach. Thornton zagryzł dolną wargę i stłumił krzyk.

– Sierżant Bennett i ja – powiedział Marsh – zebraliśmy informacje w tej sprawie. Wiemy, że wyprałeś co najmniej niewielką część pieniędzy z napadu. Zechciałbyś skomentować?

Thornton splunął krwią i zębami. Thornton podpełzł do słupa i oparł się o niego. Thornton pokręcił głową. Nie, ni chuja, spierdalajcie.

Scotty przysunął lampkę bliżej. Marsh przechylił ją, by dawała więcej światła. Thorntonowi leciała krew z dygocących ust. Marsh chwycił piersiówkę i wlał mu haust.

Thornton próbował to wyrzygać. Scotty chwycił go za włosy i odchylił mu głowę. Marsh mu dołał.

Teraz gulgoty – krew, żółć i mieszanka. Zaczęło się wylewać. Marsh zatkał usta Thorntona i wdusił mu wszystko z powrotem.

Pokręcił głową – niet, niet, nein. Marsh odetkał usta i spałował Thorntona po nogach.

– Sierżant Bennett i ja indywidualnie zdobyliśmy pewne informacje i zdecydowaliśmy się podzielić nimi. Obaj byliśmy tamtego ranka w miejscu napadu. Głupotą byłoby, gdybyśmy nie współpracowali.

Thornton pokręcił głową. Wyleciał ząb. Scotty puścił jego włosy. Thornton opuścił głowę i przełknął krew. Pokręcił głową: niet, niet, nein.

– Miałem sąsiada – powiedział Marsh. – Starszego wiekiem czarnego doktora. Zajął się bandytą, którego zostawił na śmierć przywódca bandy. Lekarz dostał dwadzieścia tysięcy dolarów w poplamionych atramentem banknotach jako zapłatę za swoje usługi. Te pieniądze dał tobie, żebyś je ostrożnie wypuszczał w świat. Ocalony członek bandy wyzdrowiał i od tamtego czasu nikt go nie widział. Zechciałbyś skomentować?

Thornton otworzył szeroko oczy. Widać było, że mózg mu pracuje gorączkowo. Jebany błyskotliwy Marsh. „No, młody” – pomyślał Scotty.

W kasie było gorąco. Scotty był cały mokry. Marsh był cały mokry. Scotty zobaczył klimatyzator na ścianie i włączył go.

Z szumem napłynęło chłodne powietrze. Thornton je wciągnął. Marsh spałował go po nogach. Thornton krzyknął. Dołączył grzechot klimatyzatora.

Marsh podniósł pałkę. Scotty pokręcił głową. Thornton odwrócił oczy, żeby lampa go nie oślepiła. Scotty się przesunął i zapewnił mu cień. Marsh przykucnął przy Thorntonie i podetknął mu pałkę pod brodę.

– Sierżant Bennett i ja uważamy, że ocalały członek bandy to młody chemik Reginald Hazzard. Mam teorię, którą nie podzieliłem się z sierżantem Bennettem. Myślę, że może młody Hazzard znalazł sposób, żeby częściowo lub całkowicie usunąć ślady atramentu, i że może ty, doświadczony pracz gotówki, wyprałeś całą tę kasę. Zechciałbyś skomentować?

Thornton szeroko otworzył oczy, bardzo szeroko. To było prawdziwe serum prawdy. Marsh, ty genialny lachociągu.

Thornton nasikał do spodni i nasrał do spodni. Jasnowidzący Marsh wstał z obrzydzeniem.

Scotty zamrugał powiekami. Klimatyzator dmuchał lodem. Karaluch podbiegł do plamy krwi.

– Reginald Hazzard – powiedział Marsh.

Thornton załkał i splunął krwią.

– Kto wysyła szmaragdy czarnym w potrzebie? – spytał Marsh.

Thornton odchylił się od światła. Marsh kopnął go w plecy. Scotty pokręcił głową. Marsh strzelił focha. Scotty wyciągnął latareczkę i ustawił szeroki strumień światła.

Marsh wyjął rolkę taśmy izolacyjnej i zakleił usta Thorntonowi. Scotty przykuł mu kajdankami prawy nadgarstek do ściany. Porozumieli się telepatycznie: przetrząsnijmy okolicę.

Pracowali z dwiema latareczkami i kluczami Thorntona. Przeszukiwali, kopali, ślęczeli, odwracali i wywalali. Trzykrotnie wszystko przetrząsnęli.

Otworzyli każdą szufladę w biurze i każdą kasę.

Sprawdzili w każdej szafie.

Przejrzelili każdą półkę.

Ściągnęli każdy dywanik.

Przecięli każde wyściełane krzesło.

Przekopali każdą szafę.

Wyłamali każdą oprawkę.

Przejrżeli każdą powierzchnię, płaszczyznę, boks i schowek.

Zrobili to raz, dwa, trzy razy. Przejrżeli wszystkie jebane śmietniki.

– Nic tu nie ma – powiedział Marsh.

– Owszem, jest – powiedział Scotty.

– Człowieku, on nie jest taki głupi. Ma schowek w domu albo gdzieś jakiś magazynek.

Scotty pokręcił głową.

– On jest pewny siebie. Pierze tutaj. Musi mieć kartoteki, książki, gdzie to wszystko wpisuje.

Ma gdzieś schowek.

Marsh pobiegł do Thorntona. Kiedyś był Mister Cleanem i Praczem. Teraz zamienił się w gówno, krew i szczochy.

Marsh założył dociążone rękawice. Po trzydzieści deko na dłoń i palce.

– Powiesz mi – powiedział Marsh.

Napiął dłonie. Walnął Mister Cleana pięścią w plecy.

Thornton załkał i zwinął się ciasno. Scotty podbiegł i odciągnął Marsha.

– Nie. Nie. Spokojnie. Najpierw sprawdzimy ściany.

Marsh oklapł. Tak, dobra, bracie, jasne, tak, tak.

Scotty go puścił. Marsh uderzył w klimatyzator. Scotty podbiegł do magazynku i znalazł łom. Marsh uśmiechnął się głupkowato.

Walili w ściany.

Patroszyli ściany.

Zmieniali się.

Spocili się. Na wylot. Odpoczywali na zmianę i dalej zasuwali.

Zabrali się za ściany w gabinecie Thorntona, ściany stołówki i ściany kasy. Dotarli do ścian właściwego banku i tam dalej pruli. Wyrwali boazerię. Żarli pył gipsowy i kawałki tynku. Słyszeli, jak Thornton jęczy i kaszle. Machali, wydzierali i chwiali się na nogach.

Dotarli do korytarzyka na zapleczu. Scotty oparł się o ścianę, złachany. Marsh się zamachnął. Odleciał kawał tynku. W ręce wpadł mu tobołek.

Był zawinięty w folię i zaklejony taśmą. Miał trzydzieści na dwadzieścia centymetrów i papier w środku. Scotty rozdarł wierzchnią warstwę. Marsh przejrzał pierwszą stronę. Same kolumny i cyfry. Daty z lewej. Pierwsza: kwiecień 1964.

Przetarli oczy. Odwrócili kartki. Zobaczyli daty, liczby i jakieś zakodowane oznaczenia. Zobaczyli kolejne daty i sumy przechowywane w banku. Ostatnia liczba: ponad siedem milionów.

– Kasa z napadu to kapitał początkowy. On ją pierze i pożyczca. Zaczęli od dwóch, a teraz mają siedem. Tyle osiągnęli. Musi to trzymać tutaj.

– Musi być skarbiec – powiedział Scotty.

Księga rachunkowa była oprawiona w skórę. Marsh przeciął nożem krawędzie i pogrzebał w środku. Wysunęła się karteczka.

Schematyczny plan. Czarna skrzynka. Liczby określały wielkość i umieszczenie. Ukryty. Może tu, może nie. Tajny skarbiec. *Nie skarbiec główny.*

Wrócili do Thorntona. Siedział. Krew mu zakrzepła, gdzieś się kruszyła. Z zębów uzbierał mały stosik. Pokrył go gipsowy pył. W połączeniu z potem zrobiło się błoto.

– Gdzie jest skarbiec? – spytał Scotty.

Thornton pokręcił głową.

Marsh podniósł mapkę.

– Skarbiec. Kombinacja.

– Nie – powiedział Thornton.

Scotty kopnął go w nogę. Thornton pokazał im fucka. Marsh odgiął mu palec i złamał go. Thornton wybełkotał krzyk.

Marsh chwycił łom i pobiegł korytarzem. Scotty zerknął na zegarek – byli w środku już trzy godziny. Thornton wypluł ząb na kolana. Scotty mrugnął do niego okiem.

– Zawsze mnie frapowało, jak długo wytrzymują takie bystrzaki jak ty. Wszyscy mamy teraz powód do świętowania.

– Jębię twoją matkę – rzekł Thornton. – Wiechol, śmierdziel i ścierwo.

Znowu rozległo się walenie w ściany. Marsh uderzał mocno i szybko. Scotty siadł i zamknął oczy. Cały był obolały.

Łomot ustał.

– Uuuuuuu! – pojechał Marsh.

Podbiegł. Scotty nie otwierał oczu. Każda z jego powiek ważyła pół tony.

– Mam kartoteki, brachu. Od wiosny sześćdziesiąt cztery. Masz tu spis beneficjentów i listę ich nazwisk i adresów. To kawał Historii, człowieku. Są tu rodziny koleśki, którzy zostali zlinczowani w Missisipi, dziewczynki z kościoła w Birmingham, ta kobieta, która straciła syna w czasie zamieszek w Watts.

Scotty otworzył oczy. Marsh trzymał zwoje papieru i wycinki z gazet. Thornton zazgrzytał. Nie miał już zębów. To był zgrzyt dziąsłami.

Marsh rzucił dokumenty. Spadły obok plamy krwi. Zimne powietrze zatrzepotało nimi.

– Setki, partnerze. Zastrzeleni przez policję, chorzy, protestujący zastrzeleni na południu. Jest tu Mary Beth Hazzard i jej zmarły mąż aż do byłego mistrza Listona, co to się stacza.

Scotty czule poklepał Pracza.

– Podaj kombinację.

Thornton pokręcił głową.

– Szmaragdy są tutaj? – spytał Scotty.

– Spierdalaj – odrzekł Thornton.

Marsh chwycił go za kciuk prawej ręki i złamał go.

To był dopiero krzyk – trwał dziesięć sekund.

– Powiedz mi, jak dobrze znasz Reginalda Hazzarda – powiedział Scotty.

– Spierdalaj – odrzekł Thornton.

Marsh chwycił najmniejszy palec u jego prawej ręki i złamał go.

To było dopiero wrzask – trwał dwanaście sekund.

– Szmaragdy są tutaj? – spytał Scotty. – Ty je rozsyłasz? Czy są przysyłane, żebyś je rozesłał? Reginald jest gdzieś za granicą? Kto jeszcze jest w to wszystko wplątany?

– Spierdalaj – odrzekł Thornton.

Marsh chwycił go za kciuk lewej ręki i złamał go.

Krzyki i wrzaski. Aż, kurwa, łeb pękał – cała minuta.

Scotty wyciągnął swoją butelkę konfesjonalną. Marsh chwycił Thorntona za włosy i odchylił mu głowę. Thornton otworzył szeroko usta. Thornton dyszał, jakby chciał. Jego wzrok mówił „Dolej”.

Jasne, szefie, na koszt firmy.

Thornton zwymiotował i przełknął wymiociny. Scotty zerknął na zegarek. Jedna minuta i poleci.

Thornton przełknął i zacisnął ręce. Thornton opanował skręty zjebanego tułowia. Start za czterdzieści trzy sekundy.

– Nie wiem, gdzie jest Reggie. Dostaję przesyłki z zagranicy. Są nadawane z różnych miejsc. Przekazuję szmaragdy, ale one do mnie docierają przez łącznika.

*Łącznika! Ho, ho! A niech mnie!*

– Nazwisko łącznika – powiedział Scotty.

Thornton zakaszłał.

– Nie znam jej nazwiska.

– Jej? – spytał Scotty.

– Opisz ją – polecił Marsh.

Thornton zakaszłał sucho.

– Biała, po czterdziestce, okulary. Ciemne włosy i siwizna.

Marsh się chwilę zawahał. Scotty to zauważył. *Już ja cię znam.*

Thornton zakaszłał mokro. Po brodzie spłynęła mu krew.

– Gdzie jest skarbiec?

– Nie powiem wam.

– Podaj kombinację.

– Ani myślę.

– Poskładaj nam to. Mamy czas, to posłuchamy.

- Ani myślę.
- Objaśnij szyfr w księgach.
- Ani myślę.

Marsh napiął rękawicę. Scotty przytrzymał go za ramiona.

- Idź do biura i przynieś jego notes adresowy. Jest w prawej górnej szufladzie.

Thornton oparł się o ścianę i zadygotał. Marsh pobiegł, świecąc sobie latareczką. Scotty sprawdził kajdanki Thorntona. Werznąły mu się w nadgarstki.

Marsh wrócił. Scotty przejrzał nazwiska w notesie. Czytali w świetle latareczek. Marsh wisiał nad nim. Od A do K – dwie kobiety. Janice Altschuler, April Kostritch. Niespodzianka pod L – SAS John Leahy FBI nr 48 770.

Jeszcze dwie kobiety: Helen Rugert i Sharon Zielinski. Łączniczki? Pierwsze wrażenie: nie. Scotty rzucił notes.

- Altschuler, Kostritch, Rugert, Zielinski.

Thornton zakaszłał ostro.

– Te kobiety to pracownice magistratu i prawniczki. Mówiłem wam, nie znam nazwiska łączniczki.

Scotty strzelił kłykciami.

- Pod jaki numer do niej dzwonisz?
- Nie dzwonię. Ona dzwoni do mnie.

Marsh podniósł notes i przewertował go. Scotty głośno strzelił kłykciami, Thorntonowi przed twarzą.

- Skąd Jack Leahy w twoim notesie?
- Jesteśmy przyjaciółmi. Gramy w golfa.
- Jesteś informatorem FBI? 48 770 to twój tajny numer biurowy?
- Nie! Gramy w golfa!

Scotty go spoliczkował. Thorntonowi poleciała głowa. Scotty wytarł krew w nogawkę jego spodni i wysmarkał się tamże.

- Jesteś informatorem Biura?
- Tak.
- Znałeś świętej pamięci doktora Freda Hiltza albo pracowałeś z nim?
- Jebanego Króla Nienawiści? A skądże.

Serum prawdy – kupuję to.

- Na kogo donosiłeś do Jacka?
- Na szumowiny z getta. Handlarzy heroiną i debili panteropodobnych.

Marsh rzucił notes adresowy. Scotty dał mu znak latareczką. Marsh dał znak i jemu. Spojrzeli sobie w oczy. Porozumieli się telepatycznie.

- Gdzie jest skarbiec, panie Thornton? – spytał Scotty.



– Nie powiem wam.

– Czego nam pan nie powiedział – rzekł Marsh – co powinien nam pan powiedzieć, żeby dopełnić ujawnienia?

Thornton się uśmieł.

– Człowieku, jesteś tylko czarnuchem z ustami pełnymi okrągłych słówek.

– Niech nas pan zabierze do skarbcza, proszę – powiedział Scotty.

– Ani myślę.

– Gdzie są szmaragdy? – spytał Marsh.

– Gdybym wiedział, nie powiedziałbym wam.

Scotty wzruszył ramionami.

Marsh wzruszył ramionami.

Prześwidrowali twarz Thorntona latareczkami. Oświetlili cel. Marsh wyciągnął niezarejestrowaną broń i strzelił mu w skroń.

Szykowny Sal uwielbiał murzyńskie żarcie. Rzucił się na bary po walce i obżerał braci. Był ujarany jak ta lala. Libido mu szalało. Pożerał skrzydełka i rozkoszował się męskością spod ciemnej gwiazdy. Marsha Bowena nie było. Crutch chciał, żeby Sal go zobaczył. Robota Sala: wabić.

Impreza się bujała. Nikt nawet nie zauważył, że lecą powtórki. Panterowa pedanteria. Marudni Frazieriści i mongoidalni muzułmanie.

Głupki korzystały z chwili. Cena katalogowa obejmowała żarcie i rozmaitość prochów. Katering zapewniała Kuchnia Wielkiej Mamuśki. Fred dostarczał farmaceutyki. Obowiązywała konsumpcja na miejscu. Głupki wpełzały do tygrysich taksówek i odjeżdżały.

Gdzie jest Marsh?

Crutch ziewnął. Był otepiały. Puszczal sobie powtórki. Tatuaz chce się spotkać z facetami z filmu. Została oduroczona. Odciski palców na kopercie: prawdopodobnie należą do Reggiego Hazzarda, a na pewno do Lionela Thorntona.

Sal pałaszował jarmuż. Crutch ziewnął na nowo. Czytał. Jego nowy bzik: chemia i lewicowa dialektyka.

Był w głowie Reggiego Hazzarda. Wysłał Mary Beth kolejny list z pytaniem o akta i nie dostał odpowiedzi. Czytał książki Reggiego. Przeprowadził kilka prostych doświadczeń, według instrukcji. Skropił dwa proszki i wysadził śmietnik. Poczytał o United Fruit w Gwatemali. Wpasował się do narracji. Role dobry/zły się odwróciły. Oczy go bolały. Zaczynał widzieć na czerwono.

Do baraku wszedł Marsh. Wyglądał drżąco-dygocząco. Co to za plama na spodniach?

Sal go zauważył. Sal zrobił minę, że u-la-la. Marsh przeszedł do kibla. Crutch ruszył za nim. Marsh nie domknął drzwi.

Marsh umył ręce. Ciemne smugi stały się jasnoczerwone i różowe. Polał mankiety koszuli i wyżał tkaninę. Crutch poczuł zapach krwi.

Marsh wytarł twarz. Marsh wyciągnął długopis i napisał coś na lewej ręce. Crutch zmrużył oczy i odczytał to coś.

FBI/48 770.

## 99

### (Media, 8.03.1971)

Filia Biura. Dwupokojowa kryjówka na akta. Jedno biuro w czteropiętrowym budynku.

Media to Pipidówka. Tramwaj jedzie dwadzieścia kilometrów do Filadelfii. Frontowe drzwi aż się prosiły o sforsowanie.

23.49. Światowy zgiełk: Frazier pokonuje Alego.

Dwight zaparkował w bocznej uliczce. Widział drzwi wejściowe i okna biura.

Karen przedstawiła mu wczoraj plan. Omówili rezultaty.

Jego punkt widzenia: pan Hoover wyciszy sprawę. To oznaczało przecieki do prasy. A więc idziemy do wielkich dzienników. Dostarczamy dokumenty. Ruszamy kilka brukowców. Niech sobie dośpiewają, co chcą. Ujawniamy fragmenty akt przez łączników. Zmyśl nazwę dla lewackiego ugrupowania. Zrób włam pod ich sztandarem.

Joan się nie zgodziła. Jej punkt widzenia: stracimy wielkie ujawnienie. Jego punkt widzenia: to preludium i podkład. Akta w Medii są łagodne. Zawierają prozaiczne duperele i rutynowe obserwacje. Soczysty szajs jest gdzie indziej. Nasza operacja to ujawni. Post-Hooverowska FBI nie zdoła tego wyciszyć. Media ujawni termin COINTELPRO. Rzecznik federalów wypaczy prawdę. Ja powiem światu, co to naprawdę znaczy. Biuro nie zdoła się ogarnąć po zamachu. Media wywoła tęczową wrzawę. Po zamachu zaciemnienie nie zadziała. Znajdę się ja. Wyłamię się z szeregu. Wystąpię przed szereg, że chcę zeznawać.

Dwight podniósł lornetkę. W jego polu widzenia pojawiła się furgonetka.

Wysiadły z niej cztery osoby: dwóch mężczyzn, dwie kobiety. Ubrani jak wapniaki w średnim wieku. Kobiety niosły pękate torebki wypchane torbami na pranie. Karen miała na sobie spodnium mamuśki z przedmieścia.

Mieli duplikat klucza. Podeszli powoli do drzwi wejściowych i otworzyli je. Karen podłubała w zamku wytrychem, żeby uwiarygodnić, że to włamanie.

Zamknęli drzwi. Dalej było ciemno. W oknach odbiły się punkciki latarek. Idźcie na schody od zaplecza. Winda to ryzyko.

Dwight zerknął na zegarek. Północ. Obserwował cztery okna. Minęła minuta. Promienie latarek strzelały po oknach.

Samochód minął budynek. Nowy model merca, safandulowata mamusia i safandulowaty tatuś, klimaty country clubu. W radiu trzaski. Dwight usłyszał „Ali”.

Strumyki światła strzelały po oknach. Szyby migotały. Radiowóz minął budynek. Dwóch tłustych gliniarzy ziewało.

Dwight odliczał minuty z zegarkiem w ręku. Długa wskazówka się wlokła. W oknach ciągle było ciemno, aż doliczył do czterdziestu ośmiu. Dobra, zrobione.

Patrzył na wejście. Są. Torby wypchane. Wyłaźcie. Do wozu i zjeżdżać.

Trójka poszła przodem. Karen stanęła na chodniku, twarzą do niego. Pocałował koniuszki palców i dotknął przedniej szyby. Karen podniosła zaciśniętą pięść.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 12.03.1971. Artykuł z „Herald Express” z Los Angeles:

SZOK PO MORDERSTWIE  
I RABUNKU W POŁUDNIOWYM LA.  
ZDJĘCIE OFIARY WYCIEKA Z MATERIAŁÓW ŚLED CZYCH

Lionel D. Thornton, lat 51, prezes Banku Powszechnego Południowego Los Angeles, zginął straszliwą śmiercią w poniedziałkową noc. Wieczór spędził na postoju taksówek, popularnym w okolicy miejscu spotkań towarzyskich, gdzie oglądał relację z meczu bokserkiego Ali-Frazier. Kiedy wracał stamtąd, został napadnięty przed bankiem i wciągnięty do środka. Następnie obrabowano go z wpływów z firmy taksówkowej, torturowano i zabito. Dotychczasowe postępowanie ujawniło, że bandyci i mordercy przetrzasnęli bank niczym w napadzie szaku, może szukając tajnego skarbcza lub zasobów ukrywanych przez pana Thorntona na terenie placówki. Niestety, u podstaw zbrodni być może leżały niepotwierdzone pogłoski odnoszące się do samego pana Thorntona.

„O panu Thorntonie nie mogę powiedzieć nic złego” – powiedział prowadzący śledztwo sierżant Robert S. Bennett na pospiesznie zwołanej konferencji prasowej we wtorkowe popołudnie. „Od wielu lat był filarem społeczności bankierów, co zresztą przejawia się w zalewie bólu i smutku po jego śmierci, jak również w wyrazach hołdu, o których wieści docierają do nas od rana”.

Sierżant Bennett, lat 49, dowodzi sześciuosobową grupą dochodzeniową, która ma rozwiązać sprawę i doprowadzić winnego lub winnych przed oblicze sprawiedliwości. „Osobiście uważam, że pan Thornton był osobistością nieskazitelną” – powiedział dziennikarzom. „Moim zdaniem ta zbrodnia wyrasta z od dawna krążących w południowych dzielnicach plotek, że pan Thornton miał powiązania z przestępczością zorganizowaną i w swoim banku prał pieniądze z nielegalnych źródeł. Nie wierzę w te plotki. Uważam, że ta zbrodnia ma swoje źródło w uporczywej dezinformacji. Tragedią jest to, że pan Thornton zginął za 2000 dolarów wpływów z taksówek i że sprawca lub sprawcy zabili go i splądrowali pomieszczenia banku w poszukiwaniu czegoś, czego tam nie było”.

Śledztwo trwa. Sierżant Bennett i jego sześciuosobowy zespół nie ustaną w wysiłkach, by ująć mordercę lub morderców Lionela D. Thorntona. Dodatkowe śledztwo będzie prowadzone

przez FBI, a ściśle przez oddział Biura w Los Angeles, pod nadzorem agenta specjalnego Jacka C. Leahy'ego.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 12.03.1971. Dosłowny zapis rozmowy telefonicznej sporządzony przez FBI. Oznaczony: „Nagrany na polecenie Dyrektora”/„Tajne 1-A: Zastrzeżone dla Dyrektora”. Rozmawiają: Dyrektor Hoover, Agent Specjalny Dwight C. Holly.

DH: Dzień dobry, panie dyrektorze.

JEH: Dobry ten dzień zdecydowanie nie jest.

DH: Tak?

JEH: W poniedziałek w nocy włamano się do oddziału Biura w Medii w Pensylwanii. Skradziono ogromną ilość akt.

DH: To potwierdzona informacja, proszę pana? I proszę wybaczyć mi ignorancję, ale nie wiem, gdzie leży Media.

JEH: To dwuosobowy oddział nieopodal Filadelfii. Mamy tam rezerwowe archiwum przechowujące nadwyżki z Nowego Jorku, Bostonu i Filadelfii. Włamanie dokonano, kiedy tamtejsi funkcjonariusze policji znajdowali się w Pizzerii Shakeya, gdzie oglądali powtórki z Walki Małp – Cassiusa Claya i Joego Fraziera.

DH: Panie dyrektorze, to pewna informacja?

JEH: Tak. Włamanie odkryli sami agenci. Pominęli policję Medii i zadzwonili do szefa agentów specjalnych w Filadelfii. Media jeszcze nie powiadomiła mediów.

DH: A akta, proszę pana?

JEH: Nieistotne, wedle standardów biura Los Angeles. Obciążające wedle standardów zamroczonych libertarian od praw obywatelskich. Straciliśmy akta z pomniejszych śledztw, materiały z podsłuchów i pomniejsze kartoteki COINTELPRO.

DH: To wstrząsające, panie dyrektorze.

JEH: Dzisiaj jesteś jakiś mętny i egzaltowany, Dwight. Przedłużone pobyty w sanatoriach osłabiają silnych ludzi. Mylą stany emocjonalne z rzeczywistością.

DH: Tak, proszę pana.

JEH: Już lepiej. Dawny Egzekutor. Napastliwy i uległy.

DH: Tak, proszę pana.

JEH: Jeszcze lepiej.

DH: Tak, proszę pana.

JEH: Jestem pewien, że myślimy o tym samym. Który ekstremistyczny odłam się do tego przyzna? Ujawnią akta? I któremu zdradzieckiemu lewackiemu szmatławcowi?

DH: Ilu agentów nad tym pracuje, panie dyrektorze?

JEH: Czterdziestu sześciu, całą dobę na okrągło. Oczywiście, nie ma świadków, a złodzieje nie zostawili żadnych śladów.

DH: Popytam moich informatorów, panie dyrektorze.

JEH: Proszę to zrobić. Niech pan proponuje gratyfikacje finansowe i skorzysta ze wszystkich niewskazanych metod przy mojej absolutnej akceptacji.

DH: Dobrze, proszę pana.

JEH: Rozesłałem okólnik do wszystkich naszych placówek. W tym właśnie momencie archiwa powinny być dodatkowo zabezpieczane.

DH: Tak, proszę pana.

JEH: Proszę nie bagatelizować moich środków zapobiegawczych przeciwko przyszłym włamaniom. Proszę nie bagatelizować krzepkiego stanu mojego zdrowia. Mój lekarz, doktor Archie Bell, uważa mnie za wybitnego przedstawiciela gatunku.

DH: Tak, proszę pana.

JEH: Prezydent Nixon jest chory psychicznie. Nie chce mnie powiadomić, że ponownie mianuje mnie dyrektorem po swojej *fait accompli* reelekcji w przyszłym roku. Mówię ci, jak jest, brachu. Chytry Dick prosił mnie, żebym zrobił trochę włamów do demokratów, a ja odmówiłem. Ociągam się. Nixus zaczyna się pocić.

DH: Mogę sobie to wyobrazić, proszę pana.

JEH: Nie wątpię. A pańskie zdrowie psychiczne? Czy odzyskał pan swój opryskliwy sposób bycia?

DH: W zupełności, panie dyrektorze.

JEH: Straciliśmy trochę akt, ale i tak zwyciężymy. Akta w mojej znakomicie strzeżonej piwnicy obalą świat.

DH: W rzeczy samej, panie dyrektorze.

JEH: Miłego dnia, Dwight.

DH: Miłego dnia, proszę pana.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 12.03.1971. DOSŁOWNY ZAPIS ŚCIŚLE TAJNEJ ROZMOWY TELEFONICZNEJ/DOSTĘP OGRANICZONY. Akta nr 48 297. Rozmawiają: Prezydent Richard M. Nixon i Agent Specjalny Dwight C. Holly, FBI.

RMN: Dobry wieczór, Dwight.

DH: Dobry wieczór, panie prezydencie.

RMN: Dawno się nie słyszeliśmy, przyjacielu.

DH: To prawda, panie prezydencie.

RMN: Jesteś zajęty?

DH: Niewątpliwie, panie prezydencie.

RMN: O to właśnie chodzi! Tak trzymaj, póki możesz.

DH: To bardzo trafna uwaga, panie prezydencie.

RMN: Właśnie. A skoro jesteśmy przy temacie, muszę powiedzieć, że wie-pan-kto musi się bardzo gryźć tym włamaniami.

DH: Gryzie się, panie prezydencie. Rozmawialiśmy o tym dzisiaj rano. Czy wolno mi zapytać, czy to on właśnie pana zawiadomił o tym wydarzeniu?

RMN: Zadzwoił do mnie prokurator generalny. Powiedział: „Stara ciota chyba wsadziła fiuta w wyżymaczkę”.

DH: Czy mogę sobie pozwolić na bezceremonialność, panie prezydencie?

RMN: Ze wszech miar, Dwight. Po co przebierać w słowach? Dzwonię do ciebie dopiero, gdy sobie łyknę parę głębszych i mam wielką ochotę na bezceremonialność.

DH: Włamywacze przyznają się do akcji albo nie. Ujawnią akta albo ich nie ujawnią. Nawiasem mówiąc, dodam, że Media w Pensylwanii to Syberia archiwów i że wszelkie dane w tych aktach pochodzą sprzed pańskich rządów.

RMN: To mi się podoba.

DH: Na to właśnie miałem nadzieję, panie prezydencie.

RMN: Oto, czego się obawiam. Zastanawiam się, czy wie pan, kto może być schorowany do tego stopnia, że zrobi użytek z akt, które ma na mnie, żeby zachować swoją posadę.

DH: W listopadzie przyszłego roku zostanie pan ponownie wybrany, panie prezydencie. Dzień Inauguracji 1973 wydaje się świetnym momentem na ograniczenie strat.

RMN: Podoba mi się to.

DH: Na to właśnie miałem nadzieję, panie prezydencie. I pozwolę sobie dodać, że jeśli ktoś się przyzna do tego włamania, a w efekcie akta zostaną ujawnione, to wiadomo-kto stanie się rozważny co do ujawniania akt w jakikolwiek uwłaczający sposób.

RMN: Dwight, jest pan moim najlepszym kumplem.

DH: Dziękuję, panie prezydencie.

RMN: A skoro mowa o reelekcji. Stara ciota przeciąga pewien temat. Chodzi o brudne roboty. Nie sądzi pan, że to świetny pomysł?

DH: Szczerze mówiąc, panie prezydencie, nie uważam. Takie jest moje zdanie.

RMN: Dwight, jest pan zwięzły. Porozmawiamy o tym innym razem.

DH: Dobrze, panie prezydencie.

RMN: Czy mogę panu w czymś pomóc?

DH: W jednej sprawie, panie prezydencie.

RMN: Słucham.

DH: Biuro w Los Angeles wprowadza procedury zabezpieczające archiwa. Agenci obawiają się, że wie-pan-kto pojawi się niezapowiedziany, zanim skończą. Zechciałby pan zdobyć dla mnie jego plan podróży od kogoś w Departamencie Sprawiedliwości?

RMN: Ależ oczywiście, Dwight. Po kryjomu, mój drogi. Tak między nami.

DH: Dziękuję, panie prezydencie.

RMN: Nie ma sprawy, młody.



# 100

(Los Angeles, 13.03.1971)

Scotty się obijał.

Jego boks miał trzy ściany. Rysował małe szmaragdy. Dodawał greckie symbole płci. Znaczyło to „Kim jest Kobieta?”.

Było wcześniej. Nocna zmiana zostawiła burdel. On spiskował. Posyłał swoich współpracowników w ślepe zaułki. Nadzorował zbieranie śladów na miejscu zbrodni. Wszystko poszło zgodnie z ich planem. Technicy nie znaleźli żadnych śladów oprócz wejścia. To oznaczało tylko jeden trop.

Ukradli wpływy z Taxi Tygrys i nic więcej. Jack Leahy prowadził sprawę z ramienia FBI. Mister Clean był kapusiem federalów. Niektóre ogólne kwestie nabierały sensu.

Ten ukryty skarbiec. Do tej pory niezaleziony. Połączenie. Brat Bowen silnie naciska.

Scotty przejrzał listę. Przesłał ją Fred O. Goście meczowi Taxi Tygrys, w porządku alfabetycznym.

Milt C. i Fred T. Lenny Bernstein i Wilt Chamberlain. Jest i Sal Mineo. I Podglądacz Crutchfield. Śliczny Sal miał się tej nocy spotkać z macho Marshem.

Scotty przeleciał do końca listy. Aha: Marcus i Lavelle Bostitch.

Mieszkali w Watts. Mieli szopę za meczetem Mumara nr 2. Ćpuny, bandyci, pedofile. Kandydaci do pokojowej Nagrody Nobla.

Chłopcy Bostitch bez umiaru gibali się na rowerach. Słynęli z tego. Jeździli rowerami Schwinn Sting-Ray z bananowymi siodełkami.

Rowerów nie było. Drzwi były otwarte. Maurowie w meczecie głośno się zajmowali Allahem. Scotty wszedł bez trudu.

Przyniósł zestaw dowodów. Przyniósł scyzoryk i trzy zwitki gotówki z gumkami Tygrysa. Przyniósł karty odcisków, taśmy i proszek i sześć plastikowych torebek.

Na mecie cuchnęło. Ćpuńskim odorem. Brak higieny i ropa. Rozejrzał się. Żadnej broni. To nie oznaczało nic.

Dwa wyściełane krzesła, linoleum na podłodze, jeden materac. Zero łazienki, kuchni, szafy, półek.

Do dzieła.

Scotty naciął spód materaca i wsadził do środka trzy zwitki banknotów. Scotty otworzył plastikową torebkę i rozrzucił pył ze ścian w banku. Scotty zdjął kręcone włosy z parapetu

i schował je do torebki.

Obsypał proszkiem na odciski wejście i cztery płaszczyzny często chwywane. Zdobył dwa zestawy odcisków. Porównał je z kartą. Chłopcy Bostitch, dziesięć punktów zgodności.

Przeniósł je na taśmie i zabezpieczył. Wsadził do torebki włókna z krzesła i jeszcze trochę włosów. Wsadził do torebek brud i trochę pyłu. Barbarzyńcy ciągle zawodzili. Scotty przeszedł pod meczetem i wsiadł do wozu. Czarnuch w fezie pokłonił mu się pobożnie. Scotty odklonił mu się pobożnie.

Miejsce zbrodni: Policja/FBI. Żółta taśma i wartownicy wokół banku.

Scotty machnął odznaką wartownikowi przy drzwiach. Ten go wpuścił. Na podłodze leżały pokrowce. Stos sit do przesiewania sięgał mu do pasa. Zebrany gruz zapełniał wielkie worki. Kantor kasjera cuchnął luminalem. Szukali śladów krwi. Może Thornton zranił zabójców.

Błąd.

Scotty wszedł do biura Mister Cleana i zamknął drzwi od środka. Przeniósł odciski palców na ściany i półki. Rozrzucił włosy, pył i brud. Pod dywan wsadził zakrwawioną setkę.

Otworzył drzwi i wyszedł. Gliniarze chwywali dowieziony lunch. Jack Leahy siedział w wozie federalów.

Scotty podszedł.

– Niech zgadnę. Pracz miał parę powiązań, z którymi musisz uważać. Pan Hoover kazał zerknąć.

– Krótko mówiąc, tak.

– W środku jest syf. Pierwsze szukanie nic nie dało. Kazałem zrobić drugie.

– Zawsze byłeś taki skrupulatny – powiedział Jack.

Scotty się uśmiechnął.

– Mister Clean zasługuje na wszystko, co najlepsze. Obstawilem Frazierę, więc mam gest.

Jack przetarł okulary.

– Podejrzani?

– Dwóch Murzynów. Oglądali walkę w Taxi Tygrys. Myślę, że śledzili Thorntona i dopadli go.

Jakiś gruchot potoczył się ulicą. Dwaj bracia wyciągnęli pięści do glin.

Scotty się roześmiał.

– To mi zaczyna przypominać sprawę Freda Hiltza.

– Zgadzam się – powiedział Jack.

– Tamtą wykończyłeś, ale tutaj nie pozwolę.

– W tej chwili się zgadzam – powiedział Jack.

– Hiltz był informatorem Biura. Myślę, że Mister Clean też.

– Bez komentarza – powiedział Jack.

Meczet Mumara zamknięto na noc. Na zewnątrz stały dwa Schwinnny.

Dżunglowe bryki. Sakwy z podrabianego krokodyla i chlapacze. Łyse opony i zawodzące klaksony.

Scotty zajrzał przez okno. Ach, bracia, jakże to miło z waszej strony.

Znieczuleni. Mieli opaski uciskowe. Łyżki, igły i kokaina – wszystko na widoku.

Scotty założył rękawiczki i wszedł. Marcus i Lavelle drzemali obok siebie na krzesłach. Scotty wyciągnął dwie spluwy. Marsh zastrzelił Mister Cleana ze spluwy nr 1. Spluwę nr 2 skradziono w napadzie na aptekę około roku 1962.

Pokój z wami, bracia.

Scotty umieścił spluwę nr 1 w prawej ręce Marcusa i odcisnął jego prawy palec wskazujący na spuście. Podniósł broń i przystawił lufę do prawego ucha Marcusa. Położył swój palec na spuście i pociągnął.

Strzał był głośny. Marcus poleciał do tyłu, martwy. Kula została w głowie. Scott opuścił ramię z bronią. Broń spadła blisko dłoni.

Scotty umieścił broń nr 2 w prawej ręce Lavelle'a i odcisnął jego prawy palec wskazujący do spustu. Podniósł broń i przystawił lufę do prawego ucha Lavelle'a. Położył swój palec na spuście i pociągnął.

Strzał był głośny. Lavelle poleciał do tyłu, martwy. Kula została w głowie. Scotty puścił ramię z bronią. Broń upadła blisko dłoni.

Ładne ślady prochu. Empirycznie właściwe i wręcz podręcznikowe.

# 101

(Los Angeles, 14.03.1971)

FBI/48 770.

Wmieszaj się. Jesteś robotnikiem. Dasz radę.

Wczoraj przyglądał się ekipie. Nosili kombinezony i jedli lunch na trawniku przed budynkiem federalistów. Agenci policzyli ich przed południem. Po południu – nie. Jesteś po prostu kolejnym palantem z pasem narzędziowym.

Clyde mówił, że federaliści miały włamać pod Filadelfią. Spowodował on blitzkrieg archiwalny. Clyde powiedział, że pięciocyfrowe numery to kody szpicli. Kurwa mać – spróbujmy.

Crutch zjadł kanapkę z salami. Chłopaki z ekipy go zignorowali. To się wszystko łączy. Mister Clean umiera. Marsh z zakrwawionymi dłońmi. Scotty prowadzi sprawę, samobójstwo ćpunów, sprawa zamknięta.

Gwizdek. Ekipa wstała i się przeciągnęła. Sześciu i on. Błagam, żadnego liczenia.

Crutch się wmieszał. Nikt go nie przepłoszył. Miał dwudniowy zarost i naciągniętą nisko czapkę malarza. Pobrudził sobie farbą twarz.

Weszli do holu. Federaliści otworzyli windę. Crutch przycupnął między dwoma tłustymi Polakami. Nikt nic nie powiedział.

Winda zatrzymała się na jedenastym. Federaliści poprowadził ich korytarzem. Minął ich Dwight Holly z notatnikiem. Nic nie zobaczył.

Archiwum znajdowało się przy sali odpraw. Miało wielkość hangaru lotniczego.

Federaliści sobie poszedł. Ekipa się rozproszyła. Krzątali się między rozkręconymi przewodnikami. Crutch przeszedł sześć przedziałów dalej i naśladował ich.

Pracował powoli. Pozostali się opieprzali. Teraz skumaj. Schowaj się za półkami. Zdobądź dostęp.

Półki akt, regały akt, rzędy akt. Przypięte łańcuchem rozpiski. „TIB”. Skrót od federalnego terminu: „Tajni informatorzy Biura”.

Prawdziwi pracownicy pracowali. Mocowanie paneli i zamków szło im szybko. Crutch szybko szedł. Teraz wyglądaj nadgorliwie. Przykręć kilka śrub.

Oddalił się od pozostałych. Przejrzał otwarte rozpiski. Dotarł do szesnastu rzędów akt. Zamazały mu się skróty. Numer 17: „TIB/00001”.

Przełknął ślinę. Podniósł wzrok. Policzył numery i półki do sufitu. Kurwa mać – powyżej czterdziestu tysięcy leżały pod sufitem.

I żadnej drabiny. Trzeba się wspiąć.

Wspiął się. Półki się zachybotwały. Małpi, kurwa, chwyt, podciągnąć się, wciągnąć. Dotarł na szczyt. Nad głową miał sufit.

Pełznął. Żarł kurz, gumowe opaski i stare zdechłe robaki. Obejrzał się i zobaczył tabliczki. Dotarł do numerów zaczynających się od 45, potem 46, 47. Stłumił kichnięcie. Półka się bardzo zachybotwała. Dotarł do 48. Zobaczył czerwoną nalepkę TEJ teczki.

Wyciągnął ją.

Przeczytał pierwszą stronę.

Prac Czarnej Chluby – nędzny kapuś federalów.

Kapował wyłącznie na bandytów od napadów. Meldował szefowi biura, Jackowi Leahy'emu. Ten związek zaczął się w 1963. Nazwiska bandytów były zaczerwienione. To wszystko za blisko, wszystko się łączy. Nic przypadkowego – wszystko mam tu w garści.

Półka się zakołysała. Crutch niemal wypluł lunch. Donosy na rabunki. Depropagowanie i dezinformacja. Inaczej być nie mogło.

Crutch kichnął. Półka się pochyliła. Niemal upuścił teczkę. Wypadła kartka. Zobaczył zaczerwieniony akapit. Bóg do niego przemówił: Jack Leahy ocenzurował akta Joan Rosen Klein.

Operacja.

Nigdy jej nie nazwali. Nie mieli takiej potrzeby albo nie chcieli. Nigdy nie wymienili notatek. Ich zadań nie trzeba było referować na papierze. Skrótowce były śmieszne i napuszone. Zalatywały infantylnym, nieuzasadnionym federalnym ruchaniem osób pozbawianych praw obywatelskich.

Pracował w archiwum w sposób niedbały i pracował nad Operacją z pełnym oddaniem. Asystent Nixona przysłał mu rozpiszę podróży pana Hoovera. Stara ciota słabowała. Mniej podróżowała. Nie planowała podróży do LA w tym roku.

Spał dobrze. Nerwy miał w porządku. Rzucił swój zapasik wody i proszków nasennych. Wyobrażał sobie ogony. Robił uniki. Samochody ogonowe znikwały. To był taki lęk pourazowy.

Stara ciota mu ufała. Operacja była bezpieczna. Rezerwowy lokal pewny. Żadnej obserwacji.

Zrezygnował z kontroli śledzenia i jeździł z miejsca na miejsce. Teraz był pozałamaniowy. Spokojnie realizował kolejne zadania. Operacja była niepojęta. Nikt nie podejrzewałby ich celu ani nie polemizowałby z jej skutkiem. Potem nastąpi lawina dokumentów. Akcja w Medii to zapowiedziała. Wydarzenie było nieuniknione.

Joan pracowała z nim. Rozumiała wagę szczegółu. Rozmawiali, planowali, tworzyli potężny labirynt dokumentacyjny. Joan odmówiła rozbudowania swojego zdumiewającego oświadczenia.

„Już jako dziecko chciałam go zabić. I nie powiem ci dlaczego”.

Nie spytał jej już. Nie spytał Karen. Sprawdził kolejne teczki członków jej rodziny. Wszystkie akta zaginęły, zostały przeniesione, przekazane, zniszczone lub skradzione. Poddał się. Miał nie wiedzieć. Powie mu albo mu nie powie. Stwierdził, że jest mniej ciekaw. Mieli swoją Operację. Jej brutalność stanowiła ich więź.

Włamanie w Medii spełniało swoją rolę. Karen i jej zespół pozostali anonimowi. Ujawniała akta przez łączników. 24 marca uderzył „Washington Post”. Po nim „New York Times” i „Village Voice”. Wrzawa przybierała na sile. Karen przypisała przecieki Obywatelskiemu Komitetowi do Śledzenia FBI. Szary obywatel spojrzął na niegroźne akta z inwigilacji. Szara obywatelka połapała się w COINTELPRO. Pan Hoover rzucał pełne zdumienia uwagi. Preziowi ulżyło. Akta ujawniały kręactwa przed-Nixonowskie.

Spełniło swoją funkcję. Joan straciła punkt. Wydarzenie wmiksowało się w społeczne rozgrywki, po czym w nich się wyciszyło. Lewaccy żurnaliści nie odpuszczali. COINTELPRO został umieszczony w podtekście. Wydarzenie naznaczy tę ideę krwią.

Pracowali w napięciu. Operacja pokrzepiała go ideologicznie. Operacja napędzała Joan całkowicie mściwie. Joan postrzegała ją jako wendettę. Nie ujawni korzeni swojej mściwej podróży. Mizerniała. Śmierć Lionela Thorntona ją zmartwiła. Prał pieniądze, ale poza tym był politycznym reketierem. Joan nie będzie o tym rozmawiać. Mówiła to, co zawsze: „Nie powiem ci”.

Joan sypiała z nim w apartamentach hotelowych i pracowała z nim w lokalu rezerwowym. Mieszkała w kryjówkach w te noce, kiedy on sypiał z Karen. Martwiła się o Celię. Ciągłe dzwoniła i próbowała znaleźć Celię w Dominikanie. Odrzucała wszystkie jego oferty pomocy.

Przesiadywała samotnie na tarasie. Popijała herbatę i brała ziołowe kapsułki. Ukradł kilka i oddał do analizy. Były to haitańskie mikstury na płodność. Joan miała prawie czterdzieści pięć lat i próbowała zajść w ciążę. Jej dziecko, jego dziecko – to go zdumiewało. Nie było szansy na poczęcie. Wiedział o tym. Nigdy jej o tym nie powiedział. Nie wspomniał nigdy o miksturach. Patrzył, jak jej twarz się przetapia, kiedy próbuje zmusić swoje ciało. Uwielbiał to szalone zadanie i jej nieugiętość.

Dom Karen stał u stóp stromego wzgórza. Wyostrzył lornetkę i patrzył, jak dziewczynki się bawią. Karen złożyła mu raport o Medii i odmówiła dalszych rozmów na ten temat. Formalnie zakończyli swój szpiclowy związek. Zaakceptował to. Karen uważała, że sprawą Medii spłaciła dług. On przyznał jej rację. Nigdy nie wróciła do lokalu rezerwowego. Nosił zdjęcie z nią i dziewczynkami. Wysyłała mu zaszyfrowane nocne wiadomości. Wyczuwała jego obecność na tarasie i puszczała głośno kwartety smyczkowe Beethovena. Zostawiała światło w kuchni, żeby określić położenie dźwięku.

Muzyka wdzierała się w jego sny. Wayne zastąpił doktora Kinga. Krokodyle i rzeki w Haiti. Wybuchy w Dominikanie i posepni czarni mężczyźni ze skrzydłami.

Operacja trwała. Zbieżność pozostała jedyną przeszkodą. Cztery razy poleciał do Missisipi. Bob Relyea pozostał zaangażowany. Bob trenował. Bob będzie trzymał gębę na kłódkę. Bob nie dowie się, kim jest cel, aż do dnia zamachu.

Jeszcze sześć razy włamał się do domu Marsha Bowena. Szukał pamiętnika i nie znalazł. Joan była pewna, że Marsh prowadzi tajemny dziennik. Przemawiał za tym jego aktorski egocentryzm. Ich fałszywy dziennik stanowił deus ex machina Operacji. Musieli być pewni, że nie odnajdzie się prawdziwy dziennik.

Marsh pracował na nocne zmiany i wygłaszał pogadanki motywacyjne. Dwight robił mu brudną robotę i grasował. Szukał w śmietniku, szukał w szufladach, opukiwał ściany. Liczne albumy o sztuce i foldery turystyczne o Haiti. I żadnego pamiętnika.

Archiwum było teraz zabezpieczone. To ostrożność post-Mediowa. Nieważne. On był agentem FBI. Miał klucze do archiwum. Marsh Bowen był teraz głęboko umocowany w archiwum. Sierżant Bowen był nieroztropnie rozwiązły. Sierżant Bowen był politycznie niezrównoważony, wystarczy spojrzeć na jego przeszłość.

Do późnej nocy przesiadywał w biurze. Gawędził ze zjadliwym Jackiem Leahym. Jack miał fiksję na punkcie podupadającej starej cioty. Media to była bomba. Jack uważał, że można to było przewidzieć. Miał zapewnioną emeryturę i był głośny z natury. Nie wyglądało na to, że się przejmuje.

Dick Nixon robił się głośny po dwóch drinkach. Dzwonił do Dwighta dwa razy w miesiącu. Pan Hoover dwa razy częściej. Nixonowi Hoover nie dawał spokoju. Hooverowi Nixon nie dawał spokoju. Prezio był na niezłym gazie i dawał upust frustracji. Hoover wściekał się i popełniał umysłowe gafy. Obaj znajdowali u Egzekutora pocieszenie. On był rewolwerowcem, jeszcze przed załamania.

A jego pocieszenie? Pamiętnik Marsha.

Tworzył świat niespokojnych mężczyzn in extremis. Przypisywał swoje sny Marshowi. Dyskurs Marsha był ukształtowany dyskursem jego z Karen i Joan. Pamiętnik Marsha wydawał się niemal utopijny. Odpierał świat istniejący, a przepowiadał świat możliwy. Wpisy sięgały do początków BARDZO ZŁEGO BRATA i sięgały do chwili bieżącej. Marsh miał poczucie winy z powodu wykorzystania „Strzelaniny Czarnych Bojówek”. Był zdecydowany zabić J. Edgara Hoovera. Jego gliniarsko-aktorska rola zapewniała mu chwałę i prowadziła do śmierci. Moralna konfuzja stanowiła kontrapunkt dla pełnego udręki życia wewnętrznego i codziennego folgowania perwersji.

Dodał szczegóły z własnego załamania. Załamanie Marsha było jego załamaniem, hiperzradyzalizowanym. Stworzył więź pomiędzy Hollym a Bowenem, która nigdy nie istniała. Ci dwaj omawiali załamanie jako powołanie do brutalności i narzędzie do wykroczenia poza wyrachowaną patologię. Nakreślał politykę społeczną jako osobisty koszmar i jako nośnik pojednania. Jakby to było, musieć zrobić coś, żeby nie oszaleć. Jego historia i historia Marsha powróciły.

Zatroszczył się o Marsha. Nie będzie żałował, że go zabił.



Frustracja. Nieustanna, kurwa, dzień po dniu.

Wielka ława pośmiertnie uznała Bostitchów za winnych. Scotty odetchnął z ulgą. Bracia wykończyli Mister Cleana i zawarli pakt samobójczy. Fajnie, ale sprawa napadu stanęła w miejscu.

*Kim jest Kobieta?*

Była szmaragdowym łącznikiem Thorntona. *Kobieta* owładnęła wątkiem Joma. Marsh drga, kiedy on mówi „Kobieta”. Marsh się rozdwa. Jest solidny, a także niegodzien zaufania.

*Kim jest Kobieta?* Jego typ: brała udział w OPERACJI BARDZO ZŁY BRAT. Świetnie, ale:

Nie może przycisnąć Dwighta Holly’ego. Dwight jest piekielnie bystry i wyczulony i od razu przycisnie jego. Nie może przycisnąć Jacka Leahy’ego. Jack wie o BARDZO ZŁYM BRACIE. Jack jest piekielnie bystry i wyczulony i od razu przycisnie jego.

Frustracja. Pranie mózgu, noc po nocy.

Wykradli akta wydatkowania szmaragdów i zakodowaną księgę rachunkową. Próbowal złamać szyfr. Spędził nad tym całe miesiące. Już myślał, żeby wynająć kryptografa. Zawodowiec mógłby złamać kod. Ostatecznie odrzucił ten pomysł. Wtedy kryptograf by wiedział. Pojawiłby się kolejny guzik do dopięcia.

Federalni przetrząsnęli Bank Powszechny. Scotty poszedł z nimi i z Jackiem Leahym. Rozpruli ściany, podłogi i dach. Znaleźli skarbiec z rysunku Mister Cleana. W środku znajdowały się narkotyki i 89 000 dolarów.

Narzędzie. Długoterminowa zapchajdziura. Zabezpieczenie przed ewentualnym zdemaskowaniem.

Pieniądze i pozostałe szmaragdy zostały ukryte gdzie indziej. Thornton był sprytny. Nie wydał skarbcu. Udawał, że nie wie. Wiedział, że i tak jest martwy. Teoria: pieniądze i klejnoty znajdowały się jednak w skarbcu. Wiedzieli o tym tamci bandyci. Wyciągnęli je, zanim do banku weszli federalni.

Gdzie jest Reggie? *Kim jest Kobieta?* Kto będzie rozsyłał szmaragdy po śmierci Mister Cleana?

Frustracja. Nocne poty. Uch, zrzucamy pościel.

Marsh się frustrował. Przeczytał wszystkie akta. Czytał je i doszukiwał się szczegółów. Byli największą na świecie bandycką parą czarno-białą. Od lat w tym siedzieli i ciągle byli daleko.

Frustracja oznaczała gwałtowną reakcję. Scotty częściej ruchał swoją żonę i swoje dziewczyny i ciągle obserwował. W maju trafił dwóch meksów pod sklepem spożywczym przy Boyle Heights. Marshowi bardzo się podobało – przynajmniej nie byli czarni. Tydzień później zaliczył dwóch neonazistów. Obrabowali należący do czarnego sklep na Vermont. Jednemu białemu nędzarzowi odstrzelił ramię. Uratował czarnego dzieciaka. Marshowi podobało się to zajebicie. Marsh miał dojścia w Krajowym Stowarzyszeniu Postępu Ludzi Kolorowych. Mogliby dać mu medal.

Marsh mu zniknął. Robisz coś swojego? Pewnie. Marsh zniknął trzy razy w ciągu ośmiu miesięcy. Powiedział, że jeździ samochodem, żeby przewietrzyć mózg. To musiał być pedalski szajs. Pedalskie imprezy, pedalskie schadzki, pedalskie wyprawy.

Frustracja. Chcesz dobrego towaru? Pastor Bennett i Podglądacz Crutchfield ci go nastęcą.

Śliczny Sal krążył wokół macho Marsha i czynił mu awanse. Marsh się opierał. To go doprowadzało do furii. Jak również Podglądacza, Freda T. i Freda O.

Frustracja. *Kim jest Kobieta?*

Węszył po całym Czarnogrodzie. Nie znalazł niczego pożytecznego. Opis coś mu mówił. Paru debili wydawało się lekko spłoszonych. Jeden koleś powiedział, że ona może mieć powiązania z czarnymi bojówkami. Rozpytał w swoich kontaktach u Panter i ZN i gówno znalazł. Wszyscy kolesie z SCP i FWMM siedzieli w więzieniu. Tam nie mógł ich przycisnąć. Jego odwiedziny by odnotowano. Rozniosłaby się wieść.

Sprawa skupiała się na NIEJ. Wszystko sprowadzało się do Kobiety z siwymi pasmami.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 11.11.1971. Fragment ukrytego dziennika Karen Sifakis.

Los Angeles, 11 listopada 1971

Od Medii minęło osiem miesięcy. Nikt nie pojmał ani mnie, ani moich towarzyszy. Nikt się nie wyłamał. Prowadzona przez FBI nielegalna inwigilacja organizacji politycznych, grup obywatelskich i jednostek o skłonnościach do protestów została ujawniona w zalewie reportaży, rozwścieczonych artykułów oraz audycji radiowych i telewizyjnych. Ujawnienie przyszło i poszło. Naród amerykański zapoznał się z COINTELPRO i postanowił je zignorować. W żadnej z ujawnionych teczek nie pojawiały się drastyczniejsze tajne operacje FBI. Dwight i Joan chyba się z tego cieszyli. Umiejętnie czytałem w myślach Dwighta. Odpowiada mu, że wojna FBI z ruchem obrony praw obywatelskich i z czarnymi bojówkami nie została zaklasyfikowana jako COINTELPRO.

Nie chcę wiedzieć, co planują Joan i Dwight. Podejrzewam, że dowiem się o tym ze środków masowego przekazu, i mam poczucie, że będzie to imponująco wielkie wydarzenie. Sprawa Medii była taktyką pozorowaną, jak również/albo pułapką. Z czasem staną się oczywiste konsekwencje mojej inicjującej salwy w sprawie Dwighta i Joan. Nie chcę wiedzieć.

Oni o tym wiedzą i nie zdradzają mi swoich planów. Modliłam się w tej sprawie i poprzysięgłam sobie, że będę ich dalej kochać, bez względu na to, jakie potworności popełnią i jaki chaos wywołają.

Nigdy nie spotykamy się we trójkę. Joan na powrót pojawiła się w moim życiu. Dwa, trzy razy w tygodniu umawiamy się na kawę albo lunch, zawsze tutaj, w Silver Lake albo Echo Park. Nieustannie omawiamy kwestie polityczne. Nixon, Wietnam, sprawy robotnicze i ruch czarnych nacjonalistów w upadku potrafią nas zaabsorbować na całe godziny. Joan jest wymizerowana i rzuca nerwowe, ale całkowicie składne wiązanki inwektyw, włączając w to trafne potoki politycznego monologu. Piękne i charakterystyczne siwe pasma w jej włosach robią się białe i coraz ich więcej pośród czarnych. Obawiam się, że wpada w paranoję – mówi, że niekiedy ma poczucie, że jest śledzona – i często mówi o swojej towarzyszyce i kochance Celi, z którą straciła kontakt w Haiti albo w Dominikanie. Celia powiedziała kiedyś Joan, że ma jej nie szukać, gdyby ona zaginęła. Ile razy to samo mówiła Joan do swoich kochanków i towarzyszy? Teraz Joan jest opuszczona, a przez swoją więź z Dwightem Chalfontem Hollym nie może sobie poradzić z bólem.

Joan pali nieustannie i pije wiadra haitańskiej herbaty ziołowej, którą sama sobie parzy. Łyka kapsułki z haitańskimi ziołami do każdego posiłku i o stałej porze. Spytałam ją o to. Powiedziała, że próbuje zajść w ciążę. Chce mieć dziecko.

Nie spytałam jej o motywę. Wiedziałam, że jeśli spytam „Dlaczego?”, ona odpowie po prostu „Nie powiem ci”. Kobieta w jej wieku nie może chcieć dziecka. Wydaje się, że Joan nie wie, jakie to niemożliwe. To ciągle pozostaje niewypowiedziane, chociaż nieuchronnie prawdziwe. Chce mieć to dziecko z Dwightem.

Joan i ja zawsze coś przed sobą ukrywałyśmy. Każda z nas jest na swój sposób dwulicowa i upośledzona. Żyjemy w kłamliwym świecie, który podkopujemy i obalamy moralnie. Mogłabym powiedzieć Joan tę jedną rzecz, której nigdy nie powiedziałam Dwightowi. To może ją zranić, a może jej nie zranić. Wiem, jak by to podziało na Dwighta. Obawiam się dalszego załamania, które może się z tego zrodzić, i głębokiej determinacji, która zrodzi się na pewno.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 18.11.1971. Fragment dziennika Marshalla E. Bowena.

Baldwin Hills, 18.11.1971

Myślałem, że morderstwo zrani mnie bardziej, że boleśniej pogwałci moje ciało i mój umysł. Tak się nie stało. Przyjąłem rolę mordercy i zachowywałem się jak debiutujący zabójca, który bardzo chce przeżyć. Do równowagi umysłowej wracałem przez kilka dni. Wyobrażałem sobie możliwe efekty swoich poczynań, a Scotty się wszystkim zajmował. Kilka razy spotkałem się z nim na późnej kolacji u Olliego Hammonda. Trochę się nałoiłiśmy i zjedliśmy kanapki ze

stękiem. Scotty prawil kazanie. Przeżyjesz. Zrobiłeś to, co trzeba. Jak będziesz musiał, zrobisz to znowu. Lepiej ci już?

Wtedy się poczułem lepiej, i teraz też. Mam przewagę. Wiem dwie rzeczy, których Scotty nie wie: Reginald Hazzard i szmaragdy znajdują się w Haiti. Kobieta nazywa się Joan Rosen Klein.

Moje życie zamieniło się w grę cieni i błędnych wniosków. Pracuję w Wydziale Śledczym na posterunku w Hollywood. Chodzę na przyjęcia z ludźmi ze świata filmu i rozkoszuję się ambiwalentnymi reakcjami na moją obecność. Trzy lata temu byłem policjantem, który został pobity, poddany ostracyzmowi i przeszedł na wiarę czarnych bojówek. To budzi aprobatę w świecie filmu. Teraz jestem policjantem, o którym wiadomo, że był wtyczką. Policjantem, który wychwala autorytarne wartości w znakomitych pogadankach i stoi wysoko w szeregach Policji LA. Ludzie ze świata filmu najchętniej by mnie znienawidzili jako zaprzędanego, ale nie mogą. Za dobrze wyglądam i jestem pewnym zwycięzcą.

Krążę po imprezach i poznaję ludzi, na przykład bardzo atrakcyjnego aktora Sala Minea, który w latach pięćdziesiątych grał w kilku znanych filmach o zbuntowanych nastolatkach. Sam ma Skłonność i uznał, że ją dzielam. Sal nie daje mi spokoju. Wpadamy do siebie, rozmawiamy przez telefon, flirtujemy, wychodzimy na kawę, ale TEGO nie robimy. Sal jest nieustępliwy i jest uroczy, ale ja mam na głowie za dużo, żeby pozwolić sobie na związek mniej czy bardziej poważny. To zabawne. Rozmawiam z Salem i się rozłączam. Pięć minut później dzwoni Scotty. Scotty z wielkim polotem zajął się sprawą Thorntona i braci Bostitch i ujawnił trochę akt z Wydziału Wywiadowczego, z których wynika, że Mister Clean był w rzeczywistości sługusem mafii. Wojujący dziennikarze podchwycili tę historię. Artykuły na ten temat pojawiły się w Los Angeles, a następnie w całym kraju. Scotty zniesławia naszych zmarłych, a jednocześnie szukamy tropów na temat naszych żywych. Zastanawialiśmy się, czy podjąć próbę zdobycia federalnej kartoteki Thorntona, ale Scotty uznał, że to zbyt ryzykowne. Ja się zastanawiałem, czy niezależnie nad tym popracować, ale nie rozgryzłem, jak się za to zabrać.

Nie mówię o Reggiem w Haiti ani o tym, że *Kobieta* to Joan. To kochanka Dwighta Holly'ego. W związku z tym jest niedostępna. Dwight rozpirzyłby nasze plany w drobny mak.

Rozmyślania: pozorowane ataki, ciosy, sekrety i oszustwa.

Mam sekrety przed Scottym. Usiłowałem zdobyć dostęp do pełnych akt paszportowych Reginalda Hazzarda i mi się nie udało. Dostęp wymaga oficjalnych zezwoleń. Trzymam to w sekrecie powodowany czystą pychą i czystą nienawiścią rasową. Nauczyłem się paru rzeczy w trakcie OPERACJI BARDZO ZŁY BRAT. Chwała panu Holly'emu: pokonałem swoją egocentryczną aktorską patologię. Zradyzalizowałem się.

Scotty Bennett reprezentuje biały świat, który pozbędzie się mnie z obojętnością. Nie mogę na to pozwolić. Scotty to biały ciemiecza, a ja przed nim nie ustąpię. Scotty nie podzieli się

pieniężmi ani szmaragdami. Muszę ich dopaść pierwszy i zabić Scotty'ego, zanim on zabije mnie.

Odbyłem trzy podróże do Haiti. Zsynchronizowałem je z tygodniowymi pijackimi wyprawami Scotty'ego na ryby w towarzystwie zaprzyjaźnionych glin. Sal był kiedyś w Haiti na planie zdjęciowym i podzielił się ze mną wiedzą o tym cudownym i pierwotnym miejscu. Poleciałem do Port-au-Prince. Objechałem Haiti jako francuskojęzyczny średniozamożny Murzyn. Pokazywałem zdjęcie Reginalda Hazzarda i zadawałem pytania. Nie dowiedziałem się niczego pożytecznego i wyczułem oczywisty fakt, że Reginald Hazzard musiał tam być.

Haiti było prymitywne i uwodzicielskie. Poczułem, jakbym się cofał. To był proces aktorskiego zanurzenia. Odwiedziłem tawerny sekt voodoo i piłem klerin. Śnili mi się ludzie ze skrzydłami zamiast ramion. Uczestniczyłem w kilku ceremoniach voodoo i jadłem zioła garściami. Wszedłem z transu i stwierdziłem, że tańczę z mężczyznami w drewnianych maskach. Obudziłem się z ziołowego odlotu i zobaczyłem, że mam krew na rękach. Mężczyzna, który był ze mną w łóżku, powiedział, że jadłem świeżo zabitego kurczaka.

Moja zmienna osobowość przydała się w Haiti. Udawałem francuskiego turystę, co pomogło mi w poszukiwaniach Reginalda. Nikt nie znał Reginalda. Wielu ludzi opowiadało mi historie o zmarłym Wayne Tedrowie i jego odważnych czynach prohaitańskich. Co by na to powiedział biedny Wayne? Ludzie chodzą z jego zdjęciem na szyi. Ze dwadzieścia czy trzydzieści razy słyszałem opowieść o śmierci Wayne'a. Szczegóły się zmieniały. Kilka osób powiedziało mi, że przyszli po niego skrzydlaci. Rozmawialiśmy z Wayne'em o koncepcie sennego stanu. On przypisał to chemii. Wszystko się sprowadzało do zmienności skazanych dusz.

Byłem w Haiti trzykrotnie. Wrócę tam. Tam musi być Reginald Hazzard.

*Podglądacz.*

To jego dawne imię i jego nowe imię odzyskane. Wołano go Dupek albo *pariguayo*. Spytał o to Clyde'a. Clyde wyjaśnił: „Bywasz tu i tam. Ludzie z Życia cię znają. Krążą o tobie plotki. Jedni w nie wierzą, inni nie. Jak przyłgnie do ciebie jakaś ksywka, musisz skumać, że jest w niej odrobina prawdy”.

Odpuścił to. Nie wspomniał o swojej wiedzy o zamachu na JFK/MLK/RFK. Nie wspomniał o zabitych komunistach ani o swojej sprawie. Nie wspomniał o nocnych koszmarach ani o gównie, które widział i które zrobił na tamtej wyspie.

Podglądacz – pewnie, to prawda. Podglądacz – niech będzie.

Śledził dla Clyde'a i Chicka Weissa. Przyłapywał niewiernych małżonków. Wpadał przez drzwi i podglądał przez okna.

Podglądacz, pewnie. Ale i Czytelnik. Student po części, wszystko pasuje.

Przeczytał jeszcze parę książek chemicznych i książek o teoriach lewicowych. Zmieszał proszek siarkowy i wysadził drogowskaz na rogu Pierwszej i Oxford. Poczytał o Wobblicie<sup>13</sup> i bombie w budynku „LA Times”. Zmieszał nawozy w proszku i wysadził tablicę „Viva Wietnam”.

Czuł w duszy jakiś senny ruch. Jakby się stawał Reggiem albo Wayne'em.

Uczył się. Studiował. Jeździł tygrysią taksówką. Pojechał do Vegas i próbował znaleźć haitańskiego zielarza. Ten zniknął. Popytał trochę i znalazł innych zielarzy. Żaden z nich nie znał Reggiego. Wszyscy wiedzieli, jak preparować zioła i doprowadzać do szaleństwa.

Powiedzieli, że go nauczą. Spędził dwa tygodnie w Vegas i poznał różne sztuczki. Nauczyli go, jak łączyć organy ropuchy i toksyny rozdymki. Pokazali mu, że paprocie i wątroba żaby drzewnej powodują atak serca. Nauczył się zombiefikacji. Mieszał miksturę na atak padaczki. Poznał formuły na narkotykowe odloty. Kupił zioła i sprzęt. Nauczył się trochę kreolskiego.

Wysadził tablicę z Nixonem we wschodnim LA. Łykał zioła, jeździł i podglądał przez okna. Próbował znowu pośledzić Dwighta Holly'ego. Dwight zgubił go trzykrotnie. Za czwartym razem miał farta.

Dwight pojechał do parterowego domu na Silver Lake. Podglądał. Dwight został w środku na bardzo długo. Dwight robił sobie przerwy i szedł do domu kawałek dalej. Mieszkała tam wysoka kobieta i dwie dziewczynki. Czasami pojawiał się dochodzący mężuś. Poszukał w rejestrach i dowiedział się, że kobieta nazywa się Karen Sifakis.

Poszukał jeszcze trochę. Zdobył się na telefon do Clyde'a. Clyde powiedział, że Karen S. to profesorka w college'u i szpicel federalny. Była kochanką Wielkiego Dwighta. Wielki Dwight zamieniał się z mężusiem. Trwało to pięć czy sześć lat.

Łyknął zioła i sprawdził piętrowy dom. Pełno tam było akt, jak w jego metach. Zastanawiał się nad włamem. Nie mógł tego zrobić. Myśl o tym go paraliżowała. Dowiedziałyby się mnóstwa nowego gówna. Musiałyby tylko siedzieć i patrzeć.

Nagle pojawiła się ona.

Była starsza, bardziej siwa i jeszcze groźniejsza. Okulary ciągle miała przekrzywione. Dalej chodziła przygarbiona. Przez dwadzieścia dni obserwował z ukrycia, jak się pojawia. Przewidywał, co będzie na sobie miała. W niektóre dni widział bliznę po nożu, w inne nie. Nadal miał na plecach bliznę 14.06.

Patrzył, jak wchodzi i wychodzi. Zaczął wyczuwać, co to wszystko znaczy.

On jest ogniwem ważnych i zaskakujących wydarzeń. Nikt o tym nie wie i nikogo to nie obchodzi. Połączył kilka zagadkowych zbrodni. Nikt o tym nie wie i nikogo to nie obchodzi. Scotty Bennett i Marsh Bowen zabili Lionela Thorntona i szukali łupu z napadu na opancerzoną furgonetkę. On to wie. Nikt inny nie wie i nikogo to nie obchodzi.

Scotty nie ufa Marshowi. Scotty prowadzi przyciskanie cieplaka. Sal nie może uwieść Marsha. On o tym wie. Nikt inny nie wie i nikogo to nie obchodzi.

Jack Leahy ocenzurował akta Joan Rosen Klein. Nikt o tym nie wie i nikogo to nie obchodzi. Śledził Joan do Jacka i obserwował ich trzy popołudniowe randki. Czaił się blisko. Słyszał, jak rozmawiają o Celi, która zaginęła w Dominikanie. Usłyszał słowo „Haiti”. Reggie mieszkał w Haiti. Wyczuł to silnie. Reggie wysyła szmaragdy. Nikt inny nie wie i nikogo to nie obchodzi.

On i jego samotne poszukiwania. Joan i Jack brali udział w napadzie. On uznaje ten wniosek za fakt. Marsh i Scotty wiedzą i mniej, i więcej niż on. On od bardzo dawna pracuje nad swoją sprawą. To wszystko jest nie do udowodnienia. Trop w jego dokumentach są logicznie nietykalne i fałszywe. Wszystko znajduje się w jego głowie.

Wyspa go przeraża. Boi się tam wrócić. Może znowu się stać tym młodym potworem i stracić wszystko, co ma.

Teraz jest młodym chemikiem i początkującym czerwonym. Czyta akta i książki i zasypia pośród nich. Akta jego matki, akta Wayne'a, akta o Tatuaz. Zagubił się w logicznej pewności i sprzeczności. Nikt nie wie, jak on ciężko pracuje, i nikogo to nie obchodzi.

Tatuaz chciała się spotykać z facetami ze świata filmu. Nie wiedział, z kim się spotkała. Krąg podejrzanych był ogromny. Joan nie zabiła Tatuaz. To go pocieszało. Dzięki temu mógł ją śledzić i żyć z nią o tyle bardziej.

Joan jada lunch z Karen Sifakis. On je obserwuje. Wie, że obie są kochankami Dwighta Holly'ego. Nigdy nie mówią o Dwighcie. Dwight jest tu osobą postronną. Tylko podglądacze

wiedzą, jak to działa.

Śledzi Joan. Żyje nadzieją, że ona go dokądś doprowadzi. To musi uzasadnić cały ten czas, który on z nią spędza. Ona musi coś zrobić albo coś powiedzieć, co pozwoli mu odpocząć i zostawić to wszystko.

*Śledzę cię od trzech lat, czterech miesięcy i dwudziestu dziewięciu dni. Wiem, że masz opowieść, którą tylko ja usłyszę.*



**CZEŚĆ V**  
**NIEZAREJESTROWANA BROŃ**

18 LISTOPADA 1971–26 MARCA 1972

# 105

(Puckett, 18.11.1971)

– No to kogo zabiję?

– Jak go zobaczysz, to będziesz wiedział.

– Ustaliłeś już datę?

– Najlepiej latem. To musi się stać w LA.

– Te zamachy polityczne mieszają mnóstwo gówna. Przeczesuje się dość dokładnie różne ugrupowania patriotyczne.

Na kempingu się kłębiło. *Mi casa es su casa*. Egzaltowani Rycerze zaprosili kilku przyjaciół. Impreza z noclegiem. Klanowe ciołki, kubańscy uchodźcy, południowoafrykańscy *fascistas*.

W baraku kłębił się tłum. Na strzelnicy wrzało. Szeryf sprawiał wielkiego łośia. Zastępcy robili palenisko.

– Ty chcesz, żeby gadano o spisku. Ja się obawiam, że moje nazwisko pojawi się na liście podejrzanych.

Dwight pokręcił głową.

– Nie pojawi się. To wszystko spada na kozła ofiarnego. Nikt nie będzie grzebał głębiej. Sfabrykowaliśmy go od podstaw. Aż miło patrzeć.

Bob zsunął się na krześle. Jego prześcieradło dotknęło ziemi. Panował jesienny upał. Zapadał zmierzch. Uchodźcy rozstawiali lampy łukowe. Jakaś zdezelowana frau klanowa przygotowała poczęstunek.

Dwight zamknął oczy. To była wskazówka dla Boba, że ma spłynąć. Jesteś przegranym zabójcą, odejdz, proszę.

Bob się błąkał. Dwight otworzył oczy. Kemping podupadł. Klan jego taty w porównaniu z tym był wypasiony i bajerancki. Indiana, lata dwudzieste. Najrdzenniejsze ploty i spiski. Lektury eugeniczne. Damski kwartet smyczkowy.

Nocna impreza na całego. Owady waliły w lampy. Pieczony łoś pachniał smakowicie. Świry waliły do bufetu po bimber i cheetosy.

Dwight się oddalił od imprezy. Lampy łukowe rzucały szerokie i gorące światło. Klanowe klauny się kłębiły w kempingowym kurzu. Prześcieradła mieli upaprane po kolana.

Martwił się o Joan. Zmizerniała. Paliła jak smok i co noc się znieczulała podwójną szkocką. Nienawidziła pana Hoovera. To było niepraktyczne i nie pasowało do niej. Nie chciała wyjaśnić swoich inwektyw. Na jego pytania odpowiadała „Nie powiem ci”. To było

frustrujące. Ich ramy czasowe przeciągały się niezdrowo. Wiedziała, że pan Hoover się starzeje i coraz mniej podróżuje. Był już trochę zdyskredytowany. Rzadziej występował publicznie. Wizyty lekarskie udaremniały mu wycieczki. Biały Dom przesłał teleksem plan podróży. Joan martwiła się o Celię. Wykonał ponadplanowy telefon do prezia i poprosił o pomoc. Nixon go spławił. „Wiesz, jak jest, młody. To zamknięta sprawa”.

Poruszały ją dziwne rzeczy. Śmierć Lionela Thorntona – bardzo. Nie chciała powiedzieć dlaczego. Scotty Bennett pracował nad tą sprawą i zamknął ją, prędyutko. Scottym w zasadzie się nie przejmował. Scotty miał dziwną przyjaźń z Marshem. Podglądacz Crutchfield zameldował o niej przed „Strzelaniną”. Życie Marsha zostanie przeczesane pośmiertnie. Otwarte pozostawało pytanie: czy powinni umieścić Scotty’ego w fałszywym pamiętniku?

Owady wlatywały na lampy. Świry jadły, piły i zlewały go. Wiedziały, że jest z FBI. Ich uprzedzenie było niewłaściwie skierowane. Gówniani kalamburzyści. FBI: Federalne Biuro Integracji.

Pamiętnik opisywał Operację. Pracował nad nim, kiedy Joan albo Karen spały. Używał stylu mówienia Marsha i eksponował język polityczny, który sam opracował. Przypisał Marshowi własne wspomnienia z dzieciństwa. Alchemia i transpozycja. Był awanturczym klanowym dzieciakiem. Marsh był bardzo awanturczym czarnym dzieciakiem. Tworzył portret przychylny. Tworzył nieistniejące zadurzenie Marsha w agencie Hollym we własnej osobie. Ono wypaczyło pracę Marsha przy OPERACJI BARDZO ZŁY BRAT. Nie wiedział nic o relacji Marsh–Scotty. Pamiętnik musiał oddawać Scotty’ego z prawdopodobieństwem. Fragmenty ze Scottym musiały wytrzymać wnikliwe badanie i agresywne zaprzeczenia Scotty’ego. Motywem przewodnim powinna być władza. Marsh nienawidzi jej ideologicznie, ale nie może się od niej uwolnić. Pod tym względem przypomina swojego starego kumpla pana Holly’ego.

Klanowa feta się rozkręcała. Poleciały opowieści. Emmett Till był agentem komuchów. Rosa Parks załatwiała klientów dla syjonistycznej kliki. Doktor King był hermafrodytą.

Klanowa dziecina przyniosła Dwrightowi jedzenie i piwo. Podziękował jej i patrzył, jak oddała się w podskokach. Z łosiowego mięsa pryskał tłuszcz i odebrał mu apetyt. Zapalił papierosa.

Joan ciągle łykała pigułki na płodność. Nie powiedział jej, że oddał je do analizy. W zeszłym miesiącu skończyła czterdzieści pięć lat. To nie mogło się zdarzyć. A jednak bawił się tym pomysłem. Mrzonka. Przez jakiś czas mu się podobała. Zataczała coraz ciaśniejsze kręgi. Przypominała mu, czym jest jego życie. Ciągnęła go do dzieci Karen i zostawiała gdzieś na zimnym deszczu.

Klanowcy poprzącigali krzesła, żeby usiąść bliżej niego. Balansowali papierowymi talerzami i opowiadali. Koleś sprzedał fiuta Che Guevary Josefowi Mengele. Czwarta Rzesza

powstanie w Paragwaju. Kolesi opowiadał o prawicowych zamachach stanu i o mistycznych szmaragdach.

Joan piła w łóżku herbatę. Zioła płynęły przez jej ciało, gorzkie. Zauważył nowe siwe włoski w jej brwiach.

Miała rozchyłony szlafrok. Od ziół się spociła. Dwight scałował połysk z jej piersi.

– Powiedz mi, o czym myślisz.

– Że powinnam ustąpić. Że powinieneś zadzwonić do swojego telefonicznego kumpla i zmusić go do paru telefonów w sprawie Celii.

Dwight pokręcił głową.

– Dzwoniłem z Missisipi. Powiedział: nie.

Joan odsunęła się od niego. Zdjął z niej szlafrok i owinał się wokół niej. Na chwilę wsadziła sobie do ust jego palce i oparła głowę na jego dłoni.

– To wszystko trwa za długo.

– On pewnie latem przyjedzie do LA. Niedługo dostanę skorygowany plan podróży.

– A jeśli nie zatrzyma się w Beverly Wilshire?

– Zatrzyma się. Niedługo będziemy musieli wynająć dogodne miejsce i zacząć podkładanie dowodów.

Joan zakaszłała.

– Ten czarny dzieciak, który wynajmuje lokal, będzie świadkiem.

– Kontaktujemy się z nim przez łącznika. Jeśli nawet z czymś wyjedzie, wezmą go za szaleńca. Ludzie chcą przejść do historii. Przy samym Jacku zgłosiło się ponad cztery tysiące fałszywych świadków.

Jej poduszka była przepocona. Dwight ją wyciągnął i wsadził jej pod głowę suchą.

Joan chwyciła kapsułkę z nocnego stolika. Dwight podał jej szklankę z wodą.

Połknęła kapsułkę. Włosy miała mokre. Dwight wytarł je prześcieradłem.

Przysypiała. Zasnęła wtulona w jego dłoń.

Pracował do późna. Środek nocy oznaczał czas wcielania się w Marsha. Przypomnił sobie gliniarską wymianę w roku 1953. Policja z Cleveland chciała akta federalne. Podejrzany o zabójstwo mienia znacznej wartości miał czerwone zabarwienie. SAS odmówił. Policja wysłała byłą żonę gliniarza, żeby się podlizowała Egzekutorowi. Ona lubiła przypadkowych mężczyzn. On wtedy lubił przypadkowe kobiety. Spędzili noc w Shaker High Plaza. Ona przyniosła szampana. On przyniósł teczkę. Dobrze się razem bawili. Ona rano przeczytała akta. Policja z Cleveland zdybała tego kolesia – sześć zarzutów.

No dobra – a teraz perspektywa Marsha Bowena.

Czas terazniejszy. Marsh robi na nocnym patrolu w Hollywood. Jest sam. Marsh poluje. Marsh sra tam, gdzie je. Widzi napakowanego prostytutka. Obszukuje go i dostaje pyństwo.

Dziwka to zauważa.

Marsh go legitymuje i podaje powody do zatrzymania. Robi się podły: posiadanie. Marsh pyta: „Jak chcesz to załatwić?”. Znikają w uściskach w brudnym zaułku.

Nie mógł spać. Joan spała już dawno. Marsh nocował w Venturze. Sprowadziła go tam Rada Czarnego Przywództwa. Myśl przewodnia przemowy: „Rola funkcjonariusza z mniejszości w zespole policyjnym”.

Była 2.14. Otworzył zasuwę, wziął noktowizor, chwycił swojego miniminoxa. Wyruszył w różowawe ciemności.

Otwierał szuflady i ostukiwał panele. Zero zmian. Obejrzał ściany w sypialni. Marsh miał nową kopię Rothki. Obejrzał zestaw stereo. Nowe płyty Cheta Bakera i Dresden Statsskapelle. Sprawdził śmietnik w kuchni. Marsh miał ostatnio ochotę na gotowe dania. Znalazł kartę pokładową z samolotu. Marsh ostatnio podróżował do Port-au-Prince w Haiti. Hipoteza wynikająca z doświadczenia: sra w bezpiecznym miejscu. Kryjówka afro cieplaka.

Dwight wrócił do salonu. I znowu zero zmian. Ramy ze szcztokowanej stali, uporządkowane biurko, notes adresowy przy telefonie.

Przejrzał go. Ach, pod B: domowy i służbowy numer Scotty'ego. Zajrzał pod S i pod M. Ach, jest coś nowego.

Sal Mineo. Numer z zachodniego Hollywood.

Logiczne: Sal to ciota, Sal to jebaka, Sala ruchali już wszyscy.

Ale:

On korzystał z Sala w przyciskaniu cieplaka ponad cztery lata temu. Widział nazwisko Sala w spisie federalnych szpicli.

Nic nowego? Może, ale...

Jeden agent drzemał w sali odpraw. Klucze do archiwum wisiały na tablicy korkowej. Dwight chwycił je i ruszył do celu.

Akta FBI miały pięciocyfrowe kody i sięgały po sufit. Dwight przejrzał spis. Proszę: „Mineo, Salvatore/02108”. Proszę: trzecia półka od dołu, drugi rząd.

Dwight otworzył panel, stanął na palcach i ściągnął teczkę. Chuda była. W sumie cztery kartki. Same konkrety.

Sierpień 1966. Sal dostaje rolę w filmie. Jest pomagierem w chałwatym kryminale. Nazywa się to *Akcja na południu*. Jeździ w epizodzie w knajpie dla zmotoryzowanych i znika. Historia luźno oparta na słynnym napadzie z 1964 roku.

Na razie nudy.

Jack Leahy przychodzi na plan. Jack przydusza Sala i resztę aktorów i ekipy. Snują się tu jakieś podejrzone typy? Podejrzone pytania o prawdziwy napad?

Sal nic nie wiedział. Reszta też nie. Jack czarował Sala i odebrał mu szpiclową cnotę. Sal kablował na pedalskich aktorów.

Nudy, ziewanie, nic nocnego – ale jeszcze nie odkładaj.

Dwight stał. W ciszy bardziej niż grobowej.

Biuro pracowało nad napadem przez ułamek sekundy. To była sprawa Policji LA i obsesja Scotty’ego B. Scotty i Marsh, teraz blisko. Napad: niegroźna obsesja Clyde’a Dubera. Marsh pracował dla Clyde’a. Scotty dociskał Joma C. o napad. Wtedy to nie miało sensu. Teraz może miało. Jomo zabił Freda Hiltza, Jomo jest bandytą. Joan go podkablowała. Anonimowo. Podkablowała, że Marsh jest ciotą. Czego chcą Marsh i Scotty? Czerwona nalepka z numerem, czerwona chorągiewka. Więź Marsh–Scotty nie może przeszkodzić w Operacji.

Dwight odłożył akta. Ciarki go przeszły.

Świr Sal nigdy nie spał. Zachodził do pedalskich barów i pytał po kawiarniach. Babskie wieczory o świcie – oto jego świat. Kucharz w Klondike powiedział, żeby spróbować u Arthura J.

Dwight wpadł. Sodomiczny Sal usadowił się z trzema transami. Paplał jak najęty. Jechałem w kakao Jamesowi Deanowi przy *Buntowniku bez powodu*. Ale miał małego. Zapakowałem mu kutasa, aż kwiczał.

Transy chichotały. Sprośny Sal jechał po Rocku Hudsonie. Miał małego jak robaczek. Jechałem go w migdałki, aż śpiewał trelem.

Dwight stanął nad stolikiem. Transy przełknęły ślinę i spłynęły. Zostawili kawę i placki. Dwight się uraczył.

Sal bawił się loczkiem.

– Witam, panie Holly.

– Co tam?

– Nic, mam nadzieję.

Dwight nalał sobie kawy.

– Ja też.

– Żadnych prowokacji? Żadnych represji wobec jakiegoś nieszczęśnika, który na swoje nieszczęście lubi chłopców?

Dwight starł szminkę ze swojego kubka.

– Lato sześćdziesiąt sześć. Pracowałeś przy *Akcji na południu*. Jack Leahy przyszedł pozadawać trochę pytań.

Sal posmarował sobie masłem babeczkę haszową.

– I? Widzę, że zajmujemy się historią starożytną. Ten film był do dupy. Musiałem w sądzie walczyć o swoją dniówkę.

– Zacząłeś donosić Jackowi.

– No...

Dwight wziął paluszkę i podrapał się po karku. Wszedł Redd Foxx i krętacz Chick Weiss. Za nimi palant z Taxi Tygrys.

– No więc zakładam, że ta historia ma ciąg dalszy. Przychodzi Jack Leahy... Tak może zacznij.

Sal wzruszył ramionami.

– Więc przychodziły inne gliny i zadawały te same pytania.

– Scotty Bennett? – spytał Dwight.

Sal przewrócił oczami.

– O tak, Scotty.

Dwight ugryzł paluszkę.

– Pozwolisz, że podrzucę ci nazwisko. Chcę zobaczyć, jak reagujesz.

– Trochę dziwna pora na zabawy słówkami, ale dobra.

– Marshall Bowen. – Służalczy Sal odmówił posłuszeństwa i się zaniepokoił. O tak, zbladł wręcz śmiertelnie.

– Opowiedz mi o tym.

Sal pierdolił się z tym loczkiem.

– A jaką miałbym motywację?

– Jak będziesz współpracował, postawię ci śniadanie. Jak nie będziesz współpracował, wsadzę cię za gwałt na nieletnim. W gimnazjum Berendo jeden perwol narzuca się chłopcom. Pasujesz do rysopisu.

Sal łyknął valium i popił kawą. Sal westchnął, że dobra, miejmy to za sobą.

– Dobra, skarbie. Mam na tapecie kolejne przyciskanie ciepłaka. Freddy O. mnie skaptował. Finansuje to glina, ale nie wiem, jak się nazywa. Jeleniem jest Bowen, ale nie daję rady go napocząć. Niektórzy chłopcy tak mają. Strasznie nie mogę się doczekać, żeby z nim zaruchać, ale no ni chuja.

*Scotty B. Marsh. Obecnie wszędobylski.*

– Kto jeszcze w tym siedzi?

– Fred T. robi podsłuch. A beznadziejny Podglądacz Crutchfield mnie śledzi.

– Bowen. O co w tym chodzi?

Sal przewrócił oczami. Sal odrzucił loczek. Sal wykonał kilka wyraziście pedalskich min wyrażających rozdrażnienie.

– No, on nie chwyta, no. Ja się staram, że ojej, a on nie. To jakieś szaleństwo. Marsh jest gejem jak chuj, ale no coś nie gra. Jest taki strasznie dziwny. Siedzi i napierdala o tym swoim Haiti, jakby kurwa nie było innych miejsc na świecie.

Dwight przetarł oczy. Czułki mu wibrowały. Znowu ciarki, znowu przecucie.

Dobra, Jack Leahy. Wie o Marshu i o BARDZO ZŁYM BRACIE. Jack świruje z panem Hooverem. To niewłaściwe i niepolityczne. On dopiero co się włamywał do Marsha Bowena.

Widział bilet lotniczy do *Haiti*. *Haitańskie* zioła Joan. Ostatni szajs w Dominikanie oraz w *Haiti*. Tam jest Celia. Tam był Podglądacz Crutchfield. Trwała plotka o Podglądaczu: szukał jakieś kobiety, która uciekła. Oszukiwała facetów. Może miała powiązania z czerwonymi. Podglądacz to frajer, niech tam robi swoje.

Powiązanie: Celia jako oszustka. Myśl, myśl. Śmiało, powiedz to.

Tło napadu z bronią w ręku Joan. To, czego nie powiedziała. Śmielej, no: Jack ocenzurował akta Joan. Brali udział w napadzie na furgonetkę opancerzoną.

Zaczęła się ulewa. Bębniła o szyby. Spadały wielkie krople. Weszło trzech drag queenów. Przemoczeni do suchej nitki. Pod mokrymi sukienkami widać było włosy na kłacie. Zobaczyli Sala i pomachali. Zobaczyli Dwighta i uciekli.

Sal wyduł usta. Sal pogroził Dwightowi widelcem.

– Panie Holly, pan rozpierdala mi życie uczuciowe.



# 106

(Los Angeles, 22.11.1971)

Barowy telewizor dudnił. Ameryka oplakuje JFK, osiem smutnych lat. Wtedy byliśmy niewinni. Teraz świat nas nienawidzi.

Scotty dał znak barmanowi. Barman zmienił kanał. Bucky Beaver promował pastę do zębów Ipana. Scotty ponownie dał znak barmanowi. Barman wyciągnął wtyczkę z gniazdka.

– Jesteś nawalony, brachu – powiedział Marsh. – Idź wykończyć paru bandytów. Poczujesz się lepiej.

Scotty zapalił papierosa, sztachnął się dwa razy i zgasił. Scotty zjadł pierożka i odsunął talerz.

– Ciągłe stoimy w miejscu.

– Scotty, to już koniec. Federaley zabrały skarbiec i go nie puszcza. Nie możemy znaleźć Reggiego, nie możemy znaleźć szmaragdów i nic już nie możemy zrobić.

– To nie jest koniec. Musimy znaleźć kobietę. Przydusimy ją, ona nam wygada, i ruszymy z tego miejsca.

Marsh pokręcił głową. Protekcyjny, lekceważący czarny dupek.

– Ty sprawdzasz statki. Przejrzysz listy pasażerów. Od wiosny sześćdziesiąt cztery do końca roku. Każdy większy port i kurs za granicę. Zrób to, kurwa, i to zaraz, kurwa.

(Los Angeles, 26.11.1971)

Do Vivian dostarczono pudło. Była to paczka nadana w Las Vegas. Zawartość grzechotała. Ważyła chyba, kurwa, tonę.

Zapłacił listonoszowi i wtachał ją do środka. Adres nadawcy: Mary Beth Hazzard, skrytka pocztowa 19. Przyklejona taśmą koperta.

Kurwa – odpowiedziała na jego pytania. Kurwa – znalazła...

Otworzył. Mary Beth Hazzard napisała:

Panie Crutchfield,

pewien policjant z Cleveland w Ohio przysłał mi to w odpowiedzi na jedno z licznych zapytań Wayne'a. To ostatnie doniesienia FBI o kobiecie o nazwisku Klein. Wayne miał wobec niej pewne podejrzenia. Jak pan widzi, oprócz nagłówków i rozmaitych numerów większość tekstu została zaczerniona. Wayne powiedział, że przy usuwaniu atramentu odniósł bardzo ograniczony sukces, ale załączam narzędzia i chemikalia, których on używał.

Pozdrawiam

M.B.H.

Aktualizacja akt: 8.12.1968. KLEIN, JOAN ROSEN, rutynowe numery, *adios*. Sześć całkowicie ocenzone kartek.

Jedna teczka. Wysłana do zmarłego. Genialny, kurwa, chemik: „Bardzo ograniczony sukces”.

Spektroskop.

Rentgenoskop.

Kwas hydrohydroksylowy o wysokim pH.

I notatki Wayne'a o bombardowaniu kontrastującym promieniowaniem.

Wyłożył wszystko. Przejrzał książki chemiczne i znalazł dane o proporcjach kwasu. Pod spektroskopem i rentgenoskopem nic nie zobaczył. Powiesił urządzenia na ścianie i skierował na biurko. Chwycił kilka patyczków higienicznych i założył gumowe rękawiczki. Rozłożył ocenzone kartki.

Włączył lampy. Błysnęły niebieskie i różowe światła.

Skierował krzyżujące się strumienie światła na kartki. Czterokrotnie zobaczył zaczernienia jeszcze czarniejsze. Potem dwa razy rozjaśnił czerni. Przetarł te jaśniejsze miejsca kwasem. Papier przepalił się na wylot.

Poprawił lampy. Przetarł ciemny atrament.

I tak robił. Przecierał lekko, przecierał mocno. Papier się przepalił na wylot.

Zatrzymał się. *Oddychaj głęboko.* Spróbował z niebieskim światłem i mocnym przecieraniem. Przepalił papier do blatu. Od nowa. Spróbował z różowym światłem i lekkim przecieraniem. Przepalił papier do blatu.

Ręka mu drgnęła. Butelka się przewróciła. Kwas się rozlał. Cztery kartki się przepaliły.

*Zacznij od początku. Oddychaj głęboko. Wayne, bracie, staram się. Zostały nam dwie kartki.*

Starł kwas. Znowu skrzyżował światła. Rozjaśniły się wszystkie linie. Przetarł je wyjątkowo leciutko.

Papier zaskwierczał i zabulgotał. Linie przepaliły się na wylot.

Ostatnia kartka.

Biurko miał całe w oparzelinach. Przetarł je ręcznikiem. Ułożył kartkę na środku. Poprawił światła. Powstało jakieś nowe połączenie różowo-niebieskie. Zobaczył ciemne linie atramentu, jasne obramowania i coś jeszcze.

*Małe znaki pisma maszynowego. Pod atramentem.*

Spojrzał na nie spod zmrużonych powiek. Wziął szkło powiększające i przystawił je do kartki. Nie mógł odczytać pokrytych atramentem słów.

*Oddychaj głęboko. Nie przecieraj, dotykaj leciutko.*

Tak, tak spróbuj.

Wszedł do kuchni. Z butelki ze spryskiwaczem wylał płyn do okien. Wypłukał ją dokładnie wodą z płynem do naczyń. Wysuszył. Przyniósł ją do pokoju i postawił na biurku.

Nalał do środka kwasu. Zakręcił. Prysnał na próbę i uzyskał delikatną mgiełkę.

Poczuł szczypanie w oczach. Zaczekał, aż mgiełka opadnie. Ułożył kartkę na środku, pod różowo-niebieskimi promieniami. Bardzo delikatnie spryskał linie atramentu, od góry do dołu. Atrament rozmazał się nierówno. Zobaczył słowa i fragmenty słów.

„JOAN ROS”/„różne tożsam”/„Williamson, Margaret Susan”/„Broward, Sharon”/„Goldenson, Rochelle”/„Faust, Laura”/„B”, „D”, „L”, „Q”, „A”, zamazane słowa.

„Podejrzana o udział”/„kaucja”, smugi, „ania”, „od 194”, „przekazane”, smugi, „icowe sprawy”.

JOAN ROSEN KLEIN, nawiasy, smugi, nawiasy. „Celia Reyes alias Gretchen Farr”/„Ruch 14 czerwca”, smugi i zamazany tekst. „W tej chwili (8.12.1968) TI donosi, że REYES-FARR poszukuje kobiety pochodzenia dominikańskiego lub haitańskiego, znanej jako Tatuaz (prawdziwe nazwisko nieznane), rzekomo zaginionej w Los Angeles latem 1968 roku. Donosi również, że REYES-FARR zwerbowała do tego zadania LEANDERA JAMESA JACKSONA, członka czarnych bojówek.

„JOAN”, smugi, „EIN”, „podejrz”, „ujaw”, smugi, „wywr”, „Algiera”, „Palest”, Karai”.

O kurwa. Całe wersy. Adresy w Hiszpanii. Kryjówki w Dominikanie.

„Często powtarzana pogł”, smugi, „rzek”, „powstrzymanie przerzutu przemycanych szmaragdów, które podobno miały posłużyć finansowaniu”, smugi, smugi, „zamachy”.

Druk zaczął blednąć.

Stracone litery i całe słowa zamazały się i zbladły. Zamrugał oczami. Przetarł oczy. Stracił cały akapit. Stracił słowo JOAN.

Spryskał kartkę. Spryskał za mocno. Zamiast mgiełki poleciała struga. Słowa zniknęły. Kartka spłonęła.

Samolot lądował. Dwight miał ciasne środkowe miejsce. Chujkowo w Missisipi i z powrotem w ciągu siedemnastu godzin.

Podróż była improwizowana. Bob Relyea miał napad chwili słabości. Dwight, człowiek lubi wiedzieć, kogo zabija. Bob, nie powiem. Masz tu pięć tysięcy. Idź kup trochę nienawistnej literatury, napadnij na jakieś apteki.

Bramka była blisko parkingu. Wysiadł, wszedł do swojego wozu i wyjechał na freewaya. 21.16. Joan była w lokalu rezerwowym. Marsh w Oxnard. Zaprosiło go Szefostwo Czarnej Dumy. Ten brat Bowen, on to ma gadane.

Dwight śmignął nad La Cienega i wspiął się na Stocker Pass. Był wyczerpany. Wróciły nerwy w strzępach i bezsenność. Po głowie mu chodziła umowa Sala Minea. Od tego czasu nie widział się z Joan. W ogóle nie rozmawiali. Naciskano go ze wszystkich stron. Prezio wysłał rozpiskę podróży Hoovera. Musiał jechać do DC. Nixon chciał spotkania na szczycie speców od brudnej roboty. Egzekutor i Howard Hunt, weteran z Agencji. Karen z dziećmi tam będzie. Pokaż dziewczynom kilka pomników. Potem je nauczysz, jak wysadzać.

Nie dawała mu spokoju teoria Joan/Jack Leahy. Jego pierwsze podejrzenie na temat Joan: ma przyjaciela wśród federalów. Trzy lata później jakby wie.

Nie dawał mu spokoju Podglądacz Crutchfield. Wścibski mały skurwiel. Kurewsko przezorny i nadludzko wytrwały. *Dali mu żyć. Wtedy* wiedział wszystko. Diabli wiedzą, co wie *teraz*.

Bardzo ważne: zbieżność. Mniej ważne: więź Marsh–Scotty. Ważne pytanie: czy przyciskanie ciepłaka oznacza, że rezygnujemy?

Dwight popił kawą trzy aspiryny. Pomyślne: jego pierwsza migrena od Silver Hill.

Zasuwy jak zawsze działały. Dzięki warstwie oleju narzędzia nie zostawiały śladów. Dzięki noktowizorowi mógł chodzić po mieszkaniu po ciemku.

Dwight zamknął za sobą drzwi. W salonie unosił się ostry zapach. Leżały resztki kadzidelka. Marsh wykosztował się na nowego Kandinsky'ego. Spierdolił symetrię na północnej ścianie.

Dwight buszował. To był jego włam numer 6000. Bezsensowne powtórki z gliniarskiej roboty – uwielbiał ten szajs.

Obstukał panele, otworzył szuflady, sięgnął pod kanapę i dywany. Zobaczył ślad pyłu z belki sufitowej. Belka była wykończona na gładko. Nie powinna.

Przyciągnął krzesło i wszedł na nie. Zmrużył oczy. Zobaczył lekkie ślady po jednej stronie belki. Pył wyleciał z ledwie widocznego spojenia.

Nacisnął na nie. Drewniane drzwiczki otworzyły się do środka. Skrzypnął zawiasik. Drzwiczki były niemal niewidoczne i prostokątne. O wymiarach dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów.

Zapach papieru. Od razu – najpierwszy.

Sięgnął do środka. Oprawiony w skórę. Wytworny Marsh.

Wyciągnął go i zszedł z krzesła. Przygotował minoxa. Podeszedł do biurka i czytał.

Oj, znał Marsha. Pamiętnik od razu to potwierdził. Mieli podobny styl. Obaj wiedzieli, jacy są bystrzy. Obaj mieli cięty dowcip. Obaj cenili bezwzględność. Marsh był w tym nowy i zachłyśnięty. Och, dzieciaku. Och, mój bracie. Nie wiesz, ile to kosztuje.

22.21. Miał dwanaście rolek filmu. Zdołał sfotografować większość tekstu.

Bardzo nieporęcznie. Rozkładać kartki, ustawić aparat, zrobić zdjęcie. Zrobił zbliżenie i czytał, robiąc zdjęcia. Było tu wszystko. Jego świat połączony ze światem brata Bowena.

Napad jako Święty Graal. Jego dziecięce zakochanie w D.C. Hollym. Dwulicowy sojusz ze Scottym B. Wayne Tedrow i dawno zaginiony Reggie. Reggie jako ocalony z napadu i szmaragdy. Morderstwo Lionela Thorntona. Trzy wyprawy do Haiti. Marsh zidentyfikował Joan jako Kobietę. Nie powiedział tego Scotty'emu.

Sfotografował siedemdziesiąt trzy strony. Skończył mu się film. Zapamiętał większość tekstu. Odłożył dziennik i starł pył. Zostawił nieskazitelny porządek.

Migrena minęła. Operacja była zagrożona. Poczł spokój, lekkość i coś jeszcze.

W lokalu rezerwowym panowały ciemności. Joan nie było. Karen puszczała na pełną moc Grosse Fuge. Przeszedł na taras. W łazience Karen się świeciło. Muzyka ryczała z jasnego małego kwadratu.

Ciemnia była w pełni wyposażona. Joan lepiej od niego wywoływała filmy. On znał podstawy. Włączył lampę na podczerwień, napełnił tacki i rozwinął rolki filmu. Całe cztery godziny roboty.

Pociął film na paski, zanurzył je i przytrzymał. Potem patrzył, jak pojawiają się słowa na papierze. Zrobił sobie przerwę i zadzwonił do Podglądacza. Śmieć w ogóle się nie odezwał. Wspomnił szmaragdy, Joan Klein i napad. *Nic nie rób, Dupku. Jasne?*

Podglądacz przełknął ślinę i powiedział: „Tak”.

Dwight wrócił do roboty.

Wyjął filmy, rozwiesił wszystkie zdjęcia i zostawił je, żeby wyschły. Ściągnął je i zaniósł do salonu.

Stwórzmy opowieść. Ułóżmy ją na wysokości wzroku. Ukształtujmy i przejrzyjmy.

Przypiął zdjęcia. Opowiadały historię Marsha i ich wspólną. On ją opowiedział w pasku, który trzykrotnie obiegł pokój.

Zdjęcia wyszły trochę ciemne i zniekształcone. Nieważne. Światła w salonie były świetne.

Wyszedł na taras. W sypialni Karen jeszcze się świeciło. Wyostrzył lornetkę. Dina wbiegła do pokoju z płaczem. Karen podniosła ją i przytuliła. Kochane dziecko, zły sen.

Światła zgasły. Czekał na światło z łazienki i dalszą muzykę. Nie doczekał się. W centrum migotały światła wieżowców.

Usłyszał klucz w zamku drzwi wejściowych. Drzwi się otworzyły i zatrzasnęły. Jej kroki były za lekkie. Nie rzuciła torebką.

Czekał. Patrzył w niebo i widział City Hall. Był rok 1951. Tam mieściła się komenda główna Policji LA. Zobaczył młodego gliniarza poniewierającego podejrzanym. Metr dziewięćdziesiąt, krótko ostrzyżony – zapowiedź Scotty’ego B.

Zobaczył jej cień i poczuł zapach jej włosów. Oparł się o poręcz. Podeszła i oparła się o niego.

– Nigdy cię nie okłamałam ani nie zdradziłam.

– Wiem.

– Marsh sporo poskładał do kupy.

Dwight odwrócił się do niej. Objęła go. Brodą musnęła czubek jej głowy.

– Ja skaptowałam Reginalda Hazzarda. Z Jackiem przyjaźniliśmy się od wielu lat. Razem planowaliśmy napad. Reginald od wielu lat jest w Haiti.

Dwight dotknął jej włosów. Zeszłotygodniowa czerń posiwiiała, zeszłotygodniowa siwizna zbielała.

– Napad nadaje zupełnie nowy wymiar. Scotty wie, że Marsh nie należy do samotnych strzelców. Na taką analizę nie możemy sobie pozwolić. Scotty od razu pojmie, że my za tym stoimy.

– Nie zgadzam się – powiedziała Joan.

Dwight pokręcił głową.

– Oni się cyskają nawzajem. Scotty zastawia na Marsha homopułapkę. Marsh wie, jak się nazywasz, i wie, że byłeś moim informatorem. Zabili Lionela Thorntona. Marsh w takiej sytuacji nie pójdzie na metę snajpera.

– Nie zgadzam się – powiedziała Joan.

Dwight zacisnął pięści. Joan je objęła i położyła sobie na piersi.

– To potwierdza każdy aspekt naszego podtekstu. Wskazuje na Scotty’ego Bennetta, teraz Policja LA bardziej będzie potrzebowała zatuszowania, co poszerza ślad dokumentacyjny i znacznie powiększa stopień upublicznienia. Możemy połączyć pamiętniki. Możemy usunąć wzmianki o Jacku Leahym, Reginaldzie Hazzardzie i o mnie. Możemy wyciąć fragmenty o Lionelu Thorntonie, tak żeby jego ludziom nie stała się krzywda. Popatrz na to jak na

dokument społeczny, który niezawodnie prowadzi nas do pana Hoovera i wszelkiego zła, które wyrządził. Napad zagmatwa trop i podkreśli ogólną lekturę i wiedzę. Przyjaźń Bennett-Bowen wyjaśnia każdy aspekt nienawiści i chciwości, które zawsze chciałam wykazać.

Dwight się odsunął. W łazience Karen włączyło się światło. Wyteńczył słuch. Nie grała muzyka.

– Opowiedz mi o Lionelu Thorntonie.

– On też był towarzyszem.

– Prał pieniądze dla ciebie i Jacka.

– Tak.

– Jack wszedł z federalami do banku. Wcześniej wziął większość pieniędzy. Zostawił tylko jakąś sumę, którą należało znaleźć.

– Tak, wszystko pojąłeś – powiedziała Joan. – Ale pewnych rzeczy nie powiedziałaś i nie zadałaś pewnego pytania.

Dwight spojrzał na nią.

– O nic cię nie winię. Wziąwszy pod uwagę to, co ja robiłem, po prostu nie mogę.

– A pytanie?

– Pytanie brzmi: „Kto wziął pieniądze?”. Odpowiedź brzmi: „Wszystko szło na sprawę”.

Usłyszał cichą muzykę. Dysonansowe smyczki. Zrobiło się bardzo późno. Chciała, żeby nie było za głośno.

– Nie chcę tego stracić – powiedziała Joan.

Dwight z wytężeniem słuchał muzyki. Lekki wiatr ją zagłuszał.

– Marsh o tobie wie, Scotty może się o tobie dowiedzieć. Wtedy będziesz w niebezpieczeństwie, a twoje nazwisko prędzej czy później wypłynie.

Joan potrząsnęła głową.

– Scotty o mnie nie wie. Marsh nie powie ani jemu, ani nikomu innemu. To chciwy mały człowieczek. Chce wszystko dla siebie. Ty widziałeś pamiątnik. A nikt inny nie. Ja będę się trzymać z daleka, a cokolwiek Scotty powie o tobie, nikt mu nie uwierzy. To kumpel czarnego pedała, a ty jesteś najważniejszym świadkiem, który miał załamanie i chce zeznawać.

Dwight otarł łzy z oczu. Joan ścisnęła go za rękę, aż pobielały jej kłykcie.

– Powiedz, co ci zrobił pan Hoover.

– Nie. Nie powiem.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 3.12.1971. Wiadomość teleksowa. Oznaczona: „Tajne 1-A: Tylko do wiadomości odbiorcy”/„Zniszczyć po przeczytaniu”. Do: AS Dwight C. Holly, Od: Biuro Podróży Służbowych, Centrum Logistyczno-Komunikacyjne, Waszyngton, DC.

Szanowny Panie,



w odpowiedzi na Pańskie zapytanie informujemy, że podróże służbowe Osoby, której zapytanie dotyczy, zostały ostatnio ograniczone ze względu na pogorszenie stanu jej zdrowia. W tej chwili wiadomo, że Osoba, której zapytanie dotyczy, uda się do Miami 14.04.1972 r., do Cleveland 5.05.1972 r. oraz do Los Angeles 10.06.1972 r. O wszelkich zmianach i aktualizacjach będziemy informować na bieżąco. Oczywiście wiadomość proszę zniszczyć po przeczytaniu.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 4.12.1971. Zapis rozmowy telefonicznej FBI. Oznaczony: „Nagrany na polecenie Dyrektora”/„Tajne 1-A: Zastrzeżone dla Dyrektora”. Rozmawiają: Dyrektor Hoover, Agent Specjalny Dwight C. Holly.

JEH: Dzień dobry, Dwight.

DH: Dzień dobry, panie dyrektorze.

JEH: (Napad kaszlu; dwanaście sekund).

DH: Dzień dobry, panie dyrektorze.

JEH: Proszę się nie powtarzać.

DH: Dobrze, proszę pana.

JEH: Nie wiem, dlaczego w ogóle z panem rozmawiam.

DH: Tak, proszę pana.

JEH: Niech się pan nie powtarza. Nie jestem zdemenciałym starcem. Cieszę się doskonałym zdrowiem.

DH: Tak, proszę pana.

JEH: Znowu pan to robi. Proszę natychmiast przestać. Mówię, że ma się pan nie powtarzać.

(Cisza: pięćdziesiąt trzy sekundy).

JEH: Szczwany Dick prosił, żebym zrobił brudną robotę w hotelu Watergate. Odmówiłem. Dopóki go zwodzę, mam robotę. Jestem podpuszczalski. Zwodzę tego fiuta. On mówi, że zachowuję się jak baba. Moją operację hemoroidów nazywa histerotomią.

(Napad kaszlu: dziewięć sekund).

JEH: Mam teczkę na Szczwanego Dicka. On mówi, że jestem baba. Moja piwnica jest wzmocniona kryptonitem. Żaden złodziej się do niej nie włamie.

(Napad kaszlu: szesnaście sekund/na tym kończy się zapis rozmowy).

– Sal, jesteś taki słodki towar. Dlaczego nie możesz wyrwać tego tępaka?

Spotkanie w sprawie przyciskania ciepłaka nr 2. Prowadzi sierżant Robert S. Bennett. Obecni poza tym: Sal, Fred O., Podglądacz Crutchfield.

– Słuchaj, są tacy kolesie, których nie sposób ugryźć. Czasami zgrywają nieprzystępnych, czasami po prostu nie mają ochoty.

Srebrna Gwiazda na Western. Scotty żywił się tam za darmo. Właściciela często napadano. Dzwonił prosto do Scotty’ego.

Kelner podał gin-fizzy i precle. Ich boks wychodził na drzwi. Scotty nalegał. Rozpoznawał wszystkie twarze. Miał gliniarską pamięć absolutną.

Fred O. skubał skórę przy paznokciu. Podglądacz podrapał się po jajach. Aksamitny Sal posmutniał. Miał straszne parcie na asfalt. Nie mógł się doczekać, aż zalutuje Marshowi w styję.

Kelner odszedł.

– Myśmy się już poznali, sierżancie – powiedział Sal. – Na planie zdjęciowym.

– Wiem. *Akcja na południu*. Zabrałem na to dzieciaki. Moja córka się w tobie zakochała. Powiedziałem jej, że ma pecha, bo jesteś pedałem.

Sal zarechotał. Fred zarechotał. Podglądacz nie. Podglądacz zawsze był myślami gdzie indziej. Przy jakichś oknach.

Scotty pochłonął precla.

– Weź mi wytłumacz. Dlaczego ten jełop ci się nie daje?

Sal wzruszył ramionami.

– Marsh nie jest łatwy. Ma wszystko poukładane w swoim światku i nie lubi zmian. Jest gliną, wygłasza mowy, pasjonuje się sztuką, i na tym się skupia. A teraz gada tylko o tych swoich podróżach do Haiti.

*Uwaga...*

*Lekka piłka. Łatwy łob, łatwy chwyt. Marsh ma sekret. Haiti graniczy z Dominikaną. Stamtąd przyjeżdżały szmaragdy. Haiti to Reggie i kamienie.*

Miękki Sal paplał. Scotty go wyciszył. Podglądacz się zawiercił. Popatrz na te spocone ręce i kark.

Scotty łyknął drinka.

– Naciskaj dalej, Sal. Skołużę ci trochę metakwalonu. Włączycie sobie Soul Train i jechane.

Sal zachichotał.

– Nie w tym rzecz, że ja nie chcę. Marsh się nie daje. Mówię o nim „Afrykańska królowa”. Fred O. chwycił się za brzuch. Podglądacz zawył głośno, aż wypluł precla.

– To wszystko między nami, białymi ludźmi – powiedział Scotty. – Nie możesz iść do Dwighta Holly’ego. To jest nasze przyciskanie cieplaka, tylko nasze. Jego przyciskanie cieplaka to stare dzieje.

*Uwaga...*

Sal zarumienił się na hasło „Dwight Holly”. Podglądacz się podrapał.

Sal zawinął zwisający loczek.

– Pana Holly’ego to ja znam tylko z widzenia. Mój federal to Jack Leahy. Wypytywał mnie o *Akcję na południu*. Pamiętasz, sierzancie? Pan też. Ten napad na furgonetkę opancerzoną, jakby taka dziewczyna jak ja cokolwiek o takich akcjach wiedziała.

*Uwaga...*

Podglądacz zamrugął oczami na hasło „Leahy”. Podglądacz zamrugął na hasło „napad”. A teraz Podglądacz strzela oczami na boki i się poci.

Scotty patrzył na Sala groźnie. Sal oblizał wargi i uśmiechnął się nieśmiało. Fred O. skubał skórę przy paznokciu. Emocje mu umknęły. Podglądacz głośno przełknął ślinę i raz jeszcze głośno przełknął ślinę. Jego jabłko Adama latało jak szalone.

Scotty poszedł do kibla. Skusiły go chłodne kafle. Oparł głowę o ścianę. Dobra, dobra, dobra – przemysł to wszystko.

Leahy. *Wtedy* pytania o napad. *Teraz* raban o Bank Powszechny. Jack wszedł z federalami. Brał udział w napadzie. Ma teraz wielkie pieniądze.

*„Haiti” oznacza, że Marsh zawodzi.*

Tablica rozdzielcza: same nowe zdjęcia.

Na szalonym spiekaniu atramentu zyskał jeden dobry trop i cztery fałszywe tożsamości. Sprawdził nazwiska i zdjęcia w kartotece. Znalazł cztery nowe Joan.

Williamson, Goldenson, Broward i Faust. Joan w 1949. Joan trzy, pięć i siedem lat później.

Jest młodsza, ma ciemniejsze włosy i jeszcze nie ma tego gniewu. Zawsze arogancka. Mruży oczy bez okularów. Ramiona ma gładkie. Szczęki nie ustawia jeszcze tak groźnie.

Crutch wpatrywał się w zdjęcia. Spotkanie właśnie się zakończyło. Prześledził fale mózgowe Scotty'ego. Scotty zareagował na Haiti i Marsha.

Przekręcił kluczyk i ruszył na południe. Clyde miał dla niego robotę. I jeździł na taksówkach. Jego sprawa to wracała, to szła w odstawkę.

Zadzwoił Dwight Holly i go przestrzegł. Nic nie rób, Dupku. Celia szukała zabójcy Tatuaz tak jak on. Scotty chciał dopaść Marsha.

Jechał przez Hancock Park. Zaglądał do okien za dnia. Zero frajdy.

Nadchodziły święta. Jego matka przyśle kartkę i piątaka. On kupi prezent Danie Lund.

Mijał parking najmitów. Phil Irwin i Buzz Duber mu pomachali. Chick Weiss obłapiał mulacką kurwę.

Babka pokuśtykała do zatoki serwisowej. Szwarcojebca Chick popatrzył na nią gniewnie. Crutch się zatrzymał. Chick oparł się o samochód.

– Wyglądasz smutno, chłopczyku. Może się zapisz do Anonimowych Wojerystów.

– Idź wyruchać swoją matkę.

– Raz próbowałem. Za karę mnie posłała na prawo.

Powiał ciepły wiatr. Crutch skierował sobie strumień z klimy na jaja.

– Daj mi robotę rozwodową.

– Nic z tego – odparł Chick. – Mam Phila. Mam na usługach tego Filipińczyka z oślim chujem, więc nie mogę naciągać budżetu, bo tobie się nudzi.

Crutch się roześmiał.

– Zabieraj się stąd – powiedział Chick. – Zrób coś durnego i odważnego, żeby świat pomyślał, że zaruchałeś.

Przejechał obok Taxi Tygrys. Policja LA wprowadziła tam paru uprzywilejowanych więźniów. Nosili kombinezony w tygrysie paski. Wykonywali przymusowe roboty w myjni. Redd Foxx

podawał im południowe żarcie.

Przejechał. Nie mógł tego zostawić.

Milt C. go zobaczył i pomachał. Narkogorylek pomachał jedną łapą. Crutch odmachął i skręcił na zachód w Stocker.

Mieszkanko było ładne. Baldwin Hills to wypas kolorowych. Na tej samej ulicy mieszkał Ray Charles i Lou Rawls. Obu woził tygrysią taryfą.

Crutch wysiadł i zadzwonił do drzwi. Otworzył Marsh Bowen. Miał na sobie mundur. Medal za Męstwo lśnił jasnym blaskiem.

Marsh jarzył chwilę. Ach, tak, ty jesteś od Clyde'a Dubera.

– Scotty wie, że jeździłeś do Haiti – powiedział Crutch. – Myślę, że lepiej by było, gdybyś zwiął.

U Harveya kłębił się tłum. On czekał przy barze. Howard Hunt się spóźniał. Przy stolikach dzikie hordy jadły lunch.

Ted Kennedy i John Mitchell. Wiceprezydent Agnew opowiadał dowcip na pół knajpy. Dwight dosłyszał urywki. Lew ruchał zębem, no ja cię nie mogę, ha, ha, ha.

Miał jet-laga i zaległości w spaniu. Wczoraj zjadł lunch z Jackiem Leahym. Zgrzyt. Jak zjazd paznokciami po tablicy. Nie omawiali Operacji. Joan mu o niej powiedziała. Zaakceptował ją i pragnął jej. W jego spojrzeniu widać było aprobatę. Tyle było jasne.

Jack przyszedł pogadać – wyłącznie na swoich warunkach. Powiedział, że zna się z Joan. Powiedział, że zabrał pieniądze. Nie rozmawiali o napadzie. Jack powiedział, że nienawidzi Hoovera tak samo jak Joan. Dwight spytał dlaczego. Jack odrzekł „Nie powiem ci”.

Hunt się spóźniał. To go wkurzało. Karen z dziećmi też tu była. Dwight popijał kawę i rozglądał się po restauracji. Wszedł Ronald Reagan. Same ochy i achy, i kpiny.

Z Joan przepracował trzy dni bez przerwy. Połączyli fałszywe wpisy pamiętnikowe z prawdziwymi wpisami Marsha. Powstał jednolity tekst. Usunęli morderstwo Lionela Thorntona. To by wpuściło Scotty’ego w głęboki kanał, a wtedy zacząłby gadać. Pominięcie mogło zachęcić go do milczenia. Joan była blisko z Lionelem Thorntonem. Pominięcie oszczędzi jego rodzinę.

Nowy tekst ujawniał obsesję Marsha na temat napadu. Spiknął się z ogarniętym równie gorącą obsesją Scottym i bezskutecznie podążali rozmaitymi tropami. Marsh zamienił się we wcielenie chciwości i perwersji. Czuł się skrzywdzony politycznie. Był pionkiem i królem marionetek. Jego psyche rozczłonkowała się na szesnaście milionów sposobów. Gliny go przyjęły i dały mu tożsamość. Gliny powiedziały, że ma się zaangażować, podczas gdy on zakładał wręcz przeciwnie. Poszukiwania pieniędzy i szmaragdów nie przyniosły żadnych efektów. Nie wiedział, kim jest, dokąd zmierza ani co ma robić. Postanowił zabić jakąś osobę publiczną, żeby mu się wszystko poskładało do kupy.

Wszedł Howard Hunt. Dwight mu pomachał. Barman go zobaczył i przygotował martini.

Wziął dwa łyki i nabił fajkę. Krawatem przetarł okulary.

– Nie mogę zostać na lunch.

– Nie liczyłem na to.

– Ciepło się robi. Wiosna będzie ciężka.

Dwight podał mu kopertę. Hunt przykrył ją dłonią i zapalił fajkę.

– I?

– Lato. Watergate. Ustalasz czas i obsadę.

– Stara ciota mu odmówiła. Słyszałem plotki.

– Człowiek mnie lubi. I tyle wystarczy.

Hunt dopił swoje martini.

– Ty dowodzisz? – spytał.

Dwight pokręcił głową.

– Zajrzyj do koperty. Masz tam namiary, pod które możesz dzwonić. Człowiek ma coś do Kubańczyków. Pracowałeś już nad tym. Sami łącznicy, kontakty, papier łatwopalny. Ja się wycofuję.

Hunt położył piąta. Dwight mu oddał.

– Ja stawiam.

– Dwight Egzekutor, zawsze dżentelmen.

– Miło było, Howard.

Hunt założył czapeczkę i wyszedł z restauracji. Drzwi kołysały się chwilę. Blask słoneczny padł na bar i na podłogę. Dwóch wielkich gości wprowadzało do środka słabującego staruszka.

Szurał nogami. Ubranie z niego spadało. Okulary zsuwały się z nosa. Plamy wątrobowe, paraliż, obwisła szyja. Drobił kilkucentymetrowymi kroczkami.

Starzec podniósł wzrok i zobaczył go. Miał zamglone ciemnobrązowe oczy. Nic w nich nie mignęło. Dwight zamrużył powiekami i spojrzał jeszcze raz. Pan Hoover patrzył przez niego na przestrzał.

Ochroniarze doprowadzili go do stolika. W trzy minuty pokonał piętnaście metrów. Rozejrzał się po restauracji błędnym wzrokiem. Nikt go nie zauważył. Ludzie biesiadowali tuż obok. Kelner przyniósł przygotowany wcześniej posiłek.

Dwight miał go przed sobą. Dzielili ich niewielka przestrzeń. Odsunął się od baru. Stał wielki, wyprostowany, wyraźnie widoczny.

Pan Hoover spojrzał. Dwight pomachał. Pan Hoover nie zareagował.

Jeden ochroniarz pociął mu stek. Drugi go nakarmił. Ted Kennedy zauważył go i odwrócił wzrok. Ronald Reagan uśmiechnął się i pomachał. Pan Hoover nie zareagował. Ślina skapywała mu po brodzie.

Dwight podszedł trzy kroki. Teraz było go widać wyraźniej. Pan Hoover zakaszłał. Ślina utworzyła kałużę na talerzu. Kelner rzucił się posprzątać. Dwight się przysunął. Teraz stał niemal nad nim. Pan Hoover był bardzo blisko. Patrzył prosto na Dwighta i w ogóle go nie widział.

Dziewczynki skakały wokół pomnika. Dwight i Karen trzymali się za ręce na ławce.

– Powiedziałaś im, że Waszyngton jest ojcem naszego narodu?

Karen się uśmiechnęła.

- Twoja amerykańska historia i moja amerykańska historia to nie ta sama historia.
- Polemizowałbym.
- W świetle ostatnich wydarzeń może zmienię zdanie.

Na trawniku pełno było niań z wózkami i dzieci kopiących piłki. Mały chłopczyk zobaczył pas z bronią Dwighta i się uśmiechnął.

- Jesteśmy razem od siedmiu lat – powiedziała Karen.
- Wiem. W lutym skończysz czterdzieści siedem.

– Zabierz mnie gdzieś na weekend. Robicie coś nieodwracalnego. Chcę spędzić najpierw z tobą kilka chwil.

Dwight oparł kolano na ławce i obrócił się do niej twarzą. Karen spojrzała na niego. Ujął jej twarz w dłonie. Spłynęło kilka łez. Starł je kciukami.

- Nie zrobię tego.

Karen odsunęła się od niego. Łzy jej płynęły jak szalony. Zdjęła sweter i osuszyła oczy.

Różowy kaszmirowy kardigan. Pierwszy prezent gwiazdkowy od niego. „Co?” – spytała wtedy. „Nie kupiłeś mi czerwonego?”

- Dlaczego?
- Nikt nie umrze – powiedział Dwight.

Miał wielki apartament w Willardzie. Na koszt biura. W łazience miał kabinę prysznicową.

Room service przysłał butelkę burbona. Ślinka mu do niej ciekła. Zaniósł walizkę i dzbanek do łazienki. Wrzucił pamiątkowe kartki pod prysznic i nalał burbona do pełna.

Zapalił zapalniczkę i rzucił ją do środka. Kabina wypełniła się płomieniem. Zaczekał, aż się wypaliły.

Odkręcił wodę i zalał wszystko. Kartki spękały się w czarne błoto.

Nad sedesem wisiał telefon. Dwight wybrał numer lokalu rezerwowego. Po trzech sygnałach usłyszał „Tak?”.

- Wycofujemy się. Nie mogę tego zrobić.
- Nie – powiedziała Joan. I rozłączyła się.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 8.12.1971–17.01.1972. Fragment dziennika Marshalla E. Bowena.

Zawsze wiem, kiedy coś się kończy. Otworzyłem drzwi, zobaczyłem tego głuptaka na progu i zrozumiałem, że mój los całkowicie się odmienia. Nie poprosiłem, żeby rozbudował swoją wypowiedź. Nie powiedziałem, że zauważyłem go tu i tam na tyle często, że wiem, że musi być mistrzem inwigilacji i zapewne sporo o mnie wie. Samochód zaparkował na moim podjeździe. Podszedłem, podniosłem z trawnika świeżą gazetę i zobaczyłem, że chłopak ma na tablicy rozdzielczej zdjęcie Joan Rosen Klein. W tym momencie wiedziałem: to koniec.



Odjechał. Wyjąłem swój dziennik ze schowka, syczyłem konto w banku, zapakowałem torbę i przyleciałem tutaj. Zakładałem, że Scotty nie odważy się tu przyjechać ani nie zaryzykuje ujawnienia naszych licznych zbrodni, szcując na mnie Policję LA. Instynkt mi podpowiedział, że pieniądze są w Los Angeles, a Reginald i szmaragdy tutaj. Wsiadłem więc w samolot i przyleciałem do Port-au-Prince.

Jest bardzo czarne. Ja jestem francuskojęzycznym Murzynem, Amerykaninem, policjantem. Mam wyjątkową aktorską smykałkę do przyswajania sobie języka. Nie mógłbym uchodzić za Haitańczyka, ale nabrałem biegłości w kreolskim. Miejscowi czują się zaszczyceni, kiedy przyjezdne ćwoki starają się mówić w ich języku i jeszcze im się udaje. Dzięki tej biegłości, jak również wrodzonemu urokowi, dostałem carte blanche, by sobie dogadzać i obserwować.

Podróżuję piechotą i rowerem, zatrzymuję się w niewielkich hotelach. Dokądkolwiek trafiam, pytam o Reginalda Hazzarda, po angielsku i francusku. Opisuję młodego Murzyna z bliznami po oparzeniu na twarzy. Czasami korzystam ze swoich kompetencji policyjnych. Wielu ludzi przypomina sobie, że widziało Reginalda, ale nikt nie wie, gdzie on jest. Mam morze czasu, żeby go znaleźć. Nie wracam do Ameryki.

Tonton Macoute śledziło mnie przy różnych okazjach, a czterokrotnie mnie przesłuchiwało. Speszył ich mój status amerykańskiego gliniarza. Wszystko to są łajdaki i czują, że ja też jestem łajdakiem. Widzieli, jak płacę za wskazówki na temat Reginalda. Na pewno wiedzą, kim on jest, a może nawet gdzie w tej chwili przebywa. Tontoni opowiedzieli mi ostrzegawczą historię o innym amerykańskim policjancie, który poczuł potrzebę odkrywania wiejskich okolic Haiti. Wayne Tedrow był biały i brakowało mu mojego ochronnego ubarwienia. Tontoni nigdy mi nie grozili. Zasugerowali, że czarni Amerykanie dysponujący zasobami finansowymi mogą sobie zapewnić anonimowe bezpieczeństwo i żyć spokojnie w Haiti, dopóki wystarczy im środków. Następnie zasugerowali, że może tak właśnie wygląda kwestia Reginalda Hazzarda, a jeszcze później zasugerowali, że powinienem wracać do domu.

Zostaję. Tontoni przyjmują to z lekką niechęcią – ponieważ Haiti to miejsce niebezpieczne, ale ja jestem czarnym gliną, który nieźle posługuje się ich językiem, no i chyba mnie lubią. Jeden Tonton powiedział, że Policja LA pytała ich o miejsce mojego pobytu. Jeszcze nie odpowiedzieli. Niewątpliwie inicjatorem tego zapytania jest Scotty. Dałem temu człowiekowi trochę pieniędzy i poprosiłem, żeby zignorował pytanie. Powiedział, że tak uczyni.

Ciągle jeżdżę po Port-au-Prince, po większych miastach w pobliżu, a także po miejscowościach odleglejszych. Piję klerin i odlatuję na haitańskich ziołach wszelkiej maści. Prześledziłem w tym odlocie ostatni dzień Wayne'a na tym świecie. Bokur zmieszał mi napój nazwany na cześć Wayne'a. Zapiera dech w piersiach i daje kopa. Często widzę twarze z przeszłości w całkowicie odmienionych kształtach. Wyobrażam sobie swoje życie – czarnego dzieciaka z klasy średniej, lewicowego pozera, policjanta, homoseksualisty, fałszywego

czarnego bojówkarza i zabójcy. Żyję w stanie kontemplacji i uwolnienia. 24 lutego 1964 roku i wszystko, co zrobiłem, żeby na tym zyskać, wydaje mi się całkowicie nie na temat.

Czasami myślę o Scottym. Często myślę o Wayne i przede wszystkim o panu Hollym. Kochałem go taką głęboką miłością, jaką darzy się ludzi niezłomnych. Myślę, że świetnie się znamy. Koniec końców nic z tego nie wynikło. Jeśli wziąć pod uwagę, kim jestem ja, kim jest on i kim my jesteśmy, była to więź korzystna i – z mojej strony – zadurzenie. Teraz z niej korzystam.

Pociągają mnie wiejskie rejony Haiti. Zbliżone są do gejowa we wschodnim Hollywood. Uczestniczyłem w wielu ceremoniach voodoo. Widziałem zzombiefikowanych mężczyzn i kobiety. Czasami śledziła mnie grupa mężczyzn, ale nigdy nie czułem zagrożenia. Myślę o Wayne i naszych rozmowach na temat sennego stanu. Chcę być fizycznie unieruchomiony, tak abym nie był w stanie zmobilizować się do świadomej myśli i reakcji. Mam zapas szalenie mocnych ziół i toksyny z rozdymki, które zostawiam na specjalną okazję. Noszę go cały czas przy sobie. Szukam stymulacji, a stymulacja szuka mnie. Chcę być chemicznie przygotowany na spotęgowanie wszelkiego stanu objawienia, w którym się znajduję. Często przypominam sobie swoją pierwszą rozmowę z panem Hollym. Odbędzie się ona w trakcie zamieszek w Chicago latem 1968 roku. Zamknięto mnie w areszcie, padłem ofiarą rasistowskich gliniarzy, a tak się zdarzyło, że sam byłem gliniarzem. Pan Holly zaczynał mnie wabić do OPERACJI BARDZO ZŁY BRAT. Cytował bardzo mądrą kobietę, czyli – jak się później dowiedziałem – swoją lewacką, kwakierską dziewczynę. „Uważaj, czego szukasz, bo to coś szuka ciebie” – tak pan Holly do mnie powiedział. Było to natychmiastowe rozpoznanie mojego bieżącego życia i urzekające proroctwo mojej przyszłości. Wczoraj siedziałem na ławce w Cayes-Jacmel. Pracowałem nad tą właśnie myślą i patrzyłem w stronę Karaibów. Było słonecznie i niezbyt gorąco. Handlarz sprzedał mi granitę wzmocnioną klerinem. Była owocowo-słodką i zostawiała gorzkawy posmacek. Reginald Hazzard podszedł i usiadł obok mnie.

Rozpoznałem w nim tamtego mężczyznę sprzed niemal ośmiu lat. Fotografia Wayne’a okazała się nijakim wizerunkiem sprzed oszpecenia. Oto zaś miałem przed sobą tego samego człowieka, którego ja i mój sąsiad doktor uratowaliśmy od śmierci i od represji policyjnych.

Przywitaliśmy się. Blizny Reginalda są widoczne, przybrały postać różowobiałych plam na ciemnej skórze. Podziękował mi za to, że go uratowałem, i powiedział, że dotarły do niego plotki o policjancie zadającym pytania. Wskazano mu mnie trzy tygodnie temu. Od tego czasu mnie śledził. Od razu wiedział, kim jestem. Długo musiał się zastanawiać, czy aby na pewno nie chcę go skrzywdzić.

Miał butelkę klerinu. Przekazywaliśmy ją sobie. Nie naciskałem go o szczegóły napadu. On nie naciskał mnie o szczegóły policyjnej kariery czy też ostatniego, gwiazdorskiego rozdziału

mojego życia. Wiedział o mnie bardzo dużo. Wyczułem to łatwo i wiedziałem, że będzie nieuprzejmie szukać potwierdzenia czy też wtrącać się w jakikolwiek inny sposób.

Spytałem Reginalda, czy czuje się bezpiecznie w Haiti. Odrzekł, że tak, ale dodał, że bardzo tęskni za swoją matką. Nie wspomniałem o śmierci jego ojca latem 1968 roku ani o udziale Wayne'a Tedrowa w tym wydarzeniu. Nie wspomniałem o Wayne jako bohaterze haitańskiego ludu. Nie wspomniałem o związku Wayne'a z Mary Beth Hazzard ani o tym, że Wayne szukał chłopaka, który tak łatwo znalazł mnie. Wiedział to wszystko, nie wiedział nic, część, większość. Zrozumiałem to i znowu zachowałem się z godnością.

Słońce zawisło nad wodą. Siedzieliśmy w milczeniu o wiele dłużej, niż rozmawialiśmy. Reginald spytał, czy poznałem Joan. Powiedziałem, że owszem. Reginald włożył mi szmaragd do ręki i powiedział, że to ostatni. Podziękowałem mu. Wstał i odszedł.

Rowerem pojechałem w głąb Haiti. Wioski były rozrzucone wzdłuż niskich pasm górskich i pokrytych zaroślami równin. Spadłe gałęzie i ostre kamienie postrzępiły mi opony. Dalej szedłem pieszo. Noc robiła się coraz ciemniejsza. Wyczułem, że śledzi mnie grupa mężczyzn.

Dzięki księżycowi czasami coś widziałem. Zerkalem na krokodyle i poznaczone krwią drzewa. Czułem, że grupa za mną się powiększa. Dotarłem do niewielkiej wioski z bardzo małym hotelikiem. Oświetliły mnie reflektory samochodu. Pomachałem kierowcy. Nosił białą drewnianą maskę.

Połknąłem swój specjalny zapas ziół i wszedłem do wioski. Podbiegł do mnie pies w spiczastej czapeczce i ugryzł mnie. Wszedłem do hotelu i zagadałem po francusku do recepcjonisty. Wynajął mi pokój na piętrze, wychodzący na ulicę.

Jest niski i wąski, ma tylko umywalkę, krzesło i łóżko. Wyłączyłem światła. Ze szmaragdem Reginalda w ręku stanąłem w oknie. Zioła zadziały. Księżyc utworzył pryzmat z zielonego kamienia. Spomiędzy promieni wychodzili ludzie i mówili do mnie zadziwiające rzeczy.

Teraz na dworze tworzy się grupa mężczyzn. Patrzą na mnie. Jest ich trzech. Mają maczety w pochwach. Skrzydlaci właśnie wchodzą do hotelu. Zostawiłem dla nich otwarte drzwi.

Późno się dowiedział. Ogłuszyło go. Oszłomiło.

Tęsknił za nim najbardziej na świecie. Miał w nim przyjaciela. Przyjaciel wyruchał go i uciekł. I tak za nim tęsknił.

Marsha zabito w Haiti. Wiedział, że tam uciekł. Przymusił Policję LA do poszukiwań i po czasie dostał odpowiedź. On sam nie mógł tam pojechać. Nie pozwalał mu na to status białej świni. Ekstradycja nie wchodziła w rachubę. Marsh oddalił się bez zezwolenia, ale był czysty. Gliny z Wydziału Wewnętrznego przeszukały jego dom. Znaleźli listę pedalskich knajp w jego notesie. Przesłuchali Scotty'ego. Ty się z Marshem ściałeś w 1968 – opowiedz nam o tym.

Wygadał, że Marsh był wtyką federalistów. Chłopaki z wewnętrznego chwyciły się tego i przycisnęły Dwighta Holly'ego. Dwight powiedział, że Marsh dobrze się spisał. Chłopaki z wewnętrznego posnuli debilne teorie. Marsh kablował na czarnych bojówkarzy. To mogła być taka opóźniona zemsta.

Scotty to wyśmiał. Haiti – kogo to obchodzi. To taka pedalska imprezka. Nie ujawniajcie jego pedalstwa. Nie kalajcie Policji LA. Nie srajcie na jego ojca staruszka.

Może Marsh zostawił pamiętnik. Ta myśl go ubodła. Przetrzęsnał jego chatę i znalazł schowek w belce pod sufitem. Walił skórą i papierem. Oczywiście – Marsh pamiętnik zabrał ze sobą. Wewnętrzni zdecydowali, że zamykają sprawę. Tak było najlepiej dla wszystkich. Gliniarz ze „Strzelaniny Czarnych Bojówek” jest ciotą. Dostał Medal za Męstwo – no weź tylko pomyśl.

Wiadomości go zabiły. Kilka wcześniejszych tygodni był sparaliżowany i otumaniony. Wysiadywał w swojej norze. Obserwował. Zabrał Ann i dzieciaki do Disneylandu. Cztery swoje dziewczyny zabrał po kolei do Vegas na weekend. Rozdawał kasę po Czarnogrodzie i czekał na odzew. Kim jest Komunistka?

Marsh zawsze był skryty. Razem zrobili kawał straszliwego szajsu. Marsh dał radę. Szanował go za to. On przetrwał to gównu. Marsh umarł. Jebane Haiti – latające stonogi i voodoo. Marsh był potajemnym mistykiem. Czasami gadał o tych bzdurach. Reggie i szmaragdy – kompletna kłapa. Pieniądze to inna sprawa.

Ktoś ostrzegł Marsha. Dopiero co się skończyło cieplakowe spotkanie. Podejrzani: Sal M., Fred O., Podglądacz C., Sal i Fred nie mieli motywu. Zostawał Podglądacz. Całymi tygodniami o tym myślał.

Podglądacz był wszechobecny. Jeździł, podglądał i trzymał gębę na kłódkę. Fred O. sugerował, że on wie różne rzeczy. Widział wiele szajsu i robił wiele szajsu – nie lekcewał tego dzieciaka.

Podglądacz ciągle rozmyślał. On też ostatnio. Rozmyślał w kółko o napadzie. Marsh tam wtedy był. On też. Wiedzieli, co to oznacza i dlaczego muszą to zrobić. Nikt inny nie wiedział.

Odłożył sprawę Podglądacza. Krążył wokół parkingu najmitów i budził strach. Na spotkaniu wszystko poskładało się do kupy i wyglądało tak:

Jack Leahy brał udział w napadzie. Szczegóły nie miały znaczenia. Wszedł do banku z federalami. Wyjął pieniądze.

To będzie niegroźne starcie. Obgada wszystko i uzgodni podział.

Nasycał południową dzielnicę. Pan Scotty siał zielonymi. W zeszłym tygodniu wszystko mu się poskładało do kupy.

Uderzy do Joan Rosen Klein. Ma mocno lewicowy rodowód. Akta policyjne zaginęły. Plotki o napadzie z bronią w ręku. Jest informatorem federalów. Może jest kochanką Wielkiego Dwighta.

Pospisywał wszystko na kartkach. Żuł pastylki miętowe i się martwił. Wydawało się okej. Ona jest czerwona, jest zła. Od 1968 ma jakieś powiązania z czarnymi bojówkami.

To wystarczy, by się zgodziła na spotkanie z łajdackim gliną. Porządek dnia: poszerzony podział kasy.

Wszystkie plany stają się nieważne. Podział kasy jest zasadniczo lewicowy. Podzielmy się skarbem. Nie chcę nikomu robić krzywdy.

On naciska Dwighta. Dwight naciska Jacka i Joan. Suma dolarów się zmniejsza. Ale i tak jest duża.

Tęsknił za Marshem. Nie mógł zapomnieć. Wykonał wielkoduszny gest.

Cieplakowa sprawa umarła. Fred O. zwrócił połowę kasy. Wypisał czek i wysłał go do taty Marsha w Chicago.

Hej, ojczulku. Nasze sprawy trochę się skomplikowały, ale strasznie lubiłem twojego dzieciaka.

Kryjówka.

To świetne określenie. Z nomenklatury świata Joan. On ma własną wariację na temat.

Potrzebował kryjówki. Był głównianym czerwonym. Miał straszliwą wiedzę i zestaw chemiczny. Miał kilka nowych pomysłów. Miał na karku zemstę pravicowego białasa.

Scotty zajechał na parking najmitów i mrugnął do niego okiem. Scotty załatwił swoim osiłkowym synalkom robotę w Taxi Tygrys. Osilek Jeden i Osilek Dwa byli wielkości Scotty'ego. Mrugnęli okiem, uraczyli go uśmiechem.

Dupek, Podglądacz, *pariguayo*. Do tego dodać szpicla. Scotty wiedział, że to on ostrzegł Marsha Bowena. Te mrugnięcia znaczyły, że nie żyjesz – ale jeszcze nie teraz.

Kryjówka.

Wynajął barak w Hollywood Hills. Złożył tam akta, książki, zioła i przyrządy chemiczne. Teraz jest tam bezpiecznie. On bezpieczny nie jest. Czasami kima w Vivian i w swojej mecie w centrum. Śpi w samochodzie. Doraźnie wynajmuje pokoje w motelach. Wykonuje roboty dla Clyde'a i Chicka. Kiedy śledzi ludzi, czuje się bezpiecznie. Kiedy przestaje, nie czuje się bezpiecznie.

Marsh gdzieś pojechał. Całą zimę krążył po Baldwin Hills i widział mnóstwo ruchu inwigilacyjnego. Scotty miał na oku dom Marsha. Dwight miał na oku dom Marsha. Pod koniec stycznia paru gości z Wydziału Wewnętrznego przeszukało dom Marsha. Dwight go ostrzegał: nic nie rób, Dupku. Dwight wiedział większość tego, co on. Dwight mógł go zabić, a mógł go nie zabić. Scotty zabije go na pewno.

Kryjówka.

Odroczona egzekucja.

Nie mógł uciec. LA to LA. Tylko tutaj czuł się bezpiecznie. Tu była jego sprawa. Tu woził ludzi taryfą i tu śledził ludzi. Tu wysadzał pravicowe tablice. Wiedział, jak tu żyć. Nie mógł jechać nigdzie indziej. LA zawsze dawało mu jakiś szajs do roboty.

Gretchen/Celia próbowała wyśledzić zabójcę Tatuaz. Pomagał jej zmarły Leander James Jackson. Znalazł cztery znane kontakty Jacksona. Powiedzieli, że Leander był mocno zaangażowany w tę sprawę. Powiedzieli, że nie prowadził żadnych notatek. Obsesję dzielił z jedną laską, Celią. Kontaktowali się telefonicznie. Sprawa Tatuaz rozpoczynała się od jakichś haitańskich paskudztw.

Kryjówka.

Tu jego rzeczy są bezpieczne. On nie. To zabawne i pojebane. Właśnie skończył dwadzieścia siedem lat. Wygląda o wiele starzej. Ma siwe włosy i komusze piętno na plecach. Nie może rozmawiać z ludźmi, którzy go obchodzą. Więc ich tylko śledzi.

Śledzi Dwighta Holly'ego. Joan chyba go opuściła. Dwight siedzi na mecie nieopodal domu Karen, całymi dniami na leżaku. Pudła i cała reszta zniknęły. Dwight czeka przy telefonie. Co pół godziny podnosi słuchawkę. Przez lornetkę obserwuje dom Karen. Ożywia się na widok jej córeczek.

Dwight się nie rusza. On musi się ruszać. Czasami śledzi Karen. Ona prowadzi go na lunch z Joan.

Śledzenie było łatwe. Mobilność to jego mocna strona. Samochody stanowiły kamuflaż. Nieciekawy wygląd też. Zakładanie podsłuchów było łatwe. Wiedział, jak wiercić i kłaść przewody. Podsłuchiwanie gołym uchem było trudne. Ludzie mogli go zobaczyć i wyczuć zamiary.

Zbliżył się do Joan i Karen. Popijały kawę i paliły jak smoki w knajpie na Hillhurst. Joan powiedziała, że ma pieniądze. To ją zachęcało. Martwiła się. Celia zaginęła w Haiti albo w Dominikanie. Joan zerwała więzi z Dwightem. Dotyczyło to „Operacji”. Od tego słowa Karen się krzywiła. Joan dwa razy powiedziała „kryjówka”. Joan powiedziała, że Dwight nigdy jej nie znajdzie.

Były takimi dobrymi przyjaciółkami. W ich głosach słyszał Nowy Jork. Karen była ruda i nie wyglądała na Greczynkę. Było zimno. Joan miała na sobie sweter. Nie widział jej blizny po nożu.

Udało mu się zrobić zdjęcie. Joan miała czterdzieści pięć lat, cztery miesiące i siedemnaście dni.

Przykleił je do swojej tablicy rozdzielczej. Zawsze był w ruchu. Wszystkie jego zdjęcia są bezpieczne.

Zniknęli.

Joan wzięła swoje podrabiane dokumenty i narzędzia. Jack zwolnił się z Biura. List pożegnalny wywiesił w sali odpraw. Był pełen uszanowania. Dziękował panu Hooverowi i wychwalał jego umiejętności przywódcze. Czeki z moją emeryturą proszę wysłać na skrytkę pocztową gdzieś w Oregonie.

Marsh pojechał do Haiti i tam został zamordowany. Wydział Wewnętrzny Policji LA przesłuchał go w tej sprawie. Nie wspomniał o sierżancie Robercie S. Bennecie. Wychwalał udział sierżanta Bowena w OPERACJI BARDZO ZŁY BRAT. Gliny powiedziały, że Marsh był homoseksualistą. Dwight udawał zdziwionego.

Zniknęli. Ona zniknęła. Opróżniła lokal rezerwowy i zostawiła linię telefoniczną. To nielegalny numer. Tylko ona go zna. Jeśli telefon zadzwoni, to będzie ona.

*Powiedz mi.*

*Powiedz mi, co ten człowiek ci zrobił.*

*Nie, nie powiem.*

Jej nienawiść gasiła żar jego nawrócenia. Jack nie mówił o swojej nienawiści, czegokolwiek ona dotyczyła. Ich gniew przyćmił jego wstyd i poczucie winy. Ich krzywda sięgała głębiej. On nie mógł zabić tego człowieka. Oni wyruszyli zrobić to po swojemu. Nie mogli wykorzystać Marsha. Znajdą nowego kozła ofiarnego albo zrobią to bez podtekstu. On się nie wtrąci. Wiedzieli o tym. Jeśli Joan zadzwoni, powie jej to.

Jeden ostatni raz zakradł się do Marsha. Sprawdził schowek. Pamiętnik zniknął.

Zadzwonił do Boba Relyei i powiedział mu, że akcja odwołana. Zatrzymaj pieniądze i kup sobie nowe prześcieradło. Bob odczuł ulgę. Dwight, to śmierdziało z daleka. Brachu, jeszcze nie wywietrzało. Nie odchodź od telewizora.

Ciągle puszczał sobie powtórki z DC. Pomogło, że Karen tam była. Widział pana Hoovera. Wybaczył Marshowi to, co mu zrobił. Od *nikt nie umrze* nie było ucieczki.

Idzie do biura. Telefon w lokalu rezerwowym nigdy nie dzwoni. Telefon w dziupli też nie. Pan Hoover nie zadzwonił. Nie zadzwonił Nixon. Podglądacz Crutchfield śledzi go i kręci się na zewnątrz. Dzieciak wie wszystko oprócz tego, że już po wszystkim. Synu, nie mam chęci cię zabić.

Wyjechał z Karen na jej urodzinowy weekend. Zatrzymali się w wiejskiej chacie i dużo się kochali. Widziała się z Joan. On o tym wie. Ani razu nie wypowiedziała jej imienia.



Co wieczór puszcza kwartety smyczkowe. On stoi na tarasie i słucha. Ciągle ma czerwoną chorągiewkę Joan. Karen zostawia dla niego światło.

Tacka Sułtana Sama o ósmej rano – dalece surrealistyczna.

Scotty miał klucz. Sambo kablował do BAT i Policji LA. Sambo wyprawiał juble dla odchodzących na emeryturę. Redd Foxx występował za natychmiastowe zwolnienie za kaucją. Redd się zachowywał jak prawdziwy czarny twardziel. W duchu był fanem białych świń.

W knajpie przydałaby się miotła. Na podium leżała kupa gówna. Soulowi Szczęściarze zostawiali cały swój szajs na scenie. Ściany były obite limonowym welurem. Pochłaniały dym papierosowy. Wykładziny były uświnione nieziemsko. Pochłaniały szczochy.

Krótką piłka. Ważne spotkania muszą być zwięzłe. Zimna krew, uścisk ręki i jechane.

Scotty siadł w boksie w głębi. Zapalił papierosa, sztachnął się dwa razy i skipował. Drzwi zostawił otwarte na oścież. Wszedł Dwight Holly. Zaskoczył go mrok. Chwilę stał w progu, aż mu się wzrok przyzwyczaił. Pozbierał się. Zobaczył Scotty'ego i do niego dołączył.

Ich kolana się zetknęły pod stołem. Pokręcili się i odsunęli trochę.

– Dzięki, że przyszedłeś.

– Nie darowałbym sobie.

– To nie potrwa długo.

– Obaj jesteście dobrzy w negocjacjach – powiedział Dwight. – Myślę, że szybko to załatwimy.

Scotty zakręcił popielniczką. Rozsypały się kipy.

– Powiedziałeś pozostałym, tak? Negocjujesz w ich imieniu?

Dwight pokręcił głową.

– My dobijemy targu. Dopilnuję, żeby oni zaakceptowali warunki. Wszyscy wiemy, że to trzeba skończyć. Jeśli będziesz rozsądny, zrobimy to dzisiaj.

Scotty podsunął kapelusz.

– Myślałem, że będziesz mnie podpuszczał na podsłuch.

– Ja myślałem, że mnie obmacasz, czy nie mam broni.

Scotty się roześmiał.

– Strasznie długo trwało, zanim to się wszystko poskładało.

– Nie da się ukryć.

– Powiedz mi tylko, czy nie zwariowałem. Napad zrobił Jack Leahy, Joan Klein i ten spalony kolorowy młodziak. To było szalone polityczne gówno.

Dwight się uśmiechnął.

- W rzeczy samej.
- Odpuszczam ci szmaragdy.
- To miłe z twojej strony – powiedział Dwight.
- Leahy wziął gotówkę.
- Tak.
- Ile?
- Siedem milionów z małym ogonkiem.

Scotty strzelił kłykciami.

- I wszystko wyprane? Nie ma już plam atramentu?

Dwight kiwnął głową.

– Czyste, nieznaczone banknoty. Od piątek po setki. To najładniejsze pieniądze, jakie w życiu widziałeś.

- Chcę połowę.

Dwight pokręcił głową.

- Czterdzieści procent.
- Czterdzieści pięć – powiedział Scotty.
- Stoi – powiedział Dwight.

W pomieszczeniu było drażniaco i toksycznie. Welur się strzepił. Scotty czuł, jak wszystko zaczyna go swędzieć.

- Pogadajmy o Podglądaczu. On tu jest wątkiem pobocznym. Myślę, że dużo o tym wie.

- Na pewno – powiedział Dwight.

– Kręci się przy tym od zawsze. Zna wszystkich graczy. Może nam sprawić dużo kłopotów, a tego nie chcemy.

Dwight kiwnął głową.

- Trzeba go sprzątnąć – powiedział Scotty.

– Nie ma mowy – powiedział Dwight. – Podniosę ci do pięćdziesięciu, ale nie chcę, żeby stała mu się krzywda.

- Zastanówmy się. Pięćdziesiąt procent to hojna propozycja, ale ja obstaję przy swoim.

- Nie ma mowy. Ustąpię ci jeszcze, ale nie dam go zlikwidować.

Na zewnątrz zatrąbił klakson. Dwight trochę drgnął. Był chudy. Na klatce piersiowej miał dziwne wybrzuszenie. Chyba kamizelka kuloodporna.

– Nie możemy sobie pozwolić, żeby się napodglądał i przyszedł z wyciągniętą łapą. A ten mały zjeb nie odpuści.

– Nie – powtórzył Dwight. Drgnął lekko. Koszula mu się napięła. Spod spodu wyłoniła się kamizelka kuloodporna.

- Muszę nalegać. Teraz to może być trudne, ale pewnego dnia mi podziękujesz.

– Nie. Zaczniemy od początku. Podnoszę ci do pięćdziesięciu pięciu i teraz twoja kolej. Mój krok, twój krok, tak to działa.

Zatrąbił klakson. Dwight drgnął. Sięgnął ręką pod stół. Scotty chwycił krawędź stołu. Dwight patrzył na jego ręce. Scotty czytał w jego myślach. Sięga po skosie czy do prawej? Ma kamizelkę czy nie?

Spojrzeni sobie w oczy. I tak już patrzyli. Ich ręce zniknęły.

Dwight wystrzelił. Pocisk zrykoszetował pod stołem. Wybuchło siedzisko. Scotty schylił się nisko. Zobaczył nogi Dwighta i broń w ręce. Wyciągnął dwie niezarejestrowane spluwy. Dwight wystrzelił dwukrotnie. Trafił w słupek i w kamizelkę kuloodporną Scotty’ego. Scottym szarpnęło. Od uderzenia zaczął widzieć podwójnie. Poderwał stół z ziemi. Dwight strzelił. Kula się odbiła i rozorała mu szyję. Stół spadł na niego. Krwawił i strzelał gdzie popadnie. Scotty wyskoczył z boksu i strzelił oburącz. Trafił Dwighta w nogi i w pachwinę. Strzaskał mu rękę, w której trzymał broń.

Dwight strzelił. Odpadł kawał ściany. Dwight nacisnął spust i nie strzelił. Palce nie zadziały. Rewolwer nie zadziałał. Krew zalała bębenek i spust. Scotty doskoczył i wyrwał mu broń z ręki.

Dwight splunął mu krwią na twarz. Scotty podciągnął mu kamizelkę i strzelił w brzuch. Powietrze zrobiło się gęste. Opary kordytu szczypały w oczy.

Scotty wyrównał oddech, stanął pewnie. Oklepał się. Dobra, nie ma obtarć, nie ma ran. Obaj strzelali z rewolwerów. Nie zostaną żadne łuski.

Wyciągnął zwitek banknotów z tygrysią gumką. Wsadził go do kieszeni płaszcza Dwighta. Poklepał się po klatce piersiowej. Znalazł w kamizelce wgniecenie po kuli. Dobra – można iść.

Wyszedł krokiem swobodnym. Tak sobie szedł. Zobaczył skrzynkę i wrzucił do niej kopertę.

Donos. Anonimowy. Napisany w stylu gettowym. Dostanie go Biuro FBI w LA. Dostanie go Jack Leahy. Federalny łotr D.C. Holly. Podzegał i sprzątnął braci Bostitch. Przyjrzą się, nic nie zrobią.

Niskie chmury nad Czarnogrodem. Opary wydobywające się z drzwi. Tęcza na południu.

O Boże, zupełnie jak 24.02.1964.

Biegł twarzą do dołu albo sunął wysoko. Na plecach wyrosły mu nogi i go napędzały. Nie miał pojęcia, jak to możliwe.

Zielone ściany się przewracały. Czerwona warstwa oddzielała od nich jego oczy. Prawe ramię pulsowało. Zielony człowiek przybiegł z butelką i stanął przed nim.

Chyba pojmuję.

Pamiętał, że się czołgał, i chodnik, i starego Murzyna. Zdjęcie w jego kieszeni. Jej numer na odwrocie.

Zielone ściany rozbłyskały białym światłem. Jego nogi zamieniły się w kółka. Czerwona warstwa się rozpuściła i wpuściła twarze. Kolejni zieloni ludzie z butelkami. Nie te twarze, które chciał zobaczyć.

Wiesz, kim jesteś. Tylko ten jeden ostatni raz, proszę.

Zaczął chwytać i mrugać. Wróciła czerwień. Ścierał rzeczy i zrzucał rzeczy. Słyszał, jak się rozbijają. Jego ręce nie ważyły. Bardziej przypominały skrzydła.

Nogi przestały go toczyć. Ktoś stał czerwień. Ktoś chwycił go za rękę i wtłoczył w nie życie. Zobaczył brzegi rzeki wokół Karen.

– To są twoje dzieci, Dwight – powiedziała. – Przysięgam.

Rzeki się zbiegły i zalały ją. Przepchnęła się przez nie i trzymała się blisko. Sięgnął do niej, znalazł i powiedział głośno:

– Kochasz mnie?

Rzeki nadciągnęły, ciemniejące. Zielone ściany zbladły, aż zostały z nich punkciki. Powiedziała „Pomyślę” w chwili, gdy światła zgasły.

Monopolowy u Wuja Gibba – znowu.

Rekordzista z południa. Dwadzieścia dziewięć napadów z bronią w rękę od 1963 roku. Stary Gibb zawsze kręcił głową. „Panie Scotty, nade mną to wisi czarna chmura”.

Donos wpłynął godzinę temu. Dzwoniła uczciwa obywatelka. Kolorowa, usłyszała rozmowę na ulicy. Dwóch niedobrych chłopców ze strzelbami. Panie Scotty, pan musi ich powstrzymać.

Scotty siedział w zaułku. Obok tylnego wejścia. Przyjechał cywilnym wozem. Złapie ich na wejściu.

Sztuczka z listem zadziałała. Śmierci Dwighta Holly’ego nie zgłoszono. Gotówka z banku i Jack Leahy, nikczemne fakty z przeszłości Egzekutora. Zgodnie z planem – Biuro wszystko wyciszyło.

Niedługo dopadnie Joan. Da się ją wyśledzić. Ominie Jacka i uderzy od razu do niej. Ona zrozumie konieczność podziału.

Było mgliście. Na przedniej szybie zbierały się krople. Scotty przekręcił kluczyk i uruchomił wycieraczki.

Podeszła kobieta. Wysoka i ruda. Nie wyglądała, jakby się zgubiła. A do Czarnogrodu nie pasowała.

Opuścił szybę. Obeszła samochód i pochyliła się do niego. Przygotował gadkę, że chyba się zgubiłaś, kotku. Oparła dłoń na drzwiach. Wtedy zajarzył, że coś nie w porządku.

Podniosła mały rewolwer. Sześć razy strzeliła mu w twarz.

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 24.03.1972. Fragment ukrytego dziennika Karen Sifakis.

Poniższy wpis posłuży za moją spowiedź. Nie zamierzam uciekać. Nie zamierzam kłamać, jeśli zostaną mi przedstawione oficjalne zarzuty. Ani myślę przedstawiać osobiste czy polityczne uzasadnienia dla strasznego czynu, który popełniłam. Popełniłam go, ponieważ kochałam Dwighta Holly’ego z całej duszy swojej i dlatego, że druga kobieta, która go kochała, nie mogła tego zrobić. Postanowiłam żyć bez Dwighta i modłę się, by wystarczyło mi na to sił, ze względu na nasze dzieci.

Popełniłam ten czyn w stanie gniewu. Nie przystanęłam, by się pomodlić, nie zdobyłam się na krótką refleksję. Poszłam do małego domku Dwighta i znalazłam w pudle niezarejestrowaną broń. Zabiłam w duchu bezprzykładnej apostazji. Nie zrzekam się odpowiedzialności za ten czyn, nigdy tego nie zrobię. Dwight zrezygnował ze swojej operacji

i darował życie. Moje nieustanne modły o brak przemocy wpłynęły na jego decyzję. Jego niewzruszone potępienie własnych podłych czynów każe mi pogodzić się z ceną, którą zapłacił, by odkupić swoją przeszłość. Ta myśl pozwala mi żyć. Więź, która połączyła naszą trójkę, musi kwitnąć we mnie. Mój czyn stanowił próbę spłacenia długów i utrzymania nas razem, podczas gdy jedno z nas jest niesprawne, a jedno nie żyje. Już widzę napuszoną i zwodniczą twarz tego, co piszę. Nie szkodzi. Nigdy się nie wyrzeknę swojego czynu.

Nie daje mi teraz spokoju ojcostwo Dwighta. Nie będę rozpamiętywać, czy powinnam była powiedzieć mu wcześniej. Wiedział w przebłysku świadomości i będzie wiedział w następnym życiu. W odpowiednim czasie zmienię naszym córkom nazwisko na Holly.

Dwight przejmował się Marshalllem Bowenem bardziej, niż chciał przyznać. Bowen kilka miesięcy temu zginął na Haiti. Zamierzam przetransportować jego ciało do Stanów i pochowam go z Dwightem. Przypilnuję, żeby spoczęli obok jakichś potulnych kóz.

Była w środku. Nigdy nie wychodziła. Obserwował ją od kilku dni.

Wczoraj wieczorem rozmawiał z Clyde'em. Plotki szalały. Dwight Holly nie żył. Jacyś bandyci zastrzelili Scotty'ego. Clyde przeanalizował wszystkie teorie. Były fałszywe. On miał rentgen w oczach. Tylko on wiedział, co to znaczy.

Siedziała w środku. On spał w samochodzie i obserwował okna. Widział ją raz, dwa dni temu. Zajrzała do szafy, w której wcześniej stały pudła. Miała na sobie postrzępione dzinsy i białą koszulę Dwighta.

Zaczął liczyć dni, odkąd zobaczył ją po raz pierwszy. Zatrzymał się na tysiącu. Spojrzał na zdjęcia na desce rozdzielczej i się wzruszył. Pobiegł do drzwi i nacisnął klamkę.

Otworzyły się. Siedziała na podłodze. Twarz miała w plamach i umazaną łzami. Skręcała z włosów kosmyk. Nadgarstki miała pokryte zakrzepłą krwią. Nóż tkwił w ścianie. Obok niego napisała krwią „Nie”.

Niemal stanął na jej okularach. Zmrużyła oczy, żeby go zobaczyć. Podniósł jej okulary i podszedł. Odsunęła się od niego i oparła plecami o ścianę.

Podał jej okulary. Założyła je. Skupiła na nim wzrok pomimo łez.

– Panno Klein, nazywam się Donald Crutchfield. Śledzę panią od bardzo dawna i bardzo bym chciał, żeby pani ze mną porozmawiała.



**CZĘŚĆ VI**  
**TOWARZYSZKA JOAN**

26 MARCA 1972–11 MAJA 1972

## Joan Rosen Klein (Los Angeles, 26.03.1972)

Widziała go już. Ta twarz pojawiała się i znikwała, niewyraźna plama, uporczywa. Sporadycznie. Wydawał się zmiennokształtny. Odchodził i pojawiał się ponownie, zmieniony.

*A więc ci powiem. Oto historia, którą powinnam była opowiedzieć jemu.*

Ogarnęła się i zawinęła w tweedowy płaszcz Dwighta. Przygotowała im herbatę w dzbanku. Nisko przetaczały się chmury. Nadchodziła wiosenna burza.

Zaczęło się od kamieni. „Zielony Ogień”, „Zielona śmierć”. Kolumbia, jakoś tak połowa szesnastego wieku. Hiszpańscy osadnicy podbili Indian Muzo i spustoszyli ich kopalnie szmaragdów. Hiszpanie stali się Kolumbijczykami. Muzo stali się niewolnikami. Ta tradycja trwa do dzisiaj. Kompanie górnicze pustoszą góry Itoco. Nieopodal Bogoty.

Jej żydowscy dziadkowie przybyli z Niemiec do Ameryki. Osiedli w Nowym Jorku. Isidore Klein udał się w podróż do Ameryki Południowej, gdzie zauroczył go mit Zielonego Ognia.

Trochę był mistykiem. W każdym calu był czerwony.

Czerwoni bandyci atakowali kopalnie w dolinie Muzo. Mówili o sobie *quaqueros*. Znaczy to „poszukiwacze skarbów”. Wykopywali tunele w tunelach kopalni i wydobywali kamienie dla siebie. Walczyli z pałkarzami kopalni. Rutynowo rabowali szmaragdy i rutynowo ich łapano, torturowano i zabijano. Band *quaqueros* działało kilkanaście. Niektóre określone politycznie. Isidore Klein kupował szmaragdy wyłącznie od nich. Część swoich ostatecznych zysków przeznaczal dla południowoamerykańskich ugrupowań powstańczych. Sprzedawał szmaragdy w eleganckich salonach jubilerskich w całych Stanach Zjednoczonych. Dorabiał się majątku. Drobne sumy wysyłał spiskowcom anarchistycznym i lewicowym organizacjom robotniczym. Żył w dostatku. Żył skromniej niż inni emigranci robiący karierę. Jego dojście do bogactwa przypominało dojście do władzy pewnego młodego prawnika. Nazywał się John Edgar Hoover. Truteń pracujący w Departamencie Sprawiedliwości. Był błyskotliwy i wyczuwał sposobność w szaleńczo rozwijających się wydarzeniach.

Czerwona Panika, która wybuchła po I wojnie światowej, zapewniła mu miejsce w Historii. Podłożono bombę pod dom prokuratora generalnego. Od tego Hoover zaczął.

Obławy na czerwonych. Prawa obywatelskie zawieszane, uchylone, anulowane, zakazane, zduszone. Pierwsza poprawka ośmieszona. Polityczne obławy, fałszywe oskarżenia, deportacja z byle powodu. Jednocześnie odrodzenie grup nacjonalistycznych i Klanu. John Edgar Hoover dostrzegł potęgę strachu i wykorzystał ją. Ogrom jego władzy rósł.

Isidore Klein miał jednego syna. Na imię dał mu Joseph. Urodził się w 1902 roku. Isidore wychował go na mocno czerwonego. Joseph w 1924 roku poślubił Helen Hershfield Rosen. Helen wychowano na mocno CZERWONĄ. Ich córka Joan urodziła się w Halloween w roku 1926. Rodzice i dziadek wychowali ją na mocno CZERWONĄ.

FBI ostatnio zyskało przywileje. Dawne Biuro Śledcze uznano za chylące się ku upadkowi. Przejął je J. Edgar Hoover. Był geniuszem organizacyjnym i mistrzem PR. Doskonalił swoje techniki w trakcie zwariowanej dekady boomu. Rozumiał metafizyczną wartość Wroga. Wiedział, że czerwoni mogą się przydać w tej roli. Gangsterzy posłużyli za łotrzykowski kamień probierczy wyobraźni społecznej. Brakowało im wszechogarniającej siły czerwonych. Boom przerodził się w Wielki Kryzys. Zmobilizowała się amerykańska lewica. Hoover wyczuł rewolucyjną zmianę i zareagował. Miał smykałkę do publicznych wystąpień. Wygłaszał antykomunistyczne przesłania i ignorował zorganizowaną przestępczość. Uczynił z siebie bohatera narodowego. Rozpętał falę nielegalnej inwigilacji, obserwacji i nieuzasadnionych aresztowań. Isidore Klein to wszystko widział.

Nazwisko Hoover rządziło niepodzielnie. Przypomniał sobie nazwisko wypowiedziane przez brutalnie zaatakowanych towarzyszy w 1918 roku. Zaczął się uczyć Hoovera. Nabrał przekonania, że Hoover jest jego osobistym wrogiem. Działał otwarcie. Wykorzystywał kamienie.

Wykupywał wywrotowców, którzy wpadli w tarapaty. Większe i mniejsze szmaragdowe podarunki otwierały drzwi więzienia. Szmaragdy utrzymywały Josepha, Helen i małą Joan. Obozowali na spotkaniach socjalistów i rozdawali ulotki w kolejkach po chleb. Gościli i żywili lewicowych uciekinierów. Ścierali się z pałkarzami na pikietach i znosili trzy-, czterodniowe areszty. Prowadzili swoją wojnę. Isidore Klein prowadził swoją coraz silniej rozpoznawalną wojnę z J. Edgarem Hooverem.

Za broń służyły mu słowa. Szmaragdy finansowały podziemne publikacje anty-Hooverowskich traktatów. Isidore Klein wydawał traktaty w wysokich nakładach. Pan Hoover zauważył je i rozwścieczony rozpoczął wnikliwą inwigilację. Działalność wydawnicza Isidore'a była notorycznie nękana, a sam Isidore notorycznie trafiał do więzienia. Dzięki szmaragdom wychodził z tego więzienia. Kamienie były świecidełkami, talizmanami, pamiątkami i łapówkami. Szalał wielki kryzys. Mały szmaragd pozwalał gliniarzowi przez miesiąc utrzymać rodzinę. Zielony Ogień był płomieniem magii i rewolucji. Pan Hoover o tym wiedział. Nie zdołał przerwać napływu szmaragdów, a tym samym napływu traktatów. Wierzył, że Isidore Klein przechowuje zapas szmaragdów w swoim domu na Wschodniej

Sześćdziesiątej Trzeciej. Rozkazał oddziałowi nowojorskich agentów przetrząsnąć dom i ukraść kamienie. Był rok 1937. Joan Rosen Klein miała dziesięć lat.

Oddziałem dowodził agent specjalny Thomas D. Leahy. Wdowiec, ojciec szesnastoletniego syna o imieniu Jack. Oddział rozpruł dom Isidore'a. Znaleźli dwadzieścia trzy funty najwyższej jakości szmaragdów Muzo i ukradli je. Isidore wrócił do domu późnym wieczorem. Odkrył kradzież i dostał śmiertelnego ataku serca.

Joseph i Helen Klein zostali pozbawieni środków do życia. Wiedzieli, że to Hoover kierował włamaniem i opowiedzieli Joan wszystkie szczegóły tej historii. Hoover trzymał szmaragdy. Rozdawał niewielkie ilości swoim lizusom w ramach handlu wymiennego. *Quaqueros* znaleźli mniej kontrowersyjnych importerów kamieni szlachetnych. Hoover nagradzał szmaragdami łamistrajków i infiltratorów ugrupowań wywrotowych. Kolekcję kamieni zachował dla siebie.

Śmierć Isidore'a Kleina zdruzgotała Toma Leahy'ego. Pan Hoover go teraz przerażał. Strachowi i odrazie towarzyszyło poczucie winy i obrzydzenie do samego siebie. Coś w jego wnętrzu przeskoczyło w niewłaściwy sposób, albo w sposób właściwy. Zradykalizował się.

Potajemnie pomagał lewakom i ostrzegał ich o zbliżających się atakach federalistów. Działal z wielką ostrożnością i zacierał ślady. Agent Tom stał się umiłowanym sekretem lewicowego podziemia. Usłyszeli o nim Kleinowie. Nikt nie wiedział, że to on dowodził kradzieżą szmaragdów. Hoover wyciszył wszelkie publiczne wzmianki na ten temat. Agent Tom wyznał to Joemu i Helen Klein, jak również ich córce. Joe i Helen mu wybaczyli. Wyrosła z tego głęboka przyjaźń. Agent Tom wziął sobie do serca ich wybaczenie. Dało ono początek natchnieniu. Był utalentowanym prawnikiem i doświadczonym śledczym. Wiedział, jak zdobywać i tworzyć informacje, by posłużyły do sformułowania aktu oskarżenia. Postanowił stworzyć potężną kartotekę na J. Edgara Hoovera i upublicznić ją.

Pytał innych agentów, pupili Hoovera, kolegów i rywali stróżów prawa. Spisywał zeznania świadków Hooverowych zaniedbań i planował demaskację. Kartoteka rozrosła się do kilku tysięcy stron. Zawierała chciwość, małostkowość, pogwałcenie praw obywatelskich na wielką skalę i nadużycie władzy. Joe i Helen Klein zapoznali się z treścią kartoteki. Młoda towarzyszką Joan zapoznała się z treścią kartoteki. Porwało ją to i rozwścieczyło.

Nastała jesień roku 1940. Joan miała czternaście lat. Syn Toma Leahy'ego, Jack, dobiegał dwudziestki. Tom Leahy był czerwonym z odznaką FBI. Wychowywał Jacka tak, by został rewolucyjnym gliną. Pan Hoover miał czterdzieści pięć lat. Miał szmaragdy. Rządził. Miał władzę, której zawsze tak pragnął.

Stworzył legendę. Gazety i radio propagowały ją dla niego. Pomysłowo wykorzystywał swoją epokę. Stworzył opowieść o moralnej niezawodności i własnej dominacji. Była idealnie skrojona na czas Wielkiego Kryzysu i początek II wojny światowej. Umieszczała niewidzialnych obcych jako epidemiczne wszędzie. To gwarantowało FBI i jego przewodnictwo tak długo, jak długo zdoła ową legendę urealniać.

Hoover miał informatorów wszędzie. Dowiedział się o zdradzie Czerwonego Toma i anty-Hooverowych aktach. Dowiedział się, że Leahy wyjeżdża zebrać pisemne zeznania. Leahy przebywał w lewicowym obozowisku w Catskills. Moment był doskonały.

Przekupił oddział nowojorskich policjantów stanowych. Zostali nagrodzeni szmaragdami, bezgotówkowo. Napadli na obozowisko. Kilku mieszkańców stawiało opór. Policjanci otoczyli ich i spalili barak noclegowy dla kobiet.

Joseph i Helen Klein stawili opór. Zostali aresztowani i skatowani w areszcie pod Poughkeepsie. W wyniku odniesionych obrażeń zmarli.

Joan tamten weekend spędzała w domu w Brooklynie. Zalała ją fala gniewu i przerażenia.

Nowojorscy agenci wpadli do mieszkania Toma Leahy'ego. Znaleźli jego archiwum. Hoover je przeczytał i spalił. Informatorzy pomogli mu sfabrykować oskarżenia o działalność wywrotową. Właśnie rozszalała się wojna. Hoover zagrał pewną kartą: „bezpieczeństwo państwa”. Po cichu aresztował Toma Leahy'ego i postawił przed sądem. Tom został skazany przez pospiesznie zwołaną ławę przysięgłych. Skazano go na sześć lat w Sing Sing.

Akta Toma Leahy'ego były obszerne. Były starannie opisane i znakomicie skatalogowane. Tak zrodziło się chorobliwe teczkowe szaleństwo pana Hoovera.

Akta FBI przyrastały o dziesięć ton rocznie. Tom Leahy umarł w więzieniu w roku 1943. Popełnił samobójstwo, wypijając środek do czyszczenia toalet. Nieustannie go bito. Wszyscy bijący go strażnicy nosili sygnety ze szmaragdami.

Syna Toma, Jack, zniknął, żył anonimowo. Chodził do college'u i służył w marynarce wojennej. Wstąpił do Szkoły Prawniczej Notre Dame. Był do szpiku kości CZERWONY, bezgranicznie oddany czerwonej sprawie, jak również niegasnącej zemście. Stworzył cały szlak fałszywych dokumentów, poczynając od metryki urodzenia. Na ojcowskim archiwum uczył się, jak tworzyć fałszywe dokumenty. Przeszedł proces weryfikacyjny w FBI. Przyjęto go do Biura w 1950 roku.

Agent specjalny Jack C. Leahy – bardzo CZERWONY.

W Biurze wykonywał rutynowe zadania. Utrzymywał kontakt z wywrotowymi przyjaciółmi ojca. Potajemnie cenzurował akta towarzyszy i krzyżował szyki FBI. Jack Leahy: za dnia federalny wazelinarz. Jack Leahy: nocą CZERWONY prowokator.

Jack nawiązał kontakt z Joan. Ona tymczasem zeszła do podziemia i stała się przestępcą. Jej pragnienie zemsty przybrało postać chaotyczną. Pozostała niewzruszenie CZERWONA.

Rekrutowała na kampusach college'ów. Z dumą zachowała własne, prawdziwe nazwisko, niemal tak jak Jack. Od czasu do czasu wykorzystywane aliazy zacierały ślady. Poznała Karen Sifakis. Zaczęła się ich głęboka przyjaźń. Określał ją swobodny dialog. Karen orędowna za niestosowaniem przemocy. Joan niemal zawsze była przeciw.

Jakiś łamistrąjk ruszył na nią z bronią. Ona uderzyła go belką. Pojawiła się jej blizna od noża.

Dwóch legionistów zaatakowało ją na koncercie Paula Robesona. Została ciężko pobita. Czekala dziewięć lat. Zastrzeliła obu mężczyzn, kiedy spali.

Uwielbiała emocje towarzyszące napadom z bronią w rękę. Planowała napady, ale sama nie brała w nich udziału. Szanowała swoją kobiecość. Czaiła się czasem w cieniu, rozpalając się do CZERWONOŚCI.

Jack przekazywał jej tajne informacje o przewozie gotówki na wypłaty albo do skarbców bankowych. Całość łupu zawsze przeznaczała na Sprawę. Joan i Jack zostali towarzyszami-kochankami. Łączyła ich rodzinna historia i rodzinna nienawiść. Joan przybierała nazwiska Williamson, Goldenson, Broward i Faust i zawsze wracała do Klein. Jack pozostał federalnym urzędnikiem śledczym pod prawdziwym i całkowicie fikcyjnym nazwiskiem. Jack wyciągnął Joan z więzienia. Jack wykorzystywał kontakty w policji, żeby oczyścić jej kartotekę. Joan obmyśliła dwie roboty w fabryce tkanin w LA – w 1951 i 1953 roku. Wpadła w sieć. Jack ją wyciągnął i zaatakował dokumenty w archiwum. Joan obmyśliła napad w Dayton w Ohio. Jack przekupił głównych śledczych i wyczyścił jej dokumenty.

Joan wędrowała, jeździła po krajach ogarniętych rewolucją. Była to jej zapierająca dech sprawa i krwawa powinność wielkiej wagi. Dialog z Karen Sifakis łagodził jej chęci najstraszliwsze zamiary. Pożądanie sięgnęło szczytu i przyniosło fatalne skutki: 1951, 1956 i 1961. Tylko Karen znała szczegóły. Tylko Karen wiedziała, jaką cenę Joan musiała zapłacić za kontynuowanie swojego szalonego dzieła.

Włączyła heroinę do finansowania lewicowych zamachów stanu. Wznieciła rewoltę w Algierii i na Kubie. Była nieostrożna, lekkomyślna, mściwa i pod wieloma względami ideologicznie niepewna. Śmierć jej wielkiej miłości Dwighta Holly'ego wiele ją nauczyła. Była równie lewicowa, jak prawicowa w swojej nienawiści i z pozoru słusznym rygorze. Powinna była mu to powiedzieć, zanim od niego uciekła.

Wędrowała. Zbliżała się do J. Edgara Hoovera i uciekała od niego. Niemal nieustannie myślała o szmaragdach. Usłyszała plotki i czerpała z podań i przypuszczeń. Korzystała ze zdrowego rozsądku i podążała tropem.

Jack podążał wraz z nią. Wymieniali informacje i oto, do czego doszli:

Hoover po wojnie sprzedał szmaragdy paragwajskim faszystom. Kierowała nim chciwość i polityczna zemsta. *El jefe* ukrywał nazistowskich naukowców poszukiwanych przez Stany. *El jefe* znał błyskotliwych gemologów. Znali się na kamieniach i mieli własne projekty.

Uczyli się o szmaragdach. Dokonali odkryć, dzięki którym opracowali technologię wydobycia szmaragdów metodą drążenia skał. Została ona skutecznie rozwinięta i położyła kres napadom *quaqueros*. *El jefe* obawiał się jawnej zemsty *quaqueros* i nakazał rzeź. Wymordowano wielkie liczby *quaqueros*.

Technologia drążenia skał spowodowała masowe zwolnienia z pracy. Zwiększone zyski służyły do finansowania prawicowych zamachów stanu w Ameryce Południowej i w basenie

Morza Karaibskiego.

Zielony Ogień służył do utrzymania władzy Rafaela Trujilla. Koziół wpadł w obsesję. Musiał bezapelacyjnie posiadać pierwotne kamienie Muzo-Klein. Zafiksował się na ich pochodzeniu. Chciał, żeby ich historia zakończyła się na nim.

Trujillo gromadził dominikańskie pieniądze i grabił haitańską ziemię. Papa Doc Duvalier był finansowany dzięki szmaragdom i chciał kamieni dla siebie. Trujillo i Duvalier darzyli się wzajemną nienawiścią. Trujillo mordował haitańskich uchodźców. Duvalier organizował akcje odwetowe. Dwaj führerowie odkryli swoje wspólne pragnienie. Postanowili sobie zaufać w kwestii nabycia kamieni i w żadnej innej. Joan śledziła los szmaragdów do tego punktu i dalej nie. Na początku roku 1959 pojechała do Dominikany.

Zastała kraj dojrzały do rewolucji. Poznała Celię.

Spiknęła je lewicowa siatka. Celia była zbankrutowaną dziedziczką United Fruits. Była pół Amerykanką, pół Dominikanką, same stare pieniądze. Używała na zmianę nazwiska ojca, Farr, i nazwiska panińskiego matki, Reyes. Gretchen i Celia zamieniały się dowolnie. Joan wołała Celię. Celia była ofiarą rewolucji, lewicowej i prawicowej. Castro znacjonalizował plantacje trzciny cukrowej i doprowadził jej ojca do bankructwa. Koziół w ostatniej grabieży ziemi obrabował jej matkę. Celia była wybitną zawodniczką polo i nadzwyczajnie utalentowaną oszustką. Była wszechstronnie inteligentna i nie do końca błyskotliwa. Joan zastanawiała się nad jej dojrzałością do nawrócenia. Naprowadziła ją na to jedna sprawa.

Szmaragdy. Celia szalała na ich punkcie.

Zostały kochankami i towarzyszkami. Celia była uparta i karna, niezależna i świadomie podporządkowana idei rewolucji. Celia była mistykiem. Joan nie. Celia nurzała się w filozofii Wschodu i jeszcze bardziej nurzała się w voodoo. Celia wierzyła w duchową moc szmaragdów. Joan nie. Pogodziły swoje różnice i udały się na Kubę Castro. Zaczęły snuć plany inwazji 14 czerwca.

Inwazja zakończyła się klęską. Rebeliantka Maria Rodriguez Fontonette zdradziła Sprawę. Członek Tonton Macoute, Laurent-Jean Jacques, pomagał Sprawie. Jacques potajemnie wyemigrował do Ameryki i zmienił nazwisko na Leander James Jackson. Joan i Celia zostały schwytane, uwięzione i wyszły dzięki łapówkom. Joan ukrywała łupy z napadów na bank w sejfie bankowym w LA. Jack Leahy skorzystał z tych pieniędzy i znalazł właściwych urzędników.

Joan i Celia poleciały do Ameryki. Koziół został zamordowany. Juan Bosch i Joaquín Balaguer kolejno zajęli jego miejsce. Byli władcami represyjnymi i o wiele mniej jaskrawymi. Balaguer odziedziczył po Trujillu obsesję na punkcie szmaragdów. Wtedy był rządowym prawnikiem przyglądającym się prezydenturze. Papa Doc pozostał przy władzy i przy swojej szmaragdowej fiksacji.

Znaleźli się. Współpracowali i robili nielegalne interesy. Dowiedzieli się o paragwajskim *el jefe*. Zapłacili mu zaliczkę za szmaragdy Muzo-Klein. *El jefe* był niemal spłukany i w kiepskim stanie zdrowia. Chciał sprzedać. Był grudzień 1963. Los się wtrącił i wszystko spierdolił.

Balaguer miał problemy finansowe. Papa Doc miał problemy finansowe. Brakowało im gotówki, żeby po prostu kupić kamienie. Szukali bogatego Amerykanina, żeby wysłać je do niego.

Z prawicowej poczty pantoflowej zaczerpnęli nazwisko: doktor Fred Hiltz. Siewca nienawiści i wyznawca kultu szmaragdów. Skontaktowali się z nim. Spłacił *el jefe* przelewem bankowym. Kamienie zostały wysłane kurierem do Santo Domingo. Balaguer i Papa Doc spotkali się, *żeby ich tylko dotknąć*. Nie ufali kurierowi, że dostarczy kamienie. Doktor Fred nalegał na transport pojazdem opancerzonym. Wynajęto Haitańczyka, żeby przewiózł kamienie do LA. Był 16.01.1964. Haitańczyk mógł wyjechać dopiero 21.02.1964. Balaguera i Papę Doc'a to opóźnienie bardzo cieszyło. *Dłużej mieli kontakt z kamieniami*.

*NAGLE:*

Bandzior z Tonton Macoute dowiedział się o ładunku. Skontaktował się z dawnym *frère* Tontonem, Leanderem Jamesem Jacksonem. Leander znalazł swoje dawne towarzyszkę, Joan i Celię. Szczęśliwy traf: brat Celi, Richard Farr, pracował w Wells Fargo w LA.

Jack Leahy kierował biurem FBI w Los Angeles. Richard znał trasę przejazdu opancerzonej furgonetki. Richard przewidział, że wraz z kamieniami będzie przewożona gotówka. Jack znał zbyteczne szumowiny, które można by zabić na miejscu napadu. Największą przeszkodą było ukrycie ich tożsamości. Joan znała genialnego młodego chemika, Reginalda Hazzarda. Uczyła go w Szkole Wolności. Miesiąc wcześniej wpłaciła za niego kaucję i wyciągnęła go z aresztu.

Ustalono plan. Reginald przygotował preparat powodujący głębokie oparzenia. Jack skaptował zbytecznego klanowca o nazwisku Claverly i zbytecznego bandziora o nazwisku Wilkinson. Plan był dopracowany w każdym szczególe, ale:

Reginald chciał tam być. Powiedział o tym Joan i Jackowi. Joan i Jack naradzili się i odwodzili go od tego. Reginald nalegał. Myślał, że talent chemiczny czyni go bezcennym i odpornym na oszustwo. Miał rację i jej nie miał. Joan i Jack się spierali. Jack był za tym, żeby odejść od planu, Joan nie. Jack wygrał. Reginald miał wziąć udział i przeżyć. Teraz już plan był dopięty, ale:

Reginald bał się zdrady. Reginald powziął podejrzenia. Towarzysze ufali mu, że przygotowuje związek chemiczny powodujący głębokie oparzenia, ale nie na tyle, żeby tam był. *Był tam tego dnia*. Kierowany impulsem pociągnął za taśmę bankową i odpalił naboje z atramentem. Jack kierowany impulsem go zastrzelił.

Opóźniające palenie środka ostrożności ocaliły mu życie. Kule dum-dum i tak go jednak dosięgły. Związek chemiczny zadziałał niekonsekwentnie. Pastyłki uśmierzające w jego ustach



zmniejszyły obrażenia. Niepalne chemikalia paradoksalnie podsyciły płomienie.

Przeżył więc. Marsh Bowen i lekarz uratowali go. Uciekając, chwycił garść poplamionych atramentem banknotów. I dał je lekarzowi.

Ukrył się we wschodnim Los Angeles. Scotty Bennett dowodził specgrupą. Jack prowadził pomocnicze śledztwo FBI. Relacje prasowe i doniesienia z miejsca zbrodni wstrząsnęły nim. Na miejscu napadu znaleziono dwóch martwych bandytów. Dwóch, nie trzech.

Jack chciał znaleźć Reginalda i zabić go. Joan się nie zgodziła. Kłócili się kilka dni. Wygrała towarzyszka Joan. Znalazła Reginalda. Błagała go o wybaczenie. On jej powiedział, że chce mieszkać w Haiti i studiować chemię ziół. Ona dała mu szmaragdy i namówiła go, by służył Sprawie.

Joan i Jack mieli teraz cztery miliony dolarów. Z czego część poplamiona atramentem. Przez plamy na jakiś czas gotówka nie nadawała się do użytku. Czekali. Jack usłyszał plotkę: podkradnięta kasa z napadu została wyprana przez Bank Powszechny. Powiedział o tym Joan. Ona popytała o Lionela Thorntona. Dowiedziała się, że jest człowiekiem mafii. Dowiedziała się, że walczył o prawa robotników w Detroit około roku 1940. Ustawiła z nim spotkanie.

Spotkanie się powiodło. Instynktownie stworzyli kolektyw. Obie strony darzyły się zaufaniem. Thornton był politycznie zorientowany i egocentryczny. Joan znalazła na niego haki, żeby mieć zabezpieczenie.

Dała mu gotówkę poplamioną i niepoplamioną. Reginald wymyślił preparat, który usuwał ślady atramentu. Thornton miał rozpuszczać gotówkę różnymi drogami. Kapitał rósł w skarbcu bankowym. Thornton miał realizować plan Reginalda dotyczący rozsyłania szmaragdów. Zielone kamienie nawiązywały do Isidore'a Kleina i jego walki. Joan znalazła w tym pozorny spokój. Thornton wykonał swoje zadanie i dotrzymał słowa. Scotty Bennett i Marsh Bowen go zabili. Nie ujawnił nazwiska Jacka ani jej.

Reginald pozostał na Haiti. Cały czas tam był. Dokładne miejsce jego pobytu pozostawało nieznane. Wybaczył Joan i Jackowi. Miał dziewiętnaście lat, był gorliwy, łatwo dało się go prowadzić. Był współsprawcą, równie winnym jak oni. Kupił rewolucję bez mrugnienia okiem i nigdy się nie oglądał na koszty. Teraz Joan trochę to rozumiała. Siedziała w tym od trzydziestu lat.

Echa napadu cichły. Joan żyła zgodnie z duchem lat sześćdziesiątych. Jack został w Biurze. Przekazywał informacje. Cenzurował i prznosił akta towarzyszy. Joan trzymała się z Karen Sifakis. Karen opowiedziała jej o romansie z łajdackim federalnym Dwightem Hollym.

Dwight robił straszliwe rzeczy dla pana Hoovera. Dwight był wrakiem w 1968. Tommy Narduno wyczuł udział FBI w zamachu na Kinga. Tommy kilka dni wcześniej widział w Memphis Dwighta. Joan nie mówiła Karen o domysłach Tommy'ego. Karen powiedziała, że Dwight planuje COINTELPRO. Potrzebował informatora. Joan wiedziała, że to musi być ona.

**BARDZO ZŁY BRAT** wszedł w fazę planowania.

Pojawiła się przypadkowa komplikacja. Jack zadzwonił do Joan zameldować jej o pogłoskach.

Chodziło o doktora Freda. Poskładał do kupy kilka tropów w sprawie napadu, zebranych z akt Clyde'a Dubera. Nie szukał zemsty. Balaguer i Papa Doc oddali mu pieniądze. On chciał tamtych kamieni.

Hiltz zamierzał przekazać swoje tropy o napadzie panu Hooverowi. Był zaufanym TIB i gawędził przez telefon z Hooverem. Joan zadziałała natychmiast.

Wiedziała o pieniądzach w schronie doktora Freda. Leander wiedział o Jomie Clarksonie z plotek wśród czarnych bojówek. Joan skontaktowała się z Jomem przez łącznika i przedstawiła mu plan. Ukraść pieniądze doktora Freda. Nie robić mu krzywdy. Nastraszyć go, żeby milczał w sprawie napadu z lutego '64. On będzie wiedział.

Nie chciała, żeby znowu ktoś ginął. A i tak zginął. Jomo ze swoim kompanem zabili doktora Freda. Kompan uciekł. Jomo go znalazł i zabił.

OPERACJA BARDZO ZŁY BRAT TRWAŁA. Joan stała się informatorem Dwighta i jego kochanką. Wtedy Marsh Bowen spiknął się ze Scottym Bennettem. Joan i Dwight nie wiedzieli, jaki zakres ma ich sojusz.

Marsh i Scotty chcieli pieniędzy i szmaragdów. Zmówili się, zdradzili siebie nawzajem i zginęli za swoją sprawę. Dwight i Joan zgadali się i spiskowali. Ona zdradziła go tylko swoim milczeniem. Przygotowali operację, która miała służyć naprawieniu wszystkich ich krzywd. Dwight się wycofał. Dokumenty ukryła w domu towarzysza. Ona uszanuje decyzję Dwighta i zrezygnuje z ich planu. Brakuje jej chęci.

Celia zaginęła na tej wyspie. La Banda i Tonton wydali na nią wyrok. To efekt jej pracy z Wayne'em Tedrowem. Celia pod pewnymi względami była kompletnie nierozsądna. Maria Fontonette niemal na pewno została zamordowana w LA kilka lat temu. Celia czuła się współwinna. Rzuciła urok na Tatuaz. To było absurdalne. Voodoo to barbarzyński kapitalizm pod przykrywką magii. Celia uważała inaczej. Nieważne. Celia była odważna bez względu na ideologię. Tak działa wiara.

Powinna była opowiedzieć tę historię Dwightowi. Jedna sprawa ciągle ją zadręczała. Ostatnie słowo, które od niej usłyszał, to „Nie”.

Chmury pękły, lunął deszcz. Chłopak wyglądał inaczej. Długość jej opowieści była wprost proporcjonalna do szerokości jego inwigilacji. Ta ciągle pojawiająca się twarz.

*Wiem, że chcesz mnie dotknąć.*

*Więc ci pozwolę.*

Zrozumiał i pochylił się ku niej. Myślała, że będzie niezdarny. On starł suchą krew z jej nadgarstków i całował przedziałek w jej włosach.

*KRZESŁO ELEKTRYCZNE, DŁONIE I STOPY, OKO.*

Spalona skóra, kikuty, odór miotacza ognia. Cinerama i Odorama. Chwila – pies w kapelusiku voodoo i płonąca palma.

Crutch się obudził. Szczekający pies okazał się psem na dworze. Promienie – słońcem o szóstej rano.

Ogarnął się. Znajdował się w mecie nr 3/kryjówka nr 1. Scotty nie żył. On nie musiał się ukrywać.

*Musisz wrócić. Ona cię tu doprowadziła. Drogo za to zapłaciła. Straciła wszystko. Odbiła twoją inwigilacyjną kartę. Przepracowałeś trzy lata i dziewięć miesięcy.*

Crutch zrobił kawę i wypisał listę pytań do Celi. Wiedziała dużo o Tatuaz. Zastanawiał się, czy ciągle ją to obchodzi.

Pomęczył się ze swoim zestawem chemicznym. Historia ciągle się przewijała. Taśma zacinała się w niektórych miejscach.

Operacja. Plan Joan i Dwighta. To mogło być tylko *To*.

Crutch pojechał do Clyde'a Dubera i wszedł do środka. Była 7.10. Mógł popracować na osobności.

Przeczytał akta Clyde'a o napadzie i teczkę Marsha Bowena. Teraz znał historię Joan. Zostawały mu niewspasowane fakty. Kogo to obchodzi?

Podróż pożegnalna. Nie możesz przez resztę życia podglądać i grzebać się w papierach. Masz najebane w głowie.

Crutch wyszedł i przejechał obok parkingu najmitów. Phil Irwin i Bobby Gallard drzemali w swoich brykach. Clyde wydawał jubel ku czci Scotty'ego. Parking miał być przybrany kraciastymi chorągiewkami i oświetlony.

Joan złapała drugi oddech, zanim wyszedł. Powiedziała mu o czarnej liście i o wszystkich ludziach, których zgnoił Hoover. Zapamiętał ich nazwiska. Chciał dotknąć jej blizny i pokazać jej swoją na plecach.

Pojechał na wschód. Zaparkował przed lokalem zapasowym i wszedł po schodkach. Dzwonek nie działał. Załomotał kilka razy, głośno. Zamek był za słaby na wytrych.

Zrobiła gniazdo na podłodze. Marynarki i swetry Dwighta, federalne garnitury Dwighta. Wąchał zapach jej papierosów i wody po goleniu Dwighta. Garnitury były nią poplamione. Sowiec je poląła.

Crutch wyszedł na taras. Lornetka leżała na gzymsie. Wycelował ją w dom Karen. Karen i Joan paliły papiery w grillu. Joan bandażowała sobie nadgarstki.

Dziewczynki bawiły się w berka. Na oparciu krzesła wisiał ręcznik poplamiony krwią. Zrobił ekstremalne zbliżenie. Joan niemal się uśmiechnęła i roześmiała.

Miał POMYSŁ. Żeby nie zapeszyć, nie formułował go w myśli ani słowami. Chemiczny szajs przechowywał na mecie nr 3. Czarownicował całą noc i pracował, aż padł.

Toksyna z rozdyмки i parząca pokrzywa. Wątroby żab drzewnych z lodówki. Sztywne formuły, potpourri i improwizacja. Trzy pyrkające talerze i Hiroshimowe grzyby.

Buduj, redukuje, podsycaj, koryguj, przeliczaj i próbuj raz jeszcze. Jak z Brylcreemem – odrobinka cię odmieni. Zmień formułę i sprowadź ją do wielkości subatomowej.

Zbliżał się. Kropelki przepaliły papier i drewno. Przeliczył i spróbował raz jeszcze. Męczył się z łańcuchami molekularnymi i zmniejszał dawkę. Myślał, że już jest bardzo blisko celu, i pomylił się. Zbliżył się bardziej niż za pierwszym razem i krzyknął „Halt!”, zanim zemdlął.

Wycisnął odrobinę na kawałek sera i zostawił to na tylnej werandzie. Łyknął dwa anielskie pyły i odespał wszystko.

Uspokojenie. Żadnych koszmarów. Żadnych wspomnień ze Strefy Zombie.

Wybudził go ptasi trel. Chwiejnie wyszedł na werandę.

Został ser i zdechłego szczura. Maluteńka szczypta wyluzowała gryzonia na amen.

# 121

(Los Angeles, 28.03.1972)

– Kto zabił Scotty’ego Bennetta?

– Nie powiem ci.

– Pamiętam, jak powiedziałaś to po raz pierwszy.

– W czterdziestym czwartym. Spytałeś, czy spałam z chłopakiem z Sojuszu Młodych Socjalistów.

– A spałaś?

– Nie powiem ci.

Siedzieli w samochodzie Jacka. Elysian Park jeszcze był mokry od deszczu. Tu poznała się z Dwightem. O rzut kamieniem – Akademia Policyjna. Onieśmielający punkt Dwighta.

– Zniszczyłaś archiwum? – spytał Jack.

– Spaliłyśmy je wczoraj z Karen.

– Czytała je?

Joan zapaliła papierosa.

– Nie musiała. Wiedziała, że to nie może być nic innego.

Przetoczył się radiowóz. Joan patrzyła na niego.

– Moglibyśmy ujawnić parę kartek o Bowenie i BARDZO ZŁYM BRACIE – powiedział Jack.

– To by zaszkodziło Dwightowi.

– On nie żyje. Martwi towarzysze służą sprawie z za grobu. Nie opłakiwać! Organizować! Nie mów, że tego nie słyszałaś.

– Wszystko się zmienia.

– Ty i Egzekutor.

– Na niektórych ludzi czeka się całe życie. Tak mi powiedział Wayne Tedrow.

Jack zapalił papierosa. Słońce go oślepiło. Opuścił osłonę.

– Wydział Wewnętrzny węszy w sprawie Scotty’ego. Znaleźli jego akta, a tam wszędzie Bowen. Poniewczasie powiązali Scotty’ego i Bowena ze sprawą Thorntona. Myśmy się tam nie pojawili. Gdybyśmy się pojawili, wiedziałbym.

Joan przetarła okulary połą koszuli. Jack zrobił to samo. Przypomniała sobie pierwszy raz: Brooklyn 1946.

– Mamy siedem milionów dolarów.

– Wiem.

– Tęsknię za Celią. Jestem za bardzo rozpoznawalna, żeby tam wrócić i jej poszukać.

– Wiedziała, czym ryzykuje – powiedział Jack. – Sama jej to wpołaś. Mówiła, że masz jej nie szukać, gdyby coś takiego się wydarzyło. Musisz to uszanować. Tak to działa w naszym świecie.

Joan wyrzuciła papierosa.

– Ty mógłbyś wrócić.

– Ani myślę.

– Dla zasady?

– Tak.

– Wyłącznie dla zasady?

Jack ścisnął jej ramię. Zabolalo. To był porzucający gest kochankowo-towarzyszowy, rok 1946.

– Ty odwołałaś Operację. Nie ja. Ty się roztkliwiłaś. Ty przedłożyłaś osobisty związek nad powinność, a ja nie.

Joan spojrzała za okno. Pomachał jej młody gliniarz. Ona pomachała mu też.

– Dostałem cynk – powiedział Jack.

– Słucham.

– Dwight zorganizował ekipę do brudnej roboty dla Nixona. Moglibyśmy to wykorzystać.

– Nie.

– Dlaczego?

– Nie powiem ci.

Jack się roześmiał. Joan połknęła dwie tabletki bez popitki.

– Powinniśmy mieć ze sobą dziecko.

Jack ścisnął ją za ramię. Delikatnie.

– Pamiętam, jak powiedziałaś to po raz pierwszy.

– Kiedy to było?

– Jesienią pięćdziesiątego czwartego. W telewizji leciały przesłuchania w sprawie Armia-McCarthy.

– Dlaczego w taki sposób wszystko zapamiętujemy?

– Z czystej arogancji. Jesteśmy egocentrykami i myli nam się nasze życie z Historią.

Joan się uśmiechnęła. Jack otworzył aktówkę.

– Mam akta twojego nowego przyjaciela. Leżały na biurku Dwighta. Przygotował je Clyde Duber. Uważał, że dzieciak może się któregoś dnia wychylić.

DONALD LINSOTT CRUTCHFIELD. Urodzony w Los Angeles 2.03.1945. Włosy brązowe, oczy brązowe. Wzrost 1,75, waga 69 kg.

Joan przeczytała je w lokalu rezerwowym. Ciuchowe gniazdo pachniało teraz nią. Coraz mniej czuła Dwighta.

Clyde Duber skorzystał z raportów policyjnych i dopisał swoje notatki. Z tyłu dopięto kopię z akt tajnych współpracowników federalistów. Uporczywa plama nabiera kształtu.

Ojciec uzależniony od gry na wyścigach. Matka odeszła. Chłopiec ma dziesięć lat. W każde Boże Narodzenie przysyła mu kartkę świąteczną i pięć dolarów. Chłopiec śledzi.

Dopisek Clyde'a Dubera:

Zlokalizował Margaret Woodard Crutchfield w maju 1965 roku. Zapiła się na śmierć w Beaumont w Teksasie. Nie mógł złamać dzieciakowi serca. Zorganizował starych kumpli w całym kraju. Podtrzymywali tradycję bożonarodzeniowych przesyłek. Dzięki poszukiwaniom dzieciak miał jakieś nieperwolskie zajęcie.

Był sprawny. „Wojeryści to dobrzy najmici i czasami dobrzy śledczy”. Clyde wyciągnął młodego z kłopotów i dał mu robotę. Dostrzegł jego nieprzejednanie i niewidzialność. Niepokoiły go „dziwaczne skłonności”. Zauważył sprawę dr Fred Hiltz/Gretchen Farr.

*A więc tak to się zaczęło. Tak mnie znalazłeś.*

Celia tamtego lata była Gretchen. W tym wcieleniu była bliska szaleństwa. Oszukiwała facetów, brała prochy i woziła kokainę wynajętymi samolotami. Miała fazę mistyczną. Rewolucja ją nudziła. Śmierć Kinga i RFK spowodowały obrzydliwe wyczyny hipisów. Martwiła się o Tatuaz. Rzuciła na nią urok, a potem ją oduroczyła. Święcie wierzyła, że Tatuaz coś grozi. *Lato 1968. Chłopak cię widzi.*

Duber na maszynie dopisał koniec. Joan sięgnęła po raport z kartoteki tajnych współpracowników. Chłopak znał najmitę Phila Irwina i prawnika od rozwodów Chicka Weissa. Irwin był informatorem FBI. Donosił na niewiernych małżonków, których wcześniej śledził. Jego agent FBI go cytował:

„Tak, przyznaję, mój kumpel Chick i ja lubimy podglądać. Uczyliśmy się od mistrza Crutchy Crutchfielda. Nie ma w Hancock Park ani jednego okna, do którego ten pokręcony świr by nie wetknął kinola. On o tym nie wie, ale my z Chickiem go śledziliśmy i poznawaliśmy jego technikę. Chick powiedział, że powiększamy Partenon Podglądacza, cokolwiek to, kurwa, znaczy”.

Poniżej wymieniono trzy notatki z posterunków policji municypalnej. Santa Monica: Irwin i Weiss przesłuchiwani w sprawie nagabywania, 09.1967. Beverly Hills: Irwin i Weiss przesłuchiwani w sprawie nagabywania, 04.1968. Archiwum Policji LA: 05.1968. Pośrednik nieruchomości Arnold D. Moffett przesłuchiwany w sprawie „pornoprzyjęć”.

Pamiętała to nazwisko. On wynajął dom „Gretchen”.

Policja LA nie wszczęła śledztwa. Pornoprzyjęcia? I co z tego? Pod spodem wypisano mniejszym drukiem kontakty: cztery nazwiska plus Charles Weiss. „Pan Weiss podziela słabość pana Moffetta do dziwnej murzyńskiej sztuki”.

Joan pomyślała o chłopcu. Pokazać mu akta? Może, część.

Znalazła scyzoryk. Wycięła wersy o Margaret Woodard Crutchfield. Nóż doskonale leżał jej w ręce. Dźgnęła nim pałkarza na pikiecie w 1956.



– Scotty ruchał jezozwierza – mówił Redd Foxx. – I mówię wam, matkojebcy, że to była samiczka, więc nie widzę w tym nic zboczonego.

Ła, ha, ha. Tłum umarł ze śmiechu, wzrok zamglony. Jakies czarnuchy zlikwidowały Scotty’ego – no to się nawalmy i popłaczmy.

Parking najmitów. Wczesne lampki świąteczne i kraciaste chorągiewki. Wóda i mnóstwo różnych prochów. Mamy się bawić.

Crutch, Clyde, Buzz, Phil Irwin i Chick Weiss. Milt C. na scenie z Reddem i Narkogorylkiem. Były gubernator Pat Brown i mnóstwo świń. Czternaście Czarnych Panter. Kolorowy bandyta, który przerodził się w telewizyjnego kaznodzieję. Frau Scotty i sześć jego narzeczonych.

– Scotty dopadł moją małpią dupę za napad rabunkowy – mówił Narkogorylek. – Ukradłem sześć ciasteczek, cztery paczki skórek wieprzowych i dziesięć kartonów kooli kingsize. Scotty zobaczył, że mam duszę, i pozwolił mi żyć. Zjedliśmy to całe gównu na miejscu i poszliśmy na dziwki.

Hłe, hłe, hłe – nastrój mamy żałobny, ale to było śmieszne. Frau Scotty podała skręta Narzeczonej nr 4. Narzeczona nr 5 skubała haszową babeczkę.

– Scotty wyruszył na poszukiwania brata o imieniu Cleofis – powiedział Redd Foxx. – Facet napadał i rabował. Obrabiał monopole z obrzynem i ruchał dziwki Scotty’ego czarną pałą zupełnie nieobrzynową.

Narzeczona nr 3 ryknęła śmiechem. Narzeczona nr 2 uściskała Frau Scotty. Phil Irwin podrzucił metakwalon w powietrze. Chick Weiss chwycił go w locie ustami. Pat Brown mrugał oczami „Co ja tu robię?”.

Odgłosy imprezy waliły go w głowę. Cały dzień zapamiętywał i dzwonił. Kryjówki dominikańskie i ofiary Hoovera.

Zapamiętał listę kryjówek CIA. Zapamiętał listę kryjówek z akt Joan. Siadł do telefonu na mecie nr 3 i dzwonił po ludziach.

Bardziej go odbierali jak glinę niż jak towarzysza. Nazwisko Joan zapewniało mu odrobinę zaufania. Mieszana nazwisk z historii Joan i monologi. Przeglądał książki telefoniczne i zdobywał numery. Dzwonił i się spoufalał. Aktualizował i cofał się w czasie. J. Edgar Hoover cię wyruchał – opowiedz mi o tym.

Przekazywali mu plotki. Więzienie, samobójstwo, depresja. Przedwczesna śmierć i napastowanie. Mnóstwo targów zakabłuj-swoich-kumpli – niektórzy się poddali, inni nie.

Ciągle dzwonił. Ludzie gadali i podawali numery. Nabijał sobie rachunek telefoniczny. Zalewały go złe wieści. Federalni czają się pod twoim oknem i pod szkołą twoich dzieci. Wkurzyłeś Geja Edgara, pogawędki, teraz cię mamy.

Dotarło do niego. Napędziło jeszcze bardziej. *Pomysł*. Kolejne samobójstwa. Kolejni zniknięci bliscy. Ból zalewał go i usuwał mu ziemię spod nóg.

Frau Scotty wyszła na scenę i się roztkliwiła. Pantery pojęły, że czas się zmyć. Narkogorylek łąpał okiem na Narzeczone od nr 1 do 6. Strasznie je to ubawiło.

Crutch ruszył do budki. Jeszcze było wcześnie. Mógł podzwonić i jeszcze się napędzić. Poszukał monet w kieszeniach. Zero dziesiątek i piątek. Wyciągnął migoczący szmaragd.

Jego pożegnalny uścisk. Wtedy mu to wsunęła.

*Skarbie, nie musiałaś. Już mnie szczerwieniłaś.*

Tip-Top u Silla było w północnym Vegas. Podróż go umęczyła. Mówiła, że to jej talizmanowe miejsce. Jeśli musisz przyjechać, umówmy się tam.

Była to knajpa na zadupiu, przy bazie Nellis. Na przedpołudniowy tłum składały się jakieś głupki i zagubieni balowicze. Zdażył w ostatniej chwili.

Czekała w boksie w głębi. W knajpie obowiązywała integracja. Pojawiło się minimalne napięcie.

Siadł.

– Zawsze wyglądasz, jakbyś był zdyszany – powiedziała Mary Beth.

Kelnerka naląła mu kawy. Crutch wyłopał ją i sparzył sobie usta.

– Zawsze tu biegnę, żeby ci coś powiedzieć. Ale tym razem uprzedziłem telefonicznie.

Mary Beth napiła się kawy.

– Za każdym razem wyglądasz inaczej. Może to dlatego, że widuję cię z przerwami i zawsze towarzyszy temu wielki stres.

Crutch bawił się filiżanką. Kawa się wylała. Mary Beth ją wytarła.

– Przypominasz mi o Wayne.

– Tak strasznie mi przykro z tego powodu.

– Wayne sam sobie tak pościelił. Cieszyłam się, że przez jakiś czas brałam w tym udział, ale to musiało się tak skończyć.

Jakiś koleś z lotnictwa łypnął na nich złowrogo. Crutch posłał mu spojrzenie twardziela.

– Nie rób tak – powiedziała Mary Beth. – Zobacz, dokąd zaprowadziły Wayne’a takie gesty. Staraj się być roztropniejszy. Lepiej na tym wyjdiesz.

Crutch dopadł skurcz od długiej jazdy. Wyciągnął nogę i kopnął Mary Beth. Zdenerwował się. Ona siedziała spokojnie i czekała, aż minie mu zdenerwowanie.

– Jestem dobry w szukaniu ludzi.

- Już mi to mówiłeś ostatnio.
- Teraz jestem lepszy. Nauczyłem się paru rzeczy.
- Wyglądasz inaczej. Przyznaję.

Kelnerka doniosła im kawy. Mary Beth podwinęła rękawy bluzki. Miała na ręku srebrną bransoletkę ze szmaragdem.

- Syn ci przysłał ten kamień.
- Skąd wiesz?
- Nie powiem ci.

Mary Beth wyjrzała za okno. Crutch podążył wzrokiem za jej spojrzeniem. Przyglądała się tablicy „Wybierz Nixona”.

- Wiem, gdzie jest twój syn.
- Skąd wiesz?
- Nie powiem ci.

Dotknęła jego dłoni.

– Nie poproszę cię o to. Zrobisz, co chcesz, bez względu na moje życzenia. Proszę cię tylko, żebyś nie przypisywał głupot, które robisz, temu, że masz jakiś dług wobec Wayne’a.

Podeszła kelnerka. Crutch się zdenerwował. Mary Beth splotła ich palce. Kelnerka zauważyła to i się zmyła.

Mary Beth nakryła jego dłonie i przytrzymała je na stole. Zobaczył zielone błyski w jej oczach.

- Dlaczego robisz te szalone rzeczy?

Crutch się zastanowił.

- Żeby kobiety mnie kochały – powiedział.

Zielarze mieszkali niedaleko. Urządzili sobie laboratorium w garażu u tego gościa François. Crutch pojawił się z piwem i pizzą. Akurat się gotowało i spłukiwało na całego.

Przerwali, żeby coś wtrząchnąć i łyknąć. Crutch powiedział, że ma *Pomysł*. Chce zwęglić papier bez spalania i płomieni.

Dobra, mały. My pracujemy, ty patrzysz i się uczysz.

Wyjaśnił, na czym polegała robota Wayne’a nad cenzurowanymi aktami, przedstawił własne niepewne efekty. Powiedział, że może przywieźć płyny i proszki, ale tych lamp to już nie. Oni potrajkotali po francusku i kazali mu patrzeć.

Trzy palniki pracowały pełną parą. Stracił rachubę co do proporcji i redukcji. François rzucił na podłogę garażu stosy papieru maszynowego. Pozostali wypełnili płynem butelki ze spryskiwaczem. Crutch wyliczył sześć butelek i stosów papieru. François szedł od jednego stosu do drugiego i spryskiwał je.

Stos nr 1 został nienaruszony. Stos nr 2 zabalgotał i ociekł. Stos nr 3 wybuchł. Dwóch gości zdeptało ogień.

Stos nr 4 zmarszczył się, zaskwierczał i zamienił się w czarną mgiełkę.

# 123

(Los Angeles, 1.04.1972)

Ella tęskniła za Dwightem.

Mówiła to swoim pluszakom. Nie mówiła Karen. Pluszowe aligatory – prezenty od Dwighta.

Joan patrzyła. Ella sadzała aligatory na stole piknikowym i skarżyła się im scenicznym szeptem. Miała trzy latka. Stawała się stoicka i grała dla dorosłych. Niedługo się nauczy, jak rozpuszczać informacje.

Dina wpadła do domu.

– Postanowiłam zniknąć – powiedziała Karen. – Za dużo się tutaj wydarzyło. Zabiorę dziewczynki i po prostu wyjadę.

Joan potarła nadgarstki. Goiły się. Wczoraj wieczorem zdjęła bandaż. Tworzyły się nowe blizny.

– A twój mąż?

– Zostawię mu list. Jest za bardzo egocentryczny, żeby mnie szukać. Przez jakiś czas będzie tęsknił za dziewczynkami i tyle.

– Mogę ci dać trochę pieniędzy – powiedziała Joan. – Nie będziesz musiała uczyć.

– Cieszyłabym się.

Aligatory były wytarte. Surowa Ella przydzielała im zadania. Niewiele mówiła. Słuchała i działała. Była zacięta i ostrożna. Stawała się świadomie kategoryczna.

– Muszę załatwić trochę dokumentów – powiedziała Karen. – Zachowam imię, ale poza tym chcę stworzyć nową tożsamość.

– Jack może wyciągnąć twoje zdjęcia i odciski palców. Twoje nazwisko pojawi się w kontaktach, ale zawsze będziesz miała większe szanse.

Ella chwyciła aligatory i wbiegła do środka. Joan spojrzała w kierunku lokalu rezerwowego.

– Czy cnota uporczywości jest dziedziczna?

Karen wskazała cień Elli. Joan się uśmiechnęła. Odblyski słońca padły na podwórko. Karen zasłoniła oczy.

– Jesteśmy obserwowane.

– Tak, wiem.

– On jest nieszkodliwy?

– Nie jestem pewna. To neofita i stara się być miły.

– Mąż dał mi tę lornetkę. Umarłby, gdyby wiedział, gdzie jest.

– Zostaw mu ją z listem. Będzie dobrym przyciskiem do papieru.  
Światło skręciło gwałtownie. Joan pomachała „Chodź do nas”.

Dziewczynki mu się przyglądały. Ella go sprawdzała. Dina zasłoniła usta i uciekła. Ella się przechadzała i zerknęła przez ramię.

– Kawiarnia na Hillhurst – powiedziała Karen. – Zawsze tam byłeś.

– Śledzę ludzi – powiedział chłopiec. – Zarabiam w ten sposób na życie.

Joan usłyszała krzyk Diny. Karen przeprosiła i poszła do domu. Chłopiec był odpowiedni. Miał małe brązowe oczy i przyprószone siwizną, krótko ostrzyżone włosy. I tę arogancję „w dupę z modą”.

– Nadgarstki ci się leczą.

– Tak.

– Mam nadzieję, że wam się nie narzucam.

– Zarabiasz w ten sposób na życie.

Uśmiechnął się.

– Jestem dobry w szukaniu ludzi.

Joan się uśmiechnęła.

– Już omawialiśmy twoje sprawności.

– Znajdę Celię. Wyciągnę ją i przywiozę.

Karen rugała Dinę. Ich głosy docierały na podwórko. Chłopiec zaniepokoił małą. Złościła się.

– Chyba powinienem iść.

– Nie musisz.

– Przywiozę Reginalda. Mogę też przywieźć Celię.

– Czego chcesz?

– Nie wiem. Ja w ten sposób mówię „Nie powiem ci”.

Poszli do lokalu rezerwowego i rozmawiali do zmierzchu. Chłopak opowiedział o swoim szaleństwie w Dominikanie. Ona wzmocniła swoje kapsułki haitańską herbatą. Zostawili otwarte drzwi na taras, żeby mieć świeże powietrze. Ona mierzyła sobie temperaturę i liczyła dni.

Ustawiła świece. Powiedział, że podoba mu się, jak płomień gra na jej włosach. Odrzuciła włosy. Powiedział, że widzi iskry.

Ich stopy się zetknęły. Spojrzała na niego. Spojrzeniem, które mówiło „Tak, teraz”. Pocałował ją. Delikatnie. Ona pocałowała go mocno. Pocałunkiem, który mówił „Nie bój się”. On rozpiął jej guzik bluzki. Położył dłonie na jej piersiach.

Ściągnęła mu koszulę i zobaczyła bliznę. Zaczął jej opowiadać. Uciszyła go. Jakby mówiła „Wiem”. Wszystko się sprowadzało do Dwighta.

Zdjął jej buty. Ona wyciągnęła się na podłodze. Bluzka jej podjechała do góry. Pasek dzinsów odstawał od brzucha. Przesunął tam ustami. Wygięła się w łuk. Ściągnął jej dzinsy i bieliznę i sam zrzucił buty i spodnie. Jej bluzka miała zapiętą połowę guzików. Odpiął ostatnie trzy. Plecami dotykała zimnej podłogi.

Światło świec i cienie coś ustawiły. Ich głowy zetknęły się w dziwny sposób. Wyliczyła różnicę wieku między nimi. Osiemnaście lat, cztery miesiące, pięć dni.

Położyła się na materacu. Wciąż unosił się tam zapach Dwighta. Chłopiec ukląkł, złapał go skurcz. Rozcierała mu nogi, zmusiła, żeby się wyciągnął i odprężył. On pocałował jej nogi. Otworzyła się przed nim. Rozchylił ją drobnymi potarciami nosem. Spodobało jej się to.

Od zimnego wiatru dostała gęziej skórki. Wtedy się zrobił opiekuńczy. Owinął się wokół niej. *Bądź bezpieczna/Bądź spokojna/Jestem tutaj.* Ona go odchyliła. Jej ręce zatańczyły.

Jej włosy się rozsypały, kiedy go dotykała. Uniósł się, żeby popatrzeć. *Leż spokojnie/nie patrz/jestem.*

Jej ręce poruszały się mocniej i gwałtowniej. Ich głowy znowu się zetknęły. On się odchylił i zamknął oczy. Wydał dźwięk tak bolesny, jakiego jeszcze nigdy nie słyszała.

Światło świeczek się zakołysało. Na ścianach utworzyły się cienie. Otworzył oczy i zobaczył jej profil. Ich głowy znowu się zetknęły. Tego jeszcze nie widzieliśmy.

Próbował położyć się na niej. Nie pozwoliła mu. Usadowiła się na nim. Pozwoliła mu patrzeć i chciała, żeby zamknął oczy. Poruszała się i zabrała ich dokądś. Trwało to jakiś czas. Świeczki się wypaliły do cna.

– *Zdecydowałeś się?*

– *Tak.*

– *W Borojol jest kryjówka. Mały budynek przy sklepiku. Tam możesz się czegoś dowiedzieć.*

– *Zapamiętałem kilka adresów.*

– *Jest taki lekarz, Esteban Sanchez. Prowadzi gabinet. Jest blisko z Celią. On może wiedzieć, gdzie szukać.*

– *Mam kilka pomysłów. Znam tam parę osób.*

– *Są przekupne?*

– *Tak.*

– *Dam ci trochę pieniędzy.*

– *To mnie przeraża. Wiesz, co tam widziałem.*

– *Pojechałeś tego szukać, więc cię to znalazło. Zawsze tak jest.*

– *Celia będzie wiedziała, gdzie jest Reginald?*

– *Pewnie tak. Są towarzyszami.*

– *To mnie przeraża. Samo to miejsce. Przeraża mnie bardziej niż wszystko, co może się tam wydarzyć.*

– *Czego szukałeś?*

- *Wszystkiego.*
- *Co znalazłeś?*
- *Twoje zdjęcie na plaży i bilet powrotny.*
- *Warto było?*
- *Nie musisz się o mnie martwić. Znam cenę.*
- *Nie, nie znasz. Nie możesz zawsze podążać jego tropem, bo pewnego dnia on się urwie.*
- *Nie mów mi tego. Dopiero wyruszam.*



Strefa Zombie, samo sedno. Jeszcze, kurwa, więcej.

Więcej obław na ulicach, więcej toksycznych gryzoni, więcej wywłaszczonych Haitańczyków. Więcej *fascistas* wymachujących pałkami i więcej różnic rasowych.

Więcej upału. Więcej latających insektów. Więcej beznogich czarnuchów na deskach z kółkami. Żadnej kosmetyki z okazji budowy kasyn. Więcej złej mocy i mniej odstępstwa.

Crutch wjechał taksówką do Borojol. Miał czterysta tysięcy i spluwę z tłumikiem. Celnicy go wpuścili. Nie widniał na czerwonej liście. Miał swoje listy w pamięci. Joan zdobyła mu dwa fałszywe paszporty: jeden dla Celi, jeden dla Reggiego.

Zbyt znajome i złe. Wszystko przypomniało mu to, o czym próbował zapomnieć. Minął pole golfowe. Ożyły wszystko widzące oczy. Oto bunkier tortur i krzesło elektryczne.

Skupił się na „New York Timesie”. Durni demokraci i Nixon. Ostatnia gafa J. Edgara. Zamieszanie na ulicy odciągnęło jego uwagę od gazety. Obława glińiarzy na spiskowca rozdającego ulotki.

Spędził z Joan cztery noce. Rozmawiali i kochali się. Wychodził na chwilę, tylko żeby pooddychać. Nie wspomniał o swoim Pomyśle. Nie mógł ryzykować, że usłyszy „Nie”. Nie spał zbyt dużo. Zwijał się wokół niej i wachał jej włosy na poduszce. Ona przykładła jego dłonie do swojej piersi.

Taksówka wjechała do Borojol. Całe Więcej przybrało na sile. Więcej ucisku. Więcej żebraków na desce. Więcej bosych Haitańczyków włóczących się wśród szurzących odchodów i tłuczonego szkła.

Jest i sklepik. Jest i kryjówka.

Crutch zapłacił kierowcy i wysiadł. Kryjówka wyglądała nieszkodliwie. Zapukał i nic. Żadnych kroków, żadnych odgłosów.

Pchnął ramieniem drzwi. Słońce wpadało przez stłuczone okna.

W ścianach dziury po kulach. Na podłodze łuski. Jedna ściana spryskana krwią, podziurawiona śruciną i pokryta czarnymi włosami.

Muchy bzycały nad fartuchem lekarskim, przesiąkniętym czerwienią na krześle.

Nie śpij. To ostatnie spojrzenie. Idź jeszcze popatrzeć na Więcej. Dopadły go lewicowe zasady. Joan większość swoich towarzyszy znała tylko z imion. Doktora Sancheza nie było w książce telefonicznej. To oznaczało jeżdżenie i podglądanie.

Crutch wynajął gruchota i krążył pomiędzy kryjówkami z listy. Zapamiętał czternaście adresów. Zaczął od Gazcue i zmierzał na zachód.

Pierwsze trzy mety były puste. Bezskutecznie załomotał do drzwi i włamał się. Zobaczył wymowne ślady po sprzątanu. Poczł amoniak i lekką woń krwi. Przebiegł światłem latarki i zobaczył łuski, które umknęły sprzątaczo.

Santo Domingo nocą: 27 stopni i ciągle uciskane przez faszystów.

Objechał. Zgubił się w szczegółach. Zobaczył trzy kobiety, które kiedyś podglądał.

W Rio Ozama czarne dzieciaki jadły resztki wywalone z łodzi. Dotarł do dawnych niedoszłych kasyn z dzikimi lokatorami i budami.

Pojechał pod kolejne cztery adresy. Dwóch domów nie było. Porozmawiał z głupkami ulicznymi. Jeden powiedział, że La Banda je spaliła.

Zrobił pętlę. Pojechał pod kolejne siedem adresów. Na początek dwie porządne rodziny. Dopiero co tu wynajęliśmy. Nie znamy żadnej Celi, żadnych czerwonych.

Podjechał pod ostatnie pięć adresów. Trafił na jedno pogorzeliisko i cztery wysprzątania. Pijacek powiedział, że gnoje z La Bandy to jebani podpalacze. Zobaczył dziurki po śrucie i czerwie na skrawkach mięsa. Zobaczył zestrzeloną afro peruczkę.

Zrodził mu się kolejny Pomysł.

– *Hola, pariguayo* – powiedział Ivar Smith.

– W życiu nie sądziłem, że jeszcze zobaczymy twoją podglądaczą dupę – dodał Terry Brundage.

Bar w El Embajador. Ósma rano. Krwawe mary z łodygami selera. Obaj się postarzel. Obaj wyglądali na przedwcześnie zdemenciałych.

Crutch sprzątnął stół. Brundage doprawił sobie drinka tabasco. Smith wskazał aktówkę.

– *Qué es esto?*

– Czterysta tysięcy – powiedział Crutch.

– O kurwa – powiedział Brundage. – On znowu pracuje dla Chłopców.

– Jakby Wayne Tedrow i Ekpa Tygrysa to było za mało – powiedział Smith.

– Tego nam właśnie trzeba – powiedział Brundage. – Znowu problemy z mafią i komusze sabotaże.

– Wayne zniszczył moje wyobrazenie o mormonach – powiedział Smith. – Zawsze uważałem, że to porządni, prawicowi biali ludzie.

Brundage zjadł łodygę selera.

– Nie cierpię jebanych makaroniarzy.

Smith zjadł łodygę selera.

– Nie cierpię jebanych lewicowych konwertytów ze znajomością chemii.

Crutch pokazał im zdjęcia: Reggie i Celia Reyes.

– Kim jest ta chiquita? – spytał Brundage. – Oczy ma ładne.

– Bambo wygląda jak Chubby Checker. *Let's do the Twist*.

Crutch sięgnął do aktówki i rzucił im po dziesięć tysięcy. Smith się zakrztusił i niemal parsknął. Brundage upuścił swoją łodygę selera.

– To komuniści – powiedział Crutch. – To pewne jak amen w pacierzu. Chcę ich zabrać do Stanów.

Brundage powachlował się swoim plikiem.

– Dlaczego?

– Nie powiem wam.

Smith powachlował się swoim plikiem.

– Zapomnijmy na chwilę o motywach. Ile kasy możemy zatrzymać?

Crutch poklepał aktówkę.

– Całą. Zapłacicie każdemu, komu trzeba zapłacić, a reszta dla was.

– Weź mi to wytłumacz – poprosił Brundage. – Nie mówię nie, ale chcę wiedzieć.

– Ja nie mam żadnych tropów. Wy macie akta, informatorów i ludzi. To obława. Znajdziecie ich albo znajdziecie komunistów, którzy wiedzą, gdzie ich szukać.

Brundage posolił sobie drinka.

– Aresztowania.

Smith popieprzył sobie drinka.

– Przesłuchania. Wprowadzamy La Bandę.

– Mogą być w Haiti – powiedział Crutch.

Brundage wznosił oczy do nieba.

– To oznacza Tonton.

Smith wznosił oczy do nieba.

– Zło, prymitywy ruchające kurczaki, a tani nie są.

Brundage schrupał selera.

– Papa Doc będzie chciał kawałek.

Smith schrupał selera.

– I Krasnoludek.

Crutch powachlował się plikiem.

– To dużo pieniędzy.

– W moich żyłach płynie żydowska krew – powiedział Brundage. – Zrobimy to za pięćset.

– I ja jakoś żydzieję – powiedział Smith. – Pięćset brzmi realnie.

Crutch pokręcił głową.

– Czteryście tysięcy i koniec.

Brundage westchnął i spojrzał na Smitha. Smith posolił sobie drinka i westchnął też.

– Może być gorąco. Zadajesz się z zatwardziałymi wywrotowcami.

Crutch postukał w zdjęcia.

– Nie obchodzi mnie to, o ile nie stanie im się krzywda.

Nie spał. Sen go przerażał. Koszmary nocne przyćmiewały szajs, który szalał na jawie. Zdobył deksedrynę z szybkiej apteki. Podsycił się granitą z klerinem.

Smith i Brundage przetrząsnęli akta i stworzyli listę nazwisk. Ruszył podział kasy. Papa Doc i Krasnoludek zgarnęli zielone. Każdy dostał po stówie. Smith i Brundage po pięćdziesiąt. Reszta poszła na koszty operacyjne i pałkarzy. La Banda i Tontoni dostarczyli wyciskaczy.

Lotne brygady: Dominikana i Haiti. Więzienia nad rzeką. Wariograf, pentotal, przyduszenie. Twardzi chłopcy z książkami telefonicznymi i pałkami.

Planowanie potrwało trzy dni. Punkt dowodzenia znajdował się w biurze Smitha. Crutch nie spał i siedział na miejscu. Brundage i Smith przeglądali listy kontaktów. Celię znaleźli w dziewiętnastu miejscach, a Reggiego w żadnym. To ograniczyło im cele. Smith powiedział, żeby się nie rozwlekać. Areszt, przesłuchanie, nacisk, uwolnienie. Brundage się nie zgodził. Wszyscy czerwoni się znają. Stwórzmy wielkie zbiorowisko donoszenia.

Spór się rozszerzał. Crutch trzymał stronę Brundage'a. Więcej to lepiej. Smith twierdził, że mniej oznacza więcej kombinacji. Nie róbmy tłoku w więzieniach. Niech się te świry nie tłoczą i nie zmawiają. Pozbądźmy się na początek wszy, które nie znają Celi ani Reggiego. Zaproponujemy kasę za kablowanie. Ograniczmy przesłuchania do prawdopodobnych podejrzanych.

Uzgodnili trzydzieści cztery nazwiska. Dwadzieścia trzy osoby mieszkały w Dominikanie, jedenaście w Haiti. Mieli cztery oddziały La Bandy z samochodami patrolowymi. Mieli trzy oddziały Tontonów z samochodami patrolowymi. Więzienia znajdowały się w głębi lądu, nad Dajabónem. Mostki umożliwiały pieszy dostęp. Plaine du Massacre roiła się od krokodyli. Żywiły się gnoje wyrzucanymi śmieciami i zbłąkanymi Haitańczykami na odlocie.

Uruchomiono wariografy. Przygotowano pentotal. Śledczy stanęli w gotowości. Z więzieniami i samochodami patrolowymi mieli łączność radiową. System działał pierwszorzędnie.

Smith szefował. Crutch dołączył do niego w dominikańskim więzieniu. Krokodyle wylegiwały się na brzegu rzeki. Fajne były. Crutch patrzył na nie przez okno.

Czas: dokładnie 7.00.

Smith połączył się z wozami. Wozy odpowiedziały po angielsku i francusku. Do ścian poprzypinali zdjęcia: w sumie trzydziestu czterech towarzyszy.

Crutch zeszłej nocy czytał ich akta. Większość to dzieciaki w jego wieku. Wyglądali jak dzieci. On nie. On miał siwe włosy i szok pourazowy. Jeden niedzieciakowy wyjątek: Esteban Sanchez, lekarz medycyny. Wyglądał na wprawionego w boju. Joan mówiła o nim „doświadczony bojownik Czerwonej Brygady”.

Meldunki: mamy ich, mamy ich, mamy ich. Smith obsługiwał radio. Crutch słyszał trzaski i piski. Jedni czerwoni stawiali opór, inni nie. Wchodzimy.

Crutch wyszedł na zewnątrz i czekał na mostku. Na dole wygrzewały się i pływały krokodyle. Rzucił im garść wołowych skórek. Wyskoczyły po nie z wody. Błysnęły ich zęby. Pyski skierowały się w stronę mostku.

Joan.

Teraz każda myśl. Przebijała się przez jego sprawę i jego pomysł.

Podnosi ramiona. On ją tam całuje. Ona mówi „Jesteś chorobliwie wytrzymały i uparty”. Truje o tym bez końca. Mówi o genie wytrwałości. On pyta ją, co to znaczy. Ona mówi „Nie powiem ci”.

Minęły godziny. Crutch został w strefie Joan. Jadł deksedrynę. Patrzył na krokodyle. Słyszał rozmowy przez radio. Tak, mamy czerwonych – ale Reggiego ani Celi nie.

Pokazał się oddział wozów. Zapowiedział ich hałas tłumika. Świst – napór z dwóch stron – na obu brzegach. Wydawali się zsynchronizowani. Crutch miał widok na oba brzegi.

Po prawej – Tontoni i czarne komuchy. Po lewej – La Banda i czerwoni czarni i brązowi. Crutch stał na mostku i policzył. Dominikana: wszystkich osiemnastu. Haiti: dziewięciu z trzynastu. Zero Reginalda Hazzarda, zero Celi Reyes.

Towarzysze byli skuci. Crutch doliczył się dwudziestu czterech mężczyzn i trzech kobiet. Pałkarze ich pchali i pędzili. Niektórzy się potykali. Drobne śmignięcia pałki pomagały im podjąć wędrówkę.

Weszli do więzień. Widok na dwie strony.

W oknach nic się nie pokazało. Crutch stał na mostku i karmił krokodyle. Był brudny i zmęczony. Przed oczami skakały mu plamki. Nie spał od wylotu z LA.

Krokodyl podskoczył bardzo wysoko. Crutch wyciągnął rękę i podrapał go po nosie. W więzieniu dominikańskim ktoś krzyknął, blisko. W więzieniu haitańskim ktoś krzyknął, słabo.

Trwało to dziesięć sekund. Krokodyle kłębiły się pod mostkiem. *Nakarm mnie tym gównem.*

Crutch wszystko przyciszył. Krokodyle się rozproszyły. Czas się rozproszył. Łyknął więcej deksedryny, zrobił się brudniejszy, widział więcej plamek. Joan zdejmuje okulary i przeciera oczy. On całuje jej ramiona. Ściąga jej buty. Ona się śmieje i opiera. On upada na tyłek.

W więzieniu dominikańskim ktoś krzyknął. W więzieniu haitańskim krzyczały dwie osoby, słabo. Trwało to pół minuty i ustało.

Crutch znowu przyciszył. Poczuł swędzenie na ramionach. Miał porażenie słoneczne. Zobaczył plamki. Czuł, że spodnie na nim wiszą. Plamki zaczęły wyglądać jak robaki.

W więzieniu dominikańskim ktoś krzyknął. Trwało to i nie ustawało. Silniej wywołał Joan. Dotykała ubrań Dwighta i płakała. Powiedział, że się o nią zatroszczy. „Nie możesz” – odparła.

W więzieniu dominikańskim krzyknęła kobieta. Krzyk trwał i nie ustawał. Crutch zatkał uszy. Nie pomogło. Odwrócił się i oddalił. Jeszcze gorzej. Uszy go bolały. Plamki utworzyły

siatkę i wszystko przeformułowały. Krzyki przybrały na sile. Odwrócił się i ruszył biegiem.

Drzwi wejściowe były otwarte. W środku dzieciaki przykute do rur i ławek. Dźwięk dochodził z jakiegoś pomieszczenia w głębi korytarza.

Crutch pobiegł. Plamki stały się postaciami. Zbił z nóg Tontona i La Bandę ze staniem. Wpadł do korytarzyka. Po obu stronach zobaczył pokoje przesłuchania za lustrem fenickim. Dzieciaki opierały się przed badaniem na wariografie. Pałkarze przykuli je do oparcia krzesła. Pałkarze wymachiwali książkami telefonicznymi i pałkami.

Kobieta krzyknęła głośnie. Crutch namierzył dźwięk i wpadł w drzwi. Była przykuta do krzesła. Ramiona miała zakrwawione. Tonton napierdalał ją pałką z drutem kolczastym.

Zobaczyła go i krzyknęła głośnie. Tonton się odsunął. Och, nie, nie, chłopczyku, to moje.

Crutch założył mu krawat. Trzasnęły kości. Crutch zasunął mu z łokcia w nos i złamał go. Tonton chwycił się za gardło wstrząsany drgawkami. Kobieta krzyczała. Crutch ściągnął koszulę i pokazał jej swoją bliznę.

Do pomieszczenia wpadł Smith. Tonton rzygał kawałkami kości i krwią. Crutch zobaczył plamki. Kobieta patrzyła na jego bliznę. Przysunął do niej głowę. Powiedziała coś po hiszpańsku. Wydawało mu się, że słyszy „Celia” i „Port-au...”.

Wieźli go dwaj Tontoni. Brundage i Smith pyskowali wkurzeni. Jesteś nadgorliwy. Zbyt emocjonalnie reagujesz. Dzięki za kasę.

Jechali voodoobryką. Impala rocznik 1963, przerobiona i obniżona. Flagi sekty Bizango. Łyse opony i chromowane kołpaki. Na desce rozdzielczej zdjęcia psów w spiczastych czapczkach.

Crutch siadł z tyłu. Te plamki ciągle wirowały. Pobił swój rekord niespania. Tontonom się spodobał. Oprawca napierdalał żonę kierowcy. To być zła moc. Ty sprawiedliwy biały chłopiec.

W bryce była klima. Przez przyciemniane szyby nie dostawało się do środka to całe *pauvre* gównem z zewnątrz. Małe wioski i wielki znaki sławiące Papę Doca. Wszechobecne poznaczone krwią drzewa i zęby w kapeluszach z kurzymi łbami.

Ludzie rozplýwali się w plamki i vice versa. Tontoni mówili trochę po angielsku, trochę po francusku. Na obławie każdy zarobił po stówie. La Banda walczy z jakimiś czerwonymi w Santo Domingo.

Port-au-Prince było nadmorską Pipidówką. Skaliste plaże, gipsowane kostki i niszczone budynki stare jak świat. Bryka zatrzymała się pod limonową chatą stojącą na słupach. Crutch pożegnał się i chwiejnie wszedł po schodkach.

Zapukał. Drzwi się otworzyły. Celia Reyes oparła się o framugę. Powiedziała: „Widziałam cię już kiedyś”, a on powiedział: „Wszyscy mnie już kiedyś widzieli”. Plamki się zespoły i wszystko zgasło.

Porucznik Maggie Woodard, USNR.

Zimą nosiła granat, latem khaki. Na naszywce z nazwiskiem widniało WOODARD. Nigdy nie wyszła za Crutchę seniora. Piła za dużo i wkurwiała się albo robiła się wylewna. Po wojnie została w rezerwie.

Chodziła w mundurze w weekendy. Patrzył na nią od progu. Piła whisky i puszczała Brahmsa na skrzypiącym gramofonie. Paliła jak smok. Z lewej stopy zwisał brązowy but mundurowy. Z prawej stopy zwisał czarny but mundurowy. Zauważyła, że on się czai, i się roześmiała. Nakarmiła go wisienką maraschino ze swojej szklanki.

Błądła i się rozpraszała. Z ciemności wyłaniają się plamki.

*Jesteśmy w Ensenadzie. Ty masz zapalenie ucha. Nie mogę znieść twojego bólu. Wpadam do apteki i daję ci prochy.*

*Jesteśmy w LA. Twój ojciec rozpuszcza nasze pieniądze. My zebrzemy o puste butelki i szalejemy u Wielkiego Boba.*

Jesteśmy w San Diego. Twój ojciec jest wszędzie. Ty się szwendasz, jak zawsze. Wracasz niespodziewanie. Przyłapujesz mnie z kochankiem w hotelu El Cortez.

Zawsze mi się przyglądasz. Tego dnia odeszłam. Stoisz przy oknie i czekasz. Nigdy cię nie widziałam, ale wiem.

– Rozebrałaś mnie.

– Majaczyłeś. Gadałeś bez sensu.

– Ile dni byłem nieprzytomny?

– Dwa.

– Jezu. Wszystko wygląda inaczej.

– I może jest inne.

Szlafrok był za duży. Stracił z dziesięć kilo. Ona przygotowała wielkie śniadanie. Zapach go odrzucał. W kuchni było ciasno. Wszystkiego było za dużo. Ze stojących na stole naczyń unosiły się dziwne zapachy.

– Joan cię przysłała – powiedziała Celia.

– Skąd wiesz?

– Widziałam jej zdjęcie w twoich rzeczach.

– Co jeszcze znalazłaś?

– Medalik ze Świętym Krzysztofem. Automatyczną czterdziestkę piątkę i listę skrupulatnie przygotowanych pytań.

Crutch się skoncentrował. Minęły cztery lata. Z Hollywood do Haiti. Nic się nie zmieniała. Wszystko inne tak.

– Mam nadzieję, że zechcesz na nie odpowiedzieć.

Celia napiła się kawy.

– Chyba się tak nie przejmuję jak ty.

– Nie rozumiem.

Uśmiechnęła się.

– Mówię, że się zmieniłam. Moje przekonania okrzepły. Nie jestem tą nierozważną i mściwą osobą, tak zdecydowaną zemścić się na Tatuaz.

Crutch się zatoczył. Pomieszczenie się skurczyło. Poczul, że w kuchni jest gorąco, i zaczął się pocić.

– Byłbym wdzięczny, gdybyś mi powiedziała, co wiesz i co pamiętasz.

Celia posmarowała masłem tosta. Miała na sobie koszulę do kolan. Włosy spięła ciasno klamerką.

– Tatuaz była kapłanką voodoo. Jej wiara była o wiele silniejsza niż moja teraz. Była szalona i ja byłam szalona, a ja próbowałam manipulować człowiekiem, który pracował dla Howarda Hughesa. Chciałam sprawdzić te budowy kasyn w moim kraju. Myślałyśmy z Joan, że damy radę wykorzystać to dla Sprawy.

Crutch nalał sobie kawy.

– Znam tę część. Wiem, że rzuciłaś na Tatuaz urok i że chciałaś go cofnąć. Chcę poznać szczegóły tamtego la...

– Byłam szalona. Ona była szalona. Angażowałyśmy się w wielkie sprawy. Rzuciłam na nią urok, bo wtedy wierzyłam w takie rzeczy. Tamtego lata się pogodziłyśmy. To był groźny czas na świecie. Chciałam zranić Tatuaz i uratować ją jednocześnie. Ona robiła filmy pornograficzne z motywem voodoo. Pewien sprośny pośrednik nieruchomości ustawiał ich pokazy mniej więcej w czasie, kiedy Tatuaz zniknęła. Wszystko się połączyło. Pośrednik znał człowieka, który pracował dla Howarda Hughesa. Wszystko wydawało się mistyczne. Joan mi dogadzała i pozwoliła mi wynająć dom od tego człowieka. Tatuaz melinowała nieopodal. Joan jej powiedziała o tej melinie. Bardzo długo stała pusta. Przed laty Joan i kilku towarzyszy miało tam kryjówkę.

Zbieżność, same zbieżności. Arnie Moffett, Dom Grozy, notatki ze spotkania czerwonych. Pętla czasu: od 1968 do 6.12.1962.

– Pośrednik nazywał się Arnold Moffett.

– Tak, jakoś tak. Miał jakieś powiązania z Karaibami. Wydaje mi się, że robił import-eksport z Haiti.

I znowu zbieżność: Arnie Moffett w 1968: na moich metach kręca filmy porno.

– Znałaś Sala Minea. Poprosiłaś, żeby umówił Tatuaz z facetami ze świata filmu. On już wcześniej cię polecał. Chciałaś zdjąć urok. Tatuaz odbyła karę...

Celia klasnęła w dłonie. On był cały spocony i nakręcony. Pozwolił, żeby go zakotwiczyła.

– Ona to wtedy nazwała fantazjami. Ja teraz tak mówię. *Tatuaz była szalona, ja byłam szalona. Byłyśmy szalone tak jak ty teraz.* Tatuaz pogodziła się z ludźmi z czternastego



czerwca i wyświadczała Joan przysługi. Joan powiedziała: „Kochanie, zostaw te głupoty. Jej bardziej się przyda, jeśli odpuścisz”.

Crutch rozłożył ręce.

– I odpuściłaś? I mówisz mi, że to wszystko?

Celia kiwnęła głową.

– Właśnie tak. Tatuaz zniknęła, a ja miałam silne poczucie, że ona została tamtego lata zabita. I nadal je mam, chociaż nie wiem, czy to ma znaczenie. Miałam je później tamtego roku, rozmawiałam o tym z przyjacielem...

– Z Leanderem Jamesem Jacksonem, który...

– Który teraz też nie żyje. On rozpytywał o Tatuaz. On rozmawiał z Pośrednikiem i niczego się nie dowiedział.

Crutch roztarł sobie nogi. Czuł bezwład w kończynach. Mózg znowu przewijał, zatrzymywał, puszczał od nowa i podsycał.

– Mówisz, że to wszystko?

– Tak.

– Mówisz, że nie pamiętasz, z kim umawiałaś Tatuaz?

– Tak.

– Mówisz, że nie brałaś udziału w projekcjach?

– Tak. Mam kopię filmu, ale nigdy z Leanderem nie rozpoznaliśmy pozostałych aktorów.

– Mówisz, że Jackson przycisnął Arniego Moffetta na temat projekcji i nic z niego nie wycisnął, a ty sobie to wszystko odpuściłaś.

Celia dotknęła jego ramienia.

– Ty jesteś sprytny i uporczywy, bo inaczej byś mnie nie znalazł. Jeśli chcesz uradować Joan tak bardzo, jak sądzę, to znajdziesz lepszy sposób, żeby przysłużyć się Sprawie.

Znowu przewijanie, podsycanie, stop/start, chlupot/charkot/koniec.

– Wiesz, gdzie jest Reginald Hazzard?

– Wiem. Mieszka dwa kilometry stąd.

Crutch się roześmiał.

– Tak po prostu?

Wzięła serwetkę i wytarła mu twarz. Pot wpływał mu do oczu.

– Zawiozę cię do Joan.

– Nie, nie zawieziesz. Napiszę do niej.

Pudło z filmem było ciężkie. Na wierzchu przyklejono kopertę. Na odwrocie napisano C.R./J.K.

Postanowił się przejść i przemyśleć wszystko. Nie pomogło. Czuł się, jakby wypadł z szyn, a nie wrócił na nie. Miał znowu trop na Arniego Moffetta. Wciąż miał Ten Pomysł.

Zadzwoił od Celi do Ivara Smitha. Zaplanowali podróż. Z Tontonami do Santo Domingo. Stamtąd do LA. Zadzwoić do Vegas i modlić się, żeby to wszystko wyszło.

Palce miał pocięte papierem. Tak się czasami robiło od czytania akt. Czuł szczypanie. Umysł tylko dał znak, że boli.

Bryza morska i wilgoć. Przyprawy w powietrzu. Czarni ludzie mówiący po francusku.

Wrzucił paszport Celi do śmieci. Zwinął banana ze straganu i zjadł go. Dzieciaki słuchały przenośnego radia. Wspomnienie: Archie Bell and the Drells, *The Tighten Up*.

Jest chez Reggiego. Jaskrawa karaibska zieleń.

Drzwi były otwarte. Rozwieszony rozdarty ekran. Crutch sięgnął przez dziurę i zwinął go.

Laboratorium i archiwum. Butelki i teczki. Podręczniki do chemii, zlewki, palniki i garnki. Jakies zmyślne rysunki cząsteczek.

Palce go bolały. Rozejrzał się po półkach i zdał się na wyczucie. *Ocimum basilicum*. Czemu nie?

Zanurzył w butelce palce lewej dłoni. Zamrowiły i przestały szczytać. Wyciągnął je. Nacięcia zniknęły, kiedy skóra się ściągnęła.

– Wierzysz w haitańską chemię?

Odwrócił się. Zero Chubby Checkera. Reggie wyglądał jak Harry Belafonte z białymi plamami i wąsami à la Fu Manchu.

– Wierzę we wszystko – powiedział Crutch.

Dopał go sen i zmógł. Chciał to wszystko zobaczyć jeszcze raz i pożegnać się z Wayne'em. Miał zanik pamięci i papierosowy oddech.

Wyczuł lotnisko. Paliwo samolotowe i spalona guma. I od razu usłyszał śpiew.

*Muerto, La Banda, ataki, en español.*

Otworzył oczy. Zobaczył dzieciaki z plakatami w czarnych ramkach. Na zdjęciu widniał sniady mężczyzna. ESTEBAN JORGE SANCHEZ 1929–1972.

Znowu zamknął oczy.

– Nie zasypiaj – powiedział Reggie. – Jesteśmy na miejscu.

Krasnoludek zawiózł ich pierwszą klasą. Reggie był wysoki. Spodobało mu się miejsce na nogi. Crutch cały czas próbował przywołać Joan, a widział Estebana Sancheza.

Reggie należał do milczków. Wszystko emanowało skończonym dziełem. Nie czepiał się, nie pytał, nie protestował. Reggie, kretyński geniusz z mroczną przeszłością.

Crutch nie zasnął. Widmo koszmaru sennego ożywiało go i trzymało na nogach. Reggie czytał książki chemiczne i się przejadał. Jego blizny wyglądały egzotycznie. Stewardesie się spodobał. Reggie, społecznie zaniedbany, anielski mędrzec.

Crutch nagle odpłynął. Warkot silnika samolotu przeniósł go gdzieś. Oszołomiło go. Sen go dopadł i zmorzył.

– Proszę pana, jesteśmy na miejscu.

Stewardesa go potrąciła. Wszyscy z pierwszej klasy już wysiedli. Reggiego nie było. *Nie, nie, jeszcze nie... Boże, błagam...*

Wyskoczył. Chwycił swoją torbę i przepychał się między ludźmi. Płaszcz mu się rozwiął. Ludzie zobaczyli jego pistolet i wpadli w panikę. Zbiegł po trapie. Rozepchnął jakichś hipisowskich głupków i zakonnice. Przebiegł po pasie. Zobaczył Reggiego i Mary Beth w uścisku.

Dzieciak płakał. Mary Beth tuliła jego głowę. Podniosła wzrok i zobaczyła Crutcha. Chwilę patrzyła na niego oczami o zielonych plamkach, a potem odeszła z synem.

# 125

(Los Angeles, 13.04.1972)

Joan tworzyła tożsamości.

Pracowała przy biurku Dwighta. Klein i Sifakis były teraz verboten. Za dużo się wydarzyło. Nadużyła już Williamson, Goldenson, Broward i Faust.

Potrzebowały metryk. Forest Lawn przysłał jej listę wolnych. Lista zawierała nazwiska, daty urodzenia i daty zgonów. Kartkowała ją. Zmarli byli wymienieni w porządku alfabetycznym. Potrzebowały dwóch kobiet. Urodzonych w latach dwudziestych, jedna z mniejszości etnicznej, jedna nie. Ona była Żydówką i na Żydówkę wyglądała. Karen była Greczynką i na Greczynkę nie wyglądała.

Przeglądała kolumny. Nazwisk w odpowiednim wieku znajdowała niewiele. Potrzebowały samotnych kobiet. Niewielka rodzina albo wcale. To wymagało dokładniejszych poszukiwań. Czyli: prawo jazdy, numer ubezpieczenia, podłożone akta w urzędach.

Nazwiska ją znudziły. Napiała się herbaty i zapaliła papierosa. Swędziały ją blizny na nadgarstkach. Rozejrzała się po lokalu rezerwowym.

Koperta przy drzwiach. Drogi papier. Ledwie wsunęła się w szczelinę.

Wstała i poszła po nią. Zobaczyła inicjały na odwrocie. Rozcięła krawędź i przeczytała liścik.

*Mi Amor,*

*me quedo. Por la Causa. Con respeto al regalo que eres tú.*

Pocałowała kartkę pod jej podpisem. Usta zostawiły jasnoczerwony odcisk.

Do dzieła.

Clyde'a i Buzza nie było. Crutch korzystał z projektora w pokoju odpraw. Założył szpule, wyłączył światła i rozciągnął ekran. Wyśrodkował strumień światła i wcisnął Start.

Film barwny, ziarnisty obraz. Pomanipulował pokrętłami. Teraz lepiej – wyraźny obraz.

Ściemnienie. Panorama. Salon. W kadrze pojawia się okno. Na zewnątrz jest jasno. Pokój jest niewielki i tanio umeblowany. To nie jest Dom Grozy.

To samo ujęcie: salon, zbliżenie. W kadrze pojawia się pięć osób. Trzy kobiety, dwóch mężczyzn. Wszyscy są nadzy i pomalowani. Symbole voodoo, od stóp do głów. Dwaj mężczyźni są czarni. Dwie kobiety są białe. Wszyscy noszą drewniane maski. Ostatnia kobieta nie ma maski, ma natomiast mnóstwo tatuaży. To Maria Rodriguez Fontonette.

Crutch siadł okrakiem na krześle. Kamera przejechała przez salon. Znowu pojawia się okno. Widać ulicę. To Beachwood Canyon. W pobliżu Domu Grozy.

Kamera wraca na środek. Aktorzy połykają brązowe kapsułki. Haitańskie zioła, jasne. Cięcie. Zbliżenie. Maria. Tatuaz na jej ramieniu. Niedługo później cięcie rozdzieli ten rysunek. Miała piękne ręce. Zostały odcięte. Poruszała się z wdziękiem. Zabójca wciął się jej do środka. Te wszystkie sprężyste ruchy, już po nich.

Crutch patrzył. Czuł, jak wszystko się składa. Lato 1968. Tatuaz mieszka w Domu Grozy. Tatuaz tam umiera. Meliny do wynajęcia Arniego Moffetta. Jedną wynajmują Joan i Celia. Pokazy w domu do wynajęcia. Wszystko poskładane. Na samym początku był blisko, a potem już nigdy. Ostrzegawcze kliknięcie: coś przeoczyłeś.

Cięcie. Teraz jesteśmy w sypialni. Niepościelone łóżko wodne, kołysze się. Aktorzy się kłębią. Rozmawiają z kimś poza kadrem. Ich usta poruszają się bezgłośnie.

Crutch wpatrywał się w Tatuaz. Jest piękna, jest żywa. W 1959 zdradziła 14 czerwca, a potem się pogodziła. „To był szalony czas”. Tak powiedziała Celia. Nie mógł powiązać Sprawy z tym pierdolonym kliknięciem. Przeszkadzało mu.

Mężczyźni zadrżeli i zadygotali. Padli na łóżko. Ich plecy wygięły się w łuk. Nogi się wyprostowały w spazmie. Mikstura zadziałała. Byli we wczesnej fazie zombiefikacji. Zerwali maski i łapczywie chwyтали powietrze. Pocili się, a z potem spływała z ich ciał voodoo farba.

Tatuaz ich wytarła. Delikatnymi ruchami, na pokaz. Dwie białe dziewczyny patrzyły, drżąc. Poruszały się jak lalki na sznurkach. Weszły na łóżko i pobudziły mężczyzn do wzwołu. Wszyscy zaczęli się prężyć i rzucać. Wszyscy mieli coś na kształt grand mal. Mężczyźni

bardziej. Ich ruchy zwolniły. Białe dziewczyny siadły na nich okrakiem i wsadziły sobie. Kamera zrobiła zbliżenie wkładania.

Różne zioła. Kobiety się wykręcały w szybkim tempie. Przyszpiliły mężczyzn. Ich biodra i ramiona poruszały się w kontrapunkcie. Głowy zataczały szalone kręgi. Zbliżenie na mężczyzn. Oczy mieli otwarte i martwe. Tatuaz delikatnie wytarła kobiety. One wykręcały się teraz szybciej.

Tatuaz wyszła z kadru i wróciła. Trzymała pogrzebacz w kształcie penisa. Końcówka fiuta się zarzyła. Była rozpalona niemal do białości. Tatuaz dotknęła dywanu, a ten się zapalił. Kobiety się rzucały i otworzyły usta. Wsadzała im do ust główkę fiuta. Ssały ją i nie okazywały bólu. Odsunęły się i dotknęły główką obudowania łóżka. Tkanina zasyczała i spaliła się do cna.

Mężczyźni byli zzombiefikowani. Kobiety ich voodoozerznęły. Tatuaz chwyciła płonącego fiuta i przejechała nim po ścianie, wypalając jakiś wzór. Crutch skumał. Znał te znaki. Tatuaz narysowała je w Domu Grozy. Tatuaz wypaliła je na ścianie pornosowego planu.

Zatrzasnęły się chwytaki. Ekran zrobił się biały. Film się skończył właśnie w tym momencie.

Zbieżność, powiązanie. Tekst Clyde'a: to ty wszystko wiesz i ty wszystko łączysz.

Ostrzegawcze kliknięcie: coś umyka. Nie wiesz, kto zabił Tatuaz. Nie wiesz, kto to wszystko posklejał.

Crutch jechał Beachwood Canyon. Wszystko było blisko siebie. Oto Dom Grozy. Oto dom wynajęty przez Joan i Celię. Oto pozostałe mety Arniego Moffetta. Twoje wspomnienia sprzed pięciu lat ciągle żywe.

Jeździł bocznymi ulicami. Skalował widok z okna pornosu. Jest, idealnie ten sam. Te same palmy i podjazd po drugiej stronie ulicy. Szyld „Nieruchomości Moffetta”.

Nadal wszystko blisko. Tu kamyczek, tam kamyczek. Od kogo lub od czego to się zaczęło i kto to posklejał?

Celia powiedziała, że Arnie Moffett prowadził firmę import-eksport. Klik – wracamy.

*Zbieżność. To ty wszystko wiesz...*

Crutch pojechał do centrum. Zajechał pod Biuro Ewidencji. Dostęp do archiwum kosztował go piątaka i mrugnięcie okiem.

Urzędniczka go rozpoznała. Import-eksport z kiedy? Pudła w pokoju nr 12.

W pomieszczeniu śmierdziało stęchłym papierem. Pudła oznaczono według lat. Żadnych dodatkowych porządków. Prawdziwe papierowe wykopaliska.

Zaczął od roku 1966 i jechał wstecz. Dotarł do 1963.

Arnie prowadził biznes dla ubogich. „Wyspiarska egzotyka Arniego”, spółka z ograniczoną odpowiedzialnością. Perełki, smaczki, powiązanie. Import z Jamajki, Haiti, Dominikany. Już bliżej. Skąd ten klik węz-to-połącz?

To samo biuro. Te same delikatesy obok. „Dom Żydowskiego Bohatera”.

Przyniósł flaszkę Jima Beama. Arnie był moczymordą. Wóda wtedy złagodziła lanie. Może i teraz poskutkuje.

Crutch wszedł. Dzwonek zadzwonił. Arnie siedział przy tym samym biurku. Dzisiaj miał zieloną koszulę. Dłubał w nosie i czytał „Car Craft”.

Crutch zajął krzesło dla klientów. Arnie go zignorował. Crutch postawił butelkę na podkładce.

Arnie zerknął na nią.

– Lato sześćdziesiąt osiem – powiedział Crutch. – Co ci pierwsze przychodzi na myśl?

Spojrzenie na flaszkę. Rozważa, zastanawia się, analizuje. Ahaaaa, kuma.

– Pierwszy przychodzi mi na myśl cały ten polityczny pierdolnik. A drugi ty.

Crutch odkręcił butelkę i podał Arniemu. Arnie złopnął.

– Trzecie to, że wyglądasz o wiele starzej. Czwarte to, że już nie prowadzisz tej wojny. Co się tyczy moich domów, Gretchen Farr, Farlana Browna i Howarda Hughesa, to usłyszałeś wszystko, co wiem.

– Leander James Jackson.

Arnie złopnął ponownie.

– Że co?

– Ten drugi koleś, który przyszedł do ciebie rozpytywać. Tamta kobieta, Tatuaz, twój pornos, dom, który wynająłeś do pokazów.

Arnie wydłubał kożę z nosa.

– Mówimy o jakichś zupełnie różnych sprawach. Gdzie one się łączą, nie mam pojęcia. Ty miałeś sprawę Gretchie, on Tatuaz. On nie żyje, tak swoją drogą. Zginął w „Strzelaninie Czarnych Bojówek”. I swoją drogą, nic przed tobą nie zataiłem. Mówiłem, że wynająłem metę na plan pornosa, ale ty mnie nie pytałeś o Tatuaz.

Zbieżność, rozbieżność. Na razie Arnie wydawał się okej. Gównu czai się gdzieś w pobliżu.

– Opowiedz mi o Tatuaz.

– A co tu gadać? Znałem kogoś, kto znał kogoś, kto ją znał. Słyszałem, że się stacza. Zwiedziła się, że prowadzę import z jej zasranego kraju. Chciała zrobić zasrany voodoosprośny film, potrzebowała miejsca na zdjęcia. Gadaliśmy przez telefon. Dałem jej parę namiarów. Same perwole z listy moich dawnych klientów od importu. Zadzwoniła do nich i na tym się zakończyła nasza krótka i wątpliwie zyskowna znajomość.

Crutch przetarł oczy.

– Byłeś tam przy kręceniu filmu?

– Nie.

– Poznałeś ekipę? Albo innych aktorów?

– Nie.

– Widziałeś film?

– Nie. Porno to nie moja bajka. Ja lubię te rzeczy w łóżku, na prawdziwo. Nie jestem taki wyrywny w te klocki. Dziesięć minut rozkoszy i wracam przed telewizor.

Crutch podrapał się po karku. Ciągle nic.

– Kto chodził na pokazy? Daj mi jakieś nazwiska.

Arnie przyssał się do flaszki.

– Nie wiem. Wysłałem tej Tatuaz kopię swojej listy.

– Tamtego lata ją zamordowano. Co ty na to?

Arnie wykonał gest sugerujący walenie konia.

– Nic ja na to. Ten Haitańczyk myślał, że ona nie żyje, więc powiem ci to samo, co powiedziałem jemu. Zginął Bobby K. i ten cały macher od praw obywatelskich, więc w ogóle mi wisi, co się stało z jakąś przyjezdną cipą.

Crutch widział czerwień. Tak samo jak wtedy. Nie. Nie rób tego.

– Gdzie jest ta cholerna lista?

Arnie wycisnął sobie pryszczka na szyi.

– Jak gdzieś jest w ogóle, to w garażu. Klucz wisi na gwoździu w kiblu. Miłej zabawy, tylko nie wracaj znowu z tym szajsem za cztery lata.

Pył, pleśń, pajęczyny, myszy. Puszki z benzyną, zużyte baterie, pęknięty silnik. Roczniki „Car Craft” od 1952. Czterdzieści podróbek baseballówek z podpisem Sandy’ego Koufafa.

Garaż Arniego Moffetta, Mar Vista.

Kradzione bloczki recept. Zdjęcie Marlona Brando z kutasem w ustach. Dwie śrutówki, dwie zepsute kosiarki, jakieś resztki kociego szkieletu.

Crutch pracował. Grzebał w szuczonym gównie, żeby się dostać do stosu kartonów. Dotarł do pierwszego rzędu. Oto dorobek Arniego w wersji rozszerzonej. Sprzedawał francuskie zegarki, różańce, sztuczne fiuty. Sprzedawał podróbki pamiątek futbolowych. Prowadził fanklub Debry Paget. Sprzedaż wysyłkową laleczek JFK i Jackie K. Rozprowadzał poppery po homobarach. Miał pośrednictwo pracy dla meksowych pomocników kuchennych.

Jest – Wyspiarska ezgotyka Arniego.

Otworzył pudło. Wychylił się stos faktur. Wywalił pudło na podłogę. Jest! „Klienci 1959–1963”.

Cztery spięte kartki. Od chuja nazwisk.

Crutch przeglądał w porządku alfabetycznym. Nazwiska i adresy nic mu nie mówiły. Dotarł do ostatniej strony. Przejrzał od T do Z. Zamarł:

Weiss, Charles, 1482 North Roxbury, Beverly Hills.

Chick: prawnik od rozwodów. Chick: kompan najmitów. Chick: najlepszy kumpel Phila Irwina. Phil: wynajęty i wywalony przez doktora Freda Hiltza – znajdź mi Gretchen Farr. Chick – ćpun i czarnoжебca.



I...

No jest...

KLIK.

Biuro Chicka. Plan zasadzki. Trójfiutny posążek. Murzynka z rozchylonymi nogami. Import – całe to voodooogówno.

Potrzebował niezarejestrowanej broni. Rezerwowy lokal był blisko. Może Dwight coś zostawił.

Zmierzchało. Jechał na północny wschód. Po drodze minął dom Karen. Widok przez okno: Karen i Joan w salonie. Dziewczynki chyba rozrabiały.

W lokalu rezerwowym się świeciło. Wyjął klucz spod wycieraczki i wszedł. Teczka stała na biurku. Joan zostawiła mu liścik.

D.C.

Mój przyjaciel to znalazł. Federalni mają na Ciebie teczkę. Pomyślałam, że może chciałbyś ją zobaczyć.

J.K.

DONALD LINSOTT CRUTCHFIELD

Raporty zebrane przez Clyde'a Dubera. Akapity ocenzone nożem. Ocena Clyde'a: „Wojeryści to dobrzy najmici”. Dzieciak pracował nad sprawą Farr. Za mocno się przejmował.

Raport TIB: Phil Irwin, szpicel federalistów.

„Mój kumpel Chick i ja lubimy podglądać. Uczyliśmy się od mistrza Crutcha Crutchfielda. Nie ma w Hancock Park ani jednego okna, do którego ten pokręcony świr by nie wetknął kinola. On o tym nie wie, ale my z Chuckiem go śledziliśmy i poznawaliśmy jego technikę”.

Pod spodem raporty policyjne: Phil i Chick zgarnięci za nagabywanie. Kontakt Arnie Moffett przesłuchiwany w sprawie „pornoimpresz”. Arnie podziela zamyślenie Chicka do dziwnej murzyńskiej sztuki.

Widział czerwień. Nie mógł oddychać. Napił się wody z kranu i wykaszał ją. Odzyskał oddech.

Dwight zostawił w szafie kosz prezentowy. Crutch znalazł pistolet, kajdanki i rolkę taśmy.

Phil mieszkał w samochodzie. Większość nocy spędzał w swojej tygrysiej taksówce. Zwykle parkował na parkingu najmitów, z dala od ulicy.

Crutch podjechał. Stacja była zamknięta. Tygrysowa limuzyna parkowała obok szopy na narzędzia. Phil spał sobie na tylnym siedzeniu. Ręce wystawił przez okno.

Chrapanie. Oddech cuchnący gorzałą. Głowa Phila oparta o drzwi.

Crutch zaparkował i podszedł. Phil spał. Crutch otworzył kajdanki i zamknął jedną obrączkę na lewym nadgarstku Phila. Phil ujadął przez sen. Crutch przypiął drugą obrączkę do drzwi.

Phil skrzywił się i zachrapał.

Crutch gwałtownie otworzył drzwi. Kajdanki wyszarpaneły Phila z siedzenia. Obudził się. Padł na kolana. Nie skumał. Nie mogę się ruszać. Mam ręce nad głową i boli.

Wrzasnął. Zamrugął i zobaczył Crutch'a.

– Hej, Pod... – powiedział.

Crutch kopnął go w jaja. Phil puścił pawia inkrustowanego orzeszkami. Próbował stanąć i trochę zwolnić łańcuch. Crutch znowu kopnął go w jaja. Phil znowu padł na kolana.

Krzyknął. Kajdanki mu się wrzynały. Krew pociekła po ręce.

– Lato sześćdziesiąt osiem – powiedział Crutch. – Pierwszy pracowałeś nad Gretchen Farr, ja po tobie. Ty się uchląłeś, a ja przejąłem sprawę.

Phil próbował usiąść. Łańcuch kajdanek pociągnął go mocniej. Phil próbował stanąć. Crutch kopnął go w jaja. Phil padł na kolana, z większą siłą.

Wrzasnął, zakaszłał, porzygał się. Opuścił głowę na pierś i dyszał.

– Ty i Weiss – powiedział Crutch. – Podglądanie, Arnie Moffett, film voodoo.

Phil kiwał głową. Crutch go spoliczkował. Phil próbował go ugryźć w rękę. Crutch wyciągnął spluwę i przystawił mu ją na poziomie oczu.

– Włączę radio. Nikt nie usłyszy strzału. Pracujesz dla Taxi Tygrys. Cały jesteś z Czarnogrodu. Ruchasz połowę czarnych lasek na południe od Washington Boulevard. Ile czasu policja poświęci na twoje zejście?

Phil wziął kilka oddechów. Phil zawiercił się na kolanach. Strzelał oczami na boki. Krew spływała mu po ręce i wsiąkała w koszulę.

– No więc lubimy podglądać. Ty lubisz, ja lubię, Chick lubi. Znałem tego Arniego. Chick kupował od niego bibeloty i pierdoły. Arnie miał takie imprezowe mety i puszczał w nich filmy. Chick zobaczył taki świrowy film i zwariował na punkcie jednej laski, która tam występowała. Dowiedział się, że ona mieszka w jakimś pustym domu w okolicy, i pewnie ją podglądał.

– I tyle?

– A chcesz więcej?

– Tak.

– Dobra, proszę bardzo. Podejrzeliśmy, że ty podglądasz, więc uczyliśmy się od mistrza. Na cokolwiek się wkurzasz, sam jesteś winien.

Crutch wyciągnął taśmę. Phil piszczał i rzucał głową. Crutch chwycił go za włosy i zawinął szczelnie. Zostawił dziurki od nosa. Zakleił mu całą głowę, usta, uszy. Podniósł go z ziemi i wrzucił na tylne siedzenie. Kajdanki werznąły się głęboko. Pokazała się kość. Zakrył go tygrysim pokrowcem.

Haszowy dym. Idź tym tropem. Samochodu żony nie ma. Dotarł nad basen.

Na tylnym podwórku było ciemno. Na powierzchni basenu migotały odbłaski.

Rozmiar olimpijski. Na dnie wiły się piękne akty. Picasso po LSD.

Chick siedział po głębokiej stronie. Kołysał się w fotelu i palcem u nogi odpychał się od trampoliny. Dym zgęstniał. Chick miał fajkę z siteczkiem.

Crutch przysunął sobie krzesło. Chick skupił na nim wzrok.

– Powinieneś najpierw zadzwonić. Clyde to wie.

– A Phil najpierw dzwoni?

– Phil to inna sprawa. To też Clyde wie.

Crutch obrócił krzesło i siadł na nim okrakiem. Haszowy dym wypalał mu oczy. Chick pachniał wodą kolońską Hai Karate.

Woda w basenie się zmarszczyła. Chick się zaciągnął i podał mu fajkę. Crutch pokręcił głową.

– Poskładałem parę rzeczy. Chciałbym usłyszeć twój komentarz.

Chick podpalil fajkę. Siteczko się rozżarzyło.

– Jest coś złowróbnego w tej twojej wizycie. Zaczynam się wkurzać.

– Zabiłeś kobietę, Marię Rodriguez Fontonette. Chciałbym, żebyś mi o tym opowiedział.

Chick uśmiechnął się szeroko i mrugnął okiem. Było to wyćwiczone. Chick uczył się od świętej pamięci Scotty'ego B.

– Niewiele tu do opowiadania, chociaż muszę ci podziękować za pomoc w tym akurat wypadku.

– Były inne?

– Kilka.

– Podglądasz, widzisz coś, co ci się podoba, i zabijasz je?

– Mniej więcej.

– Opowiedz mi o Marii.

Chick się zaciągnął. Oczy miał czerwone, a źrenice jak szpileczki.

– Podglądałem ją. Ona była pojechana na voodoo, oboje lubiliśmy sztukę voodoo. Zjedliśmy trochę ziół i gadaliśmy o Haiti. Wszystko świetnie i nagle ona zaczyna gadać o jakimś poczuciu winy, że zdradziła jakąś komuszą inwazję. To nie było miłe. Zdołowałem się, ale nagle zacząłem myśleć. No wiesz, siedzisz w jakimś opuszczonym domu, zawsze chciałeś to zrobić, ona jest kolorowa i niepewna, nikt za nią nie będzie tęsknił.

Crutch przysunął krzesło.

– Więc to zrobiłeś.

– Tak. Przepołowiłem jej ciało, odciąłem ręce. Opowiedziała mi te wszystkie historie o szmaragdach, więc zgmiotłem trochę zielonego szkła i wcisnąłem jej w rany. Miałem takie fantazje już pięć lat wcześniej. Kupiłem zestaw narzędzi chirurgicznych i trzymałem je w bagażniku, ale nigdy nie sądziłem, że dam radę. Cóż, księżyc był wtedy w znaku Skorpiona, no i chyba dałem radę.

Crutch spojrział w niebo na srebrny półksiężyc.

– Coś mi się wydaje, że mnie osądzasz, Podglądaczu. To mnie bawi.

– Tak?

– Zawsze uważałem, że masz za duże jaja, a mózg za mały. A teraz muszę jeszcze dorzucić skłonność do hipokryzji.

Crutch sięgnął do kieszeni. Chick się zaciągnął i wydmuchnął mu dym w twarz.

– Nie możesz bezkarnie wtykać nosa w cudze okna. Natchnienie to natchnienie. Tak jak powiedział ten tam King: „Miałem sen”. Nigdy nie wiadomo, kto cię obserwuje ani co się dzieje w twojej głowie.

Crutch wyciągnął kapsułki i pokazał Chickowi.

– Co masz? – spytał Chick.

– To haitańskie. Na odlot. Latasz przez półtora dnia.

Chick spytał, czy może. Crutch, że oczywiście. Chick połknął je bez popitki i zaciągnął się haszem.

Crutch przysunął się bliżej.

– Opowiedz mi o tych innych.

– A co tu gadać? Dobrze wyglądały, a ja się nudziłem.

– Ot tak?

– A tak. Mamy lata siedemdziesiąte, młody. Wolność jest.

Crutch się rozejrzył. Basen, księżyc, nastrój. W górze zatrzepotał ptak.

Chick spojrział na niego. Minęło kilka sekund. Oczy mu się zaszklily. Zielona piana wylała się z nosa, ust i z oczu też. Ręce ściągnął skurcz. Kości pękły. Crutch usłyszał trzask. Chick wstał i zatoczył się. Z uszu z bulgotem lała się piana.

Crutch podstawił mu nogę. Chick wpadł do basenu. Crutch patrzył, jak unosi się na powierzchni twarzą w dół.

– Nie dawaj mi nazwiska. Zastanawiam się nad takim jednym.

– Mogę zgadnąć?

– Powiedzimy, że składa hołd ostatnim kilku latom, jak również od nich ucieka.

Podwórko zamieniło się w krokodylą fermę Elli. Chmury kłębiły się i zapowiadały deszcz. Joan zgarnęła pluszaki.

– Wykonawca testamentu literackiego – powiedziała Karen. – Co myślisz? Wszystkie nasze akta, pamiętniki, notatki. Wszystko, co poskładałyśmy.

Joan podniosła wzrok na lokal rezerwowy.

– Będzie dobry. On lubi zbierać.

– Co z tym zrobi?

– Przeczyta i poszuka odpowiedzi. Zobaczy rzeczy, których nie zobaczył nikt inny i zastosuje do nich swoją logikę. Jak dorośnie, zrozumie, co to wszystko znaczy.

Dziewczynki biegały po domu. Joan zerknęła przez okna. Dina oglądała kreskówki. Ella zakradła się, wyciągnęła wtyczkę od telewizora i zaniósła się śmiechem.

– Tęsknię za Dwightem – powiedziała Karen.

– Moje ciało się zmienia – powiedziała Joan.

Deszcz ciągle padał. Wraz z nim nadszedł silny wiatr. Joan zabezpieczyła stosy papieru niezarejestrowanymi spluwami i bibelotami Dwighta. Chciała wiatru. Chłopiec uwielbiał, jak jej włosy się rozwiewają.

Dobre i złe strony. Deszcze zapewniły im nastrój. Podmuchy zgasiły świece.

Był z nią i był gdzie indziej. Oczy miał otwarte. Całowała je zamknięte i przytrzymała zamknięte i pieściła żyłą pulsującą na szyi. Wydawał dźwięki, których nigdy wcześniej nie słyszała. Z zakresu dźwięków wydawanych przez dziecko. Dźwięki pomagały powstrzymać się od łez. Chował twarz w jej włosach, tak aby nie widziała.

Trochę to potrwało. Odpływał gdzieś i dotykał jej z daleka. Spędzał pewien czas z dala od niej i wracał. Wsuwał kolano między jej uda i całował ją pod pachami. Wymuszał przyplów. Ona podnosiła się i klękała nad nim. W jego oczach widziała szaleństwo. Zakrywała je. On całował jej dłonie i chwycił wargami palce.

– *Powiedz mi, co zrobiłeś.*

– *Nie mogę.*

- *Myślałeś o wyspie?*
- *Tak, trochę.*
- *Słyszałam, że zabito Estebana Sancheza.*
- *Tak.*
- *Miałeś z tym coś wspólnego?*
- *Tak.*
- *Ufaj w czystość swoich intencji. Zawsze będą ofiary i zawsze będzie ich mniej, jeśli będziesz działał śmiało.*
- *Jest coś jeszcze.*
- *Powiedz mi.*
- *Nie powiem.*
- *Miałeś z tym coś wspólnego?*
- *Tak.*
- *Działałeś śmiało?*
- *Tak.*
- *Miałeś świadomość, że musisz działać, bo nikt inny tego nie zrobi?*
- *Tak.*
- *Pociesza cię to teraz?*
- *Nie.*
- *Masz do wyboru robić wszystko albo nie robić nic. Dokonałeś właściwego wyboru.*
- *Skąd będę wiedział, że robię coś złego?*
- *Kiedy efekt twojego działania jest katastrofą, której nie da się odwrócić.*
- *Co wtedy mam zrobić?*
- *Sięgnij po silniejszą determinację i postaraj się następnym razem być silniejszy i mądrzejszy.*
- *Coś mi się teraz tłucze po głowie.*
- *Powiedz mi o tym.*
- *Nie mogę.*
- *No dobrze.*
- *Powiedz, dlaczego ocenzurowałaś moje akta?*
- *Nie powiem.*
- *Chyba już nigdy nie poczuję się bezpiecznie. Zawsze będę szukać tego, co mogło tam być.*
- *Zawsze taki byłeś.*
- *Można od tego wszystkiego jakoś uciec?*
- *Ani ty, ani ja nie możemy. Zawsze będziemy wracać.*

Pracował na mecie nr 3. Zaciągnął zasłony, opuścił żaluzje i włączył klimatyzację. Zatrzymał wszystkie zegary. Wyłączył telefon. Zamienił dzień w noc, a noc w dzień.

Było to kontrolowane spalanie. Opróżnił swoje archiwum w Vivian. Przewiózł cały szajs do centrum. Miał ziołową miksturę i strzykawkę. Miał formułę spisaną od tych zielarzy. Spalić akta matki, spalić akta Wayne'a, spalić akta sprawy. Zbudować papierową bombę i oszacować skutki.

Ukradł sprzęt do włamów Dwighta. Pokona każdy zamek. Miał bilet lotniczy, fałszywy zarost, fałszywą tożsamość. Miał wszystko. Musiał działać, bo nikt inny nie mógł.

Opróżnił pudła. Stos papierów sięgał na trzy metry. Na koniec dorzucił akta swojej sprawy. Od morderstwa minęła ledwie chwila. Powinien był wtedy zgadnąć. Później to zrozumiał. Działał, bo nikt inny nie mógł.

Zostawił zdjęcia kartotekowe Joan. Przybił je gwoździem do ściany. Na tym samym gwoździu powiesił swój medalik ze Świętym Krzysztofem.

Zielarze dali mu ściągawki. Gotował mikstury i wypełniał nimi zakraplacze. Wyciskał krople na bibułę. Zerkał na wykresy. Doskonalił efekt wypalić słowa/zachować papier.

Dokumenty się zdzierały. Dokumenty się zaczerniały, warzyły, kruszyły. Zapach i mgiełka – ale bez dymu.

Przygotował sześć butelek i zabezpieczył. Wsadził trzy puste butelki ze spryskiwaczem do plecaka. Kupił czterdzieści siatkowych toreb na pranie. Wypełnił je papierami.

Kule papieru, bloki papieru, zwoje papieru. Do zroszenia.

Napełnił butelkę ze spryskiwaczem nr 1. Spryskał papierowy Partenon swojego życia. Zwarzyło się, pokryło pęcherzami, świsnęło, zmniejszyło, tekst zniknął. Pozostał smród. Podrażnił oczy. Papierowe gniazda wibrowały. Siatki pękły z trzaskiem. Zawirowały skrawki niemych kartek.

Crutch podszedł do ściany w głębi. Zdjęcia kartotekowe Joan pokryły się pyłem. Wytał je. Powiesił sobie na szyi medalik ze Świętym Krzysztofem.

*Pomszczę cię.*

*Uczczę twój wielki dar.*

*Zachwiałaś się i przekazałaś mi sztandar. Teraz ja go będę niósł.*

Pierwszy maja.

Czerwone flagi powiewały nad Silver Lake Boulevard. Pomiedzy nimi pojawiały się polityczne transparenty. KONIEC Z WOJNĄ, CZARNA DUMA, PRAWA KOBIET. Demonstranci utrudniali ruch. Wkurzeni policjanci pracowali po godzinach.

Joan przyglądała się z tarasu. Lornetka Dwighta pozwalała jej się zbliżyć. Rozpoznała twarze z Uwolnić Rosenbergów sprzed dwudziestu lat.

Wkrótce miała wyjechać. Ich dokumenty były gotowe. Zaczynała od nowa jako Jane Anne Kurzfeld. Karen była gotowa do odjazdu. Nie ujawni jej swojego nazwiska. Będą się kontaktowały przez osoby trzecie.

Miała sporą sumę pieniędzy. Dała Karen tyle samo. Jack będzie zarządzał resztą.

Samochody objeżdżały trasę marszu. Niektórzy kierowcy trąbili, opowiadając się za pokojem. Inni kierowcy rzucali w demonstrantów balony wypełnione sikami.

Chłopiec zniknął. Kiedy się ostatnim razem widzieli, coś go bardzo dręczyło. Karen przyznała jej rację. On jest uparty. Zostawimy mu nasze dokumenty.

Joan zapaliła papierosa, sztachnęła się dwa razy i zgasła. Nie powinna. Ta zmiana jej ciała nie ustępowała. *Tak, jestem pewna.*



# 130

(Waszyngton DC, 1.05.1972)

Pierwszy maja.

Czerwone flagi i jipisi, obfitość starzejących się pacyfistów. Bukuu transparentów i haseł. Konni gliniarze jak w Chicago w 1968. Zero perspektyw na rozlew krwi.

Kilka utarczek, kilka pościgów, jakieś traktowanie. Głupki z czerwonym sprayem, durnie w maskach Nixona.

Wmieszał się. Doprawił sobie hipisowskie włosy. Wąsy i broda go swędziały. Czapka się przekrzywiła. Wypchany plecak podkreślał efekt.

Przyleciał dwa dni temu. Bilet kupił pod pseudonimem i tak samo zameldował się w hotelu. Trzykrotnie obszedł obiekt. Drzwi do piwnicy wyglądały na niezdobyte. Piwniczna skrzynka bezpiecznikowa wyglądała na łatwą. Okno do pralni zawsze było uchylone.

Żaden mieszkaniec nie pomoże. Przed budynkiem nie parkowały żadne federwały. Żadnych cerberów.

Spyta go, czy on to zrobił. On mrugnie jak Scotty Bennett. Odpowie: „Nie powiem ci”.

Dzienne marsze przeradzały się w nocne imprezy. Wałęsał się po Lafayette Park. Po drugiej stronie ulicy widział Biały Dom. Zapewnił zwycięstwo Chytreemu Dickowi. Pomagał w tym Żabojad. Działo się to miliard przedczerwonych lat wcześniej.

Hipisi palili zioło i uprawiali harce. Kilka dziewczyn biegało topless. Gliniarze przejeżdżali pro forma.

Crutch przeszedł powoli do Rock Creek Park. W DC pełno było skwerów i buntowników. Nikt nie zwracał na nich uwagi.

Wszedł na stację Texaco i wrócił do swoich zwyczajnych ciuchów. Ściągnął wąsy, brodę i perukę i spuścił je w sedesie. Wszedł do parku i znalazł spokojne miejsce. O północy ruszamy.

Gazety w LA doniosły, że Chick Weiss przedawkował. Phil Irwin przetrwał. On przypomniał sobie pewne rzeczy, które mówiła mu Joan. Esteban Sanchez nie dawał mu spokoju.

Było duszno. Atakowały go nocne owady. Był tu sam. Po drugiej stronie parku wybuchały fajerwerki.

Czekanie się wlokło. Odnosił wrażenie, że zegarek mu stanął. Wreszcie nadeszła północ. Do 0.03 był zamroczony. Łup – uwolnił się zapas adrenaliny.

Szedł, spokojnie, spacerkiem. Ładna noc, ładna okolica. Taki jestem miły młody człowiek, pranie do mamy niosę.

Northwest Thirtieth Place. Podjazd. Neogeorgiański dom.

*Por la Causa*. Bądź cyniczny, bądź dzielny.

Okno było uchylone, bez okiennic. Podeszedł, podciągnął się na parapecie i wskoczył do środka. Wylądował lekko na podłodze.

Na dole się nie świeciło. W kuchni pachniało sprayem Lemon Pledge. Widział zdjęcia w „Antique Monthly” i plany pięter. Wyciągnął latarkę i odnalazł drzwi do piwnicy.

Były zamknięte na klucz. Wyjął wytrych nr 6 i sforsował zamek. Dostęp z zewnątrz był niemożliwy. Dostęp z wewnątrz wręcz łatwy.

Zszedł po schodach. Zwęził strumień światła.

Wyglądało to jak gigantyczne archiwum jego, Wayne’a i laboratorium Reggiego razem wzięte. Szerokość i długość piwnicy odpowiadała obrysowi domu. Półki przewyższały Matterhorn i niemal sięgały chmur.

Miał czterdzieści cztery papierowe bomby, w siatkach, zakręcone. Rozwiązał worek i umieszczał je na kolejnych półkach. Dotarł do dna. Jego trucizna wywołująca atak serca wylała się. Strzykawka się strzaskała.

Stał. Miliony głosów wołały „Dupek, Podglądacz, *pariguayo*”. Zatkanął uszy. Nie zamilkły. Głosy go nękały. Siadł na podłodze i czekał, aż się wykrzyczą.

Założył maskę gazową. Przebiegł przez piwnicę. Odkręcił wszystkie czterdzieści cztery nakrętki.

Wydostały się opary.

Podniosły się barwne chmury.

Ściany je wchłonęły.

Papier syknął, zwarzył się, skruszył i zwęglił. Rozległy się niewielkie eksplozje. Półki zagrzechotały. Złuszczyła się farba na ścianach. Opary zmieniały kolory: ciemne/jasne, ciemne/jasne. Drobiniki papieru rozplynęły się w powietrzu.

Crutch wszedł po schodach i zamknął za sobą drzwi. W kuchni włączyło się światło. Pan Hoover stał przy lodówce.

Crutch sięgnął do kieszeni i wyjął szmaragd. Pan Hoover zadrżał i skupił się na nim.

Iskrzył nieustannie. Magnetyzował. Zielony blask przybierał na sile. Pan Hoover zatoczył się i zaczął ślinić. Pan Hoover chwycił się za pierś i chwiejnym krokiem ruszył na górę.

# 131

(Los Angeles, 3.05.1972)

Najważniejszy news. Atak serca, siedemdziesiąt siedem lat.

Nic nie poczuła. Nekrologi będą wychwalać i zniesławiać. Dwight go z niej wydarł. Już jej to nie obchodziło.

Joan zaparkowała przed domem.

U sąsiadów dudniły wiadomości. Światło telewizora waliło po oknie. Chłopiec nazwał to miejsce metą nr 3. Nie było jego podrasowanego samochodu. Otworzyła drzwi fałszywą kartą kredytową i weszła.

W salonie panował bałagan. Powiew uniósł skrawki papieru. Powietrze dziwnie pachniało. Ściany były okopcone.

Stos magazynów motoryzacyjnych. Sprzęt chemiczny. Notki nabazgrane w notesie. Obrzyn.

Otworzyła torebkę i wyciągnęła aparat. Podniosła sweter, żeby pokazać mu, jak się zmieniła. Wyciągnęła rękę z aparatem i zrobiła zdjęcie.

Po chwili wyskoczyła odbitka. Powoli pojawiał się obraz. Postawiła zdjęcie na parapecie frontowego okna.

*Twoja determinacja wskrzesiła moją.*

*Nie umiem sobie wyobrazić, kim będziesz.*

*Dziękuję, że to się stało z tobą.*

ZAŁĄCZNIK DO AKT: 11.05.1972. Fragment ukrytego dziennika Karen Sifakis.

Los Angeles, 11 maja 1972

Wyjeżdżam. To będzie mój ostatni wpis w dzienniku. Dom sprzedany, samochód zapakowany. Dziewczynki siedzą bezpiecznie na tylnym siedzeniu, razem z pluszakami Elli. Nigdy już nie będę wykładać. Zyski z piekielnie straszliwego napadu wystarczą mi na resztę życia.

Na razie nie mam nazwiska. Odrzuciłam wszystkie fałszywe tożsamości, które mi zaproponowano. To ryzyko, ale chętnie je podejmuję. We właściwym momencie opowiem dziewczynkom całą historię i dlatego nazywam się Holly.

Zamknęłam dom na klucz i po raz ostatni obejrzałam się na lokal rezerwowy. Sprawdziłam, czy wszystkie drzwi w samochodzie są zabezpieczone. Dina się trochę dąsała, Ella uśmiechnęła się szeroko. Zauważyłam małą czerwoną chorągiewkę przymocowaną do jej siedzenia.

Rozejrzałam się. Chciałam zobaczyć ją po raz ostatni albo chociaż poczuć dym z jej papierosa. Zniknęła. Zawsze uważała, że pożegnania są mistyczne i domniemane. Towarzysze powinni być gotowi, by ponownie się zjednoczyć albo by rozstać się na zawsze. Tak działa wiara.

**TERAZ**

Fotografia ocalała. Historia się kończy na tym momencie trzydzieści siedem lat temu. Historia rozpoczęła się na nowo z pierwszą przesyłką dokumentów.

Przybywają w nieregularnych odstępach czasu. Zawsze w anonimowych przesyłkach. Zebrałem fragmenty pamiętników, przekazy ustne i zalew kartotek policyjnych. Starzy lewacy i czarni bojówkarze opowiedzieli mi swoje historie i zapewnili weryfikację. Przydały mi się przepisy Ustawy o wolności informacji.

Znalazłem pamiętniki Marshalla Bowena i Reginalda Hazzarda. Znalazłem notesy Scotty'ego Bennetta. Joaquín Balaguer był zdumiewająco otwarty. Trochę wsparła mnie Biblioteka Richarda M. Nixona. Biblioteka J. Edgara Hoovera odmówiła. Rzecznik Hoovera konsekwentnie zaprzecza, że zwęglenie kartotek w jego piwnicy łączy się ze śmiercią samego Hoovera tamtej nocy.

Rozmawiałem z licznymi towarzyszami Joan Rosen Klein i Karen Sifakis. Ich wspomnienia wiele wniosły do niniejszej opowieści. Nie chcieli podać mi nowej tożsamości Joan ani Karen. Podjąłem próby przekupienia ich albo przymuszenia, ale spęzły na niczym.

Moja własna pamięć szaleje zgodnie z rytmem wszystkiego, co opisałem. Nie zapomniałem ani jednej chwili z tych wydarzeń. Czterdzieści tysięcy nowych dokumentów wspiera moją pamięć. Spaliłem całe swoje dawne archiwum. Zbudowałem archiwum od nowa, tak abym mógł opowiedzieć Ci tę historię.

Większość ludzi nie żyje. Sal Mineo zginął w żalonym napadzie. Wóda zabrała Phila Irwina. Taxi Tygrys splajtowało. Freddy Otash nie przeżył ataku serca. Drakula umarł w 1976. Farlan Bowen rok później. Nie ma Clyde'a i Buzza. Mafiosi zeszli. Mary Beth ciągle żyje. Reginald Hazzard wrócił do Haiti. Dana Lund umarła w 2004. Jack Leahy zniknął.

Byłem najmłodszy z nas wszystkich. Ciągle cieszę się dobrym zdrowiem. Prowadzę świetną agencję detektywistyczną w Los Angeles. Moja firma ochrania gwiazdy i weryfikuje historie dla szmatławców. Często pojawiają się w programach telewizyjnych traktujących o skandalach. Moi pracownicy korzystają z najnowszych technologii. Ja czerpię korzyści z ich wysiłków. Dzięki temu mogę powtórnie przeżywać Historię i dalej szukać Joan.

Wiem, że ona ciągle żyje. Wiem, że żyje Karen i jej córki. Wiem, że mają się dobrze. Żadne moje umiejętności łowcze nie doprowadziły mnie do nich.

Bóg dał mi niespokojne usposobienie i dyscyplinę badacza. Mój niespokojny duch włóczęgi teraz służy dobremu celom. Szukam zaginionych bliskich i sprowadzam ich do domu. Robię to nieustannie i na własny koszt. Znalazłem już mnóstwo zaginionych ludzi i sporo zagubionych psów. W książce tej mieszczą się cztery lata, opisałem w niej wiele magicznych rozdziałów. Część tej magii jest we mnie. Słucham, patrzę, porządkuję dokumenty. Śledzę ludzi i doprowadzam ich do tych, którzy najbardziej ich kochają. W ten sposób z zapartym tchem zbliżam się do Joan.

*Ona ma teraz osiemdziesiąt trzy lata. Nasze dziecko – trzydzieści sześć. Instykt mi podpowiada, że to dziewczynka. Moja matka ma lat dziewięćdziesiąt cztery. Nadal na każde Boże Narodzenie przesyła mi kartkę i banknot pięciodolarowy.*

*„Masz do wyboru robić wszystko albo nie robić nic” – tak mi powiedziała Joan. Zapłaciłem ogromną cenę za to, że żyję Historią. Nigdy nie przestanę szukać. Modłę się, by te stronice ją odnalazły i żeby nie odczytała błędnie mojego oddania.*

*Objechałem punkty zapalne na całym świecie. Byłem w Nikaragui, Grenadzie, Bośni, Rwandzie, Rosji, Iranie i Iraku. Narysowałem portrety Joan i postarzam jej wizerunek oczyma wyobraźni. Czytam gazety i magazyny i szukam jej poczynań w niedomówieniach. Dostrzegam kobiety, które mogą być nią, i śledzę je, aż rozwieje się ich aura. Wydałem miliony dolarów, żeby zdobyć jakiś cynk. Słyszę o samochodach pułapkach, handlu bronią i przeglądam fotografie w komputerze. Mam laboratorium wypełnione specjalistycznym sprzętem fotograficznym. Codziennie korespondenci przysyłają mi materiał fotograficzny. Wpatruję się w tłum i wstrzymuję oddech w nadziei, że ją zobaczę.*

*Jej zdjęcie. Mój gen uporczywości.*

*Często wybieram pomiędzy Wtedy a Teraz. W tym drugim żyję niechętnie. W tym pierwszym żyję z gorliwością neofity.*

*W Taxi Tygrys odbywa się impreza. Wabi mnie obca wyspa. Ścigam zabójcę, żeby sam mi opowiedział o swojej winie. Znajduję przyjaciół i wrogów i włóczę się na całego.*

*Ciągle obecne. Ciągle się rozwija. Ciągle mnie uczy czegoś nowego. Daję Ci tę książkę i namaszczam Cię, towarzyszu. Oto mój dar zamiast spotkania rodzinnego – z moją zaginioną matką, zaginioną córką i z Czerwoną Boginią Joan.*

- 
- <sup>1</sup> USC (University of Southern California) – Uniwersytet Południowej Kalifornii (przyp. tłum.).
  - <sup>2</sup> COINTELPRO (ang. Counter Intelligence Program) – dosł. Program Kontrwywiadowczy; program FBI pierwotnie (1955) obmyślony do infiltracji Komunistycznej Partii Stanów Zjednoczonych, obejmujący często nielegalne działania agentów przeciwko różnym organizacjom uznawanym za aktualne zagrożenie dla bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych.
  - <sup>3</sup> Hooverilles – tak nazywano zbiorowiska szop i innych prowizorycznych konstrukcji, stawianych przez bezdomnych w czasach wielkiego kryzysu. Ochrzczono je na „cześć” prezydenta Herberta Hoovera, który rzekomo wpędził kraj w kryzys. Dzisiaj mianem Hooverville określa się miasteczka namiotów, zamieszkałe przez bezdomnych, uchodźców, żołnierzy (przyp. tłum.).
  - <sup>4</sup> The Joe Pyne Show – nadawany w latach 1954–1970 amerykański program telewizyjny typu talk-show, prowadzony przez kontrowersyjnego showmana Joego Pyne’a. Gwiazdor opowiadał się za wojną w Wietnamie, nienawidził hipisów, homoseksualistów i feministek. Program rozpoczął Beef Boxem (ang. beef – narzekanie, skarga) – w tej części „narzekacz” z widowni mogli popsioczyć na dowolny temat. Często były to osoby groteskowe, które Joe wykorzystywał jako obiekty kpin.
  - <sup>5</sup> Impro, teatr improwizowany – przedstawienie, w którym aktorzy grają bez scenariusza, spontanicznie.
  - <sup>6</sup> Przedstawienie z udziałem białych ucharakteryzowanych na Murzynów, imitujących murzyńskie pieśni i tańce, popularne w XIX i na początku XX wieku w USA. Minstrely miały wydźwięk rasistowski (przyp. tłum.).
  - <sup>7</sup> BYU – Uniwersytet Brigham Younga. Uczelnia w Provo w stanie Utah, należąca do Kościoła Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich, którego wyznawcy potocznie nazywani są mormonami (przyp. tłum.).
  - <sup>8</sup> Powstanie Mau Mau, o którym mowa, trwało od roku 1952 do 1955 (przyp. tłum.).
  - <sup>9</sup> HUAC (House Un-American Activities Committee) – Komisja Izby Reprezentantów do Badania Działalności Nieamerykańskiej (przyp. tłum.).
  - <sup>10</sup> Malecón (hiszp.) – molo, nabrzeże (przyp. tłum.).
  - <sup>11</sup> Wetback (ang., dosł. – mokre plecy) – nielegalny amerykański imigrant z Meksyku. To obraźliwe określenie pierwotnie dotyczyło Meksykanów, którzy przedostawali się do Teksasu, przepływając Rio Grande (przyp. tłum.).
  - <sup>12</sup> Dino – Dean Martin, właśc. Dino Paul Crocetti (przyp. tłum.).
  - <sup>13</sup> Wobblie – członek IWW, Industrial Workers of the World (Robotnicy Przemysłowi Świata), amerykańskiego rewolucyjnego związku zawodowego (przyp. tłum.).